

WIDZIANE Z SENATU

"Sztuka jest uniwersal dla języczny,
ale najdroższa sztuka jest żyć dla niej".
Oby te słowa Frymmana Tyriacelcia
przeżyłoby politykom oraz rządzącym.

Hestaw Ryśka

Czesław Ryszka

WIDZIANE Z SENATU

VII kadencji



CZĘSTOCHOWA 2010

Redakcja i opracowanie graficzne
Grzegorz Swoboda

Zdjęcia
Katarzyna Czerwińska

© by Czesław Ryszka

ISBN - EAN 9788392068556

KSIĄŻKA NIE DO SPRZEDAŻY

Wydawca, druk i oprawa:
Firma „Goldpress”
ul. Plonów 24, 41-200 Sosnowiec
e-mail: biuro@goldpress.pl

PRZEDMOWA

Jan Paweł II ostrzegał wielokrotnie przed rysującą się dzisiaj groźbą sprzymierzenia się demokracji z relatywizmem etycznym, co może pozbawić życie społeczności trwałego punktu odniesienia, a tym samym zdolności rozpoznawania prawdy. Jak to przypomniał Ojciec Święty w polskim Sejmie w 1999 r. (za encykliką „*Veritatis splendor*”), „jeśli nie istnieje żadna ostateczna prawda, będąca przewodnikiem dla działalności politycznej i nadająca jej kierunek, łatwo o instrumentalizację idei i przekonań dla celów, jakie stawia sobie władza. Historia uczy, że demokracja bez wartości łatwo przemienia się w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm”. Jednym słowem, poszanowanie zasad i norm etycznych powinno być podstawą prawidłowego funkcjonowania systemu demokratycznego.

Rocco Buttiglione, włoski eurodeputowany, kandydując na komisarza UE, podczas przesłuchania przed Komisją Parlamentu Europejskiego, na pytanie o ocenę homoseksualizmu, powiedział, że jest to grzech. Oczekiwanie od niego, aby zmienił swoją ocenę, uznał za „nową formę pełzającego totalitaryzmu”. Oczywiście, stanowiska komisarza nie otrzymał. Komisja PE przesłuchując R. Buttiglione nie pierwszy raz ujawniła, że w wyborach moralnych kieruje się swoistą dyktaturą relatywizmu, sprzeczną z ochroną i poszanowaniem rodziny czy ludzkiego życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Wspominam o tym, ponieważ 15 stycznia 2009 r., Parlament Europejski przyjął rezolucję o tak zwanych prawach podstawowych w Unii Europejskiej, w której wzywa wszystkie kraje członkowskie do uznania między innymi związków homoseksualnych, aborcji oraz upowszechniania takich rozwiązań w ich prawie. Parlament poszerzył także krytykę tzw. uwag dyskryminacyjnych poprzez dopisanie do grona autorów takich wypowiedzi „przywódców religijnych”. W związku z tym umożliwi to pociągnięcie do odpowiedzialności prawnej duchownych, którzy np. będą nazywać homoseksualizm grzechem.

Co prawda, obecnie Parlament Europejski nie ma na szczęście żadnej władzy, żeby decydować w kwestiach moralnych, jednak po podpisaniu traktatu lizbońskiego, nie sposób przewidzieć, jakich nacisków użyje Bruks-

sela, aby wygzekkować swoje prawa. Nie trudno zauważyć, że ten swoisty totalitaryzm moralny wyrasta z pogardy dla prawdy i godności człowieka, z odrzucenia Boga.

W jakim kierunku zmierza Europa, która w przeszłości walcząc z totalitaryzmami, obecnie sama zmierza w tę stronę? Nie wykluczone, że nastąpi zderzenia dwóch wizji świata: tej, która przyjmuje istnienie zasad (pryncypiów) i wartości niezmiennych, wpisanych przez Boga w samą naturę człowieka, z tą, która przyjmuje, że nie istnieje nic stałego i niezmiennego, lecz wszystko jest względne w stosunku do czasu, miejsca i okoliczności. Co wyniknie z tego zderzenia? Z pewnością jeszcze większy chaos moralny.

W sytuacji zagrożenia polityki relatywizmem, należy zadać pytanie: jaki powinien być polski polityk? Czy powinien utożsamiać się z chrześcijaństwem, czy raczej pójść za głosem świata i potwierdzić, że wiara jest prywatną sprawą i należy ją pozostawić za drzwiami parlamentu? Odpowiem od razu, że polityk chrześcijański nie powinien unikać prezentowania swoich osobistych przekonań, i podobnie zresztą jak czynią to ateści i agnostycy – powinien promować swoje poglądy, gdzie się tylko da.

Benedykt XVI słusznie stwierdza, że „obserwujemy swoistą schizofrenię polityka katolika, który prywatnie chce być wiernym katolikiem, natomiast publicznie jest przekonany, że nie powinien przenosić swoich osobistych poglądów do sfery publicznej, tłumacząc się koniecznością przestrzegania pluralizmu”. Tymczasem, to ukrywanie w życiu publicznym swoich przekonań, prowadzi do kryzysu chrześcijaństwa, do kryzysu kultury, w której żyjemy.

Nie rozumiem, dlaczego jako katolicy mamy się biczować, kiedy ktoś zarzuca upolitycznienie kapłanom czy rozgłośni Radia Maryja? Czy w tym zarzucie kryje się coś obraźliwego? Skoro polityka to roztropne zabieganie o dobro wspólne, pozwólmy też duchowieństwu oraz mediom katolickim zatroskać się o rządzenie państwem. Niestety, po systemie komunistycznym mamy zupełnie skażone myślenie o polityce. W PRL każde działanie polityczne było wymierzone w godność człowieka, kojarzyło nam się z czymś złym. Komunizm upadł, myślenie o polityce jako złu przetrwało. To właśnie doskonale wykorzystują liberałowie, ukazując środowiska katolickie, „radiomaryjne”, jako tzw. moher, elektorat antyeuropejski, gorzej wykształcony, wiejski i małomiasteczkowy, jednym słowem ciemnogród. Nie chodzi w tym o nic innego, tylko o wyrzucenie Kościoła i ludzi wierzą-

cych poza obszar „oświeconego” państwa, poza politykę, poza życie do-
czesne, poza kulturę, poza naukę i myśl współczesną, poza działalność na
tym świecie.

Kiedyś napisałem słowa, które poszły już w Polskę, że kapłan neutralny
politycznie jest równie szkodliwy jak polityk neutralny moralnie. W obydwu
bowiem zawodach mamy do czynienia z powołaniem i społeczną służbą.
Politycy i rządzący powinni mieć na uwadze przede wszystkim dobro wła-
snej ojczyzny, a kapłani powinni się orientować, dokąd prowadzą naród
politycy i rządzący, aby nie dochodziło do sytuacji, w której wielu polskich
polityków, uznając np. zasadność i potrzebę zapłodnienia *in vitro*, co wią-
że się z zabijaniem wielu embrionów, dowodziło, że są wzorowymi katoli-
kami. Podobnie zachowuje się wielu dyskutantów katolickich, którzy pod-
czas dyskusji o aborcji milczą, gdy druga strona mówi, że zabijanie
nienarodzonych to kwestia światopoglądu i religii.

Sobór Watykański II nauczając o autonomii rzeczywistości ziemskich
(do nich należy z pewnością polityka), przestrzega przed niebezpieczeń-
stwem fałszywej autonomii polityki, walczącej z Bogiem, z odwiecznymi
wartościami, autonomii traktowanej jako „świecka religia”. Przykładem
może być wypowiedź prezydent Francji Jacques Chiraca, który w 1995 ro-
ku w dyskusji nad konstytucją Unii Europejskiej stwierdził, iż prawo mo-
ralne (naturalne) nie może stać nad prawem cywilnym. Jak się wyraził,
moralne jest to, co uchwała Zgromadzenie Narodowe. Oznacza to, że laic-
kość wpisana kiedyś do konstytucji francuskiej, odżyła dzisiaj w konstytu-
cji Unii Europejskiej, co w istocie sprowadza się do tego, że państwo chce
zastąpić Kościół.

Jan Paweł II odwołując się do własnych słów z encykliki „*Veritatis splen-
dor*”, a ta z kolei przywołując wcześniejszą encyklikę „*Centesimus annus*”
napisał: „Szacunek właściwy życiu wspólnoty politycznej autonomię, trze-
ba pamiętać jednocześnie o tym, że nie może być ona rozumiana jako nie-
zależność od zasad etycznych. Także państwa pluralistyczne nie mogą re-
zygnować z norm etycznych w życiu publicznym”. To w oparciu
o nauczanie Jana Pawła II Kongregacja Nauki Wiary wydała przed kilko-
ma laty „Notę doktrynalną dotyczącą pewnych kwestii związanych z udziałem
i postawą katolików w życiu politycznym”. Czytamy w niej między
innymi na temat świeckości: „W świetle katolickiej nauki moralnej świec-
kość pojmowana jako autonomia sfery obywatelskiej i politycznej w sto-
sunku do sfery religijnej i kościelnej – ale nie w stosunku do sfery moralnej

– jest wartością osiągniętą i przez Kościół uznawaną oraz należy do zgodnie przyjmowanego cywilizacyjnego dziedzictwa” (nr 6; por. KDK 76). A wcześniej w kwestii zaangażowania politycznego katolików dokument stwierdza: „Kiedy działalność polityczna prowadzi do konfrontacji z zasadami moralnymi, które nie dopuszczają odstępstw, wyjątków ani żadnego kompromisu, wówczas zaangażowanie katolików staje się bardziej oczywiste i nabrzmiałe odpowiedzialnością. W obliczu tych fundamentalnych i niepodważalnych wymagań etycznych wierzący powinni wiedzieć, że w grę wchodzi istota moralnego ładu, dotyczącego integralnego dobra ludzkiej osoby” (nr 4).

Prawdziwe uprawianie polityki musi być oparte na fundamencie moralnym. Jakże wymowne są tu słowa Jana Pawła II z adhortacji „*Christifidelis laici*”: „Ani oskarżenia o karierowiczostwo, o kult władzy, o egoizm i korupcję, które nierzadko są kierowane pod adresem ludzi wchodzących w skład rządu, parlamentu, klasy panującej czy partii politycznej, ani dość rozpowszechniony pogląd, że polityka musi być terenem moralnego zagrożenia, bynajmniej nie usprawiedliwiają sceptycyzmu i nieobecności chrześcijan w sprawach publicznych”. I dalej Jan Paweł II dodaje: „Sprawowanie władzy politycznej winno mieć za podstawę ducha służby, gdyż tylko on, w połączeniu z konieczną kompetencją i skutecznością działania decyduje o tym, czy poczynania polityków są «jawne» i «czyste», zgodnie z tym, czego – zresztą słusznie – ludzie od nich wymagają. Pobudza to do otwartej walki i zdecydowanego przezwyciężania takich pokus, jak nieuczciwość, kłamstwo, wykorzystywanie dóbr publicznych do wzbogacenia niewielkiej grupy osób lub w celu zdobywania popleczników, stosowanie dwuznacznych lub niedozwolonych środków dla zdobycia, utrzymania bądź powiększenia władzy za wszelką cenę” (ChL 42).

Konkludując, nie ma czegoś takiego jak katolickie państwo czy katolicka polityka. Natomiast są chrześcijańscy, katoliccy politycy, którzy na serio traktują politykę jako służbę człowiekowi i troskę o dobro wspólne. Można i należy swoje zaangażowanie widzieć w duchu Ewangelii, a w kwestiach ustawowych kierować się społeczną nauką Kościoła.

Jest jednak sprawa najważniejsza dla Polski: historyczna tożsamość oraz duch patriotyzmu. Niespełna sto lat temu Polski nie było na mapach Europy. Przez 123 lata nie istniało państwo polskie, choć nie znaczy to, by o Polakach nie było głośno. Podejmowaliśmy zbrojne powstania, dawaliśmy Kościołowi ludzi świętych, służyliśmy ojczyźnie pracą u podstaw, zgodnie

ze słowami Prymasa Tysiąclecia: „sztuką jest umierać dla ojczyzny, ale największą sztuką jest dobrze żyć dla niej”. Odnoszą się te słowa do każdego czasu, zwłaszcza do obecnych, w których stanęliśmy jakby na zakręcie dziejów. Ojczyzna jest wolna, ale przed nami wielka niewiadoma po zjednoczeniu się z Unią Europejską. Podpisana w Rzymie 29 października 2004 r. konstytucja Unii Europejskiej wyraźnie preferuje tworzenie europejskiego superpaństwa, z jednym rządem w Brukseli, jedną armią, jedną walutą itd. Zostało to potwierdzone po wejściu w życie 1 grudnia 2009 r. Traktatu z Lizbony.

Nie twierdzę, że do lamusa historii pójdą państwa narodowe, z ich kulturą, językiem, zwyczajami a nawet religią. Nie uważam, że będziemy musieli zapomnieć o naszych narodowych wieszczach, o ojczystych dziejach. Śmiem jednak twierdzić, że propagowany na siłę europejski globalizm doprowadzi kiedyś do wybuchu nacjonalizmów i wojen. Dlatego tak bardzo potrzebna jest mądra polityka patriotyczna, skierowana na troskę o najważniejszą i podstawową wspólnotę, jaką jest ojczyzna oraz rodzina. Cóż to byłby kraj, jakiż byłby słaby naród, gdyby nie było mocnych rodzin! A to dzisiaj grozi Polsce. Od kilku lat byt naszego narodu jest zagrożony, więcej ludzi umiera niż się rodzi, coraz więcej jest rodzin rozbitych, biednych materialnie i duchowo, wrogo nastawionych do dzieci, niezdolnych do mądrego wychowania młodego pokolenia.

Obecnie o sile ojczyzny nie tyle stanowi wojsko czy nawet liczba ludności danego kraju, co raczej poziom rozwoju gospodarczego oraz postęp naukowy i techniczny. Dlatego zagrożony jest ten kraj, w którym znaczna część obywateli to ludzie bezrobotni, źle wykształceni, niedbale pracujący, a także kraj, który nie ma silnego przemysłu, banków, nowoczesnego rolnictwa... Aż lękam się słów, jakimi należałoby ocenić tych polityków, którzy wyprzedali największe polskie zakłady, banki, huty..., wpędzając miliony rodaków w bezrobocie i biedę. I czynią tak nadal.

Dlatego w konkluzji widzę dwa wyzwania na dzisiaj. Pierwsze wyzwanie, jakie staje przed nami, to zachowanie daru wolności, daru wolnej ojczyzny, co wymaga – zdaniem Jana Pawła II – „ludzi świadomych nie tylko swoich praw, ale i obowiązków: ofiarnych, ożywionych miłością Ojczyzny i duchem służby, którzy solidarnie pragną budować dobro wspólne i zagospodarować wszystkie przestrzenie wolności w wymiarze osobistym, rodzinnym, i społecznym” (Słowo do Biskupów, czerwiec 1999).

A drugie wyzwanie – to ocalenie tradycyjnej, silnej Bogiem, polskiej rodziny. Dlatego państwo mimo trudności gospodarczych musi prowadzić politykę rodzinną. Z jej planowaniem nie wolno czekać do poprawy sytuacji gospodarczej kraju, ponieważ w okresie tego oczekiwania mogą zająć takie niepożądane procesy zmian w rodzinie, których rozwoju nie da się łatwo zahamować, a tym bardziej odwrócić. Jeśli państwo nie dba o rodzinę, tym bardziej musimy zadbać o nią sami. Potrzebna jest wielka solidarność rodzin między sobą, solidarność rodziców w sprawach wychowania i wykształcenia dzieci, świadectwo wierności i miłości małżeństw wobec ataku sił liberalnych. To wszystko jest bardzo ważnym wyrazem troski o ojczyznę, świadectwem patriotyzmu.

Kiedy w latach 1997–2001 byłem posłem AWS, na zakończenie kadencji wydałem książkę zatytułowaną „Prosto z Sejmu”. Zawierała wybór moich przemówień oraz felietonów, w większości opublikowanych w tygodniku „Niedziela”, którego byłem redaktorem. Po pierwszej mojej kadencji w Senacie wydałem książkę: „Prosto i jasno z Senatu”, w której rozliczyłem się przed wyborcami z mojej aktywności parlamentarnej. Niniejsza książka, podobnie jak dwie poprzednie, zawiera niektóre z moich przemówień w Senacie VII kadencji, a także wybór felietonów politycznych pisanych dla tygodnika „Niedziela” w ramach rubryki „Widziane z Senatu”. Włączyłem do książki kilka moich wystąpień na konferencjach oraz parę tekstów publikowanych w czasopismach lub wydaniach książkowych.

Całość książki ma wyraźną cezurę czasową i polityczną: przed i po katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem. Uważam, że była to największa tragedia w naszych dziejach, w której zginęła para prezydencka oraz elita polskich polityków wszystkich opcji. Dziś już wiadomo, że w roku wyborów prezydenckich to wydarzenie było jak spełniające się marzenie, wykorzystane bezwzględnie przez jeden obóz polityczny – Platformę Obywatelską. Należy bowiem pamiętać, że nie było jeszcze w historii 21 lat III RP tak bezprecedensowego skupienia władzy w rękach jednego ośrodka decyzyjnego, a dokładnie premiera Donalda Tuska. Bo przecież to on delegował do Pałacu Prezydenckiego marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego. Ale ta ogromna władza oznacza też największą w obecnej dobie odpowiedzialność za państwo. Już nie będzie można twierdzić, że reformy w Polsce się nie udają, bo rządowi przeszkadza prezydent. Mając pełnię władzy, trzeba pokazać, co się potrafi.

A niestety, odnosi się wrażenie, że tak rząd, jak i większość Polaków nie zdają sobie sprawy z tego, co naprawdę wydarzyło się 10 kwietnia 2010 r. Mówi się, że prowadzone rosyjskie śledztwo przypomina coraz bardziej stan zakłamania, jaki przez lata towarzyszył zbrodni katyńskiej. Gdzieś przeczytałem, że albo nigdy nie poznamy przyczyn tragicznej katastrofy rządowego samolotu pod Smoleńskiem, albo dostaniemy taki paszтет rosyjsko-polski, że długo nie będziemy mogli pozbierać się ze zdziwienia. Oby więc tragizm katastrofy smoleńskiej nie zaciążył nad naszym narodem w podobny sposób, jak kłamstwo o zbrodni katyńskiej, stając się „aktem założycielskim” Polski powojennej. Już widać, że tak jak kiedyś zbrodnia katyńska, tak dzisiaj katastrofa smoleńska staje się przedmiotem rozgrywek politycznych w naszym kraju. Dowodem na to jest uporczywa walka z krzyżem przed Pałacem Prezydenckim, będąca swoistą zasłoną dymną dla braku determinacji rządu, aby wyjaśnić we własnym śledztwie kulisy katastrofy pod Smoleńskiem. Jednym słowem, po 10 kwietnia polskim władzom zabrakło odwagi i woli, by wymóc – z jednej strony – wiążące deklaracje dotyczące ostatecznego wyjaśnienia okoliczności zbrodni katyńskiej, dostępu do archiwów, a z drugiej – takiego poprowadzenia śledztwa smoleńskiego, by zapewnić niezależny i wiarygodny jego przebieg. Również nikomu na Zachodzie, tak wówczas jak i dzisiaj, nie zależy na ujawnieniu prawdy.

Dlatego dzisiaj w szczególny sposób należy oceniać polityków pod kątem realizacji „*bonum commune*” – dobra wspólnego, czyli ładu społecznego opartego na zasadach moralnych, zwłaszcza w aspekcie takich wartości, jak: miłość ojczyzny, odpowiedzialność za naród i gospodarkę, poszanowanie kultury, historii, tradycji i wiary. Tylko udział w tak rozumianej polityce jest realizacją hasła: Bóg, Honor, Ojczyzna.



Część I

POLSKA PRZED SMOLEŃSKIEM

Destrukcja, awanturnictwo, anarchia

Z powodu działań polityków opozycji, głównie PO, w połowie 2007 r. rozpoczęła się prawdziwa agonia Sejmu V kadencji oraz Senatu VI kadencji, żaloszny spektakl, kompletne rozchwianie. Nie jest respektowana żadna prośba marszałka Sejmu czy rządu, żeby uchwalić kilka ważnych ustaw. Nawet tak prosta sprawa, jak przyjęcie ustawy wprowadzającej nas do strefy Schengen, była okupiona ciągłymi wnioskami o przerwanie obrad. Faktycznie, w takim parlamencie nie da się już pracować, taki Sejm należy rozwiązać. Premier Jarosław Kaczyński określił wszystko, co dzieje się w Sejmie, słowami: „Destrukcja, awanturnictwo, anarchia”.

A co się dzieje? Politycy opozycji dali wiarę zeznaniom byłego ministra MSWiA Janusza Kaczmarska, że niemal każdy z nich był nielegalnie podsłuchiwany, że Kaczyńscy zamienili Polskę w kraj reżymu totalitarnego, że PiS jest ugrupowaniem bolszewickim, że zamierza wprowadzić stan wyjątkowy....! Odpowiedzialnym za wszelkie zło ma być minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. Opozycja domaga się od premiera zdymisjonowania go lub zawieszenia w obowiązkach. SLD zapowiada, że postawi ministra przed Trybunałem Stanu.

Jak sądzę, oskarżenia wobec Ziobry są zupełnie bezpodstawne, ponieważ takich bezprawnych działań nie da się już dzisiaj prowadzić w naszym kraju, nikt nie może być podsłuchiwany w innych okolicznościach niż w ramach działań procesowych. Gdyby informacje Janusza Kaczmarska o nielegalnych podsłuchach były prawdziwe, to musiałaby istnieć cała armia urzędników wykonujących i analizujących te działania, a przede wszystkim byłyby gdzieś odpowiednie dokumenty oraz instrukcje od przełożonych w tej sprawie. Dzisiaj nikt na własną rękę nie narazi się na więzienie. Czasy Służby Bezpieczeństwa jako bezwolnego narzędzia w rękach władzy minęły bezpowrotnie. Dlatego trzeba mieć wyjątkowo złą wolę, aby dawać temu wszystkiemu wiarę.

Jeżeli 7 września 2007 r. nie dojdzie do skrócenia kadencji Sejmu, będzie to całkowita kompromitacja tych, którzy od kilku miesięcy domagali się wcześniejszych wyborów. Służyły temu wszystkie wystąpienia zarówno PO, jak i SLD, domagające się odwołania rządu Jarosława Kaczyńskiego. Jeśli Platforma wycofa swój wniosek, albo nie zagłasuje za rozwiązaniem Sejmu, będzie to oznaczać, że wspólnie z SLD, Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin przejmie rządy. Taki scenariusz chyba nie wchodzi w grę, dlatego – jak sądzę – głosowanie za skróceniem kadencji Sejmu jest po prostu zwykłą przyzwoitością. Nie dajmy się zwieść, że we wnioskach o komisję śledczą chodzi o wyjaśnienie śmierci Barbary Blidy albo o nieprawidłowości i podśłuchy, o których bajdurzy były minister Janusz Kaczmarek. Jemu chodzi wyłącznie o to, żeby doprowadzić do zamieszania w polityce, a w konsekwencji do zniszczenia Prawa i Sprawiedliwości. Tak nieuczciwie nie postępili jeszcze żaden minister z dotychczasowych rządów w Polsce. Nie dziwię się, że w związku ze swoimi zeznaniami obciążającymi rząd Kaczmarek został, na wniosek prokuratury, zatrzymany przez ABW, a wraz z nim były komendant policji Kornatowski. Skoro prokuratura prowadzi śledztwo w sprawie przecieku z akcji CBA w Ministerstwie Rolnictwa – a nie było tajemnicą, że w sferze podejrzeń znajdowali się obydwaj urzędnicy – zapewne prokuratura uzyskała komplet dokumentów dających podstawy do podjęcia obecnych działań.

Po zatrzymaniu wspomnianych osób opozycja zaczęła szaleć, twierdzić, że już dokonano zamachu stanu, że zarzuty wobec podejrzanych są bezpodstawne, że prokuratura zajmuje się polityką... Dlatego – zmierzając do wniosków – odnoszę wrażenie, że opozycja broni przestępców i osoby podejrzane o popełnienie poważnych przestępstw. Niech prokuratura jak najszybciej rozstrzygnie kwestię, czy Kaczmarek ostrzegł Leppera w sprawie afery gruntowej oraz tzw. seksafery. A także, czy Kaczmarek jest powiązany z rozwiązanymi służbami specjalnymi albo obcym wywiadem. Nie ulega wątpliwości, że dzisiaj wielu polityków PO oraz Lewicy chciałoby, aby CBA przestało działać, aby minister Ziobro odszedł, aby skończyła się zdecydowana walka z korupcją, z tą największą patologią, która powodowała gigantyczne straty dla naszego społeczeństwa – straty materialne, społeczne i międzynarodowe.

Tak, międzynarodowe, ponieważ będąc ostatnio za granicą, ze zdumieniem czytałem ataki tamtejszych polityków na Kaczyńskich, na Polskę. Ich głosy są wyjątkowo zbieżne z głosami polskich polityków z Platformy Oby-

watelskiej, z SLD, z LiD, a także z LPR i Samoobrony. To wszystko zmierzają do tego, aby osłabić Polskę, abyśmy nie sprzeciwiali się budowie rosyjskiego gazociągu na dnie Bałtyku czy zgodzili się z roszczeniami tzw. niemieckich wypędzonych wobec nieruchomości pozostawionych w Polsce albo wobec zbiorów sztuki z byłych niemieckich muzeów. Można zrozumieć, że dla naszych sąsiadów nie liczy się polska racja stanu, że zaczęli lękać się mocnej Polski budowanej przez PiS, jednak nie da się zrozumieć polityków PO dążących do powtórki z nocnej zmiany.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 36/2007)

Wielka mistyfikacja

Wynik wyborów parlamentarnych, a dokładniej mówiąc – przegraną Prawa i Sprawiedliwości, przyjmuję z pokorą, nie tego się spodziewałem. Generalnie wybory dobitnie udowodniły, że w Polsce największy spór polityczny toczy się między dwoma obozami: okrągłego stołu, czyli III Rzeczypospolitej, oraz drugim – który chce zerwać z tym układem, czyli obozem nazwanym umownie IV Rzeczpospolitą. Ten pierwszy obóz od dwóch lat za wszelką cenę chciał wrócić do władzy, aby ocalić to wszystko, co udało się zyskać na przemianach w Polsce po 1989 r. Prawdą jest, że to ludzie obozu okrągłostołowego uwłaszczyli się na państwowym majątku i mają dzisiaj najwięcej do powiedzenia w kraju i za granicą. To ten obóz ochraniały dotąd służby specjalne, służyły mu media, na usługach byli urzędnicy różnych szczebli. Od dwóch lat ten układ władzy zaczął kruszeć, ponieważ obóz umownie nazwany IV Rzeczpospolitą zaczął przywracać normalne funkcjonowanie państwa, dzieląc się solidarnie wzrostem gospodarczym, walcząc z korupcją, starając się – na razie z niewielkim skutkiem – rozliczyć z postkomunizmem.

Wybory to festiwal obietnic – ktoś powie, źle się więc stało, że rząd PiS w kampanii wyborczej nie zapowiedział żadnego programowego przełomu, nie obiecywał pomysłów wyciąganych z kapelusza. Może popełnił błąd, uczciwie informując, że będzie twardo kontynuował walkę z korupcją! A może za słabo odpierano zarzut PO, że w ciągu minionych dwóch lat PiS wybudował tylko 500 metrów autostrad! Faktycznie, nikt nie wytłumaczył wyborcom, że cykl inwestycyjny przy budowie autostrady trwa 7 lat, dlatego PiS zbierał owoce zaniechania powstałe za rządów Leszka Mil-

lera. Dlaczego jednak nie nagłośniono, że to rząd PiS uporządkował ustawowo tę sferę i dopiero teraz ruszy program budowy dróg i autostrad, na który zostanie przeznaczone 18 miliardów euro ze środków unijnych, a drugie tyle dopłaci rząd ze środków publicznych, w sumie w latach 2008–2012 na drogi przeznaczy się 121 miliardów zł z różnych źródeł. Jaka to gratka dla skorumpowanych urzędników!

Choć kampania wyborcza jest zawsze festiwalem obietnic, to liberalna PO wyraźnie przedobrzyła, głosząc hasło: „By żyło się lepiej. Wszystkim”, obiecując wyższe pensje dla lekarzy, pielęgniarek, policjantów, nauczycieli... A co robi premier Donald Tusk, kiedy przekona się, że w budżecie po prostu nie ma na to pieniędzy? Głównie jednak oszukano młodych Polaków, obiecując, że w ciągu kilku lat da się zbudować u nas drugą Irlandię. To niewielkie państwo jest prawie trzy razy bogatsze od Polski, po Luksemburgu najbogatsze w Europie, dlatego obiecywanie, że szybko zrównamy się poziomem życia z tymi państwami, jest niczym innym jak robieniem młodym ludziom wody z mózgu. To najzwyczajniejsza szarlataneria. Trzeba jasno stwierdzić, że dzięki zręcznej wielkiej mistyfikacji mit drugiej Irlandii wygrał z ideą IV Rzeczypospolitej.

Co najbardziej pomogło zwyciężyć Platformie Obywatelskiej? Po pierwsze: zmasowany atak w mediach na PiS, trwający nieprzerwanie dwa lata. Ten atak mediów można było zauważyć nawet podczas ciszy wyborczej – na pasku w TVinfo „leciała” informacja: „Idź na wybory. Zmień Polskę”. Każdy mógł się domyślić, że zmienić Polskę oznacza nawoływanie do zmiany rządu. Nie czarujmy się, to rzekomo przejęte przez PiS media wytworzyły wrażenie, jakby u nas zapanował jakiś terror, powszechne podsłuchiwanie, zamykanie do więzień, walka z demokracją, antyeuropejskość...

Po wtóre: do przegranych wyborów przyczynili się byli koalicjanci, czyli Samoobrona i LPR, którzy dołączyli do frontu: wszyscy przeciw PiS. Samoobronie się nie dziwię, bo to partia lewicowa, ale to, co wyprawiał Roman Giertych, było także dla Polski niezwykle szkodliwe. Dobrze, że zszedł ze sceny politycznej.

I po trzecie: zaskoczyła wysoka frekwencja wyborcza, zwłaszcza w dużych miastach (w Warszawie w kilku obwodach głosowało blisko 100 proc. uprawnionych, czyli niemal jak w PRL). Wniosek: do urn poszło wielu wyborców niewyrobionych politycznie, podatnych na demagogię PO. Jestem pewien, że niebawem rozczarują się Platformą, szybko też – gdy dojdzie do zderzenia obietnic z twardą rzeczywistością – zakończy się euforia

w samej PO. Nawet jeśli Polacy zasługują na cud – jak obiecywał Tusk – bez mądrości politycznej, bez wytężonej pracy żadnego cudu nie będzie.

Co nas zatem czeka pod rządami Platformy? Można przewidzieć, że na pewno nastąpi większe podporządkowanie Polski instytucjom Unii Europejskiej oraz kłanianie się Moskwie i Berlinowi. Dowodzi tego radość przywódców w tych stolicach ze zmiany rządów w Polsce.

Jaką mamy sytuację polityczną? W pewnym stopniu jest ona dużo jaśniejsza. Więcej dzisiaj wiemy o naszej rzeczywistości, o realnym podziale, jaki zaistniał. Polska scena polityczna wyraźnie podzieliła się na dwie formacje: liberalno-demokratyczną oraz niepodległościowo-chrześcijańską. Dzięki tym wyborom udało się spolaryzować społeczeństwo na zwolenników III RP oraz IV RP. Oby ten podział wykluczył w przyszłości całkowicie lewicę postkomunistyczną. PiS ma czas, aby zbudować silną partię centrową, ma 166 posłów w Sejmie oraz 39 senatorów. Wokół PiS powinna powstać wielonurtowa partia prawicowa, otwarta na wszystkich działaczy niepodległościowych, konserwatywnych, narodowo-chrześcijańskich, tych, którzy znaleźli się poza parlamentem.

Przegrana PiS w wyborach osobiście przyjmuję z pokorą, tym bardziej więc jestem winien wdzięczność moim wyborcom: dziękuję wszystkim, którzy włączyli się w moją kampanię. Dziękuję tym, którzy wsparli mnie modlitwą. Dziękuję wszystkim, którzy oddali na mnie głos, którzy mi zaufali. Postaram się nie zawieść w Senacie Waszych oczekiwań.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 44/2007)

Bez Boga demokracja nie przetrwa

Wybrany 21 października 2007 r. parlament, 5 listopada rozpoczął pracę. Najpierw Sejm o godz. 15.00, a następnie Senat o godz. 18.00 zainaugurowały swoje kadencje: Sejm szóstą, a Senat siódmą. W Sejmie na początek przemówił Jarosław Kaczyński: złożył dymisję swego gabinetu, a jednocześnie przedstawił raport z sytuacji państwa. Od razu dodam, że żaden rząd na świecie nie przegrał wyborów w sytuacji tak dobrej koniunktury w państwie: blisko 6-procentowy wzrost gospodarczy (przeszło 13 proc. wzrostu PKB), 1 mln 250 tys. nowych miejsc pracy (spadek bezrobocia z 19 do 11 proc.), 18-procentowy wzrost płac (w tym płacy minimalnej, mimo protestu pracodawców), 3. miejsce w Europie pod względem inwestycji,

bardzo dobra sytuacja finansowa (zamiast deficytu, po raz pierwszy pojawiła się nadwyżka budżetowa po pół roku), przestępczość spadła o kilkanaście procent, a bezpieczeństwo wzrosło o kilkanaście procent (zdecydowanie poprawiły się wskaźniki optymizmu społecznego), udało się uporządkować politykę zagraniczną (odrzucono nieroztropną i szkodliwą politykę kłaniania się w Berlinie, Brukseli i Moskwie), zapewniono krajowi bezpieczeństwo energetyczne (będzie nowa nitka rurociągu z Morza Kaspijskiego oraz podpisano umowy o dostawach gazu z Norwegii i Danii), prowadzono odważną walkę z korupcją...

Jednym słowem, rząd upadł, PiS przegrał wybory, mimo że były to dwa najlepsze lata Polski od wielu dziesięcioleci. Ktoś powie, że wyroki wyborców w demokracji są święte, niemniej jednak trzeba będzie poważnie zastanowić się, czy te wybory wygrała demokracja czy też środki przekazu!

W Senacie obrady otworzył prezydent Lech Kaczyński. Przemówił znakomicie na temat utrzymania drugiej izby polskiego parlamentu w jej dotychczasowym kształcie – przeczuwając, że PO zechce zlikwidować Senat. Takie zapowiedzi składano w poprzedniej kadencji. Jak zaznaczył Prezydent, zawsze gdy istniała wolna Rzeczpospolita, istniał też Senat. To wystarczający powód, aby został on zachowany w składzie, który można już dziś uznać za tradycyjny. Kto chce wolnej Polski, powinien bronić istnienia Senatu – mówił prezydent Kaczyński.

Marszałek senior Ryszard Bender podczas tego inauguracyjnego posiedzenia Senatu poszedł jeszcze dalej, podkreślając w przemówieniu, że izba wyższa w porównaniu z Sejmem ma szczególnie mandat społeczny, ponieważ wybrani senatorowie otrzymują po 100–200 tys. głosów wyborców. „To dzięki takiemu poparciu możemy uwolnić się od nadmiaru rozpolitykowania i dbać o to, aby prawa stanowione przez Sejm były zgodne z rozsądkiem, interesem narodowym i interesem Polaków” – powiedział marszałek senior Ryszard Bender. I odnosząc się do demokratycznych wyborów, dodał, że „bez Boga demokracja nie może przetrwać”.

Pierwsze posiedzenia obydwu izb nie obyły się bez pierwszych sporów. Najpierw posłowie po ostrych sprzeczkach wybrali na marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego z PO, a na wicemarszałków – po jeszcze bardziej burzliwej dyskusji: Stefana Niesiołowskiego (PO), Krzysztofa Putrę (PiS), Jarosława Kalinowskiego (PSL) i Jerzego Szmajdzińskiego (LiD). Od razu też trafił do łaski marszałkowskiej wniosek LiD o powołanie komisji śledczej w sprawie śmierci Barbary Blidy.

Spór między PO a PiS przeniósł się także do Senatu. Mianowicie, po wyborze głosami PO marszałka Bogdana Borusewicz, Platforma dwukrotnie sprzeciwiła się wyborowi Zbigniewa Romaszewskiego, senatora wszystkich dotychczasowych siedmiu kadencji, na stanowisko wicemarszałka. Kandydatury Krystyny Bochenek i Marka Ziółkowskiego (oboje PO) uzyskały poparcie również senatorów PiS. Romaszewskiego nie poparł prawie nikt z PO. Kiedy podano wyniki, na sali rozległy się okrzyki: Hańba, hańba! Senatorowie PiS ostantacyjnie podchodzili do Romaszewskiego i składali mu gratulacje.

Jak wielu sądzi, jego kandydaturze – oprócz odgórznej decyzji PO – kategorycznie sprzeciwił się marszałek Borusewicz, uważając, że Romaszewski przerasta go doświadczeniem. Zapewne też marszałek zapamiętał sytuację sprzed kilku miesięcy, kiedy wybierano w Senacie do kolegium IPN przywódcę „Solidarności” Andrzeja Gwiazdę. Ten zasugerował wówczas, że Borusewicz mógł współpracować ze służbami PRL. Romaszewski nie tylko nie wystąpił wówczas w obronie Borusewicza, ale nawet swoimi komentarzami popierał Gwiazdę.

Platforma obiecywała, że nie będzie odwetu, niestety, obyczaje tych polityków kształtuje na co dzień triumfujący obecnie wicemarszałek Niesiołowski, najbardziej agresywny wobec PiS, rozdający ciosy na lewo i prawo. Ostatnio nazwał senatora Bendera oraz mnie „sługusami Rydzyka”. Obawiam się, że teraz po zwycięstwie PO już nikt nie powstrzyma zalewu politycznego chamstwa i, niestety, moralnego barbarzyństwa, jakie atakuje Polskę z Zachodu (liberalizm w imię demokracji oznacza pełną swobodę deptania Bożego prawa w życiu jednostkowym i społecznym, w polityce i gospodarce, w kulturze i nauce).

Posłowie i senatorowie, politycy stanowiący prawo, powinni być ludźmi sumienia. Większość posłów (400) i niemal wszyscy senatorowie (97), składając ślubowanie, uzupełnili je słowami „Tak mi dopomóż Bóg”. Zachowajmy więc szczyptę optymizmu i nadziei, że będą kierowali się sumieniem, dążyli do pełnego odrodzenia się Polski suwerennej, wiernej swojej tradycji i swojej tożsamości, Polski złączonej z Ewangelią i Kościołem.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 46/2007)

Nie zapomnieć o Polsce

Wcale mnie nie cieszą wiadomości, że w najbliższym czasie należy się spodziewać obnażenia fałszów i populistycznych haseł z kampanii wyborczej Platformy Obywatelskiej. Nie cieszy mnie fakt, że miliony Polaków dały się nabrać na perfekcyjnie prowadzoną politykę sondażową, skupioną na atakowaniu PiS i zręcznym doborze hasełek „pod publikę”. Cóż, tak na dobrą sprawę jedynym przesłaniem ideowym kampanii PO było hasło, że będziemy dumni z Polski (w domyśle: jak wygra PO). Dlaczego jednak dopiero teraz mamy być dumni? Sądzę, że ktoś, kto dotąd nie czerpał tej dumy z tysiąca lat naszej tradycji, na pewno nie poczuje dumy w przyszłości. Już krąży złośliwy dowcip z ostatnich tygodni: „Polacy, którzy w czasie rządów PiS wyjechali za granicę, posłuchali apelu Donalda Tuska i wracają do kraju. Pierwsi trzej to: Ryszard Krauze, Henryk Stokłosa i Edward Mazur”.

Zapewne jestem złośliwy, ale każdy ma prawo do oceny i krytyki pierwszych działań nowego premiera. Jak na razie – poza wyborem dość przypadkowych osób na ministrów, co świadczy o braku programu na Polskę – nie znamy innych decyzji Donalda Tuska. Poznaliśmy natomiast kilka jego bardzo kontrowersyjnych wypowiedzi. Premier Donald Tusk w wywiadzie dla „Dziennika” zapowiedział m.in. zniesienie abonamentu radiowo-telewizyjnego, w konsekwencji przekazanie TVP regionalnym telewizjom związanym z samorządami. Te pewnie natychmiast będą chciały pozyskać inwestorów zagranicznych, aby móc konkurować z nadawcami prywatnymi. Jak czkawką odbija się stara śpiewka liberałów: co państwowe, należy najpierw zniszczyć, a potem za grosze sprzedać. Przodował w tym kiedyś były premier Jan Krzysztof Bielecki, obecnie powołany na doradcę nowego premiera.

Zaczynam rozumieć, dlaczego w Senacie podjęto próbę wyłączenia z Komisji Kultury szerokiej dziedziny środków przekazu, a także etyki mediów i przeniesienia ich do Komisji Samorządu Terytorialnego i Administracji. Podczas ostrej debaty w Senacie udało się utrzymać Komisję Kultury i Środków Przekazu, jak sądzę jednak, podobnych rozwiązań – korzystnych dla partii rządzącej – będzie więcej. Prawdą jest, co ktoś powiedział, że media przez minione dwa lata były antyrządowe. Teraz z pewnością się zmienią i będą antyopozycyjne. Smutna to konstatacja, ale prawdziwa. Środki przekazu wygrały ostatnie wybory, pokazały, że są nie tylko czwartą władzą, ale nawet „nadwładzą” lub pierwszą władzą.

Co to znaczy, że media są władzą – nieważne w tym momencie którą? Generalnie chodzi o to, że na świecie powstają ogromne koncerny medialne, których zadaniem stało się podporządkowywanie sobie opinii publicznej, kształtowanie tej opinii, wpływanie na to, o czym ludzie myślą i jak myślą. Owe koncerny, czy mówiąc wprost: ta monopolizacja mediów jest wielkim zagrożeniem dla państw narodowych, dla ich historii i tożsamości, a także dla demokracji, również dla wolności słowa. Jest także zagrożeniem dla ludzkiej moralności – choć to odrębne zagadnienie.

Przypomnę, że ok. 85 proc. prasy w Polsce jest w rękach kilku koncernów zagranicznych, które w zasadzie nie podlegają żadnej kontroli społecznej. Wniosek: suwerenność medialna Polski jest zupełnie stracona. W tak zmonopolizowanych mediach niewiele wart są kodeksy moralne dziennikarstwa, apele, rezolucje. Dziennikarze są w tych koncernach wyrobnikami słowa, piszą tylko o tym, na co pozwalają medialni decydenci. Dlatego to nie sami dziennikarze są czwartą władzą, lecz ich medialni mocodawcy, a nawet nie oni, ale jakieś anonimowe, zagraniczne centra. Stąd gołym okiem widać u nas ideologizację środków przekazu, co oznacza, że działające na polskim rynku prasowym koncerny zagraniczne promują obce nam wzory kulturowe, a bieżące informacje naświetlają przez pryzmat własnych interesów.

Niestety, nie wszyscy zdają sobie sprawę z potęgi mediów, z manipulacji w mediach. Dzisiaj nie można bezkrytycznie powoływać się na obraz telewizyjny i mówić: w telewizji pokazali, więc musi to być prawda. Środki techniczne są już tak doskonałe, że praktycznie można animować każdy obraz. Manipulacją jest również podporządkowanie wszystkiego w mediach prawom newsu, sensacji, co prowadzi do nadmiernego eksponowania tragicznych wydarzeń, zła, przemocy, obrazów zabijania, gwałtu, erotycznych perwersji. Jednym słowem – musi zawsze znaleźć się miejsce na odpowiedzialny komentarz, na przestrożę.

Dziś do środków przekazu należy również internet. Jego błyskawiczny rozwój oraz dostępność zaskoczyły świat. Z jednej strony – niezaprzeczalne korzyści, ogromne możliwości i udogodnienia w codziennym życiu; z drugiej – nie do końca rozpoznane zagrożenia dla jego użytkowników, związane przede wszystkim z obecnością szkodliwych treści (np. pornograficznych, rasistowskich, szerzących nienawiść czy fanatyzm). Jest to stosunkowo nowe zjawisko, zupełnie nieuregulowane ustawowo, tymczasem gwałtownie rośnie liczba osób, w tym dzieci i młodzieży, uzależnionych

od internetu, a to zakłóca ich rozwój psychospołeczny i często prowadzi do tragedii osobistych i rodzinnych. Czyż nie należałoby powołać jak najszybciej stałego zespołu do spraw zagrożeń internetowych?

W minionej kadencji parlamentu wiele mówiło się o tym, aby media publiczne przywrócić społeczeństwu, to znaczy, aby realizowały misję: kulturową, narodową, wychowawczą, patriotyczną... Dużo udało się zrobić. Oby w tej kadencji nie było tak, że zamiast misji widzi się tylko „pełną miskę”, czyli myśli o pieniądzach, zarabianiu, konkurowaniu, zapominając o Polsce.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 47/2007)

Działania odwetowe i wartości

Sądziłem, że Platforma Obywatelska niespodziewanie wygrywając niemal wszystko, wystrzegać się będzie działań odwetowych, nie będzie dążyć do wprowadzenia „dyktatury parlamentarnej”. Ale tak tylko myślałem. Natychmiastowe i skandaliczne odwołanie Antoniego Macierewicza, wiceministra MON-u, koordynującego wojskowe służby specjalne w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, nie pozostawia złudzeń. Ten, który oczyścił WSI z agentów i osób niegodnych, teraz sam stanie przed speckomisją, aby wyjaśnić swoje działania – tak zapowiedział szef klubu PO Zbigniew Chlebowski.

Również w ciągu najbliższego czasu zostanie odwołany ze stanowiska niewygodny szef CBA Mariusz Kamiński – co zapowiedział sam premier Donald Tusk zaraz po zaprzysiężeniu rządu (ustawa mówi, że szef służby specjalnej odwoływany jest tylko w specjalnych okolicznościach i nie może być to odwołanie w wyniku działań politycznych).

Do kolejnych aktów odwetu PO wobec PiS należy zaliczyć oddanie szefostwa sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą Markowi Borowskiemu z LiD jest aktem wymierzonym w PiS oraz Polonię (wcześniej kierowanie tą komisją przyobiecano PiS). Dodam, że tak sejmowa, jak i senacka Komisja Łączności z Polakami za Granicą były oczkiem w głowie PiS, a ich działania przekładały się na wysokie poparcie dla tej partii wśród Polonii Amerykańskiej. Oddanie kierowania tą komisją M. Borowskiemu jest zapłatą PO dla postkomunistów, którzy w większości dotychczasowych głosowań w Sejmie jednoznacznie popierali PO.

Podobnych działań odwetowych ze strony PO można by wymienić więcej, trzeba jednak mieć nadzieję, że zemsta nie weźmie góry nad rozsądkiem i niezbędnym instynktem państwowym, że nie będą mianowani na wysokie stanowiska ludzie związani z SB, że nie zostanie zlikwidowane stanowisko koordynatora służb specjalnych (skoro PO twierdzi, że chce konsolidacji służb specjalnych, nie powinno zlikwidować stanowiska koordynatora). Na całym świecie mówi się o konieczności współpracy wszystkich rodzajów służb specjalnych, a u nas zamierza się je podporządkować różnym ministerstwom (Agencję Wywiadu – Ministerstwu Spraw Zagranicznych, CBA – Ministerstwu Finansów, wojskowe służby – Ministerstwu Obrony Narodowej oraz ABW – Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Administracji). Odpowiedzialnym za wszystko ma być premier, on również będzie odpowiadał za bezpieczeństwo państwa. Jaka jednak ma być strategia bezpieczeństwa – nie wiadomo. Tymczasem na bezpieczeństwo państwa składa się również informacja wszystkich służb skupiona w ręku ich koordynatora. Jednym słowem, wracamy do sytuacji III RP, kiedy to służby rządziły niektórymi ministerstwami i ministrami, decydowały o interesie państwa. Jak na tym wyszliśmy, świadczy upadłość, a następnie wyprzedaż za grosze majątku narodowego, banków, hut, stoczni, zakładów zbrojeniowych... To zadaniem służb była ochrona tego majątku!

Podczas ceremonii zaprzysiężenia rządu w Pałacu Prezydenckim, 16 listopada, na słowa życzeń prezydenta Lecha Kaczyńskiego, aby nowa ekipa odniosła sukces większy od ustępującej, Donald Tusk odpowiedział z nutą buty, że 21 października „bardzo wielu Polaków, więcej niż ktokolwiek się spodziewał przed dniem wyborów, poszło oddać swój głos z wiarą, że w Polsce możliwa jest dobra zmiana, że w Polsce możliwy jest dobry przełom”. I dodał, że ci, którzy podczas wyborów „wskazali wygranych”, opowiedzieli się za polską polityką „ufundowaną na tradycyjnych wartościach”.

W dalszych słowach, moim zdaniem, nowy premier całkowicie się wyłożył, ponieważ za tradycyjne wartości, za fundamenty, uznał „zaufanie, wzajemny szacunek, przekonanie, że władza ma służyć ludziom, a nie panować nad ludźmi”. Cóż, fundamentalne wartości to nie sama atmosfera między rządzącymi a rządzonymi, to nie sama gotowość do dialogu, otwartość. Dla mnie polityka „ufundowana” jest na takich wartościach, jak Dekalog, prawda, wierność narodowym tradycjom, miłość ojczyzny, troska o najuboższych!

Warto jednak zauważyć, że nowy premier nie mówi już o czekającej Polaków cudownej odmianie swego życia – co zapowiadał w obietnicach wyborczych. Tymczasem pracownicy sfery budżetowej nie zapomną obiecanych radykalnych podwyżek, emeryci i renciści czekają na korzystną zmianę naliczania wysokości świadczeń, rodziny – na dalsze wsparcie, ponadto ma być więcej dróg ekspresowych, autostrad i obwodnic, mieszkań, zagwarantowany bezpłatny dostęp do opieki medycznej, do nauki, a także powinno się szybko wycofać polskie wojska z Iraku. Również będąc w koalicji PSL obiecywało rolnikom wyższy poziom dochodów, czyli walkę z ubóstwem polskiej wsi i związanym z nim gorszym niż w mieście poziomem wykształcenia mieszkańców; wzrost pozarolniczych miejsc pracy na obszarach wiejskich, czyli powiązanie producentów z przetwórczym przemysłem rolno-spożywczym, wspieranie gospodarstw rodzinnych...

Czekamy również na powrót Polaków z emigracji zarobkowej, bo „praca w Polsce zacznie się opłacać, będą nas leczyć dobrze zarabiający lekarze i pielęgniarki, a dobrze zarabiający nauczyciele będą uczyć nasze dzieci. Dobrze opłacani policjanci będą lepiej dbać o nasze bezpieczeństwo” – to dokładny cytat z przemówienia D. Tuska. Cóż, jeśli te zapowiedzi wyborcze wygłosił ktoś, dla kogo fundamentalną wartością jest dobra atmosfera i dialog społeczny, to trzeba te obietnice włożyć między bajki. Już wkrótce nie wystarczą działania odwetowe wobec PiS, rozliczanie byłych rządzących, powoływanie sejmowych komisji śledczych... „Igrzyska dla ludu” zawsze kiedyś się kończą i przychodzi czas rozliczeń. Jeśli nie będzie zapowiedzianego cudu, nie uda się przenieść nowemu premierowi do Pałacu Prezydenckiego w 2011 r.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 48/2007)

Przechwycić wszystkie media

Rozpoczęło się polowanie Platformy Obywatelskiej na publiczne media, na trzy kanały telewizyjne oraz ogólnopolskie radio i rozgłośnie regionalne. Jak dotąd, pozostają jeszcze w rękach osób mianowanych przez dawną koalicję, ale to już ich łąbędzy śpiew. Najpierw PO rzuciła hasło odstąpienia od abonamentu, wiedząc, że to pogrążyłoby publiczne media w długach, a następnie zostałyby sprzedane za przysłówiową złotówkę. Po-

nieważ rozległy się zewsząd głosy protestu, postanowiono przygotować odpowiedni grunt pod przyszłe rozwiązanie. Na początek trzeba udowodnić, że w publicznym radiu i telewizji źle się dzieje. W tym celu zwołano posiedzenie sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu, podczas którego próbowano podważyć wiarygodność spółki „Telewizja Polska”. W sposób bezprecedensowy zaatakowano prezesa telewizji Andrzeja Urbańskiego i prezesa Polskiego Radia Krzysztofa Czabańskiego za rzekome nadużycia oraz wysługiwanie się PiS (tu należy wyjaśnić, że gazeta „Dziennik”, opierając się na relacji zwolnionego z „Wiadomości” reportera Łukasza Ślápka, podała, że wiceszefowa Agencji Informacji Patrycja Kotecka miała wywierać naciski na reporterów, by przygotowywali materiały kompromitujące PO. Według Ślápka, nieprzyjęcie oferty Koteckiej było powodem zwolnienia go z „Wiadomości”; Kotecka zaprzecza i skierowała sprawę do sądu zarówno przeciwko Ślápkiemu, jak i redakcji „Dziennika”).

Jako szeregowy oglądacz telewizji również zaprzeczam, żeby służyła PiS!

Oczywiście, na posiedzeniu wspomnianej komisji przewodnicząca z PO razem z wiceprzewodniczącym z LiD starali się na wszelkie sposoby udowodnić tezę, że telewizja publiczna sprzyja PiS, niestety, zabrakło im na to dowodów. Mimo to minister skarbu Aleksander Grad nie będzie czekał na rozstrzygnięcia sądu i zamierza wszcząć kontrolę w TVP, co jest już prostym krokiem do przechwycenia przez PO mediów publicznych. Jednym słowem – obecne działania dezinformacyjne mają przygotować opinię publiczną do zmiany władzy na Woronicza. Naiwny ten, kto spodziewałby się innego obrotu sprawy po zwycięstwie PO.

Już pisałem na tych łamach, że w minionych dwóch latach media były antyrządowe, dlatego i obecnie muszą pozostać anty, oczywiście antyopozycyjne. I jak zawsze – antykościelne. Najlepszym przykładem na to jest prymitywne zachowanie się dziennikarki TVN – Alicji Pawełek, która udając osobę o skłonnościach lesbijskich, nagrała ukrytą kamerą rozmowę z terapeutką z katolickiego ośrodka, po czym wyemitowała ją w telewizji w programie „Superwizjer”. Rozmowa z terapeutką ukazała się 12 listopada 2007 r. w reportażu „Księża i geje”. Materiał krytykował terapię, której celem jest leczenie z homoseksualizmu. Terapię taką prowadzi od 2001 r. lubelski ośrodek „Odwaga”, do którego zgłosiła się wspomniana reporterka. Program ten w ostrych słowach skrytykował abp Józef Życiński; także Magdalena Bajer, szefowa Rady Etyki Mediów, uznała, że zachowanie dziennikar-

ki było haniebne, a stosowanie prowokacji w tym przypadku było nieuzasadnione.

Podobnego głosu krytyki dziennikarzy TVN nie doczekał się, niestety, o. Tadeusz Rydzyk, dyrektor Radia Maryja, którego dziennikarka tejże telewizji Anna Machowska podczas lotu do Ameryki Południowej na spotkanie z Polonią publicznie próbowała poniżyć, zdyskredytować, kłamiąc z rozmysłem, zarzucając mu, że leci do Urugwaju spotkać się z osobą oskarżoną o denucjację Żydów, kolaborację z Niemcami, o szmalcownictwo (dziennikarka na pewno wiedziała, iż dochodzenie IPN wobec Jana Kobyłańskiego wykazało, że brak najmniejszych podstaw do stawiania mu takich zarzutów). Mimo to 1 grudnia br. w programie „Uwaga” w TVN wyemitowano kłamliwy materiał, w którym nadal próbowano wmówić widzom „rewelacje” sprzed lat „Gazety Wyborczej” i właśnie TVN, mające na celu poniżenie prezesa USOPAŁ Jana Kobyłańskiego.

Niestety, każdego roku przed zbliżającą się rocznicą powstania Radia Maryja pojawia się nagonka na Ojca Dyrektora, ukazując się jakiś pseudo-sensacyjny materiał zrobiony na zamówienie, aby zniesławić o. Rydzyka. I co ciekawe, poza kręgiem przyjaciół Radia, nikt „ważny” nie broni Ojca Dyrektora, choć na pewno większość odbiorców dostrzega w jakimś wyemitowanym programie czy opublikowanym artykule liczne kłamstwa. Tak myślę, że nawet jeśli ktoś nie przepada za o. Rydzykiem, nie zgadza się z jego poglądami, to powinien na takie postępowanie dziennikarzy oraz programy zareagować, oburzyć się. Przynajmniej powinna to uczynić Rada Etyki Mediów. Sam nie wiem, jakbym postąpił, gdyby ktoś za mną chodził, napastował mnie, prowokował kłamliwymi zaczepkami, filmował ukrytą kamerą... Dlatego chwala Ojcu Dyrektorowi, że nie dał się sprowokować, a jedynie wezwał na pomoc obsługę samolotu.

I jeszcze jedna sprawa. Statystyczny Polak poświęca codziennie na oglądanie telewizji 130 minut, a w niedzielę – 4 godziny. Dla wielu jest to jedyne źródło informacji, dlatego uwierzmy, że telewizja może z nami uczynić, co zechce, tak przerobić naszą świadomość, że czarne uznamy za białe i odwrotnie. Kto ma telewizję, ten ma władzę, kto ma telewizję, ten może społeczeństwo rozwijać, wzmacniać, ale także pustoszyć i zakłamać. Platforma Obywatelska, chcąc przejąć media publiczne, wie, co robi.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 50/2007)

O tym, co było, z nadzieją na to, co będzie

Z pewnością 2007 rok był dobry dla Polski, mam na myśli wzrost gospodarczy najwyższy w ciągu ostatnich 19 lat, spadek bezrobocia, początek zwalczania korupcji oraz innych patologii, ujawnienie czarnych stron działalności Wojskowych Służb Informacyjnych... Zaraz jednak należy dodać, że nie był to dobry rok w polityce, ponieważ doszło do wielu dramatycznych wydarzeń: rozpadła się koalicja PiS–LPR–Samoobrona, to zaś doprowadziło do wcześniejszych wyborów, zwycięstwa Platformy Obywatelskiej i w konsekwencji do zmiany rządów. Na usprawiedliwienie przegranej PiS można przypomnieć szaleńczy atak mediów, które w zdecydowanej większości wspierały PO. Ponadto Platforma zmobilizowała dotychczas nieaktywny lub nowy młody elektorat, obiecując wszystko, co niemożliwe do spełnienia. PO pokazało, jak ważna jest nadzieja – że bez niej trudno jest żyć.

Mówi się, że PiS przegrał trochę na własne życzenie, ponieważ zaciskając zęby, można było koalicję utrzymać. Inni twierdzą, że przegrana PiS to kara Boża za brak zdecydowanego poparcia dla zmiany konstytucji w sprawie ochrony życia. Jeszcze inni dodają, że to również kara za przyuczynienie się do rezygnacji abp. Stanisława Wielgusa z objęcia rządów w archidiecezji warszawskiej. Przyczyn przegranej z pewnością jest wiele, niemniej jednak na pocieszenie pozostaje fakt, że rozpoczętej odnowy życia społeczno-gospodarczego nie da się już zatrzymać.

Należy też wtrącić uwagę, że mimo przegranej w wyborach, PiS uzyskał 5,2 mln głosów, czyli o ponad 2 mln więcej niż w 2005 r. Przełożyło się to na prawie dwustu parlamentarzystów, łącząc senatorów i posłów (byłoby ich więcej, gdyby nie odejście najpierw grupy posłów skupionych wokół Marka Jurka, po odrzuceniu przez Sejm w kwietniu poprawek do konstytucji zwiększających prawną ochronę życia od momentu poczęcia do naturalnej śmierci. Odeszło też, już obecnie, kilku posłów związanych z dawnym Przymierzem Prawicy). Generalny wniosek: przegrana PiS stanowi zarazem wielkie zobowiązanie wobec ogromnego elektoratu, który liczy na mądrość zachowania się partii Jarosława Kaczyńskiego w opozycji. Przede wszystkim powinno się zgłaszać własne ustawy i rozwiązania oraz popierać dobre propozycje PO. Liczyć się powinien interes narodowy, a nie sprawy partyjne. A tak po cichu uważam, że Polacy dość szybko zrozumieją, iż jedynie słuszną drogą dla Polski będzie powrót do idei IV Rzeczypospolitej.

Przekonują mnie o tym pierwsze działania rządu PO: kolesiostwo, dystansowanie się od problemów, zrzućanie winy na PiS, czarowanie w mediach. Uważam, że PO kompletnie nie jest zainteresowane sprawami narodowymi, myśleniem o przyszłych pokoleniach, o ułożeniu stosunków z Niemcami i Rosją na zasadzie wzajemności.

Unikanie problemów widać najlepiej na przykładzie trudności w służbie zdrowia. Zrzućanie winy na min. Zbigniewa Religę jest naiwnością, ponieważ to dzięki niemu w poprzedniej kadencji podjęto decyzję o najwyższych – jak dotąd – podwyżkach dla lekarzy i pielęgniarek, co więcej, wskazano na źródła wzrostu płac w kolejnych latach, a konkretnie – przygotowano ustawę o przekazywaniu 6 proc. PKB na ochronę zdrowia. Niestety, minister Ewa Kopacz tylko mówi o zmianach systemowych, a w domyśle chodzi jej o prywatyzację szpitali, a w konsekwencji o współpłacenie przez pacjentów za usługi medyczne. Należy jednak pamiętać, że w naszym kraju najczęściej usług medycznych pobierają młodzi ludzie z dziećmi i ludzie w podeszłym wieku – na ogół biedni, stąd przekonanie, że można od nich wyciągnąć dodatkowe pieniądze na leczenie, jest błędne. Zobaczmy, jak posłowie PO zachowują się podczas głosowania nad projektem PiS dotyczącym podniesienia składki zdrowotnej od 2009 r. o 1 proc. rocznie – do 13 proc. Pozyskane stąd pieniądze dałyby realną szansę na spełnienie oczekiwań lekarzy. Przy okazji chciałbym przypomnieć, że PiS ma swoje sukcesy w ochronie zdrowia: chodzi nie tylko o podwyżki dla lekarzy, ale o finansowanie ratownictwa medycznego z budżetu państwa, finansowanie leczenia ofiar wypadków z OC, podniesienie składki zdrowotnej od bezrobotnych i rolników, płaconej przez budżet państwa.

Wkrótce rząd PO stanie przed kolejnymi problemami, wobec których nie da się chować głowy w piasek. Jednym z nich stała się zapowiedź finansowania z budżetu państwa sztucznego zapłodnienia „*in vitro*” – co zostało mocno napiętnowane przez Kościół. Drugim problemem, znacznie szerszym i ważniejszym dla państwa, będzie ratyfikacja tzw. traktatu lizbońskiego. Wkrótce przekonamy się na własnej skórze, jak nieostre są unijne przepisy, a ich interpretacja będzie zależała od siły największych państw w UE (w polskiej konstytucji jest zapis zezwalający na przekazanie bez ograniczeń kompetencji władz krajowych organom organizacji międzynarodowej, w konsekwencji może dojść do tego, że to Europejski Trybunał Sprawiedliwości w Luksemburgu będzie decydował o treści naszego prawa). Jak sobie z tym zagrożeniem poradzi rząd Donalda Tuska? Sądząc,

że w tych sprawach rząd i opozycja powinny być najbardziej czujne, powinniśmy mieć kadrę doświadczonych prawników, którzy będą umieli posługiwać się zasadami i przepisami UE do obrony naszych interesów.

Jednym słowem, obecny rząd powinien skończyć jak najszybciej z rzekomym rozliczaniem błędów poprzedników, tworzeniem komisji śledczych, a zająć się rozwiązywaniem bieżących spraw. Sprzyjać temu może kilka ważnych rocznic, jakie przypadają w tym roku: 90 lat temu Polska odzyskała niepodległość po blisko 130 latach niewoli. 30 lat temu natomiast kard. Karol Wojtyła został wybrany na następcę św. Piotra, przybierając imię Jana Pawła II. Te dwa historyczne wydarzenia sprawiły, że żyjemy w zupełnie innych czasach, a w nowy rok – 2008 weszliśmy z nadzieją, że Polska będzie się rozwijać mimo tak wielu zmarnowanych szans.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 2/2008)

Szkodliwe mieszanie herbaty bez cukru

Co prawda, nie minęło jeszcze sto dni funkcjonowania nowego rządu, dlatego ferowanie opinii o jego działalności ktoś uzna za przedwczesne. Niemniej jednak z pobieżnego oglądu tego, co się dzieje, a także z analizy wypowiedzi premiera i jego ministrów widać jakąś totalną bezradność, a dokładniej mówiąc – kompletny brak przygotowania do pełnionej misji. Nawet przychylne dotąd media zaczyna już denerwować odwlekanie decyzji w wielu ważnych dziedzinach.

Na pierwszy plan wysuwa się, oczywiście, sprawa ochrony zdrowia, tu bowiem panuje największe zamieszanie, skrajny brak profesjonalizmu. A przecież nikt inny, tylko osobiście Donald Tusk na swoim spocie wyborczym obiecywał, że w Polsce w bardzo krótkim czasie będziemy mieli dobrze opłaconych lekarzy, a także dobrze opłaconych nauczycieli. No cóż, ci pierwsi dalej emigrują, a ci drudzy zapowiedzieli 18 stycznia demonstrację w Warszawie.

To prawda, że na dniach wpłyną do Sejmu projekty ustaw zdrowotnych, ale o dziwo – nie są firmowane przez rząd, ale mają być projektami poselskimi. Co dziwne, powstały bez konsultacji ze środowiskiem medycznym, a co gorsza, zawierają rozwiązania niepełne, bez wizji zmian systemowych, a głównie bez wyraźnego planu zwiększenia dochodów Narodowego Funduszu Zdrowia (przypomnę, że wszelkiego rodzaju roz-

wiązania bez zwiększenia dochodów NFZ to jest mieszanie herbaty bez cukru z nadzieją, że ona stanie się słodka). Bez dodatkowych pieniędzy reformy służby zdrowia przeprowadzić się nie da. Skoro zaś ma to być reforma bez pieniędzy, należy sądzić, że Platformie chodzi o coś innego: o prywatyzację szpitali przez upadłość. Jeśli moja prognoza się sprawdzi, biada ludziom chorym, zwłaszcza tym biednym. Konsekwencją będą opłaty za usługi medyczne, a wcześniej całkowity paraliż i chaos w służbie zdrowia. Zacierać ręce natomiast mogą ci wszyscy, którzy wiedzą, że na zdrowiu da się dużo zarobić. Interes jest wart ok. 100 miliardów złotych – na tyle wycenia się wartość szpitali, urzędzeń, a także intratnych działek, na których te obiekty stoją.

Ktoś powie: niech opozycja jak najszybciej składa wotum nieufności wobec minister Ewy Kopacz, niech premier ją odwoła. Sęk w tym, że pani minister odwołać tak łatwo nie można, koalicja ma wystarczającą liczbę głosów, aby odrzucić wotum nieufności, a poza tym jest to środek całkowicie skompromitowany w poprzedniej koalicji, nadużywany przez Platformę Obywatelską. Dlatego zobaczymy, jak zachowa się PO przy ustawie podpisanej przez wszystkich członków PiS o podniesieniu składki zdrowotnej o jeden procent do przyszłego roku. Taka ustawa jest już w Sejmie. Jak uważa Zbigniew Religa, to jest jedyna droga, która da rzeczywisty wpływ pieniędzy do ochrony zdrowia. Pieniądze, które są potrzebne na zdrowie, trzeba wziąć nie z kieszeni obywateli, tylko z podatków, które i tak płacą. Ponadto w tzw. Pakiecie Religi znajduje się także projekt zakładający przeznaczenie połowy środków zgromadzonych w Funduszu Pracy i Funduszu Gwarantowanych Ubezpieczeń Pracowniczych do Narodowego Funduszu Zdrowia. Ponadto PiS chce zmodyfikować ustawę o sieci szpitali, tak aby podzielić je na niezbędne, które pozostaną własnością publiczną, oraz te, które będą mogły zostać skomercjalizowane.

Z innych działań rządu warto zwrócić uwagę na sprawy międzynarodowe. Tu widać wyraźnie powrót do polityki białej flagi. Pomysł konsultowania z Rosją spraw tarczy antyrakietowej jest niczym innym jak powrotem do dawnego układu, którego konsekwencją będzie chęć wpływania Rosjan na polską politykę zagraniczną. Jak to ocenił Jarosław Kaczyński, „problem nie leży w rosyjskich negocjacjach ani nawet w embargu na polskie mięso. W relacjach polsko-rosyjskich chodzi w istocie o to, czy Rosja będzie traktowała Polskę jako suwerenne państwo i pełnoprawny kraj Unii Europejskiej. Ustępstwa Rosji przypominają stary dowcip o kozie, którą wprowadza

się na jakiś czas do małego mieszkania. A po kilku dniach się ją wyprowadza i krzyczy: Boże, ile tu miejsca!”.

Także w polityce z Niemcami nie doszło do żadnej poprawy klimatu, a jedynie uspokoiłszy Niemców naszą bardzo niejasną postawą wobec budowy niemieckiego Centrum przeciw Wypędzeniom. I tu znowu podobna sprawa jak z Rosją: Polska nie powinna uczestniczyć w jakimkolwiek projekcie upamiętniającym niemieckie wypędzenia, ponieważ byłoby to oficjalne uznanie Niemców za ofiary wojny. Tu nie może być żadnych kompromisów. Propozycja premiera Tuska o budowie takiego „centrum przeciw wojnie” w Gdańsku jest szkodliwym pomysłem dla Polski, niebezpiecznym dla zamazywania historii. Premier jako historyk z wykształcenia powinien wiedzieć, że myślenie historyczne nie jest jakąś polską obsesją, ale stanowi dla każdego państwa bardzo ważny element polityki wewnętrznej i zagranicznej. Skoro niemieccy politycy potrafią tak doskonale grać na uczuciach różnych ziomkostw, skoro Żydzi uważają, że II wojna światowa to tylko Holokaust, skoro Rosja nie uznaje Katynia za ludobójstwo, my musimy tym bardziej przypominać historyczne fakty, głosić niewygodną prawdę, bo tylko taką drogą można uzyskać szacunek i obronić godność.

I wracając do „mieszania herbaty”: konia z rzędem temu, kto wie, czego chce rząd PO. Nie ma już mowy o takich obietnicach, jak: reforma finansów, większościowa ordynacja, likwidacja Senatu, zmniejszenie liczby posłów w Sejmie, budowa „drugiej Irlandii”. Najwięcej czasu PO poświęca na administrowanie, czyli zmiany personalne, które nie są, oczywiście, „zawłaszczaniem państwa”, lecz jego „oczyszczaniem”. Widać to zwłaszcza w służbach specjalnych. Cudów nie będzie. Obyśmy zdrowi byli.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 3/2008)

Puste szuflady i nic do śmiechu

Miał być cud gospodarczy w pakiecie z miłością i zaufaniem. Po 100 dniach urzędowania parlamentu i rządu Donalda Tuska o cudach nawet nie słyhać, co gorsza, do tej pory Sejm uchwalił zaledwie 27 ustaw, co jest najgorszym wynikiem sześciu minionych kadencji parlamentu. Co więcej, autorstwo większości projektów tych ustaw należy przypisać Prawu i Sprawiedliwości. Rodzi się pytanie: Czy chodzi o kompletne nieróbstwo obecnej władzy, czy raczej – o nieprzygotowanie do rządzenia?

Raczej o to drugie, o czym świadczy ciągle rozliczanie PiS, mające odwrócić uwagę od nieradzenia sobie z problemami gospodarczymi i społecznymi. Przykłady pierwsze z brzegu. Najpierw tajny raport min. Julii Pitera miał rzucić na kolana szefa CBA i doprowadzić do jego odwołania. Okazało się, że pani minister ds. walki z korupcją oparła ów raport nie na dochodzeniu prokuratorskim, a jedynie insynuacjach prasowych. Kompromitacja.

Z kolei zaatakowano Lecha Kaczyńskiego, że jako prezydent Warszawy wydawał sporo pieniędzy służbowych na restauracje. Sprawdzono to, okazało się, że były to rachunki za obiady dla licznych grup kombatanatów oraz osób zasłużonych, którym wreszcie ktoś w Polsce oddał honor. Świat by się uśmieł z tego zarzutu.

Następnie pojawił się tonący laptop min. Zbigniewa Ziobry, za co obecny minister sprawiedliwości groził mu Trybunałem Stanu i więzieniem. Dziś wiadomo, że prokuratura odstąpiła od dochodzenia, a min. Zbigniew Cwiągalski zamilkł. Zapewne jeszcze coś znajdzie w szufladach po swoim poprzedniku.

A ile szumu wywołało powoływanie komisji śledczej do spraw nacisków przez poprzedni rząd na służby specjalne. Komisja powstała, ale jak znam prawo, Trybunał Konstytucyjny zakwestionuje wkrótce zakres działań komisji, ponieważ rządzącym chodzi bardziej o „utopienie” PiS, aniżeli o sprawy wagi państwowej.

Ostatnio ktoś z PO zaczął domagać się prokuratorskiego śledztwa w sprawie zagłuszania rozmów pielęgniarek podczas ich ubiegłorocznego protestu. Ale, jak pamiętam, białe miasteczko cieszyło się pełną wolnością, a świeże kanapki przywożono codziennie siostram prosto z magistratu stolicy. Należałoby raczej wszcząć dochodzenie, za czyje pieniądze je kupowano.

No i należy jeszcze wspomnieć salwę śmiechu w Sejmie, wywołaną wystąpieniem min. Cwiągalskiego na utajnionym posiedzeniu izby. Minister sprawiedliwości obiecał poinformować posłów o nielegalnych podsłuchach za rządów PiS. Oczywiście, nic na ten temat nie powiedział. Nawet gdyby takie podsłuchy miały miejsce, to nie mógł o nich mówić posłom, którzy w większości nie mają certyfikatu dostępu do informacji niejawnych. Godząc się na swoje wystąpienie w Sejmie, świadomie przyczynił się do propagandowego spektaklu, do tumanienia Polaków o rzekomym zagrożeniu demokracji w minionych dwóch latach.

Jak długo jeszcze PO zamierza nabierać społeczeństwo na te propagandowe sztuczki?

Skoro jednak mija 100 dni działalności parlamentu i rządu, chciałbym przypomnieć Platformie Obywatelskiej dziesięć zobowiązań, dzięki którym wygrała wybory. Obiecywała: 1. Przyspieszymy i wykorzystamy wzrost gospodarczy. 2. Radykalnie podniesiemy płace dla budżetówki, zwiększymy emerytury i renty. 3. Wybudujemy nowoczesną sieć autostrad, dróg ekspresowych, mostów i obwodnic. 4. Zagwarantujemy bezpłatny dostęp do opieki medycznej i zlikwidujemy NFZ. 5. Uprościmy podatki – wprowadzimy podatek liniowy z ulgą prorodzinną, zlikwidujemy ponad 200 opłat urzędowych. 6. Przyspieszymy budowę stadionów na Euro 2012. 7. Szybko wypełnimy naszą misję w Iraku. 8. Sprawimy, że Polacy z emigracji będą chcieli wracać do domu i inwestować w Polskę. 9. Podniesiemy poziom edukacji i upowszechnimy internet. 10. Podejmiemy rzeczywistą walkę z korupcją.

Zapamiętajmy te zobowiązania, abyśmy w przyszłości nie dali się oszukać już żadnej partii.

Wspominałem na początku o braku ustaw, ale to tylko jeden z elementów nieprzygotowania PO do rządzenia. Gorsza jest nieudolność, co naraża państwo polskie na dalszą utratę suwerenności oraz na straty gospodarcze. Można to było zaobserwować podczas wizyty premiera Tuska w Moskwie. Nie tylko niczego tam nie załatwiono, ale zaszkożdzono Polsce w relacjach z Ukrainą, Gruzją, Litwą oraz UE. Po prostu Kreml pokazał Europie i światu, jak się rozmawia z premierem kraju, który należy do rosyjskiej strefy wpływów (w zamian za sprawy strategiczne – takie jak rurociąg, jak ochrona polskiego przemysłu paliwowego, energetycznego – poszliśmy na ustępstwo, odnoszące się do otwarcia rynku mięsa dla kilkunastu rzeźni).

To tylko niektóre niepokojące sygnały o zmianach idących niestety w złym kierunku. Jak do tej pory, mimo stabilnej większości w Sejmie, PO nie uchwaliła niczego ważnego dla kraju. Czas, żeby zainteresowały się tym media, tak dociekliwe i krytyczne w minionych dwóch latach.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 8/2008)

Senatorowie w obronie WSKSiM

Grono senatorów Prawa i Sprawiedliwości wystosowało następujące oświadczenie, skierowane do premiera RP Donalda Tuska w sprawie ataków polityków Platformy Obywatelskiej na Wyższą Szkołę Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu.

Panie Premierze, jeszcze na dobre Pański rząd nie rozpoczął urzędowania, a już 26 listopada 2007 r. minister nauki i szkolnictwa wyższego Barbara Kudrycka sugerowała, że Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu narusza prawo. Rzucając cień na dobre imię WSKSiM, nie powiedziała, o co chodzi. Wkrótce okazało się, że chodziło o przygotowanie opinii publicznej, aby odebrać Szkole europejski grant. 18 grudnia 2007 r. Departament Funduszy Europejskich przy Ministrze Nauki i Szkolnictwa Wyższego rozpoczął weryfikację list projektów kluczowych do programów operacyjnych: Infrastruktura i Środowisko, Innowacyjna Gospodarka i Rozwój Polski Wschodniej. Weryfikacja dotyczyła między innymi zgłoszonego przez władze WSKSiM do Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Ministerstwa Rozwoju Regionalnego w kwietniu 2007 r. i umieszczonego na tzw. liście indykatywnej Planu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko projektu Inkubator Nowoczesnych Technologii na Rzecz Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego, przewidującego budowę Wydziału Informatyki, a w wyniku tego uruchomienie w WSKSiM kształcenia w zakresie inżynierskim. W wyniku tej weryfikacji WSKSiM utraciła dotację, mimo że była już przecież po preumowie z ministerstwem. Razem z WSKSiM utraciło dotację 30 innych uczelni (tylko dwie spełniały nowe kryteria). Taka zmiana reguł w trakcie procedury nie jest zgodna z regułami państwa demokratycznego.

Panie Premierze, w swoim exposé czterdzieści cztery razy wymienił Pan słowo „zaufanie”. Rodzi się pytanie, dlaczego tak silna partia, jaką jest Platforma Obywatelska, mająca ponad dwustu posłów w parlamencie, mająca rząd, służby specjalne, administrację i oczywiście wiele społecznych problemów do rozwiązania, skupiła się na walce z jedną wyższą szkołą, z jedną fundacją, z jednym kapłanem – bo przecież o to głównie chodzi!

Nie mamy złudzeń, że chodzi o walkę z Radiem Maryja oraz z Telewizją Trwam, które weszły na podwórko medialne, zawłaszczone wcześniej przez środowiska liberalno-antychrześcijańskie. Czy nie tak należy rozumieć wypis z bloga posła PO Janusza Palikota, że „tak naprawdę w intere-

sie Kościoła jest, by PO wykończyła Rydzyka (...). PO powinna szeroko manifestować poparcie dla Kościoła i jednocześnie twardo grać z Ojcem Dyrektorem. Kościół powinien się oburzać, ale w granicach! To jest nawet w «interesie» Pana Boga, bo nic tak nie odpycha młodych ludzi od Kościoła, jak Radio Maryja”.

Ta wypowiedź posła PO doskonale ukazuje strategię partii rządzącej, ponieważ nie oburzyło Was to, co powiedział poseł Palikot, tylko to, że ukryte zamiary wypowiedział publicznie. To przecież Pan Premier skomentował w Polskim Radiu słowa Palikota, że „publiczne wypowiedzi polityka o wykańczaniu jakiejkolwiek organizacji są niedopuszczalne”. Czyli nie przeszkadza Panu Premierowi, że w ogóle ktoś się tak wypowiada, ale że to publicznie wypowiada.

Panie Premierze, wracając do spraw Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej, to Pan, komentując niefortunną wypowiedź minister Barbary Kudryckiej, powiedział nonszalancko: „ojciec Rydzyk może spać spokojnie”. Innym razem Pan Premier stwierdził, że „pod rządami Platformy nic Radiu Maryja nie grozi”. Po pierwsze – nie przystoją takie słowa człowiekowi pełniącemu funkcję publiczną, a po wtóre – akurat stało się przeciwnie, odebrano Szkole dotację. Podobnie też próbuje się medialnie rozegrać sprawy „gruntów nad Wisłą”, wydzierzawione przez WSKSiM, oraz grant na odwierty geotermalne w Toruniu.

W tym kontekście jako senatorowie Rzeczypospolitej chcemy podkreślić, że nauka i szkolnictwo wyższe są tym obszarem działania państwa, gdzie potrzebne są: spokój, dialog społeczny, wzajemne zrozumienie i umiejętne poszukiwanie różnych dróg dochodzenia do wspólnego celu, jakim jest rozwój wszelkich dziedzin wiedzy i kształcenie na akademickim poziomie polskiej młodzieży. Liczymy na Pańskie uczucia patriotyczne i mamy nadzieję, że w Pańskiej partii zwycięży troska o młodzież, troska o rozwój nauki w Polsce, a nie dyskryminacja ze względu na czyjeś przekonania.

Podpisali senatorowie: Czesław Ryszka, Ryszard Bender, Andrzej Mazurkiewicz, Zdzisław Pupa, Stanisław Kogut, Dorota Arciszewska-Mielewczyk, Krzysztof Majkowski, Stanisław Piotrowicz, Sławomir Sadowski, Stanisław Karczewski, Bronisław Korfanty, Joanna Felińska, Kazimierz Wiatr, Wojciech Skurkiewicz, Stanisław Gogacz, Henryk Górski, Władysław Ortyl, Jerzy Chrościkowski, Witold Idczak, Tadeusz Gruszka, Piotr Kaleta, Maciej Klima, Norbert Krajczy, Kazimierz Jaworski, Waldemar

Kraska, Grzegorz Banaś, Przemysław Błaszczyk, Zbigniew Cichoń, Jan Dobrzyński, Władysław Dajczak, Wiesław Dobkowski. Warszawa, 16 stycznia 2008 r.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 4/2008)

Informacja na wagę suwerenności Polski

Ostatnio odsłonił się problem niezwyklej wagi, wręcz polskiej racji stanu: dlaczego między Prezydentem a Premierem nie ma „gorącej linii”? Mając na uwadze niedawną burzę rozpętaną przez media, przypominę, że Prezydent RP dowiedział się o katastrofie lotniczej pod Mirosławcem po godzinie. Nie ma żadnego wytłumaczenia fakt, że dwukrotnie dzwoniono w tej sprawie z Ministerstwa Obrony Narodowej do Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Jakiegokolwiek tłumaczenia ministrów ośmieszają te urzędy, bo jest czymś niebywałym w dzisiejszym świecie, aby nie istniała stała łączność między głową państwa a premierem. Tak ważne informacje nie wymagają żadnych pośredników, po prostu ten, kto pierwszy wiedział, powinien natychmiast skontaktować się z najważniejszą osobą w państwie. Chyba że Premier nie wie, kto jest najważniejszy w sprawach bezpieczeństwa narodowego. Nie wyobrażam sobie teraz, po tej tragedii, aby obydwaj panowie nie mieli „gorącej linii” i nie mogli w każdej chwili nawiązać ze sobą kontaktu. Lech Kaczyński jest chyba jedynym prezydentem na świecie, który sam odbiera telefony i nosi telefon komórkowy w kieszeni.

Dlaczego problem przepływu informacji jest tak ważny? Odpowiem inaczej: co byłoby, gdyby zamiast katastrofy lotniczej nastąpił zamach terrorystyczny czy – nie daj Boże! – wydarzył się jakiś poważniejszy konflikt o charakterze międzynarodowym? Skoro wiadomość o tak poważnej katastrofie dotarła do Prezydenta tak późno, w rezultacie czego odleciał on z wizytą do Chorwacji, to świadczy to o tym, że przepływ informacji między Prezydentem a Premierem jest skandaliczny. Sądzę, że jako obywatele nie możemy tolerować żadnych tego typu „braków” na linii Pałac Prezydencki – Kancelaria Premiera.

W tej chwili nie chodzi już o robienie afery z tego, dlaczego Prezydent nie został na czas poinformowany o katastrofie, chodzi o przyszłość, o ustanowienie takich procedur, aby to się nie powtórzyło. A, niestety, powtórzyło się znowu. Jako obywatele mało nas obchodzi, czy min. Radosław Si-

korski lubi Prezydenta, jeśli jednak leci on z wizytą do Moskwy, na Ukrainę, do Stanów Zjednoczonych..., to powinien skomunikować się z nim osobiście. Przypomnę, że podnoszą się głosy, iż Polska nie ma polityki wschodniej, a jak pamiętam, chcieliśmy odgrywać kluczową rolę w kształtowaniu polityki wschodniej Unii Europejskiej. Bodaj z powodu strajku celników i w konsekwencji chaosu na granicach tracimy w oczach Ukraińców, Rosjan i Białorusinów. Owszem, obecny rząd skupił się na poprawie stosunków z Moskwą, co na razie się udaje, ale zaniedbał Ukrainę i nie robi nic w sprawach białoruskich. Nie tylko o tym chciał Prezydent porozmawiać z min. Sikorskim. Chodziło także o sprawy bardzo praktyczne, m.in. o umowę o małym ruchu granicznym, o wydawanie wiz przez polskie konsulaty.

Nie rozumiem, dlaczego Prezydent musiał aż wzywać Ministra na rozmowę. Czy Minister sam nie powinien przybyć na konsultacje przed kluczowymi rozmowami dotyczącymi przyszłości międzynarodowej Polski? Do takich należy sprawa tarczy antyrakietowej. Czy przed rozmowami w Moskwie, przed rozmowami w Stanach Zjednoczonych nie powinno dojść w tej sprawie do posiedzenia Rady Gabinetowej?

Nie będzie przesady w słowach, że w ciągu tego półrocza decyduje się przyszłość Polski, że jesteśmy w drugim kluczowym momencie po roku 1992, czyli po wejściu do NATO. To obecnie rozstrzyga się przyszłość stosunków polsko-amerykańskich. Owszem, ważna jest siła wewnętrzna Polski, jeśli jednak nie zapewnimy sobie tarczy, to zostaniemy zgnieceni przez Rosję i Niemcy.

Tymczasem politycy, którzy dzisiaj podejmują decyzje w tej sprawie, w kampanii wyborczej demonstrowali niechęć zarówno do tarczy antyrakietowej, jak i do strategicznego znaczenia sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Jak sądzę, tylko zdecydowana postawa Prezydenta może spowodować utrzymanie polityki rządu związanej z obroną polskich interesów narodowych. Czyż trzeba udowadniać, że obecność Stanów Zjednoczonych w naszym regionie, w Europie Środkowo-Wschodniej, zwiększa bezpieczeństwo regionu? Imperialne zakusy Rosji są aż nadto widoczne.

W tym kontekście zupełnie niezrozumiałe są owe iskrzenia na linii Prezydent – Premier. Ostatnio dotyczą one mianowania na szefów służb specjalnych ludzi, do których Prezydent ma zastrzeżenia. Jeden z nich – Andrzej Ananicz odegrał złowrogą rolę w 1992 r., chcąc uzależnić Polskę od Rosji (chodzi o próbę przejścia dawnych baz sowieckich przez spółki rosyjskie).

Inne pola nieporozumień między Premierem a Prezydentem dotyczyły m.in. wycofania polskich wojsk z Iraku (Prezydent o tym nie został nawet poinformowany), opublikowania przez Premiera poufnego stenogramu posiedzenia Rady Gabinetowej w sprawie ochrony zdrowia, a już wyjątkowo arogancki był zapis na blogu posła PO Janusza Palikota o rzekomych problemach alkoholowych Prezydenta. Trochę za dużo tego, jak na standardy życia publicznego, a już na pewno nie powinien być Prezydent pomijany w polityce zagranicznej. Jako państwo nie powinniśmy się bezwornie wpisywać w układ Moskwa – Berlin, ponieważ staniemy się nie tyle suwerennym podmiotem czerpiącym korzyści z tranzytu, ile pionkiem przedstawianym na europejskiej szachownicy.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 6/2008)

Markowanie władzy

Idź na wybory, zmień Polskę – miliony wyborców uwierzyło w ten propagandowy slogan i zagłosowało na Platformę Obywatelską. Dziś te same miliony zaczynają się denerwować, ponieważ zamiast zmiany politycznej mamy tylko słowne fajerwerki i wygłupy posła Palikota. Wpłynęło to zapewne na wynik sondażu, jaki przeprowadziła „Rzeczpospolita”: negatywne opinie o rządzie wzrosły aż o 17 proc. (z 34 do 51 proc.); jednocześnie spadły o 6 proc. oceny pozytywne (z 47 do 41 proc.). Krótko mówiąc, gabinet Donalda Tuska nie tylko nie spełnia obietnic wyborczych, nie wprowadza żadnych reform, ale zajął się wyłącznie „kręceniem lodów” w państwowych spółkach i agencjach, chce zawłaszczyć media publiczne, obsadza swoimi ludźmi służby specjalne itp.

Co więcej, nie mając dobrych projektów ustaw, ministrowie PO niebezpiecznie majstrują przy tym, co już jakoś funkcjonuje, lansują najdziwniejsze pomysły.

Przykładowo, szefowa resortu edukacji Katarzyna Hall, zamiast zapewnić polskim szkołom minimalną dyscyplinę, walczyć o pieniądze dla nauczycieli, zajęła się lekturami, m.in. uznała „Potop” i „Quo vadis” za utwory niepoprawne politycznie. Wykreślono spośród lektur dla uczniów gimnazjów m.in. utwory Stefana Żeromskiego czy „Nad Niemnem” Elżyny Orzeszkowej, a także „Pamięć i tożsamość” Jana Pawła II.

Zadziwia u szefowej MEN, żony konserwatysty Aleksandra Halla, brak wrażliwości na rolę historii i wpajanie patriotyzmu dzieciom i młodzieży. Nie budzi też entuzjazmu rodziców obniżenie wieku szkolnego od przyszłego roku. Sześciolatkom lepiej jest w domu niż w szkole. Absurdalnie brzmi przepis, że rodzice sześciolatka będą mogli wystąpić o opóźnienie startu szkolnego swojego dziecka, o ile udowodnią, że coś z nim jest nie tak!

Kontrowersje budzą również pomysły minister nauki i szkolnictwa wyższego Barbary Kudryckiej – chodzi m.in. o propozycję zlikwidowania habilitacji, umożliwienie studentom po licencjacie ubiegania się o granty doktorskie, jak też rozdział pieniędzy między uczelnie publiczne i niepubliczne czy wreszcie pomysł, aby państwo w pełni finansowało jedynie te kierunki studiów na uczelniach, które mają uprawnienia do prowadzenia studiów doktoranckich. W konsekwencji promotorami prac doktorskich będą mogli być doktorzy, czyli kolega będzie promotorem kolegi. Ponoć będzie też można uzyskać doktorat bez magisterium. Niebezpieczne jest również stwierdzenie minister Kudryckiej, że pieniądze na badania mają otrzymać tylko „najlepsze wyższe szkoły w kraju”. Kto zadecyduje o tym, co jest najlepsze? Zapewne chodzi o to, aby z dotacji wyłączyć szkoły, które wyrastają z pnia chrześcijańskiego, jak np. toruńska WSKSiM.

A co sądzić o polityce gospodarczej rządu Tuska? O cud gospodarczy już nikt nie pyta, natomiast nadal polscy przedsiębiorcy czekają na reformę w stylu „Pakietu Kluski”, który miał m.in. uprościć system wydawania zezwoleń i tryb rejestracji przedsiębiorstw (z powodu skrócenia kadencji nie udało się tego wprowadzić). Podobnie rząd nie podjął prac nad tzw. specustawą ministra budownictwa w rządzie PiS Mirosława Barszcza, która miała m.in. uprościć procedury uchwalania planów zagospodarowania przestrzennego.

A gdzie zapowiadana reforma finansów? Niepokój o to, co dzieje się w finansach państwa, wzmogła ostatnio dymisja wiceministra finansów Stanisława Gomułki, który m.in. odpowiadał za reformę finansów publicznych. Przypomnę, że PiS w krótkim czasie dokonał poważnej obniżki w podatkach, dzięki której w kieszeniach podatników zostało wiele miliardów zł (do sukcesów poprzedniej ekipy należy odmrożenie progów podatkowych, wprowadzenie ulgi prorodzinnej, zniesienie podatku od spadków i darowizn dla najbliższej rodziny i obniżenie składki rentowej o 7 proc.).

Krytycznie należy odnieść się do przygotowanego przez rząd programu prywatyzacji wszystkich 740 spółek należących do Skarbu Państwa. To ty-

pową wyprzedaż majątku narodowego. Przyświeca jej zasada Leszka Balcerowicza, że należy sprzedać wszystko, i to jak najszybciej. Szeptem mówi się, że 30 mld zł przychodu z prywatyzacji ma posłużyć na wypłaty odszkodowań za mienie żydowskie pozostawione w Polsce. Istnieje także podejrzenie, że sposób, w jaki minister skarbu zamierza rozwiązać spór z Eureko, zmierza do tego, żeby władztwo nad PZU przekazać w ręce Eureko. A to już będzie działalność na szkodę polskiej gospodarki (rząd PiS w marcu 2007 r. przekazał Eureko swoje stanowisko dotyczące sporu z PZU. Ministerstwo stwierdziło wówczas, że najlepszym wyjściem byłaby sprzedaż akcji PZU przez Eureko). Eureko zaakceptowało tę propozycję.

Niepokojące są również działania ministerstwa sprawiedliwości, mające na celu rozdzielenie funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Spowoduje to, że prokuratorzy utworzą kolejną korporację wyposażoną w olbrzymią władzę nad ludźmi (prokurator nie może nikogo aresztować, ale jego propozycje w tym zakresie są mniej więcej w 90 proc. akceptowane przez sąd). Po reformie zniknie nawet cień kontroli nad prokuratorami.

„Będą nas leczyć dobrze zarabiający lekarze i pielęgniarki... Będą nasze dzieci i młodzież uczyć dobrze zarabiający nauczyciele” – obiecywał premier Donald Tusk. Sytuacja płacowa w tych zawodach jaka jest, każdy widzi. Nawet nie przedstawiono żadnego spójnego programu reformy. Trzeba zadać pytanie: Czy gabinet PO–PSL jest zdolny zmienić coś na lepsze, czy tylko markuje rządzenie?

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 18/2008)

Weto to nie liberum veto

„Gdybym wiedział, że rządzenie będzie polegało na tym, że osiem godzin jest o CO₂, osiem godzin o emeryturach pomostowych i cztery godziny snu, to w ogóle bym się nie pchał. Psu na budę taka wygrana. Przecież na końcu i tak ja wyłysięję z tego powodu, ja stracę 15 proc. poparcia i będę miał tylko kłopoty” – tak mówił premier Donald Tusk na posiedzeniu Komisji Trójstronnej 14 listopada 2008 r.

Natomiast 3 grudnia podczas spotkania ze studentami Uniwersytetu Jagiellońskiego, rozwijając „przyczyny dalszego swojego łysienia”, wspomniął prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu zawetowane ustawy. Powie-

dział: „Lech Kaczyński korzysta zbyt często z prawa weta i zachowuje się jak potencjalny polityczny samobójca”. Zastrzegł jednak, że nie traktuje go „jak potwora, który pojawił się na świecie tylko po to, żeby mu utrudniać życie”. Jak wyjaśnił, „uważam, że każdy prezydent, szczególnie ten, który korzysta z weta zbyt często, podejmuje się misji samobójczej w jakimś sensie, bo Polacy nie akceptują polityki polegającej na przeszkadzaniu czy blokowaniu”. Premier powiedział także, że „kiedy patrzy na niektóre weta dzisiaj, to liberum veto mu się przypomina”. Jak ocenił, „na szczęście tylko prezydent, a nie każdy szlachcic ma prawo wetowania, ale skutki bywają podobne”. Przekonanie Premiera i PO o swojej nieomyślności przy uchwalaniu ustaw graniczy ze śmiesznością, ponieważ jakość uchwalanych ustaw budzi sprzeciw wielu prawników i konstytucjonalistów (chodzi o szybkość, liczne pomyłki, a także doraźnie rozumiany interes polityczny). Dlatego warto w skrócie przypomnieć niektóre z ustaw, jakie zawetował Prezydent.

Pierwsza była ustawa medialna, likwidująca abonament, w konsekwencji prowadząca do upadku mediów publicznych i uzależnienia ich od dotacji rządzących. Drugie weto dotyczyło ustaw zdrowotnych. Prezydent podpisał trzy z przedstawionych mu ustaw: o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta, o akredytacji w ochronie zdrowia oraz o konsultantach w ochronie zdrowia, zawetował natomiast dwie, które prowadzą do komercjalizacji i w konsekwencji prywatyzacji szpitali. Prezydent uznał, że oddanie całej służby zdrowia samorządom jest ucieczką rządu Tuska od odpowiedzialności. Przypomniął, że lepiej byłoby zrealizować plan b. ministra zdrowia prof. Zbigniewa Religi, zakładającego m.in. wzrost nakładów na służbę zdrowia.

Kolejne weto dotyczy ratyfikacji Konwencji w sprawie kontaktów z dziećmi, sporządzonej w Strasburgu 15 maja 2003 r. Prezydent uznał, że ta ustawa ingeruje w realizację praw rodziców określonych w polskiej Konstytucji. Przepisy Konwencji wprowadziłyby do polskiego porządku prawnego regulacje, które mogłyby zagrozić dobru rodziny i prawu rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami. Konwencja bowiem na równi traktuje rodziców dziecka oraz jego opiekunów, np. parę homoseksualistów.

Inne weto Prezydenta dotyczy zmiany ustawy o emeryturach i rentach z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych. Prezydent Kaczyński uznał, że nowy sposób obliczania świadczeń rentowych spowodowałby ich obniżenie; sprawi ponadto, iż podjęcie przez rencistę pracy może stanowić podstawę

do dokonywania weryfikacji orzeczeń o stopniu niezdolności do pracy, skutkujących w konsekwencji pozbawieniem uprawnień rentowych.

Następne weto dotyczy sprawy odrolnienia gruntów, na czym ogromnie wzbogaciłyby się firmy budujące mieszkania. Kolejne weto dotyczy zmiany ustawy o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji. Gdyby to rozwiązanie weszło w życie, duże sieci handlowe, oferując bony towarowe poniżej ich ceny nominalnej, zarobiłyby krocie. Jednym słowem – zalegalizowanie emitowania bonów poniżej wartości nominalnej doprowadziłoby do pogłębiania różnic w kondycji oraz konkurencyjności drobnego handlu wobec wielkich sieci i spowodowałoby nieodwracalne zmiany struktury rynku handlu detalicznego. Platforma Obywatelska mówiła, że chce tak zmienić prawo, by rozbić bonowy monopol hipermarketów, a okazało się, że przyjęte już przepisy mogą odnieść odwrotny skutek. Stąd weto Prezydenta.

Zapewne na weto Prezydenta czekają emerytury pomostowe. I znowu nie jest tak, że Prezydent jest tu „samobójcą”. Zawetowania tej ustawy domaga się blisko milion pracowników. Prezydent Kaczyński wniósł wcześniej do Sejmu projekt ustawy przedłużającej obecnie obowiązujące przepisy do końca przyszłego roku, został on jednak odrzucony w Sejmie po pierwszym czytaniu.

Przypomnę, że uchwalona przez PO i PSL ustawa zakłada, iż emerytury dla osób pracujących w szczególnych warunkach i o szczególnym charakterze będą miały charakter wygasający, tzn., że tylko pracownicy zatrudnieni w szczególnych warunkach lub o szczególnym charakterze przed dniem 1 stycznia 1999 r. nabędą prawo do emerytury pomostowej. Natomiast zatrudnieni po tym dniu, mimo że pracują w tych samych warunkach, na tym samym stanowisku, będą musieli pracować do powszechnego wieku emerytalnego (60 lat kobiety i 65 lat mężczyźni). W trakcie procesowania tej ustawy udało się wprowadzić poprawkę, że wszystkie osoby, które stracą prawo do wcześniejszej emerytury, a rozpoczęły pracę przed 1999 i co najmniej 15 lat przepracowały w szczególnych warunkach lub o szczególnym charakterze, otrzymają rekompensaty za utratę prawa do wcześniejszej emerytury – kilkuprocentowy dodatek do emerytury.

Prawo weta przysługuje Prezydentowi, nie wolno sobie z tego prawa dworować. Jeśli Sejm uzna, że Prezydent nie ma racji, może odrzucić weto głowy państwa, do tego potrzeba 3/5 głosów. PO już kokietuje sejmową lewicę, aby pozyskać jej przychyłność do odrzucenia wymienionych wet.

Oceńmy jednak sami, czy te weta to liberum veto, czy też Prezydent wykazuje odpowiedzialność za państwo i obywateli, prezentuje wrażliwość na kwestie społeczne, zna prawo pracy, a przede wszystkim nie kieruje się przesłaniem politycznym czy koniunkturalnym, o co jest oskarżany.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 50/2008)

W masie niejedno można ukryć

Na rocznicę swoich rządów Donald Tusk zapowiada skierowanie do Sejmu stu ustaw. „To będzie ofensywa legislacyjna, która dosłownie powali opozycję na kolana” – zapowiada Platforma Obywatelska. Także społeczeństwo ma zobaczyć, jak bezrobotni dotąd posłowie i senatorowie obradują każdego dnia od świtu do nocy. Zapewne te szumne zapowiedzi mają odwrócić obowiązującą do tej pory w PO zasadę „nicnierobienia”, kłócą się jednak z dotychczasowym tłumaczeniem braku ustaw, iż nie należy mnożyć niepotrzebnego prawa, a jedynie ułatwiać przedsiębiorczość i rozwijać gospodarkę. Co do tych ułatwień zaserwowanych przez PO, mam pewne wątpliwości, ponieważ w tegorocznym rankingu warunków prowadzenia działalności gospodarczej, przygotowanym przez Bank Światowy, Polska spadła na 74. miejsce (wyprzedzają nas wszystkie państwa UE, a także m.in. Mongolia, Botswana czy Samoa).

Zapewne w tej „powodzi” ustaw znajdują się wreszcie ułatwienia dla przedsiębiorców, które od miesięcy zapowiada sejmowa komisja nadzwyczajna „Przyjazne Państwo”, kierowana przez Janusza Palikota. Oby tak było. Niemniej jednak obawiam się, że wśród tych szumnych obietnic wiele ustaw zamiast pomóc, może zaszkodzić. Szef klubu PO Zbigniew Chlebowski poinformował, że zmiany będą m.in. w ustawach: o finansach publicznych (proponuje się tylko dwa progi podatkowe: 18 i 32), o kodeksie wyborczym, o finansowaniu partii politycznych, o partnerstwie publiczno-prywatnym, prawie budowlanym, o ochronie zdrowia, a także o likwidacji przywilejów emerytalnych byłym funkcjonariuszom służb specjalnych PRL oraz w dawno zapowiadanej ustawie dotyczącej reformy emerytalnej.

Przyjrzyjmy się dwóm ostatnim propozycjom. Politycy PO chcą odebrać przywilejów emerytalnych funkcjonariuszom PRL-owskiego aparatu bezpieczeństwa. To chyba dobrze, póki jednak nie poznamy projektu tej ustawy, będzie to tzw. temat zastępczy, i jak znam życie, skończy się wszyst-

ko na słowach. Przecież taki projekt ustawy dezubekizacyjnej autorstwa Prawa i Sprawiedliwości leży w szufladzie marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego już dziewiąty miesiąc! Ponieważ jednak sprawa jest obecnie bardzo głośna społecznie – agenci bezpieki pobierają nawet wielotyśne emerytury, podczas gdy ich ofiary często kilkusetzłotowe – politycy PO będą mieli okazję mówić o sprawiedliwości społecznej. Nie uwierzę jednak, aby PO poważnie rozważała powrót do założeń III Rzeczypospolitej, czyli do marca 1990 r., kiedy to w Sejmie przeciwko tej właśnie inicjatywie poseł Adam Michnik powiedział, że odbieranie bezpiece jej przywilejów to odrażająca zemsta, bolszewizm i jaskiniowa nienawiść (zob. jego sejmowe wystąpienie zatytułowane w druku „Nie będę walczył bronią nienawiści”). Chyba nikt nie ma wątpliwości, że do dzisiaj obowiązuje ówczesna sugestia naczelnego „Gazety Wyborczej”, aby ci, którzy uzyskali przywileje w PRL, zachowali je także w wolnej Polsce. W domyśle jest również wskazówka, że ci, którzy myśleliby inaczej, są wrogami III RP i należy ich tępić.

Druga ustawa, o której chcę wspomnieć, dotyczy zapowiadanej reformy emerytalnej. Jest ona również przeciwna sprawiedliwości społecznej, ale tę akurat PO całkowicie akceptuje.

Chciałbym przypomnieć, że reforma emerytalna zapoczątkowana w 1999 r. miała uczynić w przyszłości z Polaków naród bogatych emerytów. Tak to przedstawiały reklamy funduszy emerytalnych, które w momencie startu reformy walczyły o składki kilkunastu milionów Polaków. Obecnie może się okazać, że zapowiadana wysoka emerytura nijak się ma do rzeczywistości. Czyli teoretycznie będziemy właścicielami swoich składek odkładanych w ZUS i w otwartych funduszach emerytalnych, jednak nie będziemy mogli swobodnie korzystać z tych pieniędzy. Tak wynika z rządowych projektów ustaw o tzw. reformie emerytalnej, która ma wejść w życie już od stycznia przyszłego roku. Opozycja oceniła te ustawy jako wielkie oszustwo wobec osób, które są w tej chwili w II filarze. Przede wszystkim brak w tych ustawach waloryzacji dożywotnich emerytur kapitałowych, dziedziczenia i emerytur małżeńskich (ta ostatnia miała za zadanie zabezpieczyć te kobiety, które rezygnują z pracy zawodowej, aby poświęcić się rodzinie). Podobnie też rząd nie chce oddać spadkobiercom emerytów tych pieniędzy. Jak to się ma do prawa własności?

Poważnym błędem proponowanej reformy jest to, że większość ubezpieczonych w nowym systemie otrzyma niższe emerytury niż pracujący

dotychczas na podobnych stanowiskach i osiągający podobne wynagrodzenia. Dlaczego? Ponieważ po reformie ZUS będzie wypłacał tylko część emerytury – tę gwarantowaną przez państwo, a drugą część dostaniemy z OFE, w którym gromadzimy nasze składki. Przykład: osoba zarabiająca przez lata średnią krajową (teraz około 3,5 tys. zł), a przechodząca na emeryturę w 2008 r., może liczyć na świadczenie w granicach 1800–2000 zł. Po reformie emerytura będzie o co najmniej 500 zł niższa. Dlaczego? Ponieważ reforma likwiduje różne średnie, wskaźniki, przeliczenia: po prostu dostaniemy taką emeryturę, ile uzbieramy na koncie w ZUS i OFE. Stąd też tysiące ludzi, którzy mają teraz prawo do wcześniejszej emerytury, skwapliwie z niego korzystają, bo to jest bardziej opłacalne.

Obawiam się, że nowe emerytury posłużą głównie interesom funduszy emerytalnych oraz ich zagranicznych akcjonariuszy i grup kapitałowych, a nie dobru przyszłych emerytów. Wygląda na to, że rząd PO chce zrzucić z siebie odpowiedzialność za czekające nas niższe świadczenia socjalne, by zmusić w przyszłości tysiące emerytów do kontynuowania pracy. Z pewnością podobnych „sztuczek” PO w zapowiedzianych stu ustawach będzie więcej, bo w takiej masie niejedno można ukryć.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 38/2008)

Atak na CBA

(Przemówienie w sprawie ustawy o zmianie ustawy o Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz Agencji Wywiadu, 3 posiedzenie Senatu 19 i 20 grudnia 2007).

Panie Marszałku. Wysoka Izbo!

Podzielam pogląd chyba wszystkich państwa, że jesteśmy zaskoczeni szybkością zmiany ustawy o Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, która to zmiana w moim przekonaniu uderza bezpośrednio w Centralne Biuro Antykorupcyjne. Po co powoływaliśmy CBA, skoro teraz chcemy sprawę korupcji pozostawić w rękach ABW? Co takiego się wydarzyło, żeby kolejny urząd zajmował się tym samym? Wiadomo, co się wydarzyło. Były wybory, trzeba zmienić nieusuwalnego szefa CBA, a póki tego nie można zrobić, należy uszczuplić prerogatywy, jakie w ustawie zagwarantowaliśmy temu urzędowi. Tylko do czego ta zmiana doprowadzi? Strach pomyśleć,

ponieważ na płaszczyźnie wykonywanych zadań będzie dochodziło do konfliktów pomiędzy obydwoma służbami, do sporów kompetencyjnych, a nawet do zwalczania się poszczególnych grup operacyjnych.

Szanowni Państwo Senatorowie!

Chciałbym przypomnieć, że kiedy 9 czerwca ubiegłego roku Senat i Sejm przyjęły ustawę o utworzeniu CBA, wyraziłem przekonanie, że wreszcie zaczynamy na poważnie zmieniać Polskę. Utworzenie bowiem tego urzędu do zwalczania przestępstw finansowych i gospodarczych w instytucjach państwowych i w samorządzie terytorialnym dawało nadzieję, że skończy się korupcja, ustaną afery i kradzieże, urzędnicy i funkcjonariusze będą po prostu uczciwi. I tak się stało. Niejeden już raz słyszałem, że urzędnicy boją się brać, i to już jest sukces tego półtorarocznego działania Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Może ten urząd popełnił jakieś błędy, ale sukcesy już są widoczne. A przypominę, co ujawnił raport Transparency International za 2005 r., wówczas na sto pięćdziesiąt dziewięć państw ocenianych pod kątem uczciwości urzędników, Polska była na siedemdziesiątym miejscu, obok Burkina Faso, Lesotho i Syrii. To nie wymaga komentarzy. Dzisiaj już nie mamy tego poczucia wstydu, bo przesunęliśmy się na miejsce o wiele niższe właśnie dzięki temu, że mamy taki urząd.

Wniosek jest jeden, oczywisty: mimo że zwalczaniem tego rodzaju przestępczości zajmowały się u nas Policja, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a także w jakimś stopniu służby skarbowe oraz służby celne, to jednak do czasu powołania CBA te działania były niewystarczające. I dlatego zrodził się pomysł powołania wyspecjalizowanego organu administracji rządowej, który w sposób kompleksowy zająłby się wyłącznie zwalczaniem korupcji w drodze represji karnej. Takie urzędy, z ogromnymi kompetencjami, działają we wszystkich krajach Unii Europejskiej, w Wielkiej Brytanii, Francji, Holandii. Nawet Unia Europejska jako jeszcze nieistniejące ciało zjednoczone, można tak powiedzieć, posiada Europejski Urząd do spraw Zwalczania Oszustw, OLAF. Jest to wspólnotowa instytucja wyspecjalizowana w przeciwdziałaniu oszustwom, korupcji i innej bezprawnej działalności na szkodę interesów finansowych Unii Europejskiej.

Centralne Biuro Antykorupcyjne podpisało specjalną umowę z tym urzędem i to wszystko już gra. To nie jest tak, że w CBA jeszcze czegoś brakuje na przykład do zwalczania korupcji za granicą. Posiadamy już wszędzie wyspecjalizowane grupy, jednostki, kontakty, żeby działać dobrze

także za granicą. Każdy z tych wymienionych przeze mnie urzędów w państwach Unii Europejskiej posiada prawo prowadzenia postępowań karnych, administracyjnych, kontroli przestrzegania przez urzędników przepisów prawa itd.

Dlaczego tak bardzo się boimy CBA? Dlatego, że CBA zaczęło przeświecać majątki polityków, finansowanie partii politycznych. Może to chcielibyśmy jeszcze pozostawić w ABW? CBA uruchomiło specjalną infolinię antykorupcyjną, telefon, poprzez który obywatele mogą przekazywać sygnały o znanych im przypadkach przekupstwa.

Przypomnę, że 90% badanych Polaków uważa, że korupcja jest w Polsce zjawiskiem wszechobecnym. Dzięki utworzeniu CBA sytuacja zaczyna się zmieniać. Jest to pierwsza od przełomu ustrojowego służba specjalna budowana od podstaw i wszyscy mamy taką nadzieję, że wreszcie nasze państwo dzięki działalności tego urzędu staje po stronie ludzi uczciwych, a nie złodziei. Czy teraz mamy społeczeństwu powiedzieć, że osłabiamy CBA, że odchodzimy od tego działania, że obecnie znowu będzie wolno pierwszy milion ukraść? Czy ta zmiana ustawy jest już wykonywaniem wyroku na CBA, który zapadł w jakimś kapturowym sądzie?

Podczas kampanii wyborczej politycy różnych ugrupowań niechętnych CBA kreowali absurdalny obraz państwa policyjnego. Chcieli wywołać u przeciętnego Polaka poczucie zagrożenia. Pamiętamy: wszyscy są podsłuchiwanii, do każdego mogą przyjść bez powodu faceci z CBA w kominiarkach, każdego można zawlec do więzienia. Te absurdy słyszeliśmy na co dzień, donosiły o tym polskojęzyczne media. I dzisiaj wiemy, że były to wierutne kłamstwa na użytek kampanii wyborczej.

Uważam, że należy ze spokojem wszystkie sprawy korupcyjne pozostawić w rękach CBA, aby w przyszłości nie dochodziło do sporów kompetencyjnych, żeby nie dochodziło do jakiejś walki grup operacyjnych między sobą. Dlatego jestem za tym, żeby odstąpić od zmiany ustawy o Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Dziękuję za uwagę.

Oczyścić państwo z korupcji

W programie ostatniego posiedzenia Senatu (7–8 maja) było m.in. sprawozdanie z działalności Centralnego Biura Antykorupcyjnego za 2007 r. Dodam od razu: CBA kierowane przez Mariusza Kamińskiego ma cał-

kiem pokaźne osiągnięcia. Zapewne dlatego nie udało się Julii Piterze ani go odwołać, ani oskarżyć o „przestępcze” praktyki – o czym rzekomo donosił tajny raport pani minister. Mimo ataków, szef CBA ostał się na swoim urzędzie, ale nie cieszy się specjalnymi względami premiera: przypomnę, że w budżecie na obecny rok odebrano CBA sporo pieniędzy, a ostatnio utrudnia się funkcjonariuszom CBA pozyskiwanie informacji z rządowych urzędów. Musi też dziwić fakt, że tak niewiele mówi się i pisze obecnie o CBA w mediach. Czyżby korupcja przestała już być w naszym kraju urzędniczą plagą? A może premier nie życzy sobie, aby media nagłaśniały walkę z korupcją?

Dość przypomnieć, że na koniec roku 2007 było zatrudnionych w CBA około sześciuset funkcjonariuszy i pracowników cywilnych. Dla porównania: Centralne Biuro Śledcze (CBS) liczy dwa tysiące funkcjonariuszy zajmujących się tylko pracą operacyjno-śledczą. I nie jest to samodzielna instytucja, tak naprawdę jest to integralna część stutysięcznej formacji, jaką jest Policja. Natomiast Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego (ABW) – to sześć tysięcy funkcjonariuszy, czyli dziesięciokrotnie więcej niż ma CBA.

Podaję te liczby, aby poniżej wskazać na kilka osiągnięć CBA w walce z korupcją na wszystkich szczeblach władzy.

Przykłady z ostatnich dni: pod Koszalinem został zatrzymany leśnik, który od miejscowego właściciela tartaku od lat wymuszał miesiąc w miesiąc haracz za legalny zakup drewna. Leśnik decyzją sądu został tymczasowo aresztowany. Pod Lublinem lokalny przedsiębiorca, ale ustosunkowany politycznie, chciał łapówkami wymusić na samorządowcach decyzję o oddaniu mu w użytkowanie wieczyste rezydencji Potockich. Przedsiębiorca został już decyzją sądu tymczasowo aresztowany. W innej sprawie do sądu trafił akt oskarżenia w sprawie ustawiania przez gminnych urzędników z Oleśnicy przetargów na zakup atrakcyjnych gruntów. CBA ustaliło, że informacje o części przetargów na nieruchomości ukrywano w specjalnej zakładce na oficjalnej stronie internetowej gminy, dostępnej tylko dla wtajemniczonych w proceder. Wcześniej na gorącym uczynku przyjęcia korzyści majątkowej zatrzymano dyrektorów Centralnego Ośrodka Sportu. CBA ustaliło, że kierownictwo COS planowało nielegalne interesy na szeroką skalę przy okazji organizacji Euro 2012. Ponadto CBA rozbiło 10-osobową grupę, którą tworzyli głównie byli policjanci, zajmujący się windykacją długów. Podejrzani, powołując się na wpływy w organach ścigania, oferowali pośrednictwo w uzyskaniu korzystnych rozstrzygnięć w toczą-

cych się postępowaniach, m.in. zwalniania z aresztu czy odzyskiwania samochodów zabezpieczonych przez organy ścigania. Za swoje usługi żądali do kilkuset tysięcy zł.

W innej sprawie CBA udowodniło sędziemu Sądu Rejonowego w Białymstoku-Białej wydawanie korzystnych wyroków, za co inkasował od kilku do kilkudziesięciu tysięcy zł. CBA wykryło także przestępstwa korupcyjne wysokich urzędników państwowych popełniane poza granicami kraju; np. w wyniku prowadzonego w 2007 r. śledztwa został zatrzymany b. konsul RP w Malezji, któremu zarzucono wydanie obywatelom państw azjatyckich blisko 200 polskich wiz w zamian za łapówki na kwotę ponad 1,1 mln zł. Inne śledztwa doprowadziły do wykrycia korupcji w służbie zdrowia, w wojsku, w obrocie gospodarczym. CBA m.in. zapobiegło wrogiemu przejęciu majątku produkcyjnego toruńskiej spółki „Metron” o wartości ok. 30 mln zł.

Generalnie w prowadzonych w 2007 r. 284 śledztwach, 169 osobom postawiono 387 zarzutów popełnienia przestępstwa, wobec 59 podejrzanych zastosowano tymczasowe aresztowanie, na poczet przyszłych kar zabezpieczono 13 mln zł. Ponadto ujawniono narkotyki o czarnorynkowej wartości ponad 1 mln zł. CBA w 2007 r. przeprowadziło także 38 postępowań kontrolnych, m.in. kontrolerzy sprawdzili 702 oświadczenia majątkowe osób pełniących funkcje publiczne. W wyniku tych ustaleń, zarzut zatajenia prawdy o posiadaniu majątku usłyszał m.in. były poseł na Sejm RP Janusz M.

W minionym roku powstało dziesięć delegatur CBA. Najlepiej zorganizowane delegatury są w Katowicach, Gdańsku i we Wrocławiu, ale dobrze działają również w Białymstoku, Krakowie, Lublinie, Łodzi, Rzeszowie, Szczecinie i w Poznaniu. To mają być jakby frontowe placówki dla przeciętnego Polaka, który na co dzień styka się z drobną korupcją, która uniemożliwia mu normalne funkcjonowanie jako uczciwemu, przyzwoitemu obywatelowi.

Nie da się zaczarować rzeczywistości: korupcja i przenikanie zorganizowanych grup przestępczych do administracji czy gospodarki to u nas wciąż poważne zagrożenia. Jesteśmy uważani za jeden z najbardziej – po Rumunii – skorumpowanych krajów UE. A przypomnę, że kiedy w ubiegłej kadencji powstawało CBA, wielu twierdziło, że ta służba jest niepotrzebna, zagrozi demokracji, naruszy prawa człowieka. Tymczasem prawdziwe zagrożenia dla demokracji tkwią gdzie indziej, a są nimi właśnie korupcja, korporacjonizm, paraliż wymiaru sprawiedliwości, nadużywanie wolności

słowa przez media, nadmiar złego prawa. Stąd trudno zrozumieć, dlaczego Julia Pitera z PO, która zajmuje się w rządzie Donalda Tuska walką z korupcją, mówi, że całe CBA jest służbą zdegenerowaną. Cóż, po owocach poznaje się drzewo.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 20/2008)

O mafii paliwowej ani słowa

Pod koniec grudnia 2005 r. prokurator Wojciech Miłoszowski z Krakowa przekazał ministrowi sprawiedliwości prokuratorowi generalnemu Zbigniewowi Ziobrze informacje o prowadzonym przez niego śledztwie w sprawie mafii paliwowej. Świadczyły one o zagrożeniach dla bezpieczeństwa energetycznego państwa w obszarze związanym z kontraktami paliwowymi, kontraktami gazowymi i były związane z działaniem obcych służb specjalnych oraz zorganizowanej przestępczości. Straty budżetu państwa z tego powodu sięgały 10 miliardów złotych rocznie.

Minister Ziobro podjął decyzję, aby informacje ze śledztwa przekazać prezesowi PiS Jarosławowi Kaczyńskiemu, który był członkiem Rady Bezpieczeństwa Narodowego, konstytucyjnego organu odpowiadającego za bezpieczeństwo państwa, był posłem, liderem ugrupowania rządzącego, przyszłym premierem rządu, jednym słowem: człowiekiem mającym w tym momencie decydujący wpływ na kierunek polityki naszego państwa.

Kaczyński po zapoznaniu się z materiałami śledztwa powołał specjalny międzyresortowy zespół do walki z korupcją i przestępczością zorganizowaną. Obecnie sąd w Płocku, zamiast zajmować się mafią paliwową, oskarżył b. ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego Ziobrę o przekroczenie uprawnień, domagając się od Sejmu uchYLENIA jego immunitetu poselskiego.

Podczas posiedzenia Sejmu 3 września 2008 r. reprezentujący sejmową Komisję Regulaminową i Spraw Poselskich poseł Jarosław Urbaniak z Platformy Obywatelskiej, zamiast przedstawić Sejmowi stanowisko komisji w tej sprawie, atakował i krytykował dwa lata rządów PiS oraz samego Ziobrę jako ministra sprawiedliwości. Po nim wystąpił poseł Ziobro, który za nim na koniec sam zrzekł się immunitetu, wytłumaczył, że – zgodnie z prawem – udostępnił materiały śledztwa Jarosławowi Kaczyńskiemu, nie zostawił też suchej nitki na bezzasadnym i tendencyjnym politycznie wnio-

sku prokuratury. Dzięki transmisji z obrad w TVP, Polacy mogli się przekonać, że w przypadku uchylenia immunitetu Ziobrze mamy do czynienia z aktem zemsty politycznej przy wykorzystaniu prokuratury. Moim zdaniem, szkoda, że Ziobro sam zrzekł się immunitetu, bowiem lista posłów, którzy głosowaliby za uchyleniem jego immunitetu, byłaby swego rodzaju listą hańby.

Dodam, że zdaniem 47 proc. badanych w sondażu GfK Polonia dla „Rzeczpospolitej”, wniosek o uchylenie immunitetu Ziobrze był zemstą polityczną. Również większość Polaków za skuteczniejszego ministra uznaje Ziobrę (49 proc.), a nie Cwiągalskiego (26 proc.). Wyniki sondażu pokazują, że Polacy zaczynają wyciągać właściwe wnioski z dotychczasowych poszukiwań przez PO „zbrodni PIS-owskich”, tworzenia komisji ds. nacisków na służby, badania laptopa Ziobry, oskarżania polityków PiS o przyczynienie się do śmierci Barbary Blidy itd. Nie ma żadnych przesłanek, aby twierdzić, że rząd Kaczyńskiego wykorzystywał służby specjalne do walki z przeciwnikami politycznymi.

Słusznie Polacy oceniają atak na Ziobrę – jako akt politycznej zemsty na człowieku, który miał odwagę naruszyć interesy i dobre samopoczucie przestępców i ludzi z nimi związanych. Zarzuty wobec niego są absurdałne, ale równocześnie na tyle uzasadnione paragrafami prawnymi, aby przez wiele lat ciągać go po sądach, uprzykrzać życie, a także karać materialnie (ostatnio Ziobro przegrał proces o zniesławienie doktora G. i ma go przeprosić w ogólnopolskich mediach, co zapewne doprowadzi do bankructwa polityka; moim zdaniem, sędziowie wyraźnie ostrzegli innych polityków, aby nie zadzierali z mafią i korupcyjnymi układami, bo mogą źle skończyć).

Dlatego obok sprawy immunitetu Ziobry należy zapytać, czy ktoś wie, co słychać z postępowaniami sądowymi w sprawie mafii paliwowej, a od tego zaczął się problem Ziobry! Skoro udostępnione wówczas prezesowi Kaczyńskiemu materiały śledztwa były tak ważne, gdzie są procesy, gdzie oskarżenia? Czy akta mówiące o miliardach złotych strat dla budżetu państwa powędrowały na sądowe półki? Ile spraw już umorzono?

O to należałoby kruszyć kopie i pytać w tej sprawie polityków Platformy Obywatelskiej. Tymczasem rządzący zamiast wielkich procesów i oczyszczania państwa z korupcji, uderzają w polityka, który do tej pory uchodził za ideał ministra sprawiedliwości, za człowieka bezkompromisowego, gotowego poświęcić wszystko, abyśmy żyli w państwie prawa (Ziobro jest

pierwszym ministrem sprawiedliwości, za którym stoi niemal już legenda stanowej walki z przestępcami). I to pewnie boli rządzących, z tego powodu pojawiły się te medialne chwytły, że „mają” paragraf na Ziobrę, że minister sprawiedliwości wcale nie był taki czysty!

Atak na Ziobrę jest równocześnie walką propagandową z PiS, podobny bowiem „numer” szykuje PO na byłego ministra skarbu Wojciecha Jasińskiego – rzekomo grozi mu trybunał stanu za upadek stoczni (należałoby go również oskarżyć o to, że omal nie wygrał dla Polski procesu z Eureko). Można się spodziewać, że następny będzie Jarosław Kaczyński, a i na prezydenta też coś się znajdzie, zwłaszcza że o sprawie impeachmentu, postawienia w stan oskarżenia prezydenta, wypowiadał się już premier.

Krótko mówiąc, Platforma Obywatelska zamiast ścigać przestępców, uderza w osoby, które walczyły z mafią i korupcją. Odnoszę jednak wrażenie, że to nie sami rządzący chcą zniszczyć byłego ministra sprawiedliwości, a także rozprawić się z ideą IV RP. Stoją za tym mafijni bossowie, żądają tego przywrócenia do łask agencji specśłużb, jednym słowem, wszyscy ci, którzy poczułi się zagrożeni działaniami ministra Ziobry, któremu „za-chciało się” wprowadzać prawo i sprawiedliwość.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 37/2008)

Upadek przemysłu stoczniowego

(Przemówienie na 24 posiedzeniu Senatu, 16–19 grudnia 2008 r., w sprawie ustawy o postępowaniu kompensacyjnym w podmiotach o szczególnym znaczeniu dla polskiego przemysłu stoczniowego).

Pani Marszałek! Wysoki Senacie!

Nie chciałbym być Kasandrą i prorokować o tragedii polskiego przemysłu stoczniowego, ale obawiam się, że ta dyskusja potwierdza, że jesteśmy w bardzo trudnym momencie, jeśli chodzi o przemysł stoczniowy. Może się to faktycznie zakończyć katastrofą. Nie chcę oceniać rządów, które są najbardziej odpowiedzialne za to, co się stało. Faktem jest jednak, że to obecny rząd weźmie największą odpowiedzialność za to, co się może wydarzyć. Ufam, że słowa pana ministra Gawlika są zgodne z prawdą i że faktycznie rząd walczy o to, żeby przemysł stoczniowy ocalał przynajmniej w jakiejś części.

Zadziwiające jest jednak to, że podczas debaty poselskiej w Sejmie, poprawki posłów Prawa i Sprawiedliwości zostały odrzucone. Chodziło o to, aby wprowadzić do ustawy kompensacyjnej poprawki o kontynuowaniu produkcji statków. Pan, Panie Ministrze, stwierdził, że wprowadzenie tego zapisu nie jest możliwe, ponieważ przetarg, w którym zostanie wyłoniony inwestor, ma być bezwarunkowy, a dodatkowo powstanie „niebezpieczeństwo przejścia zwrotu pomocy publicznej na nabywcę stoczni”.

Zapewne to prawda, ale widać w tym wszystkim wyjątkową uległość wobec urzędników Komisji Europejskiej. Ta właśnie uległość wobec urzędników Komisji Europejskiej szczególnie mnie bulwersuje w kontekście działań podejmowanych, i dawniej, i obecnie, przez rządy dużych, bogatych państw unijnych, które wspierają swoje gospodarki wielomiliardowymi dotacjami. Przypomnę tylko, że prezydent Sarkozy podjął decyzję o nacjonalizacji dwóch stoczni francuskich, co jest pomocą publiczną, bo zasili je sumą 750 milionów euro. Kanclerz Niemiec decyduje o przeznaczeniu 1 miliarda euro na wsparcie Opla i niemieckiego przemysłu samochodowego oraz miliardów euro na pomoc bankom. Silvio Berlusconi, medialny książę, mający na koncie wykupywanie za państwowe pieniądze długów Alitalii, także ma zamiar ratować włoskie firmy samochodowe. Rząd holenderski hojnie wspiera grupę finansową Fortis, bankruta, który pośredniczył w zakupie polskich stoczni.

Krótko mówiąc, sytuacja kryzysowa na rynkach europejskich, światowych, powinna pomóc rządowi w domaganiu się innego traktowania naszego przemysłu stoczniowego przez Komisję Europejską. Tylko, tak mi się wydaje, rząd musiałby tego chcieć. Należałoby – pan minister o tym mówił – wyjaśnić dokładnie, na czym polegała pomoc państwa dla stoczni od maja 2004 r. Okazałoby się wtedy, że nasza pomoc była podobną do tej, jakiej udzielały swoim gospodarkom inne państwa Unii Europejskiej.

I tu przypomnę, że 5 grudnia w czasie drugiego czytania specustawy stoczniowej w Sejmie, Prawo i Sprawiedliwość zaproponowało uchwałę, która miała dostarczyć rządowi argumentów przemawiających za udzieleniem pomocy publicznej polskim stoczniom. Ta uchwała byłaby takim, powiedzmy, orężem w walce polskiego rządu z Komisją Europejską. Ale nic z tego: uchwała została odrzucona przez koalicję rządową.

Prawdą jest to, co było tutaj mówione, że ta ustawa, wynegocjowana między rządem a związkami zawodowymi ze stoczni Gdynia i Szczecin, przewiduje, że sprzedaż odbędzie się w otwartym, nieograniczonym prze-

targu i pracownicy otrzymają odpowiednie odszkodowania, nawet do 60 tysięcy zł z Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych. Padła tutaj suma 500 milionów zł na program ochronny. Tak nawiasem mówiąc, to i tak niewiele, bo stoczniowcy hiszpańscy otrzymali kilkakrotnie więcej. Ale tak między Bogiem a prawdą, ktoś już powiedział: dlaczego polski podatnik ma płacić podwójnie? Płacić stoczniowcom, którzy tracą pracę, i płacić za likwidację polskiego przemysłu stoczniowego. To faktycznie jest bardzo dziwne.

Krótko mówiąc, rząd Donalda Tuska realizuje plan Komisji Europejskiej, aby żurawie i dźwigi w stoczniach w Gdyni i w Szczecinie stały się pomnikami przemysłu stoczniowego, a powstałe tu inne przedsiębiorstwa produkowały, mówiąc obcesowo, mydło i powidło. Jednym słowem, specustawa nie realizuje elementarnych założeń, które miały uratować stocznie w Gdyni i w Szczecinie, uratować polski przemysł stoczniowy.

Padły w tej Izbie słowa, że likwidacja polskich stoczní oznacza nie tylko utratę miejsc pracy dla blisko dziewięćdziesięciu tysięcy pracowników stoczní i zakładów kooperujących, ale przede wszystkim koniec przemysłu stoczniowego. Chciałbym się z tym nie zgodzić, ale gdyby do tego doszło, to myślę sobie, co powiedziałby na to wielki Polak Eugeniusz Kwiatkowski, inicjator budowy Morskiego Portu w Gdyni. Chyba umarłby po raz drugi, tym razem z przerażenia, gdyby zobaczył, co obecne władze robią z jego dziełem i pracą kilku pokoleń ludzi, którzy włożyli serce w budowę polskiego przemysłu stoczniowego na Wybrzeżu.

Przypomnę, że port w Gdyni kilkanaście lat po zbudowaniu, bo już w 1938 r., był jednym z największych i najnowocześniejszych portów w Europie. Obsługiwał blisko połowę polskiego handlu zagranicznego. Obok portu błyskawicznie wyrosło miasto, które przed wojną liczyło sto dwadzieścia tysięcy mieszkańców, i to wszystko w jakimś sensie dzisiaj zostanie zmarnowane.

Pani Marszałek, Wysoki Senacie. Obawiam się, że kłopoty polskiego przemysłu stoczniowego są zapowiedzią nadciągającej katastrofy całej polskiej gospodarki. Jeżeli bowiem polski rząd nie potrafi wykorzystać wszystkich możliwości, aby ratować strategiczne dla Polski przedsiębiorstwa, to jak będzie z innymi zakładami, kiedy na skutek obecnego kryzysu gospodarczego zaczną upadać?

Zadziwiająca i niezrozumiała jest dla mnie w tym względzie postawa związków zawodowych w stoczních, które pozwoliły się przez wiele mie-

sięcy zwodzić, oszukiwać, a obecnie zadowolają się odprawami, a nie dbają o przedsiębiorstwo, o przyszłość swojej matki żywicielki, bo tym jest dla nich stocznia. Pieniądze, które stoczniovcy otrzymają, będą skonsumowane, natomiast ich wykształcenie i doświadczenie po prostu pójdzie na marne.

Wróć jeszcze raz do zarzutu Komisji Europejskiej, że władze Polski udzieliły stoczniom takiej pomocy publicznej, która jakoby narusza zasady konkurencji na rynku unijnym. A czy inne rządy europejskie nie ingerują w rynek? Ta niekonsekwencja Komisji Europejskiej prowadzi do jednego wniosku: w Unii Europejskiej nie ma równości, panuje w niej imperialny neokolonializm. Duże państwa dążą do dominacji nad państwami mniejszymi, które tylko dlatego nieraz są słabe i bezbronne, ponieważ nie potrafią się obronić.

Jesteśmy świadkami, jak na Zachodzie upada fałszywa ideologia wolnego rynku, a wraca słuszna zasada interwencjonizmu państwowego. Ale tylko tam, u nas nie wolno. U nas powinna nadal panować dzika prywatyzacja. Bo jak inaczej nazwać sprzedaż stoczni, które upadają z powodu huśtawki walut, przewartościowanej złotówki, fatalnego zarządzania, niszczenia konkurencji przez przenoszenie produkcji do innych krajów, gdzie siła robocza jest tańsza?

I jeszcze jeden, ostatni ważny moment. Upadek stoczni w Szczecinie i w Gdyni ma znaczenie także symboliczne i historyczne, bo przecież uczestniczyły one w wielkim ruchu „Solidarności”. I to jest jakaś ironia losu, że rząd, który odwołuje się do dziedzictwa „Solidarności”, staje się grabieżcą tych stoczni. Zgłaszam poprawki do ustawy. Dziękuję za uwagę.

Bez abonamentu nie będzie misji

Senat przegłosował poselski projekt ustawy przygotowanej przez Platformę Obywatelską, zwalniającej emerytów i rencistów, a także osoby niepełnosprawne oraz niezdolne do pracy z płacenia abonamentu radiowo-telewizyjnego. Ustawa sprytnie solidaryzuje się z emerytami i rencistami, ale z pewnością nie jest to projekt społecznie sprawiedliwy, ponieważ z płacenia abonamentu będzie zwolniony dobrze uposażony emeryt mundurowy, a pozostawia się ten obowiązek biednej rodzinie wielodzietnej. A poza tym, od nowego roku PO zapowiada zniesienie abonamentu radiowo-tele-

wizyjnego, dlatego obecne zwolnienia są czystym populizmem, działaniem pod publiczkę. Jeśli już chce się społeczeństwo odciążyć od płacenia jakiegoś podatku, to nie za cenę ataku na media publiczne, zwłaszcza ucierpi Polskie Radio, które w 70 proc. utrzymuje się z abonamentu (można było sprawę abonamentu uregulować na różne sposoby, np. oddać go wszystkim płacącym z powrotem w postaci odpisu od podatku).

Dlatego, jak sądzę, nie chodzi w ogóle w tej ustawie o przyjsię komukolwiek z pomocą, ale o stopniową likwidację abonamentu radiowo-telewizyjnego, a w konsekwencji najpierw o osłabienie, a potem sprzedaż mediów publicznych. Świadczy o tym wypowiedź premiera Donalda Tuska, który na początku marca wyraził się wprost: „Abonament jest ciężarem archaicznym”. Zaskakujące słowa, ponieważ abonament, czy różne jego rodzaje, jest niemal we wszystkich krajach UE, to po prostu europejski standard finansowania mediów publicznych, który uniezależnia media publiczne od budżetu państwa, od wpływów i decyzji polityków. W zamian za abonament media publiczne spełniają powinności misyjne, czyli rozwijają kulturę, uczą patriotyzmu, bronią tradycyjnych wartości, a także aktywnie włączają się w życie publiczne i kulturalne, na przykład wspierają instytucje charytatywne, akcje społeczne, mają udział w produkcji filmów, organizacji imprez kulturalnych, festiwali czy konkursów artystycznych.

Ktoś powie, że nie widzi różnicy między mediami publicznymi a stacjami prywatnymi, komercyjnymi. Owszem jest, widać ją bodaj w serwisie informacyjnym. W tej drugiej zawsze jako pierwszą nagłaśnia się wiadomość o jakimś wypadku i śmierci ludzi, skandalach obyczajowych, co z punktu widzenia przekazu społecznego nie ma praktycznie żadnego znaczenia. Dla stacji prywatnej zawsze sensacja staje się czołową informacją. Powstaje pytanie, czy nie ma ważniejszych spraw do prezentowania? Właśnie media publiczne zachowują gradację informacji, kierują się polską racją stanu, w nich znajdziemy m.in. informacje religijne, tak ważne dla większości Polaków. Stąd likwidacja abonamentu to prosta droga do narzucenia nam tabloidowego myślenia o świecie, czyli czegoś gorszego aniżeli dawne zachowanie partyjnych cenzorów, którzy pilnowali głównie przewodniej roli PZPR i sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Stacje komercyjne walcząc o zysk, o widzów i słuchaczy, nie liczą się z wartościami i moralnością, nie interesują się historią i kulturą. Dla nich parady gejów, burdy kibiców sportowych, pożary, morderstwa i pobicia są ważniejsze od

rocznic państwowych czy nawet spraw gospodarczych. Dlatego płacąc abonament na media publiczne – czyli na trzy programy TVP, Telewizję Polonia, na ośrodki telewizji regionalnej oraz ogólnopolskie rozgłośnie radiowe i 17 rozgłośni regionalnych – zależy nam na realizacji ich misji publicznej, a nie pogoni za zyskiem i reklamami.

Prawdą jest, że wpływy z abonamentu pokrywają tylko 1/3 kosztów związanych z realizacją misji. Resztę pokrywa dochód z reklam. Ale prawdą jest i to, że abonament opłaca zaledwie 43 proc. prywatnych użytkowników oraz 5 proc. firm. Dlatego należałoby się zastanowić, jak poprawić jego ściągalność, a nie doprowadzać do likwidacji. Co gorsza, już obecny polityczny spór o abonament pociągnął za sobą finansowe konsekwencje. Wielu tych, którzy regularnie opłacali abonament, przestało płacić w momencie, gdy politycy Platformy zapowiedzieli wspomniane zwolnienia. Tylko w pierwszym kwartale br. wpływy zmniejszyły się o 60 milionów zł. Uderzy to w oddziały terenowe telewizji i radia, ograniczone zostaną produkcje teatralne i filmowe, a na koniec roku będą zwolnienia z pracy.

PO zapowiada, że „misja” będzie finansowana z budżetu państwa w postaci grantów na konkretne projekty. Oczywiście, może tak być, ale dlaczego nie mówi się od razu, skąd znajdzie się miliard złotych w budżecie? A nawet jak się pieniądze znajdą, czy taka dotacja będzie zgodna z przepisami unijnymi, które są bardzo restrykcyjne w kwestii „pomocy publicznej”, czyli przekazywania budżetowych pieniędzy na wspieranie instytucji Skarbu Państwa.

Przypomnę, że abonament istniał w momencie przystępowania Polski do Unii, dlatego nowa forma finansowania będzie wymagała niezwykle trudnych negocjacji w Brukseli. Skoro o tym się nie mówi, to znaczy, że dąży się do likwidacji mediów publicznych, a przynajmniej do ich poważnego osłabienia na rzecz nadawców prywatnych. Nawet jeśli uda się taki fundusz na rzecz „misji” mediów publicznych utworzyć, to – jak sądzę – o te same granty upomną się także stacje komercyjne, i będą miały do tego prawo.

Krótko mówiąc, za likwidacją abonamentu ukrywają się rozwiązania prywatyzacyjne, „misyjne” pozostałby tylko drugi program, dotowany z budżetu, całkowicie podległy rządowi. Jak z tego widać, Platformie nie chodzi o to, jaka ma być telewizja, tylko o to, jak wygrać ją dla swojej partii. A że przy okazji zostanie zniszczona „misja”, abonament, kogo to obchodzi. Okaze się wkrótce, że w mediach będą dominowały tylko sympatyzujące

z PO stacje prywatne. Broniąc abonamentu, nie zapominam, że TVP to przerośnięty moloch, że nie wypełnia za dobrze wspomnianej misji publicznej, że należy ją zreformować. Jednak każde inne finansowanie mediów publicznych, zwłaszcza z budżetu państwa, jeszcze bardziej uzależni je od bieżącej władzy i polityki.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 24/2008)

Holenderski scenariusz

Senat debatował nad tzw. ustawą medialną, która rzekomo miała być kosmetyczna, a w rzeczywistości całkowicie zmienia rynek mediów publicznych, oddając je w ręce rządzących. Mimo sprzeciwu PiS, ustawa wraca do Sejmu, gdzie głosami PO-PSL oraz SLD zostanie z pewnością przegłosowana. Oznacza to koniec znaczenia oraz niezależności mediów publicznych. Likwidacja abonamentu oraz brak możliwości innego finansowania mediów publicznych w 2010 r. doprowadzi je do upadku.

Przypomina się w tym momencie scenariusz holenderski, o którym chciałbym wspomnieć. Mianowicie w 2000 r. zlikwidowano w tym kraju abonament radiowo-telewizyjny i zastąpiono go niskim podatkiem płacowym wraz z PIT. Na skutek tej regulacji nastąpił spadek finansowania mediów o 40 proc., co groziło likwidacją holenderskiej telewizji publicznej. Jej słabość na rynku błyskawicznie wykorzystały niemieckie koncerny ProSiebenSat Media AG i RTL. Aby uniknąć całkowitego upadku publicznej telewizji, w 2007 r. w wyniku zgody politycznej doprowadzono do podpisania specjalnego porozumienia koalicyjnego nazwanego Balkenende 4 (od nazwiska urzędującego premiera), które zagwarantowało nadawcy publicznemu dodatkowe środki budżetowe w wysokości 50 mln euro rocznie. Trochę to pomogło, ale media publiczne nie są już w stanie odzyskać straconych widzów, udziałów w rynku reklam czy odpowiedniego poziomu produkcji telewizyjnej. Co jednak ważne, obecnie Komisja Europejska każe zwrócić holenderskiej telewizji publicznej nawet te niewielkie środki, które parlament przyznał im, by je ratować po likwidacji abonamentu. Po prostu wspomnianą pomoc publiczną przyznano bez odpowiedniej notyfikacji (zgody) Komisji Europejskiej.

W podobny sposób jak Holendrzy telewizję publiczną osłabili Węgrzy i Czesi. Teraz z trudem naprawiają szkody, a zaczęli od radykalnego

uszczelnienia systemu ściągania abonamentu, by poprawić sytuację finansową telewizji publicznej. W tym celu np. Cześć ściągają abonament wraz z zapłatą za energię i obecnie ściągalność wynosi 90 proc.

Realizowany w naszym kraju holenderski scenariusz ma jeszcze dodatkowe niebezpieczne elementy. Oto od nowego roku media publiczne mają być finansowane – jak to wynika z ustawy – z Funduszu Zadań Publicznych, którego środki będą pochodziły z budżetu państwa, czyli z pieniędzy podatników. Różnica między abonamentem a funduszem jest taka, że o przeznaczeniu pieniędzy z funduszu zadecydują bezpośrednio politycy: najpierw w parlamencie zostanie przegłosowana w ustawie budżetowej odpowiednia kwota, a potem politycznie wybrana Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji będzie przyznawała tzw. licencje programowe, czyli będzie rozdzielała pieniądze podatników według uznania.

Jak wspominałem wyżej, uchwalony Fundusz Zadań Publicznych jest rodzajem pomocy publicznej. Aby dotować media publiczne z budżetu państwa, potrzebna jest uprzednia notyfikacja Komisji Europejskiej. Podobnie jak w Holandii, nie wystarano się o nią także u nas. Czyli w 2010 r. media publiczne bezprawnie otrzymają pomoc publiczną, którą potem trzeba będzie oddać, natomiast abonament, nawet jeśli na przyszły rok pozostanie, będzie dogorywał. Krótko mówiąc – publiczną telewizję i radio w Polsce spotka los polskich stocznii.

Kolejnym gwoździem do trumny mediów publicznych jest powołanie, w miejsce regionalnych ośrodków telewizji czy radia, odpowiednich samodzielnych spółek handlowych. Zostanie im przyznana część majątku wydzielonego z warszawskiej centrali. Jakież tu będą możliwości pojawienia się korupcji! Ale i tak nowe spółki radiowe i telewizyjne – mimo posiadania dużego majątku w postaci nieruchomości oraz urzędzeń nadawczych – nie będą w stanie samodzielnie się utrzymać. Zostaną zmuszone do ograniczenia swoich możliwości programowych i poszukiwania „sponsorów” we władzach samorządowych, a to oznacza koniec ich niezależności programowej i dziennikarskiej. Prosty wniosek: pomysł dekoncentracji mediów publicznych ma je osłabić, rzucić na żer konkurencji. To już nie tylko skok na przejęcie władzy w mediach publicznych, ale także na ich znaczenie oraz majątek. A jest on spory, wielomiliardowy. Także znaczenie mediów publicznych na rynku jest niebagatelne, bo sięga 40 proc. wpływów z reklam. Czyli na ok. 7 mld zł z reklam media publiczne inkasują 3,2 mld zł. To niebywała gratka dla mediów komercyjnych, zwłaszcza dla

TVN, najbardziej ekspansywnej stacji na naszym terenie. Musi dziwić, że taki magnat medialny, jak Rupert Murdoch, który zapowiadał zmiążdżenie polskiej telewizji, wycofał się z naszego rynku, uznając, że nie należy podważać globalnych decyzji. Jakich? Mówi się, że na polski rynek medialny, a także kilku innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej wejdzie niemiecki koncern RTL.

I wracając do ustawy, senatorowie wprowadzili zapis odrzucony przez Sejm, że misja publiczna radiofonii i telewizji powinna m.in. „(...) respektować chrześcijański system wartości, za podstawę przyjmując uniwersalne zasady etyki, służyć umacnianiu rodziny, służyć kształtowaniu postaw prozdrowotnych, zwalczaniu patologii społecznych”. Pozostał, niestety, zapis o „przeciwdziałaniu dyskryminacji ze względu na rasę, narodowość, wyznanie, płeć, orientację seksualną”, co jest przejawem ulegania naciskom Unii Europejskiej.

Na pewno sytuacja w mediach publicznych wymaga zmian. Obecna ekipa sukcesywnie niszczy media publiczne, wyrzucając z pracy znakomitych dziennikarzy i dyrektorów, przywracając ludzi „zasłużonych” w dawnych latach. Jednak ta ustawa dobije telewizję publiczną, jest to także majstersztyk politycznej hipokryzji. Zamiast odpolitycznienia, uzdrowienia czy naprawienia mediów publicznych – jak zapowiadała Platforma Obywatelska – mamy potwierdzenie, że chodzi wyłącznie o rzucenie ich na żer mediów prywatnych, dzięki którym wygrało się kolejne wybory.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 26/2009)

* Prezydent Lech Kaczyński zawetował ustawę, a Sejm nie zdołał weta odrzucić.

Głos należy do Ministra Skarbu

Podczas posiedzenia Senatu (29–31 lipca 2009 r.) senatorowie obradowali m.in. nad sprawozdaniem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji za 2008 r. Gruby tom, który otrzymaliśmy, uświadamia ogrom pracy, jaką ustawodawca złożył na barki tej instytucji. W sprawozdaniu można zauważyć pogarszającą się sytuację dotyczącą etyki w mediach w naszym kraju. Świadczy o tym bodaj ogromna liczba skarg, jakie wpłynęły do Krajowej Rady od społeczeństwa. Podpisało te skargi ponad dwanaście tysięcy osób. Skargi dotyczyły głównie nieprzestrzegania przez media komercyjne wartości – nazwijmy je wartościami duchowymi. Liczne skargi kierowane do Krajowej

Rady dotyczyły emitowania treści zagrażających prawidłowemu rozwojowi dzieci i młodzieży. Widzowie uznali za szkodliwe pokazywanie brutalnych scen, a także treści pornograficznych emitowanych w czasie do tego niedozwolonym. Z kolei w stosunku do mediów publicznych w skargach domagano się realizowania przez nie ustawowych powinności, czyli misyjności mediów publicznych.

Piszę o tym, ponieważ bodaj na tej podstawie można potwierdzić wagę Krajowej Rady, która jest w naszym kraju jedyną instytucją, która może upomnieć i ukarać nadawców za naruszenia przepisów regulujących np. ochronę małoletnich widzów. Ale przed Krajową Radą są obecnie zadania znacznie poważniejsze: musi przygotować ustawy wprowadzające nadawców do naziemnej telewizji cyfrowej. Już w 2011 r. programy naziemnej telewizji cyfrowej będzie można odbierać w całej Polsce, co oczywiście nie oznacza, że każdy odbiorca będzie miał odpowiedni odbiornik czy dekodery, a także że będzie przygotowany do swoistej rewolucji cyfrowej w mediach, bo to wymaga upowszechnienia umiejętności korzystania z mediów cyfrowych.

Bardzo ważną sprawą w sprawozdaniu stała się kryzysowa sytuacja w finansowaniu mediów publicznych w związku z gwałtownym spadkiem wpływów z opłat abonamentowych. W tym roku oznacza to kolejny spadek o 30 proc. Z pewnością jest to spowodowane zapowiedziami premiera Donalda Tuska oraz polityków Platformy Obywatelskiej likwidacji abonamentu. Z tego powodu wręcz należy mówić o zaplanowanym przez PO zamachu na media publiczne. Powód? Z jednej strony chodzi o gigantyczne pieniądze z reklam, a z drugiej – o dusze i myślenie Polaków. Przypomnę, że reklamy – to obecnie około 7 miliardów zł rocznie. W najbliższych pięciu latach rynek reklamowy osiągnie niebagatelną wartość 12–15 miliardów zł rocznie. Blisko połowę tej kwoty, jak dotąd, ściągają jeszcze silne media publiczne w Polsce. Drugą połowę tej kwoty dzielą się prywatne grupy medialne, które, co chyba zrozumiałe, są zainteresowane zmarginalizowaniem mediów publicznych w naszym kraju. PO im w tym pomaga, odwdzięczając się za przychyłność. I to jest jedna z przyczyn planowego zamieszania w mediach.

A druga sprawa, wiadomo: kto ma media, ten ma władzę. Kto ma dzisiaj media, ten może swobodnie kształtować idee ludzkie, rozwiązania polityczne, może kreować fikcyjne zdarzenia, autorytety, wzory zachowań, nie-
rzadko całkowicie sprzeczne z powszechnym przekonaniem, obyczajowo-

ścią oraz kulturą. To z tego powodu politycy PO najpierw uderzyli w podstawy finansowe mediów publicznych, zapowiadając zniesienie abonamentu, a następnie uchwalili tzw. ustawę medialną, zawetowaną przez prezydenta, która mogłaby całkowicie zaburzyć dotychczasowy porządek zarówno w działaniu Krajowej Rady, jak i rynku mediów. Pomóc miał w tym scenariuszu obecny prezes TVP Piotr Farfał, który dzięki zręcznej grze i politycznemu poparciu PO wyrósł na jedynowładcę w tej instytucji (gdyby PO chciała pozbyć się prezesa Farfała, mogłaby to już dawno uczynić). Jednak działania ministra skarbu Aleksandra Grada potwierdzają, że nikomu z rządu nie zależy na tym, by media publiczne w Polsce funkcjonowały na wysokim poziomie.

Ale, o dziwo, stał się „cud”. Krajowa Rada w przeddzień posiedzenia Senatu wybrała po ośmiu członków nowych rad nadzorczych w TVP i Polskim Radiu. Obecnie po jednym przedstawicielu do każdej z nich musi wskazać Minister Skarbu. Jeśli nie wskaże, to znaczy, że chce nadal rządów prezesa Farfała. Tym sposobem legł w gruzach misterny plan PO, aby obciążyć prezydenta Lecha Kaczyńskiego odpowiedzialnością za chaos w mediach. Plan był taki: Senat oraz Sejm głosami PO odrzucają sprawozdanie Krajowej Rady, więc decyzja o dalszym jej funkcjonowaniu byłaby w ręku prezydenta. Jeżeli prezydent nie odrzuciłby sprawozdania, byłby odpowiedzialny za dalsze rządy prezesa Farfała. Gdyby natomiast je odrzucił, Krajowa Rada zostałaby rozwiązana, a nową, oczywiście „apolityczną” Radę wybrałby obecny parlament, zdominowany przez PO.

Oskarża się PiS, że w sprawie rad nadzorczych dogadał się z lewicą, że wybrani członkowie w większości są ludźmi z klucza politycznego. Oto więc ich nazwiska. W TVP: Beata Kozłowska-Chyła (dr prawa, pracownik naukowy), Barbara Misterska-Dragan (ekonomistka, pracownik naukowy), Bogusław Piwowski (dziennikarz, wiceprezes BCC), Tomasz Szatkowski (prawnik), Bogusław Szwedo (członek poprzedniej RN TVP), Piotr Wawrzeński (członek poprzedniej RN TVP i szef IAR), Małgorzata Wiśnicka-Hińczka (dr nauk ekonomicznych), Krystyna Pawłowicz (prof. prawa). W Polskim Radiu: Bogdan Borkowski (prawnik), Janina Goss (b. szefowa rady nadzorczej TVP), Jarosław Hasiński (specjalista w zakresie nowych technologii radiowo-telewizyjnych), Piotr Jagiełło (członek b. rady nadzorczej PR), Grzegorz Kołtuniak (absolwent organizacji i zarządzania), Andrzej Liberadzki (doradca medialny premiera Jerzego Buzka), Radosław Potrzebszcz (prawnik) oraz Tomasz Sieniutycz (specjalista od reklamy).

Nie wolno dopuścić do upadku mediów publicznych, które, choć nieudolnie, pełnią ważną misję mecenasa kultury, rolę komunikatora w społeczeństwie, są gwarantem wolności słowa i wypowiedzi, prezentują wszystkie nurty społeczne, religijne czy polityczne. Przyglądamy się teraz, kiedy i kogo wybierze do rad nadzorczych minister Grad.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 33/2009)

Łupienie nie tylko szpitali

W parlamencie trwają prace nad projektami sześciu ustaw zdrowotnych, zgłoszonych przez Platformę Obywatelską. Jedna z nich zakłada m. in. obowiązkowe przekształcenie szpitali w spółki prawa handlowego, druga – wprowadzenie dobrowolnych, dodatkowych ubezpieczeń na świadczenia medyczne. PiS nie pozostawia suchej nitki na tych projektach, uważając, że jest to „partyzanckie” działanie, aby sprzedać wszystko to, co jeszcze pozostaje w rękach Skarbu Państwa. Dotyczy to nie tylko szpitali, ale także poczty, PKP, reszty polskich banków, energetyki itd.

Najbardziej niebezpiecznym elementem planu PO w ochronie zdrowia jest wspomniane przekształcenie każdego szpitala w spółkę prawa handlowego, co jest warunkiem oddłużenia danej placówki (są szpitale, a w tej chwili jest ich powyżej 50%, które nie mają długów, które dają sobie świetnie radę, po co je prywatyzować?!). Zdziwić jednak musi wiara polityków PO, że przekształcenie szpitala w spółkę prawa handlowego uzdrowi finanse zadłużonej placówki, skoro kodeks spółek handlowych i ustawa o swobodzie działalności gospodarczej mówi wyraźnie: po to zawiązuje się spółkę, żeby – działając na polu gospodarczym tworzyć zysk. Czy szpital, który stale się zadłużał, nagle stanie się dochodowy?

Kłamstwem jest mówienie, że oddajemy szpitale samorządom, bo polska służba zdrowia jest samorządowa od wielu lat. Wiadomo, co zrobi samorząd z zadłużającym się szpitalem: zlikwiduje go. Czy można wyobrazić sobie samorząd, który będzie utrzymywał nierentowny szpital? W likwidacji szpitala pomoże każdy, kto ma jakieś udziały w zadłużonym szpitalu, oddając sprawę do sądu, a ten bardzo szybko ogłosi upadłość placówki.

Prywatyzacja szpitali, zaplanowana przez PO, jest na zimno zaplanowanym zamachem na publiczną służbę zdrowia. Prezes PiS Jarosław Kaczyński powiedział wprost, że ta prywatyzacja „to największy przekręt po 1989

r. To nie prywatyzacja, ale wystawienie na sprzedaż majątku wartego ok. 100 miliardów zł. To jest rzeczywistość niebywała, niebywała bezczelność, aby coś takiego społeczeństwu przedłożyć. Ale, niestety, obecne mechanizmy funkcjonujące w Polsce pozwalają na taką bezczelność”.

Krótko mówiąc, taki sposób prywatyzacji szpitali jako żywo przypomina wyprzedaż majątku narodowego z początku lat 90., kiedy sprzedawano dobrą fabrykę za symboliczną złotówkę. Teraz też, najpierw za publiczne pieniądze oddłużymy szpital, przekażemy majątek samorządom, a ten, jeśli sobie z nim nie poradzi, będzie go mógł sprzedać różnym cwaniakom, którzy akurat ulokowali swoje pieniądze, wykupując długi szpitala.

Można jednak zrozumieć, dlaczego rząd Donalda Tuska przerzuca odpowiedzialność za likwidację nierentownych szpitali na samorządy. Tej odpowiedzialności nie chciał podjąć żaden z dotychczasowych rządów. PiS miał plan utworzenia sieci szpitali publicznych, ale za krótko rządził, aby projekt zrealizować. PO chce wszystko oddać pod dyktando rynku, ale to samorządy wezmą przed społeczeństwem odpowiedzialność za likwidację szpitala w danej miejscowości.

Nie znam państwa w Europie, które powierzyłoby w całości samorządom, a te z kolei prywatnym instytucjom sprawę ochrony zdrowia, która konstytucyjnie należy do uprawnień państwa. Przecież świadczenia zdrowotne są finansowane z budżetowych, publicznych pieniędzy. Niestety, dopłacać do służby zdrowia trzeba, tak robi cały rozumny świat. Zdrowie obywateli jest cenniejsze aniżeli cokolwiek innego. Wszyscy pracujący płacą składkę zdrowotną, oczekują za to odpowiedniej usługi. Dlatego rząd PO łamie konstytucję, nie realizując obowiązku zapewnienia obywatelom dostępu do świadczeń opieki zdrowotnej. Należy zwiększyć środki przeznaczone na służbę zdrowia do przynajmniej 6 proc. PKB (obecny poziom to troszkę powyżej 4 proc.).

Owszem, powinna powstać sieć szpitali prywatnych, ale większość placówek ochrony zdrowia musi pozostać publiczna, bo tylko takie szpitale i przychodnie mogą zapewnić bezpieczeństwo zdrowotne wszystkim obywatelom, przede wszystkim tym, których nie stać na dodatkowe świadczenia. A tych jest większość. Szpital oparty na spółce prawa handlowego, choćby nie chciał, musi zarabiać, musi postawić własny zysk przed bezpieczeństwem zdrowotnym. Gdyby więc ta ustawa weszła w życie, czeka nas nie tylko jeszcze większy chaos w służbie zdrowia, ale zapanuje dogmat zysku, a nie dogmat bezpieczeństwa zdrowotnego obywateli.

Kolejny projekt ustawy PO dotyczy dodatkowych ubezpieczeń zdrowotnych. Co to spowoduje? Krótko mówiąc, kto zapłaci, ten będzie mógł np. pominąć kolejkę do specjalistów, do nowoczesnych, drogich urządzeń, do specjalistycznych badań. Będzie też mógł skorzystać z lepszych świadczeń, np. z pojedynczego łóżka w szpitalu, całodobowej opieki pielęgniarstwa itd. Nie twierdzę, że to coś złego, ale większość naszego społeczeństwa jest za biedna na dodatkowe koszty, a poza tym i tak ponosimy już od lat ogromny ciężar przemian.

Wniosek: projekt reformy służby zdrowia zaproponowany przez PO, jest może dobry dla społeczeństwa amerykańskiego, gdzie jest dużo zamieszanych ludzi, silna klasa średnia. U nas prywatyzowanie wszystkiego, co możliwe, jest skandalem – a to zapowiada rząd Tuska. Temu należy się przeciwstawić. Czyżbyśmy zapomnieli, że skutkiem prywatyzacji w Polsce było m.in. ogromne bezrobocie, sięgające ponad 20 proc. Obecnie, po latach zaciskania pasa, stopniowo dochodzimy do równowagi gospodarczej, dochody budżetu państwa są całkiem niezłe, dlatego należy zwiększyć środki finansowe na służbę zdrowia, a nie likwidować szpitale.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 21/2008)

Referendum w sprawie służby zdrowia

(Przemówienie na 20 posiedzeniu Senatu, 28–31 października 2008 r., w sprawie uchwały Senatu o wyrażeniu zgody na zarządzenie przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej ogólnokrajowego referendum w sprawie kierunku reformy służby zdrowia).

Panie Marszałku. Wysoka Izbo.

Debatujemy w Senacie nad wnioskiem prezydenta o przeprowadzenie referendum w sprawie przyszłości służby zdrowia. Referendum – to jest rozsądne rozwiązanie, aby zapytać obywateli, czy chcą obowiązkowej komercjalizacji szpitali, czyli przekształcenia w spółki prawa handlowego, a w konsekwencji możliwej prywatyzacji.

Przypomnę, że prezydent Rzeczypospolitej zapowiedział w orędziu do narodu 7 października 2008 r., że chce uruchomić procedurę referendum, ponieważ służba zdrowia jest dziedziną, która dotyczy każdego Polaka. „Od urodzenia do śmierci praktycznie każdy, jedni częściej, inni rzadziej,

mają z nią do czynienia. Ochrona zdrowia jest ostatnią dziedziną życia społecznego, w której miałyby obowiązywać zasady wolnego rynku. Pacjent nie może być traktowany jako źródło zysku, a szpital czy ośrodek zdrowia nie może być po prostu maszyną do robienia pieniędzy. Stanie się tak, jeżeli dopuścimy w Polsce do prywatyzacji służby zdrowia”. Tyle słowa prezydenta.

Pytanie w referendum o komercjalizację może nie jest dla wszystkich jasne, ale jest najważniejsze, jakie można dzisiaj zadać: to pytanie dotyczy przyszłej struktury właścicielskiej szpitali. Nie jest prawdą, że ludzi chorych nie interesuje to, kto zarządza szpitalem, czy jest to prywatny właściciel, czy państwo. W komercyjnej instytucji zupełnie inaczej ułoży się struktura finansowa, dlatego powszechna i obowiązkowa komercjalizacja jest eksperymentem prowadzonym na żywym organizmie, ponieważ nigdzie w Europie nie ma takiego systemu, nigdzie na taką skalę nie przeprowadzono komercjalizacji służby zdrowia.

Do prezydenta, który jest najwyższym przedstawicielem obywateli Rzeczypospolitej, należy dbanie o porządek konstytucyjny, czyli ma obowiązek pilnować interesów Polaków. I to czyni. Jeżeli po wnikliwej analizie projektów ustaw przyjętych przez Sejm doszedł do wniosku, że wprowadzają one rozwiązania szkodliwe, godzące w słabiej uposażonych Polaków, ma prawo albo ustawę zawetować, czyli zwrócić ustawę sejmowi do ponownego rozpatrzenia, przesłać do Trybunału Konstytucyjnego, albo też zaproponować przeprowadzenie referendum. Dlatego jeśli rząd ma dobre intencje, jeżeli chce zwyczajnie poprawić funkcjonowanie opieki zdrowotnej, to referendum zmobilizuje go do jasnego przedstawienia swoich intencji, do wytłumaczenia Polakom sensu zmian, do znalezienia poparcia w społeczeństwie dla tych rozwiązań.

Nie dziwię się, że Polacy chcieliby wiedzieć wszystko o reformie służby zdrowia. Wielu lęka się, aby nie doszło do tego, co stało się z polskimi przedsiębiorstwami w latach 90-tych. A przypomnę, że obecny premier jako szef Kongresu Liberalno-Demokratycznego powiedział w 1993 r.: „polskie przedsiębiorstwa mogą być sprzedawane za bezcen, bo są nic nie warte”. Czy liberalna partia jaką jest PO nie powie wkrótce: „polskie szpitale są nic nie warte, ośrodki zdrowia są nic nie warte, więc je prywatyzujemy”.

Skoro rząd tak upiera się przy obecnych zmianach, śmiem twierdzić, że komercjalizacja i w następstwie tego możliwa prywatyzacja szpitali jest owocem liberalnej polityki PO. Dlaczego tak uważam?

Po pierwsze, PO w ustawach reformujących służbę zdrowia przyjęła zasadę, iż wszystko wie najlepiej, „my was uszczęśliwimy” (vide siłowe procesowanie ustaw w Sejmie). Krótko mówiąc, to przesadne samochwalstwo PO jest rodzajem samooszukiwającej się propagandy sukcesu. Tym zasłynął liberalizm na Zachodzie. Dzisiaj widzimy jak kończy się ta polityka w kwestiach finansowo-gospodarczych, jak upada wiara, że wszystko załatwi mechanizm wolnego rynku. Wiara w wolną gospodarkę bez nadzoru państwa jest jednym z największych błędów liberalizmu. Ten właśnie pogląd przyczynił się najbardziej do kryzysu bankowego na świecie i kryzysu gospodarczego w ogóle. Ten błąd chce popełnić PO w ustawach zdrowotnych.

Po drugie – program komercjalizacji szpitali jest liberalny dlatego, ponieważ będzie sprzyjał ludziom bogatym. Dzisiaj przeczytałem, że w rankingu najlepszych szpitali po raz pierwszy wygrało centrum medyczne niepubliczne. Wygrało, ponieważ dokonuje się w nim operacji za odpłatnością – oczywiście nie zaniedbując pacjentów, za których płaci NFZ. Ale w sytuacji pogorszenia się warunków finansowych placówki, to się może zmienić, biedni zaczekają w kolejce. Tak już jest, że w gospodarce liberalnej pierwszeństwo daje się bogaczom, a dla ubogich pozostają reklamy i propaganda.

Po trzecie – PO jest liberalna, ponieważ rząd mówi, że szpitali nie prywatyzuje, a tylko chce je zamienić w spółki prawa handlowego i przekazać samorządom, ale tak naprawdę chodzi o to, by zrzucić odpowiedzialność na samorządy. Liberalizmem jest w tym przypadku umniejszanie roli państwa. Widać to na innych przykładach, m.in. osłabiana jest armia obronna, nagle pojawiła się uszczęśliwiająca opcja odejścia od złotówki na rzecz wprowadzenia euro. Nawet premier Tusk zgłosił już pomysł, żeby znieść zameldowanie obywatelskie w państwie, bo Polak ma być obywatelem całej Europy.

Po czwarte – liberalizmem w PO jest nie znoszenie sprzeciwów. Krótko mówiąc, liberałowie zamiast kontynuować to, co dobre, naprawiać błędy i wspólnie tworzyć dobro Polski, obłądnie walczą o pierwszeństwo we wszystkim, a przykładem mogą być gorszące sceny nie użyczenia przez premiera samolotu dla prezydenta.

Po piąte – liberalizm chce zawsze łągodzić dyscyplinę prawną i moralną, stawiając prawo państwowe i polityczne wyżej niż moralne. Przykładem może być dyscyplina klubowa w PO podczas głosowania w Sejmie nad ustanowienie święta Trzech Króli.

Liberalizm PO przejawia się również w politycznej poprawności, w polityce uśmiechów, kłaniania się. Niestety, nie można ze wszystkim żyć w zgodzie – to złuda. Przekonał się o tym np. szwedzki pastor Ake Greek, którego są pierwszej instancji skazał tylko za to, że przedstawiał chrześcijańską naukę na temat homoseksualizmu, cytując Pismo Święte. Jest również przykład profesora Rocco Buttiglione, który nie został komisarzem Unii Europejskiej tylko dlatego, że prezentował poglądy chrześcijańskie. To jest ów terror tolerancji i politycznej, liberalnej poprawności.

Przenosząc to na grunt ustaw zdrowotnych, słyszę głos PO: musicie poprzeć bezwarunkowo nasze zmiany, bo one zawierają jedyne i najlepsze rozwiązania dla Polski. I jak dodaje premier: jak nie poprzecie, to my i tak wiemy, jak to wprowadzić. To jest właśnie styl dyskusji o Polsce z PO. Dziękuję za uwagę.

Zdrowotna antyreforma

Ustawy zdrowotne, albo raczej antyzdrowotne, uchwalone głosami sejmowej koalicji PO-PSL są już w Senacie. Chodzi w nich głównie o komercjalizację, czyli o obowiązkowe przekształcenie wszystkich szpitali w spółki prawa handlowego (szpitale mają przynosić zysk), następnie o przekazanie ich samorządom (aby były lepiej zarządzane) oraz o możliwość ich prywatyzacji. Może ktoś nie uwierzy, ale takie prawo funkcjonuje już od dawna, szpitale mogą przekształcać się w spółki, mogą też być prywatyzowane, problem w tym, że teraz będą musiały to uczynić.

Dlatego w Senacie pojawił się wniosek Prezydenta RP o narodowe referendum w tej sprawie. Lech Kaczyński chce, by o przyszłości placówek ochrony zdrowia zdecydowali sami Polacy. W opinii Prezydenta, istnieje uzasadniona obawa, że skomercjalizowane szpitale – aby się utrzymać – będą goniły za zyskiem, będą wybierać procedury drogie, które nie wymagają licznej obsługi medycznej, a w konsekwencji też nie zadbają o ubogich pacjentów, którzy będą odsyłani od szpitala do szpitala, ponieważ nie będzie ich stać na dopłacenie do leczenia. Jak w głosowaniu zachowają się senatorowie, wśród których jest wielu znanych lekarzy, rektorów i profesorów wyższych uczelni? Ilu z nich nie podda się dyscyplinie partyjnej?

Kiedy w Sejmie trwały głosowania nad tymi ustawami, zebrane na galerii pielęgniarki wołały: „Hańba! Hańba!”. Wyciągnęły też transparent z hasłem „Jest nas coraz mniej”, który straż marszałkowska wyrwała im z rąk. Przypomnę, że te same pielęgniarki rok temu urządziły tzw. białe miasteczko przed kancelarią Rady Ministrów, okupowały gabinet premiera Jarosława Kaczyńskiego, krótko mówiąc – strajkowały pod dyktando PO, ponieważ osobami, które ich najczęściej odwiedzały, była obecna minister zdrowia Ewa Kopacz oraz prezydent Warszawy z PO Hanna Gronkiewicz-Waltz. Wtedy pielęgniarkom chodziło nie tylko o większe pieniądze na służbę zdrowia, ale także o to, aby obalić rząd PiS. Szkoda, że siostry przebudziły się dopiero teraz, zrozumiały, że jeżeli te ustawy wejdą w życie, nie tylko nie dostaną więcej pieniędzy, ale przede wszystkim rząd nie będzie odpowiedzialny za ochronę zdrowia i państwo przestanie interesować się chorymi obywatelami. Wszystko spadnie na barki samorządów.

Minister Kopacz zaprzecza, by w tzw. komercjalizacji chodziło o prywatyzację, zapewnia, że szpital zamieniony w spółkę prawa handlowego poprawi jakość usług, każdy pacjent będzie mógł sam zdecydować o tym, kto, za ile i jak długo będzie go leczyć. Gdyby to była prawda... Jak sądzę, za tą zmianą ukrywa się coś więcej. Po pierwsze, jak wspomniałem, rząd chce zrzucić odpowiedzialność za zdrowie obywateli na samorządy, a po wtóre – istnieje lobby lekarskie, które chce zarobić na przyszłej prywatyzacji szpitali. Przyszłość łatwo przewidzieć: komercjalizacja skłoni dyrektorów szpitali do zamykania tych oddziałów, które są nierentowne, a to z kolei spowoduje jeszcze większe kolejki oczekujących na operacje czy do lekarzy specjalistów. Nie znajdzie się nikt, kto zmusi szpital do udzielenia świadczeń zdrowotnych, które co prawda finansuje NFZ, ale w wysokości niezapewniającej zysku.

Krótko mówiąc, czeka nas pogoń za zyskiem, a nie leczenie pacjentów. Rozpocznie się także handlowanie szpitalami, ponieważ w ustawach przyjętych przez PO i PSL przewiduje się możliwość prowadzenia na terenie szpitala innej działalności zarobkowej, będzie można otworzyć sklep, pub, restaurację...

Czy to znaczy, że obecnie jest dobrze? Z pewnością należy wzmocnić nadzór właścicielski nad szpitalami, natomiast samo przekształcenie ich w spółkę prawa handlowego nie poprawi złej sytuacji finansowej, nie wydobędzie z zadłużenia. Inaczej mówiąc, sama forma własności szpitala nie

zmieni zasad pozyskiwania świadczeń zdrowotnych. Przeciwnie, komercjalizacja szpitali otwiera możliwość pobierania dodatkowych opłat od pacjentów np. za przyjęcie pacjenta do szpitalu z pominięciem kolejki – to już prosty krok w stworzeniu dwóch systemów opieki medycznej: dla bogatych i biednych.

W całej Europie dominuje medycyna publiczna, dofinansowywana ze środków budżetu państwa. Szkopuł w tym, że finansowanie opieki zdrowotnej w naszym kraju jest na najniższym poziomie w Europie. Np. minimalne nakłady na zdrowie w Europie wynoszą 6% PKB, u nas jedynie 4% (w Anglii i Francji – 8% przy dużo wyższym PKB). Jednym słowem, z samych pieniędzy zarobionych przez szpital i tak nie będzie można naprawić bazy materialnej, przeprowadzić remontu, wymienić drogiego sprzętu. Na to potrzebne są środki publiczne. Dzisiaj szpitale w większości korzystają z dotacji samorządów, po wejściu ustaw w życie nie będzie takiej możliwości. Nie będzie wolno przekazywać publicznych dotacji spółkom. Komerccjalizując służbę zdrowia, pozbawiamy ją możliwości dotacji państwa – czego zakazuje prawo UE.

Nie rozumiem także oporu Platformy Obywatelskiej przed referendum. Przecież społeczeństwo ma prawo wyrazić własne zdanie w tak kluczowej kwestii. Nie wolno lekceważyć głosu Polaków. Premier Donald Tusk sam wielokrotnie chwalił instytucję referendum. Co wpłynęło na zmianę jego opinii?

Dlatego to, co Sejm zaproponował służbie zdrowia, to antyreforma, próba przesunięcia Polski z Europy do Trzeciego Świata, gdzie są wyłącznie prywatne szpitale. Jaki będzie owoc tej reformy? Obawiam się, że jakiś czas szpitale pozostaną w rękach samorządów, potem okaże się, że starostwa czy urzędy marszałkowskie nie są w stanie pomagać wszystkim, dlatego najpierw pojawi się jakaś forma dzierżawy, potem w ramach oszczędności nastąpi likwidowanie nierentownych oddziałów, wreszcie syndyk zajmie się ich upadłością, w efekcie dawny dyrektor, ordynator lub miejscowy biznesmen kupi narodowy majątek za cenę terenu pod szpitalem. I o to naprawdę chodzi: nie o reformę czy komercjalizację szpitali, lecz o wcielenie w życie brudnych kombinacji finansowych, które była posłanka Sawicka nazwała „kręceniem lodów”.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 44/2008)

Skazano ręce, nie skazano głowy

W nocy z 26 na 27 października 2001 r. ze swojego domu w Drobinie został uprowadzony Krzysztof Olewnik. Przez blisko dwa lata był przetrzymywany w nieludzkich warunkach, po czym 5 września 2003 r. został bestialsko zamordowany, pomimo przekazania okupu przez rodzinę. Wiele wskazuje na to, że śmierci tej można było uniknąć, gdyby nie skandaliczne zaniechania bądź celowe działania policji, prokuratorów, a także innych funkcjonariuszy publicznych, w tym polityków. Lista zaniedbań, nieprawidłowości czy też skandalicznych działań funkcjonariuszy publicznych, noszących nawet znamiona przestępstw, jest bardzo długa. Zwłaszcza przez pierwsze dwa lata, między rokiem 2001 a 2003, kiedy Krzysztof Olewnik żył, łatwo można było go wykryć. Tymczasem rodzina uprowadzonego była kierowana przez funkcjonariuszy państwa na fałszywy trop. Wszystko to działo się za rządów polityków Sojuszu Lewicy, u których rodzina Olewników zabiegała o pomoc, ale poza deklaracjami nie przyniosło to żadnego efektu.

Z tej bodaj racji należałoby poprzeć projekt uchwały posłów Prawa i Sprawiedliwości, który 10 grudnia 2008 r. wnieśli do Marszałka Sejmu, domagając się powołania komisji śledczej do zbadania okoliczności uprowadzenia i tragicznej śmierci Krzysztofa Olewnika. Gdyby marszałek Bronisław Komorowski potraktował sprawę poważnie, może nie doszłoby do samobójczej śmierci trzeciego oskarżonego o tę zbrodnię, skazanego na dożywocie Roberta Pazika, który powiesił się w więzieniu 19 stycznia br. (przypomnę, że w czerwcu 2007 r. w olsztyńskim areszcie powiesił się Wojciech Franiewski, któremu prokuratura zarzuciła kierowanie zbrodnią, a w kwietniu 2008 r. w areszcie w Płocku powiesił się inny skazany na dożywocie zabójca – Sławomir Kościuk).

Czy ktoś uwierzy w trzecie samobójstwo w tej samej sprawie? Czy te samobójcze śmierci są przypadkowe, spowodowane wyrzutami sumienia czy przerażeniem, że w więzieniu przyjdzie spędzić całe życie? Nie jest chyba możliwe, aby ktoś nie stał za tymi „samobójstwami”. Kto jednak eliminuje sprawców tej okrutnej zbrodni? Można sądzić, że wszyscy trzej mieli wiedzę na temat prawdziwych zleceńodawców porwania i zabójstwa Olewnika, dlatego zadaniem nowej komisji śledczej powinno być wskazanie osób, które nad tym wszystkim czuwały, tych, które pilnują do teraz, aby nigdy prawda nie ujrzała światła dziennego.

Co nie mniej ważne, trzecia samobójcza śmierć osoby skazanej za zamordowanie Olewnika obnażyła bezradność obecnego wymiaru sprawiedliwości, dlatego dymisja ministra sprawiedliwości Zbigniewa Cwiągalskiego jest całkowicie uzasadniona. Minister, choć nie wprost, to jednak powinien był wiedzieć, że w tej sprawie dzieją się rzeczy przedziwne, ponadto obiegał rodzinie Olewników po drugim samobójstwie skazanego zbrodniarza, że osobiście przypilnuje sprawy.

Tu można przypomnieć, że pierwszym ministrem, który osobiście zajął się wyjaśnianiem tej zbrodni, był Zbigniew Ziobro. To za jego czasów doszło do wykrycia i zidentyfikowania sprawców, postawienia zarzutów zabójstwa, także odnalezienia ciała Krzysztofa Olewnika, wysłania aktu oskarżenia do sądu i skazania zabójców. Nowy minister, Cwiągalski, zamiast kontynuować śledztwo, pilnował wszystkiego, tylko nie sprawy Olewników, co powoduje, że odpowiedzialność polityczna za ostatnie samobójstwo – Roberta Pazika spada nie tylko na dyrektora zakładu karnego, ale i na ministra sprawiedliwości.

Zresztą, wokół ministra Cwiągalskiego od początku panowała atmosfera nieudolności: wydawał opinie w sprawie Henryka Stokłosa czy Ryszarda Krauzego. Za jego kadencji zawieszano ważne śledztwa. Uważał się za człowieka apolitycznego, za fachowca, a dokonywał politycznych czystek w prokuraturach. Był ministrem, który zamiast zająć się poważnymi sprawami, starał się za wszelką cenę zdyskredytować działania swojego poprzednika, angażując się w wyjaśnienie „zabójstwa” laptopa Zbigniewa Ziobry.

Tymczasem to za rządów PiS doszło do zintensyfikowania walki z przestępczością, nastąpił spadek przestępczości o jedną trzecią. Oznacza to, że kiedy minister Ziobro obejmował w 2005 r. resort sprawiedliwości, każdego dnia padało ofiarą przestępstw o 900 osób więcej niż po dwóch latach, kiedy odchodził. To prawda, że w więzieniach w tym czasie pogorszyły się warunki osadzonych, ale też za rządów Jarosława Kaczyńskiego, na wniosek ministra Ziobry, przygotowano program powstania nowych 17 tys. miejsc w zakładach karnych, m.in. pozyskując je w najtańszy i najszybszy sposób przez adaptację np. obiektów zbędnych wojsku i samorządowi. Co najważniejsze, to za rządów ministra Ziobry doszło do rozbicia tzw. układu warszawskiego, układu korupcyjnego w polskim futbolu, układu korupcyjnego w Ministerstwie Finansów, układu występującego w aferze paliwowej, układu mafii węglowej... I taki minister sprawiedliwości jest

obecnie ciągnący i skazywany przez sądy za wiedzą i przyzwoleniem swojego następcy! Byłego już następcy.

I wracając do sprawy Olewników. Zaczęło się od wojny o majątek rodziny, a kończy na eliminowaniu w więzieniach tych, którzy za dużo wiedzą. To typowe dla działania mafii. A jak wiadomo, żadna mafia nie mogłaby działać, gdyby nie miała wtyku na szczytach władzy państwowej, swoich ludzi w więzieniach oraz ochronnego parasola wśród polityków. Niech więc nowa komisja śledcza powstanie jak najszybciej, aby udowodnić, że w tej sprawie skazano ręce, ale nie skazano głowy. Jesteśmy to winni Krzysztofowi Olewnikowi, który przeszedł straszną tragedię, cierpienie i poniósł okrutną śmierć, a także jego najbliższymi, którzy, mimo bohaterskiej walki, zostali przez polskie państwo zawiedzeni.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 5/2009)

O działalności Sądu Najwyższego

(Przemówienie na 15 posiedzeniu Senatu, 10–11 lipca 2008, w sprawie informacji Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego Rzeczypospolitej Polskiej o działalności Sądu Najwyższego w roku 2007).

Panie Marszałku. Wysoki Senacie. Panie Prezesie.

Pańskie sprawozdanie zasługuje na uwagę, jest merytoryczne, dobrze oddaje spektrum orzecznictwa Sądu Najwyższego. Korzystając z okazji, chciałbym zwrócić uwagę na stan polskiego sądownictwa, konkretniej mówiąc, na rosnący brak zaufania społecznego do pracy polskich sądów i prokuratur, na co – to oczywiste – mają także wpływ orzeczenia Sądu Najwyższego.

Tutaj wspomnę – już w pytaniach zwróciłem na to uwagę – że debatujemy w momencie, kiedy Sąd Okręgowy w Warszawie umorzył postępowanie w sprawie generała Czesława Kiszczaka, oskarżonego o przyczynienie się do śmierci dziewięciu górników z kopalni „Wujek”. Ta decyzja z całą pewnością kłóci się z poczuciem sprawiedliwości społecznej, ale moim zdaniem – i tu nie zgadzę się z panem prezesem – zdecydowanie i bardzo dobrze „współgra” z orzeczeniem Sądu Najwyższego, z uchwałą z 20 grudnia 2007 r., kiedy to Sąd Najwyższy uniemożliwił osądzenie tych sędziów, którzy utrzymywali areszty i skazywali ludzi za przestępstwa na podstawie dekretu o stanie wojennym zanim zaczął obowiązywać. Współgra, ponie-

waż w obydwu przypadkach, mimo że dotyczą oczywiście innej materii, mamy do czynienia z ułomnością polskiego sądownictwa.

Przypomnę, choć o tym już mówiono, że dekret o stanie wojennym ogłoszono w radiu i telewizji oraz rozlepiono na murach miast w niedzielę 13 grudnia, w prasie opublikowano go 14 grudnia, ale Dziennik Ustaw z tym dekretem ukazał się dopiero 18 grudnia, a więc wedle zasad prawa dopiero od tego momentu przestępstwem stało się na przykład kontynuowanie działalności związkowej, udział w demonstracjach czy rozpowszechnianie wiadomości, druk ulotek – za co groziło do dziesięciu lat więzienia. Ostatni artykuł tego dekretu stwierdzał, że wchodzi on w życie z dniem ogłoszenia z mocą od dnia uchwalenia, czyli od 12 grudnia. A więc dla sędziów, którzy wtedy orzekali, powinno być sprawą oczywistą, że władze stanu wojennego naruszyły fundamentalną zasadę prawa karnego, mówiącą, że prawo nie działa wstecz.

Wynika z tego, że sędziowie i prokuratorzy, którzy pozbawiali wolności i skazywali za naruszenia dekretu między 13 a 18 grudnia, czyli zanim został opublikowany, popełnili czyn przestępczy. Prokuratorzy IPN kwalifikują to jako zbrodnię komunistyczną, która nie ulega przedawnieniu. Aby pociągnąć prokuratorów i sędziów do odpowiedzialności, oczywiście należało im uchylić immunitet, na co sądy dyscyplinarne nie wyraziły zgody i tak sprawa doszła do Wyższego Sądu Dyscyplinarnego dla sędziów działającego przy Sądzie Najwyższym. A ten postanowił sprawę rozstrzygnąć raz na zawsze. Właśnie 20 grudnia 2007 r. – pan prezes to w sprawozdaniu opisał – siedmiu sędziów uznało, że zwolnienie sędziów przez dekret z zasady nie działania prawa wstecz jest „oczywiste”, „oczywiste bezzasadne”. Dzięki tej uchwale Sądu Najwyższego sądy dyscyplinarne mogą teraz bez uzasadnienia odrzucać wnioski IPN o uchylenie immunitetu sędziom jako właśnie, tak jak powiedziałem, „oczywiste bezzasadne”. Innymi słowy, nie będzie już można rozliczyć sędziów stanu wojennego, bo sami siebie postawili ponad prawem.

Oczywiście mamy pewien, można powiedzieć, odwieczny problem: czy sędziowie mogą odmówić stosowania prawa, którego bezprawność jest oczywista? Zakaz karania wstecz jest fundamentem prawa od czasów rzymskich i ja w tym momencie nie chcę absolutnie sędziów stanu wojennego skazywać – od tego jest sąd – ale dlaczego nie pozwolono w ogóle sprawdzić, czy w konkretnym przypadku skazania kogoś, nie doszło do złamania praw człowieka, czy też do zbrodni, bo i tak mogło się zdarzyć? Czy to nie

zastanawia, że od zomowców strzelających w kopalni „Wujek” sąd wymagał przeciwstawienia się bezprawnemu rozkazowi, a od sędziów, którzy są oczywiście intelektualnie o wiele wyżej, lepiej wykształceni, takiej decyzji się nie wymaga? Jeśli zaś stosowali bezprawne prawo – a to jest dla mnie oczywiste – niech za to poniosą konsekwencje.

Chciałbym też nadmienić o innym sądowym rozstrzygnięciu, tym razem Sądu Okręgowego w Warszawie, który zwrócił do Instytutu Pamięci Narodowej akt oskarżenia w sprawie wprowadzenia stanu wojennego, żądając uzupełnienia go o dodatkowe dokumenty i zeznania nowych świadków. Jak znam życie, ta sprawa również znajdzie finał w Sądzie Najwyższym i może być tak potraktowana jak właśnie w sądzie okręgowym, czy w taki sposób, jak to orzeka uchwała z 20 grudnia ubiegłego roku. Przykro mi to powiedzieć, ale nie byłem tym ani zdziwiony, ani zaskoczony. Obserwując to, co dzieje się w sądach, zwłaszcza w stosunku do materii historycznej, mam niemal pewność, że właśnie w sprawach oceny PRL sądy, mówiąc kolokwialnie, biorą na przeczekanie, liczą na przedawnienie, na ludzką niepamięć.

We wspomnianym przypadku to była żenująca farsa. Aby przerwać postępowanie, powołuje się na świadków Zbigniewa Brzezińskiego czy Margaret Thatcher. O ile jeszcze Gorbaczow teoretycznie mógłby coś powiedzieć na temat ewentualnego wkroczenia Sowietów do Polski, o tyle premier Thatcher czy profesor Brzeziński o tym, co działo się w Polsce, z całą pewnością wiedzieli pewnie z czwartej ręki. Takie żądanie sądu było zatem zwykłym wybiegiem, pretekstem, aby tę niewygodną sprawę zgrabnie oddalić. I to społeczeństwo widzi, ocenia. I to jest, moim zdaniem, kompletne obnażenie się polskiego sądownictwa.

Czy w podobny sposób nie dzieje się w większości spraw, które dotyczą historii? Bo co to oznacza, że sąd zwrócił sprawę do IPN? Czy IPN ma wypełniać polecenia sądu w nieskończoność? Przecież uzyskanie dokumentów z archiwów moskiewskich czy przesłuchanie wszystkich świadków jest niewykonalne. Ale skoro sąd nie mógł tej sprawy umorzyć, bo to z pewnością byłoby źle widziane, tak jak dzisiaj jest źle widziane umorzenie procesu generała Kiszcza, to właśnie w ten wygodny sposób pozbył się problemu. To prawda, że później sąd apelacyjny ten wyrok uchylił, ale zszargana opinia pozostała.

Tymczasem sprawa wprowadzenia stanu wojennego jest oczywista na pierwszy rzut oka, nawet dla laika. Dwa razy zostało złamane wówczas

prawo: pierwszy raz, gdy wprowadzono stan wojenny podczas sesji Sejmu bez jego zgody, i drugi raz, kiedy Rada Państwa sygnowała ten dekret po fakcie. Sąd tłumaczy się, że trudno oceniać czyjąś odpowiedzialność, nie znając wszystkich okoliczności. Takie było uzasadnienie. Ale przecież nie we wszystkich sprawach karnych prowadzonych w sądach znane są wszystkie okoliczności danej sprawy, a mimo to wyroki zapadają.

Trudno mi zrozumieć, dlaczego po tylu latach wolności, niezależności, niezawisłości sądy uchylają się wszelkimi sposobami od osądzania spraw dotyczących zbrodni PRL. Oczywiście byłbym niesprawiedliwy, gdybym do tego się ograniczył, ponieważ zapadły wyroki skazujące w sprawie zabitych górników z kopalni „Wujek”, ostatnio także w sprawie zabójstwa Grzegorza Przemyka, ale to zbyt mało pocieszające dla obywateli, którzy nie zgadzają się na to, aby zbrodniami w najnowszej polskiej historii zajmowali się już wyłącznie historycy, a nie prawnicy i sądy.

Ten problem jest bardzo ważny i moje pytanie kieruję także do polityków partii rządzącej. Dlaczego próbuje się na przykład w sejmowych komisjach śledczych udowodnić rzekome naciski poprzedniej władzy na prokuratorów i sędziów, oskarża się o przekroczenie uprawnień, jak to ma miejsce obecnie w przypadku byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, a pozostawia odłogiem zbrodnie i przestępstwa peerelowskiej władzy? Myślę, że wszyscy politycy powinni ponosić odpowiedzialność za swoje czyny i decyzje, zwłaszcza za te decyzje, w wyniku których czy to wielu ludzi poniosło śmierć, czy też, jak to było już w latach wolności, na przykład wyprzedano za bezcen majątek narodowy. Suwerenna i demokratyczna Polska musi ocenić wszystkie działania polityków: i te, które kosztowały życie obywateli, i te, które zrujnowały gospodarkę. Jeśli tego nie uczynimy, nie zbudujemy poczucia sprawiedliwości w społeczeństwie. Dziękuję za uwagę.

Pretensje do trzeciej władzy

Zdarza mi się często interweniować w Ministerstwie Sprawiedliwości w sprawie wyroków, które – jak to się mówi – wołają o pomstę do nieba. Także ostatnio, przy okazji mianowania nowych sędziów przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego, przypomniano różne błędne lub stronicze wyroki trzeciej władzy w Polsce, w wyniku których wielu ludzi utraciło wolność, firmy, majątki, dobre imię, zdrowie... Przy okazji podkreślono

oburzający fakt, że za swoje błędy żaden z sędziów czy prokuratorów nie został pociągnięty do odpowiedzialności. Czyżby nie działał w tej korporacji odpowiedni sąd dyscyplinarny? Gdyby działał właściwie, nie mogliby w sądach i na uczelniach pracować skompromitowani sędziowie z lat PRL. A wybronił ich nawet Sąd Najwyższy postanowieniem, które uniemożliwiło wszczęcie śledztwa wobec tych sędziów, którzy w pierwszych dniach stanu wojennego skazywali na podstawie dekretu, który nie wszedł jeszcze w życie.

Jak sądzę, polskie prawo procesowe na pewno nie jest doskonałe, ale nawet to prawo, gdyby było przestrzegane, uniemożliwiałoby różne dziwne „pomyłki” prokuratorskie i sądowe. Wszystko jednak rozbija się o nieomal całkowitą bezkarność prokuratorów i sędziów. Oni nie muszą przestrzegać prawa procesowego, bo za błędy lub stronnictwo, jak dotąd, nie odpowiadają. To nie jest mój atak na niezawisłość sędziowską, która jest jednym z elementów państwa prawa. Ale czy ta niezawisłość może być celem samym w sobie?

W parlamencie pojawiają się różne pomysły, aby w jakimś stopniu kontrolować trzecią władzę. Sugeruje się np., aby wprowadzić do Konstytucji mianowanie sędziów przez prezydenta za radą i zgodą Sejmu i Senatu (obecnie to samorządy prokuratorski i sądowy wskazują kandydatów na prokuratorów i sędziów, czyli w praktyce Krajowa Rada Sądownicza powołuje sędziów, a kompetencja prezydenta jest w tym zakresie czysto formalna i na dodatek kwestionowana przez korporację sędziowską). Innym sposobem uzdrowienia korporacji byłyby wybory powszechne na stanowiska szefów prokuratur wszystkich szczebli, a także możliwość odwołania sędziów i prokuratorów łamiących prawo przez publicznie działającą komisję parlamentarno-obywatelską. A już w żadnym wypadku nie powinno wejść w życie prawo uniezależniające prokuraturę od jakiegokolwiek kontroli społecznej, co proponował b. minister sprawiedliwości Zbigniew Cwiąkal-ski.

Niedawno dotarł do mnie apel Stowarzyszeń Przeciw Bezprawiu, wystosowany do posłów i senatorów po ogólnopolskiej konferencji na temat panującego bezprawia i arogancji w prokuraturach i sądach RP. Konferencja obradowała 4 kwietnia br. pod hasłem: „Mamy dość bezprawia prokuratorów i sędziów”. Stowarzyszenia te domagają się spotkania z parlamentarzystami, którym leży na sercu Rzeczpospolita sprawiedliwa. Chcą przedstawić dowody na fałszowanie, kradzieże i przerabianie akt śledztw i akt sądo-

wych. Chcą udowodnić, iż sposób działania organów ścigania np. w sprawie Krzysztofa Olewnika to nie nieszczęśliwy pojedynczy przypadek, ale często stosowany sposób na bezzasadne oskarżanie niewinnych osób, według niepisanej zasady: dajcie człowieka, a paragraf się znajdzie.

Stowarzyszenia mają także dowody na fałszowanie protokołów przesłuchań prokuratorskich oraz protokołów sądowych, ale pozostaje to bez najmniejszej reakcji prokuratury. Stan taki ma miejsce w znaczącej liczbie polskich miast i dotyczy wszystkich szczebli prokuratur i sądów. W piśmie do parlamentarzystów stwierdza się, że wszystkie działające w RP biura skarg obywatelskich funkcjonują wadliwie, a ich praca polega wyłącznie na ich przesyłaniu do organu, na który skarży się obywatel. Następnie uzyskuje on standardową odpowiedź, że wszystko jest zgodne z prawem, chociaż gołym okiem widać, iż konkretny sędzia lub prokurator popełnili przestępstwo.

Co więcej, stowarzyszenia mają dowody świadczące o tym, iż wszczyna się postępowania dyscyplinarne przeciw prokuratorom, którzy wykryli fałszowanie akt, w tym nawet akt wewnętrznych prokuratury. Chcą także przedstawić kolejny raz propozycje zmian proceduralnych, dotyczące m.in. prawa do nagrywania rozpraw, większych uprawnień do uczestnictwa w postępowaniach organizacji pozarządowych itp. Odpowiednie propozycje zostały złożone 6 maja 2008 r. w Kancelarii Sejmu RP, ale do dnia dzisiejszego nie ma żadnej odpowiedzi.

W związku z tym, że przybywa skarg na bezprawie i bezkarność funkcjonariuszy państwowych, głównie sędziów i prokuratorów, chciałbym podać adresy biur, gdzie można kierować listy w tej sprawie. Są to: Stowarzyszenie Przeciw Bezprawiu, 43-300 Bielsko-Biała, ul. Igłasta 28; Stowarzyszenie „Lex”, 90-406 Łódź, ul. Próchnika 1; Stowarzyszenie Obrońcy i Rozwoju i Polski, 30-074 Rzeszów, ul. Piłsudskiego 8–10; Społeczny Komitet Obrony Praw Człowieka, 98-300 Wieluń, ul. Królewska 1; Obywatelska Grupa Inicjatywna, 59-200 Lubin, ul. Leszczynowa 13/3; Ogólnopolskie Zrzeszenie Emerytów i Rencistów, 42-200 Częstochowa, Al. Najświętszej Maryi Panny 2; Stowarzyszenie Lokalna Grupa Przeciw Korupcji, 42-200 Częstochowa, ul. Sikorskiego 124; Krajowy Związek Lokatorów i Spółdzielców, 02-785 Warszawa, ul. Wiolinowa 2a; Stowarzyszenie Liga Nyska, 48-304 Nysa, ul. Pródnicka 3; Krajowy Związek Lokatorów i Spółdzielców OT Koszalin, 75-452 Koszalin, ul. Jana Pawła II 7/30; Stowarzyszenie na rzecz Dialogu Społecznego, 06-100 Pułtusk, ul. Lenartowicza 5;

Komitet Społeczny im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, 06-400 Ciechanów, ul. 11 Listopada 4; Pełnomocnik Stowarzyszenia Przeciw Bezprawiu w Szczecinie, 70-415 Szczecin, Al. Papieża Jana Pawła II nr 11/1a; Stowarzyszenie Przeciw Bezprawiu – oddział Katowice, 40-927 Katowice, ul. Sowińskiego 1/30; Stowarzyszenie Przeciw Bezprawiu – oddział Wrocław, 53-333 Wrocław, ul. Powstańców Śląskich 82/53; Stowarzyszenie Centrum Praw Ojca i Dziecka, 04-552 Warszawa, ul. Kościuszkowców 78 a/18; Stowarzyszenie na rzecz Równouprawnienia i Poszanowania Prawa, 01-114 Warszawa, ul. Okocimska 4/61.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 20/2009)

Zniszczyć Najwyższą Izbę Kontroli

(Przemówienie na 42 posiedzeniu Senatu, 20–22 października 2009 r., w sprawie zmiany ustawy o Najwyższej Izbie Kontroli).

Pani Marszałek. Wysoka Izbo.

W naszej dyskusji ścierają się dwie koncepcje działalności Najwyższej Izby Kontroli. Czy ma być ona instytucją opresyjną, tak jak jest do tej pory, czy też instytucją, jak ją nazwał senator sprawozdawca, braterskiego upomnienia? Oczywiście obstarę przy dotychczasowym systemie, bronię dotychczasowej działalności NIK. Dlatego uważam, że nowelizacja ustawy o Najwyższej Izbie Kontroli, niestety, wprowadza bardzo niedobre rozwiązania, które zagrażają bezpieczeństwu państwa, jakości kontroli państwowej, a mówiąc wprost, rozmontowują jedną z najważniejszych instytucji w państwie.

Od razu powiem, że nasuwa się prosty wniosek, że obecna koalicja rządząca chce zniszczyć Najwyższą Izbę Kontroli, instytucję, która od dziewięćdziesięciu lat patrzy rządzącym na ręce, a także, co jest bardzo ważne, informuje społeczeństwo o funkcjonowaniu państwa.

Pierwsza niepokojąca sprawa, która oczywiście była tu szeroko poruszana, to jest audyt zewnętrzny i powierzenie go prywatnym zewnętrznym firmom. Oznacza to, że marszałek Sejmu będzie wysyłał do NIK kontrole wykonywane na przykład przez zagraniczne firmy audytorskie, być może te same, które są kontrolowane przez NIK z racji wykonywania rozmaitych zadań, zleceń państwowych. Firmy te niejednokrotnie uczestniczą w pry-

watytacji, a kontrole NIK bardzo często stwierdzają nierzetelność i działanie na szkodę państwa tychże instytucji czy firm. Teraz te firmy będą kontrolowały NIK i – mówiąc wprost – mogą się na NIK zemścić. A tak w ogóle to przecież w NIK jest prowadzony audyt wewnętrzny, który – jak dotychczas – wykonuje swoje zadania bez zarzutu. Byłby to zatem jakiś absurd, gdyby prywatny audytor zewnętrzny dostał uprawnienia do wglądu w akta kontroli. Nawiążę do tego, co mówił tu pan prezes NIK, otóż ten przepis musi być sformułowany bardziej precyzyjnie i w naszej poprawce tak to zostało zapisane. Dlatego uchwalone przez Sejm przepisy, zawarte w art. 7a-7d, nie zapewniają w należyty sposób ani bezpieczeństwa państwa, ani też konstytucyjnej niezależności Najwyższej Izby Kontroli. Pojawił się też zarzut, że w przypadku przeglądu, kontroli w jakimś resorcie, prywatna firma może zdobyć wiedzę, która pozwoli jej na przykład wygrywać przetargi. Tak nie może być.

Kolejna sprawa, również tu podnoszona, to sprawa procedury kontrolnej. Rzekomo miała być ona uproszczona, a może być wręcz przeciwnie, tak, jak wskazywał na to pan prezes, bo nowelizacja komplikuje proces kontrolny, pogarsza jakość kontroli państwowej i sytuację kontrolowanego. Także w sprawie organizacji pracy w NIK powinno być tak, jak do tej pory. Powinno być tak, że za organizację odpowiada prezes i to on określa, jak ma wyglądać struktura organizacyjna izby, chyba że napiszemy zupełnie nową ustawę, która od początku do końca te sprawy określi.

Następny element, do którego odniosę się krytycznie, to procedura powoływania wiceprezesów. Uważam, że należy to pozostawić w gestii marszałka Sejmu i prezesa izby, a nie próbować forsować rozwiązanie, zgodnie z którym mogą mieć na to wpływ posłowie. Dalej – to wprowadzenie przez Sejm kadencyjności na stanowiskach wiceprezesów oraz dyrektorów departamentów i delegatur. Myślę, że to jest fatalne rozwiązanie. Kadencyjność, tak jak to stanowi konstytucja, powinna dotyczyć jedynie prezesa izby, zaś kadencyjność w odniesieniu do dyrektorów to pomysł zupełnie z księżycą. Dotąd odwołanie było możliwe tylko na podstawie negatywnej oceny pracy, a teraz wszyscy dyrektorzy i wicedyrektorzy nadzorujący kontrolę po upływie kadencji mieliby, choć niekoniecznie, utracić swoje stanowiska. Czy w ministerstwach i w innych urzędach centralnych dyrektorzy biur i departamentów obejmują stanowiska na kadencje? Gdyby to wprowadzić, to oczywiście byłby to pierwszy krok do upolitycznienia izby. A ile byłoby nadużyć? Jak napisał do nas prezes Najwyższej Izby Kontroli: oto

dyrektorzy NIK, dotychczas pełniący swoje funkcje, pozbawieni obaw o utratę stanowiska z powodu nadmiernej dociekliwości podczas kontroli, teraz zostaną poddani weryfikacji i będą zatrudniani na pięcioletnie kadencje. Oznacza to, że przyszłość najważniejszych kontrolerów stale będzie niepewna. Kadencja jest dobrą rzeczą dla polityków, ale nie dla członków apolitycznej instytucji kontrolnej.

Innym kontrowersyjnym rozwiązaniem jest udział przedstawiciela marszałka Sejmu w komisji konkursowej dokonującej naboru kontrolerów NIK. Oczywiście, marszałek Sejmu ma określone uprawnienia zwierzchnie wobec NIK, ale nie powinien ingerować w kwestie doboru kadry. Już mówiłem, że za funkcjonowanie izby odpowiada prezes i to jego głos powinien być decydujący, a w gruncie rzeczy jedyny, jeżeli chodzi o nabór kontrolerów. I wreszcie sprawa likwidacji protokołu kontroli. Jak dotąd jest to najważniejszy dokument opisujący, co kontrolerzy ustalili w kontrolowanej instytucji. Nie wolno go zastąpić jakimś skrótowym wystąpieniem pokontrolnym. Ta zmiana spowoduje, że kontrole staną się byle jakie i pobieżne.

I na koniec coś, co musi budzić największy sprzeciw. Mówił o tym na antenie publicznej telewizji były prezes NIK Janusz Wojciechowski. Cytuję: „Najgorsze zmiany w ustawie zostały przyjęte na wniosek rządu, który reprezentowała w Sejmie minister Julia Pitera, osoba, która kiedyś ośmieszyła się pomysłem połączenia NIK z Centralnym Biurem Antykorupcyjnym. A tak w ogóle to rząd nie powinien zabierać głosu w sprawie tego, jak ma być kontrolowany”.

Przypomnę, co ostatnio napisał dziennik „Rzeczpospolita”. Najwyższa Izba Kontroli skontrolowała wykonanie budżetu państwa za 2008 r. i gazeta dotarła do szczegółowego raportu. Kontrolerzy sprawdzili trzysta dziewięćdziesiąt siedem jednostek finansowanych z budżetu, między innymi wszystkie ministerstwa, i tylko w resorcie kierowanym przez minister Ewę Kopacz dopatrzili się poważnych nieprawidłowości. NIK zarzuca Ministerstwu Zdrowia, że w ubiegłym roku wydało bez podstawy prawnej 300 milionów zł na dofinansowanie szpitali. Chodzi o program „Wzmocnienie bezpieczeństwa zdrowotnego obywateli”, którego celem jest dofinansowanie zadłużonych szpitali. Według NIK nie było przepisów, które upoważniałyby ministra zdrowia do wydawania tych pieniędzy. Zastrzeżenia izby wzbudził też sposób rozdziału tych środków. Krótko mówiąc, rozumiem teraz, dlaczego rządowi tak zależy na osłabieniu Najwyższej Izby Kontroli.

Przykro to mówić, ale rząd Platformy Obywatelskiej, koalicyjny, lęka się kontroli, boi się Centralnego Biura Antykorupcyjnego, boi się Najwyższej Izby Kontroli. A zapowiada się wielka prywatyzacja. Po haniebnej likwidacji polskich stoczni w Gdyni i w Szczecinie już wiadomo, że będzie to pospieszna wyprzedaż wszystkiego, co jeszcze pozostaje w rękach państwa. Protokoły NIK mogłyby być dla rządu miażdżące, dlatego próbuje się już teraz Najwyższą Izbę Kontroli ugrzecznic, poddać kontroli, a w konsekwencji osłabić i zniszczyć.

Rozmawiałem z byłym prezesem Najwyższej Izby Kontroli i posłem Platformy Obywatelskiej Mirosławem Sekułą. Zapytałem, dlaczego on i obecny rząd forsują wspomniane zmiany. Co się stało, że czyni się to wbrew byłym prezesom i obecnemu prezesowi NIK? Odpowiedź brzmiała, że NIK musi być mniej opresyjna, a bardziej skuteczna, nie powinno być tak, że wszyscy boją się kontroli NIK, bo to rzekomo paraliżuje pracę w kontrolowanej instytucji. Uważam, że Najwyższa Izba Kontroli ma być opresyjna, a nawet represyjna. Po to są te kontrole, aby nieuczciwi ludzie bali się dokonywania przekrętów.

I na koniec jeszcze uwaga. Ta nowelizacja ustawy o NIK jest skokiem Platformy Obywatelskiej na tę instytucję. Za chwilę będzie omawiana w Wysokiej Izbie ustawa będąca skokiem Platformy Obywatelskiej na SKOK, czyli kasy spółdzielczo oszczędnościowe. Rozmontowywanie państwa trwa. Dziękuję za uwagę.

Platforma afer

Nie ma w tytule tego tekstu żadnej przesady. Z kimkolwiek rozmawiam, czuje się wstrząśnięty tym, co dzieje się z rządzącymi politykami. I zaraz każdy wylicza: 1) afera hazardowa – Chlebowski i Drzewiecki z PO lobbowali w interesie kolegów z sieci kasyn gry; 2) minister Grad – likwiduje polski przemysł okrętowy, podczas gdy Niemcy dofinansowują swoje stocznie; 3) minister Klich, tworząc armię zawodową, rozbraja polską obronność; 4) minister Grad poddał się w sprawie Eureko, zapłacimy nie pięć, ale kilkanaście miliardów złotych odszkodowania; 5) minister Graś – cieć u Niemca, ma firmę, która nie istnieje od 20 lat; 6) wicepremier Schetyna – zlikwidował 3 tys. etatów w policji; 7) senator Misiak z PO – afera z doradztwem dla zwalnianych stoczniowców; 8) posłanka PO Sawicka – przyjęcie

łapówki oraz oczekiwanie korzyści dla PO związanych z przekształcaniem szpitali w spółki; 9) minister Kopacz – według NIK, wydała 300 mln zł na nieprawidłowe dofinansowanie szpitali; 10) prezydent Karnowski z PO z Sopotu – afera przekrętów ze sprzedażą domów; 11) afera pożyczkowa posła PO Palikota: milionowe pożyczki z anonimowych spółek w rajach podatkowych oraz afera finansowania jego kampanii – po kilkanaście tysięcy złotych wpłacali emeryci i studenci; 12) afera korupcyjna w ZUS – zatrzymanie prezesa ZUS Sylwestra R. z PO; 13) tylko dzięki wetu prezydenta nie udało się PO zlikwidować mediów publicznych; 14) afera związana z NIK – w najnowszej ustawie jest skok na niezależność Najwyższej Izby Kontroli; prywatna firma pośrednio będzie mogła wpływać na proces kontrolny; 15) afera boiskowa – tzw. orliki są kryte szkodliwą chińską murawą. Istnieje obawa, że przygotowywana przez PO prywatyzacja PKO BP, Giełdy, LOT, PKP, Poczty Polskiej, energetyki, złóż naturalnych... będzie jedną wielką aferą korupcyjną.

Świadomie na tej liście, która mogłaby być znacznie dłuższa, nie wymienilem nazwiska premiera Donalda Tuska, ale jak się okazuje, aferalny mechanizm sięga i jego. Mianowicie, premier wiedział od kilku tygodni o aferze hazardowej i nie wyciągnął konsekwencji wobec swoich najbliższych współpracowników.

Znacznie poważniejsze zarzuty wobec premiera dotyczą afery stoczniowej. Podczas kampanii do Europarlamentu powiedział, że zjeździł pół świata i znalazł inwestora, który będzie produkował statki. Można z całą pewnością stwierdzić, że premier, mówiąc te słowa, albo świadomie oszukiwał naród, albo nie wiedział, że najwyżsi urzędnicy Ministerstwa Skarbu Państwa oraz Agencji Rozwoju Przemysłu, łamiąc przepisy, spreparowali fikcyjny przetarg, aby ułatwić libańskiemu handlarzowi bronią dostęp do wykupu polskich stocznii. Tak wynika z dokumentów przesłanych przez szefa CBA Mariusza Kamińskiego do najważniejszych osób w państwie. Bodaj więc tylko z tej jednej afery wyłania się obraz totalnego bezprawia w państwie, degrengolady i nieodpowiedzialności. Zamiast jednak wyciągnąć odpowiednie konsekwencje dla dobra państwa, premier zdymisjonował szefa CBA, a politycy PO oskarżają go o intrygę, o zastawienie na premiera pułapki. Co więcej, według PO ostatnie wydarzenia nie są aferami, a jedynie prowokacją CBA, tak jakby Miro, Grzechu, Zbycho czy libański handlarz bronią byli agentami Mariusza Kamińskiego.

Przypominam sobie, jak PO przed wyborami opowiadało się przeciwko finansowaniu partii politycznych z budżetu państwa. Teraz rozumiem apele w tej sprawie posła Mirosława Drzewieckiego, skarbnika PO. Mając tak dobre kontakty z biznesem, po co sięgać do kieszeni podatników? A przy okazji można było pograć w kłopotach finansowych inne partie. Jak się okazuje, sięganie po pieniądze z biznesu to koniec naszej kruchej demokracji.

I pytanie na koniec: Po co premier Donald Tusk, zamiast ogłosić oczyszczenie swoich szeregów ze skorumpowanych polityków, ogłasza totalną wojnę z PiS? Czyżby PO miało jeszcze wiele afer do ukrycia? Jak się wydaje – to słowa prezesa PiS: „Nie mamy już do czynienia z kryzysem w PO, ale z kryzysem państwa. Odwołanie szefa CBA jest chęcią uniknięcia kolejnych kompromitacji, bo nie wiadomo, ile jeszcze jest tych afer”.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 43/2009)

Oby nie kolejna martwa ustawa

Czy wyśledzenie afery hazardowej przez Centralne Biuro Antykorupcyjne opłaci się Polsce? Na razie tak, bo nie ma już w rządzie kilku polityków PO gotowych zmieniać ustawy na zlecenie szemranych biznesmenów, zaś premier Donald Tusk został zmuszony do podjęcia działań ustawowych mających uregulować szarą strefę hazardu, w której zarówno państwo, jak i uzależnieni od gier Polacy tracą miliardy złotych. Zapowiadana ustawa ma zdelegalizować automaty do gier poza kasynami, wideoloterie, a także gry hazardowe w internecie. Chodzi m.in. o likwidację 50 tys. „jednorękiich bandytów” w sklepach, restauracjach, barach, na stacjach benzynowych czy ulicach.

Ustawie przyświecają dwa założenia: ma ograniczyć i wypłenić gry, które najbardziej uderzają w młodzież i grożą uzależnieniem; ponadto wszystkie formy hazardu zostaną obłożone wyższym podatkiem. Aby ustawa nie stała się martwym prawem, nie będą przedłużane pozwolenia na tego typu działalność, w konsekwencji rok po roku rynek drobnego hazardu będzie obkurczał się o 20 procent. Po pięciu latach powinien całkowicie zniknąć z Polski. W przyszłości „jednoręcy bandyci” znajdą się tylko w kasynach – tłumaczy premier. Ale i od kasyn będą wymagane odtąd koncesje na działalność, a nie same zezwolenia. Wkrótce też ma zacząć obowiązywać zakaz

reklam hazardu i firm organizujących gry hazardowe.

Premier Donald Tusk, przedstawiając nowy projekt ustawy, zwykle dużo mówi i obiecuje, potem życie to wszystko koryguje albo wręcz unie możliwia (tak było m.in. z zapowiedzią premiera o kastracji pedofilów; ostatnio Sejm i Senat co prawda zaostrzyły przepisy dotyczące kar za pedofilię, ale „przymusowa kastracja pedofilów” pozostała pustym hasłem). Tak więc i w sprawie walki z hazardem należy poczekać na konkrety, a przede wszystkim na rzeczywisty projekt ustawy, bo w tym kształcie – przenosząc hazard do kasyn – idziemy na rękę ich właścicielom, pomagając im ściągnąć cały biznes do siebie. A przecież o to również chodziło w rozmowach z Rychem, Mirem czy Zbychem. Stąd pytanie: Czy tak naprawdę premier Donald Tusk dąży do walki z hazardową szarą strefą czy raczej przeciwnie – chce jej poszerzenia?

Znając życie, praca nad ustawą nieco potrwa, a w tym czasie urzędy załatwią podania o zezwolenia na postawienie kolejnych „jednorękich bandytów” i jak grzyby po deszczu wyrosną nowe budki z automatami do gier, zakwitną jeszcze bardziej złote interesy, bo tak naprawdę nikt nie wierzy, że premier dopnie swego. Raczej, jak zawsze, obiecując coś, chce wyrzucić wrażenie na wyborcach, nie licząc się z konsekwencjami i znaczeniem własnych słów. Tak było m.in. z obietnicą uratowania stoczni i dymisją ministra Aleksandra Grada, gdyby się to nie udało. Wypowiadając te słowa, premier miał wiedzę, że nie istnieje żaden katarski inwestor dla stoczni, miał również świadomość, że minister Grad realizuje plan PO w kampanii wyborczej do Europarlamentu. Dowodem na to jest fakt, że stocznie upadły, minister pozostał na stanowisku, a premier przeprosił społeczeństwo, iż w sprawie dymisji ministra zmienił zdanie.

Kiedy wybuchła afera hazardowa, premier obiecał, że sprawa szybko zostanie wyjaśniona do końca. Niestety, już widać, że Platforma Obywatelska robi wszystko, aby aferę przykryć i rozmydlić, czego dowodem jest projekt uchwały PO dotyczący powołania komisji. Szeroki okres czasu do badania oraz zakres prac, nieobejmujący przecieku z Kancelarii Premiera, zapowiedź nieoddania jej kierownictwa w ręce opozycji, a także brak chęci wyjaśnienia okoliczności postawienia zarzutów Mariuszowi Kamińskiemu świadczą o tym, że politycy PO chcą zamieść problem pod przysłowio- wy dywan.

Dobrze oddaje takie myślenie postępowanie PO wobec zamieszanego w aferę hazardową byłego przewodniczącego klubu PO posła Zbigniewa

Chlebowskiego, który nie został wyrzucony z partii, a jedynie sam zawiesił swoje członkostwo do czasu wyjaśnienia sprawy. Co więcej, w oficjalnym liście napisał, że uczynił tak wobec nagonki politycznej na niego. Czyli nie przekręty z szemranymi biznesmenami, ale nagonka CBA na niego – to ma być główny problem zarówno dla niego, jak i dla PO. Jeśli takie są standardy polityków PO, że zamiast wykluczyć Zbigniewa Chlebowskiego z partii, wyrzuca się szefa CBA Mariusza Kamińskiego, to trudno spodziewać się, że społeczeństwo dowie się prawdy.

Miejmy jednak nadzieję, że premier Tusk dotrzyma słowa i wyjaśni aferę hazardową do końca. Na razie odliczamy dni do powstania komisji śledczej w tej sprawie (miała powstać natychmiast). Czekamy również na zapowiedzianą ustawę antyhazardową. Aby była skuteczna od nowego roku, musiałaby zostać uchwalona do 30 listopada. Wkrótce więc przekonamy się, czy PO ma wolę wyjaśnienia sprawy i uczynienia czegoś dla Polski.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 45/2009)

O antysemitach, nazistach i wielbłądach

Szukając szczęścia za granicą, można natknąć się na konfrontację, o jakiej wielu naszym młodym imigrantom nawet się nie śniło. Na fali wzrastającej niechęci wobec Polaków ukazał się w angielskim dzienniku „The Times” tekst Gilesa Corena, który stwierdził m.in., że kiedy patrzy na falę imigracji Polaków w Wielkiej Brytanii, ma mieszane uczucia. Przypomina mu się, jak jego żydowska rodzina musiała uciekać z Polski. Wszystko przez „Polaków, którzy dla rozrywki otaczali w Wielkanoc synagogi, a potem podpalali zamkniętych w nich Żydów”. Coren dodał, że Polska nigdy nie rozliczyła się ze swojego antysemityzmu. Ani przed sobą, ani przed Żydami.

Przeciw tym stwierdzeniom zaprotestowała ambasador RP w Wielkiej Brytanii Barbara Tuge-Erecińska, uważając je za „niesprawiedliwe, nierzetelne, wynikające z niewiedzy i uprzedzeń wobec Polaków oskarżanych o antysemityzm”. W odpowiedzi na to w liście do „Timesa” baronesa Ruth Deetch, członek rady zarządzającej BBC, działaczka żydowska na Wyspach, oskarżyła polski rząd, że nie wywiązuje się z obietnic wypłaty odszkodowań Żydom, którzy stracili mienie w czasie wojny światowej. Według Deetch, polski rząd powinien powołać komisję ds. roszczeń do dawnego mienia żydowskiego w Polsce (przypomnę, że Żydzi domagają

się 67 miliardów dolarów odszkodowań za mienie pozostawione w Polsce).

To nie koniec antypolskich publikacji w „Timesie”. W numerze z 2 sierpnia 2008 r. redakcja zamieściła list Martina D. Sterna z Salford, który twierdzi, że Niemcy umieścili obozy koncentracyjne w Polsce i innych krajach Europy Wschodniej, a nie na Zachodzie, dlatego że byli świadomi niechęci miejscowej ludności do żydowskich współmieszkańców. Podobne treści, mówiące już wprost o „polskich obozach koncentracyjnych”, pojawiają się dość często w prasie światowej, a tacy ludzie, jak Martin D. Stern plotą różne głupstwa i kłamstwa. – Pytanie jednak: czemu ma to służyć? Przecież to Polacy mają najwięcej drzewek pamięci w Instytucie Yad Vashem, to Polska była jedynym krajem w okupowanej Europie, w którym za pomoc ludności żydowskiej groziła kara śmierci!

A co do odszkodowań, to baronesa Ruth Deetch, a także inni liderzy żydowskich organizacji, głównie w USA, domagający się od Polski odszkodowań, doskonale wiedzą, że nasz kraj stał się w 1939 r. obiektem zbrojnej agresji ze strony Niemiec i Rosji Sowieckiej. Dokonujące się wówczas przekształcenia własnościowe nie mogą więc obciążać ani moralnie, ani materialnie państwa polskiego. Jeśli już, to na gruncie prawa międzynarodowego prawnymi następcami Rzeszy Niemieckiej i Związku Radzieckiego są Niemcy i Rosja, dlatego do tych krajów należy zwrócić się o odszkodowania.

Zadziwia jednak, że ostatnio do upokarzania naszego kraju na arenie międzynarodowej dołączył Kongres USA, uchwalając rezolucję w sprawie zwrotu majątków żydowskich rzekomo zagrabionych przez Polskę. Zapewne ta deklaracja Kongresu jest tylko przedwyborczym chwytem potężnego lobby żydowskiego w USA, pragnącego rozbić i zmarginalizować Polonię w wyborach prezydenckich, dla czego jednak nie usłyszałem jakiegoś protestu polskiego rządu na te nieuzasadnione żądania? W Ameryce przeciw tej rezolucji protestował, o ile wiem, jedynie USOPAŁ. U nas nieśmiało odezwał się tylko klub parlamentarny PSL, proponując w rewanżu wystąpienie do USA o odszkodowania za niewyobrażalne straty, jakie przyniosła Polakom Jalta.

Pisząc o oskarżeniach Polaków o antysemityzm czy nazizm, mam wrażenie, że sami przyczyniamy się do rozpowszechniania tego zarzutu. Na wielu pamiątkowych tablicach w Warszawie znajdują się np. napisy, że w tym miejscu faszysti albo naziści rozstrzelali Polaków albo Żydów. Ame-

rykańscy turyści pytają: „A kim byli ci faszyci lub naziści?”. Na to pytanie muszą sobie sami odpowiedzieć. I odpowiadają, że zapewne faszystami byli tzw. źli Polacy. Czy nie należałoby na tych tablicach napisać dokładniej, że sprawcami mordów byli Niemcy lub Rosjanie? Dlaczego nikt do dzisiaj nie pomyślał o wymianie starych, PRL-owskich tablic na nowe, kilkujęzyczne? Przecież faszyci, naziści, a także komuniści nie byli przybyszami z kosmosu. Oni mieli swoją narodowość, to byli Niemcy albo Rosjanie, ale także i polscy komuniści. Właśnie dlatego powinno się pisać i mówić o tym bardzo dokładnie.

A swoją drogą, to współczuję wielu młodym Polakom, którzy wyjeżdżając z kraju, napotykają upokorzenia, są oskarżani czy to o antysemityzm, czy faszyzm. Cóż, emigracja zawsze prowadzi do pewnej konfrontacji historycznej, do weryfikacji postaw. Emigrując, trafia się często do środowiska o zróżnicowanych poglądach, jest to bardzo często czas próby. Dlatego tak ważne jest doświadczenie wyniesione z domu rodzinnego, z polskiej szkoły, ważna jest wiedza historyczna, a także wszystkie te składniki osobowości, które dają mocne poczucie przynależności do wspólnoty określanej mianem „naród”. To poczucie narodowe jest powszechne i silne u Polaków.

Dlatego na pytania o jakiegokolwiek nasze historyczne winy należy odpowiadać, że Polska przez stulecia była „krajem bez stosów”, do którego ściągały wszelkie grupy narodowościowe uciekające z innych zakątków Europy przed prześladowaniami etnicznymi bądź religijnymi, zaś ludność żydowska, którą dziś przedstawia się jako tak bardzo prześladowaną nad Wisłą, cieszyła się przywilejami, niemającymi odpowiednika w innych państwach.

Prawdą jest, że obecnie pod rządami Platformy Obywatelskiej żądania odszkodowań od Polski mogą przybierać na sile (premier Tusk, będąc w Izraelu, zobowiązał się do szybkiego uchwalenia ustawy reperywatyzyacyjnej). Nie dziwią więc bezprawne działania takie jak – z jednej strony – baronesy Deetch, a z drugiej – środowisk niemieckich – Eriki Steinbach. Niestety, sami musimy przekonać świat, że nie jesteśmy antysemitami, nazistami, faszystami, ani też wielbłędami!

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 34/2008)

Konstytucyjne „bicie piany”

Piszę ten tekst, będąc na konferencji polonijnej w Ameryce Południowej. Niestety, zamiast włączyć się w sprawy ważne dla Polonii, muszę odpowiadać na pytania dotyczące tego, co dzieje się w kraju, kiedy będzie normalnie, czyli lepiej. Dowcipnie odpowiadam, ale zgodnie z prawdą, że lepiej było dwa lata temu, gdy rządził PiS, a teraz, dziękujemy Bogu, mogłoby być gorzej.

Polacy za granicą zdecydowanie ostrzej oceniają obecne rządy aniżeli my w kraju. Słyszę, że gdyby było u nas normalnie, to po aferze hazardowej czy stoczniowej powinny być już wybory. To, co boli i niepokoi, Polonusi wymieniają jednym tchem: brak w kraju jakichkolwiek reform, osłabienie pozycji Polski na arenie międzynarodowej, zapaść w służbie zdrowia, podsłuchy dziennikarzy przez tajne służby, osłabienie CBA, zablokowanie prac IPN, niszczenie NIK-u, próba likwidacji mediów publicznych, rozpaczliwa prowizorka budżetowa, rosnące zadłużenie i bezrobocie.

To generalia, a jako przykład krótkowzrocznej, niebezpiecznej polityki nasi rodacy z Argentyny podają umowę gazową z Rosją: nie wiadomo, po co nam tyle gazu, i to przez ponad 30 lat, i niestety, nadal tylko z jednego kierunku. Zamiast zająć się gospodarką i finansami, rozliczyć afery, premier domaga się zmiany konstytucji, aby osobiście wziąć pełną odpowiedzialność za państwo. Chce na wzór Niemiec zostać kanclerzem, na wzór Rosji – Putinem. Dlatego proponuje, aby prezydent był wybierany przez parlament, bez prawa weta. Chce zmniejszyć Sejm i Senat. Senatorowie byliby wybierani w okręgach jednomandatowych, a posłowie – według ordynacji mieszanej. Projekt zmian trafi wkrótce do Sejmu. Premier zapowiedział przeprowadzenie referendum w sprawie tych zmian, gdyby opozycja nie wyraziła na nie zgody.

Co o tym wszystkim sądzić? Zapewne konstytucję, którą opracowali A. Kwaśniewski z T. Mazowieckim, należałoby zmienić, ale nie w taki sposób, że proponuje się rozpoczęcie prac w grudniu i ekspresowe zakończenie już w styczniu. To przypomina prace nad ustawą hazardową, o której nie wiemy, jakie będzie miała skutki finansowe dla budżetu ani też dla osób zamieszanych w aferę hazardową (a właściwie to drugie to już wiemy: automaty do gry będą tylko w kasynach, czyli u „Rycha”).

Propozycja, by prezydenta wybierał parlament, to krok wstecz. To odebranie społeczeństwu przywileju wyboru głowy państwa w bezpośrednich wyborach. Obywatele straciliby również prawo do kandydowania. Już raz wybór prezydenta przez parlament przyniósł Polsce nieszczyć i wstyd,

kiedy na najwyższe stanowisko wybrano człowieka, który od Grudnia '70 był odpowiedzialny za wszystkie polskie tragedie: śmierć stoczniowców, kapłanów, górników, za przymusową emigrację dwóch milionów Polaków. Czy gen. W. Jaruzelski zostałby prezydentem wybranym przez naród? Śmiem wątpić.

Także propozycja zmniejszenia liczby parlamentarzystów jest bardzo dyskusyjna. Oznacza to, że będzie mniej kontroli nad działalnością rządu, mniej możliwości pracy nad projektami ustaw, w związku z tym więcej miejsca dla lobbystów.

Platforma Obywatelska nie ma w Sejmie większości niezbędnej do uchwalenia zmian w konstytucji – potrzeba zgromadzić 307 posłów – czyli bez opozycji nie da się tego zrobić. Dlatego propozycje premiera są zwykłym „biciem piany”. Na miejscu premiera dopisałbym do tych zmian w konstytucji także „przewodnią rolę PO”. Jednak środki przekazu odmieniają przez wszystkie przypadki wspomniane propozycje premiera, natomiast nie słyszałem, by gdzieś mówiono o projekcie zmian w konstytucji zaproponowanych przez PiS w związku z wejściem w życie Traktatu Lizbońskiego. Chodzi o to, aby na wzór przyjęty w Niemczech wzmocnić pozycję prawa polskiego wobec ustaw UE.

Projekt PiS przewiduje, aby Trybunał Konstytucyjny mógł badać zgodność z ustawą zasadniczą unijnego prawodawstwa, m.in. dyrektyw i rozporządzeń. Krótko mówiąc, PiS w tym projekcie zapisał dla polskiego parlamentu odpowiednie kompetencje, aby można było w formie ustawy akceptować lub nie wszystkie stanowiska rządowe dotyczące zmiany treści traktatu, które w zasadniczy sposób dotyczą przekazania suwerenności na Unię Europejską. Chodzi m.in. o sprawę zmiany jednomyślnego głosowania na kwalifikowane np. w zakresie wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa.

Wracając do propozycji premiera, wkrótce okaże się, czy jest to tylko kolejny propagandowy manewr PO, czy też przemyślana zmiana ustrojowa. Tym razem nie wystarczy nakłonić Sejm i Senat do bezwarunkowego przyjęcia projektu rządowego – jak to miało miejsce przy ustawie hazardowej – ale trzeba będzie powołać nadzwyczajną komisję w Sejmie do zmiany ustawy zasadniczej i pozwolić wypowiedzieć się opozycji.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 50/2009)

Spór czy kłótnia – Polska jest najważniejsza

Wróciwszy na krótką przerwę „święteczną” do domu, usłyszałem od sąsiada: „Ale tam kłócić się w Warszawie”. Trochę zabolaly mnie te słowa, ponieważ, owszem, bywają ostre wystąpienia, padają mocne słowa, ale bynajmniej nie po to, aby się kłócić. Prawdą jest, że od 1989 r. trwa spór o Polskę: Czy ma być solidarna, czy liberalna. Raz do rządów dochodzi jedna opcja, innym razem – druga. Dobrze to widać na przykładzie ustaw, które obecnie znalazły się w Sejmie i w Senacie. A są to ustawy zdrowotne, ustawa o emeryturach pomostowych, dyskusja nad wprowadzeniem waluty euro i inne.

Ponad dziesięć godzin debatowaliśmy w Senacie m.in. nad prezydenckim wnioskiem o przeprowadzenie referendum w sprawie służby zdrowia. Lech Kaczyński chciał zadać Polakom pytanie: „Czy wyraża Pani/Pan zgodę na komercjalizację placówek służby zdrowia, która umożliwi prywatyzację szpitali?”. Ale nie zada, ponieważ senatorowie PO w dyscyplinie partyjnej prezydencki wniosek odrzucili. Co więcej, marszałek Bogdan Borusewicz nie zgodził się, aby Prezydenta reprezentował w Senacie poseł Zbigniew Religa. Marszałek powołał się na artykuł konstytucji mówiący, że wykonywanie przez posła obowiązków pełnomocnika Prezydenta łamie ustawę zasadniczą przez to, że jest rozumiane jako zatrudnienie w Kancelarii Prezydenta. Senatorowie PiS uznali zarzuty marszałka za „absurdalne”. W dyskusji widać było wyraźnie, że ugrupowanie rządzące posługuje się marszałkiem Borusewiczem do celów politycznych. Tak naprawdę chodziło o to, aby poseł i b. minister zdrowia Religa nie podważył założeń reformy zdrowotnej, którą zajmował się Senat.

W atmosferze sporu przebiegała sejmowa debata nad ustawą o emeryturach pomostowych, a także posiedzenie komisji trójstronnej. Rządowy projekt zakłada, że emerytury dla osób pracujących w szczególnych warunkach i o szczególnym charakterze będą miały charakter wygasający. Z obecnych 700 tys. uprawnionych pomostówki ma otrzymać jedynie 250 tys. osób. Nabędą je tylko pracownicy zatrudnieni w szczególnych warunkach lub o szczególnym charakterze przed dniem 1 stycznia 1999 r. Natomiast zatrudnieni po tym dniu, mimo że pracują w tych samych warunkach, na tym samym stanowisku, będą musieli pracować do powszechnego wieku emerytalnego (60 lat kobiety i 65 lat mężczyźni).

No i jak z tym się zgodzić? Rząd ma swoje racje, obecnie dwóch pracujących utrzymuje jednego emeryta. W przyszłości te proporcje będą jeszcze

bardziej niekorzystne.

Zdaniem związków zawodowych, emerytury pomostowe nie mogą mieć charakteru wygasającego. Związek w swoich stanowiskach zastrzegął także, że tylko kryterium medyczne może być podstawą określenia prawa do emerytury dla osób zatrudnionych w warunkach szczególnych lub o szczególnym charakterze. 13 października br. prezydent Lech Kaczyński wniósł do Sejmu projekt ustawy przedłużającej obecnie obowiązujące przepisy do końca przyszłego roku. W trakcie prac w komisji w zgłoszonych poprawkach PiS zaproponował, aby ci, którzy dziś mają prawo do wcześniejszych emerytur, zachowali je w przyszłości.

Kolejny spór, który nas czeka, to przyjęcie przez Polskę waluty euro. Według rządu, do końca 2011 r. Polska miałaby spełniać wszystkie kryteria przyjęcia wspólnej waluty, aby od 2012 r. złoty został zastąpiony przez euro. Podczas Rady Gabinetowej prezydent Kaczyński uznał datę wejścia do strefy euro za sprawę dyskusyjną, nad którą należy się głęboko zastanawiać. W sporze „o euro” powtórzy się sytuacja z czerwca 2003 r., kiedy to przed referendum zwolennicy integracji otrzymali olbrzymie pieniądze na prounijną agitację. Przeciwnicy ani złotówki.

A wracając do sporu o Polskę solidarną czy liberalną, można by na wspomnianych przykładach wyciągnąć następujące wnioski: po pierwsze – rząd PO w proponowanych ustawach przyjmuje zasadę, że wszystko wie najlepiej, „my was uszczęśliwimy”. To przesadne samochwalstwo jest rodzajem samooszukiwającej się propagandy sukcesu. Tym zasłynął liberalizm na Zachodzie. Dzisiaj widzimy, jak kończy się ta liberalna polityka w kwestiach finansowo-gospodarczych, jak upada wiara, że wszystko załatwi mechanizm wolnego rynku. Właśnie wiara w wolną gospodarkę, bez nadzoru państwa, jest jednym z największych błędów liberalizmu.

Po drugie – program komercjalizacji szpitali i wprowadzenia euro jest liberalny, ponieważ będzie sprzyjał ludziom bogatym. Oczywiście, nikt początkowo nie zamierza zaniedbać pacjentów, za których płaci NFZ. Ale w sytuacji pogorszenia się warunków finansowych placówki może się to zmienić, biedni zaczekają w kolejce, bo ważniejszy jest ten, kto płaci od ręki. Tak już jest, że w gospodarce liberalnej pierwszeństwo daje się bogaczom, a dla ubogich pozostają reklamy i propaganda.

Po trzecie – kiedy rząd mówi, że szpitali nie prywatyzuje, a tylko chce je zamienić w spółki prawa handlowego i przekazać samorządom, to tak na-

prawdę zrzuca odpowiedzialność na samorządy. Liberalizmem jest w tym przypadku umniejszanie roli państwa. Podobnie wyzbyciem się odpowiedzialności za narodową walutę będzie wprowadzenie euro i zrzucenie odpowiedzialności na Europejski Bank Centralny.

Po czwarte – liberalizmem rządzących jest siłowe forsowanie własnych pomysłów. Krótko mówiąc, liberałowie zamiast kontynuować to, co dobre, naprawiać błędy i wspólnie tworzyć dobro Polski, obłądnie walczą o pierwszeństwo we wszystkim, a przykładem mogą być gorszące sceny walki Premiera z Prezydentem. Przenosząc to na grunt ustaw zdrowotnych, słyszę głos Premiera: „Jak ich nie poprzecie, to my i tak wiemy, jak je wprowadzić”.

Kłótnia czy spór – obojętnie jak to ktoś nazwie, Polska i polskie sprawy są najważniejsze.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 50/2008)

Polska wolna od „żywności Frankensteina”

Jeffrey Smith, znany na świecie autor książek „Nasiona kłamstwa” oraz światowego bestsellera „Genetyczna ruletka”, dyrektor wykonawczy Instytutu Odpowiedzialnych Technologii z siedzibą w USA, będąc ostatnio w Polsce, ostrzegał m.in. kobiety w ciąży, że jedząc genetycznie modyfikowaną żywność, mogą narazić swoje dzieci na ogromne niebezpieczeństwo: „Naturalne geny mogą zostać usunięte, rozbite, wyłączone, włączone na stałe, odwrócone, powielone lub przesunięte, w wyniku czego poziomy ekspresji setek genów mogą zostać zmienione”.

O co chodzi? Wiemy, że obecny stan wiedzy umożliwia naukowcom manipulowanie materiałem genetycznym i modyfikowanie roślin, zwierząt i mikroorganizmów w taki sposób, że możliwe jest uzyskanie odmian, które nie pojawiłyby się w środowisku naturalnym. Wybrane geny bakterii, wirusów, roślin i zwierząt wprowadzane są do innych roślin, np. soi, rzepaku, kukurydzy czy ryżu w celu uzyskania u nich nowych cech. Przykładowo naukowcy wprowadzili materiał genetyczny skorpiona do kukurydzy, bakterii do soi albo genów ropuchy do ziemniaków. W trakcie tego procesu manipulacji genetycznych zachodzi prawdopodobieństwo usunięcia pewnych fragmentów i rearanzacji przestrzennych DNA.

Technikę wstawiania obcych genów do organizmów roślin czy zwierząt

można porównać do wstawienia wirusa do systemu komputerowego – nie ma możliwości sprawdzenia, gdzie faktycznie gen będzie się znajdował i jak będzie się replikował. Krótko mówiąc, zjawiska tego typu mogą prowadzić do nieprzewidywalnych i niespodziewanych skutków, jak np. utrata odporności na dany rodzaj wirusa, negatywny wpływ na rozrodczość pożytecznych owadów albo zaskakujące zmiany w organizmach szczurów konsumujących transgeniczną żywność.

Ponieważ trwa na świecie wyścig w produkcji jak najtańszej żywności, z powodów komercyjnych jej producenci nie zapewniają wystarczającej ilości informacji na temat składników modyfikowanych genetycznie w oferowanych produktach. Konsumując rzekomo tańszą żywność, nie wiemy, jak skończy się dla nas ten gigantyczny eksperyment. Nie są bowiem prowadzone żadne długoterminowe badania nad bezpieczeństwem modyfikowanych genetycznie produktów.

Na ten właśnie temat 5 marca br. odbyła się w parlamencie ogólnopolska konferencja: „Polska wolna od GMO” (czyli od żywności modyfikowanej genetycznie, zwanej często „żywnością Frankensteina”). Zorganizowały ją: klub parlamentarny PiS, Unia na rzecz Europy Narodów, Koalicja „Polska wolna od GMO”, NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”, Stowarzyszenie Przyroda Ojczysta oraz Stowarzyszenie na rzecz Zrównoważonego Rozwoju Polski. Szczególny wkład w konferencję wnieśli posłowie Krzysztof Jurgiel, Jan Szyszko oraz senator Jerzy Chróścikowski. Tą konferencją Prawo i Sprawiedliwość chce uruchomić ogólnokrajową akcję sprzeciwu wobec wprowadzenia GMO – co zapowiedział minister rolnictwa Marek Sawicki, uznając obecny zakaz niezgodny z prawem Unii Europejskiej.

Przypomnę, że w 2006 r. rząd Jarosława Kaczyńskiego przyjął ramowe stanowisko w sprawie żywności modyfikowanej genetycznie, z którego wynika, że „Polska jest krajem wolnym od GMO”. Przyjęto wówczas także ustawę o nasiennictwie, zakazującą wprowadzania do obrotu nasion modyfikowanych genetycznie, jak również ustawę o paszach, zakazującą produkcji pasz z udziałem GMO.

Próba zmiany obecnie istniejącego zakazu wprowadzenia roślin i produktów GMO do Polski zagraża nie tylko naszemu zdrowiu, ale także głównym priorytetom w rozwoju polskiego rolnictwa oraz strategii eksportu naszych produktów rolnych. Nie każdy z nas wie, że nie jest możliwe współistnienie upraw tradycyjnych i modyfikowanych genetycznie. Dlatego wprowadzenie modyfikowanych genetycznie roślin do środowiska po-

zbawi Polskę atutu producenta żywności wysokiej jakości biologicznej. A może właśnie o to chodzi?

Polska ma wciąż status kraju wolnego od GMO, a to poważny argument przy oferowaniu naszej żywności na eksport. Popyt na żywność tradycyjną i ekologiczną odznacza się obecnie niespotykaną w innych dziedzinach dynamiką wzrostu, rzędu 20 proc. rocznie. Od 2006 r. Polska zrobiła olbrzymi krok naprzód w dziedzinie produkcji ekologicznej. Nasze produkty z certyfikatem cieszą się bardzo dużym zainteresowaniem ze strony europejskich kontrahentów. Na międzynarodowych wystawach i targach nasi rolnicy otrzymują propozycje współpracy w zakresie sprzedaży mięsa, warzyw i zbóż.

Polscy rolnicy nie muszą konkurować z przemysłowymi gospodarstwami i producentami w Unii. Nie musimy uczestniczyć w wyścigu, kto wyprodukuje najwięcej niskiej jakości produktów, których i tak jest nadmiar. Lepiej skupić się na tym, czego naprawdę konsumenci poszukują: wysokiej jakości żywności tradycyjnej i ekologicznej. To właśnie w tym tkwi potencjał Polski. To taki towar inni chcą od nas kupować.

GMO bywa nazywane „żywnością Frankenstein’a”, szalonego naukowca, który nie godząc się na ograniczenia natury, chciał ją za wszelką cenę udoskonalić. Zbyttna wiara we własne możliwości zakończyła się dla niego karą. Jak zakończy się dla nas to wszystko, co robi się w laboratoriach, co jest zapewne wynikiem ludzkiego geniuszu, ale nierzadko nie ma nic wspólnego z moralnością i etyką?

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 11/2008)

Małe i duże mijanie się z prawdą

Przynajmniej dwukrotnie czołowi politycy Platformy Obywatelskiej, udzielając wypowiedzi mediom, posłużyli się stwierdzeniem, iż posłanka „Gęsicka kłamie”. Raz zrobił to marszałek Sejmu Bronisław Komorowski i ponownie szef klubu PO Zbigniew Chlebowski (o słowach skandalisty z tej partii nie wspominam, bo byłoby to poniżej naszej godności).

Przypomnę, że posłanka Prawa i Sprawiedliwości Grażyna Gęsicka, była minister rozwoju regionalnego, opierając się na ogólnie dostępnych danych, powiedziała 12 stycznia br. w mediach, że rząd nie radzi sobie z wykorzystaniem środków z funduszy unijnych i może grozić nam ich

niewykorzystanie. Stwierdziła m.in. że w roku 2008 poziom wydatkowania środków przeznaczonych na lata 2007–2013 wyniósł zaledwie 0,3 proc.

Co było kłamstwem w wypowiedziach Gęsickiej? Ponieważ oskarżono ją o manipulowanie liczbami, warto je w skrócie przywołać. Otóż prawdą jest, że posłanka pomyliła się o 8 promili. Mianowicie, Polska z nowej perspektywy finansowej 2007–2013 wykorzystwała nie 0,3 proc., ale 0,38 proc. Różnica 8 promili wynika stąd, iż dysponowała ona liczbami z końca listopada 2008 r. Co prawda, na kontach Narodowego Banku Polskiego znajduje się zaliczka w wysokości 5 proc. unijnych środków, ale, niestety, i ta zaliczka nie została wykorzystana.

Przypomnę, że Polska ma w latach 2007–2013 do wykorzystania 67,3 mld euro (269 mld zł) w ramach Narodowej Strategii Spójności. Z tego w minionym roku zakontraktowano jedynie 8,1 mld zł, co stanowi 3,3 proc. środków. – Gdyby w tym tempie kontraktowano środki – powiedziała Gęsicka – to na zakontraktowanie całej kwoty, która nam przypada, trzeba by było 33 lat. Ostatnie umowy podpisałibyśmy w 2041 r. – podkreśliła.

Gęsicka zarzuciła rządowi, że „nie ma żadnego postępu”, jeśli chodzi o wielkie projekty, tj. autostrady, drogi, oczyszczalnie ścieków, lotniska czy koleje. Przytoczyła wypowiedź Komisarz Danuty Hübner, która stwierdziła w grudniu 2008 r., że rząd PiS przesłał w 2007 r. do Komisji Europejskiej wykaz 245 tzw. wielkich inwestycji, a do połowy grudnia 2008 r. KE otrzymała dokumentację tylko pięciu projektów. Do końca pierwszego kwartału 2009 r. minister Elżbieta Bieńkowska planuje wysłać do KE zaledwie kolejnych pięć dokumentacji. Zostaje więc jeszcze 235 projektów (prawdą jest, że minister Bieńkowska skreśliła z listy kilkadziesiąt wielkich projektów zaplanowanych przez PiS).

Platformę „zabolało” również stwierdzenie Gęsickiej, że w roku 2008 nastąpiło „istotne spowolnienie” wydanych środków z Narodowego Planu Rozwoju na lata 2004–2006. Tymczasem z danych przedstawionych przez nią wynika, że w roku 2008 wydano 21 proc. środków z NPR, gdy tymczasem w 2007 – 38 proc., a w 2006 – 24 proc. Tu można dodać, że np. w energetyce mamy prawie 800 mln euro na energię odnawialną, a nie wydamy nic („kłania się” toruńska geotermia). Na informatyzację – prawie 4 mld euro i też nic nie wydamy. Niewiele wydano na „słynne” drogi i autostrady, badania naukowe...

Generalnie w działaniach rządu nie widać postępu, chyba że chodzi o rozrost urzędników obsługujących administrację dotacji unijnych. Jak

wynika z ostatniego raportu Ministerstwa Rozwoju Regionalnego, do połowy 2008 r. Polska wydała 158 mln zł na administrację środków unijnych, a liczba urzędników do tej obsługi ma się zwiększyć z 6,3 tys. do 8,7 tys. osób (te liczby dotyczą administracji rządowej, nie uwzględniają wydatków samorządów).

Mijanie się z prawdą dotyka obecnie także innego bardzo ważnego problemu, jakim jest wprowadzenie waluty euro. Na ten temat kłamstwa mają szczególnie niebezpieczną wymowę. Ponieważ od 1 stycznia br. Słowacja wprowadziła euro, media każą nam wstydić się z tego powodu. Sam premier Donald Tusk był tak zachwycony słowacką „odwagą i wizją”, że – jak powiedział – „nie kryje uczucia zazdrości w stosunku do południowych sąsiadów (...). Wasze doświadczenie kandydata, a teraz członka strefy euro będzie znakiem nadziei dla innych krajów naszej części Europy (...). My, Polacy, będziemy się od was uczyć” – zapewnił premier.

Niestety, inne zdanie mają Polacy, którzy po 1 stycznia przebywali w tym kraju na nartach: karnet na wyciągi w miejscowości Tatrzańska Łomnica kosztował 27 euro, czyli ponad 800 koron, a kilka dni przed wprowadzeniem euro kosztował 670 koron. O tyle właściciel wyciągu zaokrąglił cenę. Podobnie podróżowało wypożyczenie nart, grzane wino, opłata parkingowa, benzyna...

A gdyby tak zamiast rozsiewania jedynie korzyści związanych z wprowadzeniem euro, uszczęśliwiania obywateli na siłę, bez ich zgody, ktoś z rządu wspomniał o ekonomicznych zagrożeniach z tym związanych? Czyżby były one nie po myśli rządu Tuska? Jak sądzę, większość Polaków zapewne zgodzi się na euro, ale dopiero wtedy, gdy Polska osiągnie przeciętny poziom w Unii Europejskiej pod względem rozwoju gospodarczego, czyli zamożności obywateli w tych państwach. Żądanie przez PiS referendum w tej sprawie jest ze wszech miar uzasadnione.

Kryzys gospodarczy dotyka już Polskę, bezrobocie rośnie, produkcja przemysłowa spadła o kilkanaście procent, PKB leci na łeb na szyję, nie zdążymy z drogami na EURO 2012..., ale o tym trudno od rządu coś usłyszeć. Platforma umiejętnie gra na wrażeniach, rozbudza nadzieje, oferuje wciąż nowe pomysły legislacyjne czy gospodarcze, które potem odkłada na półkę. Podobno na tym właśnie polega nowoczesny marketing, aby grać na uczuciach, manipulować emocjami, odwoływać się do sentymentu, a nie intelektu. Zapewne jest to dobry klucz do osiągnięcia sukcesu politycznego, ale jednocześnie to prosta droga do klęski państwa. Mówią o tym wspo-

mniane wyżej liczby. Mówią o tym skromni i zwykli obywatele. Ale czy ich głos przedrze się przez wyspecjalizowanych w przekazie medialnym szamanów i magów otaczających rządzących?

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 4/2009)

Szczyt w Pałacu Prezydenckim

25 lutego 2009 r. odbył się zwołany przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego szczyt społeczny poświęcony kryzysowi finansowemu i spowolnieniu polskiej gospodarki. Prezydent wraz premierem, reprezentantami pracodawców, związków zawodowych, samorządowców i ekonomistów omówili aktualną sytuację społeczno-gospodarczą. Jak stwierdzono, główne przyczyny kryzysu to oderwanie rynku finansowego od realnej gospodarki oraz gwałtowny wzrost spekulacji instrumentami finansowymi i obrotów nimi.

Mimo że te zarzuty nie dotyczą wprost polskiego sektora finansowego, to jednak kryzys w państwach na Zachodzie dotarł do nas, stąd gwałtownie rosła liczba upadających przedsiębiorstw i w konsekwencji – wzrasta bezrobocie. Dlatego – jak powiedział prezydent – obrona miejsc pracy musi być zadaniem priorytetowym: państwo powinno wspierać politykę prorozwojową i propopytową, polityka fiskalna nie powinna polegać na obcinaniu wydatków, na tłamszeniu popytu wewnętrznego, tylko na pobudzaniu go; należy uelastyczyć prawo pracy, w tym przygotować specustawę zawierającą rozwiązania antykryzysowe; przedsiębiorcy czekają na usunięcie ograniczeń biurokratycznych, co pozwoli nie tylko nie tracić miejsc pracy, ale też pozyskiwać nowe; należy zdjąć ograniczenia w dostępie do wielu zawodów; trzeba stworzyć rządowe gwarancje dla inwestycji infrastrukturalnych, aby wszystkie środki europejskie zostały wykorzystane. Czy powyższe postulaty pozostaną tylko hasłami, czas pokaże.

Ważnym tematem, jaki poruszono na szczycie, była sprawa wprowadzenia w Polsce waluty euro. Do niedawna rząd zdecydowanie opowiadał się za przyjęciem przez Polskę euro w 2012 r. Przypomnę, że PiS oprotestowuje tę datę, a ponadto domaga się referendum w sprawie wprowadzenia euro, na które nie chce się zgodzić Platforma. Prezydent podczas szczytu ocenił, że w sprawie euro w Polsce „będzie można dojść do jakiegoś porozumienia, które może się łączyć z referendum, a może nie (...). Referendum jest postu-

latem głównej partii opozycyjnej i ma silne poparcie społeczne. Ja nie wypowiadam się w tej sprawie” – dodał Lech Kaczyński.

Generalnie jednak prezydent i premier zgodzili się, że nasz kraj potrzebuje „narodowej strategii dojścia do euro”. Premier podczas spotkania ostrożniej niż w Sejmie operował słowami, nie rzucając nierealnej daty przystąpienia do unii walutowej w 2012 r., a nawet wręcz oświadczył, że nie jest „więźniem żadnej doktryny” i jest gotów do rozmów. Można dodać, że wcześniej media obieły nieoficjalne informacje, iż rząd miał bez konsultacji z prezydentem rozpocząć w UE negocjacje w tej sprawie, a także manipulowano opinią społeczną, że przyczyną kryzysu w Polsce jest brak euro (m.in. szef gabinetu premiera Sławomir Nowak wręcz ogłosił, że bez przyjęcia euro Polsce grozi bankructwo).

Na marginesie można dodać, że obecnie z powodu ataku spekulantów na złotówkę nasz kraj utraci zapewne wiele z rezerw walutowych NBP, ale bankructwo zagroziło raczej starym krajom UE. Już widać, że kryzys gospodarczy cofa je ekonomicznie o wiele lat, a wspólna waluta, niestety, w żaden sposób nie uchroniła ich przed kryzysem. Przygasła też radość Słowaków, którzy 1 stycznia 2009 r. przyjęli euro. Okazało się, że ceny wzrosły tam o 40 proc., a oni sami utracili połowę swych oszczędności. Nic dziwnego, że obecnie tysiące Słowaków codziennie robi zakupy w przygranicznych miejscowościach w Polsce, podobnie zresztą czynią i Niemcy.

Wracając do spraw szczytu i wprowadzenia europejskiej waluty, droga do tego prowadzi przez paroletnie zamrożenie kursu złotego w ramach tzw. mechanizmu ERM2. Oznacza to zobowiązanie do utrzymywania stabilnego kursu rodzimej waluty względem euro. Krótko mówiąc, gdybyśmy obecnie byli już w ERM2 – co sugeruje rząd – musielibyśmy za wszelką cenę bronić naszej waluty przed atakami spekulantów, co doprowadziłoby do wyczerpania się naszych rezerw walutowych. Ponadto należałoby prowadzić jeszcze bardziej restrykcyjną politykę finansową, aby nie pogłębić deficytu budżetowego. Skutkiem byłoby jeszcze większe nasilenie zjawisk kryzysowych.

To, że kryzys ekonomiczny komplikuje przystąpienie do unii walutowej, że nie jest dobrym momentem na zmianę waluty, że obecnie trzeba troszczyć się o losy przeciętnych obywateli, chyba zaczyna trafiać do premiera. Mimo że zarówno prezydent, jak i premier pozostali przy swoich zdaniach, jeśli chodzi o spojrzenie na sprawę łagodzenia skutków kryzysu, to obaj zgodzili się, że w Polsce walutę euro należy wprowadzić. Pozostaje

jednak kwestia daty i okoliczności towarzyszących zastąpieniu złotego przez euro. Ustalono, że dyskusji na ten temat będzie poświęcony kolejny szczyt w Pałacu Prezydenckim.

Premier zapowiedział równocześnie, że będzie chciał rozmawiać w Brukseli z szefami państw naszego regionu i szefem Komisji Europejskiej José Manuelem Barroso o tym, czy można uprościć procedurę przystąpienia nowych państw UE do strefy euro.

Choć spotkanie w Pałacu Prezydenckim zapowiadano jako szczyt społeczny, to jego głównym efektem stało się nieoczekiwane zbliżenie stanowisk premiera i prezydenta. A ich ściślejszej współpracy podczas kryzysu pragnie aż 96 proc. ankietowanych przez GfK Polonia dla „Rzeczpospolitej”. Jak wynika z sondażu, Polacy przede wszystkim oczekują ochrony miejsc pracy i pomocy dla upadających firm.

Doszło również w Pałacu Prezydenckim do porozumienia, kto będzie uczestniczył w nieformalnym szczycie państw Unii w Brukseli 1 marca br. (spotkanie jest adresowane do głów państw, a taką według polskiej Konstytucji jest prezydent). Jednak na szczyt w Brukseli poświęcony kryzysowi finansowemu i gospodarczemu uda się premier.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 10/2009)

Rzeczywistość po 500 dniach

W homilii wygłoszonej 2 maja 2003 r. bp Edward Frankowski powiedział, że pod wieloma względami dzisiejsza polska rzeczywistość przypomina czasy saskie: upadek patriotyzmu, zanik polskiej klasy średniej, polskiego stanu posiadania, wyprzedaż majątku, słabość armii, bezkrytyczny optymizm w stylu „jakoś to będzie”. Biskup mówił z bólem w sercu: „Na całym obszarze Polski trwają zażarte walki o władzę, o pieniądze przez wzajemne podkopywanie się, ogólną agresję wszystkich przeciw wszystkim, oszustwa na szeroką skalę, wyzysk, korupcję, złodziejstwo, niebывale samolubstwo, rozboje, zbrodnie”. Mocne słowa wypowiedziane podczas kadencji rządów SLD i premiera Leszka Millera. A jak jest obecnie?

Zbliża się 500 dni rządów premiera Donalda Tuska, przygotowywany jest oficjalny raport o osiągnięciach rządu, dlatego chciałbym odnotować kilka własnych obserwacji, odnosząc je do pytania, czy premier i rząd PO działają z myślą o państwie polskim, o konstytucji, o dobru wspólnym?

Moim zdaniem, obecny rząd jedynie administruje, działa ad hoc, nie myśli do przodu, nie ma wizji przyszłości. A przede wszystkim postępuje w myśl liberalnej ideologii, rzadkiej już obecnie w Unii Europejskiej: mniej państwa, więcej wolności. Zapewne ta zasada brzmiała dobrze kiedyś, ale nie obecnie, w dobie kryzysu, kiedy każde z państw broni własnego, narodowego dobra. Oto długa lista przykładów. Rząd uchyla się od odpowiedzialności za ochronę zdrowia: przekształcając szpitale w spółki prawa handlowego, oddając je samorządom, doprowadzi w konsekwencji do ich prywatyzacji. Tymczasem bezpieczeństwo zdrowotne narodu jest wpisane do konstytucji jako obowiązek państwa.

Podobnie jest z oświatą: ministerstwo edukacji w nowej ustawie oświatowej – oprócz zapędzenia 6-latków do szkoły – zrezygnowało z bardzo wielu kompetencji wobec szkół, dyrektorów, nauczycieli, programów nauczania, przekazując kompetencje kuratorów do samorządów lub organizacji społecznych, a także w ręce osób prywatnych (kompletnym absurdem jest zapis w ustawie, że na dyrektora szkoły może zostać powołana osoba, która nie ma kwalifikacji pedagogicznych).

Nie za dobrze dzieje się także w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, które zamierza znieść autonomię uniwersytetów przez ich rzecką reformę. Dobrze przypomnieć, że minister Barbara Kudrycka chciała bez powodu pognać Wyższą Szkołę Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu ze względu na jej założyciela, a ostatnio, wykorzystując pretekst niepoprawnej politycznie pracy Pawła Zyzaka, zamierzała naruszyć autonomię Uniwersytetu Jagiellońskiego. Generalnie rząd nie stawia na naukę, na technologie przyszłości, na odnawialne źródła energii. Co gorsze, odbiera przyznane za rządów PiS dotacje unijne na ten cel.

Nieciekawie jest w rolnictwie: rząd sprowadza tanie zboże z Ukrainy, co jest wbrew polskim interesom, faworyzuje firmy zagraniczne, wprowadza żywność genetycznie zmodyfikowaną (GMO). Kiedyś byliśmy największym producentem cukru w Europie, obecnie musimy importować cukier z Niemiec i Francji. Nie lepiej jest w górnictwie: rosną przyzmy węgla w naszych kopalniach, a sprowadza się do Polski tańszy węgiel z Czech lub Ukrainy. MON zalega z wypłatami zakładom zbrojeniowym, co grozi im upadkiem. Obiecywano w tej kadencji 4 tys. km nowych dróg i autostrad, a dotąd podpisano umowy na wybudowanie 760 km dróg, w tym 400 km autostrad. NIK po zbadaniu sieci sklepów wielkopowierzchniowych podał w raporcie, że ponad 50 proc. zagranicznych

supermarketów powstało w Polsce z naruszeniem prawa. Skierowano sprawy do prokuratury, nie słychać jednak, by wyciągnięto wobec kogoś odpowiednie konsekwencje.

To ten rząd doprowadził do likwidacji przez Brukselę polskich stoczni. Obojętnie, czy winę ktoś spróbuje rozłożyć na wcześniejsze rządy – przysłowiową kropkę nad „i” postawiono teraz. Ponadto rząd PO pracuje nad nową ustawą geologiczną, która pozwoli na sprzedaż innym państwom złóż gazu, ropy, węgla i miedzi. Czyni się kroki w kierunku oddania na własność, głównie Niemcom, naszych kolei państwowych, lasów, energetyki, LOT-u, rybołówstwa morskiego wraz z flotą, poczty państwowej itd.

Rośnie deficyt budżetu państwa. Po pierwszym kwartale 2009 r. wyniósł on 10,6 mld zł, czyli 58,3 proc. z zaplanowanych na ten rok 18,2 mld zł. Będziemy się więc jeszcze bardziej zadłużać. Spadł produkt krajowy brutto. W pierwszym kwartale tego roku nasza gospodarka urosła zaledwie o 1,5 proc., podczas gdy rok wcześniej o 6 proc. W tej sytuacji wręcz błogosławieństwem jest posiadanie własnej waluty, tymczasem rząd nadal chce wprowadzić na siłę zależność od waluty europejskiej.

Rząd chwali się, że prowadzi dialog społeczny, tymczasem coraz częściej dochodzi w Warszawie do manifestacji pracowniczych i nikt z rządu nie prowadzi dialogu ani z manifestantami, ani wcześniej z pracownikami, ani w ogóle z ogółem społeczeństwa. Wkrótce na krytykę pozostanie tylko „ulica”, ponieważ nowa ustawa medialna całkowicie podda pod kontrolę rządzących media publiczne. Ponadto w nowej ustawie nie ma już słowa o przestrzeganiu wartości chrześcijańskich, o ochronie rodziny, zapewne też Radio Maryja zostanie pozbawione statusu nadawcy społecznego.

Dlaczego tak się dzieje? Prosta odpowiedź: po podpisaniu Traktatu Lizbońskiego państwa narodowe staną się przeżytkiem. W powstałym superpaństwie będziemy obywatelami UE, zadaniem urzędników będzie zapewnienie porządku publicznego, zbieranie podatków, czuwanie nad przestrzeganiem prawa unijnego. Zapewne nie będzie wówczas mamy i taty, tylko rodzic A i rodzic B, wprowadzi się nową definicję małżeństwa i rodziny, obowiązywać będzie inna koncepcja człowieka i moralności. To wszystko funkcjonuje już po części w unijnych państwach, a u nas rząd Platformy Obywatelskiej konsekwentnie do tego prowadzi.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 17/2009)

Czy tylko zaklinanie rzeczywistości?

Jeszcze niedawno premier Donald Tusk zaklinał się, że nie będzie, wzorem Niemiec czy Stanów Zjednoczonych, walczył z kryzysem przez zadłużanie państwa. Nie chciał słyszeć głosów krytyki, że uchwalony budżet na 2009 r. – zakładający wzrost gospodarczy o 3,7 proc., a deficyt na poziomie 18 mld zł – jest nierealny, podyktowany wyłącznie marzeniem o szybkim wejściu do strefy euro. Obecnie premier musiał przyznać: gospodarka ostro wyhamowuje, trzeba zejść na ziemię, cudów nie będzie, jednym słowem – ideologiczne założenia ustąpiły pod naporem realnej gospodarki.

Zeszłoroczne szacunki, mówiące o wzroście gospodarczym sięgającym 3,7 proc. PKB, a także styczniowe, sugerujące, że wyniesie on 1,7 proc., okazały się błędne. Najnowsza prognoza to 0,2 proc., a ekonomiści ostrzegają, że może być jeszcze gorzej.

Aby dopiąć tegoroczny budżet, rządowi brakuje 37 mld zł – przyznał to minister finansów Jacek Rostowski. Chcąc przetrwać kryzys, nie wystarczy zadłużyć budżet o kolejne 9 mld zł, bez wsparcia krajowej gospodarki – tak jak to czynią wszystkie państwa zachodnie. Dlatego wotum nieufności wobec ministra finansów zgłosił PiS, uważając, że jest niewiarygodny, domagając się jego dymisji. Dymisji głównie za to, że nie podjął, jak dotąd, żadnych ustawowych antykryzysowych działań, a jedynie, w ramach oszczędności, dokonuje cięć w wydatkach budżetowych, m.in. ograniczając zamówienia publiczne, co prowadzi do dalszego schłodzenia polskiej gospodarki i jeszcze bardziej zwiększy spadek dochodów z podatków. Ponadto eksperci uważają, że nie wolno zabierać dochodów z zysków w spółkach z udziałem Skarbu Państwa – jak to ma miejsce m.in. z PKO BP. To są pieniądze na kredyty dla przedsiębiorstw, to są też pieniądze, aby te przedsiębiorstwa nie zbankrutowały.

Nie wiem, jak rząd wybrnie z kryzysu, zapewne wkrótce czekają nas wyższe podatki. W grę może wchodzić zrównanie stawek VAT do 22 proc. (dziś są trzy stawki 7, 15, 22 i 0 proc.), a także podniesienie składki rentowej i akcyzy. I tu warto przypomnieć, że gdy rządził PiS, płace rosły o 10 proc. rocznie. To rząd Jarosława Kaczyńskiego doprowadził do obniżki podatków. 8 mld zł zostało w kieszeniach Polaków. Odmrożono progi PIT: podwyższono I próg z 37 tys. do 43 tys. zł. Wprowadzono ulgę prorodziną na każde dziecko – 1145 zł. Przyspieszono amortyzację nakładów na nowe technologie. Ułatwiono rozliczanie się dla małych podatników (kwartalne zaliczki w PIT i CIT). Zniesiono podatek od spadków i darowizn w obrębie najbliższej rodziny. Obniżono składkę rentową o 7 proc. Obniżono

stawkę VAT na usługi pracochłonne. Wprowadzono zerową stawkę akcyzy na kosmetyki. Wprowadzono dwie stawki PIT od 2009 r. w wysokości 18 proc. i 32 proc. Za rządów PiS firmy mogły korzystać ze specjalnych form pomocy państwa dla podmiotów znajdujących się w trudnej sytuacji finansowej. Do końca 2007 r. przedsiębiorcy mogli ubiegać się o wsparcie, polegające m.in. na odroczeniu terminu płatności podatku, rozłożeniu go na raty, umorzeniu części lub całości zaległości podatkowych. Za rządów PiS powstało ponad milion nowych miejsc pracy. W latach 2005–2007 bezrobocie w Polsce spadło o 6 proc.

Ponadto rząd PiS rozpoczął reformę finansów publicznych. Udało się włączyć do budżetu państwa środki unijne i określić procedury finansowania krajowych i regionalnych projektów unijnych. Konkretnie w ciągu dwóch lat rządów PiS pozyskaliśmy z Brukseli ponad 25 mld zł. Obecny rząd zaplanował w budżecie na 2008 rok, iż Polska na czysto, po opłaceniu składki, uzyska ponad 29 mld zł. Wynik był 7 razy mniejszy: uzyskano trochę ponad 4,3 mld zł – najmniej w historii członkostwa naszego kraju w UE.

Zapewne obecna sytuacja budżetu to, oczywiście, po części wina kryzysu, ale przede wszystkim skrajnego niedołęstwa rządu, braku doświadczenia, trwonienia majątku narodowego. Wystarczy przypomnieć skandaliczną sprzedaż stoczni. Przecież polski przemysł okrętowy był jednym z ważniejszych filarów naszej gospodarki, tworzyły go stocznie i około 2 tys. kooperujących zakładów. To były dziesiątki tysięcy miejsc pracy. Jak można było tak bezmyślnie dopuścić do jego upadku.

Albo w sytuacji, gdy odnawialne energie są w Unii Europejskiej elementem napędowym gospodarki, obecny rząd uczynił wszystko, aby odebrać przyznane z UE pieniądze Fundacji „Lux Veritatis” na geotermię w Toruniu, a przy tym obcojęzyczne media wykpiły cały program rozwoju energii odnawialnej, odwróciły uwagę od faktu, że nasze państwo posiada znaczące bogactwo do wykorzystania.

I ostatni przykład: ustawa medialna przeforsowana z takim zapamiętaniem przez PO, uzależniająca zdecydowanie bardziej niż to miało miejsce do tej pory media publiczne od bieżącej polityki państwa, i to zarówno od strony finansowej, organizacyjnej, jak i programowej. W sytuacji, gdy Europa i świat łączą siły, gdy tworzy się silne koncerty medialne, my nasz koncern telewizji publicznej, radia publicznego, ten wielomiliardowy majątek, dorobek pokoleń Polaków, dzielimy na małe spółki, dezorganizujemy,

odbieramy abonament, osłabiamy oglądalność, a tym samym możliwość pozyskiwania reklam, jednym słowem – rzucamy na żer bezwzględnych medialnych koncernów zagranicznych. O co w tym wszystkim chodzi?

PS. Sejm zdecydował 24 czerwca w głosowaniu, że poprawka Senatu o wspieraniu wartości chrześcijańskich będzie należeć do zadań mediów publicznych. To bardzo ważne rozstrzygnięcie, choć należy pamiętać, że jeden zapis nie zmienia faktu, że ta ustawa jest szkodliwa, pozbawia bowiem media publiczne gwarancji finansowych. Za przyjęciem wspierania wartości chrześcijańskich w mediach głosowało 272 posłów: wszyscy obecni posłowie PiS, PSL oraz 94 posłów PO. Przeciwko opowiedziało się 131 posłów, w tym 87 z Platformy. 5 członków tego klubu wstrzymało się od głosu.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 27/2009)

Budżet bez poprawek Senatu

Ostatnie posiedzenie Senatu przed wakacyjną przerwą, 29–31 lipca 2009 r., było poświęcone głównie nowelizacji budżetu państwa. Byłem zaskoczony decyzją senackiej Komisji Budżetu i Finansów Publicznych, która zdecydowała, że nie zarekomenduje Senatowi żadnych poprawek. Oznaczało to, że budżet nie wróci już do Sejmu, lecz trafi bezpośrednio do podpisu prezydenta. Ta polityczna decyzja Platformy Obywatelskiej, aby nie przyjmować żadnych poprawek, była swoistym gwałtem zadaniem Senatowi, swoistym ubezwłasnowolnieniem Wysokiej Izby.

Przypomnę, że nowelizacja budżetu na 2009 r. została spowodowana mniejszymi wpływami z zaplanowanych podatków aż o 47 mld zł. Aby to zbilansować, rząd dokonał cięć w wydatkach resortów o ponad 21 mld zł, podniósł poziom deficytu o 9 mld, czyli do 27,2 mld zł, zaplanował zwiększenie dochodów z dywidend o ponad 5 mld zł i włączył do budżetu środków z UE – 8 mld zł.

Jak ocenić te działania? Ekonomisci podkreślają, że cięcia i działania rządu są chaotyczne i niespójne – np. wyprowadzanie przez Skarb Państwa zysków z przedsiębiorstw w dobie największego kryzysu finansowego doprowadzi je do bankructwa lub spowoduje utratę przez Skarb Państwa kontroli nad tymi podmiotami. A już opieranie początkowo całego planu walki z kryzysem na hipotetycznym i niepewnym zysku NBP było skrajnie

nieodpowiedzialne. Dziś mówi się, że owe 12 mld zł, które podobno można zabrać NBP, wpisuje się w cykl dziwnych wypowiedzi premiera z zakresu ekonomii. Ale do tego już się przyzwyczailiśmy. Przypomnę, że premier obiecywał już przyjęcie waluty euro w 2011 r., mówił o interwencji na rynku walutowym, gdy kurs osiągnie poziom 5 zł za euro, a także straszył emisją europejskich papierów dłużnych, których nikt nie zamierzał emitować. Życzę premierowi, aby chociaż raz nie minął się z prawdą, aby chociaż raz sprawdziło się to, co deklaruje. Żeby np. udało się rządowi pozyskać 41 mld zł funduszy unijnych – tak jak to premier deklarował, bo, niestety udało się pozyskać tylko 16,5 mld zł. Szkoda, bo te niewygospodarowane pieniądze pracowałyby teraz w gospodarce na większy wzrost PKB.

Najbardziej mnie denerwuje, kiedy rząd tłumaczy obecnie wszystko kryzysem finansowym i gospodarczym na świecie. To prawda, że kryzys na świecie jest, natomiast hipokryzją PO jest gra kryzysem: raz kryzys u nas jest, a innym razem go nie ma. Przypomnę, co min. Jacek Rostowski powiedział w październiku 2008 r.: „Polacy mogą spać spokojnie, kryzys w Stanach Zjednoczonych nie dotknie polskiej gospodarki”. Następnie minister wmawiał milionom Polaków, że jedynym lekarstwem na kryzys będzie szybkie przyjęcie waluty euro, poprzedzone wejściem w połowie tego roku do tzw. korytarza ERM 2.

Jeszcze w maju tego roku min. Rostowski twierdził, że wszystko jest pod kontrolą, tymczasem już wówczas deficyt osiągnął niemal 90 proc. zaplanowanej wielkości na bieżący rok. I tak na dobre, to według PO kryzys zaczął się dopiero 7 czerwca wraz z zamknięciem lokali wyborczych po wyborach do Parlamentu Europejskiego. Do tego czasu rząd – nie chcąc narazić się wyborcom – nie ujawniał prawdziwej sytuacji naszej gospodarki i planu drastycznych cięć, jakich zamierza dokonać.

To jest właśnie miara cynizmu i obłudy: nieliczenie się ze społeczeństwem, drwina z prawdy. Tymczasem kwestia prawdy i wiarygodności powinna być kluczowa dla funkcjonowania państwa w warunkach kryzysu. Jak tu wierzyć premierowi rządu, który chlubi się do dnia poprzedzającego wybory do PE, że polskie stocznice zakupił inwestor z Kataru, tymczasem okazuje się, że do dzisiaj nie wiadomo nawet tego, komu je sprzedano. Co więcej, sprzedano je za śmieszną sumę 380 mln zł – to mniej niż wart jest teren stoczniowy. A jeśli zważymy na jego strategiczne położenie, ważne dla bezpieczeństwa naszego kraju, to ten teren nie ma w ogóle ceny.

Jak tu ufać rządowi, który ustami min. Grada ogłasza program prywatyza-

cji i chce się pozbyć części udziałów w takich firmach, jak KGHM Polska Miedź, Lotos, w spółkach energetycznych czy chemicznych? Rozumiem, że tonący brzytwy się chwytą. Ale taka prywatyzacja może przynieść chwilowe korzyści dla budżetu państwa, natomiast oznacza utratę kontroli przez państwo nad strategicznymi spółkami. Przyspieszanie procesów prywatyzacyjnych, by osiągnąć ponad 36 mld zł na zasypanie dziury budżetowej, jest nierozsądne i krótkowzroczne. Czy nie dość już szkód dla polskiej gospodarki?!

Wspomniałem, że cięcia wydatków są chaotyczne i niespójne, wielomiliardowe i kilkumilionowe. I tak niesprawiedliwie, moim zdaniem, zabrano np. 2,5 mln zł z pomocy socjalnej dla kombatanów, i to w przeddzień rocznicy Powstania Warszawskiego. Następnie rząd zamroził na trzy kolejne lata kryterium dochodowe uprawniające do świadczeń z pomocy społecznej. To samo dotyczy świadczeń rodzinnych. Tymczasem ponad 51 proc. dzieci w Polsce rodzi się w rodzinach mających bardzo niski dochód. Polskie dzieci są najbardziej w Unii Europejskiej narażone na ubóstwo. Rząd, zamrażając kryteria dochodowe i likwidując Rezerwę Solidarności, z zimną krwią zaplanował zwiększenie ubóstwa rodzin. Skoro w ubiegłym roku urodziło się w Polsce 415 tys. dzieci, a gminy wypłaciły ponad 213 mln zł dodatków do zasiłku rodzinnego z tego tytułu, to znaczy że co drugie dziecko rodzi się w ubogiej rodzinie. Pogłębieniu tej dramatycznej sytuacji ubożenia dzieci, zapaści demograficznej, służy antypolityka rodzinna PO. Dlaczego nauka nie jest już priorytetem dla Donalda Tuska? Jego minister tnie środki przewidziane na nią o 605 mln zł. Dlaczego rząd nie dba o bezpieczeństwo Polscy i Polaków, zabierając 509 mln zł policji i straży pożarnej?

To tylko niektóre problemy, którymi zajęliśmy się w poprawkach. Ale senatorowie PO zadbali o to, aby nie przeszkadzać posłom przebywającym już na wakacjach.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 32/2009)

Lawinowy wzrost zadłużenia

Rząd skierował do Sejmu projekt ustawy budżetowej na 2010 r. Ogółem dochody budżetu mają wynieść ok. 249 mld zł, a wydatki – ponad 301 mld zł. Oznacza to rekordowy deficyt, sięgający ponad 52 mld zł, czyli ok. 7 proc. PKB. Jest to największy deficyt, czyli tzw. dziura budżetowa, w ostatnich 20 latach. Główną przyczyną narastającego zadłużenia kraju

jest postępujący kryzys gospodarczy, w konsekwencji niższe wpływy podatkowe. Bezrobocie ma sięgnąć 13 proc.

Mimo tych niepokojących prognoz premier Donald Tusk i tym razem przekonywał, że „jest to budżet bezpieczny, bardzo przemyślany, gwarantujący bezpieczne przejście Polski przez czas burzy”. Premier zapewnił, że „rząd zabezpieczył pieniądze na inwestycje infrastrukturalne, a także na obiecane podwyżki dla nauczycieli i przysługującą emerytom i rencistom waloryzację świadczeń”. Oby tak było, czy jednak będzie – okaże się wkrótce.

Ekonomiści twierdzą, że zabrakło w minionych dwóch latach aktywnej polityki gospodarczej, nie podjęto żadnej reformy finansów publicznych, co w konsekwencji prowadzi do wspomnianego ogromnego wzrostu deficytu, czyli długu publicznego. Dopowiem: gdyby ten dług publiczny przekroczył w 2010 r. 55 proc. w stosunku do PKB, państwo nie mogłoby wypełniać wszystkich swoich funkcji: nie byłoby zapowiadanych podwyżek dla pracowników sfery budżetowej, została by ograniczona waloryzacja emerytur, trudniej byłoby o pożyczki i kredyty – tak mówi ustawa o finansach publicznych. A już w tej chwili ów dług dochodzi do 50 proc.

Aby znaleźć pieniądze, rząd Donalda Tuska m.in. zaplanował olbrzymią akcję prywatyzacyjną. Zakłada się, że przychody z prywatyzacji wyniosą w 2010 r. aż 25 mld zł. Rząd będzie sprzedawał dobre firmy, mimo panującej dekoniumtury, mimo że wartość wielu z nich spadła nawet o kilkadziesiąt procent. Taka pospieszna prywatyzacja w obecnej niekorzystnej sytuacji rynkowej nosi znamiona wyprzedaży majątku narodowego.

Aby ratować budżet, rząd sięgnął do kieszeni ludzi najuboższych, zamrażając progi dochodowe uprawniające do zasiłków rodzinnych, likwidując rezerwę solidarności społecznej, obniżając dotacje do wynagrodzeń osób niepełnosprawnych, zabierając pieniądze z Funduszu Rezerwy Demograficznej.

Groźny dla przyszłych pokoleń jest zwłaszcza zamach na Fundusz Rezerwy Demograficznej. To była pomoc dla rodzin i osób najbardziej poszkodowanych w wyniku kryzysu, czyli tych, którzy szczególnie dotkliwie odczuwają upadek swoich zakładów pracy, którzy wpadli w spiralę zadłużenia itp. A już najbardziej niezrozumiałe jest wspomniane zamrożenie na kolejne lata progów dochodowych uprawniających do zasiłków rodzinnych oraz zasiłków z pomocy społecznej. Już obecnie kryteria pomocy społecznej dla rodzin z dziećmi są poniżej minimum egzystencji. Ponieważ na-

stępny termin ustawowy waloryzacji przypada dopiero na 2012 r., tym samym ponad 650 tys. osób zostanie pozbawionych prawa do zasiłku rodzinnego. Jeśli do tego doliczyć choćby zapowiadany wzrost cen energii elektrycznej dla gospodarstw domowych, to skutkiem będzie jeszcze większy spadek realnych dochodów, a w konsekwencji większa bieda.

Najbardziej niepokojącym elementem budżetu jest odejście od jakiegokolwiek polityki rodzinnej. W dobie kryzysu demograficznego w Europie wszystkie państwa zwiększają zasiłek rodzinny. Nawet w Hiszpanii, która walczy z rodziną, premier Zapatero zdecydował się na 2500 euro becikowego. We Francji system ulg podatkowych powoduje, że przy trzecim dziecku dopłaty dorównują płaconym przez rodzinę podatkom. Tymczasem w Polsce na pomoc społeczną i świadczenia rodzinne wydajemy rocznie trzy razy mniej niż przeciętny kraj członkowski UE.

Pod tym względem wyprzedza nas nawet biedna Rumunia. Już staliśmy się krajem unijnym, w którym dzieci są najbardziej zagrożone ubóstwem. Jak sądzę, zapłacimy surowo za tę lekkomyślność, ponieważ koszty starzenia się społeczeństwa dotkną dramatycznie te kraje – zarówno bogate, jak i biedne – które nie prowadzą aktywnej polityki prorodzinnej. Niby w uzasadnieniu do projektu budżetu pisze się o roli inwestycji publicznych, rozwoju budownictwa, badań naukowych, uznania za priorytetowe działań państwa w celu wzrostu zatrudnienia, ograniczenia bezrobocia i wzrostu aktywizacji zawodowej obywateli, jednak poczynione cięcia budżetowe podważają możliwość ich realizacji. Jednym słowem, ten projekt budżetu nie stwarza pomyślnych warunków na wyjście z sytuacji kryzysowej. Jeśli do tego dodać, że już „uśmierciliśmy” przemysł okrętowy – okno na świat i symbol wolności – to obawiam się, że czeka nas w 2010 r. zapaść w każdej dziedzinie. W każdym razie w tym budżecie nie ma mowy o żadnych „cudach” i to chyba jest jedyny prawdziwy sygnał odejścia obecnego rządu od mamienia społeczeństwa obietnicami bez pokrycia.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 41/2009)



Część II

WOKÓŁ SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH

Póki jeszcze mamy święta

Słuchając w Sejmie wypowiedzi posłów, którzy bezwarunkowo zgadzali się na ratyfikację traktatu lizbońskiego, odniosłem wrażenie, że celowo pomijali unijną ideologię, lękali się dotknąć problemu zafałszowania w tej quasi-konstytucji prawdy o dziedzictwie chrześcijańskim jako fundamencie cywilizacji europejskiej. Nie czepiam się, dlaczego w traktacie lizbońskim nie ma preambuły o odwołaniu do Boga, ale nie rozumiem tego, że na przykład status Kościołów i wspólnot chrześcijańskich jest identyczny ze statusem, jaki mają organizacje światopoglądowe i niewyznaniowe! Inaczej mówiąc – osoby o innej orientacji seksualnej będą podlegały podobnej ochronie jak ludzie wierzący (głównym zagrożeniem moralnym w UE są wyłącznie rasizm i ksenofobia).

Mając m.in. to na uwadze, Prawo i Sprawiedliwość uzależniło ratyfikację traktatu od zgody Sejmu na przyjęcie preambuły, czyli poprawek do tej ustawy, w której zagwarantowano by suwerenność Polski, a więc nadrzędność polskiej konstytucji nad unijną, ograniczenie stosowania przez Polskę Karty Praw Podstawowych i zachowanie kompromisu z Joaniny w sprawie głosowania na unijnym forum. Jednym słowem – PiS w sposób bardzo delikatny, ale i jednoznaczny upomniał się o to, aby prawo UE nie naruszało w żaden sposób polskiego prawa rodzinnego, moralności publicznej, ochrony życia od poczęcia, a także polskiej własności na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Mimo że w preambule nie ma niczego, co powinien gwarantować traktat, propozycja ta wywołała furię euroentuzjastów z premierem Donaldem Tuskiem na czele.

Dlatego w takim razie we Francji, zanim przyjęto traktat lizboński, zmieniono konstytucję tak, aby nie ucierpiały na tym sprawy tego kraju. Podobnie czyni się to obecnie w Niemczech. U nas nie wolno. Dlatego

chciałbym przypomnieć, co powiedział w 1995 r. prezydent Francji Jacques Chirac. Stwierdził on, iż prawo moralne (naturalne) nie może stać nad prawem cywilnym. Jak się wyraził, moralne jest to, co uchwała Zgromadzenie Narodowe. Wniosek z tego jest jasny: wkrótce moralne będzie tylko to, co uchwala Parlament Europejski.

Źródłem tego rozumowania – niezależnie od faktycznych intencji – stała się rewolucja francuska, która wprowadziła pojęcie laicyzmu jako formy walki z chrześcijańską koncepcją człowieka i państwa. Jestem przekonany, że laickość, wpisana kiedyś do konstytucji francuskiej, odżyła dzisiaj najpierw w konstytucji Unii Europejskiej, a obecnie w jej zreformowanym dokumencie, czyli traktacie lizbońskim, co w istocie sprowadza się do tego, że państwo chce zastąpić Kościół. Z natury rzeczy doprowadzi to do dalszej dechrystianizacji czy wręcz walki z Kościołem. Jednym słowem – po 200 latach od haniebnej rewolucji francuskiej jesteśmy dzisiaj świadkami kreowania „nowej Europy” bez Boga, o czym świadczy bodaj zeświecczenie świąt i symboli religijnych.

Już jako klasykę wspomina się słowa kard. Karola Wojtyły sprzed wyboru na Stolicę św. Piotra, który podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych w 1976 r. proroczo powiedział: „Stoimy teraz w obliczu największego w historii konfliktu, ostatecznej konfrontacji między Kościołem a anty-Kościółem, Ewangelią a anty-Ewangelią. Konfrontacja ta leży w planach Bożej Opatrzności. Jest to próba nie tylko dla naszego narodu i dla Kościoła, ale jest to w pewnym sensie próba dotycząca dwóch tysięcy lat kultury i chrześcijańskiej cywilizacji, ze wszystkimi konsekwencjami dla ludzkiej godności, indywidualnych praw i praw narodów”.

Dzisiaj wiemy, co chciał wówczas powiedzieć przyszły Papież, uciekając się do tak mocnych obrazów wojny cywilizacyjnej, walki z Dekalogiem. W pierwszym rządzie podyktowało mu te słowa głębokie zatroskanie o los Kościoła, poddanego atakom pleniącej się w świecie kultury konsumpcji, przerażającej się w „kulturę śmierci”. Widać to obecnie najdobitniej na przykładzie wojny z małżeństwem i rodziną, także ze świętością życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Z powodu cynicznej propagandy homoseksualizmu, radykalnego feminizmu i idiotycznej ideologii gender, pozbawiającej samą płciowość jej ludzkiego charakteru, dochodzi do niespotykanej dawniej deprawacji ludzi. W niektórych krajach Unii Europejskiej zabrania się nawet uczyć w szkołach o tym, że Bóg jest Stwórcą człowieka. Oznacza to, że wracamy do najbardziej wulgarnych teorii o pochodzeniu

człowieka – od małpy. Czy aby „dostojni” politycy z UE nie dostali pomieszanania zmysłów, wpisując zasadę równości każdej „orientacji seksualnej” do Karty Praw Podstawowych?! Krótko mówiąc – rewolucyjny laicyzm staje się coraz bardziej ofensywny, skoro „postępowe” państwa uchwały już najbardziej barbarzyńskie ustawy, włącznie z dzieciobójstwem oraz eksterminacją ludzi chorych i starych.

Ostatnio Izba Lordów w Anglii wprowadziła przepisy pozwalające na „hodowanie” dzieci, z których będzie można pobierać organy do przeszczepów. To już tylko krok przed dopuszczalnością tworzenia tzw. hybryd, czyli łączenia embrionów ludzkich i zwierzęcych. To m.in. tego typu ustawy oraz badania „naukowe” doprowadziły do głębokiego kryzysu tożsamości człowieka, istoty powołania rodziny, zapaści demograficznej, drastycznego spadku zawieranych małżeństw.

Jedno jest pewne: wyparcie się wiary w Boga, odrzucenie zasad i wartości religijnych, czyli życie „jakby Bóg nie istniał” – słowa Jana Pawła II – wywołuje dzisiaj ogromne zamieszanie społeczne, rodzi chaos myślowy, burzy dotychczasową cywilizację i kulturę. Jednak póki jeszcze wolno w polskich kościołach bić w dzwony na Rezurekcję, życzę wszystkim rodakom łaski wiary i nadziei płynących z przeżywania świąt tajemnicy Zmartwychwstania Chrystusa.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 12/2008)

Dlaczego głosowałem przeciw?

Ratyfikacja Traktatu Lizbońskiego w zasadzie nie napotkała w polskim parlamencie na większe trudności, ale czy obyło się bez wątpliwości? Należy żałować, że nasz spór skoncentrował się na sposobie ratyfikacji, na sprawach prestiżu poszczególnych partii, a także prezydenta, za mało natomiast mówiliśmy o treści traktatu. Gdyby było inaczej, gdybyśmy skupili się na tym, co zawiera traktat, to nikt w mediach nie nazywałby przeciwników ratyfikacji wrogami integracji europejskiej. Dania wniosła wiele zastrzeżeń do traktatu, Wielka Brytania to samo, obydwa państwa wywalczyły korzystne dla siebie rozwiązania, a u nas rozgorzała histeryczna dyskusja na temat samego procesu ratyfikacji. Tymczasem kto w Europie nie stawia warunków, nie domaga się czegoś dla siebie w imię budowania UE, uważany jest za marnego, nic nieznaczącego gracza. Dlatego nasz

spór powinien dotyczyć możliwości osiągnięcia lepszego miejsca w UE, a nie straszyć, że brak ratyfikacji popchnąłby Polskę w stronę Białorusi.

Przechodząc do odpowiedzi na pytanie, dlaczego głosowałem przeciw traktatowi, chciałbym najpierw podkreślić, że obecny projekt Unii Europejskiej daleko odbiegł od tego, co proponowali „ojcowie założyciele”: Jean Monnet, Robert Schuman, Alcide de Gasperi czy Konrad Adenauer. Według nich, Europa miała jednoczyć się wokół wartości duchowych. Schuman pisał: „Zanim Europa stanie się sojusznikiem wojskowym czy całością ekonomiczną, musi być wspólnotą kulturalną i duchową w najszczytniejszym sensie tego słowa”. Podobnie jak Schuman, de Gasperi widział pojednanie i jednoczenie Europy przy zachowaniu historycznej i kulturalnej tożsamości każdego z krajów i narodów. Ważną rolę w ideowym jednoczeniu się Europy odegrała koncepcja Charles’a de Gaulle’a, znana pod nazwą „Europy ojczyzn”, koncepcja bliska nauczaniu Jana Pawła II.

A co z tych koncepcji mamy dzisiaj? Przywództwo w Unii Europejskiej przechwycili różnej maści liberalowie i masoni, często ludzie amoralni, którzy nie widzą żadnego problemu w fakcie zabijania dzieci nienarodzonych, biorą natomiast w obronę małpy, zakazując dokonywania doświadczeń naukowych na tych istotach. Ta „kultura śmierci” w UE ma oczywiście swoje korzenie, a są nimi te same ideologie, które doprowadziły w Europie do wojen i rewolucji w imię walki z Bogiem. Nie mam złudzeń, że w wielu państwach UE, np. obecnie w Hiszpanii, trwa regularna wojna z chrześcijaństwem. Niestety, Traktat Lizboński to w dużym stopniu wspiera, dlatego nie mogę wyrazić zgody na jego ratyfikację.

A co w samym traktacie uważam za złe i niekorzystne dla Polski? Po pierwsze, nie wolno ratyfikować traktatu, który jest niezgodny z naszą konstytucją. Skoro Unia Europejska otrzymuje po ratyfikacji traktatu przez wszystkie 27 państw pełną osobowość prawną i uzna ten traktat za swoją konstytucję, a ponadto będzie miała prezydenta, rząd, władzę sądowniczą, ustawodawczą, wspólne obywatelstwo, wspólną walutę, bank centralny, wojsko itd., to znaczy, że nie jest to już międzynarodowa organizacja, ale normalny organizm państwowy, dlatego nie można na niego scedować żadnych prerogatyw państwa polskiego (w obecnej konstytucji, uchwalonej w 1997 r. przez SLD, PSL i UW, jest mowa, że państwo polskie może zrzec się części suwerenności na rzecz organizacji międzynarodowej).

Konkretne zapisy o wspomnianym wyżej superpaństwie ukryte są głównie w deklaracji 17, dołączonej do traktatu; gdyby nie były ważne, nie

znajdowałyby się w tym miejscu. A trzeba dodać, że niekorzystny dla Polski, a także innych mniejszych państw, jest w traktacie nowy podział głosów na rzecz dominacji dużych państw (12 państw może zostać pominiętych przy podejmowaniu decyzji). Na ile skuteczny będzie zapis z Joanny, który uważa się za sukces prezydenta – okaże się w praktyce.

Co prawda, Polska w specjalnej ustawie ma zastrzec sobie wyższość konstytucji nad prawem unijnym, ale czy taką unijną hybrydę, w której funkcjonuje traktat konstytucyjny oraz 27 konstytucji narodowych, można ze sobą pogodzić? Oczywiście, że nie. Wniosek z tego jest prosty – z góry założono, że o wszystkim będzie decydować konstytucja unijna. Na to nie może być zgody.

Ale co najważniejsze, interpretacja wszelkich praw unijnych jest już w tej chwili zastrzeżona dla Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości w Luksemburgu. I znowu, Polska wywalczyła sobie w protokole brytyjskim ochronę prawną w zakresie problemów etycznych, moralności publicznej, praw rodziny i ochrony ludzkich wartości... ale nasze prawo nie może naruszać unijnych praw podstawowych, a do nich m.in. zaliczono orientację seksualną. Tylko pogratulować założonej prawniczej pokrętności.

Konkludując, traktat diametralnie zmienia naturę dotychczasowej Unii Europejskiej, która od tej pory staje się państwem kierowanym nie jak dotychczas, kolejno przez poszczególne kraje członkowskie, ale przez polityków brukselskich, wybieranych w bardzo niejasnych, tajemnych, niedemokratycznych gremiach. Celem tak widzianej Unii jest demontaż państw członkowskich. Ten traktat jest ewidentnym dowodem na budowę superpaństwa europejskiego.

Wiem, że Traktat Lizboński był kompromisem na granicy opłacalności, ale wtedy, kiedy był zawierany w Brukseli, u władzy był rząd, który kierował się narodowym interesem; rząd, z którym się liczone było za granicą; ba, obawiano się go. Dzisiaj nie mam pewności, czy obecny rząd i czy przyszłe rządy będą dobrze broniły interesów Polski w Unii Europejskiej. Dlatego moje „nie” kosztuje więcej niż „tak”, ale często „nie” jest bardziej korzystne niż „tak”. Człowiek polityki nie może się bać mówić „nie” częściej niż „tak”.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 15/2008)

Traktat reformujący UE przed Trybunał Konstytucyjny

Sygnowany 13 grudnia 2007 r. w Lizbonie przez premiera Donalda Tuska i szefa polskiej dyplomacji Radosława Sikorskiego traktat reformujący Unię Europejską, zwany już powszechnie traktatem lizbońskim, przewiduje, że po wejściu w życie, 1 stycznia 2009 r., kompetencje Wspólnoty Europejskiej przejmie Unia Europejska, uzyskując osobowość prawną, czyli wszelkie przymioty organizacji międzynarodowej (art. 32). Będzie to wówczas swego rodzaju superpaństwo, na czele którego stanie przewodniczący Rady Europejskiej (prezydent), wybierany na 2,5-letnią kadencję. Powstanie także stanowisko wysokiego przedstawiciela UE, który w praktyce będzie ministrem spraw zagranicznych Wspólnoty (art. 9e). UE będzie także posiadała samodzielną władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Czy jest to zgodne z konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej?

Należy wspomnieć, że myśl opracowania traktatu reformującego zrodziła się po odrzuceniu przez Francję i Holandię tzw. eurokonstytucji, tylko bowiem w ten sposób można było kontynuować dzieło jednoczenia Europy. Szkopuł w tym, że tekst traktatu prawie nie różni się od wspomnianej eurokonstytucji, aby jednak jakoś go „przepchać”, inaczej mówiąc uniknąc dyskusji politycznych, nie nazwano traktatu „konstytucją”, a prace nad nim odbywały się w zupełnej tajemnicy. Czy to nikogo już nie dziwi, że ani parlamenty krajowe, ani Parlament Europejski nie miały wglądu do tekstu, który jesienią ub. roku był przedmiotem rozmów premierów UE? Do dziś w zasadzie tekst traktatu nie jest znany szerszej społeczności, a jak ktoś powiedział, jego lektura bardziej przypomina instrukcję obsługi wózka widłowego, niż umowę międzynarodową (tekst w wersji angielskiej liczy 175 stron, do tego jest 86 stron protokołów towarzyszących, 25-stronicowy aneks oraz 26-stronicowy akt końcowy).

Zgodnie z uchwałą komisji UE, teraz państwa przejęły odpowiedzialność za ratyfikację traktatu. Ale, trzeba od razu dodać, istnieje ogromny nacisk, by nie przeprowadzać narodowych referendów ratyfikujących traktat. Prezydent Francji Nicolas Sarkozy wypowiadając się w tej kwestii, wręcz stwierdził, że gdyby odbyło się referendum we Francji czy w Wielkiej Brytanii, to traktat by po prostu upadł. Dodam, aby traktat wszedł w życie, musi go zaakceptować każde z 27 państw członkowskich Unii. Jeżeli chociaż jedno państwo go nie zaakceptuje, UE jako superpaństwo nie powstanie. Wniosek jest prosty: każde z państw UE ma jeszcze obecnie moż-

liwość wywalczenia korzystnych dla siebie rozwiązań poprzez zablokowanie ratyfikacji traktatu i przystąpienie do nowych negocjacji. Generalnie jednak, jeśli w Polsce nie zostanie przeprowadzone referendum w tej sprawie – co gwarantuje konstytucja – będzie to wyraźne ograniczenie demokracji.

a. Obronić suwerenność

Co należałoby uczynić najpierw? Przede wszystkim należy poddać zapisy traktatu pod ocenę polskiego Trybunału Konstytucyjnego, aby ustalić jego zgodność z Konstytucją RP. Właśnie TK ma prawo do ustalania powszechnie obowiązującej wykładni ustaw (do kompetencji Trybunału Konstytucyjnego należy m.in. badanie zgodności ustaw i ratyfikowanych umów międzynarodowych z Konstytucją, w tym wypadku tą z 1997 r., do której posłowie UW i SLD sprytnie dołączyli zapis zezwalający na przekazanie bez ograniczeń kompetencji władz krajowych organom organizacji międzynarodowej. Nie znaczy to jednak, aby wolno było zawrzeć jakąkolwiek umowę międzynarodową, która ograniczałaby lub prowadziła do zrzeczenia się przez Polskę suwerenności – a o to w przypadku traktatu lizbońskiego chodzi.

Niejako na marginesie należy dodać, że na sprawę suwerenności można spojrzeć jakby od wewnątrz i na zewnątrz. To pierwsze spojrzenie wskazuje, że suwerenność nie może być przedmiotem jakiejś umowy, nie da się jej „przekazać” przez kogokolwiek, czy to przez rząd czy parlament. To tak, jakby człowiek mógł zrzec się swojej rozumności. Natomiast suwerenność na zewnątrz – to przede wszystkim sprawa określenia zasad uczestnictwa Polski we wspólnocie europejskiej, czyli ustalenie głównych reguł postępowania i odpowiedzialności związanych z naszym udziałem w tej wspólnocie.

W tym drugim przypadku trzeba wskazać, że od początku decyzją „starych” członków UE pozbawiono nas w dużej mierze suwerenności gospodarczej, narzucając ograniczenia w wydobywaniu węgla, wytopie stali, likwidacji stoczni, wyprzedaniu banków itp. Najbardziej jaskrawym przykładem utraty części suwerenności była nasza zgoda na to, aby polscy rolnicy otrzymywali jedynie 25 proc. przysługujących dopłat (dopiero po dziesięciu latach mają one osiągnąć 100 procent). Nasuwa się pytanie, dlaczego w takim razie nowi członkowie muszą od początku płacić pełną składkę? Jak wyglądały, i jak nadal wyglądają nasze interesy w Unii, wystarczy przypomnieć

ograniczenia kwot skrobiowych, mlecznych czy sprawę owoców miękkich. Swego rodzaju absurdem jest fakt, przed którym stoimy: chcąc wstąpić do Europejskiej Unii Walutowej (EUW), czyli wprowadzić euro, musimy spełnić bardzo restrykcyjne kryteria zbieżności z traktatu z Maastricht (art. 3.4). Tymczasem obecnie siedem z dwunastu starych członków EUW przestało spełniać te kryteria.

Suwerenność państwa to również własne prawodawstwo. Tymczasem legislacja UE zaczyna obejmować już prawie wszystko, od spraw gospodarczych po podatkowe, a także tak delikatne sprawy, jak bioetyka, inżynieria genetyczna, sprawy oddawania, pobierania, przechowywania i dystrybucji tkanek i komórek ludzkich, w tym embrionów ludzkich (ostatnio Europejski Trybunał Sprawiedliwości znalazł podstawę do kontroli irlandzkiego ustawodawstwa dotyczącego przerywania ciąży, wymuszając zmiany w konstytucji republiki). Trzeba dodać, że Polska ma już niedobre doświadczenie w tym zakresie, chodzi o wyrok Trybunału w Strasburgu, który odrzucił odwołanie polskiego rządu w sprawie Alicji Tysiąc, która złożyła skargę przeciwko Polsce w 2003 r. Skarga dotyczyła odmowy przyznania jej prawa do aborcji, która zagrażała jej zdrowiu. Trybunał uznał zasadność skargi i zasądził 25 tys. euro zadośćuczynienia, które ma wypłacić polski rząd. Właśnie sprawa Alicji Tysiąc jest przykładem ingerencji obcych instytucji w polskie prawodawstwo. Krótko mówiąc, Polska i polscy lekarze otrzymali naganę za to, że przestrzegają polskiej Konstytucji chroniącej życie.

b. Zapisy niezgodne z Konstytucją RP

Przejdźmy do konkretnych zapisów w traktacie lizbońskim, które – moim zdaniem – są niezgodne z polską konstytucją. Tymi zapisami powinien w pierwszym rzędzie zająć się polski Trybunał Konstytucyjny.

1. Traktat lizboński ustanawia wspólny rząd europejski, lecz nie pozwala na to, by rząd ten był bezpośrednio odpowiedzialny przed parlamentami krajowymi lub Parlamentem Europejskim. Innymi słowy, rząd UE nie będzie kontrolowany przez żadne gremium. Po co więc wybory, skoro wyborcy nie będą mieli wpływu na funkcjonowanie UE? Takie rozwiązanie powinien zakwestionować Trybunał Konstytucyjny. Jeśli już tworzyć taki rząd, to należałoby wprowadzić zasadę, aby każde państwo miało własnego komisarza (ministra), który odpowiadałby przed parlamentem krajowym za swój sposób głosowania w Komisji Europejskiej.

2. UE tak jak każde państwo będzie miała władzę prawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Najwyższa władza wykonawcza w państwach UE – premierzy – będą mianować Komisję (radę ministrów), podejmując decyzję większością głosów. Dlaczego jednak Komisja ma pełnić funkcje zarówno prawodawcze, jak i wykonawcze oraz sądownicze? (Parlament Europejski jest tylko od przegłosowania danej ustawy). Krótko mówiąc, w każdej niemal dziedzinie w UE decydują wyłącznie podmioty wybierane przez Komisję Europejską. Oznacza to, że w traktacie lizbońskim nie ma wyraźnego rozróżnienia między władzą prawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. To wysoce niedemokratyczna struktura, która powinna zostać przebadana przez TK.

3. UE mając władzę sądowniczą, posiada m.in. wspólny sąd najwyższy, któremu podlegać będą nowe wyspecjalizowane sądy. Już w tej chwili orzeczenia Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości w Luksemburgu mają pierwszeństwo przed wszystkimi przepisami krajowymi – to powinno zostać zakwestionowane przez polski Trybunał Konstytucyjny.

4. UE będzie miała wspólnego prezydenta, który stanie na czele Rady Europejskiej i będzie reprezentował Unię w rozmowach międzynarodowych. Trybunał powinien zakwestionować sposób wyboru prezydenta (rada wybiera go spośród swoich członków, a więc w sposób całkowicie niedemokratyczny).

5. UE będzie miała ministra spraw zagranicznych, choć w traktacie lizbońskim ma on nazwę: wysoki przedstawiciel Unii do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa. W zasadzie tę funkcję od dawna pełni Javier Solana. Także jego działalność nie jest kontrolowana czy oceniana. Generalnie jednak Trybunał Konstytucyjny powinien określić, jaką swobodę działania pozostawiono w tym obszarze państwom narodowym, zwłaszcza że planuje się ustanowienie na całym świecie wspólnych ambasad UE, które stopniowo zastąpią ambasady krajowe.

6. Również osoba przewodniczącego Komisji, czyli swego rodzaju premiera, powinna zostać poddana ocenie Trybunału Konstytucyjnego. Skoro na zewnątrz ma reprezentować UE wobec innych państw, prowadzić negocjacje, na przykład w sprawach umów handlowych z innymi krajami, powinien być wybierany bodaj przez Parlament Europejski. Tym bardziej jest to ważne, skoro umowy zawarte przez UE będą wiążące dla danego państwa członkowskiego, nawet jeżeli jego przedstawiciele głosowali przeciwko treści umowy. Trybunał Konstytucyjny powinien zbadać, czy jest zgodny z pol-

ską konstytucją zapis, że umowy międzynarodowe zawierane przez UE mają pierwszeństwo przed ustawodawstwem i umowami państw członkowskich.

7. Skoro UE będzie mogła zawierać umowy z innymi państwami i organizacjami międzynarodowymi we wszystkich sprawach, poczynwszy od handlu, po politykę zagraniczną i obronną, powstaje pytanie: czy np. Stany Zjednoczone lub Chiny będą mogły prowadzić negocjacje z poszczególnymi państwami członkowskimi UE, czy też tylko Unia będzie prowadziła negocjacje w imieniu całego terytorium UE.

8. W tej chwili UE jest największą światową potęgą handlową, wkrótce stanie się politycznym supermocarstwem, z własną strukturą wojskową, ale tylko wybrane państwa UE będą miały dostęp do francuskiej i brytyjskiej broni jądrowej. Czy to jest równoprawne traktowanie wszystkich państw-członków UE? Obecnie tworzona jest wspólna służba wywiadowcza (Sirene). Także w Brukseli istnieją już załączki wspólnego Ministerstwa Obrony, w konsekwencji traktat lizboński daje również Unii podstawę do prowadzenia wojen bez konieczności uzyskania niczyjej zgody. Co na to ONZ?

9. Kolejna sprawa do rozważenia przez polski TK, to wspólne granice zewnętrzne. Wkrótce na polskiej granicy na wschodzie pojawią się międzynarodowe wojska graniczne UE. Czyli obce wojska oraz obcy urzędnicy unijni będą mogli kontrolować przestrzeganie polskich przepisów celnych, spraw imigracji i azylu, będą decydować o tym, kto może wjeżdżać i przebywać w naszym kraju. To na pewno nie jest zgodne z polską Konstytucją.

10. Planowane jest wprowadzenie wspólnego obywatelstwa Unii, jako nadrzędnej struktury obywatelstw krajowych. Czyli obywatelstwo UE będzie nadrzędne nad obywatelstwem krajowym. Trybunał powinien ten przepis zakwestionować, ponieważ w przyszłości posłowie do Parlamentu Europejskiego nie będą już przedstawicielami „narodów państw członkowskich, lecz „obywateli Unii”. Także w tym kontekście niebezpieczny jest zapis o internacjonalizacji partii politycznych jako twórców paneuropejskich oderwanych od korzenia narodowego (art. 8a.4).

11. Czeka nas uchwalenie wspólnego kodeksu karnego. Załącznikiem tego kodeksu jest Karta Praw Podstawowych, dołączona do traktatu (art. 6.1). Już teraz najwyższą władzą odpowiedzialną za interpretację praw podstawowych jest Europejski Trybunał Sprawiedliwości, czyli sąd najwyższy UE. Kolejne państwa są już karane za nie przestrzeganie procedur sądo-

wych. Tu można jedynie wspomnieć, że np. w I rozdziale Karty Praw Podstawowych w art. 1 jest mowa o godności. Czy jednak definicja pojęcia godności jest możliwa w systemie myślowym, w którym apriorycznie usunięto wszelkie odniesienia do Boga? Bardzo szczytne zasady, że np. godność ludzka jest nienaruszalna, że każdy ma prawo do życia itd., mogą pozostać pustymi hasłami. Także inne przepisy Karty budzą wątpliwości prawne. Najczęściej wskazuje się na art. 9, który gwarantuje prawo do zawarcia małżeństwa i założenia rodziny „zgodnie z ustawami krajowymi regulującymi korzystanie z tych praw”. Brzmienie tego przepisu wskazuje, że udziela on ochrony – odmiennie niż art. 18 Konstytucji RP – także związkom osób tej samej płci.

Zastrzeżenia są również formułowane pod adresem art. 21, który ekspozuje zakaz różnicowania praw osób ze względu na deklarowaną orientację seksualną. Przepis ten może być podstawą żądania przywilejów socjalnych lub podatkowych (np. wspólnego rozliczania się z podatku dochodowego) przez partnerów, a nawet instytucjonalizacji związków partnerskich. Nie jest bowiem jasne, czy odesłanie z art. 9 Karty do ustawodawstwa krajowego, które może być interpretowane jako wyjątek nie naruszający istoty prawa do założenia rodziny lub małżeństwa, obejmuje zarejestrowane lub nieformalne związki partnerskie.

Wątpliwości rodzi także ujęcie prawa do prywatności. Wskazuje się, że prawo to może być interpretowane jako obejmujące nie tylko uprawnienie do decydowania o swoim życiu osobistym, ale także uprawnienie do żądania przerwania ciąży. Konkludując, jeżeli traktat lizboński zostanie ratyfikowany przez wszystkie państwa UE, będzie on faktycznie konstytucją superpaństwa. Do polskiego Trybunału Konstytucyjnego należy rozstrzygnięcie, czy jest możliwa taka hybryda polityczna, aby każdy kraj posiadał dwie konstytucje – krajową i unijną? Jeśli tak, to niebezpieczne są konsekwencje uznania nadrzędności prawa unijnego nad krajowym – zapis o tym został przesunięty do deklaracji nr 17, która nie jest częścią traktatu ani protokołu. To przesunięcie świadczy o oporze państw członkowskich i obniżeniu standardu tego zapisu. Generalnie jednak traktat lizboński oznacza dominację struktur europejskich nad narodowymi, z pogwałceniem zasad demokracji bezpośredniej.

I ostatnie słowo: eurokraci, świadomi silnych tendencji antyunijnych, nawołują do ratyfikowania traktatu przez parlamenty, a nie referenda narodowe. Premier Donald Tusk już zapowiedział jego rychłą ratyfikację przez

parlament. Uważam, że potrzebna jest szeroka debata społeczna na temat traktatu i w konsekwencji referendum narodowe w sprawie jego ratyfikacji. Artykuł 125 Konstytucji RP stwierdza, że w sprawach o szczególnym znaczeniu dla państwa może być przeprowadzone referendum ogólnokrajowe. Dlatego w tej sprawie rząd i opozycja powinny być najbardziej czujne, powinniśmy mieć kadrę doświadczonych prawników, którzy będą umieli posługiwać się zasadami i przepisami UE do obrony narodowych interesów. Tej współpracy powinno sprzyjać kilka ważnych rocznic, jakie przypadają w tym roku: 90 lat temu Polska odzyskała niepodległość po blisko 150 latach niewoli. Natomiast 30 lat temu kardynał Karol Wojtyła został wybrany następcą św. Piotra, przybierając imię Jana Pawła II. Te dwa historyczne wydarzenia sprawiły, że żyjemy w zupełnie innych czasach, a w nowy rok 2008 weszliśmy z nadzieją, że Polska w Unii Europejskiej będzie się nadal rozwijać, mimo tak wielu narzuconych niekorzystnych rozwiązań i w konsekwencji zmarnowanych szans. (Wystąpienie na ogólnopolskiej konferencji naukowej pt. „Tożsamość narodowa i suwerenność państwa a integracja europejska”, zorganizowanej 23 stycznia 2008 r. przez Katolicki Uniwersytet Lubelski (Wydział Zamiejscowy Nauk Prawnych i Ekonomicznych w Tomaszowie Lubelskim).

„Nowe prawo” kobiet według Rady Europy

Dlaczego Polska powinna mieć ustawowe zabezpieczenia zezwalające na ratyfikację Traktatu z Lizbony, a zwłaszcza na ograniczenie stosowania Karty Praw Podstawowych? Odpowiedź na to pytanie przyszła akurat z siedziby Rady Europy w Strasburgu. To nie jest przypadek, że w przededniu Światowego Dnia Świętości Życia, 25 marca, Rada Europy wezwała Polskę, Malte, Irlandię i Andorę do legalizacji aborcji na życzenie. To nie jest przypadek, że to wezwanie skierowano właśnie teraz, kiedy z krajów europejskich rozlega się wołanie środowisk broniących życia o moratorium na wykonywanie aborcji (skoro jest moratorium na wykonywanie kary śmierci, niech ono obejmie także dzieci nienarodzone). Co więcej, wezwanie Rady Europy jest także skierowane przeciw Stolicy Apostolskiej, która ostatnio w specjalnym dokumencie sprzeciwiła się zapłodnieniu „*in vitro*”.

Uściślając rzecz, Rada Europy domaga się od 27 krajów członkowskich „ustawowego zalegalizowania aborcji, jeżeli jeszcze tego nie uczyniły”,

„zagwarantowania kobietom możliwości dokonania aborcji”, „zaoferowania kobietom warunków dla podjęcia wolnego i światłego wyboru”. Apeluje przy tym o ulepszenie i rozwinięcie oferty środków antykoncepcyjnych, w tym wczesnoporonnych, finansowanych z narodowych budżetów.

Wspomnę, że projekt przegłosowano w Komitecie Rady Europy ds. Równych Szans Kobiet i Mężczyzn 21 głosami przeciwko 3. Jedna osoba wstrzymała się od głosu. Autorką projektu jest austriacka socjalistka Gisela Wurm. Raport ma być omawiany na sesji Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy w dniach 14–18 kwietnia.

Ktoś powie, że wezwanie Rady Europy jest tylko propozycją i nie ma mocy prawnej. To tylko część prawdy. Co potrafią wygzekwować sądy unijne, niech zaświadczy przykład francuskiej lesbijki, której sąd krajowy nie przyznał dziecka do adopcji. Po odwołaniu się do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Luksemburgu wyrokiem z 22 stycznia br. trybunał orzekł, że francuski sąd dopuścił się dyskryminacji, odmawiając tej kobiecie prawa do adopcji dziecka. Na czym polegała dyskryminacja? Unijni sędziowie stwierdzili, że sądy francuskie nie powinny brać pod uwagę „orientacji seksualnej” tej pani, a jedynie jej pragnienie posiadania dziecka oraz warunki do jego adoptowania. Jednym słowem – sąd uznał, że nie można zakazać adopcji ze względu na czyjąś „orientację seksualną”. Krótko rzecz ujmując, trybunał powołany do stania na straży praw człowieka otworzył w praktyce furtkę dla homoseksualistów do ubiegania się o adopcję dzieci – mimo że prawo francuskie tego zabrania. Jak uważają eksperci, ten wyrok może wpłynąć na orzecznictwo sądów krajowych w podobnych przypadkach w innych państwach europejskich, także w Polsce.

To nie pierwszy przypadek, że międzynarodowy trybunał UE zamiast pilnować przestrzegania prawa, nie tylko orzeka w czyjejś sprawie, ale tworzy nowe prawo i je narzuca poszczególnym krajom. Innymi słowy – unijny wyrok ma skutek podobny jak uchwalenie jakiejś ustawy. Niebezpieczne jest to, że w przyszłości w ten sposób narzuci się wszystkim krajom UE wizję prawa jakiejś grupy zdemoralizowanych sędziów. Oznacza to, że prawo europejskie zmierza ku niechybnej przepaści: elity ubolewają nad kobietami, które zbyt długo czekają w kolejce do ginekologa, przyklaskując jednocześnie Wielkiej Brytanii, która zalegalizowała zabijanie sześciomiesięcznych dzieci w łonach matek. A może prawo do życia przestało już być w Europie prawem człowieka? A może o tym, kto jest człowiekiem, a kto

nie, będzie co roku ustalał Komitet Rady Europy ds. Równych Szans Kobiet i Mężczyzn?

Przypominam sobie, że w sanktuarium maryjnym w Guadalupe w Meksyku 30 kwietnia 2007 r. doszło do niezwykłego zdarzenia, co opisuje na swojej stronie internetowej Francuskie Stowarzyszenie Katolickich Pielęgniarek i Lekarzy. Mianowicie podczas Mszy św. w intencji dzieci zabitych przed narodzeniem z obrazu Matki Bożej wydobyło się światło, które – na oczach tysięcy wiernych – utworzyło kształt ludzkiego embrionu, podobny do obrazu widzianego podczas badań echograficznych. Zjawisko zostało sfotografowane przez obecnych w świątyni (zdjęcia wizerunku Matki Bożej ze świetlnym embrionem można zobaczyć na stronie internetowej francuskiego stowarzyszenia www.acimps.org). Jego działacze przypuszczają, że Maryja ukazała w swym łonie obraz nienarodzonego Jezusa. Ks. José Luis Guerrero Rosado, kanonik bazyliki w Guadalupe i dyrektor Wyższego Instytutu Studiów Guadalupeńskich potwierdził, że przed wizerunkiem Matki Bożej pojawiło się światło, niewytłumaczalne w sposób naturalny. Nie jest to jednak wystarczająca podstawa, by z całą pewnością stwierdzić, że Maryja ukazała nam Jezusa jako nienarodzone dziecko – zaznaczył duchowny.

Nie wiem, czy to był cud, czy tylko gra światła, ale należy dzisiaj pytać o znaki z nieba, bo tylko takie mogą zawrócić Europejczyków z drogi, jaką funduje nam obłędna liberalna ideologia. Mam nadzieję, że nie będziemy narodem, o którym ktoś powie w przyszłości, że po wstąpieniu do UE odebrało nam rozum. Potwierdzam to, co powiedział wybitny polski polityk, chłopski premier, Wincenty Witos, że „Polski nie uratuje nawet geniusz, tylko cały świadomy i prawy, o prawych sumieniach Naród”.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 14/2008)

Odważne słowa Prezydenta RP

Nie milknie wrzawa po wypowiedzi prezydenta Lecha Kaczyńskiego dla „Dziennika” (1 lipca 2008 r.), że sprawa Traktatu Lizbońskiego jest bezprzedmiotowa i na razie go nie podpisze. Za niepoważne uznał on argumenty, że bez tego dokumentu Unia nie może dalej istnieć. Na pytanie, kiedy byłby skłonny zmienić zdanie i złożyć podpis pod Traktatem, Lech Kaczyński dał wyraźnie do zrozumienia, że dopiero wówczas, gdy zmieni

się stanowisko Irlandii. „Ale musi to być decyzja suwerenna, a nie podjęta pod naciskiem innych członków UE. Jeżeli zasada jednomyślności raz zostanie złamana, to już jej nie będzie nigdy” – powiedział.

Wypowiedź prezydenta wywołała falę krytyki. Premier Donald Tusk wręcz oczekuje, aby prezydent Lech Kaczyński przemyślał swoją wypowiedź i zmienił zdanie, ponieważ podpisanie Traktatu Lizbońskiego leży w interesie Polski. Rzeczniczka Komisji Europejskiej Pia Ahrenkilde Hansen nawet upomniała prezydenta Polski, mówiąc, że „wnioski końcowe czerwcowego szczytu UE poświęcone Traktatowi z Lizbony są jasne i jednoznaczne: Traktat ratyfikowały dotąd parlamenty 19 krajów, a proces ratyfikacji trwa, mimo irlandzkiego «nie», i to odnosi się także do Polski”.

Francja, która przejęła przewodnictwo w UE w tym półroczu, zapowiedziała, że sprawa Traktatu nie jest zamknięta i będzie naciskać, by prezydent Kaczyński go podpisał. Prezydent Nicolas Sarkozy powiedział: „To nie premier Tusk, ale prezydent Kaczyński negocjował Traktat. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś, kto negocjował Traktat i podpisał się pod nim, zakwestionował własny podpis”. Jak dotąd, jedynie prezydent Czech, Vaclav Klaus, poparł prezydenta Lecha Kaczyńskiego, uważając jego opinię za bardzo sensowną i bardzo bliską swojej opinii.

Wrzawa, jaka wybuchła na Zachodzie po wypowiedzi naszego prezydenta, jest bardzo zastanawiająca. Teraz już nie Irlandia spędza sen z powiek unijnym politykom, ale Polska. To my, gdybyśmy ewentualnie nie ratyfikowali Traktatu, staniemy się przyczyną wszelkich nieszczęść, jakie mogą spaść na Europę. Widać z tego, że Irlandię postanowiono „po cichu” zmiękczyć, a z Polską tego nie udałooby się uczynić.

Tymczasem odważne słowa prezydenta nie były niczym nowym, bo faktycznie podpisywanie Traktatu w tej chwili jest bezprzedmiotowe. Tak było poprzednio, kiedy eurokonstytucję odrzuciły w referendum Francja i Holandia. Nie ma więc żadnego sensu, aby spieszyć się w tej sprawie, bo przepisy UE są jednoznaczne: zgoda wszystkich państw jest potrzebna dla ważności także tego Traktatu; Irlandczycy takiej zgody odmówili, dlatego ich głos zdecydował o losie tego dokumentu. Ale, co w tym wszystkim najbardziej interesujące, to sprawa Polski: otóż po niespełna roku „kłaniania się” Europie, uprawiania polityki uśmiecików, niezauważania nas, Polska wróciła na łamy zachodnich mediów. Ktoś powie: zaistnieliśmy znowu negatywnie, odpowiem – daliśmy sygnał, że jesteśmy państwem poważnym, solidarnym z Irlandią, a przede wszystkim kierującym się prawdą.

Przy okazji wypowiedzi L. Kaczyńskiego na temat Traktatu, media przywołują fakt, że mija akurat połowa jego kadencji. 22 czerwca pojawił się sondaż przeprowadzony przez SMG/KRC na zlecenie telewizji, według którego 59 proc. Polaków źle ocenia prezydenturę L. Kaczyńskiego. Dobrą notę wystawiło prezydentowi 39 proc. badanych. Podobnie kształtowały się proporcje odpowiedzi na pytanie, czy Lech Kaczyński ma szansę na reelekcję. Twierdząco odpowiedziało 36 proc. respondentów. 57 proc. pytanym uznało, że obecny prezydent nie ma szans na ponowny wybór. W innym sondażu, moim zdaniem nie najlepiej świadczącym o naszej pamięci i stanie umysłu, najlepszym z dotychczasowych prezydentów okazał się A. Kwaśniewski, potem L. Wałęsa i dopiero na trzecim miejscu L. Kaczyński.

Jakie są cele i kierunki obecnej prezydentury? Jednym z ważniejszych jest polska polityka zagraniczna. Była ona bardzo wyraźna w latach rządów PiS, obecnie nie jest kontynuowana. Prezydent jest z pewnością aktywny w pracach ustawodawczych, prowadzi bardzo wyraźną politykę historyczną, przywraca pamięć historyczną, nagradza bohaterów. Na pewno uczynił wiele w kwestiach związanych z bezpieczeństwem energetycznym Polski oraz UE. Oczywiście, krytycy nie szczędzą prezydentowi cierpkich uwag, że zamiast łączyć, dzieli Polaków, zarzuca mu się wyłącznie popieranie PiS, wytyka gąfy i niezręczności, brak zdolności oratorskich.

Każdy z nas zapewne ma własne zdanie na ten temat, słuszne lub nie, faktem jest, że oczekiwano o wiele więcej od prezydenta, który wywodzi się z ideowego „projektu IV RP”. Zwłaszcza środowiska patriotyczno-katolickie oczekiwały bardziej zdecydowanych działań czy to lustracyjnych, dezubekizacyjnych, czy też jasnej postawy w ochronie życia oraz wartości etycznych.

Oceniając prezydenta, dobrze byłoby wszystkim politykom przypomnieć przemówienie sejmowe Jana Pawła II z 1999 r., że prawdziwe dobro wspólne Ojczyzny nie może być rozumiane i tworzone „niezależnie od zasad etycznych”. Papież ostrzegał, że obecnie neguje się prawa osoby ludzkiej do życia, pozbawia się ludzi trwałego, moralnego punktu odniesienia, co odbiera im zdolność rozpoznawania prawdy. „Jeśli bowiem nie istnieje żadna ostateczna prawda, będąca przewodnikiem dla działalności politycznej i nadająca jej kierunek, łatwo o instrumentalizację idei i przekonania dla celów, jakie stawia sobie władza. Historia uczy, że demokracja bez wartości łatwo się przemienia w jawny lub zakamufLOWANY totalitaryzm” (z „Veritatis

splendor”, 101). Jeśli Polska ma być silna w Europie, to przede wszystkim powinna pozostać wierna wartościom, musi z odwagą głosić prawdę, bronić interesów narodowych.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 28/2008)

Interes partii przeciw interesowi Polski

Prezydencki projekt ustawy dołączony do ratyfikacji Traktatu Lizbońskiego zawiera, wydawałoby się, oczywiste sprawy, dlaczego więc nie podobą się Platformie Obywatelskiej? Ustawa mówi m.in., że polska konstytucja jest ponad prawem unijnym, że Polska jest i pozostaje suwerennym państwem, że Polska ogranicza stosowanie Karty Praw Podstawowych (co jest efektem przyłączenia się naszego kraju do tzw. protokołu brytyjskiego), że obstawiamy przy tzw. kompromisie z Joaniny, dotyczącym głosowań niekorzystnych dla Polski. Czy o takie zapisy politykom ślubującym stawiać dobro Polski ponad interes partyjny wolno się klócić?

Najważniejsze w ustawie jest odcięcie się od Karty Praw Podstawowych, ponieważ według ekspertów, przy nieprzewidywalnych orzeczeniach Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości niektóre zapisy Karty mogą uruchomić liczne wnioski Niemców przeciwko obywatelom polskim o odzyskanie własności lub przyznanie odszkodowania za mienie pozostawione na ziemiach północnych i zachodnich po II wojnie światowej. Inny zapis Karty poprzez brak jasnej definicji małżeństwa, jako związku mężczyzny i kobiety, może godzić w powszechnie przyjęty w Polsce porządek moralny.

Nie rozumiem, dlaczego Platforma Obywatelska uważa, że prezydencka ustawa jest niekonstytucyjna, a ponadto ma formę szantażu, aby nie doprowadzić do ratyfikacji przez Polskę Traktatu Lizbońskiego? Przeciwnie zachowuje się Prawo i Sprawiedliwość, uznając, że ta ustawa zabezpiecza Polskę w najbliższych latach przed różnymi niebezpiecznymi trendami w Unii Europejskiej. Krótko mówiąc, sprawa rozbija się o podstawowy problem: czy na szali stawia się własny interes partyjny, czy interes Polski?

Jaki interes ma Platforma Obywatelska? Przede wszystkim bardzo by chciała pokazać Brukseli, że jest partią proeuropejską, skuteczną, a także by sama ratyfikacja traktatu odbyła się bez dyskusji, bez istotnych wątpliwości. Dodam: dlatego także bez udziału społeczeństwa. Tymczasem, nie wypominając wszystkiego Unii Europejskiej, tak naprawdę nie wolno mieć

nieograniczonego zaufania do eurokratów. Przypomnę zachowanie kanclerz Angeli Merkel podczas negocjowania tego traktatu w Brukseli. Kiedy natrafiła na opór Polski, na sprzeciw prezydenta Kaczyńskiego, zaproponowała przyjęcie traktatu bez naszego kraju. Uratował nas sprzeciw Czech i Francji.

Dlaczego jeszcze należy mieć ograniczone zaufanie do UE? Ponieważ już obecnie orzecznictwo unijne jest ponad polskim prawem: na mocy wyroków Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości płacimy różne kary, narzucono nam nie zawsze korzystne zasady stosowania pomocy publicznej, UE ingeruje w funkcjonowanie NBP, w prawo bankowe, prawa rynku kapitałowego, podatek VAT, akcyzę, w udział kapitału zagranicznego w mediach itp. Co rusz dowiadujemy się o ograniczeniach kwot połowowych, mlecznych, cukrowych, owocowych, a ostatnio także próbuje się nam narzucić produkcję żywności genetycznie zmodyfikowanej – mimo że mamy ustawę zakazującą GMO. Media ujawniły również, że Komisja Europejska zażądała od naszego kraju zniesienia limitu zagranicznego dla otwartych funduszy emerytalnych (OFE). Obecnie mogą one inwestować za granicą tylko do 5 proc. swych aktywów (aktywa tych funduszy emerytalnych to prawie 135 miliardów złotych – dane Komisji Nadzoru Finansowego z lutego 2008 r.). Jednym słowem, mamy polskimi oszczędnościami wspierać rynki zachodnie. Ponadto KE chce utworzyć specjalny ponadnarodowy urząd regulacji rynku energetycznego. Rodzi się uzasadniona obawa: skoro bez zgody UE nie możemy zbudować nawet drogi przez Rospudę, co jeszcze wymyślą eurokraci, aby poszerzyć swoją władzę?

Spór o ustawę przy ratyfikacji każe także mieć ograniczone zaufanie do Platformy Obywatelskiej. Skoro PO nie chce gwarancji dla wyższości polskiej konstytucji nad prawem unijnym, to zupełnie nie wiadomo, jak zachowa się premier Donald Tusk, kiedy kanclerz Angela Merkel zaproponuje mu odstąpienie od protokołu brytyjskiego czy odstąpienie od Joaniny. A przypomnę, że Donald Tusk podczas wizyty u Papieża Benedykta XVI chwalił się tym, że my nie mamy Karty Praw Podstawowych jako obowiązującego prawa. Natomiast trzy dni później u Josée Manuela Barroso mówił, że będziemy się z niej wycofywać. I faktycznie, 20 grudnia 2007 r. PO przegłosowała uchwałę, obiecując UE, że Polska będzie się starała odejść od protokołu brytyjskiego. Oznacza to, że bardzo ważny „bezpiecznik” polskich interesów, a nawet fundament tego traktatu, będzie wycofany przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Tymczasem, jak już wyżej wspomniałem, to właśnie protokół brytyjski chroni nas przed niekorzystną interpretacją trybunałów europejskich w sprawie niemieckich roszczeń do majątków pozostawionych w Polsce, a także przed tzw. związkami homoseksualnymi na prawach małżeństw (w Karcie Praw Podstawowych jest dosyć mgliste odróżnienie rodziny od małżeństwa, co oznacza, że można sobie tworzyć rodzinę, która nie będzie małżeństwem). Pisząc jaśniej, Karta nie tylko nie afirmuje chrześcijańskiej rodziny, ale zupełnie ruguje ją z przestrzeni publicznej, ponieważ mówi o zakazie dyskryminacji innej „orientacji” seksualnej. Krótko mówiąc, Karta prawnie unicestwia rodzinę złożoną z ojca, matki i dziecka, stawiając na równi z nią przypadkowy związek osób o innej „orientacji” seksualnej.

Póki co, polityka musi być poparta także świadectwem życia, a polityk powinien osiągać to, do czego dąży, bez zdradzania własnego sumienia – tę myśl dedykuję kolegom posłom i senatorom.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 13/2008)

Europarlament nową inkwizycją

Stopniowo poszczególne partie ujawniają kandydatów w wyborach do Parlamentu Europejskiego, zapowiedzianych na 7 czerwca 2009 r. Polskie Stronnictwo Ludowe sięgnęło niemal w komplecie po swoich posłów. Platforma Obywatelska jeszcze nie podjęła ostatecznych decyzji, ale co rusz słyszymy o znanych nazwiskach czy to Danuty Hübner, Jana Rokity czy Mariana Krzaklewskiego (ten ostatni miałby otwierać listę PO na Podkarpaciu). Tak myślę, że w sięganiu po tak różne osoby chodzi tylko o to, żeby wygrać wybory (dziwi zwłaszcza obecność lidera NSZZ Solidarność na liście partii całkowicie głuchej na postulaty związkowców).

Największa partia opozycyjna, Prawo i Sprawiedliwość, podobno zmienia wcześniejsze plany i najprawdopodobniej wystawi w wyborach kilku znanych posłów (wcześniej mówiło się, że żaden poseł na Sejm – z wyjątkiem Zbigniewa Ziobry – nie będzie ubiegał się o mandat eurodeputowanego). Jak sądzę, zapewne listę do europarlamentu wzmocnią znani posłowie, m.in. Jacek Kurski, Arkadiusz Mularczyk, Paweł Kowal czy Bolesław Piecha.

Wielu z nas zastanawia się zapewne, jaka jest ranga naszych posłów w PE, bo tak na dobrą sprawę to niewiele wiemy o ich pracy, o uchwalanych

ustawach (krążą stare dowcipy o zajmowaniu się krzywizną banana lub ogórka, wysokością drabiny malarskiej lub kolorem ścian w stajni). Nasza niewiedza o tym, czym naprawdę zajmują się europosłowie, jest usprawiedliwiona, ponieważ większość unijnych decyzji zapada w Komisji Europejskiej, w Radzie Europejskiej czy też w Radzie Unii Europejskiej. Sam PE spełnia rolę listka figowego dla większości niedemokratycznych procedur unijnych.

Być może z tego powodu wybory do PE nie cieszą się zbyt wysoką frekwencją, jednak byłoby dobrze, aby wśród 50 polskich eurodeputowanych znaleźli się ludzie oddani sprawom ojczyzny, broniący polskiej racji stanu. Będzie to szczególnie ważne, jeśli dojdzie do ratyfikacji Traktatu Lizbońskiego i w konsekwencji utworzenia w miejsce Wspólnoty Europejskiej państwa o nazwie Unia Europejska. Nie wszyscy pamiętają, że podpisany w 1992 r. Traktat z Maastricht, z którego wywodzi się obecna forma Wspólnoty Europejskiej, był nazywany „Traktatem o Unii Europejskiej”, nie zaś traktatem Unii. Dopiero obecne postanowienia Traktatu Lizbońskiego stwierdzają, że „Unia zastępuje Wspólnotę Europejską i jest jej następcą prawnym”. Nie ulega więc wątpliwości, że postlizbońska Unia Europejska, uzyskując osobowość prawną, stanie się organizacją międzynarodową na wzór państwa, na czele którego stanie przewodniczący Rady Europejskiej (prezydent). Powstanie także stanowisko wysokiego przedstawiciela UE, który w praktyce będzie ministrem spraw zagranicznych. UE będzie także posiadała samodzielną władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą, które będą stanowiły o większości praw 27 krajów członkowskich.

W tym kontekście sprawa ratyfikacji Traktatu Lizbońskiego spędza eurokratom sen z powiek. Bez niego nie da się przekształcić obecnej Wspólnoty w jedno państwo, nie uda się ustanowić nowego ładu prawnego w UE, czyli nadania jej formy konstytucyjnej ponadnarodowej federacji, zupełnie niepodobnej do obecnej Wspólnoty, za to podobnej do takich federacji, jak USA czy Niemcy. Nie jestem przeciwnikiem UE, dobrze jest mieć Unię, ale powinna to być struktura demokratyczna, rządzona przez ludzi wybranych przez społeczeństwa, a nie przez niewybieralnych, a rządzących. Ale czy jest możliwa demokracja na poziomie 27 sfederowanych państw?

Dlatego mimo wszystko będzie niezwykle ważne, kogo wybierzemy w czerwcu do europarlamentu. Czy to będą Polacy uczciwi, o mocnym charakterze, których nie pociągają ogromne europejskie pieniądze, a także patrioci, przywiązani do narodowej tradycji, czujący sprawy polskie, za-

biegający o nie w każdej sytuacji? Stawiam to pytanie nie bez przyczyny, ponieważ na forum europejskim nie wolno manifestować solidarności narodowej, nie wolno tworzyć frakcji narodowych, a jedynie kluby ideologiczne. Niestety, najbardziej wpływowe wśród nich są frakcje europejskich liberałów oraz lewicy, która wykorzystuje PE m.in. do podejmowania antyrodzinnych uchwał.

Przykładem niech będzie nagonka na prof. Rocco Buttiglione, którego rząd włoski wysunął jako kandydata na komisarza UE. Podczas przesłuchania w PE nikt nie wysunął wątpliwości co do jego kompetencji zawodowych, a jednak socjaliści, liberalni demokraci, zieloni i komuniści uznali, że nie jest godny pełnić tej funkcji, ponieważ powiedział to, co o homoseksualizmie mówi Katechizm Kościoła Katolickiego, że to jest grzech. Gdyby takie kryterium zastosowano w przeszłości, ani Adenauer, ani De Gasperi, ani Schuman nie mogliby być komisarzami europejskimi (przecież czym innym jest niedyskryminowanie osób homoseksualnych jako osób, a czym innym stworzenie uprzywilejowanych warunków dla homoseksualizmu jako stylu życia – a tego na każdym kroku domaga się od państw PE).

Krótko mówiąc, kandydaci do europarlamentu powinni zdawać sobie sprawę z tego, że wchodzi do instytucji, która jest swego rodzaju nową inkwizycją, nie interesuje się czymś sumieniem, ale dąży do ustanowienia swego rodzaju nowej ateistycznej religii Unii. Jak to trafnie ocenił prof. Buttiglione, „dla tej nowej ateistycznej religii istnieje tylko jedna prawda, a mianowicie to, że żadna prawda nie istnieje”.

Szkocki męczennik z XVII wieku, książę Gordon, kiedy w zamian za zaparcie się wiary zaproponowano mu życie i wolność, miał odpowiedzieć: „Łatwiej jest oddzielić moją głowę od mego ciała, niż moje serce od mego Pana”. Czy podobnie mogliby odpowiedzieć polscy katolicy europosłowie, a także kandydaci do PE? Należy ich pytać o sprawy sumienia i wartości podczas rozpoczynającej się kampanii wyborczej, ponieważ największym zagrożeniem dla Europy nie jest islam, lecz nihilizm, lęk czy też wstyd przed wymienieniem w preambule swojej konstytucji imienia Boga.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 14/2009)

60. rocznica Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka

(Przemówienie na 24 posiedzeniu Senatu, 16–19 grudnia 2008 r., w sprawie uchwały Senatu w 60. rocznicę uchwalenia Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka).

Pani Marszałek. Wysoki Senacie.

Nie występowałem w dyskusji nad pracami Komisji Europejskiej, proszę więc pozwolić mi na kilka refleksji w związku z uchwałą Senatu w 60. rocznicę uchwalenia Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. Jak już wspomniano, Deklarację uchwaliło Zgromadzenie Ogólne ONZ w Paryżu 10 grudnia 1948 roku. Osem głosów było wstrzymujących się. Oprócz Arabii Saudyjskiej oraz RPA wstrzymały się państwa komunistyczne pod przywództwem Związku Sowieckiego. Jako powód uchwalenia deklaracji podawano głównie ogrom zbrodni, jaki dotknął ludzkość w czasie II wojny światowej, stąd w preambule Deklaracji czytamy: „Biorąc pod uwagę, że uznanie godności każdego z członków rodziny ludzkiej, oraz ich równych i nienaruszalnych praw stanowi fundament wolności, sprawiedliwości i pokoju na świecie...”. Wniosek: w Deklaracji wywiedziono posiadanie fundamentalnych praw i wolności z faktu godności bycia człowiekiem. A trzeba podkreślić, że autorzy Deklaracji wywodzili się z różnych kultur i pragnęli zadbać o to, aby Powszechna Deklaracja stała się wspólną wizją bardziej sprawiedliwego i pokojowego świata.

To ważne, że padło wówczas w preambule słowo o poszanowaniu godności osoby ludzkiej i jej nienaruszalnych praw, a w szczególności wymieniono prawa do życia, do wolności słowa, do małżeństwa i założenia rodziny itp. Te prawa to nie był jedynie tryumf zdrowego rozsądku. Jak sądzę, przypomniano wszystkim, że prawa naturalne są możliwe do racjonalnego odczytania przez wszystkich ludzi, a więc że są bardzo wyraźnie wpisane w naturę ludzką, są pochodną stałej i niezmiennej natury osoby, a nie taktycznej konwencji czy umowy zawartej na niwie międzynarodowej. Narody poprzez Deklarację potwierdziły, że te prawa istnieją od zawsze, a nie chciały tych praw ustanawiać.

Niestety, z biegiem czasu interpretacja poszczególnych zapisów umieszczonych w konwencjach praw człowieka ulegała coraz dalej idącej ideologizacji, co skutkuje do dziś interpretacjami uderzającymi w same podstawy Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. Musi szokować, kiedy np. Rada

Europy czy komisja Parlamentu Europejskiego powołując się na Powszechną Deklarację Praw Człowieka, domaga się o zalegalizowanie tzw. małżeństw homoseksualnych czy wprowadzenia w krajach UE zabijania dzieci nienarodzonych na życzenie kobiety albo z tzw. wskazań społecznych. To przykłady nadinterpretacji teorii praw człowieka, zmierzającej w konsekwencji do obalenia praw natury. Podobnie też nie mają nic wspólnego z Powszechną Deklaracją Praw Człowieka różne konwencje dotyczące tzw. praw dziecka, wprost uderzające w relacje rodzicielskie, niszczące strukturę wychowawczą w rodzinie. A w takim duchu jest uchwalona tzw. Karta Praw Podstawowych, będąca elementem składowym tzw. traktatu lizbońskiego.

Niestety, także obecna filozofia praw człowieka w działalności ONZ jest utrzymana w perspektywie indywidualizmu, skierowanego ku absolutnej wolności jednostki, co kryje w sobie niebezpieczeństwo zachwiania właściwą interpretacją praw człowieka. Zwłaszcza tradycyjne pojęcie rodziny zastępowane jest różnymi „nowotworami”, nie mającymi żadnego pokrycia w podstawach antropologii, a zwłaszcza w kulturze chrześcijańskiej.

Z radością więc przeczytałem w naszej uchwale, że „Senat RP wzywa do ciągłego poszerzania ochrony praw człowieka we współczesnym świecie według wskazań Jana Pawła II”. Jakie to są wskazania? Jan Paweł II w bardzo licznych wystąpieniach nauczając o prawach człowieka, kładł nacisk na dwie sprawy: potrzebę odnoszenia pojęcia praw człowieka do najgłębszej prawdy antropologicznej oraz na fakt rozmiijania się rzeczywistości z tekstem Deklaracji. Na przykład 22 grudnia 1979 roku w przemówieniu do Kolegium Kardynalskiego stwierdził, że „Prawa człowieka – zawarte w podstawowej Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka z roku 1948 (...) są dziś na świecie zagrożone; ogranicza się je i paraliżuje, jeżeli wręcz się ich nie łamie lub nie likwiduje. Nigdy dotąd nie wysławiano z taką mocą godności i prawa człowieka do życia należnego istocie ludzkiej, lecz również nigdy dotąd deklaracje te nie były tak rażąco obrażane”.

W orędziu do sekretarza generalnego ONZ z 2 grudnia 1978 r. Jan Paweł II w sposób głęboko znaczący uzupełnił listę praw sformułowaną w 1948 roku. Pisał: „Któż może zaprzeczyć, że dzisiaj indywidualne osoby i władze państwowe bezkarnie łamią podstawowe prawa człowieka, takie jak prawo do narodzenia się, do życia, do odpowiedzialnej prokreacji, prawo do pracy, pokoju, wolności i sprawiedliwości społecznej, prawo do współuczestniczenia w podejmowaniu decyzji dotyczących ludzi i narodów?”.

Jan Paweł II sformułował ogólniejsze oceny o prawach człowieka w swoich encyklikach. Na przykład w „*Centesimus annus*” zdefiniował istotę tzw. błędu antropologicznego, obciążającego socjalizm oraz ruchy socjaldemokratyczne, które eliminują osobę ludzką jako podmiot praw i podmiot życia społecznego (CA 13). Papież stwierdził, że źródłem błędu tkwiącego w socjalizmie jest ateizm. Pisał: „Odpowiadając na wezwanie Boga, zawarte w samym istnieniu rzeczy, człowiek uświadamia sobie swą transcendentną godność. Każdy człowiek winien sam dać tę odpowiedź, która jest szczytem jego człowieczeństwa i żaden mechanizm społeczny czy kolektywny podmiot nie może go zastąpić. Negacja Boga pozbawia osobę jej fundamentu, a w konsekwencji prowadzi do takiego ukształtowania porządku społecznego, w którym ignorowana jest godność i odpowiedzialność osoby”.

Kolejny błąd ideologiczny piętnowany przez Jana Pawła II, kryje się w koncepcji ludzkiej wolności, oderwanej od prawdy. Jak pisał w encyklice „*Centesimu annus*”, „treścią wolności staje się wówczas miłość samego siebie posunięta aż do wzgardzenia Bogiem i bliźnim, miłość, która prowadzi do bezgranicznej afirmacji własnej korzyści i nie daje się ograniczyć żadnymi nakazami sprawiedliwości” (CA 17).

Generalnie w papieskiej wizji praw człowieka chodzi o to, aby wrócić do klasycznej wizji natury ludzkiej, ukazanej w realistycznej, arystotelesowsko-tomistycznej filozofii i przejętej przez kulturę chrześcijańską. Odrzucenie tego dziedzictwa przez współczesnych kulturowych postmarksistowskich rewolucjonistów może nas na powrót doprowadzić do totalitarnego systemu na Starym Kontynencie. Dlatego powinniśmy być czujni, obserwować świat i zadawać sobie pytanie, kto i dlaczego w tym wszystkim mąci, wywracając kompletnie sens praw człowieka! Dziękuję za uwagę.

Kilka powyborczych myśli

Trudno nie odnieść się bodaj w kilku myślach do wyborów do Parlamentu Europejskiego 7 czerwca 2009 r. Gdzieś przeczytałem, że podobno wszystkie partie są w miarę zadowolone z wyników. Platforma Obywatelska dlatego, że wysoko wygrała, ale nie aż tak, żeby zmiażdżyć Prawo i Sprawiedliwość (z zakulisowych informacji wynikało, że chciała uzyskać dwukrotną przewagę nad PiS; ma tylko 25 posłów, PiS – 15). Prezes Jarosław

Kaczyński skomentował wynik krótko: „Nie jest źle”. Faktycznie, mógł się obawiać, że będzie gorzej, tymczasem PiS, choć znacznie ustąpił Platformie, to jednak ma ponaddwukrotnie więcej europosłów niż w dotychczasowej kadencji. Inne partie, mimo słabego wyniku, podobno cieszą się z tego, że zaistniały w świadomości społecznej i mają realne poparcie społeczne (najbardziej SLD – 12 proc.). Tylko Libertas być może nie okazuje radości, bo tak naprawdę ta partia okazała się niewypałem, a jej irlandzki założyciel po wielkiej przegranej zrezygnował z polityki.

Warto najpierw odnotować rozbieżność między przedwyborczymi sondażami a faktycznymi wynikami. Te pierwsze dawały PO 54 proc. poparcia, a PiS 14 proc. W rzeczywistości było to 44 proc. do 27 proc. Zbyt duża rozpiętość w sondażach – moim zdaniem – aby mówić tylko o pomyłce. Raczej chodziło o to, aby psychologicznie oddziaływać na sukces PO. Ponadto, oprócz świadomego zawyżania notowań PO w środkach przekazu, także prześmiewczo komentowano wyniki partii prawicowych i generalnie nie zostawiano suchej nitki na PiS (ostatni spot PO: świńskie zady).

Kolejną sprawą jest niska frekwencja (24,5 proc. w Polsce), i najniższa w Europie od 30 lat: zaledwie 43 proc. (62 proc. w 1979 r.). Wniosek z tego jest prosty: PE ma najsłabszą legitymację demokratyczną, nie jest ważny ani dla Polaków, ani dla innych obywateli UE. Bo tak naprawdę niewiele osób orientuje się, co europarlamentarzyści robią w Brukseli, jakie uchwalają ustawy. Niektórzy kandydaci, chcąc podnieść znaczenie PE, przekonywali o ważności tych ustaw, pomijając fakt, że PE nie ma własnej inicjatywy ustawodawczej, czyli nie tworzy prawa unijnego, a jedynie je poprawia i przegłosowuje. Wszystkie najważniejsze sprawy zapadają w organach politycznych i wykonawczych, takich jak Komisja Europejska. Te zaś podlegają kontroli najsilniejszych państw UE, głównie Niemiec.

Ogółem w Parlamencie Europejskim nowej kadencji zasiądzie 736 eurodeputowanych. Najliczniej reprezentowani będą Niemcy – 99 europosłów, po 72 deputowanych przysługuje: Wielkiej Brytanii, Włochom i Francji, a po 50 Polsce i Hiszpanii. Austrię będzie reprezentować 17 europosłów, Belgię – 22, Bułgarię – 17, Cypr – 6, Danię – 13, Estonię – 6, Finlandię – 13, Grecję – 22, Irlandię – 12, Litwę – 12, Łotwę – 8, Luksemburg – 6, Maltę – 5, Holandię – 25, Portugalie, Czechy i Węgry – po 22, Rumunię – 33, Słowację – 13, Słowenię – 7, a Szwecję – 18.

Z powyższego zestawienia widać, że Niemcy mają największe możliwości objęcia kierownictwa UE, że są siłą dominującą. Pytanie: czy to do-

brze, że polscy europosłowie z PO i PSL-u są w tej samej frakcji, co większość niemieckich chadeków? Czy razem z Eriką Steinbach uczynią coś dobrego dla Polski?

Ale nie chodzi tylko o sprawę przesiedleń, o pisaną na nowo przez Niemców historię. Generalnie europejskie ugrupowania chadeckie i prawicowe, które wygrały obecne wybory do PE, są tylko z nazwy chrześcijańskie, bo na co dzień współpracują z socjaldemokratami, przygotowując ideologiczne rezolucje w sprawach światopoglądowych i obyczajowych. Przecież to głównie chadecy i ludowcy razem z liberałami i socjaldemokratami uchwalają ustawy o tzw. małżeństwach tej samej płci, o powszechnym dostępie do aborcji czy środków antykoncepcyjnych. To sami chrześcijanie w imię tolerancji i demokracji podcinają korzenie chrześcijaństwa, walczą z Bogiem i rodziną. Smutne, ale prawdziwe.

Ktoś, kto nie poszedł na wybory, zapytał mnie przekornie, czy to spowoduje jakąś zmianę na niekorzyść Polski lub Europy? Usprawiedliwiając się, dodał, że główne zwycięskie ugrupowania polityczne u nas są za wejściem w życie Traktatu Lizbońskiego, a więc za unicestwieniem państw narodowych, i jego głos przeciw nie miałby żadnego znaczenia.

Odpowiedziałem, że faktycznie pojedynczy głos niewiele może zmienić, ale bojkotowanie wyborów nigdy nie ma większego sensu. To nie jest sposób manifestowania swojego niezadowolenia. Nieobecni nie mają racji i nie są brani pod uwagę. Dodałem, że obecne wybory miały charakter poparcia dla partii rządzącej. Skoro więc 24 miliony Polaków nie poszło na wybory, to znaczy, że zgodzili się dobrowolnie oddać decyzję o przyszłości Polski w ręce rządzących. To również znaczy, że żyje im się dobrze. Zwłaszcza żyje się dobrze górnikom na Śląsku, którzy w większości głosowali na Jerzego Buzka, byłego premiera, za którego rządów zamknięto 20 kopalń (także w Częstochowie i Bielsku otrzymał on najwyższe poparcie, mimo że doprowadził do likwidacji tych województw). Z pewnością żyje się dobrze stoczniovcóm w Gdańsku i Szczecinie, skoro Platforma Obywatelska ma tam mimo groźby likwidacji przemysłu stocznioowego ponad 40-procentowe poparcie. Trudno doprawdy pojąć, dlaczego tyle milionów wyborców nie poszło na wybory, aby móc zaprotestować przeciwko nieudolnym politykom, a wśród tych, którzy poszli, tylu dało się uwieść niepamięci czy wręcz politycznej schizofrenii.

Kolejne wybory, tym razem samorządowe oraz bardzo ważne – prezydenckie, za rok. W tym czasie będzie wiele okazji, aby ocenić, kto tak na-

prawdę troszczy się o polską rację stanu, jest politykiem nowoczesnym, to znaczy potrafi np. na forum UE walczyć o polskie sprawy, a jednocześnie politykiem konserwatywnym, takim, który nie tylko chroni, ale także pomnaża wartości, na których uformowana jest nasza wspólnota narodowa i religijna.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 25/2009)

Gruzja a sprawa polska

Rosja uznała niepodległość dwóch separatystycznych republik gruzińskich – Abchazji i Osetii Południowej. Informując o tym, rosyjski prezydent Dmitrij Miedwiediew stwierdził przewrotnie, że była to jedyna możliwość, by zapobiec gruzińskiemu „ludobójstwu” na narodzie osetyjskim i abchaskim. Prezydenci obu zbuntowanych republik nazwali „pomoc” Rosji wydarzeniem historycznym. Obiecali już zawsze pozostać „u boku Rosji”. Tyle fakty.

Rosyjska napaść na Gruzję pokazuje, że Moskwa nie pogodziła się z nową mapą regionu po rozpadzie ZSRR. Można się spodziewać, że ten podbój jest tylko krokiem do dalszej ekspansji. Przypomnę, że prowokowane napięcia występują w zamieszkałej głównie przez Ormian enklawie Górny Karabach w Azerbejdżanie. Różnego rodzaju konflikty podsycane przez Moskwę występują w Mołdawii, Kirgizji, Tadżykistanie, a przede wszystkim na Ukrainie – konflikt o Krym i flotę czarnomorską dosłownie wisi w powietrzu.

Prawdą jest, że ze wszystkich stron świata płyną do Moskwy głosy protestu, że zebrał się nadzwyczajny szczyt UE, aby rozważyć wprowadzenie sankcji ekonomicznych i dyplomatycznych wobec Rosji. Także polski Sejm na najbliższym posiedzeniu przyjmie rezolucję w tej sprawie, jako wyraz ogólnopolskiej solidarności z Gruzinami. To dobrze, że mamy XXI wiek, że nie można cichaczem dokonać rozbioru niepodległego państwa, tak jak to zrobiono w XIX wieku z Polską. Ale czy Rosja liczy się z krytyką Zachodu, skoro to Zachód upewnił ją w takiej polityce? Przecież to Zachód, w tym polski rząd, uznał nowe państwo Kosowo, wydzielone z pogwałceniem międzynarodowego prawa z terytorium Serbii. Z całą pewnością ten fakt zachęcił Rosję do tworzenia marionetkowych quasi-państw w swoich byłych republikach.

Czy Polska jest w tej sytuacji bezpieczna? W pewnym sensie już została zaatakowana, ponieważ uderzono w naszą suwerenność energetyczną: przez Gruzję bieżną rurociągi do przesyłu ropy i gazu z regionu Morza Kaspijskiego. Krótko mówiąc, rosyjska agresja na Gruzję przekreśliła polski projekt budowy magistrali Odessa – Brody w oparciu o surowce przesyłane przez Gruzję (już od tygodni gruzińskie terminale w Batumi, Kulewi i Poti, do których ropa docierała koleją z Azerbejdżanu, świecą pustkami). Jednym słowem, Rosja dowiodła, że użyje wszelkich środków, aby kontrolować dostawy ropy i gazu na obszarach, które uznaje za własną strefę wpływów.

W tym kontekście widać wyraźnie, jak niebezpieczny dla Polski i Europy jest budowany po dnie Bałtyku tzw. Gazociąg Północny, który całkowicie uzależni Zachód od rosyjskich surowców. Gdyby Niemcy i inne kraje europejskie wyciągnęły wnioski z tej wojny, Berlin powinien wycofać się z projektu budowy tego gazociągu, a przynajmniej rząd tego kraju powinien przestać go wspierać. Koniec z polityką miłych gestów Zachodu wobec Rosji – czy tak będzie? Obecnie też stało się jasne, komu służył i jakim szkodnikiem był rząd Leszka Millera, który zerwał umowę z Norwegią na dostawy gazu z tego kraju.

Ciągnąc ten wątek, dobrze się stało, że związaliśmy swoje bezpieczeństwo z krajami Zachodu, że doszło również ostatnio do porozumienia wojskowego ze Stanami Zjednoczonymi w sprawie budowy tarczy antyrakietowej. To jest na pewno dobry wybór. Jesteśmy w sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, jesteśmy w sojuszu obronnym NATO i w oczywisty sposób w razie ataku liczymy na wsparcie naszych sojuszników. Stare łacińskie przysłowie mówi, że „kto myśli o pokoju, ten powinien się zbroić”. Nie chodzi o prowokowanie wrogów, ale o odpowiedzialne podejście do sprawy bezpieczeństwa państwa. Jednym słowem, w imię zachowania pokoju trzeba być zawsze przygotowanym na to, żeby mieć dobre sojusze i umieć się bronić. Stąd amerykańska baza w naszym kraju ma w tym momencie dwa ważne cele: militarny oraz symboliczny. Militarnie oznacza długofalową ochronę ze strony Stanów Zjednoczonych wobec potencjalnych zagrożeń w przyszłości, natomiast symbolicznie – jeszcze bardziej integruje nas z Zachodem.

Nie wolno jednak zapominać, że każdy sojusz czy układ rodzi poważne uzależnienia. Tak może stać się, jeśli Polska przyjmie Traktat Lizboński, ukierunkowany na tworzenie superpaństwa europejskiego. Czy sam sposób wprowadzania tego traktatu nie powinien budzić lęku u tych, którzy ce-

nią sobie suwerenność państw narodowych? Obecne naciski na powtórzenie referendum w Irlandii mówią same za siebie.

Jednym słowem, będąc w UE, korzystamy z tego, ale czy jesteśmy dzięki temu bogatsi lub lepiej postrzegani na świecie? Jeszcze bardziej musimy bronić swoich interesów, pilnować majątku, do wszystkiego dochodzić własnym wysiłkiem. Niejeden raz przekonaliśmy się, że wielkie i silne państwa Zachodu traktują Polskę jako kraj podboju gospodarczego, rynek zbytu, robią u nas kokosowe interesy, nie zważając na nasz narodowy interes. Gdzie są polskie banki, huty, fabryki...? Teraz spoglądamy bezradnie, jak upadają stocznie. Ponadto na polecenie UE mamy sprywatyzować energetykę, pocztę, szpitale... – jednym słowem, jeszcze bardziej uzależnić kraj i społeczeństwo od zewnętrznych czynników.

Warto pamiętać też o innych zagrożeniach, także tych kulturowych i obyczajowych, uderzających we wspólnotę narodową, w rodzinę. Czy takim zagrożeniem nie jest lansowana ideologia rewolucji obyczajowej – promocja związków homoseksualnych czy aborcji – prowadząca m.in. do demograficznej katastrofy? W obliczu konfliktu w Gruzji nie chodzi o to, aby widzieć w Rosji jedyne wielkiego przeciwnika demokracji i wolności na świecie. Czas na otrzeźwienie w wielu innych sprawach. Oby nie było za późno.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 36/2008)

Polityka wobec Polonii

Podobno statystycznie Polska, za Chinami, Włochami i Niemcami, ma najliczniejszą emigrację. Szacuje się, że poza Polską mieszka dziś kilkanaście milionów rodaków. Największa liczba naszych obywateli znalazła swoje miejsce życia, poza Stanami Zjednoczonymi, za zachodnią granicą, chociaż wkrótce może się to zmienić, ponieważ w samym Londynie przebywa ok. 650 tys. Polaków.

Polacy w kraju, emigracja i Polonia to w rozumieniu Jana Pawła II jedna wspólnota narodowa, mająca tysiącletnią wspólną historię i kulturę, nadto w przypadku Polski – chrześcijańską. Wspólnoty tej nie burzy opuszczenie kraju. Dlatego emigracja i Polonia była dla Jana Pawła II częścią narodu polskiego. Podczas audjencji dla Polonii w Rzymie (16 października 1980 r.) Ojciec Święty mówił o narodzie, który żyje „w Ojczyźnie i poza jej granicami”, a do Polonii w Hiszpanii (1982 r.) – że

żyje on „nie tylko w swoim historycznym pniu nad Wisłą, ale także w różnych miejscach świata”. Powtórzył te słowa wielokrotnie w różnych miejscach.

Chyba na zawsze pozostaną w pamięci Polonii spotkania z Janem Pawłem II. Jak sądzę, nigdy w historii Polonii i na żadnej uroczystości nie gromadziła się tak wielka liczba osób polskiego pochodzenia, jak na spotkaniach z Papieżem. Ale też nigdy dotąd nie zaistniał tak silny, jednoczący wszystkich pod względem emocjonalnym, religijnym i narodowym fenomen, jak osoba Papieża Polaka.

Co mówił Jan Paweł II do Polonii? Najczęściej przekonywał rodaków do zachowania chrześcijańskiego dziedzictwa kulturowego, wyniesionego z Polski, i przekazywania go kolejnym pokoleniom. Uzasadniał to koniecznością ocalenia godności własnej, szacunku dla samego siebie, zyskania szacunku innych i owocnego wkładu w kulturę kraju osiedlenia. Między innymi w Australii do Polaków powiedział: „Ludzie, którzy pamiętają, skąd pochodzą, ludzie, którzy cenią swoje tradycje, mogą wnieść wiele w życie każdego kraju”. Papież mówił to z całą świadomością, znając np. żarty o Polakach poniżające kulturę i naród polski (coś się już zmieniło, bo dzisiaj dowcipnym symbolem wyjazdów stał się tzw. hydraulik – człowiek zaradny w wielu sytuacjach).

Piszę o tym, ponieważ w przeddzień Dnia Polonii oraz Dnia Flagi Rzeczypospolitej Polskiej, który obchodzimy 2 maja, uczestniczyłem w Toruniu w XII Forum Polonijnym pod hasłem: „O dobre imię Polski i Polaków” (25–27 kwietnia). Forum zorganizowały Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej oraz Polskie Stowarzyszenie Morskie-Gospodarcze im. Eugeniusza Kwiatkowskiego. Przybyło ponad stu delegatów z całego świata, m.in. z: Litwy, Białorusi, Ukrainy, Niemiec, Francji, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii, Szwecji, Norwegii, Australii, USA, Kanady, Argentyny, Urugwaju i Meksyku. Podjęto trzy wątki tematyczne: rolę duszpasterstwa emigracyjnego, sprawę kultury i nauczania języka polskiego oraz dobrego imienia Polski i Polaków.

Nie sposób w krótkim tekście omówić wszystkiego w szczegółach, skupię się więc na tym, co wzbudziło najwięcej emocji. A była to polityka obecnego rządu wobec Polonii. Mogę napisać, że to spotkanie było wylaniem bólu i żalu, jaki odczuwa Polonia wobec osób kierujących naszym państwem. I tak np. chwając się dobrymi kontaktami Polski z Litwą, nie potrafimy niczego załatwić dla polskiej mniejszości w tym kraju: pisowni nazwisk w języku

polskim, matury z języka polskiego, zwrotu ziemi i innego znacjonalizowanego mienia Polaków w Wilnie i na Wileńszczyźnie, a także prawa do podwójnego obywatelstwa (prawo to przysługuje jedynie etnicznym Litwinom; inni, przyjmując obce obywatelstwo, muszą oddać litewskie). Polacy z Ukrainy skarżyli się, że polskie MSZ pozbawiło prezesa Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej możliwości opiniowania Karty Polaka. Odebrano również dotację dla polskiej „Gazety Lwowskiej”. Najgorzej jest w Niemczech: tamtejsze landy dają grosze na naukę języka polskiego, podczas gdy my w Polsce utrzymujemy niemieckie szkoły i rozwijamy ich kulturę. Polacy z Francji skarżyli się na brak elementarnego poszanowania Polaków w tym kraju (ostatnio wydano komiks przedstawiający Polaków jako... świny).

W Forum wziął udział syn Jana Kobyłańskiego – Walter, jako przedstawiciel USOPAŁ (Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polskich Ameryki Łacińskiej). Zapewne on będzie kontynuował w przyszłości założoną przez Jana Kobyłańskiego fundację, która wspiera patriotyczne i katolickie wartości Polonii południowoamerykańskiej. W skierowanym przesłaniu do uczestników Forum Jan Kobyłański napisał m.in., że Polonia czeka na „zmiany w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w ambasadach, w konsulatach, na wyeliminowanie różnego rodzaju wpływów służb specjalnych, które wyřządziły nam tyle szkód, służąc obcym interesom”.

Może ktoś nie uwierzy, że w wolnej Polsce funkcjonuje jeszcze „czarna lista MSZ”, lista Polaków za granicą, z którymi nie wolno się kontaktować. Niestety, dużo musiałem wysłuchać na Forum o destrukcyjnej roli polskich służb konsularnych. Trudno się jednak dziwić, skoro tylko w Ministerstwie Spraw Zagranicznych do współpracy z peerelowskimi służbami specjalnymi przyznało się w ubiegłej kadencji ponad sześćdziesięciu dyplomatów. Jak się uważa, w latach osiemdziesiątych 95% dyplomatów współpracowało ze służbami i głównie zajmowali się oni inwigilacją Polonii i opozycjonistów. Po 1989 r. zdecydowana większość tajnych agentów pozostała w tym ministerstwie.

Jakie wnioski: W wolnej Polsce musimy zadbać o los współczesnej, wielomilionowej Polonii. Co trzeba uczynić? Jan Paweł II daje prostą odpowiedź: Należy propagować chrześcijańską wizję człowieka, a ta wspiera się na zachowaniu własnej tożsamości duchowej opartej na chrześcijańskiej kulturze polskiej. Tylko tak uformowany człowiek zadecyduje także o wartości wkładu w dobro kraju pochodzenia i krajów osiedlenia.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 19/2008)

Istnieje tylko jedna Prawda

W Sądzie Rejonowym Warszawa-Mokotów rozpoczął się 27 marca 2009 r. proces w obronie dóbr osobistych Jana Kobyłańskiego, prezesa Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polskich w Ameryce Łacińskiej, byłego konsula honorowego Rzeczypospolitej Polskiej w Urugwaju. W tym miejscu trzeba wspomnieć, że do jego największych sukcesów należą m.in.: ustanowienie prawem argentyńskim Dnia Osadnika Polskiego, który to dzień obchodzony jest 8 czerwca; przyznanie i wręczenie przez Senat Republiki Argentyny stu medali reprezentantom Polonii z różnych części Ameryki Południowej; odsłonięcie pomników Jana Pawła II w Buenos Aires i w Montevideo; nadanie przez władze departamentu Maldonado jednemu z placów w Punta del Este nazwy Plac Republiki Polskiej, a później odsłonięcie na nim pomnika Fryderyka Chopina; utworzenie polskiego lobby w parlamencie argentyńskim; wybudowanie przez Fundację „Jan Kobyłański” i USOPAL Panteonu Polaków na cmentarzu La Recoleta w Buenos Aires; wznowienie działalności organizacji polskich w Paragwaju, Urugwaju i Meksyku (wiele z nich było zapomnianych lub już zaprzestało swojej działalności); zorganizowanie setek zebrań i spotkań rozmaitych organizacji polskich w Ameryce Łacińskiej.

Jana Kobyłańskiego, który odważył się krótko przed rokiem 2000 przypomnieć, że społeczność Żydów amerykańskich żąda od Polski odszkodowań w wysokości 75 miliardów dolarów, zaatakowała najpierw „Gazeta Wyborcza”, a potem kolejne pisma, nie wahając się używać słów: „bestia”, „szpieg”, „szmalcownik”, „denuncjator”, „falszeryz”, „zbrodniarz”, „bandyta”, „morderca” czy „oszust”. Przede wszystkim zaś oskarżono go o antysemityzm. Jednym słowem, zlinczowano publicznie Polaka wielokrotnie odznaczanego przez kolejne polskie rządy oraz organizacje pozarządowe, przyjmowanego przez wszystkich prezydentów III Rzeczypospolitej, Sejm i Senat. Nazwano go nie tylko sowieckim szpiegiem, ale i hitlerowskim kolaborantem, chorym na władzę demagogiem-megalomanem, postacią rodem z horroru niczym dr Jekyll. Były ambasador RP w Urugwaju, obecnie dziennikarz Polsatu Jarosław Gugała powiedział m.in.: „Taki zbrodniarz jest zdolny do każdej podłości, a więc jego ewentualne szpiegostwo nie powinno robić wrażenia”. W publiczne znieważanie i zniesławianie Jana Kobyłańskiego zaangażowały się niemal wszystkie polskojęzyczne media, wypowiadali się w tym stylu politycy reprezentujący wszystkie opcje,

ambasadorowie, przedstawiciele parlamentu, historycy, a nawet pisarze. Media donosiły m.in., że minister sprawiedliwości Andrzej Kalwas wystąpił o ekstradycję Jana Kobyłańskiego, że Instytut Pamięci Narodowej posiada już komplet informacji w sprawie rzekomego zadenuncjowania w czasie wojny żydowskiego małżeństwa przez Stanisława i Janusza Kobyłańskich. Zaangażowanie mediów w pracy nad „odkryciem mrocznych tajemnic Kobyłańskiego” godne byłoby niejednej nagrody, gdyby nie oczywisty fakt, że podane do publicznej wiadomości informacje były z gruntu nieprawdziwe, a powoływanie się na nieistniejące dokumenty IPN było wyjątkową niegodziwością wobec tej instytucji.

Wspomniałem na początku o rozprawie sądowej, w której na ławie oskarżonych zasiadło 19 dziennikarzy, którzy z takim zapałem i niespotykaną gorliwością przez wiele lat opluwali prezesa USOPAŁ Jana Kobyłańskiego. Byli wśród nich m.in.: Mikołaj Lizut, Adam Michnik, Jarosław Gugała, Jerzy Morawski, Grzegorz Gauden, Daniel Passent, Jerzy Baczyński, Tomasz Wróblewski i Jerzy Wójcik. Przyszła do sądu również grupa osób przekonanych o niewinności Jana Kobyłańskiego, w tym wielu prawicowych dziennikarzy oraz parlamentarzystów. Proces początkowo utajniono, ale po protestach pełnomocnika Jana Kobyłańskiego – Andrzeja Lew-Mirskiego publiczność wpuszczono na salę, a następnie znowu go utajniono. Po odczytaniu aktu oskarżenia, a następnie uzasadnienia oskarżenia wnieśli o zakończenie rozprawy, by mogli zapoznać się z aktem oskarżenia. „Zapomnieli”, co pisali. Sąd przychylił się do wniosku i wyznaczył kolejny termin rozprawy na 8 maja o godz. 9.00 w sali nr 427.

Jak ten proces się zakończy, dowie się cała Polska. Czy jednak dowiemy się prawdy? Stawiam to pytanie w obliczu najnowszych badań, w których ponad 40 proc. Polaków źle oceniło aparat sprawiedliwości, uważając, że jest on skorumpowany. Może jest to ocena krzywdząca dla większości sędziów i prokuratorów, ale tego głosu opinii publicznej nie tylko nie wolno lekceważyć, lecz trzeba go potraktować jako dzwon alarmowy. Zapewne na ten sondaż miały wpływ wydarzenia związane z uprowadzeniem i morderstwem Krzysztofa Olewnika, a także fakty z ostatnich dni: sądy wypuściły z aresztu dwóch psychopatów znęcających się nad żonami. Jeden po uwolnieniu zamordował szwagierkę i jej partnera, którzy nie podali mu miejsca ukrywania się żony. Drugi spełnił uprzednią groźbę i zabił małżonkę. I kolejny fakt: sąd odmówił aresztowania pedofila, który po wyjściu z więzienia terroryzował ofiarę gwałtu i jego rodzinę. Wielu zbulwerso-

wała również sprawa umorzenia śledztwa w sprawie nielegalnego finansowania kampanii wyborczej posła Janusza Palikota, ponieważ – to słowa pani prokurator – „sprawa jest za trudna do wyjaśnienia”. A rzecz jest prosta jak drut: wystarczyłoby wezwać owych studentów i emerytów, którzy powpłacali na Palikota po 20 tys. zł, i zapytać, skąd mieli pieniądze. Jeśli zarobili je uczciwie, odnotował to urząd skarbowy – a jeśli nie, to powinni ponieść konsekwencje wykroczenia skarbowego. I wracając do procesu Jana Kobyłańskiego, również, a może szczególnie w tym przypadku, Polacy będą mogli sprawdzić, czy do sądu przychodzi się jedynie po wyrok, czy jednak po sprawiedliwość.

Dzieląc się tą refleksją, głęboko wierzę, że świętowanie Zmartwychwstania Pana wleje w nasze serca potrzebę życia Prawdą. Obyśmy jako Polacy, rodzina Jana Pawła II, pamiętali zawsze, aby kierować się w swoim postępowaniu Prawdą, która jest najważniejszą wartością. I pamiętali, że istnieje tylko jedna Prawda.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 15/2009)

Nadzieje Polaków poza krajem

Polonia i Polacy w świecie to dziś kilkanaście milionów ludzi. Nie jest im łatwo zachować polskie i chrześcijańskie dziedzictwo wyniesione z ojczyzny. W Ameryce Łacińskiej to zadanie jest jeszcze trudniejsze, ponieważ wyrosło tu już kolejne pokolenie bez stałej łączności z krajem ojców. Tymczasem polskość jest warunkiem ocalenia godności własnej, szacunku dla samego siebie, zyskania szacunku innych i owocnego wkładu w kulturę kraju osiedlenia – te słowa Jana Pawła II przypomniał w rozmowie ze mną prezes Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polskich Ameryki Łacińskiej (USOPAL) Jan Kobyłański, gospodarz trzynastego już zjazdu tej organizacji, który obradował w dniach 23–26 listopada br. w Punta del Este w Urugwaju (o zjeździe „Niedziela” pisze również na str. 26).

USOPAL to największa organizacja w Ameryce Łacińskiej, skupiająca bardzo wielu mieszkających tu Polaków, gorąco interesuje się i żywo reaguje na to wszystko, co dzieje się w dalekiej ojczyźnie. Polacy z Argentyny, Brazylii, Chile, Meksyku, Paragwaju, Peru i Urugwaju, delegaci z Kanady i USA, a także przedstawiciele z Europy (Austrii, Norwegii i Litwy) zastanawiali się m.in. nad zmianami polityki wobec Polonii, jakie mogą

obecnie nastąpić w kraju. Dopowiem od razu, że członkowie USOPAŁ są szczególnie uwrażliwieni na wszelkie działania antypolskie zarówno w kraju, jak i poza jego granicami. Reagują na nie stanowczo i energicznie, broniąc interesów Polski, służąc Polsce, Kościołowi katolickiemu, dobru społecznemu oraz prawdzie historycznej.

Bolączką Polonii – co wielokrotnie podkreślano w rozmowach – jest brak wpływu na obsadę stanowisk ambasadorów i konsulów. Nie zawsze mianowane w Warszawie osoby potrafią czy chcą współpracować z organizacjami polonijnymi. Akurat w dniach zjazdu mianowano szefem sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą posła Marka Borowskiego z LiD, dawnego działacza PZPR, co przyjęto z przykrością i oburzeniem. Uznano ten wybór za gest nieprzyjazny wobec Polonii. Większość Polaków, którzy po 1980 r. wyjechali na emigrację, doznała krzywdy od PRL-owskich, a także postkomunistycznych rządów, dlatego wyznaczenie kogoś z tego obozu politycznego do kontaktów z Polonią jest dla nich nie do zaakceptowania. Jest niemal pewne, że osoba Borowskiego skłóci wiele środowisk polonijnych. Czy o to właśnie chodziło Platformie Obywatelskiej?

Kolejną sprawą, która wywołała poruszenie i protest obecnych na zjeździe USOPAŁ, była wiadomość o nominacji Ryszarda Schnepfa na wiceministra spraw zagranicznych. Ten był polski ambasador w Urugwaju zapisał tu niezbyt chlubną kartę. Ponadto jego nominację uznano za znak powrotu do MSZ dawnej kadry dyplomatów, będących absolwentami MGIMO (Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych). W czasach ZSRR uczelnia ta szkoliła kadry dyplomatyczne dla krajów komunistycznych, dbając jednocześnie, by spory procent swoich absolwentów związać z KGB.

Należy dodać, że minister Anna Fotyga konsekwentnie pozbywała się absolwentów MGIMO, teraz może się okazać, że dla ministra Radosława Sikorskiego ważniejszy od lojalności jest „profesjonalizm”. Chyba że powrót dyplomatów z czasów PRL jest spełnieniem czyichś żądań? I tu chciałbym przypomnieć, że w ponadtrzygodzinnym exposé premiera Donalda Tuska nie było żadnych konkretów w sprawach zagranicznych, a jedynie pojawiały się zapewnienia o ułożeniu dobrych stosunków z sąsiadami, z UE czy Ameryką. Jak sądzę, nie uda się premierowi samymi kompromisami załatwić z Rosją ważnych dla Polski spraw, związanych czy to z energetyką, czy z eksportem mięsa. Polityka zagraniczna to zazwyczaj twarde, bezwzględne negocjacje, które nie ograniczają się do ukłonów,

uśmiechów, dyplomatycznych bankietów, budowy zaufania... Taka dyplomacja wskazuje na czyjaś słabość i zostanie bezwzględnie wykorzystana przez przeciwnika. Należy zawsze widzieć nadrzędny cel w każdej sprawie: jest nim polska racja stanu, interes narodowy. A że wówczas trzeba się komuś narazić?

Właśnie za tak jasne stawianie sprawy żądań od Polski odszkodowań przez organizacje żydowskie – co tu, w Ameryce, jest bardzo mocno komentowane – prezes Kobyłański został okrzyknięty antysemitą, odebrano mu tytuł konsula honorowego w Urugwaju i mimo braku jakichkolwiek dowodów – pomawia się go nadal o wydanie w czasie wojny gestapo rodziny żydowskiej.

Czy zawsze już będzie tak, że polska polityka wobec rodaków poza krajem będzie opierać się na zasadzie: dziel i rządź? Tymczasem przed emigrantami, ich dziećmi i dalszymi pokoleniami, po osiedleniu się w innym kraju, stają dziś ogromne wyzwania. Wielu Polaków ukrywa swoje pochodzenie, wyzbywa się rodzimej kultury i niejako rozplywa się w nowym społeczeństwie. W konsekwencji zubaża to każdego, jest objawem niezdrowej moralnie sytuacji i rodzi kompleksy. Z mojej rozmowy z prezesem Kobyłańskim wynikało jednoznacznie, że jego służba Polonii, wspieranie finansowo różnych stowarzyszeń polskich, domów i chórów, budowa pomników Jana Pawła II... jest wyrazem jego patriotyzmu i przywiązania do ojczyzny. Ale też ojczyzna musi o swoich rodakach pamiętać, stąd ważnym postulatem XIII Zjazdu USOPAL był apel o uchwalenie ustawy o obywatelstwie polskim, uwzględniającej przedstawicielstwo Polonii w Sejmie i Senacie. W tym celu należałoby wprowadzić do Konstytucji RP artykuł, który stwierdzałby, że zarówno Polonia światowa, jak i Polacy zamieszkujący na historycznych ziemiach polskich, znajdujących się obecnie poza granicami RP, stanowią integralną część narodu polskiego.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 49/2007)

Marsz, marsz, Polonia

Wybrałem się za ocean, do Urugwaju i Argentyny, aby świętować piętnastolecie utworzenia Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polskich Ameryki Łacińskiej (USOPAL), największej organizacji polonijnej na tym kontynencie. Tu, w Montevideo i Buenos Aires, wiele mówi się o USOPAL-e, bo jak sa-

ma nazwa wskazuje, jest to organizacja Polaków działająca od Meksyku po Antarktydę. Ciekawostką może być fakt, że na tak olbrzymiej przestrzeni w zasadzie panują tylko dwa języki: dominujący hiszpański oraz portugalski w Brazylii.

USOPAŁ powstał po pierwszym Zjeździe Polonii Świata w 1992 r., który odbył się w Krakowie. Uczestniczył w nim Jan Kobyłański, człowiek bardzo majątny, zaangażowany wówczas w działalność polonijną głównie w Argentynie. Widząc, że głosy Polonii z Ameryki Łacińskiej, głosy organizacji niepodległościowych, złożonych przede wszystkim z kombatanatów II wojny światowej, pomija się, a nawet lekceważy, postanowił scalić ruch polonijny na kontynencie południowoamerykańskim w jedną organizację. Tak powstał USOPAŁ z prezesem Janem Kobyłańskim na czele.

Ktoś zapytał: jakie są dzisiaj zadania Polonii, skoro ojczyzna jest wolna? Jan Paweł II podczas spotkania z Polakami w Kolumbii w 1986 r., mówiąc o obowiązku Polonii wobec ojczyzny, prosił, by nie zapominali o pierwszej ojczyźnie i spłacali zaciągnięty wobec niej dług. „Bo wobec ojczyzny zaciąga się dług, tak samo jak się zaciąga dług wobec rodziny, wobec rodziców – wyjaśniał. – To jest podobny związek, bardzo podobna zależność i bardzo podobny dług. Więc starajcie się ten dług moralny w stosunku do swojej pierwszej ojczyzny, tej, która dała wam polskość, spłacać również tutaj, na obczyźnie”.

To dokładnie czyni USOPAŁ, starając się bronić prawdy historycznej oraz dobrego imienia Polski w krajach Ameryki Południowej. Niestety, ze strony polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych otrzymuje za to ciągi i piętno antysemitów (antysemitką była m.in. informacja nagłośniona przez USOPAŁ, że amerykańscy Żydzi żądają od Polski odszkodowań wojennych w wysokości 65 miliardów dolarów). A jak ocenić to, co stało się ostatnio w Argentynie, gdzie z funkcji ambasadora został odwołany prof. Zdzisław Ryn? Odwołany za kontakty z USOPAŁ-em, za kontakty z Janem Kobyłańskim?

Brutalne ataki na ambasadora Ryna rozpoczęły się po ubiegłorocznych wyborach parlamentarnych, kiedy to do Argentyny miała przybyć polska delegacja na uroczystość zaprzysiężenia prezydent Cristiny Fernandez, żony byłego prezydenta Argentyny Nestora Kirchnera. Na czele polskiej delegacji miała stanąć prezydentowa Maria Kaczyńska. Przygotowania były związane na ostatni guzik i pewnie nie byłoby całego konfliktu, ale ni stąd, ni zowąd szefem polskiej delegacji został marszałek Senatu Bogdan

Borusewicz. Dosłownie kilka dni przed przyjazdem delegacji przyszła informacja z MSZ, że marszałek Borusewicz nie życzy sobie, aby w jego otoczeniu był ambasador Ryn. Było to wydarzenie bez precedensu, którego nikt w Argentynie nie mógł zrozumieć. Sam zaś marszałek tłumaczył później, że nie chce być w towarzystwie ambasadora, który jest związany z USOPAL-em.

Ambasadorowi zarzucono również, że reprezentuje w Ameryce o. Tadeusza Rydzyka i Radio Maryja. Podobne absurdalne zarzuty mnożono, osaczając go do tego stopnia, że centrala utrzymywała kontakty z pracownikami ambasady poza jego plecami, a w ostatnim okresie przysyłała „kontrolę” co kilka tygodni. Dziwnym trafem korespondencja depeuszowa trafiała następnego dnia do prasy codziennej w Polsce. W tej sytuacji ambasador podał się do dymisji.

Nietrudno się domyślić, że ambasador Ryn stał się jedną z ofiar w wojnie na górze, jaką toczy Kancelaria Premiera z Prezydentem. Niestety, przegrywa na tym wizerunek naszego kraju. Trzeba będzie wielu lat, aby odbudować prestiż Polski w Argentynie, zwłaszcza po latach bardzo dobrych stosunków. W Argentynie żyje ok. pół miliona Polaków i osób polskiego pochodzenia. Ponadto obecnie pracuje tam 96 polskich księży i zakonników. To chyba największy dar, jaki Polacy dają temu krajowi. Jednak znaczenie tego wkładu niweczą wspomniane działania MSZ. Niezrozumiałe są również inne decyzje tego ministerstwa, dotyczące likwidacji niektórych placówek dyplomatycznych. Można się zgodzić, że ambasady w Panamie czy niektórych krajach afrykańskich nie są konieczne, ale w Urugwaju? Tamtejsza Polonia uważa, że MSZ poleciło likwidację tej placówki tylko dlatego, że w tym kraju mieści się siedziba USOPAL i że tam urzęduje p. Kobyłański, który notabene był wcześniej konsulem honorowym Rzeczypospolitej Polskiej. Pozbawiono go tego tytułu z powodu zarzutów o antysemityzm i krytykę polskiej polityki zagranicznej, zwłaszcza wobec Polonii.

Kiedyś władze komunistyczne robiły wszystko, aby nasi rodacy na obczyźnie nie byli zjednoczeni. Teraz czyni podobnie niepodległościowy rząd. Jeszcze niedawno media pisały totalne bzdury o USOPAL-e, mieszały z błotem prezesa Kobyłańskiego, z którego zrobiono szmalcownika, przestępcę wojennego. Wszystkie te zarzuty IPN odrzucił, choćby jednak uczynił gest przepraszin!

Cóż, cele i dążenia polskiej emigracji i Polonii zmieniały się w zależności od sytuacji kraju ojczystego. W okresie zaborów było to wspieranie walki

o niepodległość. W latach międzywojennych chodziło o zachowanie polskości na wychodźstwie. Po II wojnie światowej naczelną ideą emigracji stała się ponownie walka o suwerenną, wolną Polskę. I kiedy wolność przyszła, wydawało się, że ojczyzna odpłaci Polonii miłością za miłość. Wydawało się.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 48/2008)

Potępiany za patriotyzm

Taki tytuł nosi obszerna albumowa książka prof. Jerzego Roberta Nowaka o Janie Kobyłańskim, prezesie Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polskich Ameryki Łacińskiej (USOPAŁ); książka, która z jednej strony przy czynia się do obalenia goebbelsowskich kłamstw przeciwko Kobyłańskiemu, a z drugiej – oddaje należny szacunek bohaterowi nieustającej bitwy o polskość. Można by przewrotnie napisać, że z powodu ataków polskojęzycznych mediów oraz polityków głównie z PO na prezesa USOPAŁ, poznaliśmy najbardziej barwną postać naszych czasów: więźnia hitlerowskich obozów zagłady, parokrotnie o krok od śmierci, po wojnie – zaczynającego dosłownie z niczego – przemysłowca, który dorobił się fortuny najpierw w Austrii i Włoszech, a od 1952 r. w Paragwaju, Argentynie oraz Urugwaju. Jego majątek stanowią nie tylko gromadzone przez lata dzieła sztuki, w tym liczne polonica, ale – to co powinno interesować polskich rządzących – aktywna działalność wśród Polonii.

Czytając książkę prof. Nowaka o Kobyłańskim, można się przekonać, że ten najzamożniejszy Polak na świecie stanowi zarazem niezwykle przykład człowieka, który po straszliwych doznaniach obozowych, ciągłej groźbie śmierci, umiał już od pierwszych chwil po wojnie niezwykle dynamicznie włączyć się do aktywnego życia gospodarczego i społecznego. Co więcej, już od 1957 r. znajdujemy korespondencję Kobyłańskiego z rządem polskim na uchodźstwie w Londynie w sprawie działalności polonijnej. W czasie, gdy organizacje polonijne w tak wielu krajach przeżywały ciągłe rozłamy, Jan Kobyłański potrafił wykorzystać swoją fortunę dla Polonii i dla Polski, najpierw finansując poszczególne ośrodki polonijne, a od 16 lat tworząc jedyną, jak dotąd, wielką organizację polonijną, obejmującą Polaków z całego kontynentu południowoamerykańskiego.

Mając takiego ambasadora polskości na świecie, nasi rządzący po 1989 r. obdarzali go najwyższymi odznaczeniami państwowymi (poza Orderem

Orla Białego). Uhonorowano go m.in. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski i Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, a także blisko stu innymi odznaczeniami polskimi i zagranicznymi. Nawet minister Bronisław Geremek jako szef MSZ w oficjalnym piśmie do Kobyłańskiego z 17 lipca 1998 r. akcentował: „Szczególnie cenimy Pański wkład w integrację organizacji polonijnych regionu, a zwłaszcza doprowadzenie do powstania Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polskich Ameryki Łacińskiej oraz objęcie przewodnictwa tej zasłużonej już organizacji”. Swego rodzaju symbolem znaczenia Kobyłańskiego na drugiej półkuli był fakt, że na jego hacjendzie w Punta del Este w Urugwaju gościło na konferencji w 1988 r. siedmiu prezydentów z krajów Ameryki Południowej.

Jako honorowemu konsulowi RP w Urugwaju Kobyłańskiemu zapewne ani przez myśl przeszło, że jednego dnia jego dobre imię zostanie w Polsce wystawione na kłamstwa, oszczerstwa i obelgi. A wszystko rozpoczęło się z chwilą współdziałania z prezesem Kongresu Polonii Amerykańskiej Edwardem Moskałem przeciw antypolonizmowi, a zwłaszcza przeciw środowiskom amerykańskich Żydów, domagających się od Polski 67 miliardów dolarów odszkodowań za mienie pozostawione w Polsce po II wojnie światowej. Właśnie obrona dobrego imienia Polaków, występowanie przeciw oszczerstwom o „polskich obozach koncentracyjnych”, także – jak sądzę – wsparcie dla Radia Maryja spowodowały, że z wielkiego patrioty uczyniono przestępcę wojennego, szmalcownika, szpiega oraz antysemitę.

Dziś widać wyraźnie, że były to skoordynowane działania polskiego MSZ, jak i „Gazety Wyborczej”, TVN oraz wielu innych polskojęzycznych mediów. Władysław Bartoszewski, będąc szefem MSZ, ukarał Kobyłańskiego usunięciem go ze stanowiska honorowego konsula RP w Urugwaju, kpina skwitowano nawet niezwykle odważną inicjatywę prezesa, jaką było zwołanie Kongresu Polonii obu Ameryk – pierwszego w historii spotkania Polonii całego kontynentu amerykańskiego. Jak sądzę, takich inicjatyw nie mogli ścierpieć postkomunistyczni dyplomaci. Dobrze ujął ich postawę Stanisław Michalkiewicz, pisząc: „Będąc w Kanadzie i USA przekonałem się ze zdumieniem, że polskie placówki dyplomatyczne kontynuują wobec Polonii PRL-owską taktykę dezintegrowania politycznego środowisk polonijnych”. Nic dodać.

Na nic zdały się oświadczenia w obronie Kobyłańskiego; m.in. śp. Andrzej Stelmachowski, prezes „Wspólnoty Polskiej”, pisał w liście do redak-

cji „Rzeczypospolitej”, że „prezes J. Kobylański jest jedną z najbardziej liczących się postaci światowego ruchu polonijnego, którego zasługi w odrodzeniu polskości są niepodważalne, a nawet – nie waham się użyć tego określenia – nieporównywalne”.

Obecnie w sądzie w Warszawie toczy się proces w obronie dobrego imienia prezesa USOPAŁ. Podczas rozpraw wyraźnie widać, że wrogowie prezesa są dzisiaj – jak pisze w książce prof. Nowak – „najzjadlejszymi wrogami wszelkiej tradycji patriotycznej, polskości, wiary i Kościoła”. Dobrze, że ukazała się książka o Janie Kobylańskim. Poznajemy jednego wielkiego człowieka i tuziny „małych” ludzi czyhających na niego. Książkę można nabyć przez Internet pod adresem: maron@jerzyrobertnowak.com.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 6/2010)

Pytania o polonijne szkolnictwo

Polskie szkoły na emigracji są ostoją polskości i gwarancją zachowania polskiej tradycji, historii i kultury w młodych pokoleniach Polaków. Przeciwnik ich likwidacji protestują rodzice w Atenach, Paryżu, Brukseli, Wiedniu czy Monachium. Problem – nienagłaśniany przez media w Polsce – obnażył nieodpowiedzialną politykę obecnego rządu, nieliczącego się z dobrem naszych dzieci i młodzieży. Zamykanie liceów, a także stopniowe „wygaszanie” polskiego szkolnictwa – niezależnie od powodów – jest swego rodzaju narodową hańbą.

Będąc członkiem senackiej Komisji Spraw Emigracji i Łączności z Polakami za Granicą, miałem możliwość zapoznać się ostatnio z sytuacją niektórych z tych szkół i mogę wprost napisać, że brak pieniędzy absolutnie nie usprawiedliwia działań podjętych przez Ministerstwo Edukacji Narodowej. Chodzi o wydany w kwietniu 2009 r. przez MEN „Program Rozwoju Szkół Polskich za Granicą” oraz „Wtyczne dla Dyrektorów Szkół Polskich za Granicą”. W tych dokumentach likwiduje się licea, wyłącza nauczanie matematyki i religii, składa odpowiedzialność finansowania szkół na rodziców, wycofuje z płacenia pensji dla nauczycieli polonijnych, a także wskazuje na zamiar stopniowego „wygaszania” wszystkich szkół polonijnych, jeśli nie znajdą sobie sponsorów.

Należy wspomnieć, że poza granicami kraju funkcjonuje pięć kategorii polskiego szkolnictwa: 1. Polskie szkoły realizujące pełny polski program

nauczania – są zaledwie 3 (Ateny, Moskwa i Praga) – finansowane przez MEN, przez Zespół Szkół dla Dzieci Obywateli Polskich Czasowo Przebywających za Granicą przy ul. Solec w Warszawie; 2. Polonijne szkoły sobotnie (zasadniczo przy polskich ośrodkach duszpasterskich), skupiające ok. 40 tys. dzieci w 530 szkołach polonijnych, częściowo finansowane przez MEN. Nie jest to pełna lista, istnieje bowiem wiele innych polonijnych szkół przy parafiach, które nie są zarejestrowane i nie są w ogóle dotowane przez MEN; 3. Polskie szkoły przy polskich placówkach dyplomatycznych. Jest ich 78 i uczęszcza do nich 13 562 uczniów. Są całkowicie finansowane przez MEN; 4. Szkoły kraju osiedlenia Polaków, których Ministerstwa Edukacji gwarantują naukę w języku polskim. Jest ich 170 z ok. 30 tys. polskich dzieci; 5. Szkoły europejskie dla dzieci funkcjonariuszy UE. Jest ich zaledwie 14 z 276 polskimi dziećmi. Szkoły te są finansowane przez MEN, MSZ i Unię Europejską. Należy również dodać, że wspomniane 78 polskich szkół przy ambasadach podlega całkowicie MEN-owi i w procesie nauczania zachowuje ciągłość z polskim systemem edukacyjnym. Umożliwia to uczniom automatyczną kontynuację nauki po powrocie do kraju. Obecnie, według „Programu...”, organem koordynującym szkolnictwo poza krajem będzie wspomniany Zespół Szkół na Solcu w Warszawie, a kształcenie będzie się odbywać także systemem korespondencyjnym przez Internet. Na terenie danego państwa pracę polskich szkół będzie koordynował pracownik ambasady polskiej, nazywany doradcą oświatowym.

Co się takiego wydarzyło, że np. Szkoła Polska w Paryżu, istniejąca od ponad 170 lat, ma przestać istnieć – o ile rodzice czy inni sponsorzy nie przejmą jej finansowania? Czy hasło o stopniowym uspołecznieniu polonijnych szkół oznacza zrzeczenie się przez państwo polskie odpowiedzialności za finansowanie tych szkół? A gdzie Konstytucja, która gwarantuje bezpłatną naukę polskim dzieciom mieszkającym poza krajem?

Poza Polską mieszka ponad 1/3 narodu, liczba przebywających tam dzieci wzrosła w ostatnich latach o 40 proc. Wydawałoby się, że dostrzegając wagę problemu, Platforma Obywatelska jednym z priorytetów uczyniła wspieranie Polaków mieszkających poza granicami kraju „w zachowaniu tożsamości kulturowej i narodowej”. Elementem „tej polityki” – zapewniano – będzie „stały kontakt z krajem, jego językiem i kulturą”. 10 grudnia 2007 r. podczas konferencji „Migracja zarobkowa – polityka, praktyka, wyzwania”, zorganizowanej przez Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” przy współpracy Ministerstwa Spraw Zagranicznych, wiceminister edukacji na-

rodowej Krzysztof Stanowski zapewnił, że nowy rząd, utworzony przez Platformę Obywatelską, będzie dążył do „umocnienia statusu języka polskiego jako obcego w systemie edukacji publicznej w krajach Unii Europejskiej, utworzenia polskiej instytucji zajmującej się nauczaniem języka polskiego za granicą i zdawania polskiej matury, w celu ułatwienia powracającym z emigracji powrotu do polskiego systemu edukacji”.

Obecnie, po dwóch latach rządów Platformy Obywatelskiej, zamiast realizować złożone obietnice, wprost zmierza się do likwidacji polskich szkół za granicą, a MEN zamiast umacniać status języka polskiego i tworzyć polskie instytucje zajmujące się nauczaniem języka polskiego za granicą, zamiast umożliwić większej liczbie młodzieży zdawanie polskiej matury, wycofuje się z tego, twierdząc, że wszystkie szkoły przy ambasadach RP, a także szkolne punkty konsultacyjne w nowym roku szkolnym nie będą już prowadziły dalszego nauczania matematyki oraz religii, a liczba oddziałów (wbrew rzeczywistości palącym potrzebom) w szkołach podstawowych i gimnazjalnych nie może być większa niż w roku szkolnym 2008/2009. Zapowiedziano również, że od przyszłego roku szkolnego nauczanie na poziomie liceum ogólnokształcącego odbywać się będzie jedynie w drodze korespondencyjnej i będzie prowadzone przez Zespół Szkół dla Dzieci Obywateli Polskich Czasowo Przebywających za Granicą.

O co w tym wszystkim chodzi? Czy problem sprowadza się jedynie do kwestii finansowych, czy też faktycznie chodzi o likwidację polskich szkół? Albo innego rodzaju pytanie: Czy nauczanie korespondencyjne wystarczy do rzeczywistego kontaktu z językiem polskim? Czy przez Internet można wychować młode pokolenie Polaków poza Ojczyzną w kulturze i tradycji narodowej? I pytanie zasadnicze: Czy los szkół polonijnych – podobnie jak polskich stoczni czy mediów publicznych – został już przesądzony?

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 31/2009)



Część III

PRZYSZŁOŚĆ IDZIE PRZEZ RODZINĘ

Każde życie jest święte

To wydarzenie wzburzyło miliony ludzi w Polsce. Jak donosiły media, powołując się na „Gazetę Wyborczą”, dwa szpitale w Lublinie i jeden w Warszawie odmówiły wykonania zabiegu aborcji 14-letniej dziewczynce, która zaszła w ciążę w wyniku gwałtu. Jak donosiła „Gazeta”, do aborcji nie doszło z powodu „brutalnej presji jakiegoś księdza i jego świty”.

Przerażające były komentarze i apele o zabicie nienarodzonego dziecka, zamieszczane w „Gazecie Wyborczej”. 7 czerwca 2008 r. pisano: „W Polsce kobieta może dokonać legalnej aborcji, m.in. gdy ciąża jest z gwałtu, jeśli nie upłynęło więcej niż 12 tygodni od poczęcia. Agata jest w 10. lub 11. tygodniu ciąży. Stwierdzenie gwałtu wystarcza do przeprowadzenia zabiegu, jednak poszkodowana musi wyrazić pisemną wolę”. 9 czerwca: „W Polsce kobieta może dokonać legalnej aborcji, m.in. gdy ciąża jest wynikiem czynu zabronionego, jeśli nie upłynęło więcej niż 12 tygodni od poczęcia. Agata jest w 10. lub 11. tygodniu ciąży”. 10 czerwca: „Prawo mówi, że gdy ciąża jest wynikiem seksu z nieletnią – czyli czynu zabronionego – można ją przerwać. Nastolatka jest w 11. tygodniu, a aborcję w Polsce można wykonywać do 12. (...). Na wybór pozostało kilka dni i trzeba mieć nadzieję, że da się go dokonać w ciszy. Decyzja należy do Agaty i jej bliskich. Są wciąż prawne podstawy do dokonania aborcji, o ile Agata i jej mama wyrażą taką wolę”.

To tylko kilka zdań z obszernych doniesień w mediach w tej sprawie. Nigdzie nie czytałem, aby pisano o podwójnym nieszczęściu, jakie spotkało Agatę: pierwsze to gwałt, a drugie to to, że jeśli dokona aborcji, zabije swoje niewinne dziecko. Żaden z dziennikarzy nie wspomniał o psychicznych konsekwencjach obydwu faktów: zarówno gwałt, jak i aborcja zdeformują psychikę dziewczyny na całe życie. Można domniemywać, że uro-

dzenie dziecka, które jest owocem gwałtu, nie da pełnej radości macierzyństwa, a nawet może uczynić życie matki koszmarem. Jakie rozwiązanie wybrać?

Chrześcijanin nie powinien mieć w takiej sytuacji dylematu, odpowiedź jest jedna: każde życie jest święte. Próżno jednak byłoby takiej podpowiedzi szukać w tekstach dziennikarzy oraz w wypowiedziach czołowych polskich feministek. Z nieszczyścia gwałtu uczyniono dziennikarską sensację, śledzono każdy ruch dziewczynki i jej matki, pośrednio nakłaniano młodocianą matkę do przerwania ciąży, oskarżano szpitale i lekarzy o zaniechanie ustawowych działań. Nie stać ich było na żaden gest solidarności i pomocy, który prowadziłby do innego rozwiązania aniżeli aborcja (tyle rodzin byłoby chętnych adoptować dziecko, gdyby taka była wola matki).

Okazało się jednak, że przedstawione fakty są jednym wielkim prasowym kłamstwem. Z informacji „Rzeczpospolitej” wynika, że to nie był gwałt, lecz Agata zaszła w ciążę z rówieśnikiem. I to nie ona chciała usunąć dziecko, lecz jej matka. Szpitale słusznie odmawiały wykonania aborcji, ponieważ nie wyrażała na to zgody sama Agata. Ileż więc manipulacji dokonały media, aby dołożyć katolikom za ich ciemnotę – bo do tego zmierzano w komentarzach. Jednym słowem – porażająca historia o młodocianej matce, która pragnęła urodzić dziecko, a także o nawoływaniu do przestępstwa w mediach – bo inaczej nie można nazwać tego szczucia przeciw życiu.

Czy nie powinna zająć się tym z urzędu prokuratura? Czyż nie jest przestępstwem zaszczuwanie dziewczyny, usilne nakłanianie do aborcji? A tak przy okazji dodam, że organizacje proaborcyjne sięgną po każdy argument, nawet kłamliwy, aby wykazać, że polskie prawo dotyczące ochrony życia jest rzekomo zbyt restrykcyjne.

Prawdą jest, że – w świetle obowiązującej ustawy – ciąża z gwałtu może zostać usunięta i szpital powinien tego dokonać. Ale czy takie prawo jest sprawiedliwe? Przypomnę, że sprawca gwałtu za swój haniebnny czyn idzie do więzienia na wiele lat, a człowiek poczęty w wyniku gwałtu, który nie popełnił żadnego przestępstwa, zostaje zamordowany!

Na tym tle należy widzieć międzynarodową inicjatywę dotyczącą moratorium (wstrzymania, zawieszenia) wykonywania aborcji, skierowaną do Organizacji Narodów Zjednoczonych, czyli do tej organizacji, która chroni prawa człowieka na świecie. Czyż zabijanie dzieci nienarodzonych nie jest najbardziej drastycznym naruszeniem praw człowieka?

Tygodnik „Niedziela” jako pierwszy wystosował w tej sprawie apel do polskich posłów i senatorów, wzywając ich do podjęcia uchwały, zalecającej rządowi RP zgłoszenie odpowiedniej rezolucji na forum Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. Obecnie klub Prawa i Sprawiedliwości opracował już projekt deklaracji, uchwały, w której stwierdza, że praktyka i propaganda tzw. aborcji, czyli zabijania dzieci nienarodzonych, stanowi drastyczne naruszenie praw ludzkich, a prawodawstwo i polityka państw powinny kształtować opinię publiczną w duchu ochrony i szacunku dla życia ludzkiego od poczęcia.

Uchwała PiS wzywa polski rząd, aby podjął działania uwrażliwiające opinię w kraju i na świecie na potrzebę ochrony ludzkiego życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Obecnie o losie uchwały zadecyduje kierownictwo klubu PiS. Poseł Stanisław Zając z Podkarpacia, jeden z członków zespołu ds. moratorium opracowującego ten dokument jest optymistą. Jego zdaniem, nie powinno być problemów, żeby osiągnąć główny cel – to znaczy przeforsować ideę moratorium na forum ONZ.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 25/2008)

W dziecku zabito dziecko

Czternastoletnia Agata z Lublina, która zaszła w ciążę – o czym pisałem w ubiegłym tygodniu – poddała się zabiegowi aborcji w ostatnim dniu, w którym zabieg można było wykonać (polskie prawo zezwala na zabieg do 12. tygodnia, jeśli ciąża jest wynikiem czynu zabronionego, głównie gwałtu). W tym przypadku prawo było szczególnie liberalne, ponieważ nie chodziło o gwałt – nauczyciele zwracali uwagę matce nastolatki, że od miesiący współżyje ona z o rok starszym od siebie chłopcem. Sąd wydał zgodę na aborcję ze względu na wiek Agaty – czynem zabronionym jest stosunek seksualny z osobą poniżej 15. roku życia. Niestety, sąd nie wziął pod uwagę faktu, że dziewczynka kilkakrotnie zmieniała swoją decyzję, pisała do koleżanek SMS-y, z których wynikało, że nie chce zabić poczętego dziecka. Dlatego skontaktował się z nią ks. Krzysztof Podstawka, dyrektor Domu Samotnej Matki i przewodniczący Funduszu Obrony Życia Archidiecezji Lubelskiej. Media oskarżały go potem o ingerencję i nakłanianie dziewczynki do zmiany decyzji oraz o wpływanie na decyzje lekarzy. Jednym słowem – z bolesnego faktu media zrobiły sensację na całą Polskę, rozgorzał

spór ideologiczny, a „Gazeta Wyborcza” codziennie pisała o kolejnych szpitalach odmawiających dokonania zabiegu. W końcu Ministerstwo Zdrowia, na polecenie Ewy Kopacz, wyznaczyło placówkę, w której dopełnił się los nienarodzonego dziecka.

Zwyciężyła ideologia śmierci, w imię legalizmu prawnego zginął człowiek, zostało zranione serce matki, która początkowo broniła swego dziecka. Czy jednak fizycznie rozwinięta dziewczynka mogła poradzić sobie z intelektualnymi naciskami i szantażami środowisk feministycznych i proaborcyjnych? Czy mogła sama wybrać między głosem sumienia a regulacjami prawa, które w skrajnych sytuacjach dopuszczają zabicie życia poczętego? Niestety, nawet teraz nie przeczytałem bodaj wzmianki, że oprócz dramatu jednego dziecka doszło do czegoś znacznie gorszego: zginęło niewinne dziecko.

Ktoś może mnie w tym momencie oskarżyć o fanatyzm, o stawianie niesprawiedliwych zarzutów mediom czy środowiskom proaborcyjnym. Niestety, fanatyzm dotyczy tych, którzy uzależniają prawo do życia dziecka od opinii matki, od głoszonych nowoczesnych idei, od zaślepionych sumień. I w tym przypadku tak było, ponieważ w sprawę Agaty z Lublina włączyła się Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, której przewodniczącą jest Wanda Nowicka. To środowisko od początku dążyło do tego, by dziewczynka nie urodziła dziecka, by jej przypadek stał się precedensem do zmiany polskiego prawa chroniącego życie nienarodzonych. To dlatego nagłośniono medialnie sprawę ciąży małoletniej dziewczynki na skutek gwałtu. W następstwie tego wymuszono na sądzie zezwolenie na aborcję. Nie liczył się nienarodzony człowiek, a jedynie bezduszne prawo, czysty legalizm, abstrakcyjny paragraf. Środowiska proaborcyjne współczujące nieszczęśliwej dziewczynce potraktowały ją czysto instrumentalnie, posłużyła im bowiem jako argument w walce o aborcję. Świadczy o tym najdobitniej fakt, że nikt z tych środowisk nie wspomniał o dziecku. Nienarodzony człowiek stał się przedmiotem. Kolejne takie przypadki będą już powoływaniem się na ten precedens.

Nie wiem, jak Agata poradzi sobie z tym faktem, kiedy dojrzeje, a zwłaszcza gdy zechce zawrzeć małżeństwo i urodzić dziecko... Nie wiadomo, na ile obecne przeżycia wpłyną na jej psychikę, a muszą wpłynąć, bo faktów nie da się już cofnąć. Jest przecież tyle kobiet cierpiących na różne zaburzenia spowodowane aborcją! Każda z nich chciałaby cofnąć czas, żeby nigdy do tego nie doszło.

Na pewno i Agata kiedyś zrozumie, że została wykorzystana do walki o prawo aborcyjne. Będzie miała żal, że tak mało osób wyciągnęło do niej rękę. Także żal do matki, która zapewne twierdziła, że jeśli urodzi dziecko, ich życie zamieni się w koszmar nie do zniesienia. Szkoda, że sąd podzielił tę argumentację i zalegalizował aborcję. Trudno mi zrozumieć tę decyzję sądu – na czym się opierała, co zaważyło najbardziej? Czy tylko strach matki przed przyszłością córki? Strach nie powinien być aż tak ważny, bo odpowiednie instytucje kościelne wyciągnęły pomocną rękę, wiele małżeństw z radością adoptowałoby dziecko Agaty.

Kogo należy obciążyć odpowiedzialnością? O sędzie wspomniałem, ale najwyraźniej widać tu błędy wychowawcze tak w rodzinie, jak i w szkole. Trzeba powiedzieć wprost: wina leży po stronie rodziców, którzy nie kontrolują tego, co robią ich dzieci. Ale także po stronie szkoły, która nierzadko zajmuje się wyłącznie wpajaniem wiedzy. Oskarżyć trzeba prasę młodzieżową, która zachęca do wczesnej inicjacji seksualnej. No i przede wszystkim należy wskazać palcem na wspomniane środowiska proaborcyjne, które dążą do zmiany prawa, do zwiększenia dostępności aborcji na życzenie.

Dlatego jako anachroniczne i nieprzystające do sytuacji kryzysu demograficznego należy uznać postulaty nowego kierownictwa SLD, domagające się m.in. liberalizacji ustawy o ochronie życia. Czy w ten sposób lewica chce przypomnieć, że istnieje? Oczywiście, SLD może zyskać nieco elektoratu, operując hasłami powrotu do PRL-owskiej ustawy o zabijaniu dzieci nienarodzonych czy nazywając zapłodnienie „*in vitro*” metodą leczenia bezpłodności. Wiele zależy od polityków, od dobrych ustaw, takich, które chronią życie od poczęcia do naturalnej śmierci, ustaw broniących rodziny, popierających wychowawczą rolę szkoły... A niestety, obecnie w Europie uchwała się ustawy o prenatalnym ludobójstwie i eutanazji, homoseksualiści uzyskują prawa do adopcji dzieci, a naturalne rodziny są dyskryminowane. Politycy powinni pierwsi się opamiętać.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 26/2008)

Nowy Rzecznik Praw Dziecka

Marek Michałak – 37-letni działacz społeczny na rzecz dzieci, kandydat koalicji PO-PSL, prezes Kapituły „Orderu Uśmiechu” – został nowym rzecznikiem praw dziecka. Głosowanie w Senacie było tylko formalnością,

ponieważ dwójka innych kandydatów, z PiS oraz z SLD, nie uzyskała w Sejmie wymaganej liczby głosów. Szkoda, ponieważ nie mieliśmy okazji ocenić, czy inni kandydaci byłiby równie godni sprawować ten urząd.

Wielu zapamięta min. Ewę Sowińską, która w maju 2008 r. zrezygnowała z urzędu Rzecznika Praw Dziecka. Doprowadzili do tego głównie posłowie PO oraz SLD, zarzucając jej sprzeniewierzenie się złożonej przysiędze, oskarżając o niedochowanie wierności konstytucji, o wykorzystywanie urzędu do prezentowania prywatnych poglądów, nieinformowanie opinii publicznej o podejmowanych działaniach, uleganie wpływowi jednej opcji politycznej...

Mocne zarzuty, ale ani jeden niepoparty wystarczającym dowodem, konkretnym argumentem. Prawdą jest, że Sowińska była z Ligi Polskich Rodzin, dlatego koalicja rządząca, kierując się zasadą odpolityczniania wszystkiego, powołała prezesa, który nie jest członkiem partii politycznej (obecnie, bo kiedyś był w Unii Demokratycznej). Aby jednak pozbyć się „politycznej” minister – przypomnę – najpierw odbył się zmasowany atak mediów zarówno na urząd Rzecznika Praw Dziecka, jak i osobiście na jej osobę, nagłośniono kwestię wpadek językowych Pani Minister, a w istocie chodziło o wyszydzenie wartości, które wyznaje, a dokładniej mówiąc – katolickiej postawy wobec problemów homoseksualizmu, pornografii oraz demoralizacji młodzieży. Postąpiono z nią tak, jakby chodziło o ministra gospodarki, a nie o urząd Rzecznika Praw Dziecka, czyli o osobę pomagającą w wychowaniu naszych dzieci w duchu wartości, a nie według zasady „róbta, co chceta”.

Podczas przesłuchania w Senacie Marek Michalak deklarował, że zajmie się biedą wśród dzieci, będzie walczył z przemocą w szkole (Ministerstwo Edukacji wycofało się z programu Romana Giertycha: bezpieczna szkoła), będzie działał na rzecz wzmocnienia więzi rodzinnych, dbał o dobrą jakość edukacji oraz opieki zdrowotnej, m.in. ma zamiar uruchomić powszechnie dostępny telefon interwencyjno-informacyjny dla dzieci, aby pomóc każdemu dziecku, które zadzwoni.

Co ważne, rzecznik złożył deklarację, że dzieckiem jest osoba od momentu poczęcia do pełnoletności... Piękne słowa, jednak na pytanie, jak zachowałby się w sprawie 14-letniej Agaty z Lublina, wykorzystanej przez feministki oraz liberalne media do walki o aborcję, odpowiedział wymijająco, że działałby zgodnie z prawem. A prawo karne było w tym przypadku korzystne dla Agaty, jednak dla jej dziecka oznaczało śmierć. Cóż, kierowa-

nie się wyłącznie prawem uchwalanym przez parlamenty może niejednego rzecznika zaprowadzić na manowce moralne.

Tu chciałbym przypomnieć, że w naszym kraju prawo nie strzeże dzieci przed ryzykiem wykorzystania seksualnego: 15-letnia dziewczyna może zostać bezkarnie wykorzystana w produkcji filmu pornograficznego. Nie będę przytaczał innych przykładów, w których Rzecznik Praw Dziecka powinien wystąpić w obronie godności dzieci i młodzieży, właśnie: powinien wystąpić – tak jak to czyniła min. Sowińska – choćby za to spotkało go wyszydzenie w mediach.

Problemy i wyzwania, jakie staną przed nowym Rzecznikiem Praw Dziecka, to głównie te, z którymi nie potrafi sobie poradzić państwo polskie. Wspomniałem o ubóstwie rodzin i w konsekwencji biedzie dzieci. Zwłaszcza trudna jest sytuacja rodzin wielodzietnych: 90 proc. rodzin, w których wychowuje się co trzecie dziecko, żyje poniżej minimum socjalnego, a ponad 30 proc. – poniżej minimum egzystencji. Ich sytuację mogłoby poprawić m.in. wprowadzenie ulg podatkowych, dlatego byłoby wskazane, aby urząd Rzecznika Praw Dziecka włączył się w program polityki rodzinnej – jeśli w ogóle koalicja rządząca zechce zauważyć problemy rodzin wielodzietnych.

Kolejna sprawa to sytuacja dzieci w rodzinach patologicznych, nękanych przez alkoholizm rodziców i przemoc. Niestety, z roku na rok nasila się agresja w takich rodzinach. Dla rodziców uzależnionych od alkoholu czy innych używek dziecko nie jest ważne, dlatego rzecznik powinien mieć możliwość interwencji w takich sytuacjach, kierować uzależnionych na leczenie, być w kontakcie z centrami pomocy rodzinie, aby dzieci miały właściwą opiekę. Pracownicy urzędu rzecznika powinni np. uczestniczyć w tych sprawach rozwodowych, które dokonują się z krzywdą dla dzieci. Chodzi o to, aby rzecznik był obecny jako rękojmia sprawiedliwego rozstrzygnięcia sprawy. Jest już projekt nowelizacji ustawy o Rzeczniku Praw Dziecka, w którym są zapisy o wzmocnieniu tego urzędu.

O jeszcze jednym ważnym zadaniu dla rzecznika chciałbym wspomnieć. Kilkakrotnie wyborcy zwrócili mi uwagę na strony pedofilskie w Internecie, skierowane do nieletnich. Autorzy tych stron udają, że chcą walczyć o prawo dzieci do wolności, ale tak naprawdę chodzi im o próbę zalegalizowania pedofilii. Niestety, Polska stopniowo staje się nowym rynkiem pedofilskim dla Zachodu, a Internet – kanałem zarzucania sieci na niewinnych nieletnich. Niestety, dzisiaj Internet stwarza niewyobrażalne możliwości propa-

gowania i organizowania się wszelkich dewiacji seksualnych. Dzięki internetowej anonimowości pedofile jednoczą się, tworzą stowarzyszenia i związki, które działają w ścisłym kontakcie ze związkami gejowskimi i lesbijskimi. Głosząc „miłość do dzieci”, autorzy tych stron wcale nie zamierzają ich ochraniać, lecz chcą umożliwić im dostęp do „życia seksualnego”, do którego rzekomo mają prawo. I tutaj nowy rzecznik ma pole do popisu. Życzymy mu sił i dobrego kierunku w działaniu.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 32/2008)

Reforma oświaty uderza w rodzinę

(Przemówienie na 26 posiedzeniu Senatu, 4–5 lutego 2009 r. w sprawie ustawy o systemie oświaty oraz o zmianie niektórych innych ustaw).

Pani Marszałek! Wysoki Senacie! Pani Minister!

Chciałbym podzielić optymizm Pani Minister Hall wobec reformy oświaty, ale niestety nie jest łatwo wygasić emocje i niepokoje, jakie budzi ta reforma. Niepokój wzbudzają głównie trzy kwestie: problem obniżenia wieku szkolnego, sprawa podstawy programowej oraz przekazywanie szkół osobom prywatnym. Z braku czasu tego ostatniego zagadnienia nie poruszę.

W pierwszej sprawie na czoło wysuwa się kilka problemów. Najpierw mój protest budzi odbieranie maluchom dzieciństwa, a także odbieranie dzieci rodzinie. Psychologowie ostrzegają, że oderwanie tak małego dziecka od rodziców, od domu, zaburzy jego rozwój emocjonalny. Jeden rok może nie jest istotny dla człowieka dorosłego, ale dla dziecka w tym wieku ma kolosalne znaczenie. W tej sprawie czterdzieści tysięcy rodziców wyraziło swój sprzeciw przeciwko obecnemu projektowi ustawy. MEN całkowicie ten ruch społeczny zlekceważyło.

Następny problem to nieprzygotowanie szkoły, a także rodziny na wprowadzenie reformy. Okaze się wkrótce, że sześciolatki bez żadnego przygotowania mają usiąść w ławkach obok starszych kolegów, którzy ukończyli już zerówki. Co powiedzieliby na przykład licealiści, gdyby zostali zaskoczeni koniecznością zdawania matury o rok wcześniej? To tylko gwoli przykładu.

Z kolei przeciętna szkoła podstawowa absolutnie nie jest na reformę przygotowana. Ministerstwo deklaruje pieniądze na przebudowę szkół. Jakie?

W czerwcu była mowa o blisko pół miliardzie euro, teraz jest już tylko 150 milionów, a właściwie zrzuca się cały koszt na samorządy, mówi się, że mają marszałkowie, starostowie, burmistrzowie mają jakieś rezerwy. W każdym bądź razie, jeśli nawet mają jakieś pieniądze, to przy ich podziale na poszczególne szkoły może się okazać, że są to sumy śmiesznie małe.

Mamy dobrze funkcjonujące przedszkola, w których dzieci mają warunki dostosowane do swojego wzrostu, potrzeb, wrażliwości. W zapytaniach wspominałem, że badania Akademii Świętokrzyskiej dowiodły miażdżącej przewagi wychowania przedszkolnego nad szkolnym.

Pani minister Hall uzasadniła wprowadzenie reformy najniższym wskaźnikiem demograficznym sześciolatków z rocznika 2003. Minister Boni natomiast uzasadniał reformę potrzebą naprawy systemu emerytalnego i koniecznością trafienia młodzieży jak najszybciej na rynek pracy. Ale gdzie w tym wszystkim jest jako najważniejszy interes dziecka? Oczywiście ono jest za małe, żeby go w ogóle o cokolwiek zapytać.

Kolejny problem to podstawa programowa. Niestety nie zawiera ona programu nauczania dla dzieci sześciolletnich, których rodzice zdecydują się pozostawić je w przedszkolu. Ich rówieśnicy w klasach pierwszych będą realizować program wraz z dziećmi siedmioletnimi, a dzieci siedmioletnie będą w dużej mierze powtarzać program, który już przerobiły rok wcześniej. Mamy gotowy chaos.

Podstawa programowa, takie mam informacje, została napisana przez stuosobowy wybitny zespół ekspertów. Szkoda, że jest to zespół całkowicie anonimowy, co niepokoi zwłaszcza środowisko akademickie, bo nie pozwala na formalny dyskurs nad tą podstawą programową. Wydziały pedagogiczne nie otrzymały żadnych informacji ani merytorycznego wsparcia w zakresie kształcenia zgodnie z planowanymi zmianami programowymi kadry pedagogicznej.

Kolejna sprawa, jeszcze ważniejsza, w zamierzeniach ministerstwa są zmiany podstawy programowej w polskich liceach. Oznacza ona właściwie koniec liceów ogólnokształcących, ponieważ kształcenie ogólne będzie się kończyć na pierwszej klasie liceum. Takie przedmioty jak historia skończą się, tak jak powiedziałem, w pierwszej klasie liceum. Dlaczego? Dlatego, że w klasach drugich i trzecich dla tych, którzy nie wybiorą profilu humanistycznego, a większość zapewne nie wybierze, pozostaną jako przedmioty uzupełniające. Czyli przez ostatnie dwa lata liceum, najważniejsze właściwie dla młodego człowieka, kiedy się dojrzewa, kiedy jest

okazja poważnie podejść do spraw historycznej wspólnoty, do swojej tożsamości jako Polaka, młody człowiek będzie tych szans pozbawiony. I co ma w zamian w klasie drugiej i trzeciej zamiast historii? Może wybrać sobie takie zagadnienia, jak „Kobieta i mężczyzna”, „Nauka”, „Wojsko i wojskowość”, „Swojskość i obcość”, „Gospodarka”, „Język, komunikacja i media”. Pozostawiam to bez komentarza.

Obawiam się, że po reformie edukacji, którą wprowadzamy, dla większości młodych Polaków obraz dziejów wyniesiony ze szkoły będzie się musiał zatrzymać na poziomie infantylnym. Oznacza to, że będziemy kształcić fachowców dla gospodarki, specjalistów w wąskich dziedzinach, nie mających w ogóle poczucia narodowej tożsamości.

Ale co się dziwić, skoro założenia reformy edukacji opracowywano, korzystając ze wsparcia funduszy europejskich, czyli zapewne także według wytycznych unijnych. Nie mówię tego bez pokrycia, ponieważ pomysł reformy uzasadniony został przez panią minister „potrzebą dostosowania polskiego systemu szkolnictwa do standardów europejskich”. Problem w tym, że takich standardów w ogóle nie ma. Ale cóż, Unia Europejska daje pieniądze i domaga się takiego kształcenia, które wzmacniałoby poczucie wspólnoty europejskiej, patriotyzm europejski, budowało europejskie społeczeństwo obywatelskie.

Moim zdaniem to budowanie tożsamości europejskiej jest bardzo sztuczne, ponieważ nie da się połączyć tradycji polskiej, hiszpańskiej, niemieckiej itd. W końcu, i to jest właściwie pewne, któraś z tych tradycji zostanie narzucona innym narodom. Zupełnie inaczej uczy się historii w Niemczech. Tam buduje się Centrum Wypędzonych, przedstawia się wspaniałych Niemców w roli bohaterów albo biednych Niemców w roli ofiar. Dam przykład ostatnio wyświetlanego filmu o pułkowniku Klausie von Stauffenbergu. To jest postać typowego pruskiego kolonizatora, traktującego Polaków, swoich wschodnich sąsiadów, jako półludzi. W filmie został przedstawiony jako wielki bohater. Dlaczego? Dlatego, że zorganizował zamach na Hitlera i za to zginął. Ale zginął nie po to, żeby uwolnić Europę od tego wielkiego zbrodniarza. Zginął, bo chciał ocalić wielkie Niemcy i ich panowanie na Wschodzie. I taka jest prawda.

Konkludując: uważam, że przygotowana przez rząd reforma to jakaś próba zafałszowania tego, co nazywa się reformą oświaty. Kolejna ekipa rządowa manipuluje przy oświacie i zamiast poprawiać, utrwała i pogłębia negatywne tendencje w polskim szkolnictwie. To jest działalność ze wzglę-

dów politycznych i ideologicznych. Rezygnuje się z klasycznego, solidnego wykształcenia na rzecz uzawodowienia, a konsekwencją tego, wbrew intencjom autorów, będzie dalsze obniżenie poziomu wykształcenia. Nie rozumiem, dlaczego Polska miałaby rezygnować z przynoszącego dziś dobre efekty przedziału nauczania od siedmiu do dwiętnastu lat, poprzedzonego obowiązkowym wychowaniem przedszkolnym sześciolatków. I na koniec, niech sobie wezmą reformatorzy do serca mądre słowa kanclerza Jana Zamoyskiego: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Dziękuję za uwagę.

Kłaps a prawa dziecka

Czy dziecko jest człowiekiem? To nie powinno budzić wątpliwości. Ale budziło aż do połowy XIX wieku, kiedy dziecko traktowano jako zadatek na człowieka, kogoś wymagającego dopiero obróbki w procesie surowego wychowania. W literaturze przedmiotu przytacza się przypadek 8-letniej Mary Ellen Wilson z Baltimore w Stanach Zjednoczonych, która była systematycznie bita przez matkę. Pomocy udzielili jej członkowie lokalnego oddziału Stowarzyszenia Przeciwdziałania Okrucieństwu wobec Zwierząt. Był to rok 1874, a zarazem początek ruchu na rzecz pomocy dzieciom. Wkrótce powstało w USA ponad 200 różnych, lokalnych stowarzyszeń mających na celu ochronę dzieci przed przemocą, wyzyskiem, okrucieństwem, poniżającym traktowaniem, opuszczeniem, demoralizacją. Podobne stowarzyszenia zaczęły działać również w Europie. To w tym czasie sformułowano w prawie pojęcie: „ochrona dzieciństwa”, które rozumiano jako działania państwa, samorządów i organizacji społecznych dla zapewnienia dziecku niezbędnych warunków do prawidłowego rozwoju. Tym samym dziecko zostało uznane za pełnowartościowego, aczkolwiek niedojrzałego człowieka, za istotę ludzką, której przysługują prawa.

Po raz pierwszy prawa dziecka wyliczono i nazwano w Deklaracji Genewskiej, przyjętej przez Ligę Narodów w 1924 r. Prawny następca Ligi Narodów – Organizacja Narodów Zjednoczonych przyjęła w 1959 r. Deklarację Praw Dziecka. Obecnie katalog prawno międzynarodowej ochrony praw dziecka najszerzej wyznacza „Europejska konwencja o wykonywaniu praw dzieci” z 1996 r. Polska ratyfikowała tę konwencję w 1997 r. Konwencja m.in. podkreśla rolę rodziców w ochronie praw i dobra dzieci, uznaje

również, iż w przypadku konfliktu rodzinnego pożądana jest próba osiągnięcia porozumienia wewnątrz rodziny w drodze mediacji, zanim sprawa zostanie przedstawiona do rozstrzygnięcia organowi sądowemu.

O prawach dziecka jest dzisiaj bardzo głośno, a co z prawami rodziców? Pytam o to, ponieważ do Sejmu trafił projekt ustawy o zakazie przemocy w rodzinie, a w jego uzasadnieniu są badania, z których wynika, że połowa polskich rodziców bije dzieci. Zgadzam się, że są różne wynaturzenia i patologie, ale w projekcie ustawy powołuje się instytucję, do której dziecko będzie mogło zaskarżyć rodzica nawet za danie mu przysłowiowego klapsa. Dodam, że także Rzecznik Praw Dziecka we własnym projekcie ustawy nie tylko całkowicie zakazał stosowania klapsa, ale również zaproponował całkowity zakaz „stosowania przemocy psychicznej naruszającej godność małoletniego”. Pojęcie to jest tak szerokie, że może wkrótce okazać się, iż zwrócenie dziecku uwagi na nieposprzątany pokój czy źle wyczyszczone buty zostanie uznane za przemoc psychiczną, ponieważ w opinii ustawodawcy dziecko staje się niewolnikiem, odbiera mu się wolność. Krótko mówiąc, do przemocy psychicznej będzie można zaliczyć już podniesiony głos na dziecko, nie mówiąc o karach takich, jak zakaz oglądania telewizji, korzystania z internetu, pójścia do kolegi itp. Rodzic będzie mógł tylko prosić o posłuszeństwo, pozbawiony natomiast zostanie wszelkiej władzy. Jednym słowem, jeśli klaps zostanie uznany za rodzaj sadyzmu, za patologię, jeśli sąd będzie mógł za to ukarać rodzica, to... Lepiej nie wyciągać wniosków, poza tym jednym: ktoś posługując się dziećmi, walczy z rodziną. Ktoś podżega młode pokolenie do buntu przeciwko dorosłym.

Ostatnio w Sejmie odbyła się debata wokół Konwencji Rady Europy w sprawie kontaktów z dziećmi, której ratyfikację prezydent zawetował. Chodzi w niej o to, że polskie sądy muszą przyjmować wyroki obcych państw, nawet jeśli byłyby one niekorzystne dla dzieci. Obawy o dobro dziecka budzi zwłaszcza art. 5, mówiący o prawie dziecka do utrzymywania kontaktów z osobami, z którymi ma ono „inne związki rodzinne”. Z pewnością chodzi o kontakt z nowym partnerem jednego z rodziców, a na Zachodzie może to być tzw. związek osób tej samej płci. Dobrze również wiedzieć, że w tzw. nowej strategii unijnej na rzecz praw dziecka jest mowa o „alternatywnych strukturach rodzinnych”. Pod tym eufemizmem kryje się nic innego jak wszelkiej maści nieformalne związki, począwszy od konkubinatów, skończywszy zaś na związkach homoseksualnych. W kilku państwach są już ustawy, które oddają dzieci w adopcję wynaturzonym pa-

rom osób homoseksualnych, które chcą się nazywać małżeństwem. Wprowadzanie dzieci w podobne relacje zrodzi trudne do wyobrażenia patologie. Niestety, 23 kwietnia 2009 r. Sejm głosami rządzącej koalicji współ z lewicą weto prezydenta odrzucił.

Należy dodać, że we wspomnianej „nowej strategii unijnej” propaguje się takie hasła, jak zdrowie seksualne i reprodukcyjne (p. 133). Zaś w punkcie 168 UE „wzywa państwa członkowskie do zagwarantowania, by wszystkie dzieci i nastolatki zarówno uczęszczające, jak i nieuczęszczające do szkoły, mogły uzyskać odpowiednio dostosowane i zrozumiałe informacje na temat zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego, aby mogły dokonywać opartych na wiedzy wyborów w sprawach dotyczących ich dobra osobistego, w tym w zakresie zapobiegania chorobom przenoszonym drogą płciową oraz HIV/AIDS”. Przekładając to na język praktyczny, UE domaga się również od Polski powszechnego dostępu do edukacji seksualnej w szkołach, do środków antykoncepcyjnych oraz aborcji.

Konkludując, pamiętajmy, że najważniejszym prawem dziecka jest kochająca się rodzina. Jeśli rodzina jest dysfunkcyjna lub patologiczna, praktycznie niemożliwe jest naprawienie szkód wyniesionych z domu. Dobrej rodziny nie zastąpi nic i nikt: ani najlepsze prawo, ani szkoła, ani psychologowie, ani tym bardziej dom dziecka czy jakieś „alternatywne związki rodzinne”. Jeśli więc współczesne parlamenty uchwalają ustawy antyrodzinne, prawa krzywdzące zarówno rodziców, jak i dzieci, to przyszłość ludzkości jest pod wielkim znakiem zapytania. Dzieci są jakby lustrem, odbiciem zachowań dorosłych, stąd potrzebują autorytetów, zaufania, przyjaźni i miłości. Jeśli jednak sami zagubiliśmy wartości, jeśli nasze postępowanie jest często bezwstydne i agresywne, jakie potem będzie zachowanie tych, którzy na nas patrzą i nas naśladują.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 19/2009)

Wspólnie przeciw przemocy w rodzinie

Ustawa o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie, uchwalona głosami Platformy Obywatelskiej, PSL i Lewicy jest, moim zdaniem, szkodliwa, a powołanie się przy tym na dane mówiące, że przemoc występuje rzekomo w połowie polskich domów, jest jakimś absurdem. Włos jeży się na głowie, gdyby to była prawda.

Już sama definicja przemocy jest w ustawie bardzo nieprecyzyjna. Według projektu, przemocą w rodzinie są powtarzające się lub jednorazowe „umyślne działanie lub zaniechanie naruszające prawa lub dobra osobiste innej osoby, w szczególności narażenie na niebezpieczeństwo utraty życia, zdrowia, niezaspokojenie podstawowych potrzeb ekonomicznych, naruszające ich godność, nietykalność cielesną, wolność – w tym seksualną, powodujące szkody na ich zdrowiu fizycznym lub psychicznym, a także wywołujące cierpienia i krzywdy moralne u osób dotkniętych przemocą”.

Sporo tych wyliczeń, obejmujących swoim zakresem niemal każde oddziaływanie wychowawcze. Jak zrozumieć np. naruszanie wolności seksualnej dziecka? Czyżby do lamusa należało wyrzucić zapis z kodeksu rodzinnego i opiekuńczego, który stanowi, że „Władza rodzicielska obejmuje w szczególności obowiązki i prawo rodziców do wykonywania pieczy nad osobą i majątkiem dziecka oraz do wychowania dziecka, z poszanowaniem jego godności i praw”. Jak sądzę, regulacja ta w sposób wystarczający normuje kwestię wychowywania dzieci – w tym także ich karcenia, jeśli przekraczają określone normy zachowania. Myślę, że zakaz karcenia dzieci, stosowania kar cielesnych i innych form cierpień psychicznych poszedł za daleko. Jest to usankcjonowanie bezstresowego wychowania jako jedynie słusznej metody wychowawczej. Wydaje się, że zamiast takiego zakazu jaśniejsze i możliwe do stosowania byłoby zapisanie zakazu kar cielesnych, gdy naruszają one godność dziecka. Pamiętajmy też, że zakaz znęcania się nad dzieckiem i zadawania mu cierpień funkcjonuje już w polskim systemie prawnym.

Według wspomnianej wyżej definicji, w praktyce za przemoc w rodzinie zostanie uznany donos sąsiada, że w jakimś domu jest za głośno, albo też donos syna czy córki na rodzica, że zabrania im np. kontaktów seksualnych z kolegą lub koleżanką. Także wiele innych przejawów władzy rodzicielskiej, takich jak kontrolowanie czy ograniczanie czasu na telewizję czy Internet, może zostać uznane za przemoc przez niektórych „obrońców” dzieci i młodzieży w stylu „róbta co chceta”. Krótko mówiąc, ta ustawa poważnie narusza autorytet tych rodziców, którzy będą bardziej wymagający od innych. A przede wszystkim potraktowano każdą rodzinę jako potencjalne miejsce przemocy i patologii. Dlatego de facto ustawa jest skierowana przeciwko rodzinie, ponieważ rodzice zostają praktycznie pozbawieni możliwości dyscyplinowania swoich dzieci.

Czy ustawa w całości jest zła? Oczywiście, nie. Zawiera ona wiele konkretnych rozwiązań, które są potrzebne, ważne i mogą w realny sposób wesprzeć ofiary przemocy rodzinnej, czasem uratować im życie. Najważniejsze zapisy, które szczególnie są istotne dla losu rodzin zagrożonych przemocą, to: 1. Możliwość odseparowania sprawcy od jego ofiar – przez zakaz zbliżania się lub nakaz opuszczenia wspólnie zajmowanego lokalu. Jest to szczególnie ważne w sytuacji, kiedy mamy do czynienia ze znacznym przepełnieniem więzień. Z tego bowiem powodu sprawcy są skazywani w znacznej większości na karę w zawieszeniu, co oznacza, że po wyroku wracają do domu i wówczas mogą mścić się na rodzinie ze zdwojoną siłą. Teraz, mimo braku miejsca w więzieniach, musieliby się trzymać od krzywdzonych przez siebie osób z daleka. 2. Zajęcia korekcyjno – edukacyjne dla sprawców. Sąd będzie mógł skierować sprawcę na tego rodzaju zajęcia, zamiast posyłać go za kraty. W połączeniu z czasowym odseparowaniem od ofiar jest to bardzo dobre, prorodzinne rozwiązanie, ponieważ taki człowiek będzie mógł nauczyć się dobrych wzorców zachowań bez agresji i wrócić do rodziny. Jest bowiem tak, że w wielu rodzinach „przemocowych”, mimo agresji, sprawca kocha swoich bliskich i nie chce ich krzywdzić. Podobnie – oni kochają sprawcę. Ten zapis to pomoc dla takich rodzin; pomoc, która może je uchronić przed rozpadem. 3. Obowiązek tworzenia i realizowania programów przeciwdziałania przemocy i ochrony ofiar przemocy w środowiskach lokalnych. Pozwoli to opracowywać programy najbardziej dopasowane do lokalnych potrzeb społecznych. 4. Bezpłatna pomoc prawna, psychologiczna, lekarska, socjalna, zawodowa i rodzinna dla osób dotkniętych przemocą ze strony najbliższych. Szczególnie ważna jest tu możliwość uzyskania bezpłatnie obdukcji lekarskiej, która jest bardzo ważnym dowodem przed sądem, a z której wiele osób dotychczas rezygnowało z przyczyn finansowych.

Jak sądzę, ważny jest wspomniany zapis w ustawie, kładący nacisk na profilaktykę. To gminy mają opracowywać program przeciwdziałania przemocy w rodzinie, prowadzić poradnictwo i interwencję w zakresie przeciwdziałania przemocy, opracowywać programy ochrony ofiar itd. Tu jednak posłowie pozostawili artykuł uprawniający pracowników socjalnych do interweniowania, gdy zagrożone jest życie lub zdrowie dziecka. Dobrze, że został on jednak w Sejmie przeredagowany i złagodzony. Obecnie jest w nim mowa o tym, że pracownik socjalny w szczególnych sytuacjach, np. gdy opiekunowie są nietrzeźwi, jest zobowiązany „zapewnić dziecku

bezpieczeństwo” i powinien umieścić je u innej niezamieszkującej wspólnie osoby z rodziny, a jeśli jest to niemożliwe – w rodzinie zastępczej bądź placówce.

Dziwi mnie jednak zapis, że w gminnym zespole inicjującym przy pomocy innych służb państwowych, w tym policji, działania, które uznają za zasadne, obligatoryjnie wchodzi również przedstawiciele organizacji pozarządowych. To jest jakieś niezrozumiałe kuriozum, ponieważ zupełnie obcy ludzie, nie urzędnicy, będą mieli dostęp do wszelkich danych o obywatelach, udostępnianych bez ich wiedzy i zgody. Pytanie zasadnicze: jak w demokratycznym kraju można projektować przepisy dające członkom zespołu interdyscyplinarnego prawo gromadzenia i przetwarzania informacji oraz danych osób dotkniętych przemocą w rodzinie i osób stosujących przemoc w rodzinie, dotyczące: stanu zdrowia, nałogów, orzeczeń o ukaraniu, a także innych orzeczeń wydanych w postępowaniu sądowym lub administracyjnym, bez ich zgody. Jest to niebezpieczne zbliżenie się do orwellowskiej wizji onnipotentnego państwa. Ta wiedza może być wykorzystywana do intryg, rozgrywek czy zwalczania niewygodnych osób pod pretekstem przeciwdziałania przemocy.

Konkludując, walka z przestępczością i zwalczanie przestępstw przeciwko rodzinie jest ideą ze wszech miar godną poparcia. Kodeks karny w art. 207 reguluje przestępstwo znęcania się fizycznego lub psychicznego nad osobami najbliższymi, przewidując za to surowe sankcje karne. W tej jednak ustawie doszło do zrównania wychowania z przemocą, i to jest niebezpieczny precedens walki z rodziną.

Także sam tytuł ustawy fałszywie wskazuje na rodzinę jako miejsce i ognisko przemocy. Mylące jest również nazywanie rodziną każdej grupy osób wspólnie zamieszkującej lub gospodarującej. Dlatego moim zdaniem, tytuł ustawy powinien otrzymać brzmienie: „Ustawa o przeciwdziałaniu przemocy wobec osób pozostających we wspólnym gospodarstwie domowym”. Do przemocy domowej dochodzi bowiem bardzo często wśród osób wspólnie zamieszkujących, a nie stanowiących rodziny. W tej sytuacji tytuł ustawy jest nieadekwatny i mylący.

Generalnie miała to być ustawa o przeciwdziałaniu przemocy w jakichś szczególnych przypadkach, a jest w istocie przeciw każdej rodzinie, czyniąc z niej związek pełen patologii i brutalności. Tymczasem rodzina jest związkiem, który charakteryzuje się nie tylko emocjami, ale stanowi bardzo delikatną materię, także samouzdrawieńczą. Nie wolno odbierać rodzinie

dzieci bez sądu. Nowelizacja przepisów mających chronić rodzinę pozwoli na nadmierne ingerowanie w jej życie i prywatność. Mam nadzieję, że w Senacie jeszcze coś poprawimy na korzyść rodziny.

(Wystąpienie na konferencji „Wspólnie przeciwko przemocy”, zorganizowanej przez M-GOPS w Koziegłowach, 17 maja 2010; druk. w: „Problemy Społeczne” nr 3/2010).

Nadchodzi czas budzenia sumień

Niemal codziennie otrzymuję e-maile lub listy od nieplodnych małżeństw, w których surowej ocenie zostaje poddany nieznany jeszcze bliżej projekt ustawy biomedycznej o zapłodnieniu *in vitro*, opracowany przez zespół pod kierunkiem posła PO Jarosława Gowina. W listach tych oprócz słów bólu z powodu nieplodności czuje się ducha walki o upowszechnienie metody zapłodnienia *in vitro* w Polsce, co m.in. widać w domaganiu się refundacji tego zabiegu przez NFZ. Szafuje się nawet argumentem, że kto jest przeciw *in vitro*, ten nie chce szczęśliwych rodzin. Spodziewam się, że po najnowszym liście polskich biskupów na uroczystość Świętej Rodziny protestów będzie o wiele więcej. Tak jak to było przed rokiem, kiedy biskupi skierowali list do posłów i senatorów, uznając metodę *in vitro* za niegodziwą (niektórzy parlamentarzyści uznali to za mieszanie się hierarchów do prawodawstwa i polityki).

Warto przypomnieć, że księża biskupi w liście do nas podali trzy powody, dla których metoda *in vitro* jest nie do przyjęcia. Po pierwsze – „jest to rodzaj wyrafinowanej aborcji” (przy każdej próbie zapłodnienia giną liczne embriony, a dzisiaj tylko nieuk może powiedzieć, że embrion to nie jest człowiek). Po drugie – każde dziecko ma prawo zrodzić się z miłosego aktu małżeńskiego jego rodziców, a nie w wyniku lekarskiej selekcji. Po trzecie – dziecko nie jest rzeczą i nikt, nawet przyszli rodzice, nie może powiedzieć, że ma do niego prawo.

Zapewne nie wszyscy orientują się, na czym polega procedura zapłodnienia poza ciałem matki (*in vitro*, czyli w probówce). Najpierw, aby pobrać komórki jajowe, trzeba kobietę nafaszerować hormonami, co może skończyć się poważnymi powikłaniami, a nawet zgonem. Potem sam zabieg pobrania komórek jajowych jest bardzo niebezpieczny dla jej zdrowia. Męż-

czyzna także nie jest w sytuacji komfortowej. Podczas wizyty w przychodni musi pójść w ustronne miejsce i wypełnić odpowiednie naczynie swoim nasieniem. Nikogo nie oburza fakt samogwałtu. Nierzadko jego nasienie jest pobierane wprost z narządu, co jest zabiegiem skomplikowanym i dla mężczyzny bardzo nieprzyjemnym.

Co dalej? Niektórzy sądzą, że komórka jajowa i plemnik połączą się same „w probówce”. Niestety, jajeczko ma twardą osłonkę, dlatego lekarz musi je nakłuć i następnie wcisnąć do niego plemnik (nigdy nie wiadomo, czy go przy okazji nie uszkodził). Takich ludzkich embrionów należy „wyprodukować” więcej, aby po kilku dniach najbardziej „dorodne” umieścić w łonie kobiety. Dla zwiększenia szans utrzymania przy życiu chociaż jednego dziecka umieszcza się w macicy kilka embrionów. Jeśli więcej z nich przeżyje, dokonuje się tzw. aborcji selektywnej (utrzymanie ciąży mnogiej jest raczej niemożliwe).

Skuteczność zabiegu przy wprowadzeniu jednego zarodka wynosi 10 proc., przy dwóch – 15 proc., przy trzech – 25 proc., przy czterech 30 proc. Przy braku ciąży zabieg powtarza się wielokrotnie, przyczyniając się do śmierci kolejnych „zamrożonych” dzieci w stadium embrionalnym (w Polsce jest obecnie od 20 do 50 tys. zamrożonych zarodków – zamrożonych dzieci. Samo zamrażanie embrionów może prowadzić do ich uszkodzenia). Te nieprzyjemne procedury związane ze sztucznym zapłodnieniem prowadzą do kompletnego stechnicyzowania ludzkiej seksualności, później zaś sama świadomość, że w wyniku podjętych działań śmierć poniosło wiele embrionów, może przygasić radość z narodzonego dziecka.

Kolejna sprawa to zdrowie dzieci „z probówek”. W Polsce, pod pretekstem nienaruszania prywatności, nikt ich potem nie bada, tymczasem naukowcy za granicą ostrzegają, że waga urodzeniowa tych dzieci jest niższa, że częściej występują u nich problemy zdrowotne, a zwłaszcza autyzm. Naukowcy nie wiedzą jeszcze, czy w późniejszym wieku nie ujawnią się jakieś dysfunkcje biologiczne. Wielu biologów obawia się, że przez tę metodę wprowadzi się do puli genetycznej ludzkości geny zagrażające gatunkowi człowieka (mogą pojawić się nowe choroby, wobec których organizm będzie bezbronny).

Jaka więc powinna być polska ustawa bioetyczna, aby skończyć z działaniem klinik *in vitro* bez żadnej kontroli? Nawet jeśli będzie bardzo restrykcyjna, pozwalająca tylko małżonkom na „poczęcie” jednego embrionu, to i tak będzie to wbrew nauczaniu Kościoła.

Najnowsza instrukcja Kongregacji Nauki Wiary „Dignitas personae” (Godność osoby, 2008 r.) stwierdza, że „wszelkie techniki sztucznego zapłodnienia, zastępujące akt małżeński, są moralnie niedopuszczalne”. Właściwie po wydaniu tej instrukcji mówienie o jakimkolwiek kompromisie akceptowalnym przez katolików – w sprawie dopuszczalności metody zapłodnienia *in vitro* – staje się niedorzeczne. A może Kościół się myli? Jeszcze 30 lat temu mówiło się o bombie demograficznej, zarzucano Kościołowi, że jest przeciw antykoncepcji. Teraz jest oskarżany o to, że nie popiera zapłodnienia *in vitro*, a więc nie przyczynia się do zaludnienia Europy! I tym razem głos Kościoła nie jest protestem przeciwko postępowi naukowemu, a jedynie delikatnym pukaniem do sumień, przypominającym, że technika nie może być przed etyką, że rozwój nauki niesie nie tylko szanse, ale i zagrożenia.

Czy posłowie i senatorowie uznają, że kompromisowa ustawa dopuszczająca *in vitro* pod kontrolą jest lepsza niż stan obecnego bezprawia? Czy będziemy musieli głosować wbrew sumieniu? Cóż, nie po raz pierwszy przyjdzie politykom zapłacić za wolność sumienia nawet utratą wysokich stanowisk. Ostatecznie wielkim politykiem jest zawsze ten, w którym wielki jest człowiek! Zasad moralnych nie ustanawia się ani pod presją sondaży opinii społecznej, ani w referendum, ani w głosowaniu większości parlamentarnej. Żadna ludzka władza, opierając się na osiągnięciach techniki medycznej, nie może przywłaszczyć sobie praw, które należą wyłącznie do Boga. A takim prawem jest ludzkie życie.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 2/2009)

W Sejmie i Senacie o *in vitro*

Najpierw w Senacie 11 lutego 2009 r., a następnego dnia w Sejmie odbyły się konferencje na temat metody *in vitro*, zorganizowane przez posłów PiS oraz klub parlamentarny PiS. Na pierwszej konferencji wśród prelegentów byli m.in.: prof. Bogdan Chazan, ginekolog i dyrektor warszawskiego Szpitala im. Świętej Rodziny – omówił profilaktykę i aspekty leczenia niepłodności, ks. prof. Paweł Bortkiewicz, etyk z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu – mówił o pragnieniu posiadania dziecka jako o problemie etycznym, dr M. Jakimiuk, psycholog – nakreśliła psychologiczne konsekwencje poczęcia dziecka metodą *in vitro*, europoseł Urszula Krupa

– przeanalizowała dokumenty Parlamentu Europejskiego odnoszące się do zagadnień bioetycznych.

Na drugiej konferencji z posłami PiS spotkał się ekspert Episkopatu Polski, ks. dr Franciszek Longchamps de Bérier, prawnik, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Warszawskiego, który uzasadnił stanowisko Kościoła: dlaczego metoda *in vitro* jest niemoralna i niegodziwa. W skrócie, zastrzeżenia wszystkich prelegentów do tej metody dotyczyły następujących problemów: *in vitro* nie jest lekiem na bezpłodność, gdyż po zastosowaniu tej metody małżeństwo w dalszym ciągu pozostaje bezpłodne; stechniczowanie początku życia ludzkiego sprawia, że człowiek zaczyna być traktowany jak towar; metoda ta odrywa poczęcie człowieka od naturalnego środowiska; brak rzetelnej informacji o wyniszczających skutkach procedury *in vitro* dla kobiecego organizmu oraz o stanie zdrowia osób poczętych tą metodą; niegodziwe jest tworzenie embrionów zapasowych oraz ich zamrażanie i rozmrażanie; w procedurze *in vitro* wiele embrionów ginie, tym samym ich prawo do życia jest zanegowane; metoda sprzeciwia się dobru dziecka i godności człowieka jako daru Stwórcy.

Wspomniane konferencje towarzyszą rozpoczętej dyskusji w parlamencie na temat uchwalenia ustawy o zakazie metody *in vitro*, jaką przygotowali posłowie klubu parlamentarnego PiS, jako alternatywę dla projektu ustawy PO, opracowanej przez zespół posła Jarosława Gowina, będącej „kompromisem” w kwestii zapłodnienia pozaustrojowego.

Można przypomnieć, że projekt ustawy biomedycznej PO zakłada *in vitro* tylko dla małżeństw, i pod warunkiem, że nie są one obciążone chorobami lub upośledzeniem genetycznym, domaga się bezwzględnej ochrony embrionu ludzkiego i zakazuje jego niszczenia. W ślad za tym autorzy projektu wprowadzają zakaz sprzedawania, a nawet darmowego przekazywania ludzkich zarodków. W przypadku zapłodnienia *in vitro* nie będzie wolno obracać ludzkimi gametami (jajeczkami i plemnikami). Oznacza to, że obcy mężczyzna nie może być dawcą nasienia dla małżeństwa starającego się o dziecko metodą *in vitro*. Ustawa nie przewiduje tej metody dla par nieformalnych. Projekt wyznacza górną granicę wieku kobiet zapładnianych metodą *in vitro* na 40 lat. Ustawa zezwala na tworzenie tylko jednego embrionu ludzkiego (dopuszcza jednak tworzenie dwóch, ale pod warunkiem, że obydwu zostaną wszczepione do organizmu kobiety). W wyjątkowych sytuacjach embrion można będzie zamrozić. Może się bowiem zdarzyć, że po jego wytworzeniu zajdą przeciwwskazania medyczne

dla wszczepienia go do organizmu kobiety albo wycofa ona zgodę na implantację. Wówczas zarodek zostanie zamrożony, a fakt ten zostanie zgłoszony do centralnego rejestru biomedycznego. Ustawa nie określa zasad finansowania *in vitro*, stwierdza jedynie, że taka możliwość jest dopuszczalna, ale określi to odrębna ustawa. Autorzy ustawy zadbali, aby jej regulacje nie były martwą literą, i wprowadzili odpowiedzialność karną za ich nieprzestrzeganie.

Zapewne wkrótce Sejm rozpocznie prace nad obiema ustawami. Prezes PiS Jarosław Kaczyński w jednym z wywiadów stwierdził, że „jeśli ktoś zgłosi projekt zakazu *in vitro*, on poprze go jako praktykujący katolik. Ale jeśli taki wniosek upadnie, będzie za ograniczeniami w wersji Gowina”. Czy z tych słów prezesa można wyciągnąć wniosek, że inicjatywa posłów PiS dotycząca całkowitego zakazu stanie się tylko „podkładką” do przyjęcia propozycji PO?

Jak sądzę, chyba nikt w PiS z góry nie zakłada, że w kwestii prawnego uregulowania metody zapłodnienia *in vitro* należy pójść na „kompromis” i że tylko tak da się pogodzić tych posłów katolików, którzy zgodnie z nauczaniem Kościoła domagają się całkowitej delegalizacji zapłodnienia *in vitro*, ze zwolennikami rozwiązań liberalnych, którzy – również jako katolicy – chcą częściowej dopuszczalności tej metody.

Gdyby ktoś z góry zakładał, że w tym przypadku będzie możliwy jedynie kompromis, to znaczyłoby, że odchodzi od wyznawanych zasad i wartości, że godzi się na oportunizm, który charakteryzuje się brakiem określonych, niezmiennych zasad nadających stały kierunek ludzkiemu postępowaniu. Katolicy posłowie w żadnym wypadku nie powinni rezygnować z radykalizmu i wierności prawdzie. Ktoś, kto z góry zakłada kompromis, przyłącza się do oportunistów, którzy mają liberalne poglądy w tak istotnych sprawach, jak godność człowieka i poszanowanie życia ludzkiego.

Kard. Stanisław Dziwisz, odnosząc się do tego problemu, powiedział, że zdecydowane „nie” Kościoła dla *in vitro* nie wynika z „konfesyjnej wizji rzeczywistości, lecz wyraźnego odniesienia do godności osoby ludzkiej”. Przekładając to na płaszczyznę prawną, trzeba stwierdzić, że polityk katolik do końca powinien opowiadać się za ochroną życia, i dopiero jeśli nie ma szans na uchwalenie ustawy zgodnej z jego przekonaniem, może głosować za prawem, które ograniczy szkodliwość dotychczasowych rozwiązań. Wtedy musi chronić to, co da się ochronić. Pamiętając jednak o tym, że

prawo ma także funkcje edukacyjne, że dopuszczając jakieś rozwiązanie, tworzy się wrażenie, iż jest ono moralne, dlatego tym bardziej należy świadczyć za tym, że poczynszy od połączenia dwóch ludzkich gamet mamy do czynienia z życiem człowieka, które powinno podlegać wszelkiej ochronie zgodnie z polską Konstytucją.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 8/2009)

Ustawowy spór o *in vitro*

Problematyka zapłodnienia *in vitro* (poza ustrojem matki) jest od szeregu lat przedmiotem gorących dyskusji, a obecnie, także oczekiwanych inicjatyw ustawodawczych. Różne środowiska skierowały do Sejmu własne, od razu dodam, mocno różniące się między sobą projekty ustaw. Zapewne wszyscy czynią to ze świadomością, że należy uregulować prawnie dziedzinę bioetyki, jednak różnice w projektach ustaw oraz w ich uzasadnieniu są zbyt głębokie.

Generalnie, osoby związane z prawicą uważają, że dotychczasowy brak uregulowań prawnych doprowadził do ogromnych nadużyć wobec godności ludzkiego życia, a sama metoda *in vitro* jest rodzajem wyrafinowanej aborcji (przy każdej próbie zapłodnienia giną liczne ludzkie embriony). Zasadą powinno być, aby każde dziecko mogło zrodzić się z miłego aktu małżeńskiego jego rodziców, a nie w wyniku lekarskiej selekcji. Dziecko nie jest rzeczą i nikt, nawet przyszli rodzice nie mogą powiedzieć, że mają do niego prawo.

Natomiast osoby związane z lewicą oraz liberałami – kierując się „bólem” nieplodnych małżeństw, domagają się upowszechnienia metody zapłodnienia *in vitro*, bronią się przed nazywaniem zabiegu „wyrafinowaną aborcją”, ponieważ – jak twierdzą – aborcja jest zabiciem płodu w łonie matki, celem zaś *in vitro* jest powoływanie do życia nowych istnień. Ponadto większość zwolenników *in vitro* uważa, że na tak wczesnym etapie rozwoju człowieka nie można jeszcze mówić o jego osobowym, a zatem i normatywnym statusie. Wiele też domaga się refundacji tego zabiegu przez NFZ.

a. Nagląca potrzeba prawnej regulacji

Należy podkreślić, że technika *in vitro* ma już ponad 30 lat i jako taka nie została w Polsce prawnie uregulowana. Mówi się o prawdziwym „przemy-

śle” *in vitro*, masowej produkcji embrionów oraz ich selekcji i zagładzie. Jednym słowem, służąc zaspokajaniu żądań rodziców, metoda *in vitro* stała się sferą zarobkowania sięgającą miliardów złotych. Ktoś wyraził się, że w tej dziedzinie w Polsce panuje tzw. „wolna amerykanka”, nie prowadzone są żadne statystyki, nie wiadomo, ile dokładnie jest zamrożonych embrionów ludzkich, nie reaguje się na sygnały o niepożądanych efektach ubocznych praktyki zapłodnienia *in vitro*. Tymczasem w sposób znaczący rośnie ilość wad wrodzonych u dzieci poczętych tą metodą oraz znacznie wzrasta ryzyko chorób nowotworowych, np. raka piersi u kobiet poddawanych zabiegom zapłodnienia pozaustrojowego.

Trzeba jednak od razu dodać, że uchwalenie ustawy bioetycznej – nawet gdyby była bardzo restrykcyjna, pozwalająca tylko małżonkom na „poczęcie” jednego embrionu – to i tak byłaby ona wbrew nauczaniu Kościoła. Wydana bowiem już w 1987 r. instrukcja Kongregacji Nauki Wiary „*Donum vitae*” (Dar życia) stwierdza, że jedynym sposobem przekazywania życia, godnym człowieka, jest małżeński akt miłości, jednoczący małżonków oraz płodny. Doktrynę tę potwierdził wydany w grudniu 2008 r. dokument tejże Kongregacji „*Dignitas personae*” (Godność osoby), w którym podkreśla się, że „wszelkie techniki sztucznego zapłodnienia, zastępujące akt małżeński, są moralnie niedopuszczalne”. W tym duchu wypowiadają się biskupi polscy, uważając, że niszczenie życia bezbronnego dokonuje się nie tylko w wyniku aborcji, ale także metody *in vitro*. Zdaniem biskupa I. Deca, istnieje wielka potrzeba regulacji prawnej w sprawie *in vitro*, a w zasadzie uchwalenia zakazu zapłodnienia pozaustrojowego.

Specjalne oświadczenie w tej sprawie wydał 22 grudnia 2008 r. Zespół Ekspertów Konferencji Episkopatu Polski ds. Bioetycznych, stwierdzając, że regulacja prawna jest tu sprawą bardziej niż naglącą. „Jej brak jest dziś poważnym wyzwaniem moralnym dla całego społeczeństwa, a przede wszystkim dla osób odpowiedzialnych za tworzenie prawa. Niszczy się w Polsce ludzkie zarodki, wiele pozostaje w uwłaczającym godności człowieka zamrożeniu, a w konsekwencji narażone są na unicestwienie; nierzadko stają się przedmiotem handlu. W praktyce stosowania metody *in vitro* dokonuje się też selektywnej aborcji. Jak najszybciej trzeba temu położyć kres i nie pozostawiać delikatnego obszaru niekontrolowanym działaniom, jak to jest obecnie. Z uwagi na ochronę godności i życia każdego człowieka metoda zapłodnienia *in vitro* powinna być prawnie całkowicie zakazana”.

Właściwie po wydaniu wyżej wspomnianej instrukcji, a także po wypowiedziach biskupów polskich, mówienie o jakimkolwiek kompromisie akceptowalnym przez katolików w sprawie dopuszczalności metody zapłodnienia *in vitro*, staje się niedorzeczne. Mimo to, jako stanowiący prawo musimy mieć świadomość nie tylko odpowiedzialności moralnej, ale i kierować się poczuciem realizmu politycznego, czyli brać pod uwagę skuteczność swoich działań.

Wielu powołuje się na nauczanie Jana Pawła II, który w encyklice „*Evangelium vitae*”, nauczając o złu aborcji, stwierdził, że „jeśli nie byłoby możliwe odrzucenie lub całkowite zniesienie ustawy o przerywaniu ciąży, parlamentarzysta, którego osobisty absolutny sprzeciw wobec przerywania ciąży byłby jasny i znany wszystkim, postąpiłby słusznie, udzielając swego poparcia propozycjom, których celem jest ograniczenie szkodliwości takiej ustawy i zmierzających w ten sposób do zmniejszenia jej negatywnych skutków na płaszczyźnie kultury i moralności publicznej. Tak postępując bowiem, nie współdziała się w sposób niedozwolony w uchwalaniu niesprawiedliwego prawa, ale raczej podejmuje się słuszną i godziwą próbę ograniczenia jego szkodliwych aspektów” (EV 73).

Jednak przy ustawie o *in vitro* nie chodzi o zmianę już istniejącej – jak to było w przypadku „Ustawy o ochronie życia poczętego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży” z 1993 r. – ale o uregulowanie dosłownie „prawnej pustyni”, czyli o maksymalne ograniczenie szkodliwych zjawisk występujących na polu sztucznej prokreacji.

Wiele krajów wypracowało już rozwiązania prawne w tym zakresie. M.in. włoska ustawa z 2004 r. zakazuje wykorzystania techniki *in vitro*, w której dawcami komórek rozrodczych są osoby nie będące małżonkami. Ponadto włoska ustawa zabrania zamrażania embrionów, a ponadto pozwala na kreowanie tylko takiej liczby embrionów, jaką można zaimplantować – nie większą niż trzy.

W Polsce, jak wspomniałem, nie ma do dzisiaj żadnej ustawy, która regulowałaby ten społeczny problem. Co więcej, nasz kraj nie ratyfikował Europejskiej Konwencji Bioetycznej z Oviedo z 1997 r., która zobowiązuje do stworzenia takiego prawa. Owszem, obecny rząd powołał komisję ds. bioetyki, co daje nadzieję na uchwalenie potrzebnych uregulowań prawnych.

Jak dotąd, w Sejmie pojawiły się projekty pięciu ustaw, które mają uregulować problem zapłodnienia *in vitro*. Jako pierwszy został złożony w czerwcu 2009 r. obywatelski projekt ustawy stowarzyszenia „*Contra in vitro*”, za-

kazujący i karzący za stosowanie tego zabiegu. Drugim był projekt ustawy posłów Prawa i Sprawiedliwości z 18 lipca 2009 r., „O ochronie genomu ludzkiego i embrionu ludzkiego”. Trzecim – projekt lewicy parlamentarnej dotyczący nowelizacji ustawy transplantacyjnej, złożony w Sejmie 29 lipca 2009 r., zezwalający na tworzenie i mrożenie nadliczbowych zarodków, a także *in vitro* „dla każdej jednostki”. Czwartym – projekt ustawy biomedycznej przygotowany pod kierunkiem posła J. Gowina z PO. Piątym – projekt konkurencyjny posłanki Małgorzaty Kidawy-Błońskiej z PO, który zezwala na tworzenie i mrożenie zarodków nadliczbowych.

b. Projekt ustawy biomedycznej posła J. Gowina

Punktem wyjścia w projekcie ustawy biomedycznej opracowanej pod kierunkiem posła PO Jarosława Gowina o *in vitro* jest stwierdzenie, że „zakazane jest niszczenie embrionu ludzkiego”. W konsekwencji *in vitro* ma być tylko dla małżeństw, które wykażą, że są bezpłodne, i pod warunkiem, że nie są one obciążone chorobami lub upośledzeniem genetycznym. Ustawa nie przewiduje tej metody dla par nieformalnych. Projekt wyznacza górną granicę wieku kobiet zapładnianych metodą *in vitro* na 40 lat. Jednak prezes urzędu ds. biomedycyny może w indywidualnych przypadkach wydać zgodę na podwyższenie tej granicy do 45. roku życia. Ustawa zezwala na tworzenie jednego embrionu ludzkiego. Dopuszcza jednak tworzenie dwóch, ale pod warunkiem że obydwa zostaną wszczepione do organizmu kobiety.

Autorzy projektu wprowadzają zakaz sprzedawania, a nawet darmowego przekazywania ludzkich zarodków. Nie będzie wolno także obracać ludzkimi gametami (jajeczkami i plemnikami). Oznacza to, że obcy mężczyzna nie może być dawcą nasienia dla małżeństwa starającego się o dziecko metodą *in vitro*. Niewykorzystane gamety mogą być za zgodą dawców poddane zamrożeniu i wykorzystane następnym razem. Nie wolno mrozić zarodków.

W wyjątkowych sytuacjach można będzie zamrozić embrion. Może się bowiem zdarzyć, że po jego wytworzeniu znajdą przeciwwskazania medyczne dla wszczepienia do organizmu kobiety albo wycofa ona zgodę na implantację. Wówczas zarodek zostanie zamrożony, a fakt ten zostanie zgłoszony do centralnego rejestru biomedycznego.

To właśnie do tej instytucji będą zgłaszać się małżonkowie, którzy nie mogą mieć własnych embrionów i pragną zaadoptować cudzy. Przedtem

muszą jednak uzyskać zgodę sądu, który sprawdzi, czy mają odpowiednie kwalifikacje i czy brak jest przeciwwskazań medycznych. Wyjątkowo sąd może wyrazić zgodę na adopcję embrionu ludzkiego kobiecie nie będącej w związku małżeńskim.

Osoba urodzona dzięki procedurze wspomaganego rodzicielstwa poprzez adopcję ma prawo zapoznać się z danymi dotyczącymi jej rodziców genetycznych oraz jej samej po dojściu do pełnoletniości. Dane te będą w centralnym rejestrze biomedycznym.

Niedopuszczalne będzie tworzenie człowieka poprzez klonowanie, wykorzystywanie embrionu w celach badawczych czy terapeutycznych, a także tworzenie ludzko-zwierzęcych chimer i hybryd. Będą jednak dopuszczalne badania genetyczne embrionu, ale wyłącznie w celach terapeutycznych.

Ustawa ma skończyć czas działania klinik *in vitro* bez żadnej kontroli, jak to się dzieje obecnie. Gdy jej przepisy wejdą w życie, lecznica oferująca sztuczne zapłodnienie będzie musiała uzyskać zezwolenie na działalność od prezesa urzędu ds. biomedycyny. A do tego trzeba będzie spełnić kilka warunków technicznych i finansowych. Także lekarz stosujący *in vitro* będzie musiał mieć odpowiednie uprawnienia, które określi minister zdrowia. Ustawa nie określa zasad finansowania *in vitro*, stwierdza jedynie, że taka możliwość jest dopuszczalna, ale określi to odrębna ustawa.

W ustawie znajduje się też przepis, iż „nikt nie może żądać tytułem odszkodowania zwrotu kosztów poniesionych w następstwie urodzenia się”. Chodzi o sytuację, kiedy dziecko powstałe w wyniku procedury *in vitro* nie spełniałoby oczekiwań rodziców, np. było niskie, podczas gdy oni marzyli o wysokim. Przepis będzie jednak rodził o wiele dalej idące konsekwencje. Mówi on bowiem wyraźnie, że samo urodzenie się dziecka nie jest szkodą. Oznacza to, że kobieta, której odmówiono aborcji, nie będzie mogła domagać się odszkodowania w związku z odmową wykonania zabiegu. Sam fakt urodzenia dziecka nie może być bowiem uznany za szkodę, nawet jeśli kobieta chciała dokonać aborcji i miała do niej prawo. Odszkodowania można się jednak domagać za uszczerbek na zdrowiu dziecka lub matki, jeśli powstał on w wyniku zaniedbania lekarza.

Autorzy ustawy zadbali, aby jej regulacje nie były martwą literą, dlatego wprowadzili odpowiedzialność karną za ich nieprzestrzeganie. Najwyższe kary, do pięciu lat więzienia, będą grozić za klonowanie, tworzenie chimer i hybryd oraz za niszczenie ludzkich zarodków. Do trzech lat pozbawienia

wolności grozi za handel ludzkimi gametami, a także za ich nieprawidłowe przechowywanie. Jeśli ktoś będzie prowadził klinikę *in vitro* bez zezwolenia, musi się liczyć z karą do 2 lat pozbawienia wolności.

Ponieważ ten projekt ustawy biomedycznej – jako zbyt restrykcyjny – wzbudził liczne kontrowersje, w konsekwencji Platforma Obywatelska skieruje do Sejmu drugi projekt autorstwa posłanki Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, który zezwala na tworzenie i mrożenie zarodków nadliczbowych. Projektodawcy chcą natomiast zakazać handlu zarodkami czy eksperymentowania na nich oraz licencjonować kliniki przeprowadzające *in vitro*. W klubie parlamentarnym PO ma obowiązywać zasada wolności sumienia.

c. *In vitro* „z lewej” strony

Tworzenie i mrożenie nadliczbowych zarodków, a także *in vitro* „dla każdej jednostki” gwarantuje poselski projekt nowelizacji ustawy transplantacyjnej złożony 29 lipca 2009 r. w Sejmie. Patronuje mu m.in. Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny. Rzekomo został napisany przez ekspertów najwyższego szczebla i reprezentuje ogromne rzesze obywateli. Jak podkreślił poseł Marek Balicki, członek zespołu autorów projektu, „nie różnicuje on obywateli ze względu na stan cywilny”, a więc do *in vitro* miałyby dostęp każda kobieta, czy to mężatka, czy samotna. Z zapłodnienia pozaustrojowego metodą *in vitro* swobodnie korzystałyby także układy homoseksualne. „Stan cywilny nie ma związku z chorobą. Każdy może mieć dzieci. Państwo nie jest w stanie upilnować, aby nie rodziły się dzieci poza związkami małżeńskimi, nie ma podstaw konstytucyjnych, żeby tego pilnować. I nikt nie ma prawa badać niczych preferencji seksualnych” – potwierdził poseł M. Balicki (zob. „Nasz Dziennik”, 30 VII 2009).

Pod projektem podpisało się kilkudziesięciu posłów, w tym jeden z PO (K. Kutz), większość z klubu Lewicy, czterech z koła poselskiego SDPL-Nowa Lewica, trzech z Koła Poselskiego Stronnictwa Demokratycznego.

Należy dodać, że agitatorzy legalizacji i finansowania z budżetu państwa zapłodnienia pozaustrojowego jak ognia unikają w debacie publicznej informacji o wyniszczających skutkach procedury *in vitro* dla kobiecego organizmu. Tymczasem fora internetowe wypełnione są wypowiedziami kobiet, które poddały się zapłodnieniu pozaustrojowemu. Ich relacje wskazują na ciężkie przeżycia, fizyczne i psychiczne, jakich doświadczyły w czasie całej procedury.

d. Ochrona genomu ludzkiego i embrionu ludzkiego

18 czerwca 2009 r. posłowie Klubu Parlamentarnego „Prawo i Sprawiedliwość” złożyli w Sejmie projekt ustawy „O ochronie genomu ludzkiego i embrionu ludzkiego”. Uczynili to z przekonaniem, że ochrona życia ludzkiego od poczęcia do naturalnej śmierci jest obowiązkiem każdego prawego człowieka, natomiast powinnością parlamentarzystów powinna być troska o prawną regulację tych zagadnień, w szczególności zapłodnienia *in vitro*.

Zaproponowane rozwiązanie ustawowe zakazujące *in vitro* jest zgodne z nauczaniem Kościoła katolickiego, w tym z takimi dokumentami, jak instrukcja „Donum vitae”, encyklika „Evangelium vitae” oraz z wydaną 12 grudnia 2008 r. instrukcją Kongregacji Nauki Wiary „Dignitas personae”, a także ze stanowiskiem Zespołu Ekspertów Komisji Episkopatu Polski ds. Bioetycznych z 22 grudnia 2008 r.

Autorzy projektu ustawy opracowanej pod kierunkiem posła Bolesława Piechy z PiS wychodzą z założenia, że ludzki embrion ma wszystkie cechy przysługujące godności człowieka, stąd wyprowadza się jednoznacznie moment, od którego ta ochrona obowiązuje. Odpowiedni zapis odwołuje się do art. 30 Konstytucji RP o niezbywalnej i nienaruszalnej godności człowieka. Preambuła ustawy zawiera również odwołanie do chrześcijańskich korzeni naszego narodu oraz ogólnoludzkich wartości humanistycznych. Oznacza to, że projektodawcy uznali za warunek kardynalny ochronę i nienaruszalność istoty ludzkiej, w tym – co jest oczywiste – godności i integralności embrionu ludzkiego. Tworzenie embrionu ludzkiego poza organizmem kobiety jest więc niezgodne z tymi wartościami, tym bardziej że w procedurę *in vitro* wpisane jest tworzenie wielu embrionów ludzkich, z których znaczna część ulega zniszczeniu. Uznano, że nie wolno uzależniać procedury medycznej kosztem innego życia ludzkiego, w myśl łacińskiej maksymy „in dubio pro vita humana”. W preambule ustawy wprowadza się na gruncie polskiego prawa normę, iż życie podlega ochronie od momentu poczęcia – od genomu i embrionu. Podkreśla się, że dziecko jest darem, a obowiązkiem rodziców jest jego przyjęcie, opieka oraz wychowanie, a nie zawłaszczanie jego godności.

W obszernej propozycji regulacji prawnej dotyczącej szeregu problemów bioetycznych podstawowe znaczenie mają następujące artykuły: art. 15 – zakazujący tworzenia embrionów ludzkich poza organizmem kobie-

ty; art. 14 – zakazujący niszczenia embrionów ludzkich oraz praktyk medycznych ingerujących w genom ludzki, tworzenia chimer i hybryd oraz klonowania człowieka. W przepisach karnych i przejściowych projektodawcy skorelowali wysokość sankcji za naruszenie przepisów ustawy z sankcjami zawartymi w kodeksie karnym i ustawie o ochronie płodu ludzkiego. Założono szeroki katalog możliwych do zastosowania przez sąd sankcji (grzywna, pozbawienie prawa wykonywania zawodu, ograniczenie wolności oraz pozbawienie wolności). Proponuje się by kobieta, która nawet wbrew zapisom ustawy uczestniczyła w procedurze *in vitro*, nie była karana.

Skoro przepis tej ustawy przesądza, że życie ludzkie rozpoczyna się od momentu genomu, od stadium embrionu, to nie można było pominąć problemu ok. 40 tysięcy istniejących już ludzkich embrionów, zamrożonych w ciekłym azocie. Dlatego też rozdział III ustawy reguluje status i możliwość urodzenia dzieci z istniejących zamrożonych embrionów ludzkich, przy jednoczesnym wprowadzeniu zakazu tworzenia nowych embrionów ludzkich poza organizmem kobiety. Jest to obowiązująca w niektórych prawodawstwach tzw. procedura ratunkowa. Czyli innymi słowy proponuje się wprowadzenie okresu przejściowego, w którym można byłoby stosować metodę *in vitro* do czasu „wyczerpania” wszystkich zarodków. Ważne jest to, że w tym czasie nie byłoby możliwości tworzenia nowych embrionów.

Pierwszeństwo przyjęcia (transferu) embrionu ludzkiego z fazy zamrożenia do organizmu ludzkiego ma w każdym przypadku matka biologiczna. O ile zrezygnuje (zrzeknie się) takiej możliwości, o przyszłości zamrożonego embrionu ludzkiego zadecyduje sąd rodzinny i opiekuńczy, kierując się takimi samymi zasadami jak w przypadku adopcji dziecka. Możliwość korzystania z zamrożonych embrionów musi mieć charakter przepisów ograniczonych czasowo.

Ustawa zakazuje również jakiegokolwiek obrotu gametami i embrionami ludzkimi wbrew przepisom ustawy, zwłaszcza jeśli z tego tytułu czerpane będą korzyści materialne. W ustawie zawarto również szczegółowe przepisy dotyczące badań naukowych i eksperymentów medycznych na genomie oraz embrionie ludzkim.

Ustawa podobnie jak w przypadku projektu posła J. Gowina, ustanawia instytucję Polskiej Rady Bioetycznej, której głównym zadaniem będzie dostarczanie opinii oraz doradzanie organom władzy publicznej w sprawach związanych z rozwojem biomedycyny i biotechnologii. Ważnym za-

daniem Rady, w kontekście społecznym, jest również zapisane w art. 23 pkt 4 – upowszechnianie wiedzy na temat biomedycyny i biotechnologii.

Ustawa powołuje również centralny organ administracji publicznej: Prezesa Urzędu ds. Biomedycyny. Zadania Prezesa są wymienione w art. 34 projektu ustawy. Ważniejsze z nich to m. in.: wydawanie i cofanie zezwoleń na wykonywanie procedur implantacji embrionów ludzkich oraz prowadzenie Centralnego Rejestru Biomedycznego.

e. Adopcja prenatalna

Projekt ustawy opracowanej pod kierunkiem posła B. Piechy zawiera propozycję rozwiązania niezwykle trudnego problemu, jakim jest los „embrionów nadliczbowych”, które pozostały w stanie zamrożenia, a genetyczni rodzice nie wykazują woli podjęcia kolejnych prób implantacji. W tym celu proponuje się swoistą „adopcję” tych embrionów przez inne pary małżeńskie. Ma to ocalić istniejące już życie – dzisiaj skazane na trwanie w stanie embrionalnym bez jasnych perspektyw co do przyszłości.

Trzeba wspomnieć, że temat ten pojawił się w instrukcji „Dignitas personae”, ale nie znalazł jednoznacznego rozwiązania. Czytamy w instrukcji jedynie, że „została też wysunięta propozycja wprowadzenia formy «adopcji prenatalnej», tylko w tym celu, by stworzyć możliwość narodzenia się istotom ludzkim, które w przeciwnym wypadku skazane są na zniszczenie. Jednakże ta propozycja, godna pochwały co do intencji uszanowania i obrony życia ludzkiego, niesie ze sobą wiele problemów nie różniących się od wyżej przedstawionych” (DP 19). Tymi problemami są m.in.: rozerwanie jedności małżeńskiej i prokreacji, a także trudności natury psychologicznej czy prawnej.

Na temat oceny moralnej adopcji prenatalnej toczy się od połowy lat 90. dyskusja w środowiskach, dla których aborcja, antykoncepcja i *in vitro* są w sposób oczywisty praktykami nieludzkimi. Jeśli jednak sprawa oceny *in vitro* jest wyjątkowo jasna, to ocena adopcji prenatalnej jest trudniejsza. Ci, którzy usprawiedliwiają to działanie, są świadomi, że na drodze *in vitro* zaistniało tysiące ludzkich embrionów, które w stanie zamrożenia przetrzymuje się w laboratoriach. Czyż nie należy ratować ich życia na drodze przeniesienia ich w łona decydujących się na to kobiet?

Pojawia się jednak zarzut, że przyjmując we własne łono cudze dziecko, gwałci się osobowy sens kobiecego macierzyństwa i osobowy sens męskiego ojcostwa oraz osobowy sens ich związku. Jeśli antykoncepcja rozdziela

miłość od płodności, a *in vitro* rozdziela prokreację od miłości, to adopcja prenatalna rozdziela okres ciąży od momentu poczęcia. Ponadto podkreśla się, że adopcja prenatalna narusza godność dziecka. Krótko mówiąc, nie ma moralnie godziwego rozwiązania, które zapewniłoby ludzką przyszłość wielu tysiącom „zamrożonych” embrionów, choć przecież mają one i zawsze zachowują swoje podstawowe prawa i tym samym winny być chronione przez prawo jako ludzkie osoby (DP 19). Wobec powyższego, przechowywanie w stanie kriokonserwacji powołanych do istnienia dzieci jest smutną konsekwencją podjętych wcześniej decyzji. Natomiast przyjęty w projekcie kompromis wynika z przekonania, że w zaistniałej sytuacji coś trzeba zrobić, a jeżeli trzeba, to jakieś rozwiązanie istnieć musi.

f. Krytycznie o ustawie posłów PiS

Projekt ustawy autorstwa posłów Prawa i Sprawiedliwości, za który odpowiada b. wiceminister zdrowia poseł Bolesław Piecha, nasuwa pewne wątpliwości co do intencji autorów. W art. 15 jest zapis wykluczający stosowanie metody *in vitro*. I taka wydaje się być wola ustawodawcy. Jeśli tak, to po co w dziesięciu następnych artykułach (18 do 28), zajmować się szczegółowo procedurą przeprowadzania zakazanej metody. Mamy tam m.in. zapisy opisujące procedury – o zamrażaniu embrionów, wykorzystaniu matki zastępczej, także kobiety niezamężnej, o certyfikowaniu placówek prowadzących takie zabiegi, o sposobach pobierania komórek rozrodczych, o implantacji i mrożeniu nadprogramowych embrionów!

Skoro chodzi w ustawie o dokończenie zaczętych procedur *in vitro* – urodzenie zamrożonych dzieci – to nie są do tego potrzebne dodatkowe urzędy i certyfikaty dla tych, którzy to robili do tej pory – wystarczyłoby w skrócie opisać, jak doprowadzić do urodzenia tych dzieci i tyle. A tak naprawdę, chcąc faktycznie zakazać metody *in vitro*, należałoby zrezygnować z tych wszystkich transferów zamrożonych embrionów, pozwolić im godnie umrzeć i w ten sposób zakończyć sprawę. Tymczasem to, co proponuje się w tzw. adopcji prenatalnej, ma charakter „uporczywej terapii”, o której Kościół wypowiada się jako o czymś niekoniecznym.

Nie jest również zrozumiałą zapis, że ustawa o zakazie *in vitro* „dostosowuje polskie prawo do wymagań prawa UE”. Jak może dostosowywać zakazując, skoro w UE zakazu *in vitro* nie ma! Krótko mówiąc, jeden zapis przeczy drugiemu. Stąd rodzi się pytanie: w jakim celu ustawodawca wchodzi tak głęboko w problem, skoro zakazuje stosowania tej metody? Czyżby

nie wierzone, albo inaczej mówiąc, zakładano z góry, że całkowity zakaz zostanie odrzucony, dlatego należy dołączyć do ustawy regulacje pozwalające na stosowanie metody *in vitro*!

Ten w pełni uregulowany opis stosowania metody *in vitro* w ustawie, która tego zakazuje, jest dla mnie nie do zrozumienia i z całą pewnością koliduje z ostatnim dokumentem Konferencji Episkopatu Polski na temat rodziny: „Służyć prawdzie o małżeństwie i rodzinie”. Czytamy w nim m.in., że „...katolicy nie mogą wychodzić z inicjatywą takiego prawa, które zdradzałoby objawioną prawdę o świętości życia ludzkiego oraz lekceważyło chrześcijańską wizję osoby. Takim jest bez wątpienia np. prawodawstwo dopuszczające zapłodnienie *in vitro*, aborcję czy eutanazję. Katolicy zaangażowani w politykę muszą dać świadectwo chrześcijańskiej wiary. Bezprawne i nieuczciwe intelektualnie jest powoływanie się w tym przypadku na sytuację omówioną w *Evangelium vitae* (73). Encyklika mówi o tym, aby osiągnąć tyle dobra, ile się da. Gdyby natomiast katolicy posłowie z własnej inicjatywy proponowali prawo sprzeczne z moralnością katolicką, zakładając z góry, że rozwiązania zgodne z tą moralnością nie zyskają wymaganego poparcia, wówczas dokonaliby autocenzury i poddali się bez walki. Sami oceniając, że obowiązujące zasady moralne są niemożliwe do zrealizowania, postępowaliby tak, jakby tych zasad nie było. Nawet nie próbowaliby przygotować sprawiedliwego prawa, lecz zaproponowaliby prawo niedopuszczalne moralnie, a jeszcze przekonywaliby opinię publiczną do przychylności jemu, tłumacząc, że inne jest niemożliwe. W ten sposób katolicy politycy a nie Urząd Nauczycielski Kościoła decydowaliby, które zasady moralne obowiązują, a które należy pominąć. Taka sytuacja jest oczywiście niedopuszczalna w Kościele, gdyż obowiązkiem Urzędu Nauczycielskiego jest rozeznawać prawo moralne, a obowiązkiem polityków jest je realizować”.

g. Embrionalna godność osoby

Projekt ustawy bioetycznej posłów PiS wywoła z pewnością gorącą dyskusję, zarówno wśród posłów, jak i w całym społeczeństwie. Będzie ona okazją do jasnego pokazania, kto broni życia, a dla kogo ludzkie, bezbronne życie jest tylko kartą przetargową i towarem, przedmiotem handlu politycznego lub komercyjnego. Kiedyś publiczna dyskusja o aborcji doprowadziła do większej społecznej świadomości, czym w swej istocie jest zabieg usunięcia ciąży. Można się spodziewać, że dyskusja o sztucznym zapłodnie-

niu także zwiększy naszą wiedzę oraz wrażliwość na zagadnienie początków życia. Człowiek dobrze poinformowany jest w stanie dokonywać lepszych wyborów.

Z całą pewnością podniosą się głosy, że projekt odbiera bezpłodnym małżonkom nadzieję na rodzicielstwo, że jest nieludzki. Być może okaże się, że obrońców życia nie ma w Polsce zbyt wielu. Będzie to jednocześnie weryfikacja faktycznej przynależności do Kościoła katolickiego.

Zapewne pojawi się także atak na Kościół za to, że sprzeciwia się rozwojowi nauki. W istocie nie chodzi o zahamowanie rozwoju nauki, ale o jej złe wykorzystanie. Jeżeli badania zaczynają zagrażać człowiekowi – mówi Kościół – przestają służyć dobru ludzkości. A tak jest w przypadku zamrażania embrionów, klonowania czy tworzenia hybryd zwierzęco-ludzkich, diagnostyki preimplentacyjnej, terapii genowej komórek embrionalnych i wszelkich metod, które niszczą embrion we wczesnym stadium. Jednym słowem, Kościół bierze w obronę ludzki embrion, orzekając o jego godności, a zarazem o niegodziwości pewnych metod medycznych, zwłaszcza tych, które selekcionują embriony, czyli decydują o tym, który z nich, i ze względu na jakie cechy, zostanie dopuszczony do dalszego rozwoju i życia. Dlatego sprzeciw Kościoła wobec sztucznego zapłodnienia nie jest sprzeciwem wobec szczęścia niepłodnych małżonków, ale jest to przestroga przed sytuacją, w której człowiek zaczął zagrażać samemu sobie.

Czy posłowie i senatorowie uznają, że tylko ustawa zakazująca *in vitro* jest w stanie powstrzymać dalsze eksperymentowanie na ludzkim życiu? Czy zostanie uchwalona kompromisowa ustawa dopuszczająca *in vitro* pod kontrolą, która dla niektórych jest lepsza niż stan obecnego bezprawia? Czy będziemy musieli głosować wbrew sumieniu? Cóż, zasad moralnych nie ustanawia się ani pod presją sondaży opinii społecznej, ani w referendum, ani w głosowaniu większości parlamentarnej. Żadna ludzka władza opierając się osiągnięciach techniki medycznej, nie może przywłaszczyć sobie praw, które należą wyłącznie do Boga. A takim prawem jest ludzkie życie.

Chrześcijaninem się jest, a nie bywa – oznacza to, że chrześcijanin podejmując się zadań politycznych, nie musi od razu zawierać takiego czy innego kompromisu politycznego, bynajmniej też nie może godzić się na jakikolwiek kompromis moralny. Nie wolno przecież zawiesić na kołku swojego chrześcijaństwa. Dlatego w dyskusji wokół pozaustrojowego za-

plodnienia *in vitro* należy zwrócić uwagę nie tylko na prawo człowieka do życia, ale i do godności. A tu trudno o jakikolwiek kompromis. (Zob. Czesław Ryszka, „Usłyszeć krzyk dziecka. Etyczne aspekty medycyny”, zbior. pod red. ks. dr. M. Szumowskiego, Warszawa 2009, s. 129–142, Ofic. Wyd. ADAM).

Przypominam o polityce rodzinnej

Najpierw premier Donald Tusk chciał kastrować pedofilów, potem miał zakazać przemocy w rodzinie, łącznie z dawaniem klapsów dzieciom, następnie zapoczątkował inicjatywę ustawodawczą o zapłodnieniu *in vitro*, teraz apeluje o debatę społeczną w sprawie eutanazji. Jak powiedział podczas konferencji prasowej w Sejmie: „Zachęcam wszystkich zainteresowanych tematem, aby rozmawiali ze sobą o optymalnym kształcie zarówno ustawy dotyczącej *in vitro*, jak i o tym, co będzie budziło coraz większe emocje – o testamencie życia czy o wersjach bardziej radykalnych, w których pojawiają się postulaty eutanazyjne”. Sporo tych pomysłów, ale jak we wszystkich innych wypowiedziach premiera chodzi w nich o rzucanie hasel do ideologicznej debaty, o igranie na społecznych emocjach, zapewne chodzi też o doprowadzenie do podziałów w społeczeństwie. Przede wszystkim jednak premierowi i PO chodzi o odwrócenie uwagi od rosnących problemów związanych z kryzysem gospodarczym i finansowym. Czy to oznacza, że w tej kadencji trzeba będzie zapomnieć o polityce rodzinnej?

Polska od 5 lat jest w Unii Europejskiej, więc nie bez przyczyny sięgam do drugiego raportu hiszpańskiego Instytutu Polityki Rodzinnej (Evoluzione della Famiglia in Europa, 2008), przedstawionego unijnym władzom w Brukseli. Z raportu wylania się porażający obraz rodziny: państwa Unii wymierają, przyrost naturalny jest ujemny, ludność Europy wzrasta tylko dzięki imigrantom. Gwałtownie zmienia się proporcja między procentem młodzieży i ludności po 65. roku życia. Włochy, Niemcy i Grecja stają się krajami ludzi starych. I jeszcze przytoczona w raporcie tragiczna liczba: z powodu aborcji ginie każdego roku w Europie jedno na pięcioro poczętych dzieci. W 2006 r. np. na ok. 6,4 mln możliwych urodzeń 1,2 mln dzieci zamordowano przez aborcję. Wspomniany raport zwraca uwagę, że w UE spada gwałtownie liczba zawieranych małżeństw oraz konsekwentnie wzrasta procentowo liczba dzieci urodzonych poza małżeństwem

(33,9%). W Belgii, Luksemburgu i Hiszpanii co drugie małżeństwo rozpada się. Wniosek: państwa europejskie niemal zupełnie nie interesują się trwałością rodziny ani pomocą dla niej, cały czas promuje się natomiast różne programy antyrodzinne, a nawet uchwała ustawy antyrodzinne, jak ta zrównująca wobec prawa pary homoseksualne z naturalną rodziną.

Ten zamierzony atak na rodzinę ze strony różnych środowisk w UE, a także brak opieki ze strony państwa nad rodziną jest także przyczyną kryzysu gospodarczego. Dość wspomnieć, że małżeństwa wypracowują o 42% większe dochody niż osoby lub pary żyjące osobno. Mężczyźni żonaci zarabiają o 27% więcej niż samotni. Aż 2/3 dzieci z rodzin rozbitych żyje w ubóstwie. Jednym słowem – jeśli Europa nie przestanie walczyć z rodziną, nie przyjdzie rodzinie z pomocą, jeśli rodziny nie zwiększą swej dzietności, to w ślad za kryzysem demograficznym Stary Kontynent doświadczy jeszcze większego kryzysu gospodarczego i kulturowego.

Polska widziana jest na tym tle jako jeden z ostatnich przyczółków normalnej rodziny. Od 1993 r. mamy dość dobre prawo chroniące życie od poczęcia do naturalnej śmierci. Nie ma przyzwolenia na ustawy o eutanazji czy o związkach homoseksualnych. Ale, niestety, co trzecia rodzina rozpada się, a ponadto już 2 mln rodzin w Polsce jest bezdzietnych. Takich zaś, które wychowują więcej niż troje dzieci, jest tylko 800 tys. Średnio na jedno małżeństwo przypada u nas 1,2 dziecka. Zeszliśmy poniżej granicznego wskaźnika – 2,1 dziecka przypadającego na jedną rodzinę – który warunkuje zastępowalność pokoleń. Podobnie jak inne kraje europejskie stajemy się społeczeństwem wymierającym.

Niestety, polska rodzina nie może liczyć na pomoc państwa. Kobieta zajmująca się wychowaniem dzieci i prowadząca dom ma status osoby niepracującej, a niekorzystny system podatkowy sprawia, że rodziny muszą zwracać państwu większość wypracowanego dochodu. Zaczyna i u nas zwyciężać model rodziny liberalnej i konsumpcyjnej. Świadczy o tym m.in. uchwalona ustawa o reformie oświaty – co prawda zawetowana przez prezydenta, a w niej zawarty obowiązek szkolny dla sześciolatków i przedszkolny dla pięciolatków. Powstaje pytanie: Czy aby państwu nie przeszkadza silna naturalna rodzina, silny związek uczuciowy rodziców i dzieci?

Obecny polski rząd nie wie, co to jest polityka rodzinna. Realizuje co najwyżej politykę socjalną wobec rodziny. Tymczasem rodzina nie potrzebuje zapomóg ani opiekuńczości. To jest zadanie pomocy społecznej w celu złagodzenia jakichś dramatów, np. bezrobocia, choroby, nędzy. A rodzi-

na nie jest żadnym złem. W związku z powyższym polityka rodzinna ma polegać na promocji rodziny, przyczyniać się do bogactwa narodu, jakim są dzieci. Dlatego wystosowałem do premiera Tuska apel: o pilne i stopniowe zwiększenie nakładów z budżetu państwa na rodzinę, tak, by osiągnęły średni poziom krajów Unii Europejskiej; o umożliwienie rodzicom połączenia ról rodzinnych i zawodowych; o wsparcie materialne rodzin wielodzietnych, w których wychowuje się jedna trzecia polskich dzieci, a których sytuacja jest najtrudniejsza; o rozwój systemu świadczeń rodzinnych; o pomoc rodzinom wychowującym dzieci niepełnosprawne; o przeciwdziałanie kryzysom i rozpadowi rodzin; o wzmocnienie ochrony dziecka i rodziny przed przemocą w środowisku pracy, w szkole i w mediach; o rozwijanie rodzinnych form opieki nad dziećmi pozbawionymi opieki rodziców biologicznych, przy jednoczesnym ograniczaniu instytucjonalnych form opieki. I co najważniejsze – przy formułowaniu nowych rozwiązań prawnych należy zawsze wprowadzić obowiązek przedstawienia skutków tych regulacji dla funkcjonowania rodzin.

To tylko kilka kierunkowych działań polityki rodzinnej państwa. Skoro człowiek rodzi się w rodzinie, konsumuje i oszczędza w rodzinie, zakłada rodzinę, to prawdziwym celem działalności państwa powinno być zapewnienie pokoju i pomyślności rodzinie. Dobra rodzina była i pozostanie fundamentem dobrego społeczeństwa i ekonomicznego sukcesu państwa.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 12/2009)

Część IV

OD POSZANOWANIA WARTOŚCI DO POLITYCZNEJ POPRAWNOŚCI

Obluda i zawiść

Cokolwiek polityk z PiS powiedziałby dobrego o Kościele, o hierarchii albo nie daj Boże stanął w obronie Radia Maryja, od razu odzywają się dyżurni dziennikarze katolicy, pisząc o próbie wmanewrowania Kościoła w bieżącą politykę. Na łamach „Rzeczpospolitej” z 20 września 2007 r. red. Tomasz Terlikowski w tekście „Groźne pomysły Gosiewskiego” krytykuje wicepremiera Przemysława Gosiewskiego, który rzekomo zabiegał o wsparcie biskupów w kampanii wyborczej dla PiS. Co takiego uczynił? W nieautoryzowanym wywiadzie wyraził przypuszczenie, że dla wielu osób duchownych PiS – jako partia chrześcijańsko-demokratyczna – może być bliższa ideowo niż postkomunistyczny LiD czy liberalna PO.

Terlikowski uznał te słowa wicepremiera za niebezpieczne dla Kościoła, dzielące biskupów na lepszych i gorszych, dlatego w końcówce swojego tekstu upomina polskich hierarchów, by nie dali się wmanewrować PiS, ponieważ „nie są od tego, żeby wspierali PiS, PO czy SLD. Ich zadanie jest zupełnie inne. Oni mają głosić słowo Boże, a nie polityczne programy”. Jednym słowem – według Terlikowskiego – biskupi nie są wolnymi obywatelami naszej Ojczyzny, ponieważ nie mogą wypowiadać się o swoich sympatiach politycznych (można się domyślać, że gdyby biskupi popierali tylko PO, która chce po wyborach rządzić z LiD-em, to byłiby apolityczni!).

To oczywiste, że duchowni są pełnoprawnymi obywatelami, zwłaszcza mają wolność słowa, sumienia i poglądów społeczno-politycznych. Już przez samą działalność kapłańską służą najwyższej polityce, czyli wspólnemu dobru społeczeństwa. Ograniczając i marginalizując na różne sposoby duchownych, a także głęboko wierzących świeckich, propaguje się i obda-

rowuje przywilejami liberałów oraz ateistów. W wielu przypadkach mówienie o ideałach demokracji, o pluralizmie jest niczym innym jak przyzwoleniem na promocję dewiacji i nihilizmu.

Podobnie rzecz się ma z Radiem Maryja, które jest stale upominane przez kilku dziennikarzy katolików oraz wyselekcjonowanych przedstawicieli duchowieństwa, aby nie angażowało się w kampanię wyborczą, aby broń Boże nie sprzyjało któremuś ugrupowaniu politycznemu. To oczywiście, że Radio Maryja nie jest radiem PiS, jak niektórzy dziennikarze chcieliby je złośliwie zaszufładować. Ale trzeba też pamiętać, że to Radio nie nadaje audycji dla Marsjan i dlatego nie może udawać, że w Polsce 21 października przypadnie tylko zwykła niedziela. Ponadto w tym Radiu – jak w każdym innym – jest otwarty mikrofon, są „rozmowy niedokończoności”, dlatego w każdej chwili ktoś ze słuchaczy może wtrącić swoje polityczne lub inne trzy grosze. Jeśli mielibyśmy zabraniać wyrażania przekonań politycznych – co byłoby absurdem – to zastosujmy tę zasadę we wszystkich środkach przekazu! Zwłaszcza tych nazywanych liberalnymi, gdzie wprost szaleje wybiórcza propaganda wyborcza, i nie tylko wyborcza.

Być może politycy PiS, ministrowie i parlamentarzyści, są częściej na antenie Radia Maryja aniżeli przedstawiciele innych opcji, ale wytłumaczenie jest proste: mają Polakom do przekazania dużo dobrych rzeczy, bo w Ojczyźnie w minionych dwóch latach zmieniło się wiele na lepsze. Stąd należałoby uznać za przejaw albo obłudy, albo jakiejś paranoi umysłowej niektórych zajadłych dziennikarzy, którzy każde słowo polityka PiS o wierze i moralności – czy to na antenie Radia Maryja, czy w innej sytuacji – nazywają natychmiast „rozgrywaniem politycznym Kościola”. A już upominanie biskupów, by nie wypowiadali się na tematy polityczne, jest uzurpowaniem sobie monopolu na prawdę.

Ostatnio dotknęła mnie też inna sprawa: zawiść tylu znanych Polaków, którzy wystąpili przeciw dofinansowaniu z unijnych środków rozbudowy toruńskiej Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej (WSKSiM) o. Tadeusza Rydzika. Chodzi o utworzenie w tej szkole Wydziału Informatyki i rozpoczęcie kształcenia inżynierów. Zakładane dofinansowanie z UE ma wynieść 15,3 miliona euro, przy całkowitej wartości projektu 18 milionów euro. Nie dziwię się Owsiakowi, bo on ma na pieńku z ojcem dyrektorem Rydzykiem za Woodstock, ale dlaczego komisarz ds. polityki regionalnej Danuta Huebner, polski urzędnik w UE, postanowiła

interweniować, aby Komisja Europejska zbadła tę dotację? Tłumacząc, że „wartości europejskie i prawo europejskie muszą być respektowane”, zasugerowała, że toruńska Wyższa Szkoła nie kształci po europejsku. W sukurs od razu pospieszyli niektórzy posłowie PO i SLD, zarzucając Ministerstwu Rozwoju Regionalnego stronnictwo oraz chęć przypodobania się o. Rydzykowi w kampanii wyborczej. Także obcy eurodeputowani wtrącili się do dyskusji, mówiąc wprost, że fundusze z UE „nie mogą być przyznane osobie, której Radio jest potępiane za nadawanie treści rasistowskich i ksenofobicznych”.

Polskie piekło, chciałoby się powiedzieć, ponieważ dofinansowanie projektu WSKSiM nie wymaga akceptacji Komisji Europejskiej, a warunkiem wstępnym jest zatwierdzenie przez Brukselę Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko rządu polskiego. Poza tym o unijne fundusze może występować każdy, kto spełnia warunki określone w przepisach. Widać jednak, że wcześniej w Europie, a powoli i u nas, rządzi poprawność polityczna, natomiast wolność i demokracja są tylko dla wybranych.

Dlaczego ludzie poddają się owej poprawności politycznej? Dlaczego zwalcza się polityków czy media, które w sposób wyraźny podpisują się pod wartościami chrześcijańskimi i umieszczają je w swoim programie? Odpowiedzi na te pytania staną się wkrótce bardziej dramatyczne, ponieważ nadchodzi czas, albo już nadszedł, że Polacy odkryją prawdziwe oblicze mediów, poznają źródła zawziętych ataków na polskość, na wolność, na prawowierność i na ewangeliczną moralność.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 39/2007)

Chcą opóźnić beatyfikację Jana Pawła II?

Kiedy podczas pogrzebu Jana Pawła II – 2 kwietnia 2005 r. rozległo się spontaniczne wołanie zgromadzonych na Placu św. Piotra wiernych: „Santo subito!” (święty natychmiast), doznałem dreszczu wzruszenia. Oto rozpoczynała się nowa epoka w Kościele, pomyślałem, a właściwie powrót do pierwszych wieków chrześcijaństwa, kiedy to lud rzymski przez aklamację wynosił po śmierci świętobliwe osoby na ołtarze. Teraz domagało się tego pokolenie Jana Pawła II, pielgrzymi z całego świata, dla których słowo „święty” znaczyło tyle samo, co święty Jan Paweł II. Dzisiaj, a piszę te słowa przed 16 października, czyli przed przeddzień 29. rocznicy wyboru Papie-

za Polaka na Stolicę Piotrową, wiele się mówi na świecie o jego pontyfikacie, niestety, nie zawsze dobrze. Chciałbym, abyśmy zdawali sobie z tego sprawę, że dziennikarze bardzo często przebiegają zwykłą miarę uczciwości, piszą artykuły i książki, które dosłownie żerują na fakcie, iż Stolica Apostolska wzbudza ogromne zainteresowanie czytelników. Stąd, zwłaszcza na Zachodzie, największym sukcesem cieszą się książki nie tyle poważne, co sensacyjne, bulwarowe, skandalizujące.

Ostatnio dla takiej właśnie sensacji wywołano temat ostatniej choroby i umierania Ojca Świętego. Mimo że niemal cały świat obserwował święte i bohaterskie odchodzenie Jana Pawła II do Domu Ojca, podziwiał opiekę lekarzy nad Papieżem, rozgorzała ostra dyskusja na temat błędów w leczeniu Ojca Świętego. Wywołała ją m.in. wypowiedź lekarza anestezjologa Liny Pavanelli, która uważa, że Jan Paweł II był pod koniec życia tak niedożywiony i osłabiony z powodu niemożności połykania, iż należało wiele tygodni wcześniej, niż to zrobiono, założyć mu sondę pokarmową. Bez niej – jak podkreśla – był całkowicie bezbronny wobec najzwyklejszej infekcji.

Opinia Liny Pavanelli nie jest do końca prawdziwa, ponieważ Jan Paweł II od 30 marca był odżywiany przez założoną na stałe sondę pokarmową, wcześniej zaś był odżywiany sondą nosowo-gastryczną, którą miał np. w czasie transmisji z Drogi Krzyżowej w Wielki Piątek 25 marca (właśnie z tego powodu Papieża siedzącego w swej prywatnej kaplicy filmowano tylko z tyłu i z boku). Należy również dodać, że w ostatnich dniach życia Ojciec Święty miał bez przerwy kroplówkę.

Druga sprawa związana z odchodzeniem Ojca Świętego z tego świata dotyczy dziennikarskich spekulacji, a właściwie nadużycia w interpretacji papieskich słów, wypowiedzianych 2 kwietnia 2005 r. o godz. 15.30, a więc na 6 godzin przed śmiercią: „Pozwólcie mi odejść do Pana”. Wcześniej, 31 marca, w chwili znacznego pogorszenia się stanu zdrowia, gdy stwierdzono szok septyczny, Papież prosił abp. Stanisława Dziwisza, aby go nie przewozić po raz trzeci do szpitala. Czy była w tych słowach prośba o zaniechanie leczenia – jak interpretują je niektórzy dziennikarze?

Opiekujący się do końca Ojcem Świętym doktor Renato Buzzonetti nie zgadza się z tą opinią. Po pierwsze – leczenia nie przzerwano, a po wtóre – jak zauważa osobisty lekarz Papieża – to zdanie: „Pozwólcie mi odejść do Pana” – było „najwznioślejszą modlitwą, wyrazem głębokiej ascezy, oryginalnym, niemal jedynym w sobie przykładem przywiązania do wiary”.

Powyższe spekulacje dziennikarskie są niczym w porównaniu z nową książką brytyjskiego dziennikarza Davida Yallopa, zatytułowaną: „Potęga i chwała. Ciemna strona Watykanu Jana Pawła II”. Autor na 700 stronach oczernia Papieża, twierdząc, że nie walczył z komunizmem, nie zlikwidował korupcji w Watykanie, tolerował pedofilię w Kościele, pielgrzymując po świecie, kontaktował się z dyktatorami. Dalej Yallop twierdzi, że Karol Wojtyła był przez całe życie aktorem, dlatego grał rolę papieża, stąd „mimo choroby, tak trudno było mu zejść ze sceny”. Cóż, można by autorowi tej książki nadać przydomek: „advokat diabła”, gdyby w obecnej procedurze kanonizacyjnej istniał jeszcze taki urząd.

To tylko przykład jednego z wielu krytycznych tekstów, jakie ukazują się o Janie Pawle II na świecie. Co o nich sądzić? Trzeba jasno napisać, że tego typu książki lub wypowiedzi mogą opóźnić zakończenie procesu beatyfikacyjnego Jana Pawła II. Nie jest wykluczone, że komuś bardzo zależy na tym, aby przez takie agresywne ataki na Papieża, na Kościół, zasiać wątpliwości w umysłach i sercach wiernych, podważyć wiarygodność zeznań świadków w procesie kanonizacyjnym. Niestety, liczni dziennikarze zajmujący się problemami Stolicy Apostolskiej i Kościoła nie od dzisiaj poszukują wszędzie sensacji i blichtru, dowolnie manipulują informacją, wyciągają nieprawdopodobne wnioski.

Pamiętam, że na początku pontyfikatu Jana Pawła II obwiniano Papieża i Watykan za... przeludnienie świata. Uważano bowiem, że skoro Ojciec Święty tak zdecydowanie broni życia od poczęcia, nie zezwala w żadnym przypadku ani na przerywanie ciąży, ani na stosowanie środków antykoncepcyjnych, to znaczy, iż zaleca niekontrolowany przyrost naturalny, zaostroża problem przeludnienia. Jeden z francuskich pisarzy – Roger Peyrefitte w książce „Czerwona sutanna” zrobił z Papieża Polaka agenta komunistycznego, snując dalej zupełnie absurdalny wątek miłosny i polityczny.

Czy Watykan powinien podobne teksty zwalczać? Pytanie to można zastąpić innym: Czy kogokolwiek na świecie, jakąkolwiek inną instytucję można by tak bezkarnie oczerniać? Komuś zależy na tym, aby najwyższy autorytet moralny świata – a takim cieszy się Papież oraz Stolica Apostolska – przyniżyć do ziemi, znieważyć, zmieszać z błotem. O tym musimy wiedzieć.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 41/2007)

Oczyścić Kościół, aby go zniszczyć

15 kwietnia 2008 r. do Senackiej Komisji Kultury i Środków Przekazu, której jestem członkiem, dotarł list otwarty polskich intelektualistów, wyrażający m.in. „sprzeciw wobec przedstawianych w mediach sugestii i żądań podważających decyzje Stolicy Apostolskiej w sprawie obsadzeń stolic biskupich”. W pełni solidaryzując się z treścią tego listu, potwierdzam, że sprawy Kościoła są w mediach przedstawiane jednostronnie, obraża się kapłanów, manipuluje faktami, rzuca fałszywe oskarżenia. Tak było po 1990 r. Straszono wówczas Polaków „republiką proboszczów”, ale w porównaniu z tamtymi latami obecny atak na duchownych jest bardziej wyrafinowany, przemyślany, prowadzony przez warsztatowych mistrzów, którzy atakują nie tyle poszczególnych kapłanów, co generalnie cały Kościół. Świadczą o tym tytuły artykułów czy programów, w których na winę pojedynczego księdza nakłada się wizję grzesznego Kościoła, mówi i pisze o wieloletnich zaniedbaniach w kościelnych instytucjach. Wspomniani mistrzowie lepiej od hierarchii wiedzą, co należałoby w Kościele zmienić, aby nasze świątynie nie opustoszały. W tej trosce o czystość Kościoła zachowują się jak strażacy-podpalacze: najpierw jakąś nie do końca sprawdzoną informacją rozpalają ogień, potem wszędzie rozgłaszają, że w Kościele się pali, a następnie pierwsi oferują pomoc w gaszeniu pożaru.

Taką metodę stosuje się u nas przed każdymi świętami Bożego Narodzenia czy Wielkanocy, przed ważnymi rocznicami. Tak było po śmierci Jana Pawła II, kiedy zgaszono wołanie „Subito santo”, oskarżając o. Konrada Hejmo o donoszenie na Ojca Świętego. W jednym momencie prysł wspałały religijny nastrój, a zajęto się roztrząsaniem odnalezionych niby-przypadkowo jakichś dokumentów (nie w IPN, ale w MSW – skąd tam się wzięły?). Dziś, po zapoznaniu się z teczkami SB dominikańskiego zakonika, wiadomo, że nie ma w nich ani jednego raportu podpisanego przez o. Konrada, nie ma też żadnego jego zobowiązania do współpracy.

Podobnie było w przededniu pierwszej rocznicy śmierci Jana Pawła II, kiedy to w ferworze walki z Radiem Maryja dodatkowo byliśmy świadkami kampanii lustracyjnej w środowisku krakowskich duchownych. Ofiarą tej „dzikiej” lustracji stał się m.in. śp. ks. Mirosław Drozdek – z pewnością nie jedyna śmiertelna ofiara walki z Kościołem w latach wolności. Podobnie medialny lincz dokonał się rok później przed ingresem abp. Stanisława Wielgusa: wszystkie niemal laickie środki przekazu potraktowały go jak

najgorszego zbrodniarza, a jego rzekomej superagenturze, złym postępkom poświęcono tysiące stron i godzin przekazu. A wszystko było oparte na esbeckich informacjach, tak jakby to one miały decydować o nominacjach w Kościele. Niejako w podsumowaniu tej sprawy 4 stycznia 2007 r. „Gazeta Wyborcza” zamieściła pod znanym tytułem „Lustracja służy Kościołowi” wypowiedź wówczas senatora Jarosława Gowina, który na pytanie: „czy esbeckie dokumenty mają decydować o losach Kościoła?”, odpowiedział: „To fałszywie sformułowana teza. Nie chodzi o to, że Kościół zależy od SB, tylko o to, że określone godności w Kościele powinny być sprawowane przez ludzi o nieposzlakowanym sumieniu, a w każdym razie o to, że decyzje personalne powinny być podejmowane w oparciu o znajomość biografii kandydatów. Teczki SB są jednym z kryteriów oceny ich postawy”. Pokrętna wypowiedź: z jednej strony odrzuca się tezę, że esbeckie dokumenty mają decydować o losach Kościoła, z drugiej natomiast – usiłuje dowieść, że powinny być jednym z kryteriów oceny kandydatów na biskupów.

Podobnie pokrętnie „Głos Wielkopolski” chcąc podważyć autorytet zasłużonego obrońcy rodziny – bp. Stanisława Stefanka z Łomży, oskarżył go o współpracę z SB. Sprawa jednak szybko ucichła, ponieważ rzekome „dowody” współpracy okazały się nic niewarte. Postanowiono uderzyć w Biskupa inaczej: oskarżono go o ukrywanie przed kilkunastu laty sprawy kapłana pedofila. Temat ten nagłośniono w mediach w przeddzień 3. rocznicy odejścia Jana Pawła II do Domu Ojca. Odezwali się, oczywiście, dyżurni publicyści, katolicy, wspomniani mistrzowie, pouczając, że „dla chronienia interesów jednego księdza poświęca się interesy dzieci i młodzieży. A robią to biskupi, którzy powinni chronić swoje owieczki, szczególnie te najmłodsze, przed wilkami, które udają pasterzy. Zamiast tego chronili wilki i pozwalali im przez lata grasować wśród niewinnych” (Tomasz Terlikowski). Sprawę oskarżeń wysuniętych pod adresem tego duchownego archidiecezji szczecińskiej bada tamtejsza prokuratura. Czy jednak ważny będzie jeszcze wyrok, skoro media już go wydały?!

Wiem, że każda krytyka ma w sobie coś z prawdy i nie należy jej się obawiać. Kapłanów wolno krytykować, ale dla Kościoła należy zachować szacunek i miłość. Kapłan, nawet niegodny czy niewygodny, reprezentuje Kościół, dlatego nie należy go mieszać z błotem, niszczyć. Uważam, że nie mają miłości do Kościoła ci, którzy obecnie podważają kompetencję Stolicy Apostolskiej w dziedzinie obsadzania stolic biskupich – o czym było we

wspomnianym liście otwartym. To, co wyprawiają media, lękając się abp. Głódzia na stolicy biskupiej w Gdańsku, stanowi niedopuszczalną metodę wywierania nacisku na wewnętrzne sprawy Kościoła. Na szczęście, obudziły się środowiska katolików, odpowiedni komunikat wydał również przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski. Jednym słowem, tego, co uczyniono z abp. Wielgusem w Warszawie, w inny sposób mediom nie udało się powtórzyć w Gdańsku.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 17/2008)

Kilka uwag po wyborach na Podkarpaciu

W internecie przeczytałem wypowiedź ateisty, który domagał się, aby jego uczucia były szanowane na równi z uczuciami wierzących. Myślę, że to absurdałne stwierdzenie wielu internautów mogło potraktować poważnie. Wiara religijna, jeśli tylko mieści się w porządku prawnym, jest dobrem obywateli, jest wartością dla państwa. A jakim dobrem są religijne przekonania ateistów, którzy nie mają takich przekonań? Myślę, że ateści powinni domagać się jedynie tego, aby nie byli poniżani, dyskryminowani czy ewentualnie nawracani na siłę. Czy są?

Nie słyszałem o tym, natomiast wiem, że ateści, domagając się szacunku dla swoich poglądów, żądają np. zdejmowania symboli religijnych z miejsc publicznych – szpitali, szkół, urzędów. To jest z ich strony agresywna walka z religią. Jednego w tym nie rozumiem: jeśli ktoś nie wierzy, nie może go obrażać symbol krzyża, powinien to być dla niego zupełnie obojętny znak, „religijny przesąd”. Ateista powinien co najwyżej czuć intelektualną wyższość nad tzw. ludowym moherem. Gdybyśmy jednak przyjęli logikę ateistów, to powinniśmy np. zakazać manifestacji patriotycznych, obrażających osoby, które patriotami się nie czują.

Piszę o tym, ponieważ po wyborach na Podkarpaciu, wygranych przez Prawo i Sprawiedliwość, przewinęło się w mediach wiele negatywnych określeń mieszkańców tego regionu, jakoby byli niereformowalnym bastionem prawicy, ludźmi ślepo przywiązanymi do tradycji, niepodatnymi na zachodzące zmiany kulturowe, obyczajowe czy gospodarcze. Zapewne gdyby wygrała te wybory Platforma Obywatelska, Podkarpacie byłoby nowoczesne i racjonalne, czyli jak to się mówi – punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia.

Kilka zdań o samych wyborach uzupełniających do Senatu po śmierci Andrzeja Mazurkiewicza. Wygrał je Stanisław Zając z Prawa i Sprawiedliwości. Zagłosowało na niego 48 proc. wyborców (40 993 głosów); kandydat Platformy Obywatelskiej – Maciej Lewicki – dostał 26 proc. (22 457 głosów). Trzeci był lider Prawicy Rzeczypospolitej Marek Jurek, który otrzymał 10 751 głosów. Dla przypomnienia, w wyborach parlamentarnych w 2007 r. w okręgu krośnieńskim PiS uzyskał poparcie 44 proc. Natomiast na koalicję PO–PSL głosowało 43 proc. wyborców (na PO głosowało 30 proc. wyborców, a na PSL 13 proc.). Wspólny start PO i PSL w wyborach uzupełniających dawał więc koalicji rządowej prawie takie same szanse na zwycięstwo, jakie miał PiS. Wniosek: tak wysokie zwycięstwo PiS podważa wiarygodność wszystkich sondaży publikowanych przez media.

Choć do urn poszło niewiele ponad 12 proc. uprawnionych do głosowania, to należy pamiętać, że wybory uzupełniające z reguły mają niską frekwencję (średnio 3–5 proc.). Stąd wynik 12,19 proc. należy uznać za bardzo wysoki. Zapewne wpływ na to miała m.in. liczba 12 kandydatów ubiegających się o mandat senatora i, w konsekwencji, niezwykle intensywna kampania wszystkich ugrupowań biorących udział w wyborach. W ostatnim miesiącu na Podkarpaciu zjechali politycy z pierwszych stron gazet, także prezydent i premier z wszystkimi ministrami oraz marszałek Sejmu. Każdy z nich wspierał jak mógł swojego kandydata. Każda partia, a zwłaszcza politycy koalicji PO–PSL potraktowali te wybory jako próbę sprawdzenia swojej popularności. Pomimo tych starań kandydat PO–PSL uzyskał prawie dwukrotnie niższe poparcie niż kandydat PiS, który otrzymał ponad połowę wszystkich oddanych głosów. Przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej Ferdynand Rymarz, gratulując wyboru na senatora Stanisławowi Zającowi, powiedział, że ustanowione zostały w tych wyborach trzy rekordy: najwyższa liczba kandydatów, najwyższa frekwencja oraz najwyższy wynik wyborczy zwycięzcy.

Jakie komentarze? PiS przekonuje, że to zdecydowane zwycięstwo jest złotą kartką dla rządu, to wyraz niezadowolenia z działań premiera Donalda Tuska. Polacy m.in. odrzucają dwie cechy polityki tej ekipy: dyskryminację ziem wschodnich oraz nierówność i bierność wobec narastających problemów. Zupełnie inaczej ten wynik interpretuje PO, uważając, że Podkarpacie to region, w którym zawsze dominował elektorat prawicowy i tak będzie zawsze.

Jak wspomniałem wyżej, ta odpowiedź wskazywałaby, że elektorat o konserwatywnym charakterze nie jest w naszych czasach na rękę nowoczesnym partiom i politykom. Tymczasem w polityce nie chodzi o to, aby ulegać modom, pięknie mówić, obiecywać gruszki na wierzbie. W polityce chodzi o dobro wspólne, a więc o podejmowanie działań na rzecz umacniania wspólnych wartości. A jakie to wartości – każdy wie, że dzisiaj toczy się prawdziwa wojna o wartości konserwatywne, chrześcijańsko-demokratyczne i katolicko-narodowe.

Przypomnę, że ostatnio Rada Europy ponowiła apel do Polski o legalizację zabijania dzieci poczętych. W wielu krajach UE można zabijać osoby starsze i chore w ramach ustawy o eutanazji, podważa się fundamenty rodziny przez promowanie kultury homoseksualnej itd. Te zjawiska Jan Paweł II określił mianem „cywilizacji śmierci” i, jak sądzę, nałożył na nas, swoich rodaków, obowiązek trwania przy wierze oraz tradycji, angażowania się w sprawy ochrony życia i poszanowania chrześcijańskiego systemu wartości, a tym samym przyczyniania się do rozwoju ogólnoludzkiej kultury i cywilizacji.

Trzeba się radować, że Podkarpacie, ta mała ojczyzna, było i jest przywiązane do wartości i tradycji. Świadczy o tym zwycięstwo senatora Stanisława Zająca z PiS. Widzę w tym świadectwo dojrzałości mieszkańców tego regionu, którzy nie dali się omamić pustym obietnicom partii rządzącej.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 27/2008)

16 X 2008 r. w Senacie RP

Potocznie mówimy, że nie ma ucznia ponad mistrza, jednak po tym, co przeżyliśmy w Senacie 16 października 2008 r., chciałbym uzupełnić to powiedzenie i wskazać na genialnych uczniów swojego mistrza. W Senacie tego dnia – w obecności nuncjusza apostolskiego abp. Józefa Kowalczyka, biskupów Antoniego Dydycza z Drohiczyzna i Andrzeja Dziuby z Łowicza, prowincjałów Kapucynów z Warszawy i Krakowa, wielu kapłanów i sióstr zakonnych – podjęliśmy dwie uchwały. Pierwsza dotyczyła uczczenia bł. o. Honorata Koźmińskiego z okazji 20-lecia wyniesienia go na ołtarze (a stało się to dokładnie 16 października 1988 r.), a także zbliżającej się 180. rocznicy jego urodzin. Tu wspomnę, że ten wybitny kapłan z Zakonu Kapucynów, największy reformator życia społecznego i religijnego

w Polsce przełomu XIX i XX wieku, miał ogromny wpływ na Polaków w latach powstania styczniowego i później. Założył ponad 20 zgromadzeń zakonnych ukrytych, które prowadziły nie tylko działalność religijną, charytatywną, ale także patriotyczną. Mimo carskich represji o. Koźmiński zjednoczył wokół swoich działań tysiące osób, wskazując im najważniejsze pola pracy: kształcenie młodzieży, wychowanie dzieci, służbę chorym, opiekę nad ubogimi, wyzyskiwanymi i odrzuconymi, podnoszenie poziomu życia pracowników fabryk oraz ludu wiejskiego.

Jako senator z Częstochowy czułem się w obowiązku, aby w swoim wystąpieniu przypomnieć o zasługach o. Honorata dla rozwoju kultu Matki Bożej Jasnogórskiej, w tym głównie dla propagowania pielgrzymek narodowych. Dzisiaj, kiedy obserwujemy, podziwiamy spontaniczne pielgrzymowanie polskiego narodu, wszystkich stanów i zawodów na Jasną Górę, dobrze przypomnieć, że w XIX wieku, w czasach zaborów, to pielgrzymowanie, oczywiście, na mniejszą skalę, uratowało w dużej mierze wiarę katolicką Polaków, pozwoliło przetrwać czasy utraty państwowości polskiej. Jeśli dzisiaj mówimy o Jasnej Górze jako duchowej stolicy Polski, to mamy w pamięci te właśnie czasy zaborów i wojen, kiedy zdawało się, że Polaków pokonano, że wszystkie światła dla Polski zgasły, dopóki jednak paliło się to na Jasnej Górze, nie wszystko było skończone.

Właśnie o. Koźmiński należał do tych wielkich Polaków, którym przyświecała idea odrodzenia ducha religijnego za przyczyną rozwinięcia i pogłębienia kultu Matki Bożej Częstochowskiej. To z żywotnością nabożeństwa do Maryi Jasnogórskiej, Królowej Polski, związał nadzieję odrodzenia Narodu i odzyskania wolności. Dlatego kiedy w 1905 r. odbudowano spaloną 5 lat wcześniej wieżę jasnogórską, o. Honorat w wielu listach i odezwach zachęcał do zorganizowania pielgrzymki narodowej na Jasną Górę. Przekonywał, że „gdyby cały nasz naród zebrał się u stóp Matki Bożej Częstochowskiej, gdyby z każdego zakątka naszej ziemi i z każdego stanu wysłać tam gorliwych posłów, którzy by odnowili śluby Jana Kazimierza. [...] byłby to sposób najskuteczniejszy zapewnienia sobie prędkiego u Pana Jezusa ratunku. Byłby to pochodź wspaniały, godny Polaków, miły Bogu i ludzioru. (...) I bądźmy przekonani, że w ten sposób najlepiej sprawie ukończonej Ojczyzny służymy”.

Na uroczystość Wniebowzięcia Matki Bożej w 1906 r., 15 sierpnia, na tę narodową pielgrzymkę z poświęceniu nowej wieży, przybyło pół miliona pielgrzymów. W tym bardzo dużo młodzieży. Uczestnicy ocenili ją jako

religijną i narodową, gdyż począwszy od powiewających nad tłumami polskich chorągwi i proporców, a skończywszy na pieśniach – wszystko świadczyło o miłości każdego Polaka do Matki Najświętszej, o umiłowaniu wiary przodków i ziemi ojczystej. Podobnie, choć już nie aż tak licznie, obchodzono tego roku święto Matki Bożej Częstochowskiej, 29 sierpnia, do którego ustanowienia i zatwierdzenia przez Stolicę Apostolską także przyczynił się o. Koźmiński, którego dewizą życia były słowa: „Totus Tuus” – Cały Twój, Maryjo.

Druga uchwała Senatu RP (w kolejności jako pierwsza) składała hołd Janowi Pawłowi II w 30. rocznicę jego wyboru na Stolicę Piotrową. Dla milionów z nas tego dnia rozpoczęła się niezwykła historia Kościoła i świata, pisana pod dyktando Nieba. Nie lękam się tych wielkich słów, ponieważ wybór Jana Pawła II zmienił nasze dzieje, a jego pierwsze słowa, aby się „nie lękać i otworzyć drzwi Chrystusowi”, dla milionów wierzących stały się zachętą do przemiany swojego życia, do przemieniania świata ku dobru. Do dzisiaj nosimy te słowa głęboko w naszych sercach. Nikogo z nas nie trzeba przekonywać, że Polska dzięki Janowi Pawłowi II została szczególnie wyróżniona i wybrana przez Boga. Miliony Polaków na świecie przyznały się do swoich narodowych korzeni. A dla nas w kraju była to historyczna chwila, a zarazem niepowtarzalna okazja, aby zrzucić jarzmo komunizmu. I tak się stało. Polska otworzyła drzwi wolności dla wszystkich krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Tylko Pan Bóg wie, ile jest miłości w naszych sercach dla Jana Pawła II. Tylko Pan Bóg wie, ile w nas wdzięczności za jego wielki pontyfikat i święte życie.

Pisząc, że mamy uczniów nad mistrza, chciałbym jeszcze raz podkreślić, że bł. o. Honorat był charyzmatycznym odnowicielem narodowego pielgrzymowania na Jasną Górę, które odegrało znaczącą rolę w późniejszych latach, m.in. w 1920 r. i w latach odnowienia Ślubów Królewskich Jana Kazimierza, czyli w 1946 r., 1956 r. czy 1966 r. W tych latach narodowe pielgrzymki na Jasną Górę pomogły nam przetrwać i pokonać komunizm. A stało się to m.in. dzięki genialnym naśladowcom o. Honorata, którzy podjęli i rozwinęli jego ideę „Totus Tuus”: kard. Augusta Hlonda, kard. Stefana Wyszyńskiego oraz kard. Karola Wojtyły – Jana Pawła II.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 43/2008)

Rok politycznej poprawności

Z okazji przypadającej 4 czerwca 2009 r. 20. rocznicy demokratycznych wyborów senatorowie Platformy Obywatelskiej podjęli uchwałę (z pomocą większości senatorów PiS), aby rok 2009 był Rokiem Polskiej Demokracji. W uzasadnieniu napisano m.in., że ma on nam przypomnieć powrót Rzeczypospolitej na drogę demokracji, i szerzej – powrót do rodziny narodów demokratycznych Europy.

Zastanawiam się, o jaką drogę do demokracji chodzi PO oraz o jakich demokratycznych narodach Europy mówimy? Czy można nazwać demokratycznymi rozporządzenia płynące z unijnej stolicy, Brukseli, aby w poszczególnych państwach wprowadzać czy wspierać na szeroką skalę aborcję, antykoncepcję, homoseksualizm, różne dewiacje, prostytutkę, pornografię, łamanie Dekalogu...? Czy ktoś wie, że tylko w ubiegłym roku kilka tysięcy polskich kobiet zostało uprowadzonych na „demokratyczny” Zachód do pracy w domach publicznych?

Skoro mamy obchodzić Rok Polskiej Demokracji, to może należałoby potępić w uchwale mnóstwo niedemokratycznych przekrętów, jakich jesteśmy świadkami. Należałoby napiętnować korupcję, przekupstwo, fałszowanie leków, zaświadczeń żywności, świadectw sanitarnych, oszustwa firm, niefrasobliwe wyroki sądów i urzędów finansowych, bezprzykładny upadek uczciwości w sporcie... To tylko niektóre, hasłowe przykłady współczesnej demokracji, a właściwie pseudodemokracji, która – trzeba i to dopowiedzieć – ożeniła się z wolnością, rozumianą jako wolność od Boga, od moralności, od prawa i od odpowiedzialności. Obejmując jeszcze szerzej zagadnienie demokracji i wolności, należy dojść do wniosku, że dzisiaj są to wartości ze sobą sprzeczne. Oto w Kosowie i Serbii – w obronie demokracji – odebrano wolność jednemu, a dano ją innym. Prezydent Bush, eksportując demokrację do Iraku w 2004 r., w zasadzie odebrał suwerenność państwu irackiemu. Podobne przykłady można mnożyć.

A jaką demokrację mamy w Polsce? Oto Ministerstwo Rozwoju Regionalnego zaakceptowało w poprzedniej kadencji przyznanie Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu pomoc w wysokości 15 mln euro na geotermię, ale obecny rząd uczynił wszystko, aby nie doszło to do skutku z powodu rzekomego antysemityzmu Radia Maryja, a głównie jego założyciela – o. Tadeusza Rydyka. Obecnie, kiedy widać już sukces toruńskiej geotermii, tym razem Ministerstwo Sprawiedliwości zapowiada, że

zajmie się funduszami Fundacji „Lux Veritatis” (już zaczęło się oczernianie Fundacji w mediach, z kolei urzędnicy skarbowi będą sprawdzać, czy doniesienia prasowe o nieprawidłowościach finansowych są prawdziwe; chodzi o zbadanie, skąd pochodziły pieniądze na wiercenia). Wszystko to są, oczywiście, działania demokratyczne, ponieważ minister Zbigniew Ćwiąkalski powiedział, że nikt w Polsce nie może być ponad prawem.

Przypomnę, jak „demokratycznie” zachowały się media przed wyborami parlamentarnymi, przeciwstawiając sobie Polskę moherowych beretów i aksamitnych kapeluszy, Polskę sarmatów i reformatorów. Dzielono Kościół na łagiewnicki i toruński, a Polaków na towarzystwo i motłoch, koryfeuszy i masy, panów i chamów! Cóż, panowie dziennikarze, zdecydуйте się: albo mamy demokrację, czyli elity godzą się na równość wszystkich obywateli przed urną wyborczą i na wynikające z tego konsekwencje, albo społeczeństwo równych i równiejszych oraz wieczne dąsy i pretensje do zwykłych ludzi.

Dużo zła ideologii pseudodemokratycznej czy liberalistycznej, nazywanej skróto demokracją, wdarło się do Polski z Zachodu. Wiele polityków, zwłaszcza jednak dziennikarzy, w jakimś zwidzie wolności słowa rozbija Kościół katolicki, atakując i posądzając kolejnych hierarchów o współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa. Atakuje się małżeństwo, rodzinę, wychowanie, szkołę, odwieczne wartości, etykę ogólnoludzką, godność człowieka, miłość bliźniego, pracę, sprawiedliwość, przestrzeganie prawa i wiele, wiele innych rzeczy. Wszystko to czyni się w imię demokracji i wolności.

Co zaś do samych wyborów parlamentarnych: czyż nie jest tak, że demokratyczna mniejszość, uzyskując zwycięstwo wyborcze dzięki medialnym kombinacjom i zmanipulowaniu opinii publicznej, uchwała potem wszystko, co chce, zmienia to, co dotąd stanowiło narodową wartość? Ostatnio Premier, konkurując z Prezydentem o najwyższy urząd w państwie (wybory za 2 lata), czyni wszystko, aby Polska wprowadziła walutę euro. Panie Premierze, nie ma na to zgody narodowej i nie jest prawdą, że w referendum w 2004 r. Polacy podjęli decyzję także w tej sprawie.

I jeszcze jedna refleksja. W tym roku w grudniu 2008 r. mija 60. rocznica uchwalenia niezwykle ważnego w skali międzynarodowej dokumentu, jakim jest Powszechna Deklaracja Praw Człowieka. To była jak dotąd największa demokratyczna karta praw człowieka. Niestety, nie jest ona przez większość krajów przestrzegana. Pomija się w niej ponadto zapisy o ochronie prawa do życia każdej istoty ludzkiej od poczęcia do naturalnej śmierci, odrzuca się wartość rodziny opartej na małżeństwie kobiety i mężczyzny.

Pojawiają się natomiast manipulacje, aby do praw człowieka włączyć prawo do aborcji, dopuszcza się promocję związków homoseksualnych kosztem naturalnej rodziny. Wiem, że organizacje proaborcyjne przygotowują w ONZ złożenie petycji w tych sprawach. Co jeszcze wymyśli świat w imię politycznej poprawności, a właściwie w imię tego, co tylko hasłowo przypomina demokrację, a jest w istocie antydemokratyczne, a nawet antyludzkie?

Wspomniana uchwała Senatu kończy się apelem, aby przyszły rok był czasem umacniania naszych demokratycznych, kulturowych, polskich obyczajów i tradycji. Trzeba wskazywać naszemu narodowi oraz – szerzej – Europie i światu prawdziwie demokratyczne standardy życia według wartości, a nie zajmować się wciąż politycznymi grami na górze.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 49/2008)

Przesłanie na 90-lecie Niepodległości

Senat, a także osobno Sejm jednogłośnie i jednomyślnie uczciły uchwałami 90. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. W uchwałach przypomniano wydarzenia z 1918 r., wyrażono wdzięczność i złożono hołd Polakom, którzy mimo 123 lat zaborów zachowali przywiązanie do wolności, potrafili zjednoczyć się pod mądrym przywództwem polityków reprezentujących wszystkie nurty i stronnictwa. W Senacie otworzyliśmy również wystawę o marszałku Józefie Piłsudskim. Padło wiele ciepłych i serdecznych słów o Ojczyźnie.

To prawda, w Święto Niepodległości myślimy inaczej o Polsce. Ogarńamy myślą i sercem to całe dziedzictwo, które nazywamy Ojczyzną. I jak sądzę, nie tyle kochamy dzisiaj Polskę za to, że jest wielka i silna, ale za to, że jest nasza. Co to znaczy, że jest nasza? To znaczy, że to jest mój kraj urodzenia, miejsce zamieszkania, historia i obecność, groby i ludzie... Ojczyzna wiąże się z tym wszystkim, co rozciąga się od dzieciństwa do starości, przypomina twarze ojca i matki, krajobrazy ziemi, kulturę materialną i duchową, jedność psychiczną między ludźmi, wspólną moralność i religię. Jest ziemią „swoich”, ziemią uświęconą historią własnego narodu.

„Ojczyzna jest nam dana” – nauczał Jan Paweł II, największy Polak naszych tysiącletnich dziejów, Biskup Rzymu, Kardynał z Krakowa, dawny Mieszkaniec Wadowic. Każdy z nas ma jakieś swoje Wadowice, własne ukochane strony i miejsca, najdroższe skarby związane z pamiątkami ro-

dziwnymi i narodowymi. To nie jakiś płytki sentymentalizm. Człowiek bez Ojczyzny jest jak ktoś bez rodziny, bez domu, czyli często samotny, zagubiony, słaby. O człowieku bez Ojczyzny mówi się, że jest znikąd, że jest jak drzewo bez korzeni, dom bez fundamentów, twarz bez wyrazu. Czy ktoś z nas chciałby być takim człowiekiem?

„Ojczyzna jest nam dana – mówił Jan Paweł II. – I zadana” – dodawał. A to oznacza, że trzeba ją miłować, umacniać i rozwijać. Doskonale wiemy, jak to zadanie miłości Ojczyzny wyglądało w historii. Jakich poświęceń wymagało od naszych przodków utrzymanie wolności. Nasza historia jest utkana czynami zbrojnymi w obronie Ojczyzny, czynami miłości Ojczyzny ponad życie.

Dzisiaj w sposób cudowny cieszymy się wolnością. Nie skłamię, jeśli napiszę, że przed dwudziestu kilku laty nikt z nas nawet w najpiękniejszych snach nie wyśnił, że dożyje wolnej Polski. Problem jednak z tym, jak my tę wolność zagospodarowujemy, co my z tą wolnością robimy! Przypomina się kazanie Ojca Świętego, wygłoszone w Kielcach w 1991 r., podczas pielgrzymki do Ojczyzny. Jan Paweł II podniósł wówczas głos i do nas, swoich rodaków, powiedział: „To jest moja Matka, ta ziemia! To jest moja Matka, ta Ojczyzna! To są moi bracia i siostry! Zrozumcie, Wy wszyscy, którzy lekkomyślnie podchodzicie do tych spraw. Zrozumcie, że te sprawy nie mogą mnie nie obchodzić, nie mogą mnie nie boleć!

Łatwo jest zniszczyć Ojczyznę, trudniej odbudować”. Wymodliliśmy w ciągu długich lat komunistycznej niewoli cud wolności, dlaczego więc tak wielu tęskni za życiem w niewoli, lęka się być patriotami, nie uczy wartości patriotycznych swoich dzieci? Czyżby patriotyzm stał się przeżytkiem? Może w Europie tak, ale nie w Stanach Zjednoczonych. Wybory prezydenckie w tym kraju uznano za powszechny, wielki akt patriotyzmu, jednoczący naród. W Europie przeciwnie – próbuje się tworzyć w miejsce narodów ponadpaństwowe struktury, ruguje narodowe waluty, w miejsce wartości duchowych i Boga wymyśla się globalistyczne slogany.

Jak wspominałem, z okazji 90. rocznicy odzyskania niepodległości można obejrzeć w Senacie wystawę o marszałku Józefie Piłsudskim. Do pięknych i wzruszających zdjęć z tej wystawy chciałbym dołączyć kilka ponadczasowych i uniwersalnych myśli „ojca polskiej wolności”. Marszałek Piłsudski pisał przed laty:

„– Bezsilna wściekłość dusiła mnie nieraz, że w niczym zaszkodzić wrogom nie mogę, że muszę w milczeniu znosić deptanie mej godności i słu-

chać kłamliwych i pogardliwych słów o Polsce, Polakach i naszej historii.

– Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi. A niepodległość jest dobrem nie tylko cennym, ale bardzo kosztownym.

– Niedgdyś spotykaliśmy w Polsce ludzi, twierdzących, że służba dla Rosji jest równoznaczna ze służbą Ojczyźnie.

– Podczas kryzysów strzeżcie się agentur. Spotykam świat agentury idącej przeciwko nam z całą siłą, starający się nas zbrukać. Zwycięstwa nad agenturami nie odnieśliśmy wcale. Agentury jak jakieś przekleństwo idą dalej krok w krok.

– Nie może być litości dla złodzieiów dobra publicznego w Polsce. Żadne zdrowe społeczeństwo nie będzie, aby znosić gospodarkę bandytów podtrzymywanych przez władze i władz podtrzymywanych przez bandytów. I jeśli takim społeczeństwem jesteśmy – podobnych gospodarzy musimy się pozbyć.

– Nie ma Europy sprawiedliwej bez Polski niepodległej na jej mapie. Polska jest stale oskarżana w innych państwach. Jest w tym wyraźna i niedwuznaczna chęć posiadania w środku Europy państwa, którego kosztem można byłoby załatwić wszystkie porachunki europejskie. Podziwu godne jest zjawisko, że te projekty międzynarodowe znajdują tak chętne ucho, no i języki nie gdzie indziej jak w Polsce.

– Marzeniem Niemiec jest doprowadzenie do kooperacji z Rosją. To byłoby naszą zgubą, do tego dopuścić nie można. Jak przeciwdziałać? Gra będzie trudna przy paraliżu woli i krótkowzroczności Zachodu.

– Rosja będzie jeszcze długo niebezpieczniejsza niż Niemcy, bo jest mniej obliczalna i mniej zależy od Zachodu. Trzeba jednak Niemcom bardzo na palce patrzeć, bo potrafią oni dobrze i szybko zorganizować się, gdy się na coś zdecydują.

– Historię swoją piszcie sami, bo inaczej napiszą ją za was inni i źle”.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 46/2008)

Kiedy i czy upadł komunizm?

Kłopoty ze świętowaniem 4 czerwca jako dnia upadku komunizmu pokazały wyraźnie, że nie dokonał się wówczas akt odzyskania niepodległości. Co prawda, premier Donald Tusk w swoich przemówieniach zapew-

niał, że „obchodzimy święto dumy, jedności i radości”, że to polskiej „Solidarności” zawdzięcza wolność Europa Środkowo-Wschodnia, nie dotarło to jednak ani pod wszystkie polskie „strzechy”, ani też do Brukseli czy Berlina. Sondaże w kraju wykazują, że tylko 3 proc. Polaków uważa, iż 4 czerwca upadł komunizm (97 proc. jest przeciwnego zdania), Niemcy uważają, że symbolem końca komunizmu stało się zburzenie muru berlińskiego, a w Brukseli w ogóle nie dostrzega się zasług „Solidarności” oraz wielkości pontyfikatu Jana Pawła II.

Wielu Polaków uważa, że nie ma co cieszyć się wyborami 4 czerwca, skoro potem była dogrywka, by zapewnić Sejmowi odpowiednie „komunistyczne” proporcje. Albo – jak tu cieszyć się z tego, że Tadeusz Mazowiecki był pierwszym premierem III RP, skoro w jego rządzie zasiedli generałowie Czesław Kiszczak i Florian Siwicki! Czy można świętować 4 czerwca, dzień nowej wolności, skoro pierwszym prezydentem rzekomo wolnej Polski został autor stanu wojennego generał Wojciech Jaruzelski?! Co najwyżej można uznać, że pierwsze wolne wybory parlamentarne odbyły się dopiero jesienią 1991 r., ale cóż z tego, skoro 2 lata później z powrotem przejęli władzę komuniści, a w 1995 r. na 10 lat prezydentem został Aleksander Kwaśniewski, działacz komunistyczny. Bodaj z tego widać, że upadek komunizmu był kontrolowany czy też reglamentowany, a obecny bilans tej wolności jest wręcz dramatyczny. Co prawda, nie jesteśmy już kolonią sowieckiego imperium, ale staliśmy się państwem od początku źle rządzonym, państwem biednych emerytów, taniej siły roboczej, zarobkowych emigrantów. Od początku – oprócz krótkich rządów Jana Olszewskiego – premierzy i ministrowie uznali, że rozwój gospodarczy zapewni nam zagraniczny kapitał, dlatego za bezcen wyprzedano wielki przemysł, banki, a obecnie stocznie. I z tego tu być dumnym, z czego się radować?

Jeśli więc należałoby wspominać i świętować obecnie jakieś dni, to jedynie te od 2 do 10 czerwca 1979 r. Upłynęło od nich dopiero 30 lat, ale wydaje się, jakby odszedł cały wiek, jedna wielka epoka, bo od tych dni historia zdecydowanie przyspieszyła. Od tej pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Ojczyzny stało się pewne, że siła nauczania Ojca Świętego jest znacznie większa niż sowieckie dywizje i cały polityczny aparat represji. To wówczas po słowach Papieża na placu Zwycięstwa w Warszawie: „Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi! Tej ziemi!” sowieckie imperium zła zadrżało w posadach. To dziejowe wołanie wstrząsnęło nie tylko Polską, ale całym światem. Rok później wybuchła „Solidarność”,

nie minęła dekada i rozpoczął się demontaż komunizmu, odnowiło się i odmieniło oblicze ziemi. Upłynęło już 30 lat od tej pierwszej pielgrzymki Ojca Świętego do rodzinnego kraju, ale wielkość tych dni trwa w owocach, jakie przyniosły dla ludzi i kraju następne lata. To był prawdziwy dar Zielonych Świąt. Dla mnie osobiście wracanie do zapisków z tej pielgrzymki stanowi za każdym razem niewyczerpane źródło myśli i obrazów, przeżyć i wspomnień. Jako dziennikarz wędrowałem wówczas po papieskich ścieżkach z notatnikiem i niejednemu raz odkładałem pióro, nie mogąc wydusić z siebie słowa, oczarowany naszym Papieżem, zdumiony ogromnym aplauzem słuchających go tłumów. Zresztą, to nie tylko o owacje i entuzjazm chodziło, bo ten sam tłum, który z setek tysięcy piersi potrafił wydobyć żywiołowe piosenki „Sto lat” albo „Góralu, czy ci nie żal”, w następnej minucie padał na kolana i modlił się czy z całej duszy wyśpiewywał pieśni „Boże, coś Polskę”, „My chcemy Boga”. Była to bowiem nie tylko pielgrzymka wierzących do miejsc, które odwiedzał Papież, ale swoiste rekolekcje odprawiane w miejscach, które zapisały się wielkimi zgłoskami w tysiącletnich dziejach chrześcijańskiego narodu. Śmiało można powiedzieć, że w tych dniach Kościół w Polsce, pielgrzymując wraz z Papieżem, dał światu świadectwo wiary zakorzenionej w historii tylu już pokoleń Polaków.

Pamiętam pierwsze wzruszenie w Warszawie, 2 czerwca: ceremonia powitania, Papież zamyślony przesunął się przed kompanią honorową. Kto by śmiał przypuszczać, że najwyższe honory państwowe będzie odbierał Karol Wojtyła, kardynał z Krakowa? A potem Msza św. na placu Zwycięstwa, ołtarz z centralnie ustawionym krzyżem, przez którego ramiona przewieszono czerwoną stułę, symbol Chrystusa Zmartwychwstałego. Kto jeszcze pamięta, że dokładnie w tym miejscu do 1918 r. stała cerkiew, jako znak panowania zaborcy ze Wschodu... A potem była pielgrzymka przez Ojczyznę: do Gniezna – wiecznika polskiego chrześcijaństwa, i przez Jasną Górę do Krakowa, bo taki jest szlak historii naszego narodu, naszych świętych patronów: Wojciecha i Stanisława, zespolonych w trosce o chrześcijańskie dziedzictwo wokół Bogarodzicy z Jasnej Góry.

Jedno jest pewne: to pierwsze spotkanie Papieża z własnym narodem, w dniach 2–10 czerwca 1979 r., było dosłownie porażające dla władzy i odradzające dla całego niemal społeczeństwa. Ojca Świętego widziało 13 milionów Polaków, a więc co trzeci mieszkaniec na własne oczy mógł się przekonać, że bierze udział w czymś tak niezwykłym, iż mogło mu się wydawać, że śni. Zapadły każdemu głęboko w serce papieskie słowa wiel-

kiej nadziei: „Nigdy nie wątpcie, nie czujcie się znużeni i zniechęceni w walce o sprawiedliwość, respektowanie praw i głosu każdego obywatela oraz każdego narodu”. Ten apel spotkał się z odzewem. 448 dni po wyjeździe Jana Pawła II doszło do powstania związku zawodowego „Solidarność”. Rozpoczęła się rewolucja moralna, która trwa, ponieważ dzisiaj jeszcze bardziej potrzeba nam tamtej papieskiej modlitwy oraz odnowy.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 24/2009)

Uroczystości z fałszowaniem historii

Uroczystości 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej, jakie odbyły się na Westerplatte 1 września 2009 r., skłaniają do kilku refleksji. Po pierwsze, miały znaczącą oprawę: przybyło około dwudziestu szefów państw i rządów, w tym premier Władimir Putin i kanclerz Angela Merkel (szkoda, że nie było premiera Anglii, prezydenta Francji, a także odpowiedniej rangi przedstawiciela Stanów Zjednoczonych). Po wtóre, strona polska słusznie nadała uroczystościom światowy rozgłos, aby przypomnieć, że nasz kraj poniósł podczas wojny największe ofiary, a następnie pośród zwycięzców był najbardziej poszkodowany (nie wspomniano o tym, że Armia Czerwona nas wyzwoliła, a zarazem narzuciła na długie lata komunistyczny system).

Należy docenić postawę Merkel, szefowej kraju, który jest odpowiedzialny za wybuch II wojny światowej. Pani kanclerz nie ukrywała, że winę za najtragiczniejszy rozdział w historii Europy: atak Niemiec na Polskę ponosi jej kraj. Zapewniła, że współczuje Polakom, którzy cierpieli pod zbrodniczą okupacją niemiecką. Nie omieszkala jednak wspomnieć o cierpieniach „wypędzonych” Niemców.

Czary goryczy dołał Putin, premier Rosji, który nie tylko nie przeprosił za Katyń czy za agresję sowiecką 17 września – jak się spodziewano, ale z pomocą służb specjalnych Rosji insynuował, jakoby do wojny doprowadziły intrygi i spiski przeciw Rosji Sowieckiej. Zarzucił Węgrom i Polsce udział w rozbiórce Czechosłowacji, zbagatelizował znaczenie paktu Ribbentrop-Mołotow, co więcej, dodał, że „Polska współpracowała z III Rzeszą w przygotowaniu agresji na Związek Sowiecki” (miał na myśli porozumienie polsko-niemieckie o nieagresji z 1934 r., które rzekomo zawierało tajną klauzulę o rozbiciu Związku Sowieckiego, a także marginalizację Rosji Sowieckiej na arenie międzynarodowej). Krótko mówiąc, Putin wykorzystał

Westerplatte do propagandy przedwojennych stalinowskich fałszywek o rzekomym spisku Hitlera z Polską przeciw Rosji. Premier Donald Tusk, niestety, nie odpowiedział rosyjskiemu premierowi stosowną ripostą, choć wspominał o mordzie w Katyniu czy o układzie Ribbentrop-Mołotow. Popenił jednak ogromny błąd, stwierdzając, że „każdy naród ma prawo do własnych ocen”, do własnych interpretacji historii. Tą wypowiedzią polski premier przyznał Rosji prawo do innego oceniania katyńskiej zbrodni. Tymczasem ocena Katynia może być tylko jedna: ludobójstwo. Podobnie też premier Tusk ze spokojem słuchał o tajnym zapisie w układzie Hitlera z Polską w 1934 r., a takiego zapisu w ogóle nie było.

Honor Polaków obronił prezydent Lech Kaczyński, który odnosząc się do przemówienia Władimira Putina, wyraźnie stwierdził: „Ci, którzy przegrali, byli skazani na lekcję pokory. Ci, którzy zwyciężyli, do dzisiaj próbują fałszować historię”. Mówiąc o Katyniu, nie krył, że była to zemsta za klęskę bolszewików w 1920 r. Słusznie porównał Katyń do Holocaustu – choć to wydarzenia z inną skalą, to tego samego typu. Jak powiedział: „Stawianie w jednym szeregu decyzji o zamordowaniu 30 tys. oficerów i epidemii tyfusu to nie jest droga do pojednania”. Było to nawiązanie do słów Putina z jego „Listu do Polaków”, w którym premier Rosji porównał losy rosyjskich jeńców wojny z 1920 r. z Katyniem. Bez zaskoczenia dodam, że Putin opublikował „List do Polaków” w „Gazecie Wyborczej”, zapewne uznając, że inna polska gazeta nie wzięłaby udziału w manipulacjach Kremla przeciwko prawdzie historycznej.

To nie jest tylko moja opinia, że uroczystość na Westerplatte była klęską dyplomacji Tuska. Zaplanowano spotkanie, które miało pokazać, że ci, którzy byli agresorami w stosunku do Polski, są dziś razem i współpracują ze sobą, że zwycięża „polityka miłości” w stosunkach Polski z Rosją. Nie zwycięża, ponieważ skandaliczne „rewelacje” rosyjskie, do których odwoływał się Władimir Putin, są niczym innym jak prowadzeniem polityki historycznej wymierzonej w Polskę i zrzucającej z Rosji współodpowiedzialność za wybuch II wojny światowej.

Dzisiaj każdy uczciwy historyk przyzna, że traktat Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 r. był wyrokiem śmierci dla Rzeczypospolitej, że najpierw 1 września zaatakowały Polskę hitlerowskie Niemcy, a 17 września Armia Czerwona przekroczyła granicę Rzeczypospolitej i, zgodnie z ustaleniami tajnego protokołu, zajęła wyznaczone obszary, mordując i wysiedlając polską ludność. To wówczas Związek Sowiecki i III Rzesza Niemiecka

prowadziły wspólną politykę wymazywania państwa polskiego z mapy Europy. Tak było do 22 czerwca 1941 r., czyli do początku konfliktu sowiecko-niemieckiego.

O czym świat nie dowiedział się na Westerplatte? Pominięto wielki wkład Polaków w walce z Niemcami na wszystkich frontach II wojny światowej. Nie wspomniano, że Polska jako pierwsza sprzeciwiła się agresji niemieckiej i w przeciwieństwie do innych państw nie kolaborowała z Niemcami. Nie doszło do rozliczenia przeszłości, a bez tego nie może być mowy o „prawdziwym partnerstwie” polsko-rosyjskim, na które powoływał się zarówno Władimir Putin, jak i Donald Tusk. Właściwie do chwili obecnej rząd polski nie zareagował na fałszowanie historii w rosyjskich mediach, co jest odbierane przez wielu jako przyznanie Rosji racji. Brak odpowiedzi świadczy o tym, że nie prowadzimy konsekwentnej polityki historycznej, co więcej – dąży się do ograniczenia działalności Instytutu Pamięci Narodowej czy też sprowadza edukację historyczną w polskiej szkole do bardzo wybiórczego przekazu wiedzy. Już dziś młodzież nie zna daty zbrodni katyńskiej i nie kojarzy 17 września 1939 r. Ale i wielu starszych zapomniało o cynicznych słowach naszych zachodnich sojuszników z września 1939 r.: „Nie będziemy umierali za Gdańsk” oraz „Polacy będą walczyć do ostatniej kropli krwi, a my będziemy walczyć do ostatniego Polaka”. Nie zbuduje się dobrych stosunków z Rosją ani też wspólnej Europy na historycznych fałszach.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 37/2009)

Kapitał polityczny z promowania rozpusty

Ostatnio, po moim tekście o wojnie lewicy z Kościołem („Niedziela”, nr 39/2008), otrzymałem sporo e-maili od osób zaniepokojonych rywalizacją między Platformą Obywatelską a Prawem i Sprawiedliwością. Moi rozmówcy ostrzegają, że ta polityczna wojna może zakończyć się zwycięstwem SLD w przyszłych wyborach i w konsekwencji wprowadzeniem różnych antyklerykalnych pomysłów w życie.

To chyba naturalne, że dwie największe obecnie partie na polskiej scenie politycznej, rządząca PO i opozycyjny PiS, rywalizują ze sobą, dlatego nie zgadzam się z opinią, że np. uchwalając ustawę o obniżeniu emerytur esbekom, pomagamy zewrzeć szeregi lewicowego elektoratu. Nawet gdyby

tak się stało, to nie wolno pozostać obojętnymi na to, że wielu funkcjonariuszy SB, którzy dręczyli działaczy opozycyjnych, dziś ma się bardzo dobrze, a ich ofiary wegetują za 700 zł emerytury. Krótko mówiąc – czasy PRL nie mogą pójść w niepamięć. Co zaś do zwycięstwa lewicy i wprowadzenia antyklerykalnych ustaw, o tym zadecyduje naród. To Polacy w demokratycznych wyborach pozwolą na to, czy „SLD ma Polskę europeizować” – jak to określił szef Sojuszu Grzegorz Napieralski, czy też zostanie utrzymany wypracowany kompromis w stosunkach między państwem a Kościołem.

Dobrze przypomnieć, na czym owa europeizacja miałaby polegać. I tak lewica chciałaby przede wszystkim zmienić ustawę z 1989 r. o stosunku państwa do Kościoła, aby pozbawić duchownych niezasłużonych przywilejów, w tym pensji i emerytur za nauczanie religii w szkołach. Wśród różnych antyklerykalnych pomysłów jest m.in. usunięcie symboli religijnych z urzędów, także z Sejmu i Senatu, usunięcie kapelanów z armii, policji, Straży Granicznej i Służby Celnej, refundowanie antykoncepcji i zapłodnienia *in vitro*, ułatwienie aborcji, wprowadzenie edukacji seksualnej do szkół. Dalej są postulaty, aby wszelkie uroczystości państwowe miały charakter świecki, a także i to, aby urzędnicy wszystkich szczebli nie uczestniczyli oficjalnie w uroczystościach religijnych.

Wśród innych pomysłów jest i ten – sformułowany na początku czerwca br., zaraz po objęciu stanowiska szefa SLD przez Napieralskiego – że „po zdobyciu władzy jego ugrupowanie będzie dążyć do wypowiedzenia konkordatu”. Szef SLD zapowiedział również, że nie powinno się z budżetu państwa dotować Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, a także innych uczelni katolickich. „Jeśli jakaś grupa wyznaniowa chce mieć swoją uczelnię, to niech sobie ją funduje” – dodał. Żeby było bardziej społecznie, SLD domaga się także równych wynagrodzeń dla mężczyzn i kobiet.

Oczywiście, jak zapewnia lewicowy Sojusz, nie chodzi o walkę z Kościołem, ale o budowanie państwa świeckiego, w którym wiara będzie sprawą prywatną, osobistą, ponieważ państwo jest zarówno dla wierzących, jak i dla tych, którzy nie wierzą.

Ładnie to wszystko brzmi. Partia, która balansuje na granicy progu wyborczego, odwołuje się do licznej zapewne grupy społecznej, która dąży do liberalizacji ustawy antyaborcyjnej, legalizacji eutanazji, ograniczenia roli Kościoła w życiu społecznym itp. Faktycznie, w wymienionych kwestiach kilkadziesiąt procent Polaków ma odmienne zdanie niż Kościół. Jeśli doda się do nich także tych, którzy chcieliby legalizacji małżeństw homoseksual-

nych – szefowie ugrupowań gejowskich twierdzą, że jest w Polsce takich osób ponad dwa miliony – to w sumie powstaje wcale liczny elektorat.

Czy antyklerykalizm i demoralizowanie społeczeństwa jest dobrym pomysłem na odbicie się SLD od dna w sondażach? Czy w Polsce jest możliwa powtórka z Hiszpanii, czyli wprowadzenie tzw. zapateryzmu, otwartej wojny z Kościołem? Jak sobie przypominam, to lewica w ostatnich latach raczej próbowała zmiękczać Kościół, przymilać się do niego, aniżeli dążyć do otwartej konfrontacji. Sądzę, że większość Polaków nie chce otwartej wojny którejś partii z Kościołem, jeśli zaś ktoś uważa, że należy „dołożyć” Kościołowi, pozostawia tę sprawę mediom, a te wywiązują się doskonale z zadania, które można by nazwać „neutralizowaniem” Dekalogu.

Piszę o tym, ponieważ w Kancelarii Premiera jest już projekt ustawy o „związkach partnerskich”, opracowany i złożony przez homoseksualistów zaangażowanych w ruch gejowski. Do projektu ustawy wpisano: prawo do dziedziczenia po sobie, wspólne rozliczanie podatku dochodowego, możliwość uzyskania informacji o stanie zdrowia partnera oraz kilka innych przywilejów przysługujących małżonkom. Jak na razie, nie ma w tym projekcie prawa do adopcji dzieci, przeciwnie – jeden z punktów zabrania tego. Jak przyznali autorzy projektu, zapis ten jest opracowany „z uwagi na nastroje w społeczeństwie”.

Chociaż jeszcze nie rządzi lewica, to i tak w parlamencie, a także szerzej, w społeczeństwie, czeka nas dyskusja na powyższy temat, albo inaczej mówiąc, czeka nas moralna próba, czy pozwolić na życie według absolutnej wolności. Zapewne będziemy „urabiani” przez media, że trzeba ulżyć doli „uciemiężonych” gejów i lesbijek, którzy mają prawo do samorealizacji i godnego życia. Jednym słowem – zostaną użyte wszystkie wielkie słowa po to, aby doprowadzić do zmiany obowiązującego prawa.

Ale – jak sądzę – tym, którzy walczą o wspomniane zmiany moralne w ustawach czy też o tzw. rozdział Kościoła od państwa, wcale nie chodzi o ludzką godność i wolność, ale o zabicie kapitału politycznego i „dorwanie się” do władzy. Czy im się to uda, zależy od społecznego świadectwa chrześcijan, od obecności w polityce ludzi prawych i wierzących, stojących mocno na straży tego, co święte i niezmiennie. Krótko mówiąc, wolność człowieka nigdy nie może być związana z rozpustą czy samowolą. Podobnie też wiara nigdy nie jest sprawą prywatną, nie da się jej oddzielić od życia publicznego, a chrześcijaninem powinno się być zawsze i wszędzie.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 42/2008)

Krótko o chórze krytyków Benedykta XVI

W Senacie głośno o wypowiedzi marszałka Bogdana Borusewicza, który w „Sygnałach dnia” w programie I Polskiego Radia, 29 stycznia br., publicznie zarzucił Ojcu Świętemu Benedyktowi XVI, że „odchodzi od linii, którą nakreślił i realizował Jan Paweł II” i „popelnia błąd za błędem”. Dalej marszałek stwierdził, że „to nie jest dobra sytuacja. Ja jako członek tego Kościoła jestem zaniepokojony”. Borusewicz odniósł się w swojej ocenie do papieskiej decyzji znoszącej ekskomunikę z czterech biskupów Bractwa św. Piusa X, którym w 1988 r. bez zgody Stolicy Apostolskiej sakry udzielił abp Marcel Lefebvre.

Ktoś powie, że wolno marszałkowi jako wierzącemu katolikowi nie zgodzić się z poglądami i decyzjami Papieża. W końcu żyjemy w czasach wolności i demokracji. To prawda, ale wypadaloby, aby odnosząc się krytycznie do Ojca Świętego, znać istotę sprawy. Dlatego na wstępie chciałbym przypomnieć, że dla Jana Pawła II podjęcie 21 lat temu decyzji o wspomnianej ekskomunikie było źródłem niesłychanego bólu. Papież Polak bardzo długo zwlekał z tą decyzją. Podjął ją, ponieważ znalazł się w sytuacji wyjątkowej. Ale co ważne, już wówczas liczne rozmowy z Bractwem św. Piusa X prowadził ówczesny prefekt Kongregacji Nauki Wiary, obecny Ojciec Święty, kard. Joseph Ratzinger. To on obecnie uznał, że nadeszła chwila zniesienia ekskomunik. Uczynił to zresztą na prośbę przełożonego generalnego Bractwa św. Piusa X, bp. Bernarda Fellaya, który w liście do Stolicy Apostolskiej z 15 grudnia 2008 r. prosił usilnie o zdjęcie ekskomunik. Prosta sprawa: decyzja Benedykta XVI stanowiła odpowiedź na tę prośbę, a zarazem była konsekwencją posługi Jana Pawła II.

Ponadto nieprzypadkowo zniesienie ekskomunik zostało ogłoszone w Tygodniu Modlitw o Jedność Chrześcijan. To dobry znak, bardzo pozytywny w Kościele, za to należy się wdzięczność Ojcu Świętemu Benedyktowi XVI. Znosząc ekskomunikę, Papież chciał pokazać, że w Kościele nie nastąpiło zerwanie z tradycją. Że skoro w jego obrębie mieszczą się ci, którzy odrzucają zmiany posoborowe, to znaczy, że sobór nie podważył ciągłości drogi Kościoła. Ta decyzja ma więc charakter ściśle religijny i w żadnym wypadku nie oznacza akceptacji przez Watykan politycznych czy społecznych poglądów wspomnianych biskupów Bractwa św. Piusa X.

Wracając w tym kontekście do krytyki Papieża przez Borusewicza, chciałbym podnieść ważny problem polityczny. Marszałek Senatu jest trze-

cią osobą w państwie, zaś Benedykt XVI jest Głową Państwa Watykańskiego i Stolicy Apostolskiej, z którą wiąże Rzeczpospolitą umowa konkordatowa. Czy więc krytyka tak ważnego polskiego polityka nie może być uznana za naruszenie autonomii Stolicy Apostolskiej? Myślę, że Marszałek Senatu powinien o tym wiedzieć i pamiętać. Oby w przyszłości komentowanie decyzji papieskich przez wysokich urzędników państwowych było głęboko przemyślane. Zwłaszcza, jeśli ci urzędnicy deklarują się jako osoby wierzące. Ktoś, kto przynależy do Kościoła katolickiego, powinien wiedzieć, że powinnością wierzących jest wsłuchiwanie się w głos Kościoła, w głos Magisterium Kościoła – a Papież jest najwyższym autorytetem, i to nauczanie jest wyrażone zarówno w słowach, jak i w gestach.

Czy to oznacza, że żadnemu z polityków, który przedstawia się jako „członek Kościoła”, nie wolno krytykować Papieża? Warto pochylić się nad tym problemem, ponieważ dotykamy tu ważnej kwestii. Chodzi o pewne przyzwyczajenie polityków do komentowania i oceniania wszystkiego, obojętnie z jakiej dziedziny. Rzecz ryzykowna zwłaszcza wówczas, gdy ocenia się religię i moralność. Tu myślenie polityczne może prowadzić na manowce, ponieważ oprócz własnego zdania, trzeba jeszcze mieć wiedzę oraz umieć wsłuchać się w głos Kościoła. Wchodzenie w polemikę – tak jak to odbywa się z parlamentarnej mównicy czy przed mikrofonem mediów – nie wchodzi w ogóle w grę. Na tematy moralne nie można prowadzić debaty politycznej. Tu w zasadzie nie powinno przywoływać się argumentów z sondaży, z partyjnych ustaleń, głosowań w komisjach itd. Jednym słowem, wypowiedzi ludzi Kościoła, zwłaszcza biskupów oraz Papieża, mają zupełnie inną jakość i wartość. Wobec nich obowiązuje członków Kościoła pewna podstawowa lojalność, nawet pokora jeśli się ich nie rozumie, a nie swego rodzaju „luzactwo”, poczucie własnej ważności i wyższości.

Posłużę się na koniec słowami ks. prof. Waldemara Chrostowskiego, który w „*Naszym Dzienniku*” (z 30 stycznia br.), oceniając wypowiedź marszałka Senatu, stwierdził, że „byłoby absurdem twierdzić, że w sprawach religijnych i teologicznych katolik Borusewicz jest dużo bardziej zaawansowany i wiarygodny niż Papież Benedykt XVI. Natomiast jeżeli marszałek Senatu występuje jako polityk i dopuszcza się otwartej krytyki Papieża, to zwróćmy uwagę, że nasi politycy są o wiele więcej wyważeni i ostrożni w krytykowaniu innych polityków. Może łatwiej przychodzi im krytyka polityków Białorusi i Rosji, w wielu przypadkach zdecydowanie zbyt łatwo, natomiast jeżeli chodzi o polityków zachodnich czy amerykań-

skich, co do których też wiele byłoby do powiedzenia w perspektywie religii i moralności – tam nie wypowiedzą ani słowa. Nasuwa się dość przykry wniosek: krytykowanie Papieża – i to bardzo niewybredne – nie jest już tylko udziałem tych, którzy z Kościołem nie mają nic wspólnego i mu otwarcie szkodzą albo z nim walczą, ale także tych, którzy deklarując się jako katolicy, przynależą do państwowego salonu (...). Kościół musi się stale odnawiać, ale nie dokona się to przez obliczone na doraźny poklask działania jego samozwańczych reformatorów”.

Moim zdaniem, podobne wypowiedzi i zachowania są pokłosiem globalizacji życia publicznego, pochodną nacisków ideologicznych płynących z opiniotwórczych środowisk zachodnich, przede wszystkich z Unii Europejskiej. Chór krytyków Ojca Świętego to już dzisiaj dłuższa lista europejskich i światowych mężów stanu, osób ze środowisk antykościelnych oraz liberalnych teologów.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 7/2009)

Demokratyczny pr – czyli słodkie kłamstwo

W demokracji rządzi większość oraz dobry wizerunek, a nie prawda. Dlatego nierzadko zamiast prawdy jesteśmy świadkami wielkich przekrętów dokonywanych przez tzw. demokratyczną większość. Ich przejawem są: korupcja, przekupstwo, fałszowanie leków, zaświadczeń żywności, świadectw sanitarnych, oszustwa banków, niefrasobliwe wyroki sądów i urzędów finansowych, bezprzykładny upadek uczciwości w sporcie i, oczywiście, w wielu innych dziedzinach.

Ostatnio media w Danii alarmują o gigantycznym oszustwie związanym z tzw. świńską grypą. Może się ona okazać jedną z największych afer korupcyjnych na świecie, wywołaną przez największe koncerny farmaceutyczne, które zarobiły miliardy euro na produkcji szczepionki przeciw wirusowi A/H1N1. Jeśli okaże się, że pandemia świńskiej grypy była fałszem – bo tak naprawdę takiego zagrożenia nie było – to brakuje słów, aby osądzić za to nie tylko osoby odpowiedzialne, ale też globalny system głupoty zwanej demokracją.

Innym przykładem demokratycznego ogłupiania ludzi, tym razem przez polityków, jest wmawianie nam ocieplenia klimatu, a w związku z tym obciążenie państw olbrzymią kontrybucją za emitowanie do atmosfery dwu-

tlenku węgla. Na szczęście, normalna zima, jaka przyszła – nie tylko do naszego kraju, ale także do krajów całej Europy, Stanów Zjednoczonych i Kanady, bo tam również jest styczeń i... zima – zapewne ostudzi zarówno polityków, jak i różnych pseudonaukowców od ferowania wyroków o tzw. globalnym ociepleniu. Tym razem klimat przypomniiał nam, że kłamstwo ma krótkie nogi.

Przechodząc jednak do przykładów może blahych, ale z własnego podwórka, chciałbym przywołać demokratyczne zachowania naszej większości parlamentarnej. Oto podczas poprzedniej sesji Senatu RP w grudniu 2009 r. senatorowie Platformy Obywatelskiej odrzucili uchwałę senatorów Prawa i Sprawiedliwości w obronie krzyża, zaakceptowaną już przez komisję ustawodawczą. Odrzucili, by na posiedzeniu 13 stycznia br. zgłosić własną uchwałę w tej samej sprawie. Ale i teraz widząc, że nie zdołają „przepchnąć” własnego projektu, przenieśli go na lutowe posiedzenie. Nie będę licytował, która z uchwał w obronie krzyża jest lepsza, PiS czy PO, ale ta gra o wizerunek przypomina podobną zagrywkę w Sejmie, kiedy to posłowie PO odrzucili projekt ustawy obywatelskiej, zgłoszonej przez prezydenta Łodzi Jerzego Kropiwnickiego o ustanowieniu dnia wolnego od pracy w święto Trzech Króli. Odrzucili, aby obecnie zgłosić własny projekt ustawy w tej samej sprawie. Wniosek jest prosty: wszystko musi służyć dobru wizerunkowi partii; wszystko też, co dobre dla społeczeństwa, musi pochodzić od PO.

Czy wszystko? Partia, która od początku zapowiadała, że w radach nadzorczych spółek Skarbu Państwa będą zasiadać wyłącznie osoby o wysokich kwalifikacjach, wyłonione w drodze konkursu, potwierdzone zdaniem egzaminem na członków rad nadzorczych, wstawiła już niemal wszędzie swoich ludzi, mimo że wielu z nich nie ma kwalifikacji potwierdzonych egzaminem.

Innym nośnym demokratycznym hasłem jest tzw. odpolitycznienie instytucji, którymi kierują osoby z nadania PiS. Zniszczono już CBA, osłabiono NIK, teraz atak skierowano na Instytut Pamięci Narodowej, za jego rzekomo polityczne zaangażowanie po stronie PiS. Dowodem niedemokratycznych intencji PO jest fakt, że chce zmienić ustawę razem z SLD. Jeśli do tych zmian dojdzie, IPN stanie się fasadą, a ludzie pokroju Urbana, Kiszcza czy Jaruzelskiego odetchną z ulgą. Dlatego uratowanie IPN jako instytucji naukowej, badawczej, a także rozliczeniowej z przeszłością jest naszym obowiązkiem wobec ofiar systemu komunistycznego.

Wielu dało się nabrać na inne „demokratyczne” kłamstwo. Rzeczomo, gdy rządził PiS, używano organów ścigania, by straszyć i prześladować Polaków. Aby to udowodnić, demokratyczna większość parlamentarna powołała komisję śledczą w sprawie śmierci Barbary Blidy, aby dowieść grozy PiS-owskich metod. Po dwóch latach prac komisji nie tylko niczego nie udowodniono, ale wyraźnie widać, że „grano” samobójstwem b. posłanki, aby nie tylko wywołać lęk, ale i wręcz wzbudzić wrogość do liderów PiS. Przykładów w tym tekście wystarczy.

Pogardę dla prawdy za cenę dobrego wizerunku najlepiej widać w postawach i wypowiedziach wielu polityków, ekspertów czy autorytetów medialnych, którzy pod maską demokratów skrywają swe prawdziwe oblicze. Dawniej mówiło się pogardliwie, że jakiś polityk czy partia kierują się wyłącznie propagandą sukcesu, rzucają ludowi tzw. kielbasę wyborczą. Dzisiaj o tym samym mówi się jako o skutecznym i zręcznym PR, czyli „public relations” – dobrym wizerunku. Nie ma on jednak nic wspólnego z prawdą.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 4/2010)

Kustosz pamięci katyńskiej

Odejdzie do Domu Ojca ks. prał. Zdzisława Peszkowskiego to wiadomość dla mnie bardzo bolesna i mimo wszystko niespodziewana. Chociaż miał 89 lat, wydawało się, że jest długowieczny, że zawsze wokół sprawy Katynia pojawi się jego charakterystyczna sylwetka: przyproszone siwizną skronie i szeroka, haftowana stuła na szyi z emblematami katyńskimi, z ikoną Matki Bożej Katyńskiej. Każdy, kto go znał, wie, że jego całe dorosłe życie skupiało się na jednym: aby prawda o zbrodni katyńskiej była stale obecna w naszej świadomości i aby nie została wymazana z pamięci Europy. To była jego misja od 1939 r., kiedy jako żołnierz Wojska Polskiego trafił do obozu w Kozielsku i cudem uniknął egzekucji. Swoje ocalenie odczytał jako widomy znak, że Pan Bóg zachował go jako świadka tego mordu. Dlatego został kapłanem, i choć do 1989 r. przebywał na emigracji, poruszył dosłownie niebo i ziemię, aby tę wielką, niezagojoną ranę Narodu Polskiego opatrywać i przypominać. W latach PRL tylko z Zachodu, głównie ze Stanów Zjednoczonych, rozlegał się jego głos o Katyniu, o godnym pochówku pomordowanych przez Sowiec polskich oficerów w lesie pod Smoleń-

skiem. Ale nie tylko tam, bo również w Miednoje, Starobielsku, Bykowni, Kuropatach i wielu innych miejscach.

Jak bardzo się radował, kiedy w 1990 r. Gorbaczow po raz pierwszy powiedział prawdę o pomordowanych przez NKWD polskich oficerach z Kozelska, Ostaszkowa i Starobielska. Wówczas to dzięki ks. Peszkowskiemu udało się wydobyć od Rosjan dwa dokumenty potwierdzające dowody zbrodni ludobójstwa. Pierwszy – to notatka szefa NKWD ZSRR Ławrientija Berii z marca 1940 r., zawierająca polecenie wymordowania bez sądu, bez przesłuchań 22 tysięcy Polaków zabranych do niewoli, osadzonych w obozach i więzieniach. Z tego dokumentu wiadomo, że 5 marca 1940 r. Stalin podpisał wyrok śmierci na tysiące polskich oficerów. Drugi dokument – to notatka szefa KGB ZSRR Aleksandra Szelepina dla Nikity Chruszczowa z 9 marca 1959 r., w której potwierdza on, że dokonano mordów na naszych oficerach.

Z jak wielką miłością Ksiądz Prałat podczas ekshumacji śledczej w 1991 r. brał w ręce przestrelone czaszki swoich kolegów, otulał różańcem, namaszczał je i błogosławił. Jak bardzo zależało mu na cmentarzach w miejscach komunistycznej zbrodni na Polakach! W tym celu 24 grudnia 1994 r. zawiózł do pobłogosławienia przez Papieża Jana Pawła II kamienie węgielne pod budowę polskich cmentarzy na Wschodzie. Z inicjatywy ks. Peszkowskiego rok 1995 został ogłoszony Rokiem Katyńskim. Kiedy 4 czerwca 1995 r. wziął udział w Katyniu w uroczystościach związanych z wmurowaniem aktu erekcyjnego pod budowę cmentarza polskich oficerów, w wygłoszonym orędziu Rodzin Katyńskich wyraził pragnienie, aby nieszczęście, jakie spadło na Polskę, było ostrzeżeniem dla świata przed kierowaniem się nienawiścią.

Co bardzo charakterystyczne dla Księdza Prałata, to przekonywanie, aby czcząc pamięć Golgoty Wschodu, „spoglądać na Katyń przez pryzmat Wieczernika, czyli przez pryzmat Chrystusa Zmartwychwstałego. Tylko w Chrystusie Zmartwychwstałym jest możliwy pokój i przebaczenie. Tylko wtedy, gdy człowiek zdobywa się na słowa przebaczenia, może poczuć się zwycięzcą”. Te słowa są niejako testamentem ks. Peszkowskiego, ponieważ – jak podkreślał – przyczyną dramatu katyńskiego był system wyprany z wszelkich wartości, deprawujący żyjących w nim ludzi. Ten, który strzelał oficerom polskim w tył głowy, nie miał w sercu Boga, wyrzuciła go opętana ideologią władza. Wniosek z tego jest prosty: gwarantem bezpieczeństwa ludzi i suwerenności narodów może być tylko Bóg i jego przykazania.

Nie mógł prezydent RP Lech Kaczyński sprawić Księdzu Prałatowi większej radości niż ta, że udał się ostatnio do Katynia. Nie pojechał na Kreml, jak wcześniej uczynili to jego poprzednicy, lecz pojechał od razu na groby pomordowanych polskich oficerów, pokazując tym samym swoją klasę męża stanu, akcentując, co jest dla niego najważniejsze. Przy tej okazji Prezydent przyznał również wysokie odznaczenia i stopnie wojskowe poległym, chcąc jak gdyby nadrobić to, czego przez tyle lat nie uczyniono.

A co jeszcze jest testamentem Księdza Prałata? Oczywiście, najpierw pełna prawda o zbrodni, czyli przyznanie się Rosji do ludobójstwa. Jednak to my, Polacy, powinniśmy starać się utworzyć katalog Golgoty Wschodu. Marzeniem ks. Peszkowskiego było zbudowanie na cmentarzu w Katyniu bazyliki katyńskiej, jako aktu zadośćuczynienia. Bardzo ciekawą propozycją było postawienie na Jasnej Górze obelisku z imionami wszystkich, którzy zginęli w Katyniu. Chodziło o to, aby każdy pielgrzym mógł powiedzieć: dotknąłem Golgoty Wschodu, oni są z całej Polski, ten jest z mojej miejscowości.

W styczniu 2006 r. Sejm Rzeczypospolitej przez aklamację poparł kandydaturę ks. prałata Peszkowskiego do Pokojowej Nagrody Nobla. Parlamentarzyści w uzasadnieniu podkreślili, że Ksiądz Prałat od lat działał w duchu przebaczenia i pojednania polsko-rosyjskiego. Będzie nam bardzo brakowało jego proroczego widzenia spraw wschodnich, a także jego kapłańskiego serca, szczerego i otwartego dla wszystkich.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 42/2007)

Katyń ludobójstwem

Posłowie osiągnęli porozumienie w sprawie uchwały dotyczącej 70. rocznicy 17 września 1939 r. Jej projekt, zaakceptowany przez wszystkie kluby, potwierdza, że Katyń to zbrodnia wojenna, która „ma znamiona ludobójstwa”. Ponadto uchwała wprowadza słowo „agresja” na określenie napaści ZSRS na Polskę, potępia fałszowanie historii, a także zawiera apel o pojednanie polsko-rosyjskie przez poszanowanie prawdy. „Nie wolno prawdy przemilczać ani nią manipulować”.

Trzeba przypomnieć, że zamieszanie wokół uchwały wywołała wypowiedź wicemarszałka Sejmu Stefana Niesiołowskiego. Krytykując projekt uchwały PiS, w której jasno nazwano tę zbrodnię ludobójstwem, stwier-

dził on, że „Katyń nie był ludobójstwem, tylko zbrodnią wojenną”. Według niego, uchwała PiS była „prowokacyjna i szkodliwa dla Polski”. Podobnie też szef klubu PO Zbigniew Chlebowski powiedział, że uchwała w kształcie zaproponowanym przez PiS, w jego ocenie, „jest nacechowana złością i agresją”. Jak podkreślił, „duża część tej uchwały to język konfrontacji z Rosją”.

Dwa lata temu, 14 września 2007 r., Senat nie miał wątpliwości, czym była sowiecka napaść na Polskę, czym był pakt Ribbentrop-Mołotow. Napisaliśmy wówczas w uchwale, że 17 września 1939 r. „rozpoczęła się sowiecka okupacja połowy Polski i ludobójstwo wobec obywateli polskich, którego najbardziej tragiczną częścią był Katyń, jako symbol mordu wobec wziętych do niewoli polskich oficerów. (...) Senat RP przypomina o tym tragicznym rozdziale w polsko-rosyjskich stosunkach, odrzucając próby fałszowania historii, pomniejszania zbrodni komunistów, odmowy nazywania zbrodni katyńskiej ludobójstwem”.

Co się stało w ciągu minionych dwóch lat, że dziś próbuje się zmienić klasyfikację tej zbrodni? Na czyje życzenie czy pod czyje dyktando powstał ten polityczny spór? Tu warto wspomnieć, że w 1993 r. kolegium rosyjskich specjalistów badających materiały sprawy rozstrzelania polskich jeńców wojennych orzekło, że zbrodnię katyńską należy traktować jak ludobójstwo. Rosjanie przyznali to zresztą po raz drugi – pierwszy raz uznali tę zbrodnię za ludobójstwo w 1946 r., podczas procesu zbrodniarzy nazistowskich w Norymberdze. Wówczas strona sowiecka chciała mord przypisać Niemcom i nazwała go ludobójstwem. Należy dodać, że Senat USA przyjął w 2000 r. uchwałę, w której zbrodnię katyńską określono mianem ludobójstwa. Także od lat na stronie Federacji Rodzin Katyńskich ta zbrodnia jest również określana mianem ludobójstwa, choć niespodziewanie prezes Zarządu tej Federacji Andrzej Skąpski w jednej ze swoich wypowiedzi stwierdził, że „zbrodnia katyńska zbrodnią ludobójstwa nie była”. Tymczasem IPN w 2004 r., rozpoczynając śledztwo katyńskie, przygotowując polskie stanowisko na rozmowy w siedzibie Głównej Prokuratury Wojskowej Federacji Rosyjskiej, nie miał wątpliwości, że Katyń to było ludobójstwo. IPN odwołał się do aktu oskarżenia Trybunału Norymberskiego, w którym napisano, że oskarżeni w tym procesie są odpowiedzialni za zorganizowanie systematycznego mordowania ludzi, czyli ludobójstwo (genocide) na Żydach, Polakach, Cyganach i przedstawicielach innych narodowości. Niestety, IPN domagając się wówczas z Moskwy wglądu w archiwa,

usłyszał z sądów i prokuratury rosyjskiej odpowiedź, że Katyń należy uznać jedynie za przestępstwo kryminalne, czyli takie, które się przedawnia i nie daje podstaw do postępowania odszkodowawczego.

Ktoś powie, że spieramy się o słowa. Nieprawda. To jest spór o rozumienie naszej historii i o to, jak będą ją rozumieć inni. W pojęciu ludobójstwa mieści się systematyczne mordowanie ofiar, a tak właśnie postąpiono w Katyniu, Miednoje, Ostaszkowie i wielu innych miejscach. Nie było to tylko zamordowanie strzałami w tył głowy 22 tysięcy oficerów, to były również wywózki w głąb Związku Sowieckiego członków ich rodzin, był wielomilionowy exodus Polaków na śmierć z rozkazu władzy sowieckiej.

Z całą pewnością rocznicy 17 września nie wolno traktować w kategorii doraźnej walki politycznej. Ale też nie można dopuścić, aby obecnie w Polsce istniała swoistego rodzaju cenzura rosyjska, która zamykałaby rządzącym usta i nie pozwalała zabierać głosu w zgodzie z prawdą historyczną. Kwestionowanie ludobójstwa w Katyniu jest sprzeczne z polskim interesem, podważa naszą narodową solidarność i obniża wydźwięk emocjonalny tej zbrodni. Nie wolno rezygnować z prawdy historycznej, co nie oznacza, że mamy być wrogo nastawieni do jakiegokolwiek kraju.

Dlatego wywołanie politycznego sporu o słowo „ludobójstwo” jest niedobłą taktyką obecnego rządu, który lęka się powiedzieć Rosjanom, że są również odpowiedzialni za wybuch II wojny światowej. Czy to nie dziwi, że zdecydowanie o Katyniu wypowiedzieli się prezydent, prezes IPN, wielu innych wysokich urzędników, tymczasem nie zabrał głosu premier, który – jak często w tego typu trudnych sprawach – nie zabiera głosu. Po tym sporze Rosjanie będą starali się wykorzystać różnice wśród polskich polityków czy polskiej opinii publicznej. Będą pokazywać, jak to sami Polacy spierają się między sobą na ten temat. Teraz jeszcze bardziej wykorzystają nasz spór w swej propagandzie historycznej.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 39/2009)

„Nie o zemstę, lecz o pamięć wołają ofiary”

Dnia 11 lipca 2009 r. minęła kolejna rocznica „Krwawej Niedzieli” na Wołyniu w 1943 r., w czasie której oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii zaatakowały 167 polskich kościołów, mordując dziesiątki księży rzymskokatolickich i tysiące bezbronnych wiernych modlących się w świątyniach.

W sumie w czasie ludobójstwa na Kresach Wschodnich w latach 1939–47 zamordowano ok. 200 tys. Polaków, a także wielu Żydów, Ormian i przedstawicieli innych narodowości, w tym wielu sprawiedliwych Ukraińców, którzy ratowali Polaków lub wyrażali swój sprzeciw wobec opętańczej ideologii Stepana Bandery, Dmytra Doncowa i Romana Szuchewycza ps. Tarras Czuprynka. Do tej pory na większości zbiorowych mogił ani władze polskie, ani ukraińskie nie postawiły nie tylko pomnika, ale nawet krzyża. Cała zaś sprawa ludobójstwa otoczona jest złą milczeniem, wynikającą z tzw. poprawności politycznej.

Piszę o tym, mając w pamięci XV Światowy Zjazd Kresowian 5 lipca br. na Jasnej Górze, w którym wzięło udział blisko 1000 osób, w tym przedstawiciele organizacji kresowych i kombatanckich z kraju i ze świata, Kresowego Ruchu Patriotycznego, Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, parlamentarzyści, przedstawiciele Kancelarii Prezydenta. Do Częstochowy przyjechali reprezentanci oddziałów Towarzystwa Miłośników Lwowa, Wilna, Wołynia, Podola i Polesia, Kresowiaczy ze Stanów Zjednoczonych oraz Kanady. Zabrakło, niestety, ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego oraz szefowej resortu edukacji Katarzyny Hall. Mimo zaproszenia, nawet nie przysłali życzeń. Zapewne uznali Światowy Zjazd Kresowian za wydarzenie niegodne uwagi. A może, skoro o „poprawności politycznej” mowa, nie spodobało im się, że Zjazd Kresowian odbył się pod honorowym patronatem prezydenta Lecha Kaczyńskiego – jego głębokie przesłanie o stałym wsparciu spraw Polaków mieszkających poza granicami kraju oraz podkreślające, iż zbrodnię na Wołyniu należy bezsprzecznie nazywać ludobójstwem, odczytała minister Bożena Borys-Szopa.

W podobnym tonie był list prezesa Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polskich w Ameryce Łacińskiej Jana Kobyłańskiego, który urodził się w Równem na Wołyniu, gdzie też mieszkali od wieków jego przodkowie. Założyciel i prezes USOPAL przypomniał słowa Jana Pawła II skierowane do Polaków, że „naród bez przeszłości, naród bez znajomości własnych korzeni jest narodem bez przyszłości”. Jak dodał, „słowa te motywują nas wszystkich do zachowania ojczyznego dziedzictwa, jakim są dla nas Kresy oraz nasza historia i tradycja. Mamy obowiązek wychować młode pokolenia Polaków w świadomości prawdy historycznej – niejednokrotnie dla nas bolesnej, jednak bez tej świadomości nasz naród nie przetrwa. Przekazywanie wartości, historii, kultury i tradycji młodym pokoleniom Polaków jest naszym moralnym nakazem i powinnością wynikającą z patriotycznej troski”.

Podczas obrad Jan Skalski – przewodniczący Światowego Kongresu Kresowian zaapelował o społeczną debatę na temat spraw związanych z wypędzeniem Polaków z ich ziem ojczystych, a także problemów naszych rodaków, którzy na tych terenach pozostali. Z jednej strony chodzi o rzetelną prawdę o Wołyniu w mediach i szkołach, a z drugiej – o pomoc Polakom za wschodnią granicą. Na Litwie np. likwiduje się polskie szkoły, zabrania pisać polskich nazwisk czy stosowania polskich napisów w miejscach publicznych. Problemem jest również kwestia własności ziemi w okręgu wileńskim, która kiedyś stanowiła własność mieszkających tam Polaków, a nie została im nigdy zwrócona. Krótko mówiąc: bez oświaty, nazwiska i własności nie ma przyszłości dla prawie 270 tys. Polaków zamieszkałych na Litwie.

Co do Wołynia – Zjazd podjął uchwałę w sprawie utworzenia mauzoleum poświęconego ofiarom ludobójstwa oraz objęcia patronatu nad tym dziełem przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Zostanie zbudowany pomnik Ofiar Ludobójstwa Dokonanego przez OUN-UPA na Ludności Polskiej Kresów, który stanie na placu Szembeka w Warszawie. Kamień węgielny pod jego budowę został poświęcony podczas niedzielnej Mszy św. na Jasnej Górze. Czy ten pomnik na pewno stanie w tym miejscu? Zdaniem organizatorów, władze stolicy nie są przychylne tej inicjatywie i już kilkakrotnie zmieniały lokalizację monumentu.

Cóż, rządzących należy oceniać po czynach. Dotyczy to również parlamentarzystów, szczególnie senatorów, do których należy piecza nad Polonią. Zwłaszcza w Senacie powinno się pamiętać, że Polacy w kraju, emigracja i Polonia to w rozumieniu Jana Pawła II jedna wspólnota narodowa, wytworzona przez tysiącletnią wspólną historię i kulturę, w przypadku Polski – chrześcijańską. Wspólnoty tej nie burzy ani dobrowolne opuszczenie kraju, ani przemoc i wysiedlenie. Emigracja i Polonia zawsze były dla Jana Pawła II częścią narodu polskiego, który żyje „nie tylko w swoim historycznym pniu nad Wisłą, ale także w różnych miejscach świata”.

Światowy Zjazd Kresowian był ważną okazją do zwrócenia uwagi na żywotne problemy naszych rodaków, którzy pozostali na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej, na niezałatwione sprawy związane z dyskryminacją w szkołach, niszczeniem kulturowego dorobku wieków, zakłamywaniem historii, niepozwalaniem na to, aby odpowiednio upamiętnić miejsca kaźni, zwłaszcza ukraińskiego ludobójstwa na Polakach. Nie chodzi jednak o pamięć dla zemsty, ale o to, co tak trafnie napisano na pomniku Ofiar

Ludobójstwa na Kresach, ustawionym na cmentarzu Rakowickim w Krakowie: „Nie o zemstę, lecz o pamięć wołają ofiary”.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 29/2009)

W obronie krzyża w Strasburgu

To był szokujący wyrok, jaki Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu wydał 3 listopada 2009 r. Sędziowie uznali, że krzyż wiszący we włoskiej szkole publicznej w Albano Terme jest „sprzeczny z prawem rodziców do wychowania własnych dzieci zgodnie ze swoimi przekonaniem oraz sprzeczny z prawem dzieci do wolności religijnej”. Soile Lautsi, obywatelka Włoch pochodzenia fińskiego, muzułmanka, żona aktywisty włoskiego związku ateistów, agnostyków i racjonalistów, dopięła swego. Kiedy bowiem włoskie sądy odrzuciły jej wniosek o zdjęcie krzyża w szkole jej syna, zaskarżyła sprawę do Strasburga. Wygrała, co więcej, ma otrzymać od państwa 5 tys. euro zadośćuczynienia za „straty moralne”, jakie poniosło jej dziecko chodząc do szkoły. Należy podkreślić, że wyrok zapadł jednomyślnie, a przewodniczącą składu orzekającego była sędzia Françoise Tulkens, która jest profesorem Katolickiego Uniwersytetu w Louvain.

Echa tego wyroku odbiły się w całej Europie. Zaprotestował premier Silvio Berlusconi. We włoskiej prasie pojawiły się złośliwości pod adresem Trybunału w Strasburgu. Ponieważ skarżąca jest Finką, pytano ją, czy nie przeszkadza jej krzyż na fińskiej fladze i co zrobić z Czerwonym Krzyżem. Znany watykanista Andrea Tornielli sugerował m.in., by strasburscy sędziowie zastąpili czymś symbol „plus”, bo też może się komuś źle kojarzyć. Proponuje także, by zrezygnować z podawania dat „przed Chrystusem” i „po narodzeniu Chrystusa”.

Do protestu dołączyli się obywatele Włoch, m.in. wzdłuż ulic miasta Montegrotto, na elektronicznych tablicach, które z zasady informują o sytuacji na drogach, pojawił się krzyż i napis: „My go nie zdejmujemy”. Co więcej, w wielu szkolnych aulach i urzędach państwowych, gdzie do tej pory nie było krzyży, obecnie są one wieszane. Reakcja Włochów na decyzję trybunału w Strasburgu dowodzi, iż głupota ma swoje granice. Dyskusję na temat obecności krzyża w szkołach najtrafniej podsumował jeden z włoskich polityków: „Chcą zdjąć krzyż? To niech przyjdą i go zdejmą”. Ciekawe, który z sędziów odważy się pojechać z taką misją do Albano Terme.

Włochy zapowiedziały już apelację. Sprawę rozpatrzy również ETPCz, ale w składzie 17 sędziów (tworzących tzw. Wielką Izbę Trybunału). Jeśli „wyższa instancja” potwierdzi, że wyrok był słuszny, trzeba będzie poważnie zastanowić się, czy Trybunał ma jeszcze moralną legitymację do orzekania w sprawach dotyczących praw człowieka. Absurd tego wyroku wynika z prawdy bardziej podstawowej: żadne symbole – o ile nie wzywają do nienawiści i przemocy – nie mogą być uznane za obrażające czyjeś uczucia religijne czy narodowe. Teraz Europejski Trybunał Praw Człowieka ma dwa wyjścia: przeprosić Włochów i Europę albo podać się do dymisji.

a. Konsekwencje wyroku w Polsce

Wyrok strasburskiego Trybunału może być precedensem dla orzeczeń w innych krajach. Już mamy tego przykłady. Europosłanka z SLD Joanna Senyszyn zapowiedziała kampanię przeciw „klerykalizmowi” w Polsce, będzie się domagała rozporządzenia nakazującego usuwanie krzyży ze szkół. Jak uważa, po ratyfikacji traktatu lizbońskiego nadszedł moment, by zaatakować chrześcijaństwo w Polsce, gdzie „owo chrześcijaństwo jeszcze jako tako się trzyma”.

Ostatnio trójka uczniów klasy maturalnej liceum ogólnokształcącego przy 14 Zespole Szkół we Wrocławiu – zapewne pod czyjąś namową – wystąpiła z petycją o zdjęcie ze ścian szkolnych krzyży. Protest garstki młodych został wykorzystany przez „Gazetę Wyborczą”, by stworzyć wrażenie, że obecność krzyża w przestrzeni publicznej stanowi problem także w Polsce. W tym samym również czasie mamy incydent z krzyżem w Stalowej Woli. Prezydent miasta wytoczył proboszczowi jednej z parafii proces, domagając się usunięcia poświęconego krzyża na osiedlu Młodynie. Krzyż na tym osiedlu pojawił się w miejscu, gdzie wierni planują budowę kościoła. Za powstaniem kościoła opowiedziała się Rada Miejska Stalowej Woli, jednak prezydent miasta nie wyraził na to zgody.

Z pewnością usłyszymy wkrótce o wielu nowych żądaniach usunięcia symboli religijnych z przestrzeni publicznej w naszym kraju w imię świeckości państwa. Dlatego wyrok ze Strasburga powinien nas głęboko zaniepokoić i zarazem zastanowić. Po pierwsze dlatego, że stanowi niebezpieczny precedens w kolejnych procesach. Niby dotyczy tylko Włoch, ale w praktyce może obejmować również Polskę i wszystkie inne kraje, które przyjęły Europejską Konwencję Praw Człowieka. Jest teraz bardzo prawdopodobne,

że jeśli np. ktoś z Polski złoży podobną skargę, zapadnie taka sama decyzja Trybunału.

Co prawda prezydent Lech Kaczyński wystąpił jednoznacznie i zdecydowanie w obronie krzyża w przemówieniu w dniu Święta Niepodległości 11 listopada 2009 r. Powiedział m.in.: „Nikt nie będzie w Polsce przyjmował do wiadomości, że w szkołach nie wolno wieszać krzyży, nie ma na co liczyć”. Podobnie też Sejm i Senat wydały specjalne uchwały w obronie krzyża, wypowiedziała się na ten temat Konferencja Episkopatu Polski, ale czy to wystarczy, aby powstrzymać wszelkiej maści ateistów w całej Europie, którzy z radością i aplauzem przyjęli wyrok, apelują też do wszystkich tzw. „nowoczesnych” katolików, aby przyłączyli się do ataku na Kościół, bo inaczej zostaną naznaczeni piętnem osób nie idących z duchem czasu, bigotów czy radiomaryjnych ciemnogrodzian.

b. Absurdalność wyroku

Przypomnę, że w 2006 r. głośna była sprawa jednej ze stewardes pracujących na londyńskim lotnisku Heathrow, której władze British Airways groziły dyscyplinarnym usunięciem z pracy za noszenie krzyżyka na szyi. Angielskie linie lotnicze zinterpretowały to jako „niedopuszczalną manifestację religijną niezgodną z oficjalnym stanowiskiem władz firmy”. Co ciekawe jednak, ta sama firma nie miała nic przeciw temu, by w tym samym czasie inne pracownice BA nosiły muzułmańskie nakrycia głowy, a pracujący tam sikhowie – tradycyjne turbany.

Dlaczego powinniśmy protestować przeciw treści orzeczenia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu? Po pierwsze, zawierają nieprawdziwą tezę, że „wieszanie krzyży w klasach szkolnych” stanowi „naruszenie prawa rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami”. I po wtóre – że zagraża „wolności religijnej uczniów”. Z tymi tezami absolutnie nie wolno się zgodzić. Sędziowie Trybunału odwołują się do neutralności światopoglądowej państwa, a także powołują się na Europejską Konwencję Praw Człowieka, twierdząc, że widok krzyża wyróżnia tylko jednych rodziców do wychowania dzieci zgodnie ze swoimi przekonaniami, a innych nie.

Co do neutralności światopoglądowej państwa, to sędziowie Trybunału chcą z religii uczynić sprawę czysto prywatną, bez prawa do obecności w życiu publicznym. Na to nie wolno się zgodzić. Taki model neutralności światopoglądowej państwa jest całkowicie sprzeczny z Międzynarodowymi

Paktami Praw Człowieka i z Konwencją Praw Człowieka. Ponadto w uzasadnieniu orzeczenia Trybunału pojawia się myśl o „stratach moralnych”, jakie dziecko może ponieść z powodu możliwości spojrzenia na krzyż. Takie rozumienie obecności znaku krzyża w miejscu publicznym jest wyjątkowym przejawem absurdu. Znak ofiary miłości i oddania życia dla innych – bo to oznacza krzyż – nie uprawnia do wniosku o stratach czy o złu moralnym. Do jakiej złej decyzji i jakiego złego czynu nakłania uczniów widok krzyża? Na czym konkretnie ta strata moralna w tym przypadku miałaby polegać? I dalej, najwyższy niepokój budzi intelektualny bałagan rozumienia znaczenia „wolności religijnej” przez sędziów strasburskiego Trybunału. Zastanawia, z jakiego powodu w tej wysokiej instancji sądowej zapomniano o Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka z 1948 r., w której znajdujemy czytelny zapis, że „każda osoba ludzka ma prawo do wolności myśli, sumienia i religii. Prawo to zakłada wolność zmiany religii i przekonań, jak również wolność ich manifestowania, indywidualnie czy społecznie, publicznie czy prywatnie, przez nauczanie, praktyki religijne, kult i wykonywanie rytów” (art. 18).

Dlatego w myśl tej Deklaracji, jako katolicy mamy niezbywalne prawo, aby wewnętrzne akty religijne ujawniać na zewnątrz, wyznawać je we wspólnocie i manifestować publicznie. Nie decyduje o tym nawet fakt, że katolicy stanowią większość obywateli danego kraju, choć jest to bardzo ważny argument. Dla umieszczenia znaku krzyża w miejscach publicznych, w tym także w szkołach, wystarczy szacunek dla wolności sumienia i religii oraz prawo potwierdzone przez władze państwowe. Kara wymierzona za zgodę na wieszanie krzyży w miejscach publicznych budzi zgrozę, ponieważ przypomina lata walki komunistów z religią. Ciśnię się na usta wniosek, że komunizm legł w gruzach, ale idea walki z krzyżem przybiera nowe, niespotykane dotychczas rozmiary.

Powyższy wniosek nie jest pozbawiony podstaw, ponieważ obserwujemy coraz więcej podobnie bulwersujących orzeczeń Trybunału w Strasburgu, zdradzających niepokojącą ignorancję o znaczeniu chrześcijaństwa w dziejach narodów i w kulturze europejskiej. Co więcej, podobne orzeczenia wyzwalają następnie bluźniercze wypowiedzi w mediach, antykatolickie postawy, wszelkiego rodzaju nonsensy.

Można tu przypomnieć m.in. bluźnierczy film Martina Scorsese pt. „Ostatnie kuszenie Chrystusa”, w którym jest scena ukrzyżowania, podczas której Zbawiciel wpada w stan halucynacji i rezygnuje z kontynuowania

misji zbawienia. Reżyser każe swemu Chrystusowi dalej żyć w świecie, ożenić się, mieć dzieci, dożyć późnej starości. Krzyż w tej scenie został sprowadzony wyłącznie do narzędzia tortur. Chrystus rzekomo nie wytrzymał zadanego mu cierpienia. Także w 2001 roku w Niemczech rozpoczęła się medialna wrzawa o krzyże w szkołach. Jeden nauczyciel oburzony na wiszące w szkole krzyże, skierował protest do sądu i wygrał. Szkoła ma być areligijna – orzekł sąd. Decyzją sądu w Brandenburgii zdjęto krzyże ze ścian szkoły, w której uczy wspomniany nauczyciel. Albo głośna przed kilkoma laty sprawa papieskiego krzyża w Oświęcimiu omal nie zakończyła się jego usunięciem. W opinii środowisk żydowskich domagających się usunięcia papieskiego krzyża, najpierw twierdzono, że krzyż ten jest zbyt duży, a następnie nagłośniono tezę, że nie powinno być chrześcijańskich symboli w miejscu zagłady Żydów. Szkopuł w tym, że w obozie koncentracyjnym w Auschwitz Niemcy zamordowali blisko milion Polaków, z całą pewnością w większości katolików. Albo jeszcze inny przykład. Podczas wystawy w Gdańsku w styczniu 2002 roku, Polka mieniąca się artystką, zbeszczyła krzyż umieszczając na nim ubliżającą krzyżowi fotografię.

Biskup polowy WP Tadeusz Płóski powiedział 11 listopada 2009 r. w bazylice Krzyża Świętego w Warszawie, że „dla kultury europejskiej, z której wyrastamy, krzyż i Chrystus zawsze był źródłem mocy i mądrości. Jeśli odrzucimy krzyż, to na jakich wartościach będziemy budować Europę? Przecież Europa wyrosła z chrześcijańskich korzeni, chrześcijaństwo w jej dziejach zawsze odgrywało ważną rolę i kształtowało oblicze naszego kontynentu. Piękne znaki chrześcijańskie ma cała kultura europejska – walka z nimi to prawie barbarzyństwo”.

c. Dekrucyfikacyjne akcje w PRL

Nie ukrywam, że wyrok Trybunału Praw Człowieka budzi niepokój w Polsce. Wiele znaczących osób wypowiedziało się, że to orzeczenie jest precedensowe i ten wyrok może stanowić podstawę do tego, aby w podobnych sprawach na zasadzie naśladownictwa inni rodzice sprzeciwiający się temu, aby ich dzieci oglądały w szkole krzyże, wnosili w przyszłości skargi do sądu. Gdyby tak się stało, to czeka nas walka z Bogiem, bo przecież znaki religijne to nie tylko krzyże w klasie – to kościoły, sanktuaria, obrazy w muzeach, literatura, to stroje zakonne czy sutanny kapłańskie na ulicach, w miejscach publicznych.

Już taką bolesną wojnę Europa przeżyła. Np. w czasie rewolucji francuskiej zgłoszono projekt zburzenia wszystkich wież kościelnych we Francji, ponieważ „wywyższanie się” katolickich kościołów (zwieńczonych, rzecz jasna, krzyżem) nie tylko kłóciło się z „republikańską równością”, ale także z jej „wolnością od przesądów”. W XX wieku obydwie totalitaryzmy, nazizm i komunizm, prześladowując Kościół, oparły swoją ideologię na nienawiści do krzyża jako symbolu chrześcijańskiej cywilizacji. Między innymi „znak krzyża” zastąpiono w Związku Sowieckim gwiazdą, a w III Rzeszy – swastyką. Zarówno w Sowietach, jak i hitlerowskich Niemczech krzyże usuwano ze szkół, burzono świątynie, mordowano kapłanów.

Także w latach PRL przeżyliśmy liczne akcje dekrucyfikacyjne. Pierwsza z nich odbyła się w okresie stalinowskim, gdy na przełomie lat 40. i 50. masowo usuwano krzyże z urzędów i szkolnych sal. Krzyże zaczęły powracać jako wyraz wymuszonej przez społeczeństwo krótkotrwałej „odwilży” po 1956 r. Ale tylko na krótko. Gomułkowska odwilż zakończyła się już po dwóch latach, i zaczęła się kolejna akcja dekrucyfikacyjna. Znowu ze szkół i urzędów zaczęto usuwać krzyże. Szczególnie dramatyczny przebieg akcja ta miała w Nowej Hucie – „wzorcowym mieście nowej Polski”, które miało zostać pozbawione kościołów. Ale robotnicy z Nowej Huty chcieli mieć kościół i dopięli swego z pomocą biskupa Karola Wojtyły.

Wydawałoby się, że po Sierpniu 1980 r. władze cośkolwiek powinny „odpuścić” Kościołowi, niestety, zaczęto w stanie wojennym zdejmować krzyże, które w czasach legalnego istnienia „Solidarności” powróciły do szkół. I tak na początku 1984 r. doszło do gwałtownych protestów uczniów Zespołu Szkół Rolniczych w Miętne (koło Garwolina), którzy w ten sposób wyrażali sprzeciw wobec dekrucyfikacji zarządzanej przez dyrekcję szkoły w grudniu 1983 r. W lutym i marcu 1984 r. protest rozszerzył się na cały powiat. W tej sytuacji oddziały ZOMO 7 marca 1984 r. brutalnie rozbiły strajk okupacyjny w Miętne podjęty przez kilkuset uczniów. Po tym wydarzeniu solidarnościowe strajki szkolne odbyły się w innych miejscach Polski. Głos w obronie bitych uczniów stających w obronie krzyża zabrał także Jan Paweł II. Ostatecznie komuniści zgodzili się na obecność krzyża w miejscach, gdzie najmniej narażał na szwank „wolność religijną” dzieci funkcjonariuszy partyjnych oraz służb mundurowych – czyli w szkolnej bibliotece, świetlicy oraz internacie.

Podobny strajk jak w Miętne wybuchł 3 grudnia 1984 r. w Zespole Szkół Zawodowych we Włoszczowie. Strajk trwał dwa tygodnie, a jego

uczestnicy zostali poddani surowym represjom. Część uczniów relegowano, sprawy sądowe wytoczono również miejscowym katechetom, którzy aktywnie wspierali protest swoich wychowanków. A ile milicja musiała walczyć z krzyżem układanym z kwiatów od czerwca 1982 r. na placu Zwycięstwa (dziś placu Piłsudskiego), w miejscu, gdzie stał krzyż podczas pamiętnej Mszy papieskiej z 1979 r., a dwa lata później – katafalk z ciałem Prymasa Tysiąclecia. Krzyż z kwiatów był układany za dnia, a w nocy „nieznani sprawcy” z MSW usuwali je. Podobnie czyniono z krzyżami katyńskimi na Powązkach, a także na innych cmentarzach w całym kraju. W tym przypadku chodziło o to, aby drażnić „Wielkiego Brata”, sprawcy zbrodni katyńskiej.

Albo inny ważny krzyż: pod kopalnią Wujek. Był znakiem sprzeciwu, a zarazem świadectwem prawdy, przypominał dramat pacyfikacji i ofiarę życia złożoną przez dziewięciu górników 16 grudnia 1981 r. I ten krzyż nocą 27 stycznia 1982 r. „nieznani sprawcy” wylamali i zniszczyli. Dopiero pod wpływem narastającego oburzenia komisarz wojskowy pozwolił postawić nowy, większy. Ale jednocześnie teren wokół krzyża stał się najbardziej inwigilowanym miejscem w Polsce. Patrole milicyjne pilnowały dzień i noc, by nikt nie złożył przy nim kwiatów i nie zapalił zniczy. I jeszcze jeden ważny krzyż: pod stoczną gdańską, upamiętniający ofiary zbrodni komunistycznej z 1970 r. Gdyby jeszcze wymienić kilka podobnych miejsc, należałoby powiedzieć, że dzieje powojennej Polski można opowiedzieć jako historię krzyży. Krzyży poznańskich, krzyży gdańskich, krzyży śląskich... Bo właśnie krzyż jest znakiem wolności. Usuwając go, rezygnujemy z wolności, a czyjaś wola staje się ważniejsza od godności. „Europa, zabraniając krzyży we włoskich szkołach, daje nam tylko dynie na Halloween” – powiedział ks. kard. Tarcisio Bertone, sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej.

d. Budowa bezwyznaniowej UE

Unia Europejska miała być inna. Wśród europejskich polityków, tzw. ojców Europy, takich jak Robert Schumann czy Charles de Gaulle, mocne było przekonaniem, aby w procesie europejskiej integracji koniecznie odwołać się do chrześcijańskiego dziedzictwa Europy. De Gaulle w 1965 r. porównał ten proces do budowy katolickiej katedry. Tymczasem Traktat Lizboński w oczywisty sposób chce odciąć się od chrześcijańskiego dziedzictwa Starego Kontynentu. Świadczy o tym nie tylko milczenie

o wkładzie chrześcijaństwa w kulturą tożsamość Europy, ale również dołączona do traktatu lizbońskiego tzw. Karta Praw Podstawowych. Nie ma w niej definicji małżeństwa jako związku mężczyzny i kobiety, dlatego otwiera drogę ku uznaniu związków homoseksualnych za małżeństwa. Z kolei zawarty w Karcie zakaz „dyskryminacji ze względu na orientację seksualną” jest przygotowaniem gruntu pod karanie osób głoszących chrześcijańską naukę. Przypomnę ukaranie szwedzkiego pastora za krytykę homoseksualizmu. Także zawarty w Karcie Praw Podstawowych zakaz stosowania kary śmierci oznacza wyłącznie zakaz stosowania tej kary wobec osądzonych zbrodniarzy, ale nie wobec niewinnych, nienarodzonych dzieci. Na razie Polska zastrzegła sobie interpretowanie praw zawartych w Karcie w świetle własnego ustawodawstwa. Na jak długo jednak, skoro europejskie Trybunały już skazują nasz kraj na kary, jak to miało miejsce w przypadku Alicji Tysiąc.

Krótko mówiąc, dewiacja ideologiczna Europy, a konkretnie poszerzanie „praw człowieka” o różne niemoralne zachowania, jest obecnie skierowana na walkę z Bogiem oraz Kościołem katolickim, a dowodem na to jest m.in. dążenie do usunięcia wszelkich przejawów kultury chrześcijańskiej z życia i ze sfery publicznej. Oznacza to, że po totalitaryzmie rewolucji francuskiej, październikowej, hitlerowskiej, czeka nas nowy totalitaryzm: „eurokratyczny”.

e. Jan Paweł II: Brońcie krzyża!

W 1995 r. w Skoczowie podczas jednodniowej pielgrzymki do Polski Jan Paweł II, nawiązując do czasów wielkiej próby sumień – jak nazwał PRL – powiedział: „Wbrew pozorom praw sumienia trzeba bronić także dzisiaj. Pod hasłami tolerancji w życiu publicznym i w środkach masowego przekazu szerzy się nieraz wielka, może coraz większa nietolerancja. Odczuwają to boleśnie ludzie wierzący. Zauważa się tendencje do spychania ich na margines życia społecznego, ośmiesza się i wyszydza to, co dla nich stanowi nieraz największą świętość”. Jakże proroczo dodał o konieczności trwania przy krzyżu, w którym „w okresach najcięższych dziejowych prób naród szukał i znajdował siłę do przetrwania i do powstania z dziejowych klęsk”.

Każdy z nas oczyma wyobraźni widzi Jana Pawła II opierającego się o papieski pastorał z krzyżem. Albo zapamiętał Ojca Świętego z krzyżem w rękach w rzymskim Koloseum. Albo ma zdjęcie Jana Pawła II przebie-

rającego ziarenka różańca, modlitwy zaczynającej się od znaku krzyża świętego. Taki był zawsze Ojciec Święty: wołający o miejsce dla krzyża Chrystusa! O otwarcie drzwi swoich serc Chrystusowi. Ten apel Papieża Polaka przejdzie do historii jako przewodnia idea jego wielkiego pontyfikatu.

Prawda jest taka, że jeśli chcemy cokolwiek czynić z Bożą pomocą, rozpoczynamy od znaku krzyża. W starożytności krzyż był znakiem hańby. Zanim stał się symbolem zmartwychwstania i zbawienia, musiał zawisnąć na nim Jezus Chrystus, Zbawiciel świata. Odtąd krzyż wszedł do religii i kultury jako znak zwycięstwa. Odtąd również krzyż towarzyszy chrześcijaństwu wszędzie, jest umieszczony w każdym ważnym miejscu kultu, liturgii, pamięci... Kiedyś rozpoczynano znakiem krzyża kroić bochen chleba, bo chleb tak jak krzyż daje życie. Kiedy bowiem czynię znak krzyża, pragnę Bożego błogosławieństwa, wzywam Boga na pomoc. Żegnam się, aby stanąć w obecności mocy Pana.

Krótko mówiąc, bez Chrystusowego krzyża nie ma prawdziwego chrześcijaństwa. Przyjąć Chrystusa oznacza przyjąć także krzyż. Jego krzyż, a nie własną wizję krzyża. Czyli innymi słowy, nie chodzi o to, aby wdrapywać się na krzyż, bo z niego lepiej widać, ale o to, by nieść jego ciężar razem ze wszystkim zobowiązaniami Ewangelii, tak jak Jezus. Prawdziwy krzyż musi być ciężki, powinien przygniatać swoim ciężarem. Ale należy go umieć przyjąć ze spokojem, z cierpliwością i nadzieją, bo to cena odkupienia. Umiejętność niesienia krzyża jest dowodem mojej miłości do Boga, mojego przywiązania do Ewangelii Jezusa. Podkreślili to po swoich rocznych rekolekcjach Księża Biskupi 26 listopada 2009 r. Wyrażając protest w sprawie wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu w odniesieniu do znaku krzyża, polscy biskupi napisali, że „Krzyż jest wyrazem miłości i znakiem poświęcenia się dla innych. Jest on nie tylko świętym znakiem każdego chrześcijanina, ale stanowi również ważny element tożsamości kultury europejskiej, jest obecny w symbolach narodowych wielu krajów i organizacji oraz stanowi główny motyw wielu odznaczeń. Ma zatem wymiar uniwersalny. Obrona krzyża jest zadaniem nas wszystkich. Prawa niewierzącej mniejszości powinny być łączone z obowiązkiem respektowania praw większości ludzi wierzących. Nie wolno ranić uczuć osób, dla których krzyż jest symbolem największych wartości. Trzeba uszanować ich prawo do publicznego wyrażania swych przekonań religijnych”.

Także Senatorowie w specjalnej uchwale napisali, że kultura narodu polskiego, zgodnie z preambułą Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, jest zakorzeniona w chrześcijańskim dziedzictwie. Postanowienia tego nie należy traktować w charakterze niewiele znaczącej deklaracji, lecz jako wskazówkę przy interpretowaniu dalszych postanowień Konstytucji RP, a także stanowieniu aktów prawnych niższego rzędu.

I tu dodam, że polskie prawodawstwo nie zabrania, a wręcz zachęca, do zamieszczania krzyża w pomieszczeniach szkół publicznych. W przepisie § 12 rozporządzenia Ministra Edukacji Narodowej w sprawie warunków i sposobu organizowania nauki religii w publicznych przedszkolach i szkołach z dnia 14 kwietnia 1992 roku (Dz.U. nr 36, poz. 155) czytamy, że „w pomieszczeniach szkolnych może być umieszczony krzyż. W szkole można także odmawiać modlitwę przed i po zajęciach. Odmawianie modlitwy w szkole powinno być wyrazem wspólnego dążenia uczniów oraz taktu i delikatności ze strony nauczycieli i wychowawców”. Konstytucyjność rozporządzenia została potwierdzona wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego (z 20 kwietnia 1993 roku, sygn. U 12/92).

Jednym słowem, w polskiej przestrzeni prawnej obowiązuje zasada, że obecność krzyży w salach szkół publicznych jest w pełni akceptowana, a wykładnia przepisów Europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka pod żadnym pozorem nie może być zastosowana na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej.

Niestety, Europa szczytująca się nieskazitelnością swojej demokracji, zmierzając powoli w stronę dyktatury mniejszości. Coraz większe przywileje nadawane homoseksualistom, sposób, w jaki przeforsowano Traktat Lizboński czy wreszcie werdykt w sprawie krzyża w Abano Terme pokazują, iż najistotniejsze dla przyszłości Starego Kontynentu decyzje są podejmowane w sposób urągający podstawowym zasadom demokracji. Ale patrząc na to optymistycznie, wypada podziękować sędziom ze Strasburga, ponieważ ich wyrok już podzielał na większość chrześcijan jak zimny prysznic. Jest szansa, że nastąpi jakieś przebudzenie i mobilizacja do większej aktywności w życiu publicznym. I bynajmniej nie chodzi o narzucanie Europejczykom wiary w Chrystusa i w Kościół. Chodzi jedynie o to, że żaden trybunał nie ma prawa tworzyć z jakiegoś kraju społeczeństwa „oficjalnie achrześcijańskiego”. Jeśli jednak Europa chce być potęgą, to odrzucając krzyż dokonuje cywilizacyjnego samobójstwa. Odcina się od swoich chrześcijańskich korzeni, wyrwca do góry nogami świat wartości, który przez

stulecia łączył Europejczyków. Niestety, sprawdza się po raz kolejny prawda, o której mówił Ojciec Święty Jan Paweł II, a co obecnie powtarza Benedykt XVI, że demokracja bez wierności prawu Bożemu czy naturalnemu wpisanemu w ludzkie serca grozi totalitaryzmem. I tego doświadczamy już obecnie.

*(Wykład wygłoszony w Ursusie, 15 grudnia 2009 r.
w Klubie Dyskusyjnym Myśli Politycznej)*

Polska u progu 2010 roku

Jaka jest Polska u progu 2010 r., po dwóch latach rządów Platformy Obywatelskiej? Jak sądzę, nawet dla wielu sympatyków PO półmetek rządów jest ogromnym rozczarowaniem. Co prawda mamy kryzys gospodarczy na całym świecie i należałoby na jego karb scedować liczne niepowodzenia polskiego rządu, w tym największą w ostatnich 20 latach dziurę budżetową, sięgająca oficjalnie 52 mld zł, a nieoficjalnie – blisko 90.

Niestety, kryzysem nie da się wszystkiego wytłumaczyć. Co ma np. kryzys gospodarczy do zapowiadanych zmian prawa, aby było bardziej przyjazne dla przedsiębiorców? Nie doczekaliśmy się żadnego kompleksowego opracowania przepisów, a wyrywkowe zmiany zaproponowane przez tzw. komisję Palikota, były regularnie wyśmiewane przez specjalistyczną prasę.

Podobnie rząd w walce z kryzysem zapowiedział wprowadzenie Pakietu Antykryzysowego resortu pracy, pakietu Ministerstwa Rozwoju Regionalnego, Rezerwy Solidarności Społecznej oraz dopłat do kredytów dla osób tracących pracę. Obietnic było wiele. Niestety, po dopłaty do kredytów przeznaczone dla tracących pracę zgłosiło się zamiast oczekiwanych 100 tys. tylko 631 osób oraz 30 firm. Po prostu, możliwość uzyskania dopłat została obwarowana tak wyśrubowanymi wymogami, że mało kto jest w stanie je spełnić.

Dla bezpieczeństwa naszych emerytur został powołany tzw. Fundusz Rezerwy Demograficznej. Powstał on w części z przychodów z prywatyzacji i miał służyć jako pomoc dla rodzin, dla odbudowy przyszłych pokoleń. Co zrobił premier? Postanowił nim załatać dziurę budżetową, pożyczając z tego funduszu 7,5 mld zł, które pójść na wydatki ZUS.

W budżecie na 2009 r. przewidziano minimalną waloryzację rent i eme-

rytur. Miało być lepiej w 2010 r. Tymczasem Rada Ministrów zaakceptowała propozycję pozostawienia wskaźnika waloryzacji emerytur i rent w 2010 r. na poziomie ustawowego minimum. Czyli większość emerytów dostanie podwyżkę po kilka zł. A ceny rosną. Ciekawe czy Donald Tusk wie, ile teraz kosztuje chleb, kurczaki, ziemniaki, jabłka...

Kraj miał się rozwijać dzięki funduszom unijnym. Co mówią liczby? W 2008 r. z przyznanej kwoty 280 mld zł (67 mld euro) wydaliśmy jedynie 1 mld zł. Na rok 2009 minister Elżbieta Bieńkowska zaplanowała wydać 17 mld zł, czyli 17 razy więcej. Jeszcze dokładnie nie wiadomo, ile wydaliśmy w 2009 r., ale jeśli będziemy wykorzystywać środki z UE w tym tempie co dotychczas, to znaczna część tych 280 mld zł, które mamy wydać do 2013 r., przejdzie nam koło nosa.

Premier obiecywał, że rząd ograniczy zwiększanie długu publicznego. Tymczasem obecnie zadłużenie Polski osiągnęło poziom niespotykany od lat: 600 mld zł. Stoimy na krawędzi przekroczenia tzw. progów ostrożnościowych – barier chroniących nas przed nadmiernym zadłużeniem. To, co za rządów PiS było nie do pomyślenia, teraz jest przedstawiane jako przemyślana i odpowiedzialna polityka ekonomiczna.

Przed wyborami PO piętnowała opóźnienia w budowie autostrad, a teraz sama nie radzi sobie z ich budową. Przykładem może być brak do tej pory zatwierdzonego projektu obwodnicy Augustowa. Specjaliści uważają, że rząd wybrał drogi system finansowania budowy dróg (obligacje sprzedawane przez NBP). Nie wiadomo, dlaczego pieniędzy nie mógł pożyczać budżet państwa. Ponadto na remonty dróg w 2010 r. przeznaczono trzykrotnie mniej niż w obecnym roku. Zapomnijmy, że na EURO 2012 będą autostrady. Przypomnę, że w latach 2006–2007 udało się wyremontować ok. 4 tys. kilometrów dróg krajowych. Rok później było to zaledwie 600 kilometrów, ten rok nie został jeszcze ujęty w statystykach, ale już teraz wiadomo, że w przyszłym roku uda się wyremontować nie więcej niż 350 kilometrów.

Bezrobocie sięga już 11 proc., czyli milion czterysta tysięcy osób pozostaje bez pracy. A jak wygląda walka z bezrobociem? Owszem, zwalnianym ze stoczni pracownikom zaproponowano m.in. przekwalifikowanie na inne zawody: wizażysty, fotografa, specjalisty przekłuwania ciała, a nawet piesiego fryzjera. Problem jest poważniejszy: urzędowi pracy brakuje pieniędzy na opłacanie składek zdrowotnych dla bezrobotnych, kończą się pieniądze na wspieranie rozwoju własnych biznesów przez bezrobotnych. Także mechanizm wsparcia bezrobotnych z unijnych środków nie działa.

Mieli wracać do kraju emigranci. Faktycznie, niektórzy wracają, ale nie dlatego, że dokonał się cud Donalda Tuska, tylko dlatego, że skończył się ten irlandzki. Premier obiecywał podjąć rzeczywistą walkę z korupcją, ale kiedy okazało się, że czołowi politycy PO są zamieszani w aferę stoczną i hazardową, czyni się wszystko, by powołaną w tej sprawie komisję śledczą skompromitować.

Należałoby jeszcze wspomnieć o niebotycznym chaosie i braku pieniędzy w ochronie zdrowia, edukacji, wojsku..., o fiasku polityki prorodzinnej. Czyż mogło być inaczej, skoro rządzący nie mają żadnej wizji, koncepcji ani środków ratunku, a premier ma tylko jeden jedyny cel: zostać prezydentem? Dlatego wcale nie złośliwi, ale właśnie rozczarowani sympatycy mówią, że po dwóch latach skrót nazwy partii rządzącej – PO należy czytać: Puste Obietnice.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 2/2010)

Prawyborcza heca w Platformie

Platforma Obywatelska wpadła na piarowski pomysł, aby cały naród uczestniczył w propagandowej kampanii pod nazwą: kto będzie kandydatem tej partii na ojca narodu? Problem jednak w tym, że tak naprawdę nie wiemy, dlaczego w ogóle konkurują ze sobą Radosław Sikorski i Bronisław Komorowski. Mają niemal identyczne poglądy polityczne i światopoglądowe: obydwaj są za zmianami w konstytucji przygotowanymi przez ich własną partię, które praktycznie odbierają władzę prezydentowi; obydwaj są za aborcją w obecnej formie ustawowej oraz za *in vitro*. Także ich wizja Polski jako kraju całkowicie zależnego od Brukseli niczym się od siebie nie różni. Po co więc to wszystko? Wniosek nasuwa się tylko jeden: cała ta prawyborcza heca została wymyślona wyłącznie po to, aby kandydaci prześcigali się w okazywaniu niechęci do Lecha Kaczyńskiego i w konsekwencji wyczyścili pole dla jednego z nich, który nie może być do końca pewny swojej wygranej.

Dowodem na to jest arogancki występ szefa MSZ w sali centrum kongresowego Opery Nowej w Bydgoszczy. Oburzające były deklaracje Sikorskiego, kandydata na kandydata na prezydenta, w rodzaju: „Prezydent może być niski, ale nie powinien być mały”; nie będę „wałęsać się” po Kaukazie; „pokażę inną twarz naszego kraju: bez grymasów, kompleksów, zwróconą

ku przyszłości, bez haków, donosów i lęków wobec wyzwań współczesnego świata”; „prezydentura nie musi wyglądać tak jak teraz. W miejsce nadęcia, tuzinów ochroniarzy i doradców od wszystkiego obiecuję republikańską skromność”; „zamiast obrażania się na Europę, zamykania się w okopach własnego niedostosowania, ja będę Europie tłumaczył nasze polskie racje, ale w języku, który Europa jest w stanie przyjąć”; „za 297 dni będziemy mogli powiedzieć: były prezydent Lech Kaczyński”.

To walenie z grubej rury w głowę państwa zebrana gawiedź nagradzała burzliwymi oklaskami. Wygląda na to, że minister spraw zagranicznych ma jakąś obsesję na punkcie prezydenta, bo to spotkanie przypominało seans nienawiści z rozwinięciem retoryki o „dorzynaniu PiS-owskiej watahy”. Czytając o tym w mediach, odnoszę wrażenie, że „palikotyzacja” czy też „niesiołowszczyzna” poczyniły głębokie szkody nie tylko wśród naszych polityków, ale i w narodzie.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego Kaczyńscy stali się dla dużej części klasy politycznej wygodnym workiem treningowym, który można obijać bez żadnych konsekwencji. Czyżby kandydat na kandydata na prezydenta, atakując głowę państwa w tak prostacki sposób, nie rozumiał, że obniża rangę urzędu, który chciałby objąć, czyżby nie wiedział, że uczy społeczeństwo politycznego chuligaństwa, że jako minister spraw zagranicznych ukazuje Polskę jako państwo chore z nienawiści?!

Zapewne Sikorski będzie mściwy, małostkowy i pamiętliwy tylko do chwili wybrania go na prezydenta. Potem nastąpi cudowna przemiana i stanie się mężem stanu, będzie mówił językiem miłości. Czyżby to także miał być jeden z cudów obiecanych Polakom przez premiera Donalda Tuska?

O co tak naprawdę chodzi w tym cyrkowym przedstawieniu z prawyborami? Skąd tak miażdżące sondaże w mediach dla urzędującego prezydenta?

Po pierwsze – PO na siłę wbija do głowy narodowi, że kandydat ich partii jest już w zasadzie prezydentem i jego wybór będzie tylko formalnością. Po wtóre – taki spektakl polityczny jest potrzebny PO, aby odwrócić uwagę od istotnych problemów, takich jak bodaj te, że obecnie najbliższy wolny termin do lekarza endokrynologa to listopad; mamy już grubo ponad 2 miliony bezrobotnych; ponad 60 proc. absolwentów szkół, młodych ludzi, jest bez pracy. I po trzecie – na Zachodzie komentuje się, że rezygnacja Tuska z kandydowania na urząd prezydenta została podjęta przez „reżyserów” polityki europejskiej (wola u nas takiego premiera, jaki jest!).

Wracając na poważnie do prawyborów w PO, to wcale nie są one zabawne. Jeśli szef MSZ nie jedzie na ważne spotkanie ministrów spraw zagranicznych do Cordoby, bo promuje się w Katowicach, to znaczy, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Ponadto minister Sikorski obraził to gremium, mówiąc, że na tak nieważne spotkania on jeździć nie będzie. W normalnym kraju po takich słowach minister zostałby zdymisjonowany.

Prezydent Lech Kaczyński będzie sprawował swój urząd niemal do końca obecnego roku i również w tym czasie szef dyplomacji będzie miał obowiązek z nim współpracować. Trudno jednak sobie wyobrazić, aby prezydent obecnie mógł ministrowi podać rękę. Jeśli konwencja ministra Sikorskiego w Bydgoszczy – jak się mówi – była w stylu amerykańskim, to niech nas Pan Bóg chroni przed takimi popłuczynami ze Stanów.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 12/2010)

Ustawa o IPN sprzeczna z polską racją stanu

(Przemówienie na 52 posiedzeniu Senatu, 8–9 kwietnia 2010 r., w sprawie zmiany ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu oraz ustawy o ujawnianiu informacji o dokumentach organów bezpieczeństwa państwa z lat 1944–1990 oraz treści tych dokumentów).

Panie Marszałku. Wysoki Senacie.

Znany satyryk Jan Pietrzak w wywiadzie w „Rzeczpospolitej” z 26 marca 2010 r. o zmianach dokonanych przez posłów PO w ustawie o IPN powiedział prosto: „Niestety, wciąż istnieją w Polsce potężne siły przeciwne lustracji i dekomunizacji, chroniące szubrawców i nadające ton w mediach. Tymczasem na jednym ludzkim losie można prześledzić, ile świństw zrobiono, a to przecież jest zaledwie wierzchołek góry lodowej. Naturalnie, nie wszystkie przewiny kapusiów należy wkładać do jednego worka, każdy przypadek trzeba rozpatrywać indywidualnie – ktoś coś bąknął z głupoty, ktoś inny był szantażowany – ale najczęstsze są przypadki donoszenia z premedytacją, ze złą wolą, żeby zniszczyć, żeby zaszkodzić ... Ale, prawdę mówiąc, nie ma we mnie silnej złości, jest tylko potrzeba ujawnienia prawdy”.

Nowelizacja ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, moim zdaniem, to nic innego, jak polityczny zamach, ukartowany przez koalicję zawartą

przez Platformę Obywatelską z Sojuszem Lewicy Demokratycznej przeciw prawdzie o Polsce i Polakach. Jak sądzę, obydwie partie są zainteresowane likwidacją instytutu albo jego zmarginalizowaniem. Dlatego głosowanie w Sejmie nad tą ustawą zostało nazwane „dniem hańby PO”, gdyż partia o rodowodzie solidarnościowym głosowała wspólnie z ugrupowaniem o rodowodzie postkomunistycznym przeciw prawdzie o polskiej historii.

Rzekomym pretekstem nowelizacji jest upolitycznienie tej instytucji, czyli należałoby oczekiwać teraz, dzięki tym zmianom, że Platforma Obywatelska wprowadzi do nowej Rady IPN własnych apolitycznych historyków, którzy wybiorą oczywiście apolitycznego prezesa. Państwo Senatorowie rozumieją moją ironię, bo to szermowanie hasłem odpolitycznienia jest doprawdy bałamutne i niepoważne. Jeśli bowiem w tej chwili powołanie i odwołanie szefa instytutu wykracza poza bieżącą politykę, wymaga kompromisu wszystkich sił politycznych, to wkrótce odwołanie go będzie dziecinnie łatwe. Skoro będzie można go odwołać zwykłą większością głosów, a nie 3/5, jak dotychczas, to prezes staje się właściwie zakładnikiem aktualnej sytuacji politycznej. I dlatego te zarzuty o upolitycznieniu to absurd.

Trzeba powiedzieć, że pracownicy Instytutu Pamięci Narodowej już dzisiaj są jednymi z najlepszych specjalistów od akt archiwalnych, a obecna silna pozycja prezesa daje im ogromną możliwość niezależnego od wpływów politycznych kontynuowania badań historycznych. Tymczasem nowe propozycje uderzają w prezesa, rozmywają też klarowność zasad kierowania tą instytucją, a także odpowiedzialność za wydawane decyzje. Obecne kolegium z ciała doradczo-kontrolnego staje się jako rada organem silnym, współdecydującym o działaniu IPN, ale, jak tu już prezes Kurtyka mówił, wszelkie konsekwencje i odpowiedzialność za to działanie ma ponosić właśnie prezes. Może się okazać, że nie będzie komu zostać prezesem tej instytucji.

Mówiono już tutaj o innych niebezpieczeństwach tych zmian, ja może podkreślę tylko procedurę wyboru członków nowej rady, w jaką zostają włączone instytucje świata naukowego, które wcześniej w tego typu procedurach nigdy nie brały udziału. Po co wplątywać naukowców w politykę? Mam nadzieję, że ten zapis o elektorach i kandydatach do Rady IPN z uczelni wyższych zostanie przez senatorów z projektu ustawy usunięty.

Skąd ta potrzeba nowelizacji? Takie pytanie należy postawić. Czyżby ktoś zauważył jakieś słabości organizacyjne IPN? Może te setki wystaw,

tysiące artykułów, ponad osiemset publikacji zwartych wydanych w latach 2000–2009 kogoś raża, może komuś to się nie podoba? Albo co oznaczają te bałamutne słowa o otwarciu archiwów, skoro obecnie maksymalnie zwiększono dostępność archiwów dla wszystkich z nich korzystających, w tym badaczy i dziennikarzy?

Krótko mówiąc, ten projekt ustawy jest szkodliwy, zmierza do stopniowej likwidacji IPN, a korzyści z tego w pierwszej kolejności odniosą wszelkiego rodzaju agenci Służby Bezpieczeństwa, a także wszyscy ci, którzy w jakimś stopniu byli uwikłani czy to w działalność partii komunistycznej, czy w działalność administracji PRL.

Komu zagraża IPN? – oto jest pytanie. IPN, tak jak już CBA będzie kolejną instytucją, która zostanie zawłaszczona przez Platformę Obywatelską. IPN dostając się w polityczne ręce, utraci niezależność, historycy będą bali podejmować się trudne tematy. Wczoraj szef CBA, jutro szef IPN Janusz Kurtyka. To polityczny plan PO.

Dlatego ponawiam pytanie: dlaczego PO tak usilnie dąży do zmian w działalności IPN? Jak sądzę, przywracanie pamięci o peerelowskiej przeszłości jest nie na rękę bardzo wielu środowiskom i poszczególnym osobom. Myślę, że prawdziwym celem tych zmian, a wcześniej ataków na IPN, na przykład za rzekomą odpowiedzialność za wydanie książki Żyzaka o Wałęsie, nie jest jedynie sprawa lustracji, nie jest samo ujawnianie czyjejś agenturalnej przeszłości. Ktoś „ważniejszy” jest bardzo zaniepokojony aktywnością pionu śledczego IPN, czyli Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu.

Przypomnę, że tylko w jej warszawskim oddziale są prowadzone ważne śledztwa w sprawie zbrodni komunistycznych, między innymi w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka, a podejrzanymi są ludzie z kręgów prokuratury, SB, MO i MSW. Toczy się śledztwo w sprawie nielegalnego przejmowania spadków po zmarłych za granicą Polakach przez podstawionych agentów. Podejrzanymi są oficerowie Sztabu Generalnego Ludowego Wojska Polskiego. Inne śledztwo obejmuje byłych ormowców, którzy w stanie wojennym bili brutalnie demonstrantów. Trwa śledztwo w sprawie zabójstw księży: Stanisława Suchowolca, Sylwestra Zycha, Stefana Niedzielaka, Leona Błaszczyka, Stanisława Kowalczyka, Romana Kotlarza, Stanisława Palimąki, Antoniego Kija.

Obecnie pion prokuratorski IPN prowadzi tysiąc dwieście śledztw. Zbierane są dowody w sprawie komunistycznej agentury, zabójstw dokonywa-

nych przez „nieznanych sprawców”. To z badań historyków IPN coraz więcej wiemy o masakrze na Wybrzeżu w grudniu 1970 r. To nieprawda, co mówił wówczas minister obrony narodowej, potem twórca stanu wojennego, a na koniec prezydent Polski, że trzeba było otworzyć ogień, bo ludzie wyszli na ulice, spalili budynek komitetu partii, niszczyli sklepy, atakowali siły porządkowe...

Przecież stoczniovcy na apel towarzysza Kociółka przyjechali na poranną zmianę do pracy i wpadli w precyzyjnie zastawioną na nich pułapkę. Bramy stoczni obstawiali podwładni Jaruzelskiego, którym wydano rozkaz, aby nie wpuścić robotników do zakładu. Kiedy kolejne pociągi wyładowywały na stacji pracowników, stoczniovcy pod bramą zaczęli napierać na wojsko. Ktoś wydał rozkaz użycia broni, ktoś to ukartował z zimną krwią, aby w następstwie tych wydarzeń odwołać Gomułkę i wprowadzić Gierka – o tym przeczytamy w szczegółowych analizach historycznych w biuletynach IPN.

Kto? Czy to nie musi dziwić, że decyzje o zmianach politycznych zapadały na posiedzeniu Biura Politycznego Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego w Moskwie. To Leonid Breżniew postawił kwestię sukcesji władzy w Warszawie i powiedział, że najlepszym kandydatem jest Gierek. Czy to nie interesujące, że generał Jaruzelski zachował w nowym rządzie wszystkie wpływy? O tym mówią dokumenty IPN.

A co będzie, jak IPN zabierze się za sprawę śmierci księdza Jerzego Popiełuszki? Istnieje hipoteza, że morderstwo a następnie skazanie oprawców Księdza Popiełuszki było niezbędne, aby społeczeństwo uwierzyło w wiarygodność władzy, która zamierzała podjąć rozmowy z częścią opozycji. Po skazaniu zabójców Kapelana „Solidarności” generałowie Jaruzelski i Kiszcak stali się dla części opozycji wiarygodnymi partnerami. Jakby na to nie patrzeć, zabójstwo Księdza Jerzego pozwoliło im zapewnić sobie absolutną dominację w partii, uwiarygodnić się w oczach społeczeństwa oraz stać się jedynymi partnerami rozmów z opozycją. Przewidział to Mieczysław Rakowski, który na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR, 27 listopada 1984 roku, a więc tydzień po pogrzebie Księdza Jerzego, powiedział: „Analizując zachowanie się sił antysocjalistycznych czy też opozjonistów po zabójstwie Popiełuszki, widać, że oni wykorzystują to nie tylko dla zaznaczenia swojej obecności w kraju i w polityce, ale że lansują tę tezę, że właśnie nastał czas na to, byśmy zasiedli do wspólnego stołu teraz

z tymi, którzy są ich zdaniem przez nas odsuwani (...), lansują ją ludzie tego typu co Geremek i Mazowiecki”.

Faktycznie, kiedy po trzeciej pielgrzymce Jana Pawła II do Ojczyzny w 1987 roku poprawiły się stosunki władzy z opozycją i Kościołem, obaj generałowie doprowadzili do amnestii dla reszty uwięzionych działaczy „Solidarności” i w efekcie, z końcem 1988 roku z dawnymi prześladowcami usiedli opozycjoniści do wspólnych rokowań przy Okrągłym Stole. Wspólnych, ale przygotowanych oraz kontrolowanych przez komunistyczną władzę. Dlatego za swoje zasługi w doprowadzeniu do „bezkrwawej” zmiany systemu, komunistyczni generałowie otrzymali najważniejsze stanowiska w nowej rzeczywistości: gen. Wojciech Jaruzelski został prezydentem, gen. Czesław Kiszczak szefem MSW, gen. Florian Siwicki szefem MON. Ci, którzy z nimi się dogadali wzięli wszystko inne, m.in. Tadeusz Mazowiecki został premierem, Jacek Kuroń ministrem pracy, a Adam Michnik redaktorem naczelnym największego polskiego dziennika, utworzonego przez wznowioną „Solidarność”.

To zapewne już przy tym, wcale nie okrągłym, meblu dogadano się, aby przeszłość określić „grubą kreską”, spalić akta bezpieki, sprzedać za bezcen majątek narodowy byłym działaczom komunistycznym, aby zajęli się biznesem. A kiedy potem te wyczyszczone „czerwone życiorysy”, działające nadal siatki esbeków i ich konfidentów chciał ujawnić rząd Olszewskiego, dawni protegowani generała Kiszczaka okazali się silniejsi i doprowadzili do odwołania rządu.

Ktoś powie, że to wszystko historia i nie warto do niej wracać. Zapewne tak, ale o ile znalibyśmy historyczną prawdę. Wówczas można by albo wybaczyć oprawcom, albo niektórych z nich oddać w ręce niezawisłego sądu. Zysząc w zafałszowanej historii, co jakiś czas jesteśmy zaskakiwani tak zwanymi „hakami”, które ktoś niecnie wykorzystuje w sobie znanym celu. Nie jest to zdrowa sytuacja dla patriotycznych Polaków, a i ich oprawcom utrudnia nawrócenie się, pojednanie się z Bogiem i ludźmi.

Słusznie powiedziała Zofia Korbońska, legendarna działaczka państwa podziemnego oraz wdowa po jednym z najwybitniejszych ludowców w historii, Stefanie Korbońskim: ta nowelizacja ustawy jest sprzeczna z polską racją stanu. Tak, ta nowelizacja jest sprzeczna z polską racją stanu. Uważam, że Senat powinien odrzucić projektu ustawy w całości. Gdyby tak się nie stało, zgłaszam w imieniu Klubu PiS poprawki do ustawy. Dziękuję za uwagę.

* W głosowaniu o północy, 9 kwietnia, kilkanaście godzin przed smoleńską katastrofą, Senat głosami większości PO przyjął tę ustawę bez poprawek. Odkonstytuował się na polityczny rozkaz. Następnie marszałek Sejmu B. Komorowski, pełniący urząd prezydenta po katastrofie pod Smoleńskiem, natychmiast tę ustawę podpisał.

O Polakach ratujących Żydów

(Przemówienie na 30 posiedzeniu Senatu, 1–2 kwietnia 2009 r. w sprawie uchwały Senatu RP dla uczczenia pamięci Polaków ratujących Żydów w czasie II wojny światowej).

Panie Marszałku. Wysoki Senacie.

Uchwała o uczczeniu Polaków ratujących Żydów stanowi wyraz hołdu dla bohaterstwa tysięcy Polaków, którzy z narażeniem życia nieśli pomoc Żydom podczas II wojny światowej. Ta uchwała zarazem zaprzecza tezie o rzekomo powszechnym antysemityzmie Polaków czy też współpracy z Niemcami – co znalazło się w znieważającej Polaków książce Jana Tomasa Grossa zatytułowanej „Strach”.

Ponadto, tak uważam, uchwała Senatu Rzeczypospolitej w swoim uzasadnieniu podkreśla ważny fakt, że to Niemcy podczas II wojny światowej spowodowali tragedię milionów mieszkańców Europy, i że ta tragedia w sposób szczególny dotknęła narody żydowski i polski. Przypomnę za uchwałą Senatu, że w okresie II wojny światowej zginęło około 6 milionów obywateli polskich, z czego połowę z nich stanowiła niemal cała przedwojenna trzymilionowa społeczność żydowska. Tak wyglądało „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej” – jak Niemcy eufemicznie nazwali rozkaz Hitlera, aby wymordować wszystkich europejskich Żydów. Utworzone na terenie okupowanej Polski niemieckie obozy koncentracyjne – nazywane przez okupanta obozami pracy, niestety, nie wzbudziły w czasie wojny odpowiednich protestów światowej opinii, a mordowanie w nich ludzi przez zagazowanie i spalenie jest do dzisiaj dla wielu jakimś nieprawdopodobnym faktem.

Polacy podjęli próbę ratowania Żydów, mimo że za tę pomoc groziła kara śmierci. W ramach Armii Krajowej utworzono referat żydowski, powstał m.in. Komitet im. Konrada Żegoty, a następnie konspiracyjna Rada Pomocy Żydom – instytucję kierowaną przez polski rząd na uchodźctwie. To

w ramach tej konspiracyjnej instytucji Irena Sendlerowa, szefowa referatu dziecięcego Żegoty, wraz ze współpracownikami uratowała od śmierci około 2500 dzieci żydowskich.

Największego jednak wsparcia Żydom udzieliły polskie rodziny. Wiele z nich zapłaciło za to śmiercią. Szacuje się, że uratowano pomiędzy 40 tys. a 100 tys. polskich Żydów. O skali pomocy udzielanej współobywatelom Żydom przez Polaków niech zaświadczy fakt, iż do dnia 1 stycznia 2008 roku z grona ponad 20 tys. wszystkich nagrodzonych medalem przez Instytut Yad Vashem, uhonorowanych zostało ponad 6 tys. naszych rodaków.

Oblicza się, że w pomoc Żydom było zaangażowanych kilkaset tysięcy Polaków. Około 2500 z nich za to zginęło lub znalazło się w obozach koncentracyjnych. Jest wśród dziewięćoosobowa rodzina Ulmów z Markowej koło Łańcuta, którą Niemcy zamordowali za ukrywanie Żydów. Ich śmierć jest symbolem poświęcenia Polaków, którzy wbrew niebezpieczeństwu potrafiliby udowodnić, iż człowieczeństwo jest ważniejsze niż życie.

Panie Marszałku. Wysoki Senacie. Dzisiejsza jedynie uchwała miała być wcześniej ustanowieniem Dnia Pamięci o Polakach ratujących Żydów podczas II wojny światowej. Podobno podważały ten projekt Związek Gmin Żydowskich oraz Żydowski Instytut Historyczny. Jeśli to prawda, to jestem zdziwiony taką postawą. Czyżby komuś zależało, aby piękna karta wzajemnych relacji polsko-żydowskich w czasach pogardy miała pozostać tak słabo znana?

Z satysfakcją przyjmuję fakt, że Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a także Instytut Pamięci Narodowej zainicjowały program pod nazwą „Straty osobowe i ofiary represji pod okupacją niemiecką”. Uczestniczą w tym rozmaite podmioty państwowe, także archiwa państwowe, a jego wykonawcą, czyli tym, który tworzy komputerową bazę danych ofiar represji, jest ośrodek „Karta”.

Podałem wcześniej, że w czasie II wojny zginęło ponad 6 milionów Polaków. Wiemy już, ilu zostało rozstrzelanych, ilu zginęło w obozach koncentracyjnych, ilu wywieziono na roboty czy wysiedlono, natomiast nie znamy dokładnie ich losów. A przecież chodzi o życie milionów Polaków, noszących rozmaite imiona, nazwiska, pochodzących z tych czy innych miejscowości, poddanych takim lub innym formom represji. Właśnie dzięki temu programowi uzyskamy pełną informację na ten temat. To będzie bardzo ważna wiedza dla Polaków, tak z punktu widzenia interesu państwowego, narodowego, ale także dla samych rodzin ofiar represji.

Archiwa Państwowe uczestniczą także w realizacji innego projektu pod nazwą: „Indeks Polaków represjonowanych za pomoc ludności żydowskiej”. Między innymi z dotychczasowych badań wynika niezbieżna ogromna rola Kościoła katolickiego w niesieniu pomocy ludności żydowskiej w Polsce. Chodzi zarówno o poszczególnych duchownych, jak i zgromadzenia zakonne: męskie i żeńskie. Wiadomo, że księża, siostry zakonne, bracia i ojcowie zakonnicy uratowali tysiące Żydów. Tysiące żydowskich dzieci zawdzięcza swoje życie i przetrwanie katolickim duchownym, Kościołowi katolickiemu, który potajemnie prowadził tę ogromną akcję.

I wracając myślą do początku mojej refleksji o książce Jana Tomasza Grossa „Strach”, książce znieważającej Polaków. Spotkała się ona w Polsce ze zdecydowaną krytyką i w zasadzie zniknęła z rynku. Inaczej jest na Zachodzie, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, gdzie z powodu głębokiej niewiedzy o tym, co działo się w Polsce i ogólnie w Europie Środkowej w czasie II wojny światowej, jest szeroko popularyzowana. Uważam, że skoro inne nacje – zwłaszcza Niemcy – tak mocno interesują się przeszłością, prowadzą bardzo przemyślaną politykę historyczną, konsolidując swoją tożsamość – to również jako Polacy powinniśmy dbać o pełną prawdę historyczną. Nie tylko chodzi o prostowanie kłamstw. Należy ukazywać męstwo i bohaterstwo Polaków, dokładnie też liczyć wojenne straty i ofiary, aby nie okazało się, że ktoś za nas napisał nową, zakłamaną historię o istnieniu „polskich obozów koncentracyjnych” czy o „niemieckich wypędzonych”. Dobrze w tę historyczną prawdę wpisuje się niniejsza uchwała Senatu. Dziękuję za uwagę.

Św. Urszula Ledóchowska wzorem patriotyzmu

(Przemówienie na 28 posiedzeniu Senatu, 4-5 marca 2009 r. w sprawie uczczenia 70-lecia śmierci św. Urszuli Ledóchowskiej i uznania jej za wzór patriotki).

Panie Marszałku. Wysoka Izbo.

Zabieram głos w sprawie okolicznościowej uchwały Senatu w sprawie uczczenia 70-lecia śmierci św. Urszuli Ledóchowskiej i uznania jej za wzór patriotki. Pragnę oddać cześć poświęceniu się tej Świętej dla Boga i Ojczyzny. Trafnie przywołuje uchwała słowa Jana Pawła II wypowiedziane

w czasie jej kanonizacji w Rzymie w 2003 r. „Wszyscy możemy się uczyć od niej, jak z Chrystusem budować świat bardziej ludzki – świat, w którym coraz pełniej będą realizowane takie wartości jak: sprawiedliwość, wolność, solidarność, pokój”.

Nie będę, oczywiście, przypominał w tym momencie życiorysu św. Urszuli Ledóchowskiej (1865–1939), założycielki Zgromadzenia Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego. Uchwała dobrze ujmuje to, co najważniejsze w jej biografii. Podkreślę jednak to, co mi zaimponowało u niej, co jest szalenie interesujące: córka ojca Polaka, matki Szwajcarki, należała do rodu, który swymi korzeniami sięga XV w. Wśród jego członków byli odważni wodzowie wojsk polskich, ci, którzy brali udział w wiedeńskiej wyprawie króla Jana Sobieskiego, posłowie na Sejm Czteroletni, obrońcy Ojczyzny walczący pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego w wojnach napoleońskich, uczestnicy Powstania Listopadowego oraz ci, którzy oddali swe życie na służbę Bogu. Mając takie korzenie, nie dziwi mnie, że słowa: Bóg i Ojczyzna – to były dwie rzeczywistości, które stanowiły sens jej trudów i ofiar. Idąc za przykładem przodków, poświęciła im całe życie.

Św. Urszula Ledóchowska była obdarzona niepospolitym urokiem osobistym, talentami artystycznymi i społecznymi. Zakonnica, wychowawczyni i nauczycielka, poetka i malarka, misjonarka Wschodu, wygnanka i tułaczka po Skandynawii, współpracownica Henryka Sienkiewicza i Ignacego Paderewskiego... Ileż tych patriotycznych i społecznych zaangażowań. A co było ich źródłem? To była świadomość, że pochodzi z narodu o wielkiej historii i kulturze. Architektura Krakowa, jego zabytki, wzór płynący z postaw twórców narodowej literatury i kultury rozbudzały w niej patriotyzm i pragnienie pracy dla Polski. Np. w przemówieniach, które wygłaszała podczas pobytu w Skandynawii, bardzo często przywoływała Wawel z jego skarbami narodowymi, Jana Matejkę i tych wielkich Polaków, którzy w swojej twórczości odwoływali się do Krakowa jako źródła polskości.

Przemierzyła pół Europy, od Krakowa do Petersburga, a dalej przez Finlandię, Szwecję, Norwegię, Danię, Francję i Włochy. Spotykała się z książętami, kardynałami, biskupami, gościła ministrów, dyplomatów, generałów, wszędzie i ze wszystkimi starała się być ambasadorką polskości. Zapytana, jaką politykę prowadzi ona i jej zgromadzenie zakonne, odpowiedziała: „Moja polityka – to miłość Boga i Ojczyzny. I dla tej polityki miłości gotowe jesteśmy poświęcić i siły, i czas, i życie”.

Miała poczucie godności jako Polki, posiadała zdrowe poczucie dumy narodowej. „Nasz Naród – mówiła – to Naród prawdziwych bohaterów (...) Polska broni Europę (...) osłania cywilizację europejską i religię Chrystusową przed niebezpieczeństwami (...) W ciągu stuleci była schronieniem dla uciśnionych, mocą dla słabych, Obrończynią Chrystusa i Jego Kościoła (...) Kiedy wszystkie narody europejskie powstają przeciw Zydom, zawierając przed nimi wrota, Polska przyjmuje ich z życzliwością i pozwala znaleźć drugą ojczyznę na swojej ziemi. Polska katolicka trzymała się zasady tolerancji – udzielała schronienia różnym religiom, zostawiając swym poddanym pełną wolność sumienia. I pozostała mimo to – a może właśnie dlatego – do gruntu katolicką”. Należy jednak dodać, że patriotyzm św. Urszuli Ledóchowskiej nie miał nic z nacjonalizmu. Kochając Polskę, służąc jej, równocześnie była otwarta na inne narody, uczyła się ich języków, poznawała ich kulturę, pracowała dla nich.

I jeszcze inny aspekt jej zaangażowania: pisarstwo. Św. Urszula Ledóchowska wykazywała w swoich pismach, że najważniejszym zadaniem rodziny, społeczeństwa, Kościoła jest wychowanie człowieka. Człowiek jest największym skarbem. Trzeba pomóc mu rozwinąć się i stać się dobrym, pożytecznym członkiem społeczeństwa.

Św. Urszuli Ledóchowskiej chodziło przede wszystkim o kształtowanie w wychowankach chrześcijańskiej wizji człowieka, wdrażanie do samowychowania, o przygotowanie do czynnego udziału w życiu społecznym i w życiu Kościoła. „Mamy w dziele wychowania – pisała – dwojakie zadanie: pierwsze – wychowanie dzieci dla społeczeństwa, dla ojczyzny ziemskiej, drugie – to wychowanie dzieci dla ojczyzny niebieskiej, dla nieba”. Jej pedagogika, oparta na chrześcijańskiej wizji człowieka, była na wzór Ewangelii prosta i pełna serdecznej, pogodnej miłości. Była to pedagogika głęboko religijna i dlatego tak bardzo ludzka.

Wielkie znaczenie w wychowaniu przypisywała rodzinie, postawie rodziców – szczególnie matek, nauczycieli i wychowawców. Toteż nie ograniczała się do prowadzenia szkół i zakładów wychowawczych dla dzieci i młodzieży, lecz swoją troską pedagogiczną obejmowała rodziców, wychowawców, nauczycieli, katechetów. Zakładała szkoły dla nauczycieli, zakłady dla wychowawców, prowadziła organizacje zrzeszające katechetki i kobiety-matki, organizowała dla nich rekolekcje, wygłaszała odczyty, pisała artykuły o treści pedagogicznej. Rodzina była dla niej niezastąpiona w wychowaniu dzieci i młodzieży. Zwłaszcza podkreślała rolę matki. Pisała:

„Przyszłość Narodu nie tyle w ręku naszych polityków, ile w ręku matek spoczywa. Na kolanach świętej matki wychowują się świątobliwi kapłani, dzielni urzędnicy państwowi, bohaterscy obrońcy naszej Ojczyzny”.

Dedukuję te słowa nam, politykom, zwłaszcza tym, którzy tworzą ustawy przeciw rodzinie, ustawy zabierające dzieciom miłość matek i ojców, ustawy na siłę wprowadzające różne europejskie rozwiązania, bardzo często nie liczące się z wielką kulturą i literaturą naszego narodu. Dziękuję za uwagę.

Uchwała dla uczczenia 25. rocznicy męczeństwa ks. J. Popiełuszki

(Przemówienie na 42 posiedzeniu Senatu, 20 – 22 października 2009 r. w sprawie uczczenia 25. rocznicy męczeńskiej śmierci Sługi Bożego Księdza Jerzego Popiełuszki).

Panie Marszałku. Wysoka Izbo.

Uchwała Senatu Rzeczypospolitej w sprawie uczczenia 25. rocznicy męczeńskiej śmierci Sługi Bożego Księdza Jerzego Popiełuszki podkreśla kilka istotnych elementów z jego życia, m.in. nazywa go wielkim Polakiem i Patriotą, Kapelanem „Solidarności” oraz Ludzi Pracy. Pragnę na chwilę zatrzymać się nad tymi określeniami w aspekcie pytania: jakim patriotą byłby Ksiądz Jerzy dzisiaj?

Nie będę przypominał biografii Księdza Jerzego, pragnę jedynie wskazać na kilka faktów, aby potwierdzić, że Ksiądz Jerzy w swoim życiu i śmierci doświadczył w najboleśniejszy sposób, na czym polega ofiara dla ojczyzny. Najpierw jako kleryk został wyrwany z seminarium, aby odbyć służbę wojskową, zetknął się wówczas – zapewne nie po raz pierwszy – z zakłamaną komunistyczną propagandą. A były to czasy Millennium, obchodów tysiąclecia chrześcijaństwa w Polsce, a także kontr obchodów: 1000-lecia państwa polskiego. To wówczas partia atakowała Kościół za list biskupów polskich do biskupów niemieckich. List, który na dobrą sprawę, otwierał Polskę na Zachód. Ale wówczas uznano biskupów za zdrajców, za agentów Watykanu, a samego księdza Jerzego próbowano pozbawić w wojsku wiary w Boga i miłości do ojczyzny.

Kiedy wybuchła Solidarność, Ksiądz Jerzy był duszpasterzem służby zdrowia. Mieszkał na Żoliborzu w parafii św. Stanisława Kostki. W sierpniu

1980 roku kard. Stefan Wyszyński posłał go do strajkującej załogi Huty Warszawa, aby odprawił im Mszę św. Od tego czasu Ksiądz Jerzy pokał robotników, a swoje kapłańskie posługiwanie nierozdzielnie związał ze środowiskiem ludzi pracy i osobami tworzącymi Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. 17 stycznia 1982 r. ksiądz Jerzy Popiełuszko odprawił pierwszą w stanie wojennym Mszę Świętą „za Ojczyznę i tych, którzy dla niej cierpią”. W kazaniu wypowiedział znamienne słowa: „Ponieważ przez wprowadzenie stanu wojennego odebrano nam wolność słowa, dlatego wsłuchując się w głos własnego serca i sumienia, pomyślmy o tych siostrach i braciach, których pozbawiono wolności”. W tych Mszach św. uczestniczyło zwykle kilkadziesiąt tysięcy osób, przyjeżdżały na nie delegacje zdelegalizowanej Solidarności z całej Polski. Dość wspomnieć, że kazania Księdza Jerzego z Mszy św. za ojczyznę przedrukowywano w całej prasie „podziemnej”, a także były emitowane na falach Radia Wolna Europa.

Od początku stanu wojennego troszczył się o pozbawionych wolności, otaczał opieką rodziny internowanych, modlił się za nich. Był bardzo blisko sądzonych na podstawie dekretu o stanie wojennym. Nie potrafił przejść obojętnie obok człowieka w potrzebie. Dzielił się tym co miał, organizował pomoc medyczną, sprowadzał dary z Zachodu. Jego mieszkanie było miejscem spotkań dla prześladowanych. Nie tylko przyjmował wszystkich, lecz również sam wychodził do innych.

Intensywnej aktywności ks. Jerzego Popiełuszki od początku towarzyszyły wzmożone działania Służb Specjalnych. Był ciągle śledzony. Otrzymywał listy z pogrózkami. Jednak wszelkie próby zastraszenia go okazywały się nieskuteczne. Na prośbę robotników – mając na uwadze zagrożenie życia księdza Jerzego ze strony Służb Specjalnych – Ksiądz Prymas kard. Józef Glemp zaproponował mu wyjazd na studia do Rzymu. Na tę propozycję odpowiedział: „Nie mogę tych ludzi zdradzić, gdy ich opuszczę, to się załamiam”. Najbliżsi współpracownicy kapelana „Solidarności” twierdzą, że był świadom grożącego mu niebezpieczeństwa.

Morderstwo ks. Jerzego Popiełuszki było precyzyjnie zaplanowane. SB otoczyła kapłana siecią agentów; o represjach wobec kapelana „Solidarności” informowano najwyższe władze partii i MSW. Istnieją zapisy pokazujące, że gen. Wojciech Jaruzelski czy gen. Czesław Kiszczak byli na bieżąco informowani o działaniach SB wobec ks. Jerzego. Na poziomie partyjnym wiedza operacyjna pochodząca od SB służyła do nacisków na

przedstawicieli Kościoła w czasie rozmów w Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu. Chodziło o wymuszenie na biskupach, aby uciszyli niepokornych księży.

Pierwszym, nieudanym zamachem na jego życie był upozorowany – 13 października 1984 r. przez funkcjonariuszy Służb Specjalnych – wypadek samochodowy w drodze z Gdańska do Warszawy. Drugi atak nastąpił sześć dni później. Dnia 19 października 1984 r. ks. Jerzy prowadził modlitewne spotkanie w Duszpasterstwie Ludzi Pracy w parafii pw. Świętych Polskich Braci Męczenników w Bydgoszczy. Celebrował Eucharystię, a następnie prowadził rozważanie bolesnych tajemnic różańca. Całość modlitewnego spotkania zakończył wezwaniem: „Módlmy się, byśmy byli wolni od lęku, zastraszenia, ale przede wszystkim od żądzdy odwetu i przemocy”. Tego samego wieczoru postanowił wrócić do Warszawy. Około godz. 22.00 w okolicach miejscowości Przysiek niedaleko Torunia został uprowadzony przez funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Oprawcy w bestialski sposób skatowali bezbronnego kapłana i skrępowanego wrzucili do Zalewu Wiślanego. Jedenaście dni później odnaleziono umęczone ciało ks. Jerzego. W oparciu o powszechne przekonania wiernych, że ks. Jerzy poniósł śmierć męczeńską za wiarę, rozpoczął się w 1997 r. jego proces beatyfikacyjny.

Cóż mówił ten ksiądz, jakie treści zawierały jego kazania, że stanowiły zagrożenie dla systemu totalitarnego? Paradoks polega na tym, że nie głosił nic nadzwyczajnego, rewolucyjnego bądź rewelacyjnego, czego sam miał pełną świadomość: „Nigdy nie głosiłem własnej mądrości, ale kierowałem się Ewangelią oraz nauczaniem Prymasa Tysiąclecia Kardynała Stefana Wyszyńskiego i Ojca Świętego Jana Pawła II”. Gdy śledzi się teksty kazań księdza Jerzego z lat 1982–1984, widać, że tak właśnie było.

Pierwsza rzecz, jakiej uczył, to wierność prawdzie. Wobec zakłamania całego systemu, w jakim była pogrążona Polska, Ksiądz Jerzy klarownie mówił: tylko droga prawdy jest szansą na wyzwolenie, na budowanie autentycznego ładu, pokoju.

Drugim prawdą było bezwzględne zachowanie wierności sumieniu. Poprawnie uformowane sumienie jest bowiem niezastąpionym drogowskazem, światłem, by podążać drogą prawdy. Bez dobrze uformowanego sumienia niemożliwa jest droga prawdy.

A trzecim elementem jego programu było dołączenie do tego dzieła osobistej ofiary miłości. Ksiądz Jerzy zdawał sobie sprawę, że same normy na-

wet najlepszego prawa i sprawiedliwość nie są w stanie rozwiązać ludzkich, bardzo złożonych społecznych i ekonomicznych problemów. Przy zmaganiu o dobro nie może braknąć miłości. A miłość zawsze kosztuje. Bez miłości nie ma zwycięstwa prawdy. Taką naukę głosił, nią żył i dał jej świadectwo, składając ofiarę swego życia.

Dlatego gdyby dzisiaj żył Ksiądz Jerzy, reagowałby ostro na zawłaszczenie państwa przez oligarchiczne grupy, na potworne zakłamanie życia politycznego, niemoralne ustawy, patologiczną wręcz nienawiść do prawdy, co widać podczas przesłuchań w komisjach śledczych. Sami widzimy, jak świadkowie kłamią, kluczą, zasłaniają się niepamięcią...

Ksiądz Jerzy wiedziałby, jak dzisiaj służyć ludziom, wpływać na ludzkie sumienia, uczyć żyć w prawdzie. Na pewno nie milczałby w obliczu tak licznych niegodziwości, nie udawałby, że nic złego się nie dzieje. Jego zaangażowanie w politykę, nie byłoby dążeniem do zdobycia władzy przez jakąkolwiek partię, on nie pomagałby nikomu wdrapać się na jakiś polityczny stołek, ale po prostu wołałby w polityce o ludzi sumienia. Byłby jednym z tych kapłanów, jakich mieliśmy wielu w naszych dziejach, będących wszędzie – także w powstaniach, łagrach, więzieniach oraz na uniwersytetach i w mediach – czyli wszędzie tam, gdzie chodziło o Polskę, o zachowanie polskiego ducha w ludzkich sercach.

Na pewno Ksiądz Jerzy przestrzegałby dzisiaj przed liberalizmem etycznym, fałszywą koncepcją wolności przeradzającej się w anarchię moralną, w demokrację bez wartości. Stawałby w obronie ludzi pracy krzywdzonych praktykami dzikiego kapitalizmu, pomagałby bezrobotnym, wytykał rządzącym grzechy korupcji, zakłamania, prywaty. Broniłby też chrześcijańskiej koncepcji jednoczącej się Europy i dobrego imienia Polski w niej. Zapewne znów byłby niepoprawny politycznie i ściągał na siebie agresję sił, które próbują manipulować człowiekiem, i pewnie próbowano by także – tak jak niegdyś – osłabić siłę jego oddziaływania i kompromitować go publicznie. Taka jest jednak dola proroków, którzy zawsze wyprzedzają swój czas i płacą za to najwyższą cenę, ale to oni ostatecznie są zwycięzcami.

Ksiądz Jerzy zdał egzamin jako człowiek wiary, jako kapłan i jako Polak. Potrzeba nam takich wzorów wiary, ale także wzorów miłości Ojczyzny. Dziękując za uwagę.

Bóg złączył losy Polaków z Jasną Górą

Podczas 53. posiedzenia Senatu, 29 kwietnia 2010 r. podjęliśmy uchwałę o uczczeniu św. abp. Józefa Bilczewskiego, metropolity lwowskiego, w 150. rocznicę jego urodzin (1860–1923). Uhonorowaliśmy jedną z najpiękniejszych postaci Kościoła katolickiego w latach przed odrodzeniem się Rzeczypospolitej Polskiej po mrocznych czasach zaborów. Uchwała Senatu przypomina i upamiętnia gorący patriotyzm abp. Józefa Bilczewskiego, wielką miłość Ojczyzny i bliźniego, dobroć serca, mądrość jako wychowawcy i społecznika. Poczesne miejsce w jego listach pasterskich zajmowała tzw. kwestia społeczna, czyli ciężka dola robotników. Nazywał ją krwawiącą raną ludzkości. Dlatego osobiście nie poprzestawał na teoretycznych rozważaniach, choć miał do nich prawo jako wybitny teolog, były rektor Uniwersytetu Lwowskiego, ale w miarę swoich możliwości prowadził działalność społeczną. Popierał stowarzyszenia robotnicze, dla księży organizował specjalne kursy społeczne, zakładał szkoły, czytelnie, biblioteki, ochronki dla dzieci i młodzieży. Zachęcał do tworzenia kółek rolniczych i kas zapomogowo-pożyczkowych. Stawiał również na edukację najuboższych, nie szczędząc nań swojego grosza.

Jako senator z Częstochowy zwróciłem uwagę na bardzo ważny nurt duchowości św. abp. Józefa Bilczewskiego, mianowicie kult Matki Bożej Częstochowskiej Królowej Polski. Przypomniałem, że to on przewidując odzyskanie niepodległości, upowszechniał ideę wprowadzenia w życie ślubów królewskich Jana Kazimierza. Uświadamiał Polaków, że „Pan Bóg złączył losy nasze i zależnymi je uczynił od stopnia czci, polegającej nie tylko na słowach i uczuciach, lecz na czynach, jaką oddawać będziemy Najświętszej Pannie Królowej Polski”.

W tym celu abp Bilczewski podjął starania o oficjalne zatwierdzenie przez Stolicę Apostolską kultu Matki Bożej Częstochowskiej jako Królowej Korony Polskiej. W roku 1909 papież Pius X takie święto ustanowił dla diecezji lwowskiej i przemyskiej, zaś dla Polski święto Maryi Królowej Korony Polskiej zostało zatwierdzone przez Piusa XI w 1923 r. i przeniesione na 3 maja. To również dzięki abp. Bilczewskiemu w Litanii Loretańskiej od 1920 r. znalazło się wezwanie: „Królowo Polski – módl się za nami”. Drugim niezwykle ważnym gestem abp. Bilczewskiego dla sanktuarium Królowej Polski na Jasnej Górze było wystaranie się o nowe korony dla Cudownego Wizerunku. Przypomnę, że dla wierzącego polskiego społeczeństwa

tragedią była kradzież, jakiej dokonano w nocy z 22 na 23 października 1909 r.: obrabowano Obraz Matki Bożej z perłowej sukni, papieskich koron z 1717 r. i z najcenniejszych wotów. Żałoba okryła całą Polskę. Biskupi we wszystkich zaborach zarządzili nabożeństwa pokutne. Stały się one również okazją do masowych demonstracji patriotycznych. Zuchwałe świętokradztwo wstrząsnęło nie tylko społeczeństwem w Polsce, lecz również katolikami na całym świecie. Papież Pius X wystosował do narodu polskiego specjalne orędzie, wyrażając swoje najgłębsze współczucie.

Wobec szerzących się pogłosek o zamiarze podarowania przez cara Mikołaja II diademów dla Obrazu Królowej Korony Polskiej, co dla Polaków byłoby profanacją narodowej świętości, abp Bilczewski wysłał telegram do przebywającego w Watykanie ks. prał. Adama Stefana Sapichy, późniejszego kardynała, aby to papież Pius X nowe ufundował korony. 21 kwietnia 1910 r. abp Bilczewski na czele delegacji złożonej z przedstawicieli wszystkich zaborów, przyjął w Watykanie papieski dar. Niestety, władze carskie nie udzieliły mu wizy, aby to on był koronatorem Obrazu na Jasnej Górze. Dodam, że uroczystość rekoronacji odbyła się 22 maja 1910 r. Wzięło w niej udział blisko 500 tys. wiernych. Władze carskie, pod presją opinii publicznej, nie były w stanie powstrzymać pielgrzymów, chociaż biskupom spoza Królestwa Kongresowego nie wydano wiz umożliwiających udział w uroczystości. Niektórzy z nich uczynili podobnie jak abp Bilczewski: zarządzili, aby podczas rozpoczęcia ceremonii koronacji we wszystkich kościołach pół godziny biły dzwony.

Po raz pierwszy po koronacji abp Bilczewski mógł dopiero w marcu 1917 r. przybyć na Jasną Górę. Podjął wówczas starania o usunięcie pomnika cara Aleksandra II, znajdującego się na placu przed Jasną Górą. Interweniował w tej sprawie u cesarza Austro-Węgier. Ostatecznie pomnik obrażający uczucia religijno-narodowe społeczeństwa polskiego został usunięty 16 października 1917 r. Papież Pius XI nazwał abp. Bilczewskiego jednym z największych biskupów świata. Zaś Jan Paweł II wynosząc go do chwały ołtarzy, 26 czerwca 2001 r., powiedział, że „Arcybiskup Józef Bilczewski kieruje do nas wezwanie, abyśmy ofiarnie żyli miłością do Boga i bliźniego. To ona była najwyższą regułą jego życia”.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 20/2010)



Część V

POLSKA PO SMOLEŃSKU

O Katyniu usłyszysz teraz cały świat

Dokładnie w 70. rocznicę ludobójstwa w Katyniu, tuż obok miejsca, w którym wymordowano kwiat narodu polskiego, wydarzyła się katastrofa lotnicza, w której zginął kwiat polskich polityków: Para Prezydencka, b. Prezydent Polski na Uchodźstwie, Wicemarszałkowie Sejmu i Senatu, Prezesi Najważniejszych Państwowych Instytucji, Dowódcy Wojskowi oraz wielu moich Przyjaciół Parlamentarzystów i Ministrów.

Ciśnię się na usta pytanie o sens tego nieszczęścia dla nas, żyjących, o jakiś powód tej ogromnej straty dla naszego narodu. Czyżby o mordzie w Katyniu za mało jeszcze słyszał świat, czyżby ta ofiara była potrzebna, aby sami Rosjanie uwierzyli w to, co uczynili Polakom ich pobratymcy w 1940 r.? Abyśmy im wybaczyli?...

Bezsprzecznie ta tragedia nadaje nowy, symboliczny wymiar miejscu, które jest tak drogie Polakom, i choć leżące na rosyjskiej ziemi, będzie na zawsze związane z Polską.

Tak jak przed 70 laty polscy oficerowie oddali życie w Katyniu z miłości do Ojczyzny, tak i obecną ofiarę należy widzieć jako oddanie życia w służbie naszej Ojczyźnie. Ponieśli śmierć jak patrioci, spiesząc oddać hołd tysiącom polskich oficerów pomordowanych w Katyniu. Teraz my im oddajemy hołd. Zagrzmiął żałośnie dzwon Zygmunta na Wawelu. Długo były dzwony na Jasnej Górze i w tysiącach polskich parafii. Flagę państwową na Pałacu Prezydenckim opuszczono do połowy masztu. Marszałek Sejmu ogłosił tygodniową żałobę narodową. W katedrach miast biskupich odprawiane są Msze św. w intencji ofiar. W oknach domów pojawiły się flagi państwowe z żałobnym kirem. Ogarnęła nas cisza, skupienie i zaduma. Ale i nieme pytania w rodzaju: dlaczego to się stało?

To doprawdy trudne do pojęcia doświadczenie dla Polski i świata. Jeszcze kilkanaście godzin temu obradowaliśmy w Senacie o ważnych polskich

sprawach, zdecydowaliśmy o ustawie o IPN, przemawiał Prezes tej instytucji, gorąco bronili niezależności IPN m.in. Rzecznik Praw Obywatelskich, a także nasz Przewodniczący Klubu Senatorów PiS, obradom przewodniczyła Wicemarszałek z PO. Trudno pogodzić się z tym, że nie ma ich już wśród żywych. Ciężko to zrozumieć tym bardziej, że wielu z nich było dla mnie jak osoby z najbliższej rodziny. Związała nas nie tylko wspólna praca, ale przede wszystkim cel: Ojczyzna, jej obecna sytuacja oraz przyszłość. Dlatego, tak uważam, to największa tragedia, jaka obecnie mogła nas spotkać. Niedowierzanie. Rozpacz. Brakuje słów, za mało łez, pozostaje modlitwa oraz ufność w Boże zmiłowanie nad Polską.

Wracam do pierwszej myśli: Katyń ponownie upomniał się o prawdę, zabierając na drugi świat osoby należące do elity politycznej, społecznej i kulturalnej naszego państwa. Sądzę, że teraz już świat nie będzie milczał o tym, z jakiej okazji Prezydent Polski wraz z towarzyszącymi mu osobami udali się w to miejsce. Mam nadzieję, że ta tragedia pozwoli szerzej otworzyć rosyjskie archiwa, abyśmy mogli oddać hołd wszystkim Polakom zamordowanym przez Sowietów w 1940 r. Może teraz ta zbrodnia, przemilczana przez lata, do której przyłgnęła nazwa: „kłamstwo katyńskie”, zajaśnieje w pełnej prawdzie i przyczyni się do prawdziwego pojednania narodów. Z pewnością taka była patriotyczna, ostatnia posługa dzisiejszych „katyńskich” ofiar. Oddali życie za prawdę o ludobójstwie w Katyniu.

Dziękujemy im za to. Osobiście dziękuję wielu tym, którzy zginęli, za przyjaźń. Ufam, że skoro oddali życie w wigilię Święta Miłosierdzia Bożego, w dniu liturgicznej pamięci o umieraniu i śmierci 5 lat temu Jana Pawła II, Bóg w swoim miłosierdziu zmiłuje się nad nimi.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 16/2010)

Wspomnienie przyjaciół

Uczestnicząc w pogrzebach przyjaciół, którzy zginęli 10 kwietnia w Smoleńsku, odkrywam wielkość niektórych z nich, a także ich ogromny brak. To tak, jak wielkość pary prezydenckiej odkryły dopiero media publiczne. Okazało się, że są to na co dzień ludzie uśmiechnięci, życzliwi, że Polska tak dużo im zawdzięcza. A do tej pory ukazywano prezydenta wręcz jako potwora, kogoś mało odpowiedzialnego za kierowanie pań-

stwem. Media lansowały autorów najbardziej brutalnych ataków na Prezydenta, kto obrażał Prezydenta w jednym medium, był premiowany zaproszeniem do kolejnych.

Podczas tych pogrzebów jakby na nowo odkryłem przyjaciół, którzy odeszli. Dla przykładu mogę wspomnieć śp. senator Janinę Felińską. Jej pogrzeb w Ciechanowie zgromadził całe miasto. Ale nie o tym chcę mówić. Zapamiętałem Janinę jako osobę niezwykle pracowitą, dosłownie taką mrówkę. I osobę bardzo religijną. Ale mówiło się o niej, że jest pielęgniarką. Nie wiedziałem, że ma wspaniałą życiorys, znakomite wykształcenie, że jest powszechnie znana w środowisku medycznym. Była doktorem nauk medycznych, wcześniej kierowała licznymi placówkami w ochronie zdrowia. Opublikowała również kilkadziesiąt artykułów naukowych z zakresu pielęgniarstwa, promocji zdrowia i zdrowia publicznego. Brała czynny udział w realizacji wszystkich programów rozwoju polskiej służby zdrowia przez kolejne polskie rządy. Od 2002 roku pracowała w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Ciechanowie na stanowisku profesora tej uczelni i dyrektora Instytutu Ochrony Zdrowia. Była członkiem licznych towarzystw naukowych i społecznych.

Zawsze jednak podkreślała, że przez miłość do ludzi została pielęgniarką, a kiedy z woli wyborców została Senatorem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej, to nadal jest zwykłym człowiekiem, wykonującym swoje obowiązki z zapałem godnym tego urzędu i z pełną świadomością odpowiedzialności za to, co czyni w tym miejscu. Czuła się jedną ze zwykłych Polek i o zwykłym poczuciu godności człowieczej w życiu prywatnym i publicznym. Ale jednocześnie jej zawód - pielęgniarstwo - nauczył ją patrzeć na drugiego człowieka jak na osobę, której zawsze powinno udzielić się pomocy w potrzebie.

Podobnie wspominam senatora Stanisława Zajęca, lidera prawicy na Podkarpaciu. Wiedzieliśmy, że jest doświadczonym parlamentarzystą, posłem czterech kadencji, wicemarszałkiem Sejmu w latach 1997–2001. Był wcześniej sędzią oraz wziętym adwokatem. Wielokrotnie występował jako obrońca i pełnomocnik w procesach politycznych w latach PRL, bronił zwalnianych z pracy pracowników fabryk na Podkarpaciu, występował w obronie osób uwięzionych i szykanowanych przez SB, bronił księży i spraw Kościoła. Wspomnianą pomoc prawną świadczył bezpłatnie.

A jak był popularny w swoim regionie świadczy fakt, że będąc kolejną już kadencję posłem Prawa i Sprawiedliwości, w 2008 roku w wyborach

uzupełniających do Senatu RP – po wygaśnięciu mandatu zmarłego senatora Andrzeja Tadeusza Mazurkiewicza – został senatorem w okręgu przemysko – krośnieńskim. Te wybory potwierdziły niekwestionowaną pozycję polityczną Stanisława Zająca, na którego głosował blisko 50 proc. wyborców.

Senator Stanisław Zając był szanowanym i uznanym politykiem także poza granicami naszego kraju. W 2000 roku występował na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Yorku, jako przedstawiciel polskiego parlamentu na sesji przewodniczących parlamentów świata. Był serdecznie przyjmowany przez Polonię w wielu krajach świata m.in. w Australii, Brazylii, Peru, Stanach Zjednoczonych. Szczególnie bliskie stosunki łączyły go z politykami słowackimi, co miało ogromne znaczenie dla rozwoju województwa podkarpackiego. Właśnie w tej roli potrafił doskonale wykorzystać swoją wiedzę i cechy charakteru – pracowitość, szacunek dla innych, talent mediacyjny. Pierwotnie miał jechać pociągiem do Katynia, uznał jednak, że skoro w prezydenckim samolocie lecą do Katynia najwyżsi rangą generałowie, to on jako przewodniczący senackiej Komisji Obrony Narodowej powinien być z nimi. I był. Nawet miał miejsce w salonie dla generałów, dlatego jego ciała – podobnie jak ich – nie można było zidentyfikować. Prosiłem go, aby pomógł mi załatwić miejsce w samolocie..., ale może za słabo o to prosiłem, aby zostać razem z nimi bohaterem.

Tak bohaterem, ponieważ ci, którzy zginęli razem z Prezydentem, nie są zwyczajnymi ofiarami katastrofy rządowego samolotu. Oni zginęli wykonując swoją ostatnią misję, jaką miało być złożenie hołdu tysiącom oficerów Wojska Polskiego, którzy zostali wymordowani przed 70 laty przez państwo rosyjskie zwane wówczas Związkiem Sowieckim. W tamtej oraz w tej tragedii Polska ponownie straciła swoją elitę polityczną, wojskową oraz intelektualną.

Mówimy o nich wszystkich, że złożyli ofiarę z życia, aby świat dowiedział się o katyńskiej zbrodni, nazywamy ich bohaterami, zwłaszcza zaś życie i śmierć prezydenta Lecha Kaczyńskiego – uobecniającą w jego polityce historycznej – określamy jako męczeńską drogę do Katynia. Jednak nawet te wielkie słowa nie dają pełnej odpowiedzi na mnóstwo pytań, zaczynających się od słowa: dlaczego?

*(Fragment wypowiedzi do Radia FLAT w Częstochowie,
23 czerwca 2010 r.).*

Testy dla osób kierujących naszym państwem

Codziennie bywam na jednym lub dwóch pogrzebach przyjaciół, którzy zginęli 10 kwietnia w Smoleńsku. Mówimy o nich, że złożyli ofiarę z życia, aby świat dowiedział się o kатыńskim zbrodni, nazywamy ich bohaterami, zwłaszcza zaś życie i śmierć prezydenta Lecha Kaczyńskiego – uobecnioną w jego polityce historycznej – określamy jako męczeńską drogę do Katinia. Jednak nawet te wielkie słowa nie dają pełnej odpowiedzi na mnóstwo pytań, zaczynających się od słowa: „dlaczego”?

Dlaczego w jednym momencie, tak niespodziewanie, zginęła elita polskich polityków, wojskowych, intelektualistów? Dopiero uczestnicząc w pogrzebach, uświadamiam sobie ogromną ranę, jakiej doznała ojczyzna, ogromną stratę, jaką poniosło moje ugrupowanie polityczne.

Nie dopuszczam jednak do siebie uczucia bezradności czy jakiegoś odrętwienia. Nie pozwalają na to manifestacyjne pogrzeby, to wszystko, co działo się w Pałacu Prezydenckim, w Belwederze, na placu Piłsudskiego w Warszawie, na krakowskim rynku, na Wawelu, a także w tylu innych miejscach pochówku „naszych spod Smoleńska”. Czy jednak ta atmosfera szacunku do każdego z nich, ów poryw miłości do ojczyzny, utrzyma się dłużej? Czy przetrwa czas kampanii wyborczej? Czy polityka zacznie nareszcie oznaczać służbę Narodowi, a nie brutalną przepychankę do władzy?

Już wiadomo, że wybory prezydenckie odbędą się 20 czerwca. Takie postanowienie wydał marszałek Sejmu Bronisław Komorowski, pełniący obowiązki prezydenta kraju, a zarazem kandydat PO na prezydenta. Zapewne media zaleją nas ciągłymi sondażami i spekulacjami, który z kandydatów ma największe szanse, będą robiły wszystko, aby odwrócić uwagę zarówno od żałoby, jak i najważniejszych instytucji, których przyszłość jest obecnie w rękach marszałka Komorowskiego.

Przypomnę, że od niego w dużej mierze zależy, kto pokieruje Narodowym Bankiem Polskim, co będzie dalej z Instytutem Pamięci Narodowej, w czyich rękach znajdują się publiczne radio i telewizja. Tak, również to, ponieważ w Sejmie i w Senacie znajduje się sprawozdanie Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji za miniony rok. Odrzucenie sprawozdania przez Wysockie Izby oraz Marszałka, jako pełniącego obowiązki prezydenta, oznacza więc rozwiązanie KRRiT. Jej nowy skład ustali następnie parlament, w którym większość ma rządząca koalicja. Tymczasem już przewodnicząca sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu Iwona Śledzińska-Katarasiń-

ska (PO), powiedziała „Rzeczpospolitej”, że sprawozdanie KRRiT „nada się do odrzucenia” (w 2009 r. tylko decyzja prezydenta Lecha Kaczyńskiego uratowała KRRiT przed rozwiązaniem). Także marszałek Bronisław Komorowski wyznaczy termin wyboru zgłaszania kandydatur na rzecznika praw obywatelskich.

Bodaj z tego wynika, że Marszałek Sejmu, a zarazem kandydat na prezydenta RP będzie osobiście decydował o losach bardzo ważnych instytucji w państwie.

Czy podejmie decyzje kontynuujące linię Lecha Kaczyńskiego? Czy skieruje np. ustawę niszczącą IPN do Trybunału Konstytucyjnego – zgodnie z wolą śp. Prezydenta? Jedno jest pewne: decyzje marszałka mogą oznaczać przejęcie pełni władzy w państwie przez PO. To będą decyzje nie do najbliższych wyborów, ale z konsekwencjami na najbliższe lata.

Jeszcze inną, ale jakże ważną sprawą będzie stanowisko polskiego rządu oraz marszałka Sejmu wobec toczącego się w Rosji śledztwa na temat przyczyn katastrofy pod Smoleńskiem. Sprzeczne komunikaty prokuratury wojskowej o zapisie czarnych skrzynek, różne analizy ekspertów co do ostatnich sekund lotu prezydenckiego samolotu zdają się potwierdzać wniosek, że być może nigdy nie poznamy prawdy, że mamy do czynienia jakby z nowym Gibraltarem.

Dlatego Fundacja Katyńska zaapelowała o powołanie niezależnej, międzynarodowej komisji technicznej w sprawie tej katastrofy. O to samo zwrócił się do premiera Donalda Tuska również prof. Jacek Trznadel, przewodniczący Rady Polskiej Fundacji Katyńskiej. W Internecie są zbierane podpisy pod tym apelem. Z pewnością wnioski takiej komisji, z udziałem najlepszych światowych ekspertów, miałyby podstawowe znaczenie dla opinii publicznej i dla historii. Można z tego wywnioskować, że polityczne decyzje marszałka Komorowskiego, jak i sprawa katastrofy w Smoleńsku są najważniejszymi sprawdzianami dla osób kierujących naszym państwem.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 18/2010)

Kilka pytań o patriotyzm i europejskość

Rozpoczęcie kampanii prezydenckiej, a następnie powódź przysłoniły nam ważną informację: oto w akwizgrańskim ratuszu 13 maja 2010 r. premier Donald Tusk odebrał niemiecką Nagrodę im. Karola Wielkiego, nazy-

waną europejskim Noblem. Laudację na jego cześć wygłosiła osobiście kanclerz Niemiec Angela Merkel, mówiąc, że polski premier należy do Europejczyków, bez których integracja europejska byłaby jeszcze dziś tylko ideą, natomiast dzięki jego zaangażowaniu w ratyfikację Traktatu Lizbońskiego oraz poprawę relacji Polski z UE i Niemcami powstała nadzieja na trwały pokój i porozumienie. Niemieckie media tego dnia omal nie uczyniły z polskiego premiera „ojca” zjednoczonej Europy, a były przewodniczący PE Hans-Gert Poettering nazwał Donalda Tuska polskim patriotą i zaangażowanym Europejczykiem.

Nurtuje mnie pytanie: czy można być równocześnie polskim patriotą oraz zaangażowanym Europejczykiem? Jako polski patriota zapewne premier zauważył, że niemal w tym samym czasie, gdy odbierał niemiecką nagrodę, w miejscowości Lubmin pod Greifswaldem ruszyła budowa niemieckiej części Gazociągu Północnego. Ten wielki polityczny projekt, porównany nieopatrzenie, ale słusznie przez ministra Radosława Sikorskiego do paktu Ribbentrop-Mołotow, mimo wielu głosów krytycznych i akcji protestacyjnych powstanie w ciągu dwóch lat. Trzeba mieć ogromne zaufanie do kanclerz Merkel, która powiedziała, że nie jest to projekt przeciw Polsce, ale że jest to projekt europejski. Jestem ciekawy, jak „patriotycznie” wobec Polski zachowa się Europa, gdy rosyjski gaz popłynie do niej, a nas z jakiegoś powodu Rosja potraktuje jak Białoruś czy Ukrainę.

Trochę mi trudniej pogodzić patriotyzm i europejskość premiera Donalda Tuska w związku z próbą sprzedaży polskich stoczni Katarczykom. Chociaż, należy dodać, premier wybrnął szczęśliwie z tej opresji: doszedł do wniosku, że lepiej stocznie zlikwidować aniżeli oddać w niepewne ręce. Aby dobrze wypaść w oczach Europy, po likwidacji stoczni polski rząd godzi się również na likwidację rybołówstwa oraz PŻM.

Widąc z tego, że w swoich europejskich i patriotycznych działaniach premier Tusk nie jest osamotniony. Ostatnio nasi ministrowie skarbu i finansów poinformowali europejskich inwestorów o sprzedaży ponad 670 polskich spółek z ponad 40 sektorów gospodarki. Zachód nazwał to odważnym działaniem na rzecz wejścia Polski do strefy euro. Szkoda, że z wielkim trudem do mediów przebija się alarmujący głos polskich patriotów-ekonomistów, iż sprzedaż strategicznych sektorów gospodarki na rzecz zagranicznych inwestorów nie zasypie dziury budżetowej, za to zwiększy finansowy drenaż Polski i narazi nasz kraj na „wrogie przejęcie”. Uważają oni, że prywatyzowanie w kryzysie jest nieracjonalne m.in. dlatego, że fir-

my prywatne mają teraz znacznie gorszy dostęp do kapitału niż państwa, które są w ocenie rynków bardziej wiarygodnym partnerem w czasach kryzysu.

Dodam, że wpływy ze sprzedaży majątku państwowego zaplanowano w tym roku na 25 mld zł, ale minister Aleksander Grad jako prawdziwy patriota i Europejczyk licytuje w górę, utrzymując, że sięgną nawet 30 mld złotych. Jak go przekonać, że rezultatem masowej prywatyzacji z udziałem kapitału zagranicznego będzie jeszcze większe bezrobocie? W ubiegłym roku w ostatniej chwili udało się powstrzymać ministra skarbu przed wyjątkowo niekorzystną dla gospodarki i samej giełdy sprzedażą GPW inwestorowi branżowemu – niemieckiej Deutsche Boerse.

Wspomniałem, że niemiecką nagrodę dla premiera przysłoniła nieco kampania prezydencka. Przysłoniła, co nie znaczy, że zamknęła usta wielkim autorytetom w dziedzinie patriotyzmu i europejskości. Wielu z nich uczestniczyło w niemieckiej uroczystości w Akwizgranie. Dwóch z nich zaraz po powrocie do kraju, wchodząc do komitetu honorowego kandydata PO, ostro włączyło się w kampanię. Ten, który był przeciwny pochówkowi śp. Pary Prezydenckiej na Wawelu, w sposób agresywny zaatakował przeciwników Bronisława Komorowskiego, nazywając ich kampanię „walką o wszystko, pełną namiętności, taką naszą wojną domową”.

Drugi, tytułujący się profesorem, który posiada już wszystkie europejskie odznaczenia, uzasadniając swoje przystąpienie do komitetu honorowego Komorowskiego, przeciwstawiał hodowcę zwierząt futerkowych (w domyśle Jarosław Kaczyński, miłośnik kotów) ojcu pięciorga dzieci (kandydat PO). Powiedział dokładnie: „Jeżeli Polska miałaby spaść do rangi zainteresowania, jakim obdarzona jest Ruanda w świecie, to byłby najlepszy argument na wybranie człowieka, który ma doświadczenie w hodowli zwierząt futerkowych”. Trudno te wypowiedzi członków komitetu honorowego uznać za patriotyczne czy nawet za europejskie. Czy w takim razie można w ogóle być polskim patriotą i zaangażowanym Europejczykiem?

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 22/2010)

Polska jest najważniejsza

W żałobie po tragedii pod Smoleńskiem, w cieniu powodzi trwa kampania prezydencka. Do pierwszej tury pozostało niewiele dni. W Platformie

Obywatelskiej brak koncepcji i zagubienie, nie udaje się stary, prosty i wypróbowany sposób na kampanię wyborczą: straszenie wojną domową i powrotem IV RP. Spokój Jarosława Kaczyńskiego nie pozwala PO na rozwinięcie arsenału dezinformacji, prowokacji, ośmieszania, napuszczania jednych na drugich, szkalowania przeciwnika politycznego. Harcownicy z PO oraz sprzyjające im media prywatne zdają sobie sprawę z tego, że prawdziwe „prawybory” odbyły się w dniach narodowej żałoby, kiedy Polacy zobaczyli i usłyszeli siebie na Krakowskim Przedmieściu przed Pałacem Prezydenckim. To wówczas dowiedzieli się, kim naprawdę był śp. Prezydent RP, a także przekonali się, co sobą reprezentuje i do czego dąży Jarosław Kaczyński. Potwierdza to hasło jego kampanii: „Polska jest najważniejsza”, a także sama jej inauguracja na placu Teatralnym w Warszawie 22 maja, kiedy świadomie wiec wyborczy połączono z koncertem oraz akcją charytatywną na rzecz powodzian.

Nie ulega wątpliwości, że lider Prawa i Sprawiedliwości narzucił styl obecnej kampanii, i mimo iż marszałek Bronisław Komorowski dwoi się i troi, by dobrze wypaść, popełnia same gafy, choćby i tę po wizycie w Muzeum Powstania Warszawskiego, kiedy zaapelował do PiS, by nie zawłaszczało patriotycznej tradycji. Akurat w tym miejscu powinien podziękować śp. Lechowi Kaczyńskiemu za stworzenie wspaniałego muzeum. Przy innej okazji Bronisław Komorowski, chcąc podkreślić, że nie należy w kampanii „grać” katastrofą pod Smoleńskiem, powiedział: „Polityka nie rządzi się współczuciem”. Co zatem gna marszałka do powodzian, jeśli nie samo współczucie, bo przecież pieniędzy nie wozil!

Wiele mówią podejmowane przez marszałka Sejmu decyzje. Pełniący urząd prezydenta Komorowski na polityczne zamówienie dąży do przejęcia przez PO wszystkich „osieroconych” przez katastrofę najważniejszych instytucji w państwie, a ostatnio także NBP oraz mediów publicznych. Dla tych, którzy mają krótką pamięć, przypomnę, że PO obiecywała zniesienie tzw. podatku Belki, tymczasem marszałek Komorowski zaproponował Marka Belkę na stanowisko prezesa Narodowego Banku Polskiego. Co ciekawe, kilka lat temu Komorowski i Tusk uważali, że konszachty Belki ze Służbą Bezpieczeństwa i jego przynależność do PZPR dyskredytują go jako premiera. Na czyje więc polecenie chcą teraz oddać NBP byłemu dyktatorowi Międzynarodowego Funduszu Walutowego?

Podobnie rzecz się ma ze skokiem PO na media publiczne. Odrzucone w Senacie sprawozdania z działalności Krajowej Rady Radiofonii

i Telewizji w 2009 r. przez senatorów PO przypominało PRL-owską hucpę. Sprawozdanie zapewne odrzucą posłowie z PO i PSL, a marszałek Komorowski już zapowiedział, że jeśli Sejm i Senat odrzucą sprawozdanie KRRiT, to on – pełniąc obowiązki prezydenta państwa – przychyli się do tej decyzji i rozwiąże Radę. Będzie to oznaczało przejście kontroli nad mediami publicznymi przez obecną ekipę rządzącą. Wydaje się, jakby zarówno dla kandydata z PO na prezydenta, jak i dla polityków tej partii tragedia 10 kwietnia była czymś w rodzaju spełniającego się marzenia o zawłaszczeniu wszystkiego. Co zaś naprawdę myślą oni o zwykłych ludziach, świadczy wypowiedź marszałka Komorowskiego w Katowicach 1 czerwca. Zapewniając o kontynuowaniu reform gospodarczych, nie wspomniał, że tego dnia ogłoszono decyzję o podwyżce cen gazu, że w Polsce są najwyższe ceny tego paliwa w UE. Zamiast nowych miejsc pracy, modernizacji i rozwoju PO sięga do naszych kieszeni, by wyciągnąć z nich, co tylko się da.

Ostatnio spotkało nas wiele nieszczęść: dwie katastrofy lotnicze: pierwsza – wojskowej CASY pod Mirosławcem przed dwoma laty, w której zginęło dowództwo wojsk lotniczych; druga – w Smoleńsku 10 kwietnia br., w której zginął Prezydent RP, 16 parlamentarzystów oraz dowódcy wszystkich rodzajów wojsk; dalej – dwie katastrofy pogodowe: miniona zima stulecia oraz obecna powódź, która pod względem kosztów jest gorsza od tej w 1997 r. Do tego dochodzą jeszcze klęski gospodarcze za rządów PO – przede wszystkim utrata przemysłu stoczniowego oraz groźba sprzedaży sektora energetycznego i paliwowego; klęski społeczne – ogromny wzrost bezrobocia; klęski wojskowe – utrata amerykańskiej tarczy antyrakietowej; klęska w polityce zagranicznej – budowa Gazociągu Północnego z pominięciem Polski.

W normalnym państwie takie sytuacje zmiotłyby ze sceny politycznej panujący rząd w trybie natychmiastowym. To, że tak się nie stało, jest przede wszystkim zasługą mediów, które amortyzują emocje Polaków. Ale dość tych nieszczęść. Czas zakończyć tzw. politykę miłości, a zacząć kochać Polskę.

Bolesna tragedia 10 kwietnia postawiła nas wobec konieczności udziału w demokratycznym wyborze nowego Prezydenta Rzeczypospolitej. Niech te trudne chwile, jakich doświadczamy w ostatnim czasie, dodadzą nam sił i wiary w odbudowanie wolnej i suwerennej ojczyzny. „Polska jest najważniejsza”. Udział w wyborach będzie najlepszym wyrazem podzięko-

wania dla Tych, którzy odeszli od nas w tak tragicznych okolicznościach 10 kwietnia 2010 r.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 24/2010)

Zamach na Instytut Pamięci Narodowej

(Przemówienie na 54 posiedzeniu Senatu, 12–13 maja 2010 r. w sprawie nowelizacji ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej).

Panie Marszałku. Wysoki Senacie.

Pełniący urząd prezydenta marszałek Sejmu Bronisław Komorowski, podpisując nowelizację ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej nie dopełnił woli świętej pamięci prezydenta Lecha Kaczyńskiego, a miał do czasu wyborów podejmować tylko najbardziej konieczne decyzje. Tak się zobowiązał.

Ponadto oburzająca była wypowiedź marszałka Komorowskiego, który powiedział, że gdyby Lech Kaczyński chciał skierować ową ustawę do Trybunału Konstytucyjnego, to by to uczynił. To jest skandaliczne pomówienie, ponieważ prezydent otrzymał na biurko znowelizowaną ustawę o IPN dosłownie na kilka godzin przed smoleńską katastrofą. Wcześniej jednak, co potwierdził prokurator IPN Jacek Wygoda, prezes IPN Janusz Kurtyka na prośbę Kancelarii Prezydenta zwrócił się do prawników instytutu o przygotowanie założeń do wniosku prezydenta do Trybunału Konstytucyjnego. Wniosek ten oczywiście dotyczyć miał niezgodności z konstytucją przyjętej przez parlament ustawy o IPN. Z kolei po katastrofie minister Andrzej Duda z Kancelarii Prezydenta, czyli obecnie pracownik marszałka Komorowskiego, jako pełniącego urząd prezydenta, przygotował wniosek do Trybunału Konstytucyjnego, wskazujący, które elementy nowelizacji ustawy o IPN są sprzeczne z konstytucją. Zaapelował przy tym o spełnienie woli niezującego prezydenta i zawetowanie ustawy lub skierowanie jej do Trybunału Konstytucyjnego.

Przypomnę, że wniosek ministra Dudy ma siedem punktów, a najważniejsze zarzuty to: naruszenie niezależności prezesa IPN przez to, że będzie mógł być odwołany zwykłą większością głosów, a nie tak, jak do tej pory; naruszenie konstytucyjnej ochrony prywatności przez to, że teczki mają być udostępniane w oryginałach, a więc bez zaczerpniętych nazwisk

osób trzech, i że funkcjonariuszom, pracownikom i współpracownikom służb specjalnych PRL udostępniane mają być ich teczki łącznie z pisanymi przez nich donosami i raportami dotyczącymi osób, które inwigilowali. Jest więc sprawą oczywistą, że świętej pamięci prezydent Lech Kaczyński zostawił swoją wolę co do nowelizacji ustawy o IPN, wyrażając pragnienie skierowania jej do Trybunału Konstytucyjnego.

Czy nie jest dzisiaj swego rodzaju pośmiewiskiem dla marszałka Komorowskiego ta błyskawiczna nowelizacja ustawy o IPN? Jak ocenić fakt, że daje mu ona możliwość wyznaczania na okres przejściowy pełniącego obowiązki prezesa ze wszystkimi uprawnieniami? Co prawda ten wybór dokonuje się tylko spośród wiceprezesów IPN, ale skoro to czyni marszałek z Platformy Obywatelskiej, polityczny kandydat tej partii na urząd prezydenta Polski, no to gdzie w tym znaleźć uzasadnienie pierwszej nowelizacji ustawy o IPN, jakim rzekomo było odpolitycznienie instytutu. Obecnie to odpolitycznienie polega na tym, że marszałek Sejmu wyznaczy prezesa IPN. Oto są standardy demokracji wprowadzone przez Platformę Obywatelską.

I tu chciałbym przypomnieć o standardach PiS. Otóż świętej pamięci prezes Janusz Kurtyka był kandydatem Platformy Obywatelskiej na prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, mimo że partią rządzącą było wówczas Prawo i Sprawiedliwość. Aby uzyskać dla niego poparcie trzech piątych głosów w Sejmie, koalicja rządząca i opozycja doszły, jak widać, do porozumienia.

Prawdą jest, że obecnie brak nowelizacji, co mówił tutaj senator Rulewski, spowodowałby swego rodzaju wielomiesięczny paraliż instytucji. To znaczy mogłoby tak być, co wynika ze skomplikowanych procedur wyłaniania rady instytutu. Ale ten paraliż jest właśnie skutkiem nieszczęsnego podpisu marszałka Sejmu. Stara ustawa doskonale radziła sobie z trudną sytuacją zaistniałą po katastrofie smoleńskiej: po prostu szybki konkurs, wybór prezesa, a taką decyzję Kolegium IPN podjęło, zapobiegłby tutaj jakiegokolwiek dezorganizacji Instytutu.

Żeby było śmieszniej, za kilka tygodni będziemy głosować – musimy głosować – nad kolejną poprawką w tej ustawie, ponieważ jest w niej zapis, że pierwsze posiedzenie rady instytutu zwołuje prezes, a nie p.o. prezesa. Chodzi więc o ten jednorazowy incydent, czyli drobną nieścisłość zapisów, jaką można było wyeliminować na przykład przez wskazanie dowolnej osoby, która zwoła pierwsze posiedzenie rady. Ten nieistotny zapis, dotyczą-

cy tylko jednego zdarzenia, posłużył do trwałego wpisania w prawny system III RP uprawnień marszałka Sejmu do wyznaczania zastępcy pełniącego obowiązki prezesa IPN.

Jak sądzę, należy to wszystko nazwać atakiem Platformy Obywatelskiej na Instytut Pamięci Narodowej. I nie jest to przypadkowy atak. Nie wywołało tego ataku kilka książek, w tym jedna dotycząca Lecha Wałęsy, wydana przez instytut, bo chyba nie zmienia się ustawy, ani nie niszczy się instytucji z powodu kilku wydanych prac naukowych. Uderzenie w wolność badań naukowych jest tylko, można powiedzieć, odpryskiem ważniejszych działań Platformy Obywatelskiej. Wprost o tym mówią politycy Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Popierając decyzję marszałka Komorowskiego w sprawie podpisu pod nowelizacją ustawy o IPN, twierdzą, że to bardzo realny krok w kierunku ostatecznej likwidacji instytutu. Wtórzy temu środowisko „Gazety Wyborczej”, codziennie niemal pisząc, że nie widzi dziś w Polsce instytucji bardziej szkodliwej dla polskiej nauki i pamięci niż Instytut Pamięci Narodowej.

Cóż takiego uczynił IPN, że zasłużył na taką nieprzejednaną opinię? Otóż badania Instytutu Pamięci Narodowej obnażyły ogromną skalę nasycenia społeczeństwa w czasach komunistycznych agenturą służb specjalnych. Okazało się, że szczególnie infiltrowane były środowiska inteligencji: naukowcy, dziennikarze, prawnicy, inteligencja twórcza. W efekcie tego wiele osób powiązanych ze służbami zajmuje obecnie wysokie stanowiska, między innymi kierują instytucjami naukowymi, licznymi placówkami naukowymi. Czy nie dziwi, że to oni według zasad znowelizowanej ustawy o IPN znajdują się też wśród elektorów wybierających kandydatów do władz IPN, a same władze instytutu zwykłą większością głosów w Sejmie wybierze i podporządkuje sobie partia rządząca? Nic dodać, nic ująć.

Obserwujemy przygotowania do pogrzebu kolejnej po CBA narodowej instytucji, która pod kierownictwem profesora Janusza Kurtyki w minionych pięciu latach oddała nieocenione usługi dla poznania polskiej historii najnowszej, dla edukacji młodego pokolenia, a przede wszystkim dla ukazania złowrogiej działalności Urzędu Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa. Mam nadzieję, że tej walki o prawdę już nie wygrają przeciwnicy lustracji i zwolennicy amnezji historycznej. Badań naukowych nie da się już powstrzymać, ponieważ prowadzą je w większości młodzi historycy, wrażliwi na wszystko, co Polaków hańbiło dawniej oraz poniża dzisiaj.

Wracając do nowelizowanej ustawy o IPN z 18 marca 2010 r., powiem, że posłowie Prawa i Sprawiedliwości wnieśli już do Trybunału Konstytucyjnego wniosek o zbadanie jej zgodności z Konstytucją RP. Według PiS gwarantem właściwego pełnienia funkcji przez IPN jest sposób jego usytuowania w strukturze instytucji publicznych, w szczególności poprzez zapewnienie niezależności władz instytutu. W tym kontekście jawi się pytanie o los przyjętych już rozwiązań, jeśli okażą się niekonstytucyjne, ale z tym mamy do czynienia niemal na co dzień, gdy wypuszczamy z parlamentu niedopracowane czy wręcz złe ustawy. Dziękuję za uwagę.

Przejęcie mediów publicznych przez PO

(Przemówienie na 56 posiedzeniu Senatu, 27 – 29 maja 2010 r. w sprawie informacji o działalności Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji w 2009 r.).

Panie Marszałku. Wysoki Senacie.

Biorąc do ręki doroczne sprawozdanie Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, jestem pod wrażeniem ogromu prac, jakie wykonuje ten urząd. W dobie przygotowań do cyfryzacji mediów jest prawdziwą sztuką wykonać ponadto ustawowe zadania, związane z postępowaniami koncesyjnymi, skargami i wnioskami, monitorowaniem programów radiowych i telewizyjnych itd. Wszystko to KRRiT wykonała, mając znacznie okrojony budżet. Należałoby o tym szczegółowo mówić, ale po co, skoro senatorowie Platformy Obywatelskiej przyszli na posiedzenie Komisji Kultury i Środków Przekazu ze z góry założonym celem: nie przyjąć sprawozdania tego urzędu. Podobną polityczną decyzję zamierzają podjąć w Senacie, zapewne w dyscyplinie. Składam waszym sumieniom wyrazy współczucia. Jak się dowiaduję, również Sejm większością głosów koalicji rządzącej odrzuci sprawozdanie, a marszałek pełniący urząd prezydenta już tylko dopnie swoim podpisem wyroku na obecną KRRiT.

Gdyby dokonano się to po rzeczowej dyskusji; gdyby padły jakieś zarzuty merytoryczne pod adresem Krajowej Rady – starałbym się to zrozumieć. Jedyne zarzut, jaki pojawił się w ustach przewodniczącej senator Barbary Borys-Damięckiej, to ten, że obecny skład rady jest z jednego klucza politycznego. Należy więc radę odpolitycznić, powołując na jej członków apolitycznych fachowców z PO.

Dobrze, że nie padły podczas obrad komisji zarzuty o zamęt czy upadek programowy Telewizji Polskiej, bo byłaby to już hipokryzja do potęgi. Przecież im więcej zamętu w mediach publicznych, tym będzie lepiej dla mediów komercyjnych, a z tymi ręką w rękę współpracuje Platforma Obywatelska. Im słabsze media publiczne, tym więcej widzów odpłynie do mediów prywatnych, a przede wszystkim więcej reklamodawców uda się do TVN i Polsatu.

To jest oczywiste, że Platformie i mediom komercyjnym zależy na jak największym zamęcie w Telewizji Polskiej, na takim trwaniu między rozwojem a upadkiem, ale bez katastrofy upadku, bo wówczas zaistniałoby ryzyko wystawienia na sprzedaż mediów publicznych. A to byłoby zbyt ryzykowne, bo a nuż pojawiłby się poważny inwestor zagraniczny, który mógłby wygrać rywalizację o widza z TVN i Polsatem. Tak więc marazm, chaos, zamęt, słabość finansowa – to wszystko jest na rękę PO oraz nadawcom komercyjnym.

Odrzucenie sprawozdania Krajowej Rady, powołanie nowej Rady, ustanowienie następnie zarządów mediów publicznych z klucza partii rządzących – oto samospełniające się marzenie po katastrofie pod Smoleńskiem. Nie ma w tym chęci naprawy mediów publicznych, nie chodzi o ich misyjność, chodzi o ich słabość, o zaszkodzenie im. W tym celu premier i politycy z Platformy Obywatelskiej wywołali zamieszanie wokół abonamentu, obiecali w zamian dotację z budżetu. Postąpiono z abonamentem tak samo jak ze stoczniami. Najpierw obiecano inwestora z Kataru, a po wyborach do europarlamentu wycofano się ze wszystkich obietnic i rzucono narodo- wy majątek na pastwę złomiarzy. Ci zaś po jakimś czasie z ogromnym zyskiem przekażą stoczniowe tereny developerom.

Ktoś zarzucił mi, że także moja formacja, Prawo i Sprawiedliwość, majstrowało przy nowelizacji ustawy o Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji w 2005 r., aby m.in. przeprowadzić szybkie zmiany personalne w telewizji polskiej i polskim radiu. Tylko przypomnę, że wówczas celem, przynajmniej w zamierzeniu politycznych liderów, była zmiana na lepsze mediów publicznych. Dlatego stoczono wręcz batalię o misyjność mediów publicznych, o większe pieniądze dla ośrodków regionalnych, a gdy to się nie udało, stworzono kanał informacyjny TVP Info, powstały inne kanały tematyczne, Kanał Kultura czy Kanał Sport, aby wzmocnić oddziaływanie mediów publicznych, aby media publiczne wiodły prym na polskim rynku medialnym.

Tymczasem to, co obserwuję teraz, prowadzi do stopniowego niszczenia telewizji i radia publicznego. Ale jak wspomniałem, Platformie tak naprawdę odpowiada obecna sytuacja. Dowodem jest bodaj drobny fakt: obecny prezes TVP Romuald Orzeł dla utrzymania płynności finansowej chciał poręczenia kredytu dla spółki w wysokości 100 milionów zł. Minister skarbu nie wyraził zgody. A przecież nie chodziło o pożyczkę komercyjną, a jedynie o poręczenie od właściciela spółki, jakim jest skarb państwa.

Przypomnę, że już za prezesury Piotra Farfała dochodziło do gorszących interwencji ministra Grada, który m.in. błyskawicznie skrócił kadencję Radzie Nadzorczej TVP, gdy okazało się, że jest w niej większość, która może dokonać zmian w zarządzie telewizji i zwolnić prezesa Farfała. Trudno się temu dziwić, skoro właśnie były prezes z LPR, nazywany wcześniej przez polityków PO „neofaszystą”, gwarantował, że z telewizji zostaną usunięci dziennikarze i szefowie działów i pionów kojarzeni z PiS. To jego rękami miało się dokonać „dorżnięcie watahy” w mediach.

Jak wspomniałem, zamieszanie w TVP jest na rękę mediom komercyjnym, głównie TVN i Polsatowi. A ponieważ są to media sprzyjające PO, działania tak premiera obiecującego zniesienie abonamentu, jak i jego ministra skarbu utrudniającego wyprowadzenie spółki na prostą, to wszystko wygląda na spłacanie długów politycznych wobec mediów, które pomogły PO wygrać ostatnie wybory do europarlamentu i zapewne mają pomóc wygrać wybory prezydenckie oraz samorządowe.

Tak to wszystko widzę. Coraz słabsza telewizja publiczna z braku pieniędzy zmierza prostą drogą ku katastrofie, gdyż jej programy nie będą konkurencyjne wobec prywatnych nadawców. Tylko że ci prywatni nadawcy nie dadzą grosza na filmy fabularne, na sztuki teatralne, koncerty muzyki poważnej czy słuchowiska radiowe.

Gdyby PO miała interes w tym, aby media publiczne były silne, to zapewniono by im stałe i pewne dochody z abonamentu. Dlatego odrzucenie sprawozdania KRRiT nie ma na celu reformy mediów, ale obsadzenie ich swoimi ludźmi. Tymczasem w Polsce media publiczne mocne i dobre są konieczne, bo tylko one gwarantują w miarę uczciwą debatę publiczną. Prywatny właściciel, jak wspomniałem, nigdy nie będzie promował dobrych filmów fabularnych i dokumentalnych, ważnych dla polskiej kultury przedstawień teatralnych, publicystyki na najwyższym poziomie.

Skoro, jak dotąd, nie wymyślono dobrego sposobu finansowania mediów poza abonamentem, choć w różnych krajach różnie wygląda sytuacja

i wszyscy rozumieją kłopoty związane ze ściągalskością abonamentu, to trzeba uczynić wszystko, aby zapewnić mediom finansowanie pozabudżetowe, z alternatywnych źródeł. Tylko takie finansowanie zapewni mediom samodzielność. I na koniec wniosek: Platformie Obywatelskiej wcale nie zależy na wzmacnianiu społeczeństwa obywatelskiego. Z niezależnymi obywatelami są tylko same kłopoty. Dziękuję za uwagę.

O katastrofie pod Smoleńskiem

(Wystąpienie na 57 posiedzeniu Senatu, 9 czerwca 2010 r., w debacie na temat katastrofy rządowego samolotu pod Smoleńskiem).

Panie Marszałku. Wysoki Senacie.

Dokładnie w 70. rocznicę ludobójstwa w Katyniu, 10 kwietnia 2010 roku, tuż obok miejsca, w którym wymordowano kwiat narodu polskiego, wydarzyła się katastrofa lotnicza, w której zginął kwiat polskich polityków: Para Prezydencka, b. Prezydent Polski na Uchodźctwie, Wicemarszałkowie Sejmu i Senatu, Prezesi Najważniejszych Państwowych Instytucji, Dowódcy Wojskowi, Biskupi Polowi, Kapłani, oraz wielu moich przyjaciół parlamentarzystów i ministrów. Ciśnie się na usta pytanie o sens tego nieszczęścia dla nas żyjących, o jakiś powód tej ogromnej straty dla naszego narodu. Czyżby o mordzie w Katyniu za mało jeszcze słyszał świat, czyżby ta ofiara była potrzebna, aby sami Rosjanie uwierzyli w to, co uczynili Polakom ich pobratymcy w 1940 r.? Bezsprzecznie ta tragedia nadaje nowy, symboliczny wymiar miejscu, które jest tak drogie Polakom i choć leżące na rosyjskiej ziemi, będzie na zawsze związane z Polską.

Jednak dzisiaj, dwa miesiące od tej tragedii, pytamy w wielkiej rozterce o przyczynę tej największej w historii polskiej tragedii. Pytamy coraz niespokojniej, ponieważ pierwszy zapis stenogramu czarnych skrzynek, jaki otrzymaliśmy od Rosjan, niewiele wyjaśnia. Nieco więcej, ale bardzo niejednoznacznie wiemy więcej od Edmunda Klicha, przewodniczącego Komisji Badania Wypadków Lotniczych, akredytowanego przy Międzypaństwowej Komisji Lotniczej w Moskwie. Jednak to co mówi, ma znamiona przecieków. Z jednej strony opowiada, że katastrofa smoleńska jest skutkiem wieloletnich zaniedbań w szkoleniu w naszym lotnictwie, z drugiej zaś rozpowszechnia jako bardzo prawdopodobną przyczynę wypadku –

wywieranie presji na pilota – bo tego można domyślać się z ujawnienia obecności w kabinie pilotów gen. Andrzeja Błasika, dowódcy Sił Powietrznych. A może kilka dni przed wyborami prezydenckimi dowiemy się również i o tym, że to śp. prezydent Lech Kaczyński nakazał gen. Błasikowi zasiaść za sterami samolotu?

W każdym kraju na świecie tego rodzaju śledztwo byłoby pod nadzwyczajnym nadzorem rządu, a myśmy przez kilka tygodni nawet nie wiedzieli, o której godzinie była katastrofa. Przez wiele dni, bez podstaw w materiale dowodowym, były rozpowszechniane w internecie wersje katastrofy obciążające pilotów czy nawet niektórych pasażerów.

Przypomnę, że samolot jeszcze dymił, gdy Lech Wałęsa orzekł autorytatywnie, że to Lech Kaczyński zabił sam siebie i wszystkich innych, bo kazał pilotowi lądować. I od tego czasu powtarzają to inni, kompletnie głusi na rzeczywistość, na brak jakichkolwiek przesłanek wskazujących na ingerencję śp. Prezydenta w decyzję pilota. Powtarzają to poważni komentatorzy i co najważniejsze, nie spotyka się to z reakcją osób odpowiedzialnych za badanie katastrofy.

Zapewne dlatego stanem wiedzy Polaków na temat katastrofy zaniepokoiли się rosyjscy dysydenci, między innymi Władimir Bukowski. W liście do Polaków krytykują władze Rosji za przebieg śledztwa w sprawie katastrofy smoleńskiej oraz polskie władze za bierność i naiwność. Uważają, że zbliżenie z obecnymi władzami Rosji jest dla polskiego rządu ważniejsze niż ustalenie prawdy. Wiem, to bardzo mocne oskarżenie, ale uzasadniają je tym, że władze rosyjskie zachowują się tak, jakby nie były zainteresowane wyjaśnieniem wszystkich przyczyn katastrofy z 10 kwietnia, zaś – cytuję – „władze polskie powtarzają zapewnienia o pełnej otwartości strony rosyjskiej, niczego się od niej faktycznie nie domagając i tylko cierpliwie oczekują, aż z Moskwy nadejdą dawno obiecane im materiały”.

Niestety, potwierdzają to przekazanie nam przez Rosjan kopie zapisów czarnych skrzynek z rozbitego prezydenckiego samolotu Tu-154M. Przedstawiciele rządu Donalda Tuska uznali to za wielki sukces. Tymczasem eksperci zwracają uwagę, że kopie nagrań nie mają znaczenia procesowego. Ponadto można obawiać się, czy przywiezione do Polski materiały z czarnych skrzynek są kompletnymi kopiami oryginalnych rejestratorów pokładowych. Wprawdzie ich kopiowanie nastąpiło komisyjnie, ale prawie dwa miesiące po katastrofie. Dane byłyby bardziej wiarygodne, gdyby zostały pozyskane z rejestratora tuż po katastrofie. Przede wszystkim zaś sa-

mo odczytanie skrzynek niewiele znaczy, bo wszystkie dane muszą być naniiesione na oś czasu i umiejscowione, czyli przypisane konkretnej pozycji samolotu: jego wysokości i odległości od pasa startowego.

Przykładowo, stenogramy z czarnych skrzynek nie wyjaśniają, dlaczego podjęto próbę lądowania. Samolot leciał niemal do końca na autopilocie, piloci przygotowywali się do lądowania, spokojnie odczytują wysokość... 100, 90, 80... do 20 metrów włącznie! Te 20 metrów to było już poniżej wierzchołków wysokich drzew. Czyżby tego nie wiedzieli? Zapewne nie wiedzieli, ponieważ posiadali błędne namiary. Albo też błędnie działały urządzenia pomiarowe. Skoro nikt w kokpicie z powodu mgły nawet nie wspomina o tym, że nie widać pasa startowego, to znaczy, że uważali, iż jest on już pod nimi. Ponadto ze stenogramów wynika że wieża do ostatnich chwil prowadziła pilotów, nie zakazała też wcześniej lądowania. Wniosek: dla pilotów wszystko układało się po myśli. Rzeczywistość okazała się inna.

Co do zapisów z czarnych skrzynek. Duża ich część jest nie odczytana, a szkoda, bo to mogłoby rzucać dodatkowe światło na sprawę. Może polskim ekspertom uda się coś więcej odczytać. Może dowiemy się z nich, że w samolocie wydarzyło się coś, np. jakaś awaria, i tylko to było dla pilotów ważne.

W związku z tym ważne pozostaje pytanie, dlaczego polskie władze nie zwróciły się do Rosji o przekazanie postępowania. Nie przyjmuję tłumaczenia premiera Tuska, że to mogłoby pogorszyć relacje z Rosją. Suwerenne państwo nie może przyjąć takiego argumentu. A trzeba jasno stwierdzić, że dochodzenie rosyjskie prowadzone jest wyjątkowo niestaranie, o czym świadczy fakt, że nie zabezpieczono odpowiednio miejsca po katastrofie, pozostawiając na nim wiele szczątków samolotu. Każdy z tych elementów mógł być kluczowym dowodem na to, że nastąpiła awaria samolotu, że np. nie działał ster wysokości, że uległa awarii hydraulika w samolocie – tak m.in. twierdzą eksperci. A co sądzić o tym, że razem z kontrolerami rosyjskimi w baraku-wieży znajdował się oficer służb specjalnych Rosji? Co tam robił? Czy to on łączył się z Moskwą i usłyszał polecenie, aby nie zamykać lotniska? Dlaczego jeden z kontrolerów wybiegł z baraku wołając: „co teraz ze mną będzie?”. Słyszeli to piloci polskiego JAK-a 40, którzy wylądowali godzinę wcześniej.

Mam wrażenie, że rosyjscy śledczy nie mogą lub nie chcą dokonać rzetelnego wyjaśnienia sprawy. Komuś zależy na tym, aby powstawały najbardziej fantazyjne teorie na temat katastrofy, bo wówczas łatwiej ukryć jej prawdzi-

wą przyczynę. W taki sposób nie wyjaśnia się katastrofy samolotu z głową państwa, czołowymi dowódcami wojskowymi i szefami ważnych urzędów na pokładzie. Krótko mówiąc, od momentu katastrofy trwa jakaś wyrachowana gra, medialny spektakl, który ma nas skierować na niewłaściwy tor, a konkretnie mówiąc, ma nas zmusić do przyjęcia rosyjskiej wersji wydarzeń, obwiniającej o wszystko polskich pilotów, którzy bronić się już nie mogą.

Przykro to mówić, ale odnoszę wrażenie, że stronie rosyjskiej zależy na tym, aby broń Boże odpowiedzialność za katastrofę nie spadła na Federację Rosyjską, dlatego próbuje się rozmyć prawdziwą odpowiedzialność osób odpowiedzialnych za tę katastrofę. Trudno mi pogodzić się z faktem, że przyczyny największej polskiej tragedii najlepiej wyjaśni nam obcy rząd. Słusznie powiedział prof. Zdzisław Krasnodębski, że katastrofa smoleńska świadczy o stanie państwa polskiego, które „jest jak Tupolew”. Nic dodać, nic ująć. Dziękuję za uwagę.

Po pierwszej turze wyborów

Pierwsza tura wyborów prezydenckich, 6 czerwca 2010 r. zakończyła się zwycięstwem kandydata Platformy Obywatelskiej Bronisława Komorowskiego. Zwycięstwem niewielkim, tak jak przed pięciu laty. Wtedy Donald Tusk miał w pierwszym starciu ponad 3 punkty procentowe przewagi nad Lechem Kaczyńskim, w drugiej turze z popieranym przez Prawo i Sprawiedliwość kandydatem przegrał przeszło 8 punktami.

Tym razem przewaga w pierwszej turze kandydata Platformy Obywatelskiej nad popieranym przez Prawo i Sprawiedliwość wyniosła 5,08 punktu procentowego. Według oficjalnych danych Państwowej Komisji Wyborczej, na Bronisława Komorowskiego zagłosowało 41,54 proc. wyborców, a na Jarosława Kaczyńskiego – 36,46 procent. Frekwencja w 2005 r. wyniosła 49,74 proc., a obecnie – 54,94 procent. Oznacza to, że Jarosław Kaczyński razem z Bronisławem Komorowskim zagospodarowali o blisko dwa miliony wyborców więcej niż Donald Tusk z Lechem Kaczyńskim w pierwszej turze wyborów przed pięciu laty.

Kandydat Prawa i Sprawiedliwości wygrywał w województwach wschodniej Polski, a Platformy Obywatelskiej – zachodniej. Tu można dopowiedzieć, że już w 1947 r. komuniści odkryli, że Polska na wschód od Wisły głosuje według tradycji patriotycznych, wspólnotowych i niepodległo-

ściowych, jest zakorzeniona w swojej ziemi, ma tradycyjne wspólnoty. Natomiast Polska wielkomicjska jest w dużej mierze pomigracyjna, z tożsamością „nowoczesną”. Funkcjonuje to trochę do dziś, a podział zaczął się głównie od przerwanej ciągłości obywatelskiej i przesiedleń Polaków ze Wschodu na Zachód.

Bronisław Komorowski zwyciężył wśród mieszkańców dużych miast. Małe miasta oraz polska wieś głosowały na Jarosława Kaczyńskiego. Warto tu przypomnieć, że wieś to dziś nie tylko rolnicy. Pamiętajmy, że większość mieszkańców polskiej wsi utrzymuje się z innych źródeł. Ciekawostka: gdyby Bronisława Komorowskiego wybierali bywalcy zakładów karnych i aresztów śledczych, kandydat Platformy Obywatelskiej zostałby prezydentem Polski już w pierwszej turze, i to z gigantyczną przewagą. Frekwencja w aresztach i zakładach karnych wyniosła bowiem znacznie więcej niż ogółem w całej Polsce, bo aż 64,8 procent. Na marszałka Komorowskiego swój głos oddało aż 75,4 proc. osadzonych. Wciąż blisko połowa Polaków nie zdecydowała się na poparcie żadnego z kandydatów na prezydenta.

Było jedno miejsce na świecie, gdzie zwycięstwo Jarosława Kaczyńskiego było przytłaczające – 80 proc. Tak głosowała Polonia amerykańska, która w większości wywodzi się z tej części Polski, w której zwyciężają kandydaci o konserwatywno-narodowych poglądach. Zapewne z amerykańskiej perspektywy widać jaśniej, kto jest kim i czego chce dla Polski.

Zaskoczeniem była skala błędu popełnionego przez ośrodki sondażowe. Jedyna firma, która tego uniknęła, to OBOP dla TVP. Natomiast wszystkie pozostałe zmierzyły zachowania wyborcze Polaków z bardzo dużymi błędami. Sondaże mówiące o kilkunastopunktowej przewadze Komorowskiego czy wręcz o jego wygranej w I turze były przecież wykorzystywane w komentarzach przez specjalistów o znanych nazwiskach. „Gazeta Wyborcza” z piątku dawała ponad 50 proc. głosów Komorowskiemu!

Warto zwrócić uwagę na stosunkowo liczne komentarze w mediach Moskwy i Berlina. Wszystkie, dosłownie wszystkie, były przeciwko Kaczyńskiemu, wyraźnie faworyzując Komorowskiego. Jeżeli w stolicach obu naszych potężnych sąsiadów tak bardzo lansowany jest właśnie Komorowski, to powinno zwłaszcza jego zwolennikom, ale także pozostałym wyborcom polskim dać wiele do myślenia.

Czeka nas druga tura wyborów, gdzie zmierzy się ze sobą tylko dwóch kandydatów – jeden wystawiony przez Prawo i Sprawiedliwość, drugi przez

Platformę Obywatelską. Będzie walka, i tak naprawdę nie wiadomo, kto wygra.

Wybieramy pierwszego obywatela Rzeczypospolitej. To nie są wybory partyjne, gdzie ten spór polityczny jest rzeczywiście wyraźniej zarysowany. Tutaj osoba prezydenta musi być kimś, kto w momencie wyboru daje gwarancję, że będzie prezydentem wszystkich Polaków i będzie prezydentem, który potrafi łączyć, a nie dzielić. Pytanie, czy taką osobą jest Bronisław Komorowski. W moim przekonaniu – nie. I dlatego dziękując tym wszystkim, którzy w pierwszej turze poparli Jarosława Kaczyńskiego, nie mam żadnych oporów, aby poprosić o głosy także tych, którzy w pierwszej turze poparli innych kandydatów. Bardzo na nich liczę i proszę o ich głos.

*(Fragment wypowiedzi dla Radia FIAT w Częstochowie,
11 czerwca 2010 r.).*

Podsumowanie kampanii prezydenckiej

Kampania wyborcza zbliżyła się do finału. W niedzielę 4 lipca 2010 r. wybierzemy prezydenta Rzeczypospolitej na 5-letnią kadencję. Co można powiedzieć o tej kampanii? Ze względu na katastrofę pod Smoleńskiem oraz powódź miała ona charakter wyjątkowy, dość spokojny jak na temperament naszych polityków. Każdy z kandydatów chciał pokazać się przed wyborcami jako osoba zrównoważona i merytorycznie przygotowana.

Sztab wyborczy Bronisława Komorowskiego przygotowany był na zupełnie inną kampanię wyborczą Prawa i Sprawiedliwości – zdecydowanie ofensywną i bardziej agresywną. Jednak Jarosław Kaczyński pokazał się jako kandydat stateczny, zrównoważony, celnie punkujący błędy Platformy, jak i kontrkandydata na urząd prezydenta. Prezes PiS mimo wielu prób prowokacji starał się im nie ulegać, co jest raczej korzystne dla odbioru jego osoby wśród wyborców. Teraz dla wszystkich stało się jasne, że to Platforma Obywatelska jest siłą atakująca i bardziej wojowniczą od Prawa i Sprawiedliwości, co w sondażach przedwyborczych przekłada się na spadek poparcia nie tylko dla Bronisława Komorowskiego, ale i dla jego partii.

Łękając się przegranej PO, ostro włączył się w kampanię premier Tusk, ostrzegając, że wybór Jarosława Kaczyńskiego będzie oznaczać „piekło” oraz „wojnę”. Ponadto próbował obrażać kandydata PiS, twierdząc, że nie jest męski, że „nie powinien nosić spodni” itp. Taki język stoi w całkowitej

sprzeczności z hasłem wyborczym Komorowskiego, który także nie miał żadnych zahamowań z wywlekaniem z grobu i użyciem w kampanii byłej minister Barbary Blidy, spotykając się z jej mężem.

Istotną rolę w tej kampanii (jak i w innych) odgrywały media prywatne, których niemalże pewnym faworytem na urząd prezydenta RP był Bronisław Komorowski, mimo jego licznych gaf i przykładów niekompetencji. O wynikach wyborów zadecydują z pewnością dwie debaty, które dały nam obraz poglądów kandydatów na państwo i wszystkie ważne sprawy, choć trzeba dodać, że sam dobór pytań nie był zbyt ambitny. Gdyby Jarosław Kaczyński i Bronisław Komorowski mogli sami zadawać sobie nawzajem pytania, musieliby bardziej wykazać się celnością wypowiedzi, błyskotliwością itd. Bronisław Komorowski stwierdził, że potrzebna jest prezydentura współpracy w kraju i współpracy z innymi krajami. Zapewniał, że jako prezydent chciałby stanąć ponad partiami, przypomniał, iż na prezesa NBP wskazał osobę spoza swojego środowiska partyjnego. Jarosław Kaczyński akcentował, że potrzebna jest prezydentura kompetentna, zadeklarował się jako przeciwnik prezydentury „żyrandolowej” i języka „Palikotów i watah, które mają być dorżnięte”. Opowiedział się jako zwolennik wprowadzenia Polski do grupy G20, najbogatszych państw świata. Według Kaczyńskiego, wybór między nim a Komorowskim to wybór między dwoma koncepcjami Polski. Różnice są, w ocenie Kaczyńskiego, np. w podejściu do służby zdrowia – gdzie opowiada się za publiczną służbą zdrowia, a nie skomercjalizowaną; oświaty – sprzeciwia się częściowej odpłatności za naukę; prywatyzacji – opowiada się za zachowaniem w rękach państwa strategicznych dla kraju firm i mediów publicznych – chce ich zachowania. (Fragment wypowiedzi dla Radia FIAT w Częstochowie, 2 lipca 2010 r.).

Powodzianie czekają na pomoc

(Przemówienie na 58 posiedzeniu Senatu, 2 lipca 2010 r. w sprawie ustawy o szczególnych rozwiązaniach związanych z usuwaniem skutków powodzi oraz informacji rządu na ten temat).

Panie Marszałku. Wysoka Izbo.

Mijają dwa miesiące od pierwszej powodzi, a władze w terenie, udzielając pomocy, wciąż opierają się jedynie na ustnych rozporządzeniach premie-

ra wypowiedzianych w środkach masowego przekazu. Nagłośniona medialnie pomoc rządu w wysokości 6 tys. zł dla poszkodowanych jest, niestety, formą obietnicy, ponieważ rzadko kto otrzymuje taką kwotę, najczęściej to 3–4 tys. zł, choć są i tacy, którzy otrzymali tylko tysiąc złotych. Powodzianie zwracają uwagę na bariery biurokratyczne. Pieniądze biorą tylko ci, którzy nie mają na chleb, wielu jednak odmawia i składa odwołania.

Dobrze, że wreszcie przyjmujemy dwie ustawy powodziowe, które obejmują szereg działań dotyczących pomocy poszkodowanym przez powódź. Najważniejsza jest ustawa o szczególnych rozwiązaniach związanych z usuwaniem skutków powodzi z maja i czerwca 2010 r. Na nią z niecierpliwością czekają m.in. przedsiębiorcy oraz pracownicy z terenów dotkniętych przez żywioł. Ustawa ma pomóc w sprawnym działaniu instytucji, w usprawiedliwianiu i wypłacaniu wynagrodzeń za czas nieobecności w pracy, ma pomóc przedsiębiorcom, którzy będą chcieli uzyskać środki czy to z funduszu pracy, czy to z funduszu gwarantowanych świadczeń pracowniczych. Wszystko po to, żeby utrzymać swoją działalność i obecne zatrudnienie. Projekty wprowadzają także regulacje dotyczące infrastruktury, a także pomocy dla rolników, którzy m.in. będą mieli możliwość wcześniejszego otrzymania dopłat. Zamiast czekać do późnej jesieni czy przyszłego roku, niektórzy otrzymają je wcześniej.

Wszystko to ładnie wygląda na papierze, a jak będzie w rzeczywistości? Przedsiębiorcy z Sandomierza już ostro krytykują projekt rządu. Twierdzą, że w bardzo małym stopniu zaspokaja ich potrzeby, a przede wszystkim nie rekompensuje zaniedbań ze strony rządu. W tej sytuacji składają pozew zbiorowy wobec Skarbu Państwa, zarzucając rządowi PO-PSL, że nie dołożył starań, by zapobiec katastrofalnym skutkom niedawnych powodzi. To będzie pierwszy taki zbiorowy pozew, domagający się od rządu wywiązania z obowiązku konstytucyjnego, jakim jest zapewnienie obywatelom bezpieczeństwa, w tym wypadku poprzez budowę wałów, zbiorników retencyjnych, regulację rzek, meliorację łąk i pól.

Pozew ma dobre uzasadnienie, ponieważ władza pozwalała na zabudowę wielokrotnie zalewanych terenów, i tak np., w Sandomierzu poczynszy od lat 60. powstały na niebezpiecznym terenie osiedla domków jednorodzinnych, prywatne przedsiębiorstwa, huta szkła okiennego, przetwórnia pasz, a nawet dworzec PKP i cała infrastruktura z tym związana. Jak pisze się w pozwie, skoro usytuowano tu tak ważne obiekty, to należało zadbać o ich bezpieczeństwo i ochronę.

Zresztą, to nie jedyna forma protestu powodzian przeciw bezczynności władz. Również grupa mieszkańców Tarnobrzega chce ukarania osób winnych zaniedbań, które w ich ocenie przyczyniły się do zalania przez wody Wisły kilku osiedli. I tak zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa do Prokuratury Rejonowej w Tarnobrzegu złożyło kilkudziesięciu mieszkańców osiedla Wielowieś. Zawiadomienie dotyczy nieprawidłowości przy zabezpieczeniu wałów w Koćmierzowie: po ich przerwaniu doszło do zalania Wielowsi oraz kilku innych miejscowości. Co więcej, w Koćmierzowie do dzisiaj wyrwa w wale ma około 160 m i nie robi się nic, aby ją załatać.

Przypomnę, że premier, który pojawił się na tym terenie, całą winę za zaniedbania zwałił na wójta jednej z gmin, mówiąc: „Ja wam wójta nie wybie-rałem”. Powiedział też, że trzeba zapamiętać i rozliczyć wszystkich, którzy „spieprzyli”. Przecież to nie wójt odpowiada za niską rangę gospodarki wodnej jako dziedziny gospodarki narodowej w Polsce. Dlaczego premier już wówczas zrzucał odpowiedzialność na innych? To przecież nie wójt podejmuje decyzje odnośnie do spuszczenia wody ze zbiorników retencyjnych. To nie samorząd wybiera wojewodę.

Wspomnianych ponad 400 firm i przedsiębiorstw w Sandomierzu choć przestało właściwie istnieć, jednak nie zawiesiło działalności, bo to wiąza-łoby się z ich likwidacją. Dlatego liczą na obiecane ulgi w podatkach, kredyty czy pomoc w wypłacie wynagrodzeń dla pracowników. Jak dotąd, nie otrzymali nic konkretnego, i choć minęły już dwa miesiące od pierwszej powodzi, czekają na odpowiednie ustawy, te jednak, zanim wejdą w życie, muszą otrzymać notyfikację Komisji Europejskiej, ponieważ zawierają przepisy dotyczące pomocy publicznej dla przedsiębiorców. Dodatkową trudnością w pozyskaniu pomocy może być fakt, że zalane zostały nie tylko fabryki czy zakłady, ale także biura wielu firm, w tym również dokumenty, komputery. Tymczasem w uchwalonych ustawach przewiduje się poręczenia, zabezpieczenia, hipoteki, a nawet dokumenty o nie zaleganiu ze składkami. Dodatkowym mankamentem tych ustaw jest ograniczenie pomocy wyłącznie do zdarzeń i sytuacji poszkodowanych w powodzi z maja i czerwca 2010 r. W przypadku wystąpienia kolejnej powodzi, potrzebna będzie nowa ustawa.

Nie krytykuję tego co władze robią dla powodzian, ale kłopotliwa jest tymczasowość. Mszczą się projekty minister śp. Grażyny Gęsińskiej, odrzucone dlatego, ponieważ były PiSowskie. Dlatego jak najszybciej potrzebna

jest weryfikacja listy projektów przeciwpowodziowych. PiS proponuje powrót do projektów opracowanych w 2007 roku. Konieczny jest powrót do planu b. minister rozwoju regionalnego Grażyny Gęsickej, który zakładał budowę instalacji przeciwpowodziowych zabezpieczających m.in. dolinę Wisłoki i Kraków oraz umocnienie wałów Wisły. Na obecnej liście najwięcej jest projektów z północnej Polski, a powódź najbardziej dotknęła Polskę południową.

Powodzie były, są i będą, dlatego należy się po prostu odpowiednio na nie przygotować, żeby straty były jak najmniejsze. Nie można ciągle zarządzać awariami, trzeba więcej przewidywać. Samorządy ani teraz, ani w przyszłości nie poradzą sobie ze skutkami powodzi, potrzeba na to wielu miliardów złotych. Rząd uważa, że dobrze radzi sobie z tym problemem, tymczasem ta katastrofa pokazuje, że rząd nie spełnia swojej roli na szczeblu lokalnym i państwowym. Ostatnia kontrola NIK w 2009 roku wykazała, że obecny rząd niewiele zrobił, by przeciwdziałać zagrożeniom, a w swoich poczynaniach jedynie pozoruje działania. Wystarczy tylko wspomnieć, że 30 proc. wałów wymagało modernizacji, nie mówiąc już o kwestiach związanych z melioracją, złym zarządzaniem czy chociażby obcinaniem środków na inwestycje powodziowe. Brak pomysłu i programu na walkę z powodzią to dowód na niemoc władz rządowych. Przykładem są roszady w Rządowym Centrum Bezpieczeństwa, gdzie z końcem ubiegłego roku w ramach zmian odeszło bodajże 11 specjalistów. W efekcie doszło do tragedii, która obnaża obraz zaniedbań. Był czas, żeby podjąć działania nawet profilaktyczne, ale nie zrobiono nic. Dlatego wspomniany pozew jest ważnym sprawdzianem polskiej demokracji. Przyszedł czas, byśmy zaczęli walczyć o silne i sprawne państwo, abyśmy nie godzili się na tzw. demokrację ustną. Oby uchwalane dzisiaj ustawy cośkolwiek w tej materii zmieniły. Dziękuję za uwagę.

Po wyborach prezydenckich

Oficjalne wyniki II tury wyborów prezydenckich, 4 lipca 2010 r.: B. Komorowski – 53,01 proc., J. Kaczyński – 46,99 proc. Czyli na Komorowskiego głosowało blisko 9 milionów Polaków, na Kaczyńskiego prawie 8 milionów. Frekwencja w II turze wyborów prezydenckich wyniosła 55,31 proc. Bronisław Komorowski wygrał w dziewięciu, a Jarosław Kaczyński –

w siedmiu województwach. Lublin to jedyna stolica województwa, w której w II turze wyborów prezydenckich zwyciężył kandydat PiS. We wszystkich pozostałych wygrał kandydat PO. Komorowski wygrał w Niemczech, Czechach, Bułgarii, Szkocji i Irlandii Płn., na Litwie oraz w części Włoch – w Mediolanie i Neapolu. Kaczyński wyprzedził swojego rywala w stolicy Italii oraz w USA i Kanadzie.

Generalnie te blisko 8 milionów Polaków głosujących na prezesa PiS to niemal połowa tych, którzy poszli na wybory. Należy im się podziękowanie za to, że poparli Prawo i Sprawiedliwość. Dzięki nim siła poparcia społecznego opozycji jest ogromna, mimo to nie mają oni poza parlamentem niemal żadnej reprezentacji w instytucjach państwa. Dlatego warto pamiętać o maksymie Józefa Piłsudskiego, przywołanej przez Jarosława Kaczyńskiego: „zwyciężyć i spocząć na laurach to klęska, być zwyciężonym, a nie ulec, to zwycięstwo”.

Jakże symbolicznie, z chwilą ogłoszenia swojego wyboru, marszałek Komorowski zaprosił na trybunę jednego z największych siewców nienawiści w czasie całej kampanii – ministra Władysława Bartoszewskiego, który systematycznie obrażał śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, a także obraził swoimi prostackimi „żartami” blisko połowę wyborców.

Co wynik wyborów prezydenckich oznacza dla Polski? Przede wszystkim bezprecedensowe – w całej historii 21 lat III RP – skupienie władzy w rękach jednego ośrodka decyzyjnego, a dokładnie Donalda Tuska. Bo przecież to on delegował do Pałacu Prezydenckiego Bronisława Komorowskiego. Ale ta ogromna władza oznacza też ogromną odpowiedzialność za państwo. Już nie będzie można twierdzić, że reformy w Polsce się nie udają, bo rządowi przeszkadza prezydent.

Ponieważ Komorowski wygrał dzięki poparciu SLD, w najbliższym czasie możemy się spodziewać coraz bardziej na lewo idących ustaw, że wspomnieną sztandarową w ostatniej kampanii wyborczej kwestię uregulowania procedury *in vitro*. Także polska polityka będzie zmierzała w niebezpiecznym kierunku w dziedzinie międzynarodowej. Politycy Platformy nie od dziś dają dowody braku podmiotowości w fundamentalnych kwestiach na arenie międzynarodowej.

Jak powiedziałem, władza PO ma obecnie bezprecedensowe rozmiary. W dodatku rozszerzono ją, obsadzając w niegodnym pośpiechu stanowiska po ofiarach katastrofy smoleńskiej. W ten sposób wybrano Marka Belkę na szefa Narodowego Banku Polskiego, zmieniono zapisy ustawy o Instytucie

Pamięci Narodowej, a także obsadzono urząd Rzecznika Praw Obywatelskich, który powinien reprezentować tych właśnie, którzy mogą czuć się zagrożeni przez dominację większości.

Co będzie z obietnicami Komorowskiego dzięki którym wygrał? Oto lista: 1. Podwyżki w tym roku dla nauczycieli. 2. Coroczna waloryzacja rent i emerytur. 3. Wprowadzenie 50-procentowej ulgi na przejazdy dla studentów. 4. Utrzymanie wydatków budżetowych na armię w ustawowej wysokości 1,95 proc. PKB. 5. Pozostawienie odrębnego systemu rolniczego KRUS po wyeliminowaniu patologii. 6. Nieprzeprowadzanie głębokiej reformy emerytur służb mundurowych. 7. Unikanie podwyżek podatków. 8. Unikanie cięć w wydatkach. 9. Utrzymanie bezpłatnej opieki zdrowotnej. 10. Rozpoczęcie budowy 1000 km nowych dróg i obwodnic w ciągu 500 dni prezydentury. 11. Wycofanie polskich wojsk z Afganistanu „rok przed Amerykanami”, czyli do 2012 r. 12. Jednomandatowe okręgi wyborcze w wyborach samorządowych (tj. wybór radnych nie pochodzących z list partyjnych). W sumie, 30 procent podwyżki dla nauczycieli, 50-procentowa zniżka kolejowa dla studentów, bezpłatne autostrady wokół miast, opłacana przez państwo metoda *in vitro*, parytety na listach wyborczych dla kobiet itd., te wszystkie cuda mają się wydarzyć w ciągu nadchodzących 500 dni. Jak sądzę, to tylko słowa, które nigdy nie zamienią się w czyn.

Aby Polacy zapomnieli szybko o obietnicach nowego prezydenta, poseł Palikot w swoim stylu mówi jeszcze straszniejsze rzeczy, niż przed tragedią. Ostatnio powiedział m.in.: „Największym wilkiem polskiej polityki jest Jarosław Kaczyński (...) Bronisław Komorowski pójdzie na polowanie na wilki. Zastrzelimy Jarosława Kaczyńskiego, wypatroszymy i skórę wystawimy na sprzedaż” („Szymon Majewski Show 21.06.2010.). Albo: „Zachowania Kaczyńskiego przed 10 kwietnia na pewno były dziełem szatana.” („Polska The Times” 21.06.2010). „Kaczyński zawsze był politykiem śmierci”. (Blog Janusza Palikowa, 6.06.2010.) I ostatnia: dzień po wyborach wezwał do sprawdzenia, czy poprzedni prezydent RP Lech Kaczyński był trzeźwy podczas tragicznego lotu do Katynia. Pytanie to – a raczej jednoznaczna sugestię – związał ze stwierdzeniem: „Lech Kaczyński ma na rękach krew ofiar tragedii smoleńskiej (bo pił, spieszył się, był nadęty pychą i chciał za wszelką cenę, także za cenę życia swoich 95 współpasażerów, postawić na swoim)”. Palikom wezwał także rodzinę prezydenta do przeproszenia rodzin pozostałych ofiar tragedii.

Tego rodzaju wypowiedzi są naruszeniem najbardziej fundamentalnych wartości i norm nie tylko, ubliżają, odmawiają osobowych cech i godności innym przywódcom politycznym, szczują rodzin jednych ofiar katastrofy przeciw drugim. Warto sobie wyobrazić, jak tego rodzaju oskarżenia odbiera chora matka zmarłego prezydenta, a także jego córka? Wypowiada te słowa członek Platformy Obywatelskiej, jeden z najważniejszych, najbardziej wpływowych polityków tej partii, zapewne z błogosławieństwem swoich kolegów i zwierzchników, bo przecież nie spotkała go za to żadna kara. Widocznie pomiatanie zmarłymi, poniewieranie nieżyjącej głowy państwa dzień po wyborze nowego prezydenta Rzeczypospolitej, to według PO oraz prezydenta elekta zachęta do 500 dni spokoju. Wszystkie granice podłości zostały przekroczone.

*(Fragment wypowiedzi dla Radia FIAT w Częstochowie,
9 lipca 2010 r.)*

Spór o krzyż czy o pamięć

Dwa wielkie krzyże, dwa straszliwe nieszczęścia, które dotknęły ostatnio Polskę, katastrofa pod Smoleńskiem oraz powódź, zamiast nas jednoczyć, budzić poczucie odpowiedzialności za ojczyznę – są wykorzystywane przez PO do partyjnych bójek. Bo jak inaczej zrozumieć zarzut, że prezes PiS wykorzystuje politycznie katastrofę pod Smoleńskiem! To przecież w gremiach PO już kilka godzin po katastrofie podawano, że przyczyną katastrofy był błąd pilotów próbujących lądować we mgle. Taką zresztą wersję podtrzymują do dzisiaj nie tylko polskie, ale i rosyjskie, a także europejskie media. Tak niewielu oburzyło się, kiedy ludzie z obozu PO szermowali teżą, że sprawcą katastrofy był sam prezydent, który spóźnił się na start, ponieważ dobrze nie wytrzeźwiał, że to on nalegał, aby załoga lądowała mimo złych warunków! I w końcu, że to on ma krew ofiar na rękach! Czyż głoszenie takich wersji – bez dowodów, nie jest jakimś politycznym zdziczeniem!

Prezes PIS w kampanii prezydenckiej dotrzymał słowa i nie poruszał tematu katastrofy. Kiedy teraz w wywiadzie dla „Gazety Polskiej” przerwał milczenie i ujawnił m.in., że w dniu katastrofy powiedział do min. R. Sikorskiego: „To jest wynik waszej zbrodniczej polityki – nie kupiliście nowych samolotów” – rozległ się chór obrońców PO. Czy mamy nie wierzyć J. Kaczyńskiemu, kiedy dzieli się swoimi wątpliwościami, co do prowadzenia

śledztwa? Albo gdy mówi, że to premierzy Putin i Tusk nie chcieli wspólnych obchodów katyńskich z prezydentem Lechem Kaczyńskim! Chyba każdy wie, że Rosja oskarżała polskiego prezydenta o angażowanie się w sprawę Gruzji, nawet minister Sikorski dał temu wyraz, nazywając ostrzelanie samochodu prezydenta podczas pobytu w Tbilisi słowami: „jaka wizyta, taki zamach”. Także spory między premierem a prezydentem o rządowy samolot, o krzesło w Brukseli, o wizję Polski w Unii Europejskiej – spory prowokowane przez rząd, nie były dla nikogo tajemnicą.

Wydawało się, że stare spory przeminęły, ponieważ mamy prezydenta „zgody narodowej, niestety, to on wywołał spór o usunięcie krzyża sprzed pałacu prezydenckiego, krzyża, który jest drogi nie tylko rodzinom ofiar, ale wszystkim, którzy w dniach narodowej żałoby oddali hołd prezydenckiej parze.

Nie rozumiem, dlaczego krzyż – najbardziej czczony znak chrześcijan – który symbolizuje tragiczną śmierć prezydenta Polski Lecha Kaczyńskiego, jego współpracowników z kancelarii, a także tylu innych zasłużonych dla Polski osób, nie może stać w tym miejscu! On wyraża narodową wspólnotę, która zawiązała się po 10 kwietnia. Jest znakiem tych dobrych rzeczy, które działy się po tym dniu, dlatego pozostawienie krzyża tutaj, modlitwa przy nim, palenie zniczy, składanie kwiatów są czymś naturalnym dla naszej wiary i kultury. To stąd 10 kwietnia wyruszył w ostatnią podróż prezydent Lech Kaczyński, by oddać cześć i hołd polskim oficerom pomordowanym 70 lat wcześniej w Katyniu. To do tego miejsca 10 kwietnia miał wrócić wraz z Małżonką i bliskimi współpracownikami. Jest to więc najbardziej właściwe miejsce do upamiętnienia tej narodowej tragedii. Skoro mogą stać krzyże przed stoczną gdańską, przed kopalnią „Wujek” i w wielu innych miejscach upamiętniających wielkie tragedie narodowe, także znak krzyża w tym miejscu ma swoje najgłębsze uzasadnienie. Co więcej, w jego pobliżu powinna zostać umieszczona także tablica z nazwiskami ofiar bądź wzniesiony obelisk.

Krzyż – w tym przypadku jako znaku żałoby – nie usuwa się, bo w polskiej tradycji ma to zawsze charakter dechrystianizacji. Dlatego gdybym był na miejscu nowego prezydenta i za naczelną wartość uznawałbym narodową zgodę, to bym razem z innymi przynosił kwiaty pod ten krzyż. To byłoby zachowanie godne męża stanu! W ten sposób uhonorowałbym samą prezydenturę i tysiące ludzi, którzy składali i składają hołd poprzedniej parze prezydenckiej.

Krzyż w historii był zawsze znakiem sprzeciwu, dla wielu skandalem i powodem do niepokoju. Dlatego musi niepokoić sytuacja, w której prezydent elekt urzędowanie zaczyna od usunięcia krzyża, a jego następca marszałek Grzegorz Schetyna chce, by PiS zlikwidował z foteli w Sejmie zdjęcia ofiar katastrofy smoleńskiej. Dlaczego ich nie zatrzymać do czasu zakończenia śledztwa, do czasu wmurowania odpowiednich pamiątkowych tablic? Ta walka z krzyżem i zdjęciami poległych jest próbą zniszczenia wszystkiego, czego symbolem był Lech Kaczyński i IV RP. Czy obecna władza wykaże się taktem wobec uczuć milionów Polaków? A może raczej największej sile politycznej opłaca się podgrzewanie konfliktu, abyśmy nie wtrącali się do polityki, do wyprzedzaży resztek majątku narodowego, do zawłaszczania mediów publicznych. Doświadczenie podpowiada mi, że wkrótce usłyszymy o dobrej woli władzy, o propozycjach kompromisu ze strony PO, a także o manipulatorach i „nekrofilach” z PiS, którzy grają tragedią, manipulują społeczeństwem, węższą wszędzie spisek. „Zgoda buduje” – kolejny slogan, który był wyborczą paplaniną.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 30/2010)

Zaprzysiężenie prezydenckich obietnic

Jeszcze nie przebrzmiały huczne zapowiedzi kandydata Platformy na prezydenta o pieniądzach dla wszystkich niemal grup społecznych, a już rząd skłania nowego lokatora Pałacu Namiestnikowskiego do przemyślenia złożonych obietnic. W tym duchu minister Boni wspominał o konieczności podwyżki podatków, co musi być nie w smak B. Komorowskiemu, który w czasie kampanii wyborczej twierdził, że podwyżka podatków to „najgorsze rozwiązanie”. Czy jako prezydent takie rozwiązanie zawetuje?

Oficjalnie rząd przyznaje, że brakuje mu 50 miliardów zł, ekonomiści podpowiadają, że chodzi o drugie tyle. Z tego też powodu zaprzysiężenie prezydenta Bronisława Komorowskiego na pięcioletnią kadencję odbywa się w minorowym nastroju: łatwo było obiecywać, by zwabić wyborców, trudniej teraz obietnice wykonać. A wypada przypomnieć, że wyniki wyborów jednoznacznie wskazują, że hasła B. Komorowskiego trafiły na podatny grunt. Może więc warto zapamiętać najważniejsze z tych obietnic. Oto one: 1. Dla nauczycieli – jeszcze w tym roku 30 proc. podwyżka płac; 2. Dla rencistów i emerytów – coroczna waloryzacja; 3. Dla studentów 50-procentowa ulga na

przejazdy; 4. Dla armii – utrzymanie wydatków budżetowych w ustawowej wysokości 1,95 proc. PKB; 5. Dla rolników – pozostawienie odrębnego systemu rolniczego KRUS; 6. Dla obecnych policjantów i wszystkich służb mundurowych – pozostawienie emerytur na dotychczasowych zasadach; 7. Dla wszystkich – unikanie podwyżek podatków; 8. Dla urzędników – unikanie cięć w wydatkach; 9. Dla chorych – utrzymanie bezpłatnej opieki zdrowotnej; 10. Dla kierowców – rozpoczęcie budowy 1000 km nowych dróg i obwodnic w ciągu 500 dni prezydentury; 11. Dla kobiet – parytety na listach wyborczych; 12. Dla niepełnych małżeństw – opłacana przez państwo metoda *in vitro*. A ponadto: wycofanie polskich wojsk z Afganistanu „rok przed Amerykanami”; wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych w wyborach samorządowych, czyli wyboru radnych nie pochodzących z list partyjnych; bezpłatne autostrady wokół miast.

Te wszystkie cuda czekają nas w ciągu nadchodzących 500 dni. Jak sądzę, to tylko słowa, ponieważ o pieniądzach na realizację wymienionych obietnic minister finansów nawet nie chce słyszeć. Oprócz ukrywania w różnych funduszach ogromnego zadłużenia kraju, głowę zaprzęta mu reforma finansów, na którą premier nie da zgody w roku wyborczym. Zmiany – jeśli nastąpią – będą odroczone w czasie. Dlatego czeka nas wyłącznie sterowanie emocjami przez usługowe Platformie media, czyli swego rodzaju „palikotyzacja” mediów, w której wojna z PiS, z IV RP, z Jarosławem Kaczyńskim, z parlamentarnym zespołem ds. wyjaśnienia katastrofy pod Smoleńskiem będzie ważniejsza od gospodarki, stanu finansów państwa czy spraw społecznych.

Wydawało się, że skoro Platforma Obywatelska wygrała wszystko – katastrofa pod Smoleńskiem była jak spełniające się marzenie o pełni władzy – Prawo i Sprawiedliwość nie będzie już największym zagrożeniem i źródłem wszystkich niepowodzeń. Tymczasem nadal zaprzyjaźnione z PO media starają się wszelkie zło łączyć z prezesem PiS, nawet afery hazardowa w Platformie powstała z winy CBA, czyli faktycznie stał za nią szef tej służby M. Kamiński z PiS. Tak głosi raport przewodniczącego M. Sekuły, według którego doszło do przecieku o aferze z CBA do mediów, a nie ma śladu o przecieku z kancelarii premiera do Sobiesiaka. A tak w ogóle, to według M. Sekuły nie było żadnej afery, bo przecież nie doszło do uchwalenia korupcyjnej ustawy. Spotkania Mira, Zbycha czy Rycha miały co najwyżej charakter niestandardowy. W sumie, raport M. Sekuły wybieła posłów PO i atakuje PiS. Prawda nie ma w raporcie żadnego znacze-

nia, ponieważ najważniejsze jest wygranie kolejnych wyborów samorządowych i parlamentarnych.

Ciekawy jestem, jak dalej Platforma będzie tumanić naród, aby utrzymać pełnię władzy. Przypomnę, obietnicami zdobyto pałac, mimo że nie zależało jej na żyrandolach. Wkrótce z mediów publicznych znikną „pisiory”, a zajmą ją „apolityczni” menedżerowie i dziennikarze. Archiwa IPN już zostały zabetonowane, ale walczone z hasłem, że będą otwarte. CBA ma sukcesy, ale jej specjalistyczną broń przekazuje się policji. Polityka zagraniczna kwitnie, nie ma kłótni z sąsiadami, a jedyny drobny niepokój sprawiają Rosjanie, ponieważ nie chcą przekazać oryginałów czarnych skrzynek. Poprawia się sytuacja w służbie zdrowia, bo przecież nikt nie strajkuje. Nie grozi nam przypadek Grecji, ponieważ nadal jesteśmy liderem gospodarczym w UE.

Pozostaje jeszcze na barkach Platformy wyjaśnienie katastrofy smoleńskiej. I spełnienie tych nieszczęsnych obietnic prezydenta z kampanii wyborczej. Ale cała nadzieja PO w pośle z Lublina, który na pewno wymyśli coś bardziej szokującego, niż hasło: „Lech Kaczyński ma krew na rękach ludzi, którzy zginęli”, czym zapewni Platformie więcej niż 500 dni spokoju. Gdyby było inaczej, nie byłby wiceprzewodniczącym klubu tej partii i najbardziej obleganym politykiem przez „apolitycznych” dziennikarzy i „niezależne” media.

(Widziane z Senatu „Niedziela” nr 32/2010)

Monopol PO w mediach

(Przemówienie na 61 posiedzeniu Senatu, 4–6 sierpnia 2010 r. w sprawie ustawy o radiofonii i telewizji oraz ustawy o opłatach abonamentowych).

Panie Marszałku. Wysoki Senacie.

Po objęciu wszystkich najważniejszych stanowisk w państwie Platforma Obywatelska przejmie ostatnie instytucje będące poza jej kontrolą: Krajową Radę Radiofonii i Telewizji oraz media publiczne. Cel jest oczywisty, chodzi o posiadanie totalnej władzy, a zarazem o prowadzenie totalnej propagandy, aby móc tumanić naród kolejnymi obietnicami, które zostaną odłożone *ad Kalendas Graecas*.

Ustawa medialna, którą nowelizujemy, jest tego najbardziej spektakularnym dowodem. Już samo przerwanie kadencji Krajowej Rady poprzez odwołanie jej dorocznego sprawozdania przez trzy organy władzy państwowej przygotowało obecne zawłaszczenie mediów publicznych. Kto jednak mógł przypuszczać, że znajdzie się ugrupowanie, które nie cofnie się przed wykorzystaniem tragedii narodowej do wyeliminowania w tak ekspresywnym tempie pozostałości po poprzednikach?

Przypomnę, że prezydent elekt, będąc jeszcze marszałkiem Sejmu pełniącym obowiązki głowy państwa, w ostatniej chwili, w ostatnich godzinach urzędowania, w ekspresowym tempie powołał dwóch własnych członków Krajowej Rady: Jana Dworaka – radnego sejmiku z Platformy Obywatelskiej – oraz Krzysztofa Lufta, który kandydował do Sejmu z list PO. Obydwaj, jak państwo widzą, spełniają kryterium przyświecające odwołaniu obecnej rady, jakim ma być tak zwane odpolitycznienie mediów publicznych. Obydwaj wymienieni członkowie Krajowej Rady są oczywiście – trzeba tak powiedzieć – apolityczni inaczej. Także kandydat PSL, były senator Stefan Pastuszka, jest apolityczny inaczej. Również wybrani przez Sejm członkowie Krajowej Rady z nadania SLD z całą pewnością zapewnią tej instytucji apolityczność. Skoro Platforma twierdzi, że do tej pory Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji była całkowicie upolityczniona, a teraz ma być inaczej, to na pewno tak będzie. Cuda się zdarzają, o czym PO zapewnia naród od trzech lat. Zapewnia o tym wicemarszałek Sejmu z PO Stefan Niesiołowski, mówiąc, że nowa Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji wreszcie odpolityczni media publiczne. To są jego słowa.

Jak dowodzi tenże, nigdzie na świecie nie jest tak jak u nas, żeby media publiczne tak agresywnie atakowały rząd. Dodam od siebie, że widać to zwłaszcza w programach Tomasza Lisa i Jacka Żakowskiego – chodzi mi oczywiście o atakowanie byłego rządu Jarosława Kaczyńskiego. Jak szyderstwo brzmią słowa posłanki PO, przewodniczącej sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu, pani Iwony Śledzińskiej-Katarasińskiej, że intencją dokonywanych przez Platformę zmian jest – cytuję – „przegonienie polityków” z Krajowej Rady. Rzeczywiście, zgodnie z polityczną nowomową, w przypadku Platformy to przegonienie sprowadza się do czystek, które pozwolą zwolnić miejsca dla nowych partyjnych kolegów.

Należy ubolewać nad tym, iż nikt w PO nie przejmuje się tym, że media publiczne, oprócz publicznej telewizji korzystającej z reklam, stoją na granicy katastrofy finansowej. Jak dotąd nikt z PO nie zaproponował no-

wych źródeł ich finansowania. Zapewne chodzi właśnie o to, żeby media publiczne najpierw skomercjalizować, potem sprywatyzować, a wreszcie zmarginalizować.

Podobnie posłów i senatorów Platformy Obywatelskiej nie interesuje też najważniejszy problem telewizji w Polsce, jaki niesie ze sobą proces cyfryzacji. Mam tu na myśli odcięcie w perspektywie najbliższych dwóch, trzech lat znacznej grupy polskich obywateli od możliwości bezpłatnego odbioru sygnału telewizyjnego. Oblicza się, że około półtora miliona gospodarstw domowych nie będzie mogło samodzielnie sprostać przystosowaniu się do nowej sytuacji. Brak kampanii informacyjnej powoduje, że wiele zdezorientowanych osób płaci niepotrzebny haracz tym, którzy żerują na ich niewiedzy. Mnóstwo osób kupiło i wciąż kupuje telewizory z niewłaściwym dekodern, a na rynku pojawia się duża liczba sprzedawców urządzeń technicznych, którzy przekonują, że są one niezbędne do cyfryzacji. Zyskują na tym platformy satelitarne i nadawcy komercyjni. To, co miało być dla wielu bezpłatne, w ich świadomości, staje się dostępne dopiero po zapłaceniu prywatnej firmie za pakiet kablowy lub satelitarny. Niestety, działania Krajowej Rady w tym zakresie – ponieważ oczywiście była polityczna – spotkały się z całkowitą obojętnością apolitycznego rządu.

Kolejnym dowodem na to, że Platformie Obywatelskiej chodzi wyłącznie o przejęcie władzy w mediach publicznych, był przebieg publicznego wysłuchania w Sejmie projektu ustawy medialnej zgłoszonej przez komitet skupiający między innymi artystów i dziennikarzy. W tym projekcie zapisano propozycję, aby oddać Telewizję Polską i Polskie Radio w ręce twórców, przedstawicieli organizacji pozarządowych i samorządów. Niestety, politycy PO z góry orzekli, że projekt ustawy nie tylko nie zmieni sytuacji w mediach publicznych, ale wręcz doprowadzi do jeszcze większego ich upolitycznienia. Co więcej, we wspomnianej debacie nad nowelizacją ustawy toczono również spór wokół zapisu o misji mediów publicznych, który to zapis Platforma chciała usunąć, wykreślić. Ostatecznie go pozostawiono, ale prawdziwa intencja pozostała: najpierw media przejmujemy, a potem załatwimy resztę.

Nie trzeba nikogo przekonywać, że jedynym celem wymiany Krajowej Rady oraz obecnej nowelizacji ustawy medialnej jest zmiana rad nadzorczych oraz zarządów mediów publicznych. O nic innego tutaj nie chodzi. Zapomnijmy dzisiaj o pracach nad nową porządną ustawą, w której znalazłoby się uregulowanie finansowania mediów publicznych, i o szeregu in-

nych rzeczy. Zapomnijmy o nich, ponieważ według tych zmian w radach nadzorczych TVP będzie dwóch reprezentantów strony rządowej, desygnowanych przez ministra skarbu oraz ministra kultury i dziedzictwa narodowego, co zapewni rządowi bezpośredni wpływ na media publiczne i możliwość odwoływanie członków rad. Koniec z dotychczasową zasadą nieodwoływalności członków rad nadzorczych, co było fundamentem niezależności mediów publicznych. Powiem wprost: upolitycznienie mediów publicznych, które zarzucano obecnej Krajowej Radzie, dopiero nadchodzi.

Przejęcie Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji oznacza nie tylko monopol Platformy Obywatelskiej w publicznych mediach, ale także, w dalszej perspektywie, możliwość kształtowania przez nią świata mediów w Polsce. To przecież Krajowa Rada przydziela lub odbiera koncesje radiowe i telewizyjne, to Krajowa Rada może faworyzować jednych i dyskryminować drugich. Strzeżcie się, wolne media, jeśli będziecie niepoprawne politycznie. Jeśli będziecie zbyt głośno domagać się powołania międzynarodowej komisji do spraw tragedii pod Smoleńskiem, to możecie mieć problemy z koncesją. Czy muszę głośno mówić, o jakie media chodzi? Za kogo najpierw zabiorą się politycy Platformy? Faktycznie, najwyższy czas zamknąć usta toruńskim mediom, które stale upominają się o prawdę o śmierci prezydenta i elity polskich polityków. Czy państwo nie odnosicie wrażenia, że historia zatoczyła koło? Tak jak w PRL za prawdę o Katyniu można było stracić pracę czy nawet pójść do więzienia, tak dzisiaj za pytania o Smoleńsk jest się wykluczonym z tak zwanego salonu, czyli narażonym na najgorsze inwektywy.

Jeszcze pod innym względem historia zatoczyła koło. Obecnie w Polsce powtórzył się partyjny monopol władzy w wydaniu nowej jedynie słusznej przewodniej siły narodu. Mówi się wprost, że niedługo będą dwa ośrodki medialne – część tak zwana publiczna obsadzona przez polityków PO i tak zwana część skomercjalizowana, uwłaszczona przez ich przyjaciół. Można z przekąsem powiedzieć, że przy Woronicza powstanie, w sensie ideowym, nowa TVN, TVN bis, jako drugie medialne ramię Platformy.

A co ze sferą wolności w medialnej przestrzeni? Nie będzie potrzebna. Skoro opozycja wyginie jak dinozaury, to po co jej media? Platforma zaspokozi w pełni tak informację, jak propagandę na użytek zbliżających się wyborów samorządowych i parlamentarnych. Jak sądzę, dzisiaj kończy się spór o tak zwane odpolitycznienie mediów publicznych. Od jutra będzie się mówić i pisać, że nie ma ani właścicieli, ani dziennikarzy apolitycznych, że

każdy ma jakieś polityczne sympatie albo antypatie. To, że obecnie większość mediów pała miłością do Platformy, będzie świadczyło o dojrzałości ich właścicieli i dziennikarzy. (Oklaski) Zapomnijmy o tym, co jest możliwe dzisiaj, kiedy w telewizji publicznej pracuje i Tomasz Lis i Jan Pospieszalski, Jacek Żakowski i Bronisław Wildstein. Koniec z równowagą poglądów. Odtąd w mediach będą pracować tylko swoi, najwierniejsi z wiernych.

Niestety, jak wspomniałem, ta nowelizacja ustawy medialnej nie rozwiązuje żadnego z problemów Telewizji Polskiej i Polskiego Radia. Umożliwia jedynie Platformie Obywatelskiej i jej satelitom, czyli PSL oraz SLD, przejęcie pełnej kontroli nad zarządami i radami nadzorczymi mediów publicznych, a tym samym nad myśleniem i zachowaniem milionów Polaków, ponieważ nie od dzisiaj jest tak, że czwarta władza stała się pierwszą.

Przychyłam się do wniosku Prawa i Sprawiedliwości, który zostanie zgłoszony, o odrzucenie tej ustawy w całości. Dziękuję za uwagę.

Drugie wystąpienie:

Panie Marszałku! Wysoka Izbo!

Korzystam z przysługujących mi 5 minut, chcąc ustosunkować się do wypowiedzi panów i pań senatorów. Na początku chciałbym podziękować panu senatorowi Sidorowiczowi za zareklamowanie moich felietonów w tygodniku „Niedziela”, które faktycznie wcześniej, przynajmniej niektóre, w swojej konstrukcji, są wystąpieniami w naszej Izbie. Nie mogę jednak zgodzić się ze stwierdzeniem senatora Sidorowicza, że moje pierwsze wystąpienie nie było na temat obecnej nowelizacji.

Przypomnę, że niemal cała moja wypowiedź dotyczyła pseudoodpolitycznienia Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, a przecież niemal wyłącznie po to jest ta nowelizacja. Taka jest prawda. Ta nowelizacja dotyczy tylko wymiany kadry, nie zajmuje się żadnym newralgicznym problemem mediów publicznych: abonamentem, zapaścią finansową, cyfryzacją czy implementacją dyrektywy unijnej. Liczenie na to, że powołani w konkursach kompetentni członkowie rad nadzorczych mediów publicznych coś zmienią, to jest czysto hipotetyczne myślenie. Mieliśmy w przeszłości, a i obecnie też mamy, kompetentnych ludzi w mediach. Brak jednak woli politycznej, a przecież o nią głównie chodzi, żeby zmienić sposób finansowania

wania mediów, żeby postawić twardo sprawę abonamentu, przywrócenia go w pełnej wysokości.

Mówilem dalej o upolitycznieniu mediów publicznych, które dopiero nas czeka, bo przecież gremia uczelni wyższych wcale nie muszą zaproponować kandydatów spełniających kryteria ustawy. A przede wszystkim – mimo że będą wyłonieni w konkursach – to i tak decyzyj o ich powołaniu podejmie skrajnie upolityczniona Krajowa Rada. Ona także wspólnie z przedstawicielami ministra skarbu oraz kultury i dziedzictwa narodowego może ich odwołać, co stawia ją nawet ponad radą nadzorczą, czyli w pewnym sensie Krajową Radę można nazywać radą nadzorczą.

Rozumiem jednak, że senatorowie Platformy Obywatelskiej nic nie robią sobie z zarzutu o zawłaszczeniu mediów publicznych, i nadal twierdzą, że chcą te media odpolitycznić. Prawda jest jednak taka, że co innego wynika z proponowanych w ustawie zapisów, czyli nie dość, że nie odpolitycznimy mediów publicznych, to je jeszcze systemowo upartyjniamy.

Pan senator Sidorowicz był także łaskaw wspomnieć, że w grudniu 2005 r. koalicja rządząca dokonała zamachu na ówczesną Krajową Radę, przez co należy rozumieć, że obecnie mamy do czynienia z rodzajem zemsty ze strony PO. Niezupełnie. Przypomnę, że w 2005 r. nie było innej możliwości, by odwołać z Krajowej Rady panią przewodniczącą Danutę Waniek. Nikt z nas tego nie ukrywał, że tylko o to nam chodzi. Nie mówiliśmy o odpolitycznieniu, nie byliśmy hipokrytami, którzy pod płaszczykiem różnych demokratycznych haseł zwyczajnie gwałcą demokrację, jak to ma miejsce obecnie.

Pani senator Barbara Borys-Damięcka, sprawozdawczyni komisji, była łaskawa tłumaczyć, że przyszli członkowie rad nadzorczych mediów publicznych zostaną wyłonieni w otwartych i jawnych konkursach. Bardzo pięknie to pani przedstawiała, ale nie czarujmy się, dzisiaj niemal w każdej instytucji konkursy są jak listek figowy. Przecież i tak w radach nadzorczych zasiadają przedstawiciele dwóch wspomnianych ministerstw, a bez ich zgody nie będzie można podjąć żadnej decyzji, w tym o powołaniu i odwołaniu członków zarządu.

Przypomnę, jak to się odbyło jeszcze niedawno. Minister Aleksander Grad w 2009 r. w ciągu kilkunastu minut wznowił i zamknął walne zgromadzenie tylko po to, żeby odwołać radę nadzorczą Telewizji Polskiej, która wtedy obradowała na Woronicza i chciała zawiesić przewodniczącego Piotra Farfała. Wtedy minister włączył się bardzo aktywnie w obronę

byłego prezesa i powstał specyficzny sojusz Platformy z Ligą Polskich Rodzin. O tym już pan senator Sidorowicz nie wspominał. Krótko mówiąc, nie tylko następuje upolitycznienie Krajowej Rady, ale na dodatek rząd w tej nowelizacji zachowuje pakiet kontrolny nad mediami, a konkursy, jak powiedziałem, to stworzenie pozorów demokracji. A nadto gdyby jeszcze coś w radzie nadzorczej nie poszło po myśli rządzących, to wtedy powtórnie wkroczyć może Krajowa Rada, która podejmie odpowiednią decyzję o odwołaniu czy powołaniu któregoś z członków.

Zapewne media publiczne obecnie są upolitycznione i wymagają reformy, to nie ulega wątpliwości, jednak to, co obecnie uchwalamy, jest o wiele groźniejsze, bo tworzy nie tylko system upartyjniający, ale też jeszcze bardziej upaństwowiający media publiczne. Jeszcze raz konstatuje, że dzięki tej nowelizacji Platforma całkowicie uzależnia od siebie media publiczne. I nie ludźmy się, że jesienią pojawi się całościowa ustawa medialna. To już jest taka polska specyfika, że prowizorki trwają najdłużej. Ale na szczęście ta prowizorka potrwa tylko rok, bo mam nadzieję, że Prawo i Sprawiedliwość obejmie władzę w przyszłej kadencji. Dziękuję za uwagę.

Zasłona dymna przed pałacem

Trwa bój o obecność pomnika-krzyża przed Pałacem Prezydenckim, w miejscu, w którym Polacy oddają hołd pamięci ofiar narodowej tragedii, jaką była katastrofa pod Smoleńskiem. Obiecano, że powstanie pomnik z krzyżem, tymczasem niespodziewanie 12 sierpnia zawisła tablica upamiętniająca ofiary katastrofy smoleńskiej. Nikogo nie zawiadomiono, nieobecny był gospodarz pałacu, nieznany był kapłan, który tablicę poświęcił. Zebrani ludzie krzyczeli „hańba”. Zapewne teraz dopiero rozwinie się awantura w tym miejscu, dlatego, jak sądzę, komuś zależy, aby trwała ona jak najdłużej, aby media wałkowały po sto razy, dlaczego Jarosław Kaczyński nie był na zaprzysiężeniu prezydenta, zastanawiały się, po czyjej stronie w sprawie krzyża jest jeden czy drugi biskup, albo czy uda się którejś nocy zmylić obrońców krzyża i potajemnie przenieść go do kościoła św. Anny.

Bojówki pod pałacem, spontaniczne czy wynajęte, przeszkadzające ludziom w skupieniu i modlitwie, po partyzancku zamontowana tablica, to znakomita zasłona dymna dla wstydliwych problemów, które dotyczą parlament i rząd, a o których próżno szukać poważniejszych analiz w środkach

przekazu. Pierwsza sprawa, to wizja państwa prezydenta B. Komorowskiego. Z orędzia wynika jasno, że Polska rezygnuje z roli lidera Europy Środkowej, z przeciwstawiania się imperialnym zakusom Rosji w tym regionie, że wracamy do roli klienta w Brukseli. Nikt też nie kwestionuje pierwszych decyzji prezydenta, które umacniają polityczny monopol PO.

Druga sprawa, nie mniej wstydliwa, to w Sejmie i Senacie niemal bez echa krytyki przeszła ustawa kompetencyjna, ograniczająca w polskim parlamencie kontrolę aktów prawnych Unii Europejskiej przyjmowanych przez Polskę. W jedenastu obszarach prawnych rząd nie będzie musiał informować o ich przyjęciu ani Sejmu ani Senatu. To potraktowanie samych siebie jak ubogich krewnych na forum UE. Przeciwnie postąpiły władze niemieckie, które zadbały, aby każda z ustaw i spraw UE wymagała zgody Bundestagu. Trudno pojąć, dlaczego nasz rząd chce ominąć procedury ratyfikacyjne w parlamencie? Dlaczego Sejm i Senat zdominowany przez PO wyraził na to zgodę?

Trzecia sprawa to podatki. Aż dziw, jak niewiele mówi się i pisze o Wieloletnim Planie Finansowym Państwa, przyjętym przez rząd 3 sierpnia, zgodnie z którym stawki podatku VAT wzrosną o 1 proc., co spowoduje podwyżkę paliw, gazu, energii elektrycznej, to zaś przełoży się na wzrost cen wszystkich towarów i usług. Niestety, zawsze wzrostowi kosztów towarzyszy wzrost cen. Trudno zrozumieć, dlaczego wybrano wariant podwyżki podatków najbardziej dotkliwy dla osób o średnich dochodach? Oblicza się, że o 150 zł rocznie wzrosną koszty utrzymania każdego, czyli dla czteroosobowej rodziny będzie to ok. 600 złotych rocznie.

Podwyżka podatku VAT o 1 proc. to tylko 10 proc. sumy potrzebnej do uzdrowienia tegorocznego budżetu państwa, brakuje bowiem 50–60 miliardów zł. Czeką nas w przyszłości dalszy wzrost podatków, a już obecnie wyprzedaż spółek Skarbu Państwa, głównie w sektorze elektroenergetycznym. Ponadto rząd zamierza pozbyć się kontroli nad PZU i PKO BP – tak wynika z planu finansowego. Ta szokująca operacja ma charakter nadzwyczajny – sprzedaż obu kolosów finansowych nie została bowiem przewidziana w rządowym planie prywatyzacji. Obie instytucje finansowe to najcenniejsze, ostatnie „perły w koronie” należące do Skarbu Państwa. Z samych dywidend budżet może pozyskiwać z nich rocznie po kilka miliardów złotych, nie licząc innych korzyści dla budżetu i polskiego rynku wynikających z obecności własności państwowej w sektorze finansowym (zysk PZU za lata 2006–2008 wyniósł blisko 13 miliardów zł). Sprzedaż

akcji obu spółek połączona z utratą przez Skarb Państwa kontroli właścicielskiej może przynieść jednorazowo... kilkanaście miliardów złotych.

A może by tak poszukać oszczędności w administracji? Mało kto wie, że w latach 2008–2009 zatrudnienie w administracji wzrosło o 40 tysięcy etatów. W 2010 r. koszt tego zwiększonego zatrudnienia wyniesie około 4,5 miliardów zł, a w 2011 zbliży się do 5 miliardów zł. Oznacza to że każdy z nas zapłaci więcej za towary po to, aby było na wynagrodzenie dla armii urzędników.

Wracając do spraw krzyża i tablicy przed Pałacem Prezydenckim, ta „zadyma” jest potrzebna rządowi, który po 1000. dniach prowadzenia złej polityki gospodarczej doprowadził do radykalnego wzrostu wydatków sektora finansów publicznych. Teraz, posiadając pełnię władzy, zamiast naprawić swoje błędy ograniczając wydatki, sięga do kieszeni podatników. A jeszcze rok temu premier zapewniał, że dzięki polityce oszczędzania nie będzie podwyżki podatków. Jeszcze niedawno wmawiano nam, że jesteśmy „zieloną wyspą”. Dzisiaj z powodu zaniechania reform rząd szuka pretekstu do sprzedaży najcenniejszych firm państwowych. Odwróceniu uwagi społeczeństwa od tego pomaga eskalowanie napięcia przed pałacem.

Widziane z Senatu („Niedziela” nr 34/2010)

Zaprzysiężenie prezydenckich obietnic

Jeszcze nie przebrzmiały huczne zapowiedzi kandydata Platformy na prezydenta o pieniądzach dla wszystkich niemal grup społecznych, a już rząd skłania nowego lokatora Pałacu Namiestnikowskiego do przemyslenia złożonych obietnic. W tym duchu minister Boni wspomniał o konieczności podwyżki podatków, co musi być nie w smak B. Komorowskiemu, który w czasie kampanii wyborczej twierdził, że podwyżka podatków to „najgorsze rozwiązanie”. Czy jako prezydent takie rozwiązanie zawetuje?

Oficjalnie rząd przyznaje, że brakuje mu 50 miliardów zł, ekonomiści podpowiadają, że chodzi o drugie tyle. Z tego też powodu zaprzysiężenie prezydenta Bronisława Komorowskiego na pięcioletnią kadencję odbyło się w minorowym nastroju: łatwo było obiecywać, by zwabić wyborców, trudniej teraz obietnice wykonać. A wypada przypomnieć, że wyniki wyborów jednoznacznie wskazują, że hasła B. Komorowskiego trafiły na podatny grunt. Może więc warto zapamiętać najważniejsze z tych obietnic. Przy-

pomnę je jeszcze raz: 1. Dla nauczycieli – jeszcze w tym roku 30 proc. podwyżka płac; 2. Dla rencistów i emerytów – coroczna waloryzacja; 3. Dla studentów 50-procentowa ulga na przejazdy; 4. Dla armii – utrzymanie wydatków budżetowych w ustawowej wysokości 1,95 proc. PKB; 5. Dla rolników – pozostawienie odrębnego systemu rolniczego KRUS; 6. Dla obecnych policjantów i wszystkich służb mundurowych – pozostawienie emerytur na dotychczasowych zasadach; 7. Dla wszystkich – unikanie podwyżek podatków; 8. Dla urzędników – unikanie cięć w wydatkach; 9. Dla chorych – utrzymanie bezpłatnej opieki zdrowotnej; 10. Dla kierowców – rozpoczęcie budowy 1000 km nowych dróg i obwodnic w ciągu 500 dni prezydentury; 11. Dla kobiet – parytety na listach wyborczych; 12. Dla nieplodnych małżeństw – opłacana przez państwo metoda *in vitro*. A ponadto: wycofanie polskich wojsk z Afganistanu „rok przed Amerykanami”; wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych w wyborach samorządowych, czyli wyboru radnych nie pochodzących z list partyjnych; bezpłatne autostrady wokół miast.

Te wszystkie cuda czekają nas w ciągu nadchodzących 500 dni. Jak sądzę, to tylko słowa, ponieważ o pieniądzach na realizację wymienionych obietnic minister finansów nawet nie chce słyszeć. Oprócz ukrywania w różnych funduszach ogromnego zadłużenia kraju, głowę zaprzęta mu reforma finansów, na którą premier nie da zgody w roku wyborczym. Zmiany – jeśli nastąpią – będą odroczone w czasie. Dlatego czeka nas wyłącznie sterowanie emocjami przez usługowe Platformie media, czyli swego rodzaju „palikotyzacja” mediów, w której wojna z PiS, z IV RP, z Jarosławem Kaczyńskim, z parlamentarnym zespołem ds. wyjaśnienia katastrofy pod Smoleńskiem będzie ważniejsza od gospodarki, stanu finansów państwa czy spraw społecznych.

Wydawało się, że skoro Platforma Obywatelska wygrała wszystko – katastrofa pod Smoleńskiem była jak spełniające się marzenie o pełni władzy – Prawo i Sprawiedliwość nie będzie już największym zagrożeniem i źródłem wszystkich niepowodzeń. Tymczasem nadal zaprzyjaźnione z PO media starają się wszelkie zło łączyć z prezesem PiS, nawet afera hazardowa w Platformie powstała z winy CBA, czyli faktycznie stał za nią szef tej służby M. Kamiński z PiS. Tak głosi raport przewodniczącego M. Sekuły, według którego doszło do przecieku o aferze z CBA do mediów, a nie ma śladu o przecieku z Kancelarii premiera do Sobiesiaka. A tak w ogóle, to według M. Sekuły nie było żadnej afery, bo przecież nie doszło

do uchwalenia korupcyjnej ustawy. Spotkania Mira, Zbycha czy Rycha miały co najwyżej charakter niestandardowy. W sumie, raport M. Sekuły wybieła posłów PO i atakuje PiS. Prawda nie ma w raporcie żadnego znaczenia, ponieważ najważniejsze jest wygranie kolejnych wyborów samorządowych i parlamentarnych.

Ciekawy jestem, jak dalej Platforma będzie tumanić naród, aby utrzymać pełnię władzy. Przypomnę, obietnicami zdobyto pałac, mimo że nie zależało jej na żyrandolach. Wkrótce z mediów publicznych znikną „pisiory”, a zajmą je „apolityczni” menedżerowie i dziennikarze. Archiwa IPN już zostały zabetonowane, ale walczone z hasłem, że będą otwarte. CBA ma sukcesy, ale jej specjalistyczną broń przekazuje się policji. Polityka zagraniczna kwitnie, nie ma kłótni z sąsiadami, a jedyny drobny niepokój sprawiają Rosjanie, ponieważ nie chcą przekazać oryginałów czarnych skrzynek. Poprawia się sytuacja w służbie zdrowia, bo przecież nikt nie strajkuje. Nie grozi nam przypadek Grecji, ponieważ nadal jesteśmy liderem gospodarczym w UE.

Pozostaje jeszcze na barkach Platformy wyjaśnienie katastrofy smoleńskiej. I spełnienie tych nieszczęsnych obietnic prezydenta z kampanii wyborczej. Ale cała nadzieja PO w pośle z Lublina, który na pewno wymyśli coś bardziej szokującego, niż hasło: „Lech Kaczyński ma krew na rękach ludzi, którzy zginęli”, czym zapewni Platformie więcej niż 500 dni spokoju.

(Widziane z Senatu, „Niedziela” nr 32/2010)

SPIS PRZEMÓWIEŃ SENATORA CZESŁAWA RYSZKI

(pełne teksty przemówień zobacz: www.ryszka.com)

62 posiedzenie Senatu RP, 11–12 sierpnia 2010 r.: Uchwała Senatu w sprawie uczczenia pamięci żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego, prześladowany, aresztowanych i skazanych w Polsce w latach 1944–1956 za działalność w szeregach Armii Krajowej.

62 posiedzenie Senatu RP, 11–12 sierpnia 2010 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy zmieniającej ustawę o zmianie ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu oraz ustawy o ujawnianiu informacji o dokumentach organów bezpieczeństwa państwa z lat 1944–1990 oraz treści tych dokumentów.

62 posiedzenie Senatu RP, 11–12 sierpnia 2010 r.: Informacja Ministra Skarbu Państwa na temat przebiegu prywatyzacji sektora elektroenergetycznego.

62 posiedzenie Senatu RP, 11–12 sierpnia 2010 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o szczególnych rozwiązaniach związanych z usuwaniem skutków powodzi z maja i czerwca 2010 r. oraz ustawy o wspieraniu rozwoju obszarów wiejskich z udziałem środków Europejskiego Funduszu Rolnego na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich.

61 posiedzenie Senatu, 4–6 sierpnia 2010 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o radiofonii i telewizji oraz ustawy o opłatach abonamentowych.

59 posiedzenie Senatu, 7–8 lipca 2010 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o bezpieczeństwie imprez masowych oraz ustawy – Kodeks karny.

59 posiedzenie Senatu, 7–8 lipca 2010 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii.

58 posiedzenie Senatu, 2 lipca 2010 r.: Ustawa o szczególnych rozwiązaniach związanych z usuwaniem skutków powodzi oraz informacja rządu na ten temat.

57 posiedzenie Senatu, 9 czerwca 2010 r.: Wystąpienie w debacie na temat katastrofy prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem

56 posiedzenie Senatu, 27–29 maja 2010 r.: Informacja o działalności Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji w 2009 r.

56 posiedzenie Senatu, 27–29 maja 2010 r.: Ustawa o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie

54 posiedzenie Senatu, 12–13 maja 2010 r.: Informacja o działalności

Centralnego Biura Antykorupcyjnego za 2009 r.

54 posiedzenie Senatu, 12–13 maja 2010 r.: Nowelizacja ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej.

54 posiedzenie Senatu, 12–13 maja 2010 r.: Nowelizacja ustawy o Funduszu Kolejowym oraz ustawy o komercjalizacji, restrukturyzacji i prywatyzacji Przedsiębiorstwa Państwowego „Polskie Koleje Państwowe”.

53 posiedzenie Senatu, 28–29 kwietnia 2010 r.: Uchwała w 150. rocznicę urodzin św. abpa Józefa Bilczewskiego (1860–1923)

52 posiedzenie Senatu, 8–9 kwietnia 2010 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu oraz ustawy o ujawnianiu informacji o dokumentach organów bezpieczeństwa państwa z lat 1944–1990 oraz treści tych dokumentów.

51 posiedzenie Senatu, 25–26 marca 2010 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o ochronie zdrowia przed następstwami używania tytoniu i wyrobów tytoniowych

49 posiedzenie Senatu, 17–18 lutego 2010 r.: Przemówienie w debacie na temat informacji o udziale Rzeczypospolitej Polskiej w pracach Unii Europejskiej podczas prezydencji szwedzkiej (lipiec – grudzień 2009).

49 posiedzenie Senatu, 17–18 lutego 2010 r.: Przemówienie w temacie nowelizacji ustawy o systemie oświaty.

48 posiedzenie Senatu, 3–4 lutego 2010 r.: Przemówienie w sprawie uchwały Senatu o poszanowaniu krzyża.

47 posiedzenie Senatu, 11–13 stycznia 2010 r.: Drugie przemówienie na ustawy budżetowej.

47 posiedzenie Senatu, 11–13 stycznia 2010 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy budżetowej na rok 2010.

46 posiedzenie Senatu, 16–18 grudnia 2009 r.: Drugie czytanie projektu apelu o poszanowanie Krzyża; drugie czytanie projektu uchwały w sprawie orzeczenia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu dotyczącego obecności znaku krzyża w miejscach publicznych.

44 posiedzenie Senatu, 18–20 listopada 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o grach hazardowych.

44 posiedzenie Senatu, 18–20 listopada 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o zaopatrzeniu inwalidów wojennych i wojskowych oraz ich rodzin oraz ustawy o świadczeniu pieniężnym przysługującym osobom deportowanym do pracy przymusowej oraz osadzonym w obozach pracy przez III Rzeszę i Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich.

44 posiedzenie Senatu, 18–20 listopada 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o finansowaniu Papieskiej Akademii

Teologicznej w Krakowie z budżetu państwa oraz ustawy o stosunku Państwa do Kościoła Katolickiego w Rzeczypospolitej Polskiej.

44 posiedzenie Senatu, 18–20 listopada 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o izbach lekarskich.

43 posiedzenie Senatu, 4–5 listopada 2009 r.: Informacja Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu o działalności Instytutu Pamięci Narodowej w okresie od dnia 1 stycznia 2008 r. do dnia 31 grudnia 2008 r.

43 posiedzenie Senatu, 4–5 listopada 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o ustanowieniu Narodowego Dnia Pamięci Powstania Warszawskiego.

42 posiedzenie Senatu, 20–22 października 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o spółdzielczych kasach oszczędnościowo-kredytowych.

42 posiedzenie Senatu, 20–22 października 2009 r.: Uchwała Senatu Rzeczypospolitej w sprawie uczczenia 25. rocznicy męczeńskiej śmierci Sługi Bożego Księdza Jerzego Popiełuszki.

42 posiedzenie Senatu, 20–22 października 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o Najwyższej Izbie Kontroli.

41 posiedzenie Senatu, 7 października 2009 r.: Informacja dla Sejmu i Senatu o udziale Rzeczypospolitej Polskiej w pracach Unii Europejskiej w okresie styczeń-czerwiec 2009 roku (podczas Prezydencji czeskiej)

40 posiedzenie Senatu, 23 września 2009 r.: Informacja Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego Rzeczypospolitej Polskiej o działalności Sądu Najwyższego w roku 2008.

39 posiedzenie Senatu, 29–31 lipca 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie Sprawozdania Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji z działalności w 2008 roku wraz z informacją o podstawowych problemach radiofonii i telewizji w 2008 roku.

39 posiedzenie Senatu, 29–31 lipca 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o prokuraturze oraz niektórych innych ustaw.

39 posiedzenie Senatu, 29–31 lipca 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy budżetowej na rok 2009.

39 posiedzenie Senatu, 29–31 lipca 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi.

35 posiedzenie Senatu, 17–19 czerwca 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej.

35 posiedzenie Senatu, 17–19 czerwca 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zadaniach publicznych w dziedzinie usług medialnych.

35 posiedzenie Senatu, 17–19 czerwca 2009 r.: Wniosek mniejszości o odrzucenie ustawy o zadaniach publicznych w dziedzinie usług medialnych.

34 posiedzenie Senatu, 27–28 maja 2009 r.: Informacja Rzecznika Praw Dziecka o działalności za rok 2008 wraz z uwagami o stanie przestrzegania praw dziecka.

33 posiedzenie Senatu, 13–14 maja 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o nauczycielskich świadczeniach kompensacyjnych.

33 posiedzenie Senatu, 13–14 maja 2009 r.: Debata nad roczną strategią polityczną Komisji Europejskiej na rok 2010.

32 posiedzenie Senatu, 7 maja 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o autostradach płatnych oraz o Krajowym Funduszu Drogowym.

31 posiedzenie Senatu, 20–22 kwietnia 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o systemie ubezpieczeń społecznych oraz ustawy – Prawo bankowe.

31 posiedzenie Senatu, 20–22 kwietnia 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o partiach politycznych, ustawy o wyborze Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, ustawy – Ordynacja wyborcza do Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej i Senatu Rzeczypospolitej Polskiej oraz ustawy – Ordynacja wyborcza do rad gmin, rad powiatów i sejmików województw.

30 posiedzenie Senatu, 1–2 kwietnia 2009 r.: Uchwała Senatu RP w sprawie uczczenia pamięci Polaków ratujących Żydów w czasie II wojny światowej.

30 posiedzenie Senatu, 1–2 kwietnia 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o Narodowym Banku Polskim oraz ustawy – Prawo dewizowe.

29 posiedzenie Senatu, 18–19 marca 2009 r.: Prawo o ruchu drogowym oraz o zmianie niektórych ustaw.

29 posiedzenie Senatu, 18–19 marca 2009 r.: Informacja o pracach Unii Europejskiej w czasie prezydencji francuskiej.

28 posiedzenie Senatu, 4–5 marca 2009 r.: Ustawa o bezpieczeństwie imprez masowych.

28 posiedzenie Senatu, 4–5 marca 2009 r.: Uchwała Senatu w sprawie uczczenia 70-lecia śmierci św. Urszuli Ledóchowskiej i uznania jej za wzór patriotki.

28 posiedzenie Senatu, 4–5 marca 2009 r.: Zmiana ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii.

27 posiedzenie Senatu, 17–18 lutego 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy – Prawo upadłościowe i naprawcze, ustawy

o Krajowym Rejestrze Sądowym oraz ustawy o Bankowym Funduszu Gwarancyjnym.

26 posiedzenie Senatu, 4–5 lutego 2009 r.: Drugie czytanie projektu uchwały wzywającej Rząd Rzeczypospolitej Polskiej do niezwłocznego podjęcia działań w obronie prześladowanych chrześcijan w Indiach.

26 posiedzenie Senatu, 4–5 lutego 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o systemie oświaty oraz o zmianie niektórych innych ustaw.

25 posiedzenie Senatu, 14–15 stycznia 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin oraz ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym funkcjonariuszy Policji, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencji Wywiadu, Służby Kontrwywiadu Wojskowego, Służby Wywiadu Wojskowego, Centralnego Biura Antykorupcyjnego, Straży Granicznej, Biura Ochrony Rządu, Państwowej Straży Pożarnej i Służby Więziennej oraz ich rodzin.

25 posiedzenie Senatu, 14–15 stycznia 2009 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy i wojewodzie i administracji rządowej w województwie oraz w związku ze zmianami w organizacji i podziale zadań administracji publicznej w województwie.

24 posiedzenie Senatu, 16–19 grudnia 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o postępowaniu kompensacyjnym w podmiotach o szczególnym znaczeniu dla polskiego przemysłu stoczniowego.

24 posiedzenie Senatu, 16–19 grudnia 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy budżetowej na rok 2009.

24 posiedzenie Senatu, 16–19 grudnia 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o organizacji rynku rybnego.

24 posiedzenie Senatu, 16–19 grudnia 2008 r.: Uchwała Senatu w 60. rocznicę uchwalenia Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka.

21 posiedzenie Senatu, 5–7 listopada 2008 r.: Drugie czytanie projektu uchwały o ogłoszeniu roku 2009 Rokiem Polskiej Demokracji.

21 posiedzenie Senatu, 5–7 listopada 2008 r.: Drugie czytanie projektu uchwały o uczczeniu 90. rocznicy odzyskania niepodległości.

20 posiedzenie Senatu, 28–31 października 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o finansowaniu Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego z budżetu państwa.

20 posiedzenie Senatu, 28–31 października 2008 r.: Uchwała Senatu w sprawie wyrażenia zgody na zarządzenie przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej ogólnokrajowego referendum w sprawie kierunku reformy służby zdrowia.

20 posiedzenie Senatu, 28–31 października 2008 r.: Stanowisko Senatu

w sprawie tzw. pakietu ustaw zdrowotnych.

19 posiedzenie Senatu, 16–17 października 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o komercjalizacji, restrukturyzacji i prywatyzacji przedsiębiorstwa państwowego „Polskie Koleje Państwowe” oraz ustawy o transporcie kolejowym.

19 posiedzenie Senatu, 16–17 października 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o Rzeczniku Praw Dziecka oraz ustawy o wynagrodzeniu osób zajmujących kierownicze stanowiska państwowe.

19 posiedzenie Senatu, 16–17 października 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o Karcie Polaka.

19 posiedzenie Senatu, 16–17 października 2008 r.: Drugie czytanie projektu uchwały w 180. rocznicę urodzin Ojca Honorata Koźmińskiego.

18 posiedzenie Senatu, 25 września 2008 r.: Informacja Rady Ministrów o udziale Rzeczypospolitej Polskiej w pracach Unii Europejskiej w okresie styczeń – czerwiec 2008 roku (podczas Prezydencji słoweńskiej).

15 posiedzenie Senatu, 10–11 lipca 2008 r.: Informacja Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego Rzeczypospolitej Polskiej o działalności Sądu Najwyższego w roku 2007

15 posiedzenie Senatu, 10–11 lipca 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o systemie oświaty, ustawy – Karta Nauczyciela oraz ustawy o postępowaniu w sprawach nieletnich.

14 posiedzenie Senatu, 25–26 czerwca 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie Sprawozdania Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji o działalności w 2007 r. wraz z Informacją o podstawowych problemach radiofonii i telewizji w 2007 r.

14 posiedzenie Senatu, 25–26 czerwca 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o gospodarowaniu niektórymi składnikami mienia Skarbu Państwa oraz o Agencji Mienia Wojskowego oraz o zmianie niektórych innych ustaw.

13 posiedzenie Senatu, 4–5 czerwca 2008 r.: Informacja Rzecznika Praw Obywatelskich o działalności w 2007 r., z uwagami o stanie przestrzegania wolności i praw człowieka i obywatela.

13 posiedzenie Senatu, 4–5 czerwca 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o opłatach abonamentowych. Drugie wystąpienie.

13 posiedzenie Senatu, 4–5 czerwca 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o opłatach abonamentowych. Pierwsze wystąpienie.

13 posiedzenie Senatu, 4–5 czerwca 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o opłatach abonamentowych. Uzasadnienie odrzucenia ustawy o opłatach abonamentowych.

12 posiedzenie Senatu, 14–15 maja 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o komercjalizacji, restrukturyzacji i prywatyzacji przedsiębiorstwa państwowego „Polskie Koleje Państwowe”.

12 posiedzenie Senatu, 14–15 maja 2008 r.: Informacja Trybunału Konstytucyjnego o istotnych problemach wynikających z działalności i orzecznictwa Trybunału w 2007 r.

10 posiedzenie Senatu, 23–24 kwietnia 2008 r.: Drugie czytanie projektu uchwały w sprawie nadania szczególnego charakteru obchodom jubileuszu 90–lecia odzyskania przez Polskę niepodległości.

10 posiedzenie Senatu, 23–24 kwietnia 2008 r.: Informacja Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu o działalności Instytutu Pamięci Narodowej w okresie od dnia 1 stycznia 2007 r. do dnia 31 grudnia 2007 r.

9 posiedzenie Senatu, 10–11 kwietnia 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o radiofonii i telewizji oraz niektórych innych ustaw. Wniosek o odrzucenie ustawy w całości.

9 posiedzenie Senatu, 10–11 kwietnia 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o radiofonii i telewizji oraz niektórych innych ustaw. Wystąpienie w debacie.

9 posiedzenie Senatu, 10–11 kwietnia 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o radiofonii i telewizji oraz niektórych innych ustaw. Wniosek mniejszości.

8 posiedzenie Senatu, 2 kwietnia 2008 r.: Ustawa o ratyfikacji Traktatu z Lizbony zmieniającego Traktat o Unii Europejskiej i Traktat ustanawiający Wspólnotę Europejską, sporządzonego w Lizbonie dnia 13 grudnia 2007 r.

7 posiedzenie Senatu, 27 marca 2008 r.: Informacja Rady Ministrów o udziale Rzeczypospolitej Polskiej w pracach Unii Europejskiej w okresie lipiec – grudzień 2007 roku (podczas Prezydencji portugalskiej)

6 posiedzenie Senatu, 5–6 marca 2008 r.: Nowelizacja Karty Polaka

4 posiedzenie Senatu, 15–16 stycznia 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy budżetowej na rok 2008. Drugie wystąpienie.

4 posiedzenie Senatu, 15–16 stycznia 2008 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy budżetowej na rok 2008.

3 posiedzenie Senatu 19 i 20 grudnia 2007 r.: Stanowisko Senatu w sprawie ustawy o zmianie ustawy o Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz Agencji Wywiadu

3 posiedzenie Senatu 19 i 20 grudnia 2007 r.: Debata nad programem legislacyjnym i programem prac Komisji Europejskiej na 2008 r.

1 Posiedzenie Senatu, 5, 6 i 9 listopada 2007 r.: Drugie czytanie projektu uchwały w sprawie zmiany Regulaminu Senatu.

1 Posiedzenie Senatu, 5, 6 i 9 listopada 2007 r.: Drugie czytanie projektu uchwały w sprawie zmiany Regulaminu Senatu. (Drugie wystąpienie)

SPIS OŚWIADCZEŃ – PODJĘTYCH INTERWENCJI

(pełne teksty oświadczeń oraz odpowiedzi zob.:

www.senat.pl/Czeslaw_Ryszka)

62 posiedzenie Senatu RP, 11–12 sierpnia 2010 r. Senatorowie Czesław Ryszka, Zdzisław Pupa i Waldemar Kraska: Oświadczenie skierowane do ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego w sprawie nieobecności polskiego dyplomaty w Tatabanya na Węgrzech podczas poświęcenia tablicy ofiar katastrofy pod Smoleńskiem.

61 posiedzenie Senatu, 4–6 sierpnia 2010 r.: Oświadczenie skierowane do wojewody mazowieckiego Jacka Kozłowskiego w sprawie rekompensaty dla Pani Adolfiny W. z Częstochowy z tytułu pozostawienia nieruchomości poza granicami Rzeczypospolitej.

61 posiedzenie Senatu, 4–6 sierpnia 2010 r.: Oświadczenie skierowane do minister pracy i polityki społecznej Jolanty Fedak, w sprawie uchwalenia ustawy o zawodzie pracownika socjalnego.

61 posiedzenie Senatu, 4–6 sierpnia 2010 r.: Oświadczenie skierowane do ministra sprawiedliwości Krzysztofa Kwiatkowskiego, w sprawie Leszka R., przebywającego od 7 lat w szpitalu neuropsychiatrycznym w Lublinie.

60 posiedzenie Senatu, 21 lipca 2010 r.: Oświadczenie senatorów Prawa i Sprawiedliwości skierowane do prezydenta elekta Bronisława Komorowskiego w sprawie krzyża przed Pałacem Prezydenckim

59 posiedzenie Senatu, 7–8 lipca 2010 r. Oświadczenie Senatorów Prawa i Sprawiedliwości skierowane do prezesa Rady Ministrów Donalda Tuska w sprawie wyroku ETPC domagającego się zdjęcia krzyża w włoskiej szkole oraz apelacji rządu włoskiego.

50 posiedzenie Senatu, 10–11 marca 2010 r. Oświadczenie skierowane do ministra skarbu państwa Aleksandra Grada oraz wojewody śląskiego Zygmunta Łukaszczyka w sprawie rekompensaty dla Pani Adolfiny W. z Częstochowy z tytułu pozostawienia nieruchomości poza granicami Rzeczypospolitej.

49 posiedzenie Senatu, 17–18 lutego 2010 r. Oświadczenie skierowane do ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego Krzysztofa Kwiatkowskiego w sprawie aresztowania Janusza G.

49 posiedzenie Senatu, 17–18 lutego 2010 r. Oświadczenie skierowane do ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego w sprawie rozszerzenia Karty Polaka dla Polaków i osób polskiego pochodzenia zamieszkających w USA, Kanadzie i Australii.

48 posiedzenie Senatu, 3–4 lutego 2010 r. Oświadczenie skierowane do ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego Krzysztofa Kwiatkowskiego, w sprawie Henryka M. z Częstochowy.

48 posiedzenie Senatu, 3–4 lutego 2010 r. Oświadczenie skierowane do ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego Krzysztofa Kwiatkowskiego w sprawie skazania Jacka W.

47 posiedzenie Senatu, 11–13 stycznia 2010 r. Oświadczenie skierowane do ministra kultury i dziedzictwa narodowego Bogdana Zdrojewskiego w sprawie listu biskupów zatroskanych o stan języka polskiego.

44 posiedzenie Senatu, 18–20 listopada 2009 r. Oświadczenie skierowane do minister Edukacji Narodowej Katarzyny Hall w sprawie Ośrodka Wychowawczo – Rewalidacyjnego dla Dzieci i Młodzieży Niewidomej i Słabowidzącej w Częstochowie.

44 posiedzenie Senatu, 18–20 listopada 2009 r. Oświadczenie senatorów Prawa i Sprawiedliwości skierowane do Pana Premiera Rządu Rzeczypospolitej Polskiej Donalda Tuska w sprawie orzeczenia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu dotyczącego obecności znaku krzyża w miejscach publicznych.

44 posiedzenie Senatu, 18–20 listopada 2009 r. Oświadczenie skierowane do Minister Pracy i Polityki Społecznej Jolanty Fedak w sprawie uprawnień do wykonywania zawodu pracownika socjalnego.

43 posiedzenie Senatu, 4–5 listopada 2009 r. Oświadczenie senatorów Prawa i Sprawiedliwości w związku z ratyfikowaniem przez konstytucyjne organy Państwa Polskiego Traktatu z Lizbony zmieniającego Traktat o Unii Europejskiej i Traktat ustanawiający Wspólnotę Europejską.

40 posiedzenie Senatu, 23 września 2009 r. Oświadczenie skierowane do minister Pracy i Polityki Społecznej Jolanty Fedak, w sprawie zweryfikowanych kryteriów dochodowych oraz kwot świadczeń pieniężnych z pomocy społecznej.

39 posiedzenie Senatu, 29–31 lipca 2009 r. Oświadczenie skierowane do premiera rządu RP Donalda Tuska oraz ministra skarbu Aleksandra Grada w sprawie sprzedaży polskich stoczni i likwidacji przemysłu okrętowego.

36 posiedzenie Senatu, 1–2 lipca 2009 r. Oświadczenie skierowane do minister zdrowia Ewy Kopacz w sprawie samobójstw w szpitalach.

36 posiedzenie Senatu, 1–2 lipca 2009 r. Oświadczenie senatorów Prawa i Sprawiedliwości skierowane do premiera RP Donalda Tuska w spra-

wie udziału ministra W. Bartoszewskiego w międzynarodowej konferencji w Pradze na temat „Mienie ery holokaustu”.

36 posiedzenie Senatu, 1–2 lipca 2009 r. Oświadczenie skierowane do minister edukacji narodowej Katarzyny Hall w sprawie ograniczenia nauczania historii w gimnazjach.

36 posiedzenie Senatu, 1–2 lipca 2009 r. Oświadczenie senatorów Prawa i Sprawiedliwości skierowane do ministra kultury i dziedzictwa narodowego Bogdana Zdrojewskiego, w sprawie finansowania przez Polski Instytut Sztuki Filmowej produkcji satanistyczno-pornograficznego filmu „Antychryst”.

35 posiedzenie Senatu, 17–19 czerwca 2009 r. Oświadczenie skierowane do Katarzyny Hall, minister edukacji narodowej, w sprawie polskich szkół za granicą.

34 posiedzenie Senatu, 27–28 maja 2009 r. Oświadczenie senatorów Prawa i Sprawiedliwości skierowane do wicepremiera szefa MSWiA Grzegorza Schetny, w sprawie obowiązku szkolenia porządkowych pielgrzymek.

34 posiedzenie Senatu, 27–28 maja 2009 r. Oświadczenie skierowane do marszałka Senatu Bogdana Borusewicza w sprawie debaty nad roczną strategią polityczną Komisji Europejskiej na rok 2010 podczas 32 posiedzenie Senatu RP, 14 maja 2009.

31 posiedzenie Senatu, 20–22 kwietnia 2009 r. Oświadczenie senatorów Prawa i Sprawiedliwości do marszałka Senatu Bogdana Borusewicza oraz premiera Donalda Tuska w sprawie skandalicznego głosowania polskich deputowanych w Parlamencie Europejskim.

31 posiedzenie Senatu, 20–22 kwietnia 2009 r. Oświadczenie skierowane do ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego w sprawie możliwości wyludzenia Karty Polaka.

31 posiedzenie Senatu, 20–22 kwietnia 2009 r. Oświadczenie skierowane do ministra sprawiedliwości Andrzeja Czumy w sprawie Łukasza N. z Żarek.

31 posiedzenie Senatu, 20–22 kwietnia 2009 r. Oświadczenie skierowane do ministra finansów Jacka Rostowskiego w sprawie rozrostu urzędników w Ministerstwie Finansów.

29 posiedzenie Senatu, 18–19 marca 2009 r. Oświadczenie skierowane do minister edukacji Katarzyny Hall w sprawie wprowadzenia w szkołach edukacji seksualnej.

29 posiedzenie Senatu, 18–19 marca 2009 r. Oświadczenie skierowane do ministra spraw wewnętrznych i administracji Grzegorza Schetny oraz prezesa Generalnej Dyrekcji Dróg i Autostrad Lecha Witeckiego w sprawie modernizacji drogi krajowej nr 91 na terenie gminy Kłomnice.

29 posiedzenie Senatu, 18–19 marca 2009 r. Oświadczenie skierowane

do minister zdrowia Ewy Kopacz w sprawie utrzymania Okręgowej Izby Lekarskiej w Częstochowie.

28 posiedzenie Senatu, 4–5 marca 2009 r. Oświadczenie Senatorów RP skierowane do Przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Witolda Kołodziejskiego w sprawie fali odwołań w publicznym radiu i telewizji.

28 posiedzenie Senatu, 4–5 marca 2009 r. Oświadczenie skierowane do marszałka Sejmiku Województwa Śląskiego, Bogusława Śmigielskiego, w sprawie likwidacji połączeń PKP między Częstochową, Lublińcem a Opolem.

28 posiedzenie Senatu, 4–5 marca 2009 r. Oświadczenie skierowane do ministra infrastruktury Cezarego Grabarczyka w sprawie budowy dróg w województwie śląskim.

27 posiedzenie Senatu, 17–18 lutego 2009 r. Oświadczenie skierowane do Marszałka Senatu Bogdana Borusewicza, z okazji 6. rocznicy śmierci profesora Włodzimierza Fijałkowskiego.

27 posiedzenie Senatu, 17–18 lutego 2009 r. Oświadczenie skierowane do ministra edukacji Katarzyny Hall oraz przewodniczącego Rady Miasta w Częstochowie Piotra Kurpiosa, w sprawie zapowiedzianej likwidacji trzech szkół.

27 posiedzenie Senatu, 17–18 lutego 2009 r. Oświadczenie skierowane do ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego w sprawie polskiej polityki wobec Niemiec.

27 posiedzenie Senatu, 17–18 lutego 2009 r. Oświadczenie skierowane do ministra infrastruktury Cezarego Grabarczyka w sprawie obwodnicy Częstochowy.

26 posiedzenie Senatu, 4–5 lutego 2009 r. Oświadczenie senatorów Prawa i Sprawiedliwości skierowane do Marszałka Senatu Bogdana Borusewicza, w sprawie wypowiedzi negatywnie oceniającej decyzje papieża Benedykta XVI.

26 posiedzenie Senatu, 4–5 lutego 2009 r. Oświadczenie skierowane do marszałka Senatu Bogdana Borusewicza w związku z 90. rocznicą powołania Biskupstwa Polowego w Polsce.

25 posiedzenie Senatu, 14–15 stycznia 2009 r. Oświadczenie senatorów Prawa i Sprawiedliwości skierowane do Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji Grzegorza Schetyny, w sprawie zakazania zbiórki publicznej dla sfinansowania pracy badawczej w celu poszukiwania i rozpoznania złóż wód geotermalnych w Toruniu.

24 posiedzenie Senatu, 16–19 grudnia 2008 r. Oświadczenie senatorów Prawa i Sprawiedliwości skierowane do Marszałka Senatu Bogdana Borusewicza oraz ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego

w sprawie szykanowania mniejszości polskiej na Litwie.

24 posiedzenie Senatu, 16–19 grudnia 2008 r. Oświadczenie skierowane do minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego Barbary Kudryckiej oraz rektora Uniwersytetu Wrocławskiego Marka Bojarskiego w sprawie odwołania konferencji naukowej z udziałem prof. J.R.Nowaka.

24 posiedzenie Senatu, 16–19 grudnia 2008 r. Oświadczenie skierowane do ministra sprawiedliwości Zbigniewa Cwiąkałskiego w sprawie Tomasa G. z Częstochowy.

21 posiedzenie Senatu, 5–7 listopada 2008 r. Oświadczenie skierowane do ministra finansów Jacka Rostowskiego w sprawie kryzysu finansowego.

21 posiedzenie Senatu, 5–7 listopada 2008 r. Oświadczenie skierowane do głównego inspektora Państwowej Inspekcji Pracy Tadeusza Zająca w sprawie bezprawnego zwolnienia przewodniczącego Komisji Międzyzakładowej NSZZ „Solidarność” w firmie Alima Gerber i Nestle Polska SA Jacka K.

21 posiedzenie Senatu, 5–7 listopada 2008 r. Oświadczenie skierowane do premiera Donalda Tuska w sprawie kryzysu finansowego.

21 posiedzenie Senatu, 5–7 listopada 2008 r. Oświadczenie senatorów Prawa i Sprawiedliwości skierowane do Ministra Środowiska Macieja Nowickiego w sprawie inwestycji geotermalnej w Toruniu, na którą Zarząd Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska odebrał pieniądze Fundacji „Lux veritatis”.

20 posiedzenie Senatu, 28–31 października 2008 r. Oświadczenie skierowane do Rzecznika Praw Obywatelskich Janusza Kochanowskiego w sprawie Pani Elżbiety B. z Częstochowy.

20 posiedzenie Senatu, 28–31 października 2008 r. Oświadczenie skierowane do premiera RP Donalda Tuska w sprawie likwidacji Bibliotek Pedagogicznych.

20 posiedzenie Senatu, 28–31 października 2008 r. Oświadczenie skierowane do premiera RP Donalda Tuska w sprawie pozyskiwania środków unijnych.

19 posiedzenie Senatu, 16–17 października 2008 r. Oświadczenie skierowane do premiera RP Donalda Tuska w sprawie prześladowań chrześcijan w Indiach.

19 posiedzenie Senatu, 16–17 października 2008 r. Oświadczenie do ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego Zbigniewa Cwiąkałskiego w sprawie oskarżeń wobec Janusza i Wiesławy G.

18 posiedzenie Senatu, 24–26 września 2008 r. Oświadczenie skierowane do premiera RP Donalda Tuska oraz ministra spraw wewnętrznych i administracji Grzegorza Schetyny w sprawie osób i rodzin dotkniętych

skutkami przejścia trąby powietrznej w dniu 15.08.2008 r.

18 posiedzenie Senatu, 24–26 września 2008 r. Oświadczenie skierowane do ministra spraw wewnętrznych i administracji Grzegorza Schetyny w sprawie powrotu do Ojczyzny potomków polskich zesłańców do Kazachstanu.

18 posiedzenie Senatu, 24–26 września 2008 r. Oświadczenie skierowane do ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego w sprawie książek szkalujących Polskę.

16 posiedzenie Senatu, 24 lipca 2008 r. Oświadczenie skierowane do Ministra Sprawiedliwości Prokuratora Generalnego Zbigniewa Cwiąkałskiego w sprawie Henryka M. z Częstochowy.

14 posiedzenie Senatu, 25–26 czerwca 2008 r. Oświadczenie skierowane do ministra sprawiedliwości prokuratora Zbigniewa Cwiąkałskiego w sprawie odpowiedzi zastępcy prokuratora generalnego Andrzeja Pogorzelskiego z dnia 29.05.2008 r. sygn. BM-III-051–293(5)/08/PR; BM-I-0700–59(2)/08.

14 posiedzenie Senatu, 25–26 czerwca 2008 r. Oświadczenie skierowane do ministra skarbu państwa Aleksandra Grada w sprawie zapowiedzianej prywatyzacji 740 spółek.

14 posiedzenie Senatu, 25–26 czerwca 2008 r. Oświadczenie skierowane do Marszałka Senatu Bogdana Borusewicza z okazji 15. rocznicy uchwalenia Konkordatu.

13 posiedzenie Senatu, 4–5 czerwca 2008 r. Oświadczenie skierowane do Ministra Środowiska Macieja Nowickiego, w sprawie zerwania umowy przez Zarząd Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska z Fundacją „Lux Veritatis”, dotyczącej inwestycji geotermalnej w Toruniu.

13 posiedzenie Senatu, 4–5 czerwca 2008 r. Oświadczenie skierowane do ministra kultury i dziedzictwa narodowego Bogdana Zdrojewskiego w sprawie zagrożonego likwidacją Muzeum Polskiego w Raperswilu.

13 posiedzenie Senatu, 4–5 czerwca 2008 r. Oświadczenie skierowane do Ministra Edukacji Katarzyny Hall w sprawie polsko-niemieckiego podęcznika do historii.

13 posiedzenie Senatu, 4–5 czerwca 2008 r. Oświadczenie skierowane do Marszałka Senatu Bogdana Borusewicza w sprawie odwołania Pani Minister Ewy Sowińskiej z funkcji Rzecznika Praw Dziecka.

12 posiedzenie Senatu, 14–15 maja 2008 r. Oświadczenie skierowane do Marszałka Senatu Bogdana Borusewicza w sprawie Dnia Prześlągnięcia Boga za grzechy przeciwko życiu.

10 posiedzenie Senatu, 23 kwietnia 2008 r. Oświadczenie skierowane do ministra sprawiedliwości Zbigniewa Cwiąkałskiego w sprawie Janusza G.

9 posiedzenie Senatu, 11 kwietnia 2008 r. Oświadczenie skierowane do

ministra sprawiedliwości Zbigniewa Cwiąkalskiego w sprawie Henryka M. z Częstochowy.

9 posiedzenie Senatu, 11 kwietnia 2008 r. Oświadczenie skierowane do prezesa TVP Andrzeja Urbańskiego w sprawie przerywania transmisji obrad Senatu na temat ratyfikacji traktatu lizbońskiego.

9 posiedzenie Senatu, 11 kwietnia 2008 r. Oświadczenie skierowane do ministra Jacka Kapicy, szefa Służby Celnej w ministerstwie finansów w sprawie projektowanej zmiany ustawy o Służbie Celnej.

7 posiedzenie Senatu, 27 marca 2008 r. Oświadczenie skierowane do ministra rolnictwa i rozwoju wsi Marka Sawickiego w sprawie wprowadzenia w Polsce produkcji żywności oraz pasz zmodyfikowanych genetycznie.

6 posiedzenie Senatu, 5–6 marca 2008 r. Oświadczenie skierowane do Marcina Pakulskiego, dyrektora Oddziału Śląskiego Narodowego Funduszu Zdrowia, w sprawie stowarzyszenia Ludzi Otwartych Serc „LOS” w Olsztynie k. Częstochowy.

6 posiedzenie Senatu, 5–6 marca 2008 r. Oświadczenie do premiera rządu Rzeczypospolitej Polskiej Donalda Tuszka w sprawie ratyfikacji traktatu lizbońskiego reformującego Unię Europejską z pominięciem ogólnonarodowego referendum.

6 posiedzenie Senatu, 5–6 marca 2008 r. Oświadczenie skierowane do ministra sprawiedliwości Zbigniewa Cwiąkalskiego w sprawie pani Teresy A. z gminy Kodrąb.

6 posiedzenie Senatu, 5–6 marca 2008 r. Oświadczenie skierowane do minister Julii Pitera, Pełnomocnika Rządu ds. Walki z Korupcją, w sprawie Henryka M. z Częstochowy.

6 posiedzenie Senatu, 5–6 marca 2008 r. Oświadczenie skierowane do ministra zdrowia Ewy Kopacz w sprawie Lekarskiego Egzaminu Państwowego.

5 posiedzenie Senatu, 7 lutego 2008 r. Oświadczenie Senatorów Rzeczypospolitej Polskiej z okazji 90. rocznicy urodzin Księdza Arcybiskupa Ignacego Tokarczuka.

5 posiedzenie Senatu, 7 lutego 2008 r. Oświadczenie skierowane do ministra sprawiedliwości, prokuratora generalnego RP Zbigniewa Cwiąkalskiego w sprawie pobicia Teresy Ś. z Częstochowy.

5 posiedzenie Senatu, 7 lutego 2008 r. Oświadczenie do minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego Barbary Kudryckiej w sprawie pojawiających się informacji o wprowadzenie opłat za studia dzienne na wyższych uczelniach państwowych.

5 posiedzenie Senatu, 7 lutego 2008 r. Oświadczenie skierowane do ministra sprawiedliwości Zbigniewa Cwiąkalskiego oraz prezesa Narodowego Banku Polskiego Sławomira Skrzypka w sprawie Janusza G. ze Środy Wielkopolskiej w związku z akcją protestacyjną Stowarzyszenia Przeciw

Bezprawiu.

4 posiedzenie Senatu, 16 stycznia 2008 r. Oświadczenie wspólne z innymi senatorami, skierowane do ministra sprawiedliwości, prokuratora generalnego RP Zbigniewa Cwiakalskiego w sprawie książki J.T. Grossa „Strach. Antysemityzm w Polsce po Auschwitz”.

4 posiedzenie Senatu, 16 stycznia 2008 r. Oświadczenie skierowane do kierownika Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Janusza Krupskiego w sprawie pisma Zarządu Stowarzyszenia „Rodzina Wojskowa 74. Górnośląskiego Pułku Piechoty”.

4 posiedzenie Senatu, 16 stycznia 2008 r. Oświadczenie skierowane do wiceprezesa Rady Ministrów, ministra spraw wewnętrznych i administracji Grzegorza Schetyny i do pełniącego obowiązki komendanta głównego Straży Granicznej Jacka Bajgera w sprawie wejścia Polski do układu z Schengen.

4 posiedzenie Senatu, 16 stycznia 2008 r. Oświadczenie wspólne z innymi senatorami, skierowane do premiera, prezesa Rady Ministrów Donalda Tuska w sprawie Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej.

3 posiedzenie Senatu, 20 grudnia 2007 r. Oświadczenie skierowane do rzecznika praw obywatelskich Janusza Kochanowskiego w sprawie kampanii przeciw Wyższej Szkole Kultury Medialnej i Społecznej w Toruniu.

3 posiedzenie Senatu, 20 grudnia 2007 r. Oświadczenie skierowane do ministra sprawiedliwości, prokuratora generalnego RP Zbigniewa Cwiakalskiego w sprawie Henryka M.

Inne wystąpienia oraz teksty w mediach

zob. [www.ryszka.com/w mediach](http://www.ryszka.com/w%20mediach)

TYTUŁY KSIĄŻEK autorstwa Czesława Ryszki

- Pełnia czasu, wiersze*, Warszawa 1979.
Z przepasanymi biodrami, wiersze, Katowice 1980.
Milczący obecny. Szkice o pisarzach katolickich, Katowice 1984.
Pisane w Asyżu, Niepokalanów 1985.
Być Pielgrzymem, Opole 1986.
Charyzmat Apostoła, Kraków 1987.
Winnica Padre Pio, Wrocław 1988, wyd. uzup. Bytom 2000.
Medziugorje, Wrocław 1989.
Kto się lęka Papieża, Wrocław 1989.
Stygmatycy, Bytom 1992; wyd. uzup. 1998.
Pytanie o Medziugorje, Warszawa 1992.
Spotkanie z Licheniem, Warszawa 1993.
Obrazy końca czasów, Bytom 1993, wyd. uzup. 1998.
Zaczęło się w Asyżu, Bytom 1994.
Papież końca czasów, Bytom 1995.
Apokalipsa i miłosierdzie, Bytom 1996.
Klejnot Czeladzi. Kościół św. Biskupa i Męczennika, Bytom 1997.
Fatima, objawienie końca czasów, Bytom 1997.
Śląski Asyż, Panewniki 1998.
Apostoł Polski. Rzecz o Słudze Bożym Bernardzie Łubieńskim, Kraków 1998.
Na tropach Boga. Przygoda z literaturą XX wieku, Kraków 1999.
Matka Kościołów. Katedra Wniebowzięcia NMP w Sosnowcu, Sosnowiec 1999.
Odzyskana wielkość. Opowieść o Bogdanie Jańskim, Założycielu Zgromadzenia Zmartwychwstańców, Kraków 1999.
Dom na skale. Jan Paweł II do polskich rodzin w czerwcu 1999 roku, Warszawa–Bytom 1999 (współautor E. Ryszka).
Solidarny w miłości. Bł. Edmund Bojanowski, Wrocław–Bytom 2000.
Prosto z Sejmu, Częstochowa 2000.
Prymas na trudne czasy (Kard. Stefan Wyszyński), Częstochowa 2001.
Życie i cuda polskich świętych kanonizowanych i beatyfikowanych przez Jana Pawła II, Warszawa 2001 (współautor G. Bartoszewski i S. Budzyński).
Katków-Godów. Sanktuarium pod Świętym Krzyżem, Warszawa 2002; wyd. uzup. 2007.

- Jan Paweł II Wielki*, Częstochowa 2002.
- Ocalić wartości. Różaniec z Janem Pawłem II*, Częstochowa 2002.
- Upragniona świętość. Bł. Sancja Janina Szymkowiak*, Kraków 2002.
- Być Pielgrzymem*, Częstochowa 2002.
- Jasnogórska opowieść*, Częstochowa 2003.
- Przeor Kordecki*, Częstochowa 2003.
- Zwycięzca pod mieczem. Opowieść o św. Stanisławie Biskupie*, Bytom-Skałka 2003.
- Zwycięzalas, zwyciezaj. Matka Boza w dziejach narodu polskiego*, Częstochowa 2003.
- Święta z Kalkuty*, Częstochowa 2003.
- Spotkania z egzorcystami*, Bytom 2004.
- Z polskiej Fatimy*, Kraków–Zakopane 2004 (rozmowy z ks. Mirosławem Drozdkiem).
- Sursum corda*, Kraków–Zakopane 2004 (współautorzy ks. Mirosław Drozdek, o. Konrad Hejmo).
- Łaska objawień. Barbara Samulowska z Gietrzwałdu*, Olsztyn–Gietrzwałd 2005.
- Godzina Fatimy*, Bytom 2005.
- Faustyna. Duchowa droga Świętej*, Częstochowa 2005.
- Blizny*, Częstochowa 2005.
- Uśmiech najpiękniejszej z Matek*, Jasna Góra–Leśniów 2006; wyd. uzup. 2007.
- Infułat z Suchedniowa*, Kraków–Suchedniów 2007.
- Niezwykłe audyencje. Rozmowy z o. Marianem Lubelskim*. Częstochowa–Jasna Góra 2007; uzup. 2009.
- Prosto i jasno z Senatu*, Kraków 2007.
- Powrót do Lourdes*, Warszawa 2008.
- Alfabet Ojca Pio*, Częstochowa 2009.
- Pralat Grzegorz Augustynik. Twórca perły Zagłębia*, Dąbrowa Górnicza 2009.
- Niechciany krzyż*, Kraków 2010.
- Spełnione powołanie. Maria Szymanowska 1901–1983*, Kalisz 2010.
- Bł. Ksiądz Jerzy. Tajemnica życia i śmierci*, Kraków 2010.
- Czeladź. 750 lat Kościoła i parafii św. Stanisława B.M.*, Czeladź 2010.
- Idzie wierna Warszawa. 300 lat WPP*, Częstochowa 2010.

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA	5
-----------------	---

Część I

POLSKA PRZED SMOLEŃSKIEM

Destrukcja, awanturnictwo, anarchia	13
Wielka mistyfikacja	15
Bez Boga demokracja nie przetrwa	17
Nie zapomnieć o Polsce	20
Działania odwetowe i wartości	22
Przechwycić wszystkie media	24
O tym, co było, z nadzieją na to, co będzie	27
Szkodliwe mieszanie herbaty bez cukru	29
Puste szuflady i nic do śmiechu	31
Senatorowie w obronie WSKSiM	34
Informacja na wagę suwerenności Polski	36
Markowanie władzy	38
Weto to nie liberum veto	40
W masie niejedno można ukryć	43
Atak na CBA	45
Oczyścić państwo z korupcji	47
O mafii paliwowej ani słowa	50
Upadek przemysłu stoczniowego	52
Bez abonamentu nie będzie misji	55
Holenderski scenariusz	58
Głos należy do Ministra Skarbu	60
Łupienie nie tylko szpitali	63
Referendum w sprawie służby zdrowia	65
Zdrowotna antyreforma	68
Skazano ręce, nie skazano głowy	71
O działalności Sądu Najwyższego	73
Pretensje do trzeciej władzy	76
Zniszczyć Najwyższą Izbę Kontroli	79
Platforma afer	82
Oby nie kolejna martwa ustawa	84

O antysemityzmie, nazistach i wielbłądach	86
Konstytucyjne „bicie piany”	89
Spór czy kłótnia – Polska jest najważniejsza	91
Polska wolna od „żywności Frankensteina”	93
Małe i duże mijanie się z prawdą	95
Szczyt w Pałacu Prezydenckim	98
Rzeczywistość po 500 dniach	100
Czy tylko zaklinanie rzeczywistości?	103
Budżet bez poprawek Senatu	105
Lawinowy wzrost zadłużenia	107

Część II

WOKÓŁ SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH

Póki jeszcze mamy święta	111
Dlaczego głosowałem przeciw?	113
Traktat reformujący UE przed Trybunał Konstytucyjny	116
a. Obronić suwerenność	117
b. Zapisy niezgodne z Konstytucją RP	118
„Nowe prawo” kobiet według Rady Europy	122
Odważne słowa Prezydenta RP	124
Interes partii przeciw interesowi Polski	127
Europarlament nową inkwizycją	129
60. rocznica Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka	132
Kilka powyborczych myśli	134
Gruzja a sprawa polska	137
Polityka wobec Polonii	139
Istnieje tylko jedna Prawda	142
Nadzieje Polaków poza krajem	144
Marsz, marsz, Polonia	146
Potępiany za patriotyzm	149
Pytania o polonijne szkolnictwo	151

Część III

PRZYSZŁOŚĆ IDZIE PRZEZ RODZINĘ

Każde życie jest święte	155
W dziecku zabito dziecko	157
Nowy Rzecznik Praw Dziecka	159
Reforma oświaty uderza w rodzinę	162

Klaps a prawa dziecka	165
Wspólnie przeciw przemocy w rodzinie	167
Nadchodzi czas budzenia sumień	171
W Sejmie i Senacie o <i>in vitro</i>	173
Ustawowy spór o <i>in vitro</i>	176
a. Nagląca potrzeba prawnej regulacji	176
b. Projekt ustawy biomedycznej posła J. Gowina	179
c. <i>In vitro</i> „z lewej” strony	181
d. Ochrona genomu ludzkiego i embrionu ludzkiego	182
e. Adopcja prenatalna	184
f. Krytycznie o ustawie posłów PiS	185
g. Embrionalna godność osoby	186
Przypominam o polityce rodzinnej	188

Część IV

OD POSZANOWANIA WARTOŚCI

DO POLITYCZNEJ POPRAWNOŚCI

Obluda i zawiść	191
Chcą opóźnić beatyfikację Jana Pawła II?	193
Oczyścić Kościół, aby go zniszczyć	196
Kilka uwag po wyborach na Podkarpaciu	198
16 X 2008 r. w Senacie RP	200
Rok politycznej poprawności	203
Przesłanie na 90-lecie Niepodległości	205
Kiedy i czy upadł komunizm?	207
Uroczystości z fałszowaniem historii	210
Kapitał polityczny z promowania rozpusty	212
Krótko o chorze krytyków Benedykta XVI	215
Demokratyczny pr – czyli słodkie kłamstwo	217
Kustosz pamięci katyńskiej	219
Katyń ludobójstwem	221
„Nie o zemstę, lecz o pamięć wołają ofiary”	223
W obronie krzyża w Straburgu	226
a. Konsekwencje wyroku w Polsce	227
b. Absurdalność wyroku	228
c. Dekruchyfikacyjne akcje w PRL	230
d. Budowa bezwyznaniowej UE	232
e. Jan Paweł II: Brońcie krzyża!	233

Polska u progu 2010 roku	236
Prawyborcza heca w Platformie	238
Ustawa o IPN sprzeczna z polską racją stanu	240
O Polakach ratujących Żydów	245
Św. Urszula Ledóchowska wzorem patriotyzmu	247
Uchwała dla uczczenia 25. rocznicy męczeństwa ks. J. Popiełuszki. .	250
Bóg złączył losy Polaków z Jasną Górą	254

Część V

POLSKA PO SMOLEŃSKU

O Katyniu usłyszy teraz cały świat	257
Wspomnienie przyjaciół	258
Testy dla osób kierujących naszym państwem	261
Kilka pytań o patriotyzm i europejskość	262
Polska jest najważniejsza	264
Zamach na Instytut Pamięci Narodowej	267
Przejęcie mediów publicznych przez PO	270
O katastrofie pod Smoleńskiem	273
Po pierwszej turze wyborów	276
Podsumowanie kampanii prezydenckiej	278
Powodzianie czekają na pomoc	279
Po wyborach prezydenckich	282
Spór o krzyż czy o pamięć	285
Zaprzysiężenie prezydenckich obietnic	287
Monopol PO w mediach	289
Zasłona dymna przed pałacem	295
Zaprzysiężenie prezydenckich obietnic	297

SPIS PRZEMÓWIEŃ SENATORA CZESŁAWA RYSZKI	300
--	-----

SPIS OŚWIADCZEŃ (INTERWENCJI)	307
-------------------------------------	-----

TYTUŁY KSIĄŻEK CZESŁAWA RYSZKI	315
--------------------------------------	-----